Jon Krakauer

POD SZTANDAREM NIEBA

WIARA, KTÓRA ZABIJA

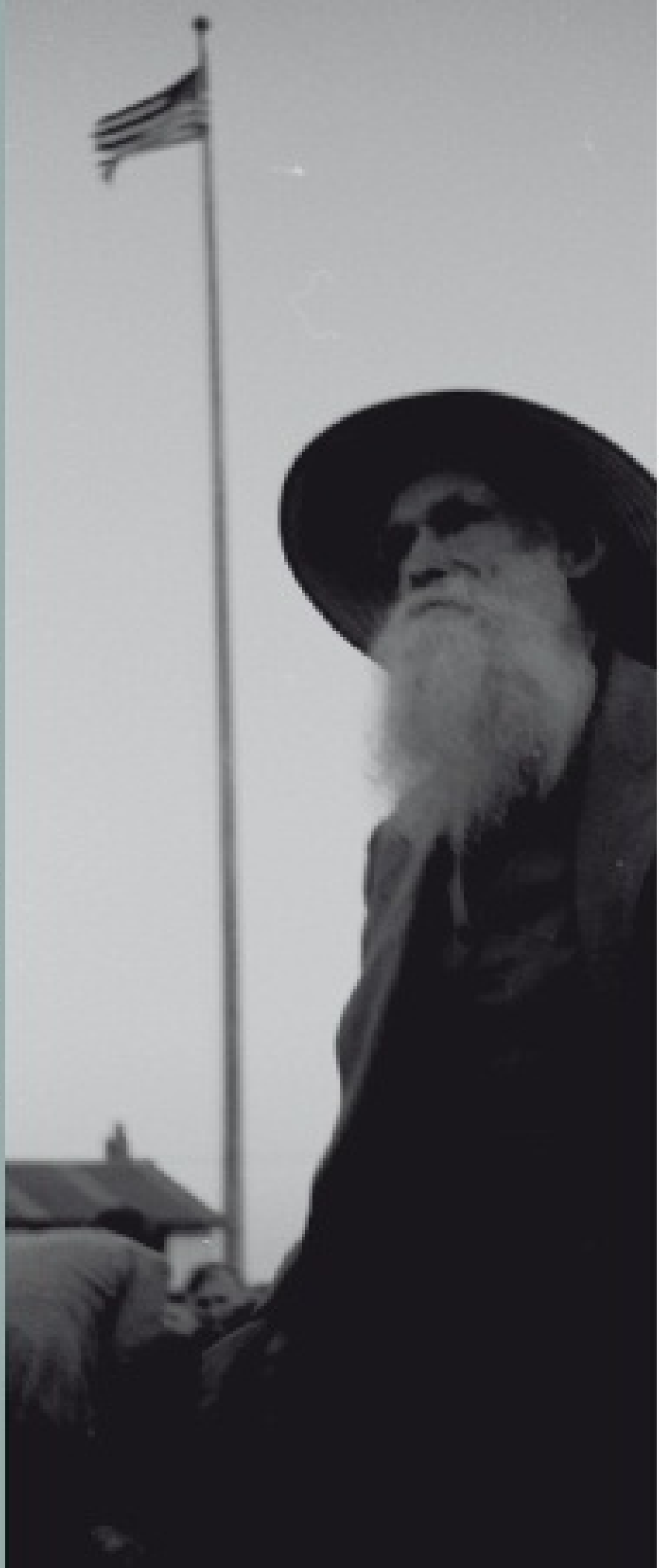

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

W Serii Amerykańskiej ukaże się m.in.:
Kim Gordon *Dziewczyna* z zespołu

Już w księgarniach:
Patti Smith *Poniedziałkowe dzieci*
Jack Kerouac Allen Ginsberg *Listy*
Magdalena Rittenhouse *Nowy* Jork. Od Mannahatty do Ground Zero
Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki*
Johnny Cash *Cash. Autobiografia*
Allen Ginsberg *Listy*
Bob Dylan *Kroniki. Tom* pierwszy
William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy* żywcem się ugotowały
Lawrence Wright *Droga* do wyzwolenia.
Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary
Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja* zwłok Ameryki
S. C. Gwynne *Imperium* księżyca w pełni. Wzlot i upadek Komanczów
David Ritz *Respect. Życie Arethy* Franklin
Alysia Abbott *Tęczowe San* Francisco. Wspomnienia o moim ojcu

JON KRAKAUER

POD SZTANDAREM NIEBA

Wiara, która zabija

Przełożył Jan Dzierzgowski

Wołowiec 2016

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Under* the Banner of Heaven: A Story of Violent Faith

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Fotografia na okładce © by Loomis Dean / Time Life Pictures / Getty Images
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © 2003, 2004 by Jon Krakauer

This translation published by arrangement with Doubleday, an imprint of The Knopf Doubleday Publishing Group, division of Random House LLC

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2016
Copyright © for the Polish translation by Jan Dzierzgowski, 2016
Copyright © for the Mormon Country map by Katsura & Co.
Copyright © for the other maps by Jeffrey L. Ward

Redakcja Wojciech Górnaś / redaktornia.com
Korekta Iwona Łaskawiec / d2d.pl, Gabriela Niemiec / d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl
Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-250-9

SPIS TREŚCI

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Motto
Wstęp

Część I

1 Miasto świętych
2 Short Creek
3 Bountiful
4 Elizabeth i Ruby
5 Drugie wielkie przebudzenie
6 Kumorah
7 Spokojny cichy głos
8 Czyniący pokój

Część II

9 Haun’s Mill
10 Nauvoo
11 Przykazanie
12 Carthage
13 Bracia Lafferty
14 Brenda
15 Jeden potężny i silny
16 Usunięcie

Część III

17 Exodus
18 Albowiem nie wystarczy woda
19 Kozły ofiarne
20 Pod sztandarem nieba

Część IV

21 Evangeline
22 Reno
23 Sąd w Provo
24 Wielki i straszny Dzień Pański
25 Amerykańska religia
26 Góra Canaan

Posłowie
Dodatek do drugiego wydania
Podziękowania
Przypisy końcowe
Bibliografia
Przypisy
Kolofon

Dla Lindy

Wierzymy w uczciwość, moralność i czystość, lecz gdy wprowadzane są tyrańskie prawa, gdy zabrania się nam praktykowania naszej wiary, nie możemy stać z założonymi rękoma. Bóg jest potężniejszy niż Stany Zjednoczone. Gdy więc rząd wchodzi w konflikt z niebem, my zbieramy się pod sztandarem nieba przeciwko rządowi. […] Bóg przykazał nam, abyśmy praktykowali poligamię, i Stany Zjednoczone nie mogą tego zakazać. Żaden kraj ani nawet wszystkie kraje pospołu nie zabronią nam wielożeństwa. […] Sprzeciwiam się Stanom Zjednoczonym, posłuszny będę tylko Bogu.

John Taylor, prezydent i prorok Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, 4 stycznia 1880 roku

Żaden inny zachodni kraj nie jest tak bardzo przesiąknięty religią jak Ameryka. Dziewięć na dziesięć osób kocha tu Boga, a Bóg kocha ich. Trzeba o tym pamiętać, gdyż w przeciwnym razie nie zrozumiemy samego społeczeństwa nieustannie wyczekującego nadchodzącej apokalipsy.

Harold Bloom, *The* American Religion

WSTĘP

W hrabstwie Utah prawie wszyscy słyszeli o braciach Lafferty, oczywiście głównie za sprawą koszmarnych morderstw, niemniej jeszcze zanim zginęły Brenda i Erica, nazwisko to było znane w okolicy. Watson Lafferty, ojciec rodziny, był kręgarzem i prowadził prosperującą przychodnię w swoim domu w starej dzielnicy miasta Provo. Wraz z żoną Claudine dochowali się sześciu synów i dwóch córek, którym wpoili surową etykę pracy oraz wierność Kościołowi mormonów. Całą rodzinę szanowano za przedsiębiorczość i nieposzlakowaną uczciwość.

Allen, najmłodszy z rodzeństwa, ma teraz na karku czterdziestkę i pracuje jako układacz kafelków; zresztą parał się tym już jako nastolatek. W lecie 1984 roku mieszkał ze swoją dwudziestoczteroletnią żoną i małą córeczką w American Fork, sennym, zamożnym miasteczku, rozciągniętym wzdłuż szosy z Provo do Salt Lake City. Jego żona Brenda była niegdyś królową piękności, znaną w miasteczku z czasów, kiedy prowadziła program informacyjny na kanale 11, czyli w lokalnym oddziale stacji PBS. Co prawda zrezygnowała z kariery w mediach, by poślubić Allena i założyć rodzinę, ale nie straciła ani trochę wigoru, dzięki któremu podbiła serca widzów. Jej ciepło i otwartość zapadły wielu osobom w pamięć.

Rankiem 24 lipca 1984 roku, jeszcze przed wschodem słońca, Allen zamknął za sobą drzwi bliźniaka, w którym mieszkali, i pojechał do pracy na budowie na wschód od Ogden, sto trzydzieści kilometrów szosą międzystanową. Podczas przerwy na lunch zadzwonił do Brendy. Rozmawiali przez minutę, potem Brenda przekazała słuchawkę piętnastomiesięcznej córeczce Erice. Erica pogaworzyła, Brenda powiedziała mężowi, że wszystko jest w porządku. Pożegnali się.

Allen wrócił do domu około dwudziestej, zmęczony po długim dniu. Ku jego zaskoczeniu frontowe drzwi były zamknięte, co prawie nigdy się nie zdarzało. Otworzył je kluczem i – kolejne zaskoczenie – w salonie zastał włączony telewizor, hałasujący na cały regulator. Leciała akurat transmisja meczu baseballowego, choć Brenda nie przepadała za baseballem. Allen wyłączył telewizor i w mieszkaniu zapanowała nienaturalna cisza. Pomyślał, że Brenda zabrała gdzieś dziecko i wyszła z domu. „Już miałem sprawdzić, czy nie ma ich u sąsiadów – tłumaczył później – kiedy spostrzegłem krew na włączniku światła przy drzwiach". A potem zobaczył Brendę na podłodze w kuchni, leżącą w kałuży krwi.

Kilka razy zawołał jej imię. Klęknął obok i położył dłoń na jej ramieniu. „Ciało miała zimne. […] Na twarzy i w ogóle wszędzie była krew". Chwycił telefon leżący na podłodze obok żony. Zdążył wybrać numer alarmowy, nim zorientował się, że nie ma sygnału – kabel wyrwano ze ściany. Pobiegł więc do sypialni, żeby sprawdzić, czy działa znajdujący się tam aparat. Po drodze zajrzał do pokoju dziecięcego i ujrzał Ericę, leżącą nieruchomo w łóżeczku w dziwnej pozycji. Miała na sobie tylko pieluszkę. Pieluszka i wszystkie kocyki były przesiąknięte krwią.

Telefon w głównej sypialni nie działał. Dopiero od sąsiadów Allenowi udało się wezwać pomoc. Opisał krwawą scenę dyspozytorowi policji, potem zadzwonił do swojej matki.

Czekając na przybycie mundurowych, Allen wrócił do mieszkania. „Klęknąłem koło Brendy i modliłem się. Potem, kiedy wstałem, rozejrzałem się nieco uważniej i zauważyłem, że musiała się tu rozegrać koszmarna szamotanina". Krew była nie tylko w kuchni, ale i na ścianach w salonie, na podłodze, na drzwiach, na zasłonach. Allen nie miał wątpliwości, kto za to odpowiada. Domyślił się

w tej samej sekundzie, kiedy ujrzał Brendę leżącą w kuchni.

Policjanci zabrali Allena na posterunek w American Fork i przesłuchiwali go całą noc. Początkowo sądzili, że to on zabił Brendę i Ericę – mordercą przecież często okazuje się mąż. W końcu jednak Allen przekonał ich, że głównym podejrzanym jest najstarszy z piątki jego braci: Ron Lafferty. Tego lata Ron przez prawie trzy miesiące podróżował po zachodzie Stanów Zjednoczonych razem z drugim bratem, Danem; niedawno wrócił jednak do hrabstwa Utah. Do wszystkich służb rozesłano komunikat o poszukiwanym samochodzie – bladozielonym chevrolecie impala kombi, rocznik 1974, z tablicami stanu Utah.

Zabójstwa nosiły znamiona mordu rytualnego i przyciągnęły uwagę mediów oraz opinii publicznej. Następnego dnia sprawa stała się głównym tematem wiadomości w całym stanie. W czwartek 26 lipca na pierwszej stronie „Salt Lake Tribune” ukazał się niniejszy artykuł:

TRWAJĄ ZAKROJONE NA WIELKĄ SKALĘ POSZUKIWANIA PODEJRZANYCH O MORDERSTWO W AMERICAN FORK

Mike Gorrell, Ann Shields, korespondentka „Tribune”

AMERICAN FORK. Służby policyjne w Utah i sąsiednich stanach od środy szukają byłego członka rady miejskiej w Highland w hrabstwie Utah, fundamentalisty religijnego, podejrzewanego o zamordowanie we wtorek szwagierki i jej piętnastomiesięcznego dziecka.

Ronald Watson Lafferty, 42 lata, adres nieznany, jest oskarżany o zabicie z premedytacją Brendy Wright Lafferty, 24 lata, oraz jej córki Eriki Lane […].

Policja z American Fork jak dotąd nie ustaliła motywu zbrodni i odmawia komentarzy na temat pogłosek, jakoby sprawca, ekskomunikowany członek Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, był powiązany z fundamentalistycznymi sektami religijnymi praktykującymi poligamię oraz jakoby fakt ten miał związek z morderstwami […].

Sąsiedzi ofiar wyrazili niedowierzanie, że „coś podobnego” mogło wydarzyć się w ich okolicy.

„Każdy jest w szoku, że w American Fork, w porządnym mieście, doszło do czegoś takiego. Ludzie mówią, że dotąd nie zamykali drzwi na klucz, ale od tej pory będą ostrożniejsi”, powiedział jeden z mieszkańców, choć zastrzegł, by nie ujawniać jego nazwiska.

Ken Beck, biskup lokalnej jednostki LDS[1], do której uczęszczali Allen i Brenda Lafferty, nazwał ich „zwykłą, sympatyczną parą”, zaangażowaną w sprawy kościelne.

Pod spodem, również na stronie tytułowej, widniał następujący tekst:

PODEJRZANY „bardzo się zmienił”, relacjonują sąsiedzi

Korespondencja specjalna dla „Tribune”

AMERICAN FORK. Człowiek stanowczy i zasadniczy, niegdyś aktywny mormon i konserwatywny republikanin, później ekskomunikowany fundamentalista – tak sąsiedzi zapamiętali Ronalda Watsona Lafferty’ego. […]

Lafferty był członkiem pierwszej rady Highland, odkąd w 1977 roku ta położona na północy hrabstwa Utah miejscowość uzyskała prawa miejskie. Przeprowadził skuteczną kampanię na rzecz zakazu sprzedaży piwa w jedynym lokalnym sklepie spożywczym – podróżni udający się do American Fork Canyon nadal nie mogą nabyć tam alkoholu.

„Pamiętam go sprzed dwóch lat, taki zwykły Amerykanin, zawsze schludnie ubrany, nawet rano, zaraz po wydojeniu krowy”, wspomina sąsiad zajmujący obecnie wraz z rodziną działkę, na której mieszkał Lafferty, i hodujący tam konie, kozy i kury.

W zeszłym roku Lafferty rozwiódł się po wielu latach małżeństwa. Diana Lafferty, nazywana przez wielu „podporą tutejszej mormońskiej wspólnoty”, krótko po Bożym Narodzeniu wyprowadziła się wraz z szóstką dzieci i wyjechała z Utah. Od tej pory Lafferty’ego nie widziano w okolicy.

Sąsiedzi mówią, że rozwód był skutkiem różnic zdań w kwestiach religii i polityki.

„On mówił, że zamierza walczyć o sprawiedliwość, bez względu na konsekwencje”, wspomina sąsiad.

Zdaniem przyjaciół Lafferty zmienił przekonania polityczne – albo też przeszedł ewolucję i przeistoczył się z konserwatywnego republikanina w fundamentalistę. Zaczął wierzyć w konieczność powrotu do „słusznych praw”, w ścisły konstytucjonalizm oraz absolutny prymat „prawa boskiego”.

„Powtarzał, że trzeba ocalić konstytucję i kraj”, mówi wieloletni przyjaciel Lafferty’ego. „Stało się to dla niego religijną obsesją”.

Detektywi przesłuchali całe rodzeństwo Allena, do którego zdołali dotrzeć, oraz jego matkę i licznych

przyjaciół. Na pierwszej stronie sobotniego wydania dziennik ujawniał, że policja ma już hipotezę na temat motywu stojącego za brutalną zbrodnią.

CZY DWA MORDERSTWA TO SKUTEK RELIGIJNEGO OBJAWIENIA? TRZY OSOBY OSKARŻANE O ZABICIE MATKI I NIEMOWLĘCIA

Ann Shields, korespondentka „Tribune”

AMERICAN FORK. Dwóm mężczyznom postawiono w piątek zarzuty zabójstwa pierwszego stopnia w związku z zamordowaniem 24 lipca w American Fork kobiety oraz jej piętnastomiesięcznej córeczki. Policja ujawnia, że morderstwa mogły być następstwem religijnego „objawienia”.

Podejrzani to Dan Lafferty, wiek nieznany, zamieszkały w Salem, ubiegający się wcześniej o stanowisko szeryfa w hrabstwie Utah i szwagier ofiary, oraz Richard M. Knapp, lat 24, wcześniej zamieszkały w Wichita w stanie Kansas.

Brat Dana Lafferty’ego, Ronald Lafferty, lat 42, zamieszkały w Highland w hrabstwie Utah, usłyszał w środę zarzut podwójnego morderstwa pierwszego stopnia. […]

Komendant miejscowej policji Randy Johnson […] ujawnił w piątek, że śledztwo wykazało, iż „Ron mógł doznać objawienia, w którym Bóg nakazał popełnić mu tę zbrodnię. Jeśli spisane objawienie rzeczywiście istnieje, stanowi kluczowy dowód w sprawie”. Johnson zaapelował, by osoby mające informacje na temat tego dokumentu skontaktowały się z policją w American Fork lub z FBI. […]

Zdaniem Johnsona poszukiwani są najprawdopodobniej uzbrojeni i niebezpieczni. W razie prób zatrzymania przez funkcjonariuszy służb policyjnych mogą stawiać opór. […]

Sąsiedzi i znajomi podejrzanych uważają, że Ron Lafferty miał powiązania z fundamentalistyczną sektą religijną, być może poligamiczną, co pozwala spekulować, że morderstwa stanowiły rezultat rodzinnego konfliktu na tle religijnym.

30 lipca zdezelowany chevrolet impala należący do Rona został zauważony w Cheyenne w stanie Wyoming. Stał zaparkowany na podjeździe przed jednym z domów. Policjanci weszli do budynku i co prawda nie znaleźli tam braci Lafferty, ale zatrzymali Richarda „Ricky’ego” Knappa i Chipa Carnesa, dwóch włóczęgów, którzy tego lata podróżowali razem z Danem i Ronem. Informacje uzyskane od Knappa i Carnesa zaprowadziły śledczych do Reno w Nevadzie, gdzie 7 sierpnia w kasynie Circus Circus aresztowano poszukiwanych braci.

Oczekując na rozpoczęcie procesu, Dan i Ron zaczęli prowadzić zza krat mało przekonującą kampanię medialną: zapewniali opinię publiczną o swojej niewinności. Ron twierdził, że zarzuty zostały sfabrykowane, a Kościół mormoński, który „kontroluje cały stan Utah”, nie dopuści do uczciwego procesu. Przyznał, że uważa „wielożeństwo” za słuszne i sprawiedliwe, nigdy go jednak nie praktykował ani nie należał do żadnej sekty poligamistów. Kocha natomiast Kościół mormoński, aczkolwiek – powtarzał – obecne kierownictwo LDS zbłądziło i porzuciło święte zasady, głoszone przez Josepha Smitha, pierwszego mormońskiego proroka.

Cztery dni później Dan Lafferty wystosował pisemne oświadczenie do mediów, według którego on i jego brat byli „niewinni wszelkich przestępstw, które się nam zarzuca”, natomiast „bliski jest czas, kiedy Bóg wskaże prawdziwych sprawców”.

29 grudnia, pięć dni przed planowanym rozpoczęciem procesu w Provo, porucznik Jerry Scott, naczelnik więzienia hrabstwa Utah, zabrał Dana z celi, by zadać mu kilka pytań. Kiedy Dan wrócił, znalazł starszego brata powieszonego na kołku na ręczniki. Ron był nieprzytomny i nie oddychał. Pętlę zrobił z T-shirtu.

– Nacisnąłem guzik interkomu i zawołałem, żeby zaraz tu przyszli – opowiada Dan. Natychmiast zjawił się porucznik Scott; nie wyczuł u Rona pulsu. On i jego dwaj zastępcy zaczęli masaż serca i sztuczne oddychanie. Bez skutku – gdy na miejsce przybyli ratownicy medyczni, więzień (jak wspomina Scott) „wydawał się martwy”.

Mimo że był pozbawiony tlenu przez mniej więcej kwadrans, ratownicy zdołali w końcu przywrócić

akcję serca. Ron został podłączony do respiratora na oddziale intensywnej terapii w Utah Valley Regional Medical Center. Przez dwa dni był w śpiączce, potem odzyskał świadomość. Dan przypisuje to zdumiewające ozdrowienie boskiej interwencji. Bracia mieli pojawić się w sądzie razem, trzy dni później, ale sędzia J. Robert Bullock nakazał, by Dan sądzony był osobno, zgodnie z harmonogramem. Proces Rona odroczono do czasu jego powrotu do zdrowia i zakończenia pogłębionych badań psychiatrycznych, mających na celu ustalenie, czy nie doznał trwałych uszkodzeń mózgu.

Sąd przydzielił Danowi dwóch obrońców, on jednak uparł się, że sam będzie swoim adwokatem – obrońcom powierzył wyłącznie rolę doradczą. Proces trwał pięć dni. Po tym czasie ława przysięgłych udała się na naradę i dziewięć godzin później uznała, że Dan jest winny podwójnego morderstwa z premedytacją. Podczas następnego posiedzenia, na którym miała zapaść decyzja o wyroku, Dan doradził przysięgłym: „Na waszym miejscu domagałbym się kary śmierci". Zadeklarował też, że nie będzie się od tego wyroku odwoływał.

– Sędzia spanikował, jak to usłyszał – mówi Dan. – Pomyślał, że najwyraźniej chcę umrzeć, więc przestrzegł przysięgłych, by nie głosowali za egzekucją wyłącznie z powodu mojego pragnienia śmierci. A tymczasem mnie po prostu zależało, żeby podjęli decyzję zgodnie ze swoimi sumieniami. Jeśli uważają, że zasługuję na najwyższy wymiar kary, niech to powiedzą i się nie przejmują ani nie czują winy. Skoro w imię Boże byłem gotów odebrać życie, to powinienem być też gotów swoje życie Bogu oddać. Jeśli Bóg pragnie mojej egzekucji, ja to zaakceptuję.

Przysięgli nie podjęli jednogłośnej decyzji: dziesięcioro opowiedziało się za karą śmierci, dwoje było przeciw. Zdaniem przewodniczącego ławy przysięgłych (który nie mógł pogodzić się z faktem, że Dan uniknął egzekucji) Dan zmanipulował jedną z ławniczek, „utrzymując z nią kontakt wzrokowy, uśmiechając się do niej i wykorzystując inne charyzmatyczne komunikaty niewerbalne oraz techniki psychoseksualnego uwodzenia". Rzekomo z tego powodu kobieta zignorowała materiał dowodowy, a także instrukcje sędziego.

Dan zresztą mówi: „Trochę mnie rozczarowało, że nie zostałem stracony".

Sędzia Bullock, ogłaszając wyrok, nie krył pogardy. „Skazany lekce sobie waży ludzkie prawa, którym zawdzięcza życie", mówił. Obrzydzenie zaraz wzięło górę. „Jestem sędzią od dwunastu lat i nigdy nie orzekałem w sprawie zbrodni tak okrutnej, ohydnej i bezsensownej jak morderstwo Brendy i Eriki Lafferty. Nigdy też nie stanął przed moim obliczem podsądny, który okazałby równie mało skruchy". Reprymenda ta wyszła z ust twardego i doświadczonego człowieka: w roku 1976 przewodniczył w słynnym, historycznym procesie Gary'ego Marka Gilmore'a, zabójcy dwóch młodych mormonów[2]. Następnie sędzia Bullock ogłosił, że ława przysięgłych nie podjęła decyzji o karze śmierci, po czym ponownie zwrócił się bezpośrednio do Dana. „Dopilnuję, żebyś każdą minutę życia spędził za kratami więzienia stanowego Utah". Decyzją Bullocka Dan został skazany na podwójne dożywocie.

Proces Rona ruszył niecałe cztery miesiące później, w kwietniu 1985 roku, kiedy armia psychiatrów i psychologów uznała, że nie ma do tego przeciwwskazań. Obrońcy z urzędu chcieli zmienić kwalifikację czynu i przekonać sąd, że Ron jest chory psychicznie, Lafferty jednak kategorycznie zaprotestował. „To wyglądałoby na przyznanie się do winy" – oświadczył sędziemu Bullockowi. – Nie zamierzam tego robić".

Ron został skazany za morderstwo pierwszego stopnia. Tym razem ława przysięgłych nie miała żadnych rozterek. Orzeczono karę śmierci: zastrzyk albo cztery kule w serce. Ron wybrał drugi wariant.

15 stycznia roku 1985, zaraz po ogłoszeniu wyroku Dan Lafferty został przewieziony do więzienia stanowego w Point of the Mountain nieopodal Draper. Funkcjonariusz służby więziennej obciął mu włosy i zgolił bokobrody. Minęło siedemnaście lat i przez ten czas Dan ani razu nie użył nożyczek ani brzytwy. Spięta gumkami bujna siwa broda sięga mu teraz prawie do pasa. Białe włosy kołyszą się za plecami, kontrastując z pomarańczowym więziennym kombinezonem. Dan skończył pięćdziesiąt cztery lata, w kącikach oczu ma zmarszczki, a jednak w jego wyglądzie dostrzega się coś chłopięcego. Skórę ma tak bladą, że niemal przezroczystą.

Kiepski tatuaż przedstawiający pajęczynę rozchodzi się od lewego łokcia Dana i oplata wewnętrzną stronę ręki. Nierówne linie w kolorze indygo przypominają kratownicę. Dan ma skute dłonie, a na stopach kajdany, przypięte do stalowego pierścienia w betonowej podłodze. Nosi tanie gumowe klapki. Jest człowiekiem solidnej postury i wesoło nazywa oddział o zaostrzonym rygorze swoim „klasztorem".

Każdego ranka o szóstej trzydzieści sygnał pobudki biegnie przez więzienne korytarze. Potem następuje liczenie osadzonych. Drzwi do celi Dana pozostają zamknięte przez dwadzieścia godzin na dobę. Zresztą Dan mówi, że w celi spędza prawie cały czas.

– Wychodzę tylko po to, żeby wziąć prysznic albo wydawać jedzenie: pracuję w stołówce. Nie utrzymuję kontaktów z innymi. Jeśli jest taka możliwość, zostaję u siebie. Pełno tu dupków. Nakręcają się, przeżywają jakieś małe dramaty i kończy się tym, że musisz komuś przyjebać, a wtedy klawisze odbierają ci wszystkie przywileje. Ja mam za dużo do stracenia. Na ten moment jest mi całkiem wygodnie. Drugi gość w mojej celi jest w porządku, nie chcę go zamieniać.

„Gość z celi", współwięzień, to Mark Hofmann, niegdyś gorliwy mormon, który stracił wiarę podczas pobytu na misji w Wielkiej Brytanii, ale po powrocie do Utah nadal udawał wzorowego członka Kościoła Jezusa Chrystusa. Niedługo później odkrył u siebie znakomity talent fałszerski i zaczął produkować lipne (i znakomicie wykonane) dokumenty historyczne, które następnie sprzedawał kolekcjonerom za duże pieniądze. W październiku 1985 roku, kiedy wyglądało, że ta nielegalna działalność niedługo wyjdzie na jaw, przeprowadził serię zamachów terrorystycznych z użyciem rurobomb, aby odwrócić uwagę śledczych. Zabił przy tym dwóch przypadkowych mormonów[3]. Wiele fałszywek Hofmanna miało na celu ośmieszenie Josepha Smitha oraz świętej historii Kościoła Jezusa Chrystusa. Kościół, przekonany o ich autentyczności, kupił od Hofmanna ponad czterysta dokumentów po to, by ukryć je przed opinią publiczną.

Mimo że obecnie Hofmann otwarcie deklaruje swoją pogardę dla religii (a zwłaszcza mormonizmu), nie wpływa to na jego przyjaźń z Danem Laffertym, który z dumą przedstawia się jako żarliwy wyznawca.

– Towarzysz z celi nie podziela moich wierzeń – przyznaje Dan. – Ale nasze serca i tak łączy wyjątkowa braterska więź.

Przed wyrokiem i przez pierwsze dziesięć lat odsiadki Dan utrzymywał, że jest niewinny. Kiedy aresztowano go w Reno w sierpniu 1984 roku, powiedział policjantom: „Sądzicie, że popełniłem morderstwo – mylicie się". Obecnie nadal nie przyznaje się do zbrodni, lecz, paradoksalnie, nie zaprzecza, że zabił Brendę i Ericę. Na pytanie, jak te dwa ewidentnie sprzeczne fakty mogą być równocześnie prawdziwe, odpowiada: „Postępowałem zgodnie z boską wolą, co nie może być przestępstwem".

Rekonstrukcja wydarzeń z 24 lipca 1984 roku przychodzi Lafferty'emu bez trudu. Mówi, że wczesnym popołudniem wraz z Ronem i dwoma włóczęgami, z którymi podróżowali, Rickym Knappem i Chipem

Carnesem, zajechali do American Fork, dwadzieścia minut drogi szosą międzystanową od więzienia, gdzie teraz przebywa, przed ceglany bliźniak Allena, swojego najmłodszego brata. Piętnastomiesięczna Erica stała w łóżeczku i uśmiechała się do Dana.

– Mówiłem do niej przez minutę – wspomina Lafferty. – Powiedziałem: „Nie jestem do końca pewien, o co chodzi, ale najwyraźniej Bóg pragnie, żebyś opuściła ten świat. Może jeszcze kiedyś o tym porozmawiamy". – A potem zabił dziewczynkę dwudziestopięciocentymetrowym nożem do filetowania mięsa.

Następnie spokojnie przeszedł do kuchni i tym samym nożem zamordował matkę dziecka. Teraz, siedemnaście lat później, utrzymuje – nadzwyczaj przekonująco – że nigdy nie odczuwał żalu ani wstydu z powodu swojego czynu.

Dan, podobnie jak jego starszy brat Ron, był wychowywany na pobożnego mormona.

– Zawsze interesował mnie Bóg i Królestwo Boże – mówi. – Od małego nie istniał dla mnie ważniejszy temat. – Dan jest przekonany, że zabijał na rozkaz Boga. – Pan objawił Ronowi, że trzeba usunąć Brendę, Ericę i jeszcze parę osób. Mnie powierzył to zadanie. Cały czas czułem, jak gdyby ktoś łagodnie prowadził mnie za rękę. Czego Bóg pragnie, tak się stanie. Nie można obrażać Boga odmową wykonania Jego woli.

Zabójstwo Brendy i Eriki szokuje z wielu powodów, ale brak skruchy Dana Lafferty'ego robi szczególne wrażenie. Jak to możliwe, że człowiek z pozoru zdrowy psychicznie, nazywający się pobożnym chrześcijaninem, w okrutny sposób, a zarazem całkowicie beznamiętnie zabił niewinną kobietę oraz jej dziecko? Skąd brało się jego przekonanie, że zbrodnia jest usprawiedliwiona? Aby odpowiedzieć na te pytania, musimy zapuścić się w mroczne rejony serca i umysłu, gdzie rodzi się wiara w Boga – irracjonalny pogląd, który nieliczni fanatycy doprowadzają do skrajności.

Często ignoruje się lub neguje ciemne aspekty wiary. Nie istnieje chyba jednak potężniejsza od religii siła, która motywowałaby do zachowań okrutnych i nieludzkich (czy też, posługując się określeniem z wokabularza wierzących, do czynienia zła). Kiedy pada hasło „przemoc na tle religijnym", wielu Amerykanów odruchowo myśli o islamskim fundamentalizmie – fakt mało zaskakujący po atakach na Nowy Jork i Waszyngton z 11 września – ale najokrutniejszych zbrodni w imię Boże dopuszczali się ludzie wszystkich wyznań, odkąd tylko pojawiła się idea boskości. Mahomet nie jest jedynym prorokiem, którego słowa wykorzystywano do usprawiedliwiania barbarzyństwa: historia zna pełno chrześcijan, żydów, hinduistów, sikhów, buddystów, a nawet rodowitych Amerykanów, którzy w świętych księgach znaleźli wezwanie do mordowania niewinnych.

Przemocy na tle religijnym nie wymyślił Osama bin Laden i nie zniknie ona z jego śmiercią. W każdej epoce wielu jest fanatyków w rodzaju bin Ladena, Davida Koresha, Jima Jonesa, Shoko Asahary[4] lub Dana Lafferty'ego. Zresztą, fanatyzm znajduje różne wcielenia. Niezależnie od tego, o jakim rodzaju ludzkiej działalności mówimy, zawsze znajdzie się drobny ułamek osób skłonnych poświęcić się tej działalności z bezwzględnym oddaniem i obsesyjną pasją, aż do zatracenia, skłonnych poświęcić życie na doskonalenie talentu fortepianowego lub wspinaczkę na Mount Everest.

Ekstremista może kierować się motywacją zewnętrzną, czyli obietnicą ostatecznej nagrody – sławy, bogactwa, zbawienia – ale prawdziwej gratyfikacji dostarcza bodaj sama obsesja. Dotyczy to zarówno fanatyków religijnych, jak i pianistów czy himalaistów. Żarliwość pozwala fanatykowi znaleźć w życiu sens – a nawet nadmiar sensu. Traci się wówczas z oczu wszystko, co niejednoznaczne. Narcystyczna

pewność siebie wypiera wszelkie wątpliwości. Serce zaczyna szybciej bić od rozkosznego gniewu, dla którego paliwem są grzechy i ułomności zwykłych śmiertelników, kalających świat tylko przez to, że w ogóle istnieją. Perspektywa coraz bardziej się zawęża, aż w końcu fanatyk zupełnie traci zmysł proporcji. Zupełny brak umiarkowania pozwala mu zaznać stanu podobnego do ekstazy.

Jednostki podatne na upajającą moc ekstremizmu zdarzają się we wszystkich grupach społecznych, na szczególne ryzyko narażeni są jednak ci, którzy zostali wychowani w wierze religijnej lub mają ku wierze skłonności. Wiara stanowi przeciwieństwo rozumu; wyrzeczenie się racjonalności to istota każdego doświadczenia duchowego. Kiedy zaś fanatyzm religijny zajmuje miejsce racjonalnego wnioskowania, przestają obowiązywać jakiekolwiek reguły. Wszystko może się wydarzyć. Naprawdę wszystko. Zdrowy rozsądek nie ma szans w starciu ze słowem Bożym – czego doskonałym przykładem są czyny Dana Lafferty'ego.

Książka ta ma za cel rzucić nieco światła na Dana i jemu podobnych. Choć nie jest to zadanie łatwe, podjąwszy się go, nie tylko lepiej poznamy korzenie przemocy, lecz także, co może nawet ważniejsze, dowiemy się więcej o naturze wiary.

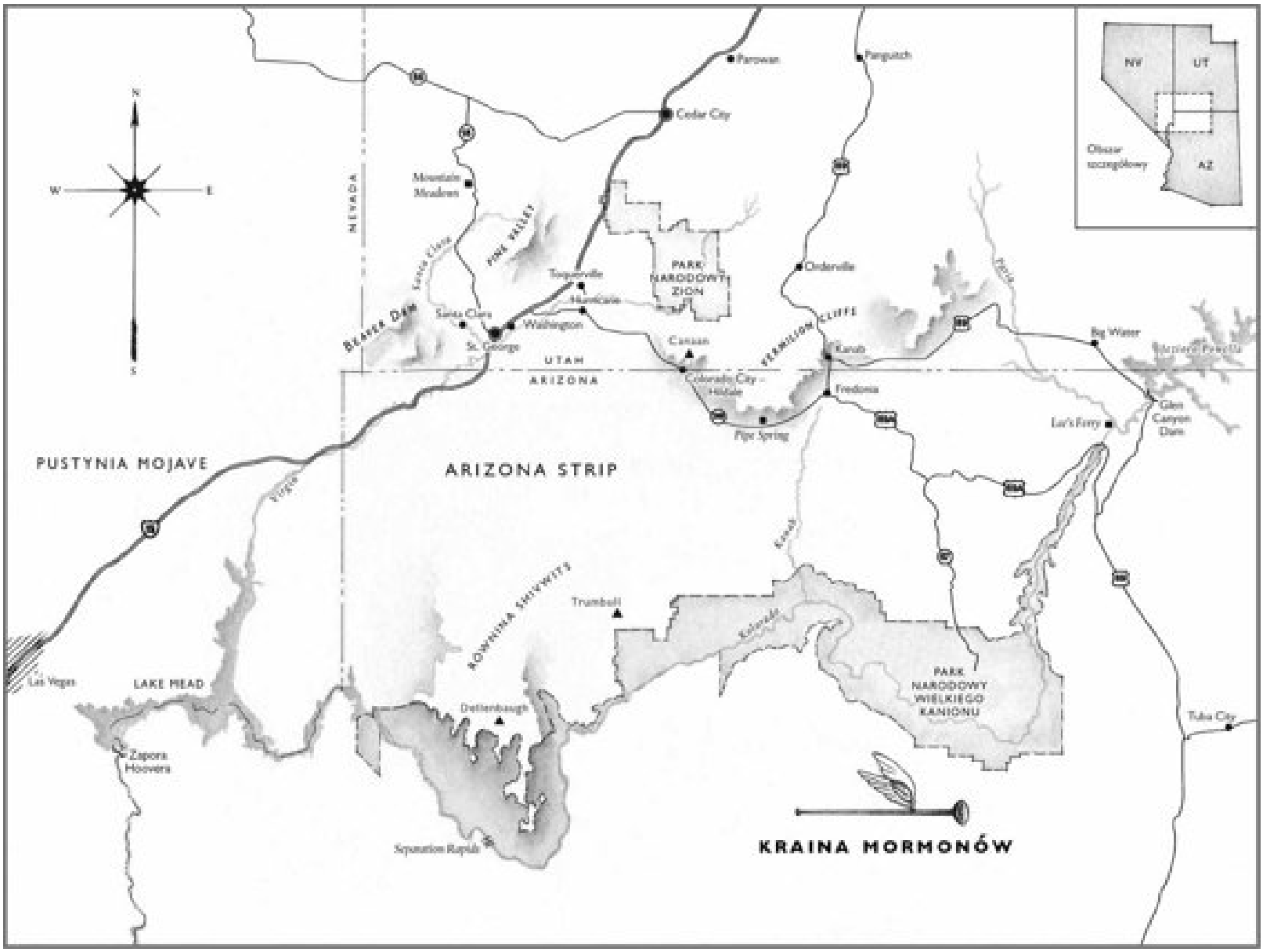

Obecność mormonów w Ameryce Północnej
KANADA
STANY ZJEDNOCZONE
MEKSYK
Edmonton
ALBERTA
KOLUMBIA BRYTYJSKA
Calgary
SASKATCHEWAN
Vancouver
Boundful
Cardston
MANITOBA
Winnipeg
0
500 km
Portland
Woodburn
Corvallis
Kolumbia
MONTANA
IDAHO
OREGON
Boise
Missouri
Wielkie Jeziora
Beaver Island
WISCONSIN
NOWY JORK
VERMONT
Palmyra
Rochester
Twin Falls
WYOMING
TRASA WĘDRÓWKI MORMONÓW 1846–1847
MICHIGAN
Nowy Jork
Yorag
Kirtland
Cleveland
PENNSYLVANIA
Chicago
IOWA
NEBRASKA
Cheyenne
Missisipi
Nauvoo
Sacramento
Reno
Wendover
Salt Lake City
Provo
Platte
OHIO
Waszyngton
NEVADA
San Francisco
ILLINOIS
Far West
Denver
Colorado Springs
Independence
St. Louis
UTAH
KALIFORNIA
KANSAS
Colorado City
Green
KOLORADO
Wichita
Las Vegas
MISSOURI
Missisipi
Rzeka Czerwona
ARKANSAS
Los Angeles
ARIZONA
NOWY MEKSYK
Phoenix
OCEAN ATLANTYCKI
El Paso
Missisipi
TEXASAS
Colonia LeBaron
OCEAN SPOKOJNY
ZATOKA MEKSYKAŃSKA

CZĘŚĆ I

Schizmy stanowiły dla Kościoła mormonów o wiele poważniejsze zagrożenie niż ataki z zewnątrz. Przychodziły jedna po drugiej i, paradoksalnie, świadczą o sile Kościoła oraz o tym, jak poważnie wyznawcy i heretycy traktowali kwestię swojego zbawienia. Gotowi byli zaryzykować duszę w sprawach doktrynalnych, które niewiele by obeszły członków następnych pokoleń.

William Mulder, A. Russell Mortensen, *Among* the Mormons

1

Miasto świętych

Bo wy jesteście ludem poświęconym Panu, Bogu swemu: was wybrał Pan, byście się stali ludem będącym Jego wyłączną własnością spośród wszystkich narodów, które są na ziemi.

Księga Powtórzonego Prawa, 14:2

I stanie się, że Ja, Pan Bóg, ześlę jednego potężnego i silnego, dzierżącego berło mocy w swej ręce, odzianego w światłość niczym okrycie, którego usta wymówią słowa, słowa wieczne; podczas gdy wnętrzności Jego będą źródłem prawdy, aby uporządkować dom Boży.

Nauki i Przymierza, rozdział 85, 7. Objawienie dane prorokowi Josephowi Smithowi 27 listopada 1832 roku

W ostrym słońcu Utah anioł Moroni balansuje na najwyższej iglicy Świątyni Salt Lake i dzierżąc w dłoni złocistą trąbę, przygląda się swemu miastu. Świątynia, ogromny granitowy gmach, jest duchowym centrum Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, odpowiednikiem Watykanu lub Al-Kaby w Mekce. Według ostatnich szacunków mormonizm to najszybciej rozwijająca się religia na zachodniej półkuli. Wyznaje go już ponad jedenaście milionów ludzi (to więcej niż w przypadku judaizmu). W Stanach Zjednoczonych jest obecnie więcej mormonów niż prezbiterian czy członków Kościołów episkopalnych. Niektórzy badacze twierdzą, że mormonizm wkrótce dołączy do grona głównych globalnych wyznań, które to grono nie powiększyło się od narodzin islamu.

W budynku sąsiadującym ze świątynią trzysta dwadzieścia pięć głosów Mormońskiego Chóru Tabernakulum wypełnia ogromną salę potężnymi, natrętnymi dźwiękami *Hymnu* Bojowego Republiki. „Widziały moje oczy, jak nadchodzi w chwale Pan” – popisowy numer zespołu rozbrzmiewa donośnie.

Ten doskonale harmonijny chór posłużyć może za ilustrację obiegowych stereotypów na temat mormonów. Cnotliwość, optymizm, otwartość, posłuszeństwo. Kiedy Dan Lafferty cytuje mormońskie święte księgi, by usprawiedliwić morderstwo, wydaje się to niedorzeczne, wręcz surrealistyczne.

Kościołem zarządza grupa starszawych białych mężczyzn w ciemnych garniturach, którzy urzędują w dwudziestosześciopiętrowym budynku przy placu Świątynnym[5]. Każdy z nich powie stanowczo, że Lafferty’ego w żadnym wypadku nie można nazywać mormonem. Religia, którą wyznawał i która pchnęła go do zabójstwa szwagierki i bratanicy, to mormonizm fundamentalistyczny. Rządzący LDS wzdrygają się, kiedy ktoś wymieni mormonizm i fundamentalistyczny mormonizm w jednym zdaniu. W roku 1998, w programie *Larry* King Live, osiemdziesięcioośmioletni wówczas Gordon B. Hinckley, prezydent Kościoła, powtarzał: „Ci ludzie nie są z nami w żaden sposób powiązani. Nie należą do naszego Kościoła. W ogóle nie można mówić tu o mormońskich fundamentalistach”.

Niemniej zarówno mormoni, jak i mormońscy fundamentaliści odwołują się do tych samych świętych ksiąg i tej samej świętej historii. Jedni i drudzy wierzą, że Joseph Smith, który stworzył mormonizm w roku 1830, odegrał zasadniczą rolę w boskim planie, był prawdziwym prorokiem i postacią równie ważną co Mojżesz lub Izajasz. Mormoni i mormońscy fundamentaliści utrzymują, że oni i tylko oni są ulubionymi dziećmi Boga, „szczególną [Jego] własnością pośród wszystkich narodów”. Różnią się natomiast w jednej, bardzo drażliwej kwestii: otóż w odróżnieniu od współczesnych świętych (jak

niekiedy określa się mormonów) fundamentaliści są absolutnie przekonani, że ich obowiązkiem jest wielożeństwo, a poligamię praktykują z przyczyn religijnych.

Liczba fundamentalistów praktykujących poligamię w Kanadzie, Meksyku i na zachodzie Stanów Zjednoczonych wynosi ponad trzydzieści tysięcy. Niektórzy eksperci szacują, że może przekraczać nawet sto tysięcy. Nawet jeśli ta ostatnia rachuba jest trafna, stanowiłoby to mniej niż jeden procent wszystkich członków Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. A jednak dla przywódców Kościoła poligamiczna brać jest solą w oku. Starają się zamknąć „poligonów" na poddaszu, z dala od ludzkich spojrzeń, lecz fundamentaliści się wymykają i wywołują publicznie dzikie sceny.

Krótka i burzliwa historia religii mormońskiej to dla Kościoła LDS nieprzyjemny temat. Najwięcej zaś kłopotów budzi kwestia wielożeństwa. Kierownictwo LDS pracowało ciężko, by przekonać własnych wyznawców i amerykańską opinię publiczną, że poligamia była mało ważnym, dawno zarzuconym dziwactwem, praktykowanym przez garstkę mormonów w XIX wieku. W broszurach, które żarliwi młodzi misjonarze rozdają na placu Świątynnym, nie znajdziemy żadnej wzmianki, że Joseph Smith – postać dla mormonów po dziś dzień centralna – poślubił co najmniej trzydzieści trzy kobiety. Nie dowiemy się także, iż najmłodsza liczyła sobie zaledwie czternaście lat, a Joseph oświadczył jej, że musi zgodzić się na małżeństwo, bo w przeciwnym razie czeka ją wieczne potępienie.

Poligamia stanowiła niezwykle ważne przykazanie Kościoła. Zostało ono zapisane w rozdziale 132 Nauk i Przymierzy, jednego ze świętych pism mormonizmu[6]. Czcigodny prorok nazwał wielożeństwo „najświętszym i najważniejszym przykazaniem danym człowiekowi" i utrzymywał, że mężczyzna musi mieć przynajmniej trzy żony, by w niebie osiągnąć „pełnię wyniesienia". Bóg oświadczył: „Wszyscy ci, którym ujawniono to prawo, muszą go przestrzegać […] i jeżeli nie zachowasz tego przymierza, potępiony będziesz; bowiem nikt nie może odrzucić tego przymierza i otrzymać pozwolenie [sic] wstąpienia do mojej chwały".

Joseph zginął w roku 1844 w Illinois, zamordowany przez wrogi tłum. Władzę w Kościele objął Brigham Young, który przywiódł świętych do Wielkiej Kotliny. Tam, w jałowej, dzikiej krainie, mormoni zbudowali swoje imperium i nie zważając na nic, praktykowali przykazanie o „małżeństwie duchowym". Fakt ten szokował i rozpalał wyobraźnię ówczesnych Amerykanów, uważających poligamię za praktykę równie okrutną co niewolnictwo[7]. W roku 1856 John C. Frémont, republikański kandydat na prezydenta, próbował pozyskać głosy jej przeciwników, przyrzekając w kampanii, że „zniesie na całym terytorium te dwa barbarzyńskie przeżytki – niewolnictwo i poligamię". Wybory co prawda przegrał, ale rok później jego zwycięski rywal James Buchanan posłał do Utah wojsko, by strącić Brighama Younga z tronu.

Konflikt ten, nazywany wojną w Utah, nie zakończył się jednak odsunięciem Brighama od władzy. Nie udało się też – ku irytacji kilku następnych prezydentów USA – wykorzenić poligamii. Rząd zaczął więc podejmować kolejne działania legislacyjne i prawne, aż wreszcie w roku 1887 przyjęto ustawę Edmundsa–Tuckera. Rozwiązywała ona Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich; cały jego majątek – łącznie ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów – miał zostać skonfiskowany przez państwo. Święci znaleźli się pod ścianą. Nie mieli wyboru, musieli wyrzec się poligamii. Przywódcy Kościoła publicznie ogłosili w 1890 roku, że wielożeństwo zostaje zakazane. Po cichu jednak wysłali mormońskich osadników do Meksyku i Kanady, powierzając im misję założenia tam wspólnot poligamicznych. Ponadto niektórzy członkowie władz LDS w tajemnicy nadal brali kolejne żony i odprawiali ceremonie ślubne; proceder ten trwał przez wiele lat jeszcze w XX wieku.

Początkowo konieczność rezygnacji z wielożeństwa napawała przywódców LDS wstrętem. Z czasem jednak kierownictwo Kościoła przyjęło bardziej pragmatyczną postawę. Z poligamią zaczęto na dobre walczyć; zwracano się nawet do amerykańskich agencji rządowych, by prowadziły dochodzenia i postępowania przeciwko poligamistom. Ta zmiana w polityce kościelnej odegrała ogromną rolę w dziejach mormonizmu. LDS zawdzięcza jej swoje dzisiejsze oszałamiające sukcesy. Odkąd mormoni wyrzekli się wielożeństwa, przestali uchodzić za sektę wariatów. Ich wyznanie upodobniło się do innych na tyle skutecznie, że mormonizm traktowany jest obecnie jako religia z gruntu amerykańska.

Jednak mormońscy fundamentaliści twierdzą, że cena za wejście do mainstreamu była zbyt wysoka. Ich zdaniem przywódcy Kościoła skapitulowali przed rządem Stanów Zjednoczonych i zawarli kompromis nie do zaakceptowania: sprzedali własnych wiernych i z politycznych pobudek porzucili jedno z najważniejszych przykazań. Współcześni poligamiści uważają się więc za prawdziwych wyznawców i prawdziwych świętych. Utrzymują, że LDS zszedł na złą drogę, odkąd przestał przestrzegać nakazów zapisanych w rozdziale 132. Dlatego fundamentalistyczni prorocy grzmią z ambon, że dzisiejszy Kościół to „najpodlejsza ladacznica pod słońcem".

Wśród mormońskich fundamentalistów rozdział 132 Nauk i Przymierzy jest chyba najczęściej cytowanym fragmentem świętych pism. Drugie miejsce zajmuje najpewniej rozdział 85, w którym Josephowi Smithowi zostało objawione, co następuje: „I stanie się, że Ja, Pan Bóg, ześlę jednego potężnego i silnego […] aby uporządkować dom Boży". Wielu fundamentalistów uważa, że „jeden potężny i silny" zstąpił już między nich, „dzierżąc berło mocy w swej ręce", i że wkrótce poprowadzi mormoński Kościół z powrotem na właściwą drogę, głosząc „najświętsze i najważniejsze przykazanie" Josepha.

2

Short Creek

W Ameryce narodziło się tak wiele dziwacznych i ekstremistycznych doktryn religijnych, że w zasadzie trudno określać je mianem marginesu. Margines zakłada istnienie jakiegoś głównego nurtu, a jeśli przyjrzeć się liczbom, trzon amerykańskiej religijności nie zmienił się od czasów kolonialnych: wciąż stanowi go skrajny ewangelikalizm z silnym aspektem milenarystycznym. Temat zbliżającego się dnia sądu od zawsze odgrywał ważną rolę w amerykańskiej myśli religijnej. Zawsze trafiali się wyznawcy, którzy pragnęli uciec przed gniewem Bożym, odciąć się od Ir-Haheres, nawet za cenę konfliktu z prawem lub własną rodziną czy społecznością. […] W historii Ameryki znajdujemy mnóstwo separatystycznych grup idących za głosem samozwańczych proroków. Odrzucały one konwencjonalne praktyki w kwestii własności, seksualności i życia rodzinnego. Trzymały się na uboczu, jak choćby szejkersi, wspólnoty Ephrata, Oneida czy Amana, wyznawcy Josepha Smitha i Brighama Younga.

Philip Jenkins, *Mystics and Messiahs*

Wielki Kanion, kolosalny, długi na czterysta czterdzieści sześć kilometrów wąwóz, wije się przez Arizonę, służąc za potężną granicę naturalną, która odcina północno-zachodnią część stanu, znaną jako Arizona Strip. Dorównuje ona wielkością New Jersey, choć biegnie tamtędy tylko jedna szosa, a gęstość zaludnienia należy do najniższych na całym terytorium czterdziestu ośmiu stanów kontynentalnych.

Populacja największego miasta, Colorado City, liczy około pięciu tysięcy osób i jest kilkakrotnie wyższa niż którejkolwiek z pozostałych miejscowości w okolicy. Kierowcy podróżujący na zachód drogą stanową 389 przez spalone słońcem jałowe pustkowia płaskowyżu Uinkaret dziwią się, kiedy pięćdziesiąt kilometrów za Fredonią (populacja tysiąc trzydzieści sześć osób, drugie co do wielkości miasto Arizona Strip) nagle znikąd wyłania się Colorado City, bezładne skupisko osobliwie przerośniętych domów i małych firm, leżące u podnóża góry z cynobrowego piaskowca, zwanej górą Canaan. Ogromna większość mieszkańców to mormońscy fundamentaliści, którzy osiedlili się na tym skrawku pustyni, gdyż pragnęli w spokoju praktykować świętą doktrynę wielożeństwa, bez ingerencji ze strony rządu i Kościoła LDS.

Colorado City, położone na granicy stanów Utah i Arizona, to miasto co najmniej trzech sekt mormońskich, w tym tej największej: Fundamentalistycznego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (Fundamentalist Church of Jesus Christ of Latter-Day Saints, FLDS), znanego szerzej pod nazwą United Effort Plan (UEP). Wierni muszą podporządkować się przykazaniom dziewięćdziesięciodwuletniego starca, proroka (a niegdyś księgowego) nazwiskiem Rulon T. Jeffs[8]. „Wuj Rulon” – jak mówią na niego wyznawcy – uważa się za kolejne ogniwo w łańcuchu proroków powołanych przez Pana, od samego Josepha Smitha począwszy. Mieszkańcy Colorado City wierzą, że mimo wątłej postury Wuj Rulon to „jeden potężny i silny”, którego nadejście przepowiadał Joseph w 1832 roku.

– Wielu jest przekonanych, że Wuj Rulon będzie żył wiecznie – mówi DeLoy Bateman, czterdziestoośmioletni nauczyciel przedmiotów ścisłych w Colorado City High School.

DeLoy jest potomkiem najważniejszych członków sekty. Jego prapradziadek i pradziadek znaleźli się w gronie trzynastu założycieli Fundamentalistycznego Kościoła Mormońskiego. Przyszywany dziadek LeRoy Johnson był prorokiem, bezpośrednim poprzednikiem Wuja Rulona. DeLoy siedzi teraz za kierownicą swojego chevroleta, mocno używanego vana, toczącego się po ubitej drodze na obrzeżach

miasta. Z tyłu jedzie jego żona i ośmioro z siedemnaściorga dzieci. Nagle DeLoy hamuje i zjeżdża na pobocze.

– O, mamy tu coś interesującego – mówi, przyglądając się zdezelowanej antenie satelitarnej, która wala się za bylicą rosnącą nieopodal drogi. – Wygląda na to, że ktoś musiał się pozbyć telewizora. Wywiózł go z miasta i tu wywalił.

Wyznawcy, tłumaczy DeLoy, mają zakaz oglądania telewizji oraz czytania gazet.

– Ale starczy ludziom czegoś zabronić, a od razu nabierają na to ochoty. Wymykają się więc do St. George albo Cedar City, kupują anteny satelitarne, umieszczają je w takim miejscu, żeby nie rzucały się w oczy, i każdą wolną chwilę spędzają przed telewizorem. Aż którejś niedzieli Wuj Rulon wygłasza kazanie o tym, jak zła jest telewizja. Mówi, *że dokładnie wi*e, kto ma antenę, i że dusze tych ludzi są w niebezpieczeństwie. Za każdym razem sporo anten takich jak ta tutaj ląduje potem na pustyni. Przez dwa, może trzy lata w mieście nie będzie telewizorów. Później stopniowo zacznie ich przybywać, aż do następnego kazania. Wszyscy starają się żyć cnotliwie, ale w końcu są tylko ludźmi.

Przykład ten pokazuje, że Colorado City przypomina Kabul pod rządami talibów. Słowo Wuja Rulona ma moc prawa. Burmistrz i wszyscy pracownicy miasta muszą mu się podporządkowywać; to samo dotyczy policjantów i dyrektorów szkół. A także zwierząt. Po tym jak dwa lata temu rottweiler zagryzł w okolicy dziecko, ukazał się edykt zakazujący trzymania psów w granicach miasta. Wszystkie psy zostały więc wyłapane przez specjalny oddział młodych chłopaków, zapędzone nad rzekę i zastrzelone.

Wuj Rulon – jak się szacuje – poślubił około siedemdziesięciu pięciu kobiet i spłodził przynajmniej sześćdziesięcioro pięcioro dzieci. Będąc już po osiemdziesiątce, brał za żony czternasto- i piętnastoletnie dziewczynki. W swoich kazaniach często podkreśla konieczność absolutnego podporządkowania. „Pragnę wam dziś powiedzieć, że największą wolność daje służba – nauczał. – Gorliwe posłuszeństwo rodzi wiarę doskonałą". Jak większość proroków FLDS, odwołuje się do płomiennych elaboratów Josepha Smitha i Brighama Younga. Chętnie przypomina przestrogi Brighama, że są grzechy, dla których wprost brak słów – na przykład homoseksualizm lub obcowanie płciowe z osobą czarnoskórą – a karą za nie będzie „natychmiastowa śmierć, zgodnie z prawem boskim".

Poligamia jest zakazana i w Utah, i w Arizonie. Mężczyźni z Colorado City obchodzą ten zakaz, biorąc formalny ślub tylko z pierwszą żoną – wszystkie kolejne są im „poślubione duchowo". Ceremonie odprawia Wuj Rulon. Kobiety te, z punktu widzenia prawa, mają status samotnych matek. Jest to nader korzystne, dzięki temu bowiem ogromne rodziny zamieszkujące Colorado City są uprawnione do zasiłków i innych świadczeń socjalnych. Wuj Rulon i jego wyznawcy uważają co prawda Stany Zjednoczone za wielkiego szatana, który pragnie zniszczyć ich Kościół i wspólnotę, niemniej co roku dostają z publicznej kasy ponad sześć milionów dolarów. Okręg szkolny Colorado City otrzymuje od państwa ponad cztery miliony. Zdaniem gazety „Phoenix New Times" trafiają one „przede wszystkim do Kościoła FLDS i kieszeni urzędników odpowiedzialnych za oświatę, związanych z Kościołem". Dziennikarz John Dougherty ustalił, że administracja szkolna „przywłaszczyła sobie tysiące dolarów, płacąc służbowymi kartami kredytowymi za osobiste wydatki. Kupują drogie samochody, sporo wydają na podróże. W grudniu 2002 roku z pieniędzy okręgu szkolnego nabyto samolot Cessna 210 za kwotę dwustu dwudziestu tysięcy dolarów, rzekomo po to, by ułatwić przedstawicielom administracji podróże służbowe do innych miast w Arizonie".

Colorado City dostało ponadto milion dziewięćset tysięcy dolarów od Departamentu Mieszkalnictwa

i Rozwoju Miast na poprawę stanu chodników, wodociągów i lokalnej straży pożarnej. Zaraz za południową granicą miasta rząd zbudował lotnisko za dwa miliony osiemset tysięcy dolarów – korzystają z niego prawie wyłącznie członkowie fundamentalistycznej sekty. W roku 2002 siedemdziesiąt osiem procent obywateli Colorado City mieszkających po stronie należącej do Arizony otrzymywało bony żywnościowe. Ogółem miasto dostaje osiem razy więcej, niż płaci w ramach podatków. Dla porównania: w pozostałej części hrabstwa Mohave w Arizonie jest to tylko dwa razy więcej.

– Wuj Rulon potrafi wyjaśnić, dlaczego otrzymujemy całe to wsparcie od naszego straszliwego rządu: mówi, że w rzeczywistości pieniądze pochodzą od Boga – tłumaczy DeLoy Bateman. – Niby że Bóg manipuluje systemem, by zadbać o swój wybrany lud.

Fundamentaliści uważają defraudowanie publicznych funduszy za słuszne i sprawiedliwe. Czekają, aż „bestia się wykrwawi".

Wuj Rulon i jego wyznawcy twierdzą, że świat powstał siedem tysięcy lat temu. Nie wierzą, że człowiek stanął na Księżycu (filmy z lądowania Apollo 11 na Srebrnym Globie to rzekoma fabrykacja amerykańskiego rządu). Nie mają prawa oglądać telewizji, czytać gazet ani utrzymywać kontaktów z osobami spoza FLDS, a zwłaszcza z apostatami.

Tak się składa, że do apostatów należy też DeLoy. Wraz ze swoją ogromną rodziną mieszka w domu o powierzchni tysiąca pięciuset metrów kwadratowych (typowy amerykański dom z trzema sypialniami jest pięć razy mniejszy). Zbudował go sam, w centrum miasta. Brat DeLoya, David, mieszka w równie potężnym domu zaraz za płotem.

– Mój brat i ja – mówi DeLoy, wskazując podbródkiem w tamtą stronę – jesteśmy ze sobą bliżej niż ktokolwiek. Kiedy byliśmy mali, nasz ojciec został inwalidą, toteż David i ja musieliśmy wychowywać siebie nawzajem. Ale teraz jemu nie wolno się ze mną kontaktować, bo nie należę już do Kościoła. Jeśli jego żona przyłapie nas na rozmowie, odejdzie i zabierze wszystkie dzieci. Wuj Rulon zaraz ożeni ją z jakimś innym mężczyzną, a David zostanie, jak to mówią miejscowi, „eunuchem", człowiekiem, który co prawda może być wyznawcą, ale któremu odebrano rodzinę. To samo powinno było spotkać mnie, kiedy opuściłem Dzieło.

Dawniej DeLoy należał do porządnych i poważanych członków Kościoła. Nigdy nie tknął alkoholu ani kawy, nie zapalił papierosa, nie przeklinał. Był gorliwy i posłuszny, nie sprawiał kłopotów. Aż nagle, w 1996 roku, krewni jego drugiej żony zaczęli rozsiewać na jego temat obelżywe plotki. Dotarły one do uszu proroka i w rezultacie, jak z żalem opowiada DeLoy, „Wuj Rulon wezwał mnie do siebie i oznajmił, że krążą różne oskarżenia pod moim adresem".

– Potwornie się gniewał. Wpadł w taki szał, że dosłownie aż się zapluwał i trząsł. W takich sytuacjach należy powiedzieć: „Przepraszam, żem cię uraził. Powiedz, proszę, cóż mam teraz czynić". Ale tamtego dnia zupełnie nie mogłem się na to zdobyć. Słowa nie chciały przejść mi przez gardło. W tym, o co mnie oskarżał, nie było ani odrobiny prawdy. Nachyliłem się więc do niego, nasze twarze dzieliło dosłownie kilka centymetrów, i bardzo spokojnym, łagodnym głosem powiedziałem: „Wuju Rulonie, wszystko, co mówisz, to kłamstwo, całkowite kłamstwo". Był w takim szoku, że aż go wbiło w fotel. Nigdy nikt się tak wobec niego nie zachował.

Dopiero po powrocie do domu DeLoy zrozumiał, jak nieprawdopodobną rzecz uczynił.

– Wuj Rulon nieustannie rozmawiał z Bogiem. Cała jego mądrość i wiedza miały rzekomo pochodzić od Boga. A ja w jednej chwili zrozumiałem, że gdyby tak było, zdawałby sobie sprawę, że jego

oskarżenia to zupełne brednie. Właśnie wtedy zdecydowałem się opuścić Kościół, chociaż miałem świadomość, że oznacza to koniec mojego dotychczasowego życia.

W najbliższą niedzielę DeLoy nie pojawił się na cotygodniowym spotkaniu kapłanów. Wuj Rulon natychmiast wysłał do jego domu swoich ludzi, żeby zabrali żony i dzieci DeLoya. Według zasad panujących w UEP żony nie należą do mężów, a dzieci do rodziców – są własnością kapłanów i w każdej chwili mogą zostać odebrane krewnym. Wuj Rulon zadekretował, że żony i potomstwo DeLoya natychmiast powinny trafić do innego, godniejszego mężczyzny.

Żadna z dwóch żon DeLoya nie zgodziła się go jednak opuścić. Wuj Rulon nie posiadał się ze zdumienia.

– Kapłani są o wiele ważniejsi niż rodzina czy cokolwiek innego – tłumaczy DeLoy. – A tu moje żony sprzeciwiły się woli Wuja Rulona i zostały ze mną, choć wiedziały, że pójdą za to do piekła. Rzecz zupełnie niesłychana.

W ten sposób obie kobiety i wszystkie dzieci – z wyjątkiem trójki najstarszych – zostały apostatami.

W Colorado City wiernym wpaja się, że apostaci są gorsi od innowierców, a nawet od mormonów głównego nurtu[9]. 16 lipca 2000 roku biskup Warren Jeffs (syn Wuja Rulona, szykowany do przejęcia władzy w Kościele) oświadczył, że apostata „to najczarniejsza istota na świecie", gdyż „odwraca się od Kościoła i od siebie samego, a prowadzi go nowy pan: Lucyfer. […] Apostaci są narzędziem Szatana".

Po tym jak DeLoy odszedł z FLDS, jego krewnym zakazano utrzymywania z nim, jego żonami i dziećmi wszelkich kontaktów. Mimo że sam wybudował i spłacił swój dom, UEP ma wszystkie grunty na terenie miasta, również działkę DeLoya, toteż Wuj Rulon i UEP wystąpili na drogę prawną, by przejąć nieruchomość. Obecnie starają się wyeksmitować DeLoya z Colorado City.

To nie przypadek, że Colorado City leży z dala od innych miast. W trzeciej dekadzie XX wieku kilka rodów wyznających fundamentalistyczny mormonizm osiedliło się tu, by swobodnie praktykować najświętsze przykazanie Josepha Smitha, i nazwało ją Short Creek. W latach pięćdziesiątych populacja przekraczała już czterysta osób. Fakt ten niepokoił rząd oraz władze Kościoła LDS w Salt Lake City, toteż gubernator Arizony Howard Pyle postanowił rozprawić się z poligamistami (skądinąd przy wsparciu finansowym świętych)[10]. 26 lipca 1953 roku (osiem miesięcy przed przyjściem na świat DeLoya Batemana) setka funkcjonariuszy policji stanowej, czterdziestu zastępców szeryfa z hrabstwa oraz dziesiątki ochotników Gwardii Narodowej Arizony urządzili przed świtem obławę w Short Creek i aresztowali sto dwadzieścia dwie osoby praktykujące poligamię. Wśród zatrzymanych znalazł się także ojciec DeLoya. Dwieście sześćdziesięcioro troje dzieci wywieziono do oddalonego o ponad sześćset kilometrów Kingman w Arizonie i umieszczono w sierocińcach.

Gubernator Pyle wygłosił długie, starannie przygotowane oświadczenie. Mówił o „niesłychanie ważnej operacji policyjnej przeciwko siłom antyrządowym na terenie Arizony".

> Przywódcy tego ruchu, gwałcącego nasze prawa, otwarcie i z całą bezczelnością grali na nosie urzędnikom hrabstwa Mohave w przekonaniu, że stan Arizona nie może im nic zrobić.
>
> Schronili się, jak wiecie, na trudno dostępnym terenie, na północy naszego stanu […], w regionie znanym pod nazwą „Arizona Strip" za Wielkim Kanionem.
>
> To kraina płaskowyżów, nieprzebytych lasów, głębokich wąwozów i przepaści oraz jałowej ziemi o intensywnej barwie […], wciśnięta między Wielki Kanion a wyżynne terytorium Utah.
>
> Najkrótsza droga z Short Creek do Kingman, siedziby hrabstwa Mohave, liczy czterysta mil […].
>
> Na północ od niewielkiej głównej ulicy Short Creek wznoszą się potężne skały, stanowiące naturalną barierę. Od wschodu i zachodu

mamy ogromne połacie suchej, jałowej ziemi. Dalej ciągną się lasy. Na południu granicę stanowi Wielki Kanion.

Właśnie w tym najbardziej odciętym od świata zakątku Arizony zawiązał się i w przerażającym tempie rozkwitł ohydny spisek. Cała społeczność przyjęła spaczoną filozofię, wedle której garstka chciwych i chutliwych mężczyzn ma sprawować pełną władzę nad wszystkimi mieszkańcami.

Oto społeczność – w której wiele kobiet stanęło niestety po stronie mężczyzn – uparcie wyznająca parszywe przekonanie, jakoby dziewczynki u progu dojrzewania należało oddawać w niewolę poligamii i przeznaczać na żony dla nierzadko znacznie starszych mężczyzn oraz zmuszać do rodzenia dzieci, stanowiących jedyny „majątek" tej bandyckiej szajki.

Dzień po obławie gazeta „Deseret News", organ Kościoła LDS, pisała w artykule redakcyjnym: „Utah i Arizona mają duży dług wdzięczności u gubernatora Howarda Pyle'a. […] Liczymy, że przykre zjawiska zachodzące w Short Creek wypleniono raz na zawsze".

Sprawa trafiła również do prasy krajowej, nawet na pierwszą stronę „New York Timesa", obok artykułu poświęconego zawieszeniu broni kończącemu wojnę koreańską. Jednak ku rozpaczy przywódców LDS większość gazet przedstawiała poligamistów w korzystnym świetle. Zdjęcia płaczących dzieci wyrywanych matkom z objęć wzbudziły powszechne współczucie dla fundamentalistów, którzy tymczasem powtarzali, że są porządnymi mormonami, przestrzegają prawa i domagają się swobód gwarantowanych im przez konstytucję.

Fundamentaliści zdobyli poparcie niemałej części opinii publicznej, obławę zaś krytykowano jako przejaw prześladowań religijnych. „Arizona Republic" pisała o „marnowaniu publicznych pieniędzy". Rok później gubernator Pyle przegrał wybory. Aresztowania i procesy sądowe kosztowały podatników sześćset tysięcy dolarów, lecz już w roku 1956 wszyscy poligamiści znajdowali się na wolności i wrócili do swoich rodzin w Short Creek. Nie przestali też stosować się do przykazania Josepha Smitha, a populacja miasta podwajała się co dekadę za sprawą astronomicznej liczby dzieci przychodzących na świat.

Obława w Short Creek okazała się więc paradoksalnie darem z niebios dla Kościoła FLDS. Dzięki społecznemu oburzeniu na działania władz przez kolejne pięćdziesiąt lat fundamentaliści od Sierra Nevada po Góry Skaliste mogli bez większych przeszkód oddawać się wielożeństwu – dopóki pewnego majowego dnia w 1998 roku pobita i ciężko posiniaczona nastolatka nazwiskiem Mary Ann Kingston nie zadzwoniła pod numer alarmowy 911 z budki telefonicznej w zajeździe dla ciężarówek w północnym Utah.

Historia Mary Ann była bardzo dramatyczna. Kiedy skończyła szesnaście lat, jej ojciec, biznesmen John Daniel Kingston, wypisał ją ze szkoły i zmusił, by została piętnastą żoną jego brata Davida Ortella Kingstona. Wuj był od niej dwa razy starszy. John Daniel, David Ortell i Mary Ann należą do tak zwanego klanu Kingstonów, liczącej tysiąc dwieście osób sekty mormońskich fundamentalistów z hrabstwa Salt Lake. Jej oficjalna nazwa to Kościół Chrystusa w Dniach Ostatnich. Sekta działa w tajemnicy. Obecnie przywództwo sprawuje Paul Kingston, prawnik, który pojął za żonę co najmniej dwadzieścia pięć kobiet i spłodził dwie setki dzieci.

Kingstonowie prowadzą firmy co najmniej w pięciu zachodnich stanach. Tworzą one sieć powiązanych ze sobą korporacji i spółek komandytowych, których łączna wartość szacowana jest na minimum sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Mimo to wiele spośród żon i dzieci Kingstonów żyje w ubóstwie i pobiera zasiłki. Większość członków sekty musi pracować ponad sześćdziesiąt godzin tygodniowo za płacę minimalną w firmach należących do klanu. Pensja nie jest im wypłacana – wszystkie pieniądze trafiają na jedno konto bankowe, wyznawcy natomiast otrzymują specjalne bony, pozwalające robić zakupy w wybranych sklepach (które również są prowadzone przez sektę). Ponadto od wynagrodzenia

odliczane są czynsze, długi i obowiązkowa dziesięcina. Według artykułu autorstwa Jennifer Gallagher i Susan Snyder opublikowanego w „The Salt Lake Tribune" przywództwo sekty „głosi ewangelię apokalipsy, wmawia członkom, że żaden z nich nie trafi do nieba, jeśli jego córka nie poślubi jednego z przywódców klanu, oraz kontroluje wszystkie elementy życia wyznawców – istnieją nawet specjalne instrukcje, jak należy płukać kartony po mleku lub ile szamponu wolno zużywać".

Wiele odłamów fundamentalistycznego mormonizmu praktykuje kazirodztwo. U Kingstonów jest ono na porządku dziennym. Przywódcy klanu twierdzą, że pozwala to „oczyścić" krew rodową. W konsekwencji sporo dzieci przychodzi na świat z rozmaitymi chorobami genetycznymi. Genealożka Linda Walker mówi, że niekiedy kobiety należące do klanu rodzą „grudkę protoplazmy" i że często „przechodzą osiem lub dziewięć ciąż kończących się poronieniem. Rzecz jasna, przywódcy klanu obarczają winą właśnie kobiety i przedstawiają poronienia jako karę za grzechy".

Szesnastoletnia Mary Ann Kingston została więc wbrew własnej woli wydana za mąż za swojego stryja Davida Ortella Kingstona. Dwukrotnie bez powodzenia próbowała ucieczki. Za drugim razem szukała schronienia u matki, która natychmiast zawiadomiła Johna Daniela Kingstona. Ten zawiózł Mary Ann na rancho na odludziu niedaleko granicy stanów Utah i Idaho, wykorzystywane przez klan jako „obóz reedukacyjny" dla krnąbrnych żon i nieposłusznych dzieci. Zaprowadził dziewczynę do stodoły, rozpiął pas i brutalnie ją wychłostał, kalecząc pośladki, uda i plecy. Zeznając później przed sądem, Mary Ann powiedziała, że ojciec krzyczał, iż „za każdy zły uczynek należy się dziesięć pasów".

Po wymierzeniu kary John Daniel odjechał. Mary Ann uciekła z rancza i przekuśtykała osiem kilometrów po drodze gruntowej, aż w końcu trafiła na stację benzynową i wezwała policję. John Daniel i David Ortell zostali aresztowani i skazani w głośnych procesach. John Daniel dostał wyrok dwudziestu ośmiu tygodni więzienia za znęcanie się nad dzieckiem. Davida Ortella sąd skazał na dziesięć lat w więzieniu stanowym w Utah za kazirodztwo i dopuszczenie się czynności seksualnych z osobą nieletnią, ale po czterech latach wypuszczono go na wolność za dobre sprawowanie. W sierpniu 2003 roku Mary Ann Kingston wystosowała pozew cywilny przeciwko dwustu czterdziestu dwóm członkom klanu, domagając się stu dziesięciu milionów dolarów odszkodowania „za wszystkie wyrządzone krzywdy".

Wskutek całej sprawy mormońscy fundamentaliści znów stali się obiektem niewygodnego zainteresowania opinii publicznej. Niepokój mieszkańców Colorado City wzmógł się jeszcze bardziej w kwietniu 2000 roku, kiedy inny poligamista z Utah, Thomas Arthur Green, został oskarżony o bigamię oraz zgwałcenie dziecka. O ile proces Kingstonów trafił na pierwsze strony gazet tylko w Utah, o tyle postępowanie przeciwko Greenowi przerodziło się – głównie za sprawą jego samego – w wielki spektakl, opisywany w prasie od Seattle po Miami.

Pięćdziesięcioczteroletni Tom Green to gruby, brodaty, łysiejący mężczyzna, ojciec trzydziestki dwójki dzieci i mąż pięciu kobiet. (Łącznie miał co najmniej dziesięć żon, ale wszystkie pozostałe go porzuciły). Najstarsza z nich jest od niego młodsza o dwadzieścia dwa lata. Ogromna rodzina od dawna mieszka w zrupieciałych przyczepach kempingowych na dziesięciu akrach pustyni w Snake Valley w hrabstwie Juab, daleko w stronę granicy z Nevadą, sto sześćdziesiąt kilometrów od najbliższej asfaltowej szosy. Green nadał swojemu małemu królestwu skromną nazwę Greenhaven, czyli Zielona Przystań.

Wielu poligamistów świadomie unika zwracania na siebie uwagi. Greena natomiast dręczy niezaspokojony głód sławy. On i jego żony wiele razy opowiadali w prasie o swoim życiu, występowali

też w telewizji, między innymi w programach *Judge Judy*, *The Jerry Springer Show*, *The Queen Latifah Show*, *Sally* oraz w *Dateline* NBC. Green wyjaśniał w publicznym oświadczeniu, że udziela się w mediach, odkąd „pewnego ranka usłyszałem głos mówiący: »Nie stawiaj światła pod korcem, niech świeci twoje światło przed ludźmi, aby widzieli twoje dobre uczynki i chwalili Ojca twojego, który jest w niebie«. Powiedziałem żonom, że Bóg pragnie, abyśmy dowiedli światu, że wielożeństwo jest dobre. […] Nie wstydzimy się naszych poglądów i ani trochę nie wstydzimy się naszej rodziny. […] Chcemy, aby ludzie pojęli, że poligamiści nie stanowią zagrożenia. Nie jesteśmy fanatykami, nie jesteśmy przestępcami".

Na nieszczęście dla Greena pewnego wieczora w 1999 roku David O. Leavitt, prokurator hrabstwa Juab i brat gubernatora Utah Mike'a Leavitta, włączył telewizor i zobaczył, jak Green z dumą prezentuje swoje młode żony w programie *Dateline* NBC. Leavitt od dawna wiedział o istnieniu poligamicznej kolonii Greena. Po występie w telewizji miarka się przebrała. W dzieciństwie przyjaźnił się z dziećmi z poligamicznych rodzin. Jego własny pradziadek miał kilka żon. W roku 1993 Leavitt, świeżo upieczony absolwent prawa, pracował jako obrońca z urzędu i zdarzyło mu się bronić poligamisty – wygrał sprawę, argumentując, że swobody religijne gwarantowane przez amerykańską konstytucję mają wyższą moc niż przepisy zakazujące wielożeństwa.

A potem zobaczył, jak Green przechwala się w ogólnokrajowej telewizji, że poślubił wszystkie swoje żony, kiedy były jeszcze dziewczynkami. Jedna z nich zaszła w ciążę w wieku trzynastu lat (Green liczył sobie wówczas lat trzydzieści siedem). Przepisy stanu Utah traktują seks z trzynastolatką jako zbrodnię (w prawniczym rozumieniu tego terminu). „Na pierwszy rzut oka Tom Green nie wydawał się szczególnie złowrogą postacią – mówił Leavitt w wywiadzie z Pauline Arrillagą z Associated Press w listopadzie 2000 roku. – A to przecież człowiek, który podporządkowuje sobie trzynastoletnie, czternastoletnie dziewczynki, gwałci je, pozbawia je możliwości chodzenia do szkoły, żeni się z nimi, robi im dzieci i domaga się, by stan płacił na nie zasiłki". Pięć miesięcy po emisji programu *Dateline* Leavitt wniósł akt oskarżenia przeciwko Greenowi.

Green utrzymywał rodzinę z zasiłków socjalnych. Śledczy z prokuratury generalnej Utah ustalili, że między 1989 a 1999 rokiem Green i członkowie jego gospodarstwa domowego otrzymali łącznie ponad 647 tysięcy dolarów z kasy stanowej i federalnej, w tym bony żywnościowe o wartości 203 tysięcy dolarów oraz usługi medyczne i dentystyczne o wartości przekraczającej 300 tysięcy. Gdyby prokuratorzy mieli dostęp do odpowiednich akt rządowych sięgających roku 1985 (kiedy Green zaczął praktykować poligamię), mogliby dowieść, że łącznie dostał ponad milion dolarów.

Linda Kunz Green ma teraz dwadzieścia osiem lat, ale za Toma Greena wyszła jako trzynastolatka. Utrzymuje, że Green nie zrobił nic złego, i nie chce być uważana za ofiarę. Jest szczęśliwa jako jedna z wielu żon. Sama zresztą nalegała na ślub. Leavitt ma na to odpowiedź: Linda padła ofiarą zjawiska określanego przez psychologów mianem syndromu sztokholmskiego. Zakładnik utożsamia się z porywaczem, a po uwolnieniu broni go i usprawiedliwia. „W rzeczywistości Linda Green nigdy nie miała szansy dokonać wyboru", mówi Leavitt.

Jedną z żon Greena była matka Lindy Kunz, Beth Cooke, która zresztą później od niego odeszła. (Green miał w sumie dziesięć żon. Siedem z nich – w tym wszystkie, z którymi obecnie żyje – to jego pasierbice. Najstarsza w czasie nocy poślubnej miała szesnaście lat). Cooke wychowywała się w poligamicznej rodzinie w Short Creek. Podczas obławy z 1953 roku przyglądała się, jak policja hrabstwa Mohave

aresztuje jej ojca i trzydziestu innych mężczyzn. Miała wtedy dziewięć lat. Trzy lata później została siódmą żoną swojego ojczyma, Warrena „Elmera" Johnsona (który był bratem proroka LeRoya Johnsona).

Potem Elmer Johnson umarł. Cooke znów została wydana za mąż, lecz mąż ją opuścił. Pewnego dnia w 1984 roku podczas spotkania szkółki niedzielnej, na które poszła ze swoimi dwiema córkami, przedstawiono jej Toma Greena. „Zwróciłam na niego szczególną uwagę – wspominała Cooke w wywiadzie z Carolyn Campbell – bo moja przyjaciółka poznała go jakiś czas wcześniej i twierdziła, że w życiu nie widziała brzydszego faceta". Cooke nie zgodziła się z tą opinią. Green (młodszy od niej o cztery lata) wydał się jej przystojny i niezwykle inteligentny. Zaimponowało jej też, z jak niezwykłą pewnością siebie zdominował spotkanie.

Green umówił się z Cooke na randkę. Kiedy się spotkali, oświadczył, że zamierza się z nią ożenić. Nie zwlekał długo z wprowadzeniem słowa w czyn. Młoda para spędziła miesiąc miodowy w Bountiful w południowo-wschodniej części Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie, gdzie poligamiści z UEP mają swoją kolonię.

Rok później Cooke dostrzegła, że jej trzynastoletnia córka Linda Kunz „żywi pewne uczucia" do Greena. Linda chętnie siadała na kolanach ojczyma i „długo się do niego przytulała". Nie przestawała o nim mówić, aż w końcu poprosiła matkę o zgodę na ślub. Cooke pobłogosławiła związek. Tak oto w styczniu 1986 roku Linda wyszła za Toma Greena w Los Molinos, przyczółku poligamistów na Półwyspie Kalifornijskim w Meksyku. „Radowało mnie, że Linda jest szczęśliwa. Sama przecież chciała ślubu – opowiadała potem Cooke. – Chętnie dzieliłam z nią mężczyznę, którego kochałam i który był wyjątkową osobą w moim życiu". Linda Kunz Green zaszła w ciążę, zanim jeszcze skończyła czternaście lat.

Choć Beth Cooke opuściła potem Greena, wciąż broni decyzji córki. W wywiadzie udzielonym Campbell w 2001 roku mówiła: „Minęło piętnaście lat. Sądzę, że czas dowiódł, iż córka dobrze wybrała. […] Teraz wnieśli oskarżenie przeciwko Tomowi. To wszystko dziewiętnastowieczna moralność. Od dawna nie ma już znaczenia, kto z kim sypia. W końcu mówimy o dorosłych ludziach, których nikt do niczego nie zmusza. Mnóstwo lesbijek, homoseksualistów i singli żyje ze sobą. Są ludzie, którzy mają mężów albo żony, a mieszkają z innymi".

David Leavitt nie uważa, by poligamię Greena należało traktować jako przejaw swobód religijnych lub nieszkodliwy, dobrowolny związek dorosłych osób. Zdaniem Leavitta Green to pedofil. Koniec kropka. „Jego ofiarami były małe dziewczynki, które od kołyski przygotowywano do poligamii – mówił Leavitt w sierpniu 2002 roku w wywiadzie z Holly Mullen, reporterką z „Salt Lake Tribune". – Ukradł im dzieciństwo. Pewnego razu zobaczyłem zdjęcie Greena i jego żon. Wtedy to do mnie dotarło. Ojcowie od dzieciństwa powtarzali tym pięciu kobietom, że ich obowiązkiem jest jak najwcześniej wyjść za mąż. Są one ofiarami pedofilii, są ofiarami stanu Utah, w którym od sześćdziesięciu lat odwracamy wzrok i próbujemy nie dostrzegać problemu.

Leavitt przekonał przysięgłych. W sierpniu 2001 roku Green został uznany za winnego czterech zarzutów bigamii oraz jednego zarzutu uchylania się od obowiązku opieki. Skazano go na pięć lat więzienia oraz grzywnę w wysokości 78 868 dolarów.

Rok później Leavitt wniósł kolejne oskarżenie przeciwko Greenowi, tym razem z jeszcze poważniejszego paragrafu, chodziło bowiem o seks z osobą nieletnią. Groziło za to dożywocie, Green miał jednak szczęście. Został co prawda skazany za dopuszczenie się czynności seksualnej

z trzynastoletnią Lindą Kunz, ale sędzia wymierzył minimalną karę dożywocia z prawem ubiegania się o zwolnienie warunkowe po pięciu latach, na poczet której zaliczono poprzedni pięcioletni wyrok za bigamię.

Łagodny wyrok oburzył wielu mieszkańców Utah. Dwa dni po jego ogłoszeniu artykuł redakcyjny opublikowany w „Spectrum", dzienniku wydawanym w St. George, przyczółku Kościoła LDS położonym niecałe sześćdziesiąt kilometrów od Colorado City, zaczynał się następującymi słowami:

> We wtorek, podczas ogłaszania wyroku w procesie niesławnego poligamisty Toma Greena, przegrali podatnicy i co ważniejsze, przegrały dzieci.
>
> Poligamii często towarzyszy pranie mózgu przed „ślubem" i później, zwłaszcza gdy chodzi o nieletnie dziewczynki. Wmawia się im, że związek poligamiczny to jedyna droga do zbawienia, a potem wydaje się je za mąż za mężczyzn z reguły dwakroć od nich starszych.
>
> Bez kontekstu małżeństw duchowych nie byłoby żadnej debaty na temat owych aktów pedofilii. […]
>
> Mężczyzna dopuścił się czynności seksualnych z trzynastoletnią dziewczynką, ale w zasadzie nie poniesie kary.

Również David Leavitt czuł się rozczarowany. „Od pięćdziesięciu lat mieszkańcy stanu Utah nie potrafią zrozumieć, jak dramatyczne skutki dla młodych dziewcząt ma poligamia", mówił. Dostrzegał jednak pewną zmianę nastawienia opinii publicznej. „Kości zostały rzucone. Z czasem nasza społeczność pojmie, że poligamia to krzywda dzieci, krzywda kobiet, krzywda nas wszystkich".

Leavitt pokonał Greena w sądzie, czym zaskarbił sobie uznanie Kościoła LDS i prasy, ale – podobnie jak gubernator Arizony Howard Pyle, który przegrał wybory wskutek zorganizowania obławy w Short Creek w 1953 roku – nie znalazł poparcia dla swojej krucjaty wśród zwykłych ludzi. W listopadzie 2002 roku wyborcy z hrabstwa Juab opowiedzieli się za innym kandydatem na stanowisko prokuratora okręgowego.

Od kiedy skazano Kingstonów, zanim jeszcze Tom Green pierwszy raz stanął przed sądem, mormońscy fundamentaliści głosili, że są ofiarami prześladowań religijnych. Po ich stronie stanęły Amerykański Związek na rzecz Swobód Obywatelskich oraz organizacje walczące o prawa osób homoseksualnych. Był to osobliwy i niezbyt komfortowy alians. FLDS uważa homoseksualizm za poważny grzech, złamanie prawa Bożego i naturalnego, co winno się karać śmiercią. Geje i poligamiści zwarli jednak szeregi, nie chcieli bowiem dopuścić, aby rząd ingerował w to, co dzieje się za drzwiami sypialni. Po drugiej stronie barykady zawiązał się paradoksalny sojusz radykalnych feministek i skrajnie szowinistycznego Kościoła LDS, domagający się intensywniejszej walki z wielożeństwem[11].

Za sprawą zainteresowania mediów poligamiści zostali zmuszeni do wyjścia z cienia. Wciąż powtarzali, że chcą jedynie żyć zgodnie z własnymi przekonaniami, co gwarantuje im konstytucja. „Nikomu nic do tego, co robimy w zaciszu własnych domów – mówi Sam Roundy, poligamista i komendant policji w Colorado City. – Nie naruszamy niczyich praw. Dlaczego nie pozwala nam się praktykować naszej religii?"

Ale poligamia jest przestępstwem, policja ma natomiast obowiązek pilnować przestrzegania prawa. Roundy na własnej skórze odczuł konflikt wartości, gdy 6 lutego 2002 roku dziewiętnastoletnia Ruth Stubbs, trzecia żona Rodneya Holma, funkcjonariusza policji w Colorado City, uciekła z miasta, zabierając ze sobą dwójkę dzieci, po czym przed kamerami telewizji w Phoenix oskarżyła męża o stosowanie przemocy, poligamię zaś nazwała praktyką z gruntu opresyjną.

Kiedy Ruth chodziła do szóstej klasy, zabrano ją ze szkoły. Krótko po szesnastych urodzinach została wezwana przed oblicze Wuja Rulona i jego syna Warrena Jeffsa, którzy poinformowali ją, że następnego dnia ma wziąć ślub z Rodneyem Holmem, przystojnym, małomównym mężczyzną, dwa razy od niej

starszym. Ruth od zawsze pragnęła wyjść za mąż za chłopca w swoim wieku. Próbowała wykręcić się od małżeństwa, poprosiła o czas do namysłu. Jej siostra Suzie Stubbs – jedna z dwóch żon Holma – zwymyślała ją wtedy od suk: „Jak możesz robić coś takiego Rodowi?”. Wskutek nacisków Suzie Ruth musiała w końcu ulec.

„Powiedzieli mi, za kogo mam wyjść za mąż – opowiadała po ucieczce z Colorado City. – Uważam, że kobieta powinna sama decydować o swoim życiu”. Holm nie tylko złamał prawo, dopuszczając się poligamii. Odbywał też czynności seksualne z Ruth, gdy ta w świetle prawa była osobą poniżej wieku przyzwolenia.

Policja z Colorado City do tej pory nie ukarała jednak Holma, który zachowuje się, jakby to on był ofiarą. Przy wsparciu prawników UEP Rodney Holm stara się obecnie o prawo do opieki nad dziećmi Ruth, żeby „zostały wychowane w zgodzie z zasadami FLDS”, tak samo jak pozostała osiemnastka jego potomstwa.

W październiku 2002 roku prokurator generalny Utah wystosował przeciwko Holmowi akt oskarżenia, w którym mowa była o dwukrotnym dopuszczeniu się bigamii i dwukrotnym dopuszczeniu się czynności seksualnych z osobą nieletnią – Ruth. Wkrótce jednak pojawiła się nieoczekiwana trudność. W listopadzie Ruth Stubbs wystosowała do sądu pisemne oświadczenie, że nie chce, aby Holm „trafił do więzienia”. Odmówiła składania przeciwko niemu zeznań, po czym zapadła się pod ziemię. Gazeta „Spectrum” z St. George stwierdzała w artykule redakcyjnym: „Ten zwrot akcji w niezwykłej skądinąd historii pokazuje, jak trudno prowadzić postępowania przeciwko członkom Fundamentalistycznego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, będących na bakier z prawem”[12].

Ruth Stubbs mieszkała przed zniknięciem w Phoenix u swojej ciotki Pennie Peterson. Peterson także uciekła z Colorado City – miała czternaście lat, kiedy prorok przeznaczył ją na piątą żonę czterdziestoośmioletniego mężczyzny. Od tego czasu minęło półtorej dekady. Peterson wciąż żywi gorzkie uczucia wobec poligamicznej kultury UEP. „Poligamiści powtarzają, że są prześladowani z powodu przekonań religijnych – mówiła w wywiadzie dla »Salt Lake Tribune«. – Ale proszę mi pokazać, w którym punkcie konstytucji jest zapisane, że można molestować małe dziewczynki i zmuszać je do rodzenia dzieci”.

Burmistrz Colorado City Dan Barlow uważa apostatów w rodzaju Pennie Peterson za osoby motywowane pragnieniem zemsty i pozbawione dostatecznej wiedzy, by wypowiadać się na temat wspólnoty. Akt oskarżenia przeciwko Rodneyowi Holmowi traktuje jako przykład nękania nietypowej, ale cnotliwej mniejszości wyznaniowej przez rząd. Jego zdaniem cała sprawa nieprzyjemnie przywodzi na myśl obławę w Short Creek w 1953 roku. „Znowu się za nas biorą, powołują się nawet na te same argumenty”, utyskuje Barlow.

Przeczą temu jednak dowody, według których w Colorado Creek regularnie dochodzi do przemocy seksualnej. Na przykład w kwietniu 2002 roku syn burmistrza Dan Barlow junior został oskarżony o wielokrotne molestowanie pięciu swoich córek na przestrzeni dziesięciu lat. Barlow przyznał, że traktował córki jak „żony”. Współwyznawcy zwarli jednak szeregi w jego obronie. Dan Barlow senior prosił sąd o łagodny wymiar kary. Ostatecznie cztery z pięciu córek odmówiły zeznawania przeciwko ojcu. Barlow dostał wyrok w zawieszeniu w zamian za podpisanie oświadczenia o następującej treści: „Popełniłem błąd. Chcę go naprawić. Jest mi niewymownie przykro. Pragnę być dobrym człowiekiem. Porządnie wychowałem swoje dzieci, byłem dla nich dobrym ojcem. Kocham je wszystkie ojcowską

miłością”.

– Nie ma się co dziwić, że Dan nie trafił do więzienia – mówi Debbie Palmer z nieskrywanym obrzydzeniem. Kiedyś sama należała do kanadyjskiego odłamu sekty. – Nie wyobrażasz sobie nawet, jak wielką presję wywarto na te biedne dziewczynki, żeby nie zeznawały przeciwko tacie, synalkowi burmistrza. Prorok na sto procent powiedział im, że jeśli pisną choćby słówko, trafią do piekła. Kiedy sama byłam molestowana przez wysoko postawionego członka sekty, powtarzano mi to bez przerwy.

Mieszkańcy Colorado City nie przywiązują wagi do bluźnierczych historii opowiadanych przez osoby w rodzaju Palmer. Ich zdaniem winni wszystkiemu są Szatan oraz innowiercy i apostaci, znajdujący się pod jego wpływem.

– Szatan zazdrościł Bogu od początku świata – mówi młody, jasnooki kapłan i rozgląda się dookoła (lepiej, żeby nikt nie przyłapał go tu nad rzeką w towarzystwie człowieka spoza wspólnoty). – Szatan pragnie władzy. Nie chce, żeby Bóg rządził. Zwodzi więc słabych ludzi, nakłania ich do apostazji i przeciąga na swoją stronę. – Ten chłopak, podobnie jak inni mieszkańcy Colorado City, wierzy, że już niedługo świat zostanie uwolniony od sług Szatana: apostatów, mormonów, innowierców, gdyż w ostatnich latach prorok przepowiadał to już wiele razy.

Pod koniec tysiąclecia Wuj Rulon zapewniał wyznawców, że już wkrótce zostaną „wyniesieni” do Królestwa Bożego, natomiast ludzi występnych (czyli wszystkich spoza Kościoła) wybiją „zarazy, grad, głód i trzęsienia ziemi”. Wydał też za mąż wiele nastoletnich dziewczynek – w przeciwnym razie one również byłyby skazane na zagładę, nie zaznały bowiem życia zgodnego z najświętszym przykazaniem. W gronie owych dziewczynek znalazła się także Ruth Stubbs. Przyszedł rok 2000, Armagedon nie nastąpił, nikt nie został wyniesiony do nieba. Wuj Rulon obwinił swoich wyznawców, zarzucając im nieposłuszeństwo. Skruszeni mieszkańcy Colorado City przyrzekli, że staną się cnotliwsi.

– Przepowiadanie końca świata to dla Wuja Rulona idealna taktyka – zauważa apostata DeLoy Bateman. – Jeśli proroctwo się nie sprawdzi, zawsze można zwalić odpowiedzialność na wiernych. Dzięki temu Wuj Rulon może ich kontrolować i trzymać w strachu.

3

Bountiful

Naczelną zasadą religii mormońskiej nie jest bynajmniej poligamia, ale całkowita suwerenność hierarchii kapłańskiej, absolutny rząd dusz, bez ingerencji jakichkolwiek władz świeckich.

„Salt Lake Tribune”, 15 lutego 1885

Tysiąc pięćset kilometrów na północ od Colorado City, zaraz za kanadyjską granicą, gdzie strome góry Purcell wznoszą się pośród rozległych, zielonych nizin wokół rzeki Kootenay, leży miasto Creston, a niedaleko za nim, u stóp Góry Thompsona, domy i farmy otoczone polami. Ta sielska osada nosi nazwę Bountiful. Choć tutejszy krajobraz, często podlewany deszczem, w niczym nie przypomina Colorado City, oba miejsca są ze sobą silnie powiązane, w Bountiful żyje bowiem około siedmiuset mormońskich fundamentalistów należących do UEP i podporządkowanych władzy proroka Rulona Jeffsa. Dziewczynki z Bountiful są wysyłane na południe i wydawane za mąż za mężczyzn z Colorado City. Jeszcze częściej zdarza się, że dziewczęta z Colorado City muszą udawać się na północ, właśnie do Bountiful.

Debbie Oler Blackmore Ralston Palmer spędziła tu większość życia. W roku 1957, kiedy miała dwa latka, jej ojciec Dalmon Oler przeniósł się z rodziną do Creston Valley, by dołączyć do wspólnoty fundamentalistów, którzy osiedli tam parę lat wcześniej. Przewodził im przystojny i charyzmatyczny Ray Blackmore. Właśnie on doprowadził do zawarcia sojuszu między poligamistami z Short Creek (czyli późniejszego Colorado City) i ich prorokiem LeRoyem Johnsonem.

Ray Blackmore, jak wielu kanadyjskich mormonów, wywodził się z poligamicznej sekty z Utah, której członków wysłano za północną granicę, by mogli praktykować wielożeństwo zakazane przez Stany Zjednoczone i Kościół LDS. Nim Debbie znalazła się w Bountiful, do Blackmore’a dołączyły inne poligamiczne klany, na których czele stali Eldon Palmer i Sam Ralston[13].

W Kanadzie ojciec Debbie natychmiast zaczął dobierać sobie kolejne żony. W sumie poślubił sześć kobiet i spłodził czterdzieścioro pięcioro dzieci (Debbie była najstarszym z nich). Żeby się w tym wszystkim nie pogubić, dzieciom urodzonym w każdym kolejnym roku nadawał imiona zaczynające się na określoną literę alfabetu. „Mówiliśmy na nich grupa A, grupa T, grupa J i tak dalej”, wyjaśniał dziennikarzom kanadyjskiej telewizji. Na przykład w roku 1976 wypadła litera J: między czerwcem a październikiem żony Olera wydały na świat Jareda, Jeanette, Julię i Jennifer.

Dalmon Oler wziął sobie drugą żonę, Memory Blackmore, zaledwie rok po przybyciu do Bountiful. Memory była najstarszą córką Raya Blackmore’a. Właśnie wtedy do Debbie po raz pierwszy zaczęło docierać, że poligamia może mieć ciemne strony. „Mama Mem” czuła się niepewnie i była o wszystkich zazdrosna. Biła Debbie, ukrywając to przed jej biologiczną matką. Ta zmarła, kiedy Debbie miała sześć lat. Odtąd Mem stała się jeszcze okrutniejsza. Debbie jednak nie brakowało inteligencji i silnej woli. Nie chciała ślepo poddawać się niczyjej władzy. Zadawała niewygodne pytania i była samodzielna w myśleniu – słowem, zachowywała się w sposób niezbyt mile widziany przez fundamentalistyczny Kościół mormoński.

Zanim w roku 1986 Rulon Jeffs przejął zwierzchnictwo, stanowisko proroka piastował LeRoy Johnson, prostolinijny farmer nazywany przez wyznawców Wujem Royem. W swoich kazaniach Johnson

przeważnie stosował wariację na temat „Drogą do nieba jest absolutne posłuszeństwo”. Spuścizna, którą pozostawił, po dziś dzień odgrywa w życiu Bountiful ogromną rolę – obrazki z mottem wspólnoty „Bądź miły bez względu na wszystko” widnieją na ścianach i lodówkach w każdym domu.

Mormonizm to patriarchalna religia, odwołująca się do starotestamentowych tradycji. Nie toleruje się żadnych odstępstw ani sprzeciwów. Podważanie słów władz religijnych jest traktowane jako poważne naruszenie zasad. N. Eldon Tanner, jeden z przywódców Kościoła LDS, podsumował to w sierpniu 1979 roku na łamach oficjalnego kościelnego czasopisma „Ensign” słynną maksymą: „Słowo proroka kończy dyskusję”. Urzędy kapłańskie – w tym, oczywiście, urząd proroka – sprawowane są wyłącznie przez mężczyzn. Jedynie prorocy otrzymują od Boga przykazania (nierzadko bardzo szczegółowe, określające na przykład krój noszonej przez cały czas mormońskiej bielizny), wedle których żyć mają wierni. Tak samo jest w przypadku Fundamentalistycznego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, aczkolwiek u fundamentalistów mormońskie zasady posłuszeństwa, kontroli oraz ścisłego różnicowania ról odgrywanych przez kobiety i mężczyzn mają znacznie surowszą postać. Głównym zadaniem kobiet we wspólnotach FLDS jest służba mężom, wydawanie na świat jak największej liczby dzieci i wychowywanie ich na posłusznych członków Kościoła. Jednak wiele kobiet od urodzenia żyjących wśród fundamentalistycznych mormonów odmawia zgody na ten stan rzeczy. Debbie Palmer jest jedną z nich.

Debbie wodzi palcem wskazującym po nieprawdopodobnie skomplikowanym diagramie, na pierwszy rzut oka przypominającym schemat ogromnego budynku, być może elektrowni atomowej, i próbuje się w nim rozeznać. Okazuje się, że diagram przedstawia jej drzewo genealogiczne.

Kiedy miała czternaście lat, poczuła, że „Bóg pragnie”, by poślubiła Raya Blackmore’a, przywódcę wspólnoty w Bountiful. Na jej prośbę ojciec poinformował o tym objawieniu proroka LeRoya Johnsona, który przyjeżdżał czasami do Bountiful z Short Creek w związku z rozmaitymi obowiązkami religijnymi. Debbie była piękna i zgrabna, toteż Wuj Roy chętnie pobłogosławił małżeństwo. Rok później, przy okazji kolejnej wizyty w Kanadzie, odprawił ceremonię ślubu między dziewczynką a podstarzałym, pięćdziesięciosiedmioletnim Blackmore’em. Debbie została jego szóstą żoną i macochą ponad trzydzieściorga dzieci (w większości od niej starszych). Co więcej, Blackmore był ojcem macochy Debbie, Mem – w rezultacie Debbie została macochą własnej macochy i swoją własną przybraną babcią.

Po śmierci Raya Blackmore’a w 1974 roku ojciec Debbie stanął na czele wspólnoty w Bountiful. Przewodził jej do roku 1985, kiedy dwudziestodziewięcioletni syn Raya Winston Blackmore doprowadził Dalmona do ruiny finansowej, odsunął od władzy i sam przejął rządy. Winston posługiwał się urokiem osobistym, przymusem oraz siatką szpiegów, której pozazdrościłoby mu nawet KGB. W kolejnych latach umacniał swoją pozycję. Obecnie jest prezydentem kanadyjskiego dystryktu Kościoła, nadzorcą szkół w Bountiful (finansowanych z pieniędzy podatników Kolumbii Brytyjskiej), naczelnym lokalnej gazety i prezesem najważniejszych miejscowych firm[14]. W nieprawdopodobnym wręcz stopniu kontroluje życie swoich wyznawców, ma trzydzieści żon i około setki dzieci. Wyżej od niego w hierarchii stoją tylko Bóg oraz prorok z Colorado City.

Dla Debbie Winston stał się wrogiem, kiedy odsunął jej ojca od władzy. Z drugiej strony, wciąż łączą ich skomplikowane rodzinne powiązania. Debbie, zaledwie rok starsza od Winstona, jest jego macochą. Jej najstarsza córka jest jego przyrodnią siostrą, a siostra Debbie została pierwszą z jego wielu żon.

Do grona pasierbic Debbie zalicza się starsza od niej o siedem lat Alaire Blackmore. Ray Blackmore

adoptował ją krótko po urodzeniu. Kiedy Alaire skończyła osiemnaście lat, wydano ją za Raya (mimo że był jej ojczymem). W ten sposób Debbie i Alaire stały się wspólnymi żonami jednego mężczyzny. Po śmierci Raya Alaire wyszła za ojca Debbie. Potem Winston przejął władzę, ojciec Debbie utracił żony i Alaire wyszła za Winstona, swojego przybranego brata. Bez diagramu nie sposób tego wszystkiego ogarnąć, ale podobnie pogmatwane koligacje to norma w Bountiful i innych poligamicznych społecznościach.

Mormońscy fundamentaliści, choć bardzo płodni, nadzwyczaj restrykcyjnie podchodzą do spraw związanych z seksem. Chłopcy i dziewczynki mają zakaz umawiania się na randki, a nawet flirtowania. Edukacja seksualna ogranicza się do uczenia dzieci, że ciało jest wstydliwe i trzeba przez cały czas zakrywać je przed wzrokiem innych. „Mamy się do siebie odnosić jak do węży", wyjaśnia jeden z synów Debbie. Kobiety i dziewczęta noszą długie sukienki, nawet kiedy idą pływać. Chłopcy i mężczyźni zawsze mają na sobie spodnie i koszule z długimi rękawami. Każdy wyznawca przez cały czas nosi też mormońską bieliznę – koszulę i ciasno przylegające szorty – nawet w najgorętszy dzień. Według przykazań chrześcijańskiej czystości nawet małżonkom nie wolno uprawiać seksu, jeśli kobieta nie jest akurat w trakcie owulacji.

Żwir grzechocze pod kołami. Zza zakrętu wyłania się dom, w którym dorastała Debbie. Dziś jest to rozpadająca się rudera na zboczu podmokłego pagórka, otoczona paprociami i wiecznie zielonymi drzewami. Debbie nie przyjeżdża tu już od wielu, wielu lat.

– Widzisz to auto, tam trochę z boku? – Wskazuje stary samochód, rdzewiejący pod rozłożystym baldachimem żywotnika olbrzymiego. – Miałam sześć lat, kiedy Renny Blackmore[15] zabrał mnie nim na przejażdżkę. Obiecał, że nauczy mnie prowadzić. – Zamiast tego Renny, jeden z nastoletnich braci Winstona, wykorzystał ją seksualnie. – Nadal mam dreszcze, jak sobie przypomnę, co mi zrobił w tym samochodzie.

Mimo atmosfery seksualnej represji – a może właśnie z jej powodu – w Bountiful szerzy się kazirodztwo i inne niepokojące zachowania, choć oczywiście nie mówi się o nich głośno. Debbie pamięta chłopców, którzy zabierali czteroletnie zaledwie dziewczynki do wielkiej białej stodoły za szkołą, żeby bawić się w „byka i krowę". Pewien chłopak, obecnie ważna postać w Kościele, zgwałcił przyjaciółkę Debbie. Miał wtedy dwanaście lat, ona siedem. Debbie zachowała jeszcze inne wspomnienia. Kiedy miała cztery lata, Andrew Blackmore[16], czternastoletni brat Winstona, wziął patyk, „wsadził mi go w pochwę i kazał mi leżeć i się nie ruszać".

Ojciec Debbie, przed śmiercią w 1998 roku, zbudował wielki biały dom z deski elewacyjnej, przypominający stodołę. W środku znajdowało się czternaście łazienek i piętnaście sypialni. Dziś mieszka w nim około pięćdziesięciu osób. Na czele gospodarstwa stoją obecnie Memory Blackmore – „Mama Mem" – oraz jej czterdziestojednoletni syn Jimmy Oler, przyrodni brat Debbie. Nie ma ich akurat w domu, ale na parterze, w przestronnym salonie, siedzi sześć nastoletnich dziewczyn i każda kołysze dziecko na kolanach. To żony Jimmy'ego i innych mężczyzn z Bountiful. Jedna z nich się uśmiecha, odsłaniając przerwy między zębami. Wygląda, jakby chodziła jeszcze do szkoły podstawowej – tyle że jest w zaawansowanej ciąży.

Na ścianach w długim korytarzu na piętrze wiszą fotografie członków rodziny Debbie. Sama Debbie też jest na kilku zdjęciach. Oto ona, uśmiechnięta piętnastolatka w sięgającej do kostek różowej sukience z falbankami. To dzień jej ślubu z Rayem Blackmore'em, pomarszczonym, siwym mężczyzną, prawie

czterokrotnie od niej starszym.

– Niedługo potem zaszłam w ciążę, ale poroniłam – mówi Debbie. – Ray i inni powtarzali, że to moja wina, bo złamałam przykazanie czystości, gdyż uprawiałam seks w ciąży. Czułam się grzeszna.

Debbie otrzymała podwójny cios.

– Ray w zasadzie przestał się do mnie odzywać. Przypominał sobie o moim istnieniu jedynie wtedy, kiedy chciał włożyć we mnie swojego penisa. Ledwo sobie z tym radziłam, no a przecież byłam jeszcze dzieckiem. Myślałam, że jestem bezwartościową kurwą i liczą się tylko moja pochwa i macica. W Bountiful krążyły na mój temat wstrętne dowcipy.

Ray Blackmore umarł na białaczkę w roku 1974, trzy lata po ślubie z Debbie. Debbie miała wówczas dziewiętnaście lat. Wydała już na świat córkę Raya. Krótko po jego śmierci kazano jej wyjść za Sama Ralstona, jednego z założycieli Bountiful. Debbie próbowała protestować, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Ralston był brutalnym socjopatą. Miał już cztery żony. Urodziła mu dwójkę dzieci; latami znosiła jego okrucieństwo, aż w końcu miara się przebrała. Debbie uciekła i schroniła się w jedynym dostępnym dla niej miejscu: w domu swojego ojca.

Przy okazji następnej wizyty w Kanadzie prorok LeRoy Johnson – Wuj Roy – kazał Debbie wrócić do Sama.

– Błagałam, żeby mnie do tego nie zmuszał – opowiada Debbie. – Roy odparł, że wydali mnie za Sama, bo liczyli, że dzięki temu lepiej będzie sprawował obowiązki kapłańskie i pogodzi się z moim ojcem. Przeżyłam szok. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że to nie Bóg chciał mojego ślubu z Samem, że to tylko takie rozgrywki. – Debbie wróciła jednak posłusznie do Ralstona. – Nazwał mnie złą wszetecznicą i surowo ukarał za moje grzechy.

Wpadła w depresję. Zaczęły się zachowania autodestrukcyjne. Jej ojca tak bardzo zaniepokoił pogarszający się stan córki, że w końcu zabrał ją od Ralstona do siebie i nakłonił Wuja Roya, by „uwolnił” ją od małżeństwa. Ale cała historia odbiła się na reputacji Debbie w Bountiful. Wszyscy utwierdzili się w przekonaniu, że jest tępa, krnąbrna i sprawia zdecydowanie za dużo problemów.

– Zaczęłam brać leki. Mnóstwo leków. Tabletki nasenne, przeciwbólowe, środki uspokajające.

Szukała otuchy u ojca, ale ten tylko zacytował Pismo i powiedział: „Aby poznać Pana, musisz mieć serce pokorne i skruszone”. Niedługo potem, pewnej nocy, kiedy Debbie leżała w łóżku, otępiała po lekach, ojciec wszedł do jej sypialni i zaczął ją pocieszać. Po chwili, mimo narkotycznej mgły, zdała sobie sprawę, że chodzi o coś więcej. Nie próbowała go powstrzymać. Przez długi czas zmagała się potem z poczuciem winy i zastanawiała, czy jakimś swoim zachowaniem nie obudziła u niego kazirodczego pożądania.

Podjęła próbę samobójczą. Próbowała utopić się w Goat River, wartkim potoku przepływającym przez Bountiful. Parę miesięcy później przedawkowała środki uspokajające. Wtedy trafiła na oddział psychiatryczny pobliskiego szpitala. Powoli dochodziła do siebie, gdy któregoś dnia odwiedził ją Michael Palmer[17]. Palmer, trzydziestoośmioletni kierowca ciężarówki, był mężem dwóch sióstr Winstona Blackmore’a. Należał do FLDS, ale jeździł w dalekie trasy poza Bountiful. Dziewczyna zapamiętała, że w pewnym momencie zaczął ją „dotykać i całować. Nagle poczułam się piękna”.

Wspólnota nadal nie wiedziała, co począć z Debbie. Wuj Roy, choć miał już dziewięćdziesiąt trzy lata, był bardzo schorowany i szybko niedołężniał, przyjechał do Kanady i zapytał Debbie, czy podoba się jej jakikolwiek mężczyzna. Rzuciła nazwisko Michaela Palmera.

– No i prorok kazał nam wziąć ślub. Z początku życie u boku Michaela było cudowne. Troszczył się o mnie, pomógł mi odstawić leki. Urodziłam naszą pierwszą córkę. Był szczęśliwy, bawił się z małą. Zachęcał, żebym myślała samodzielnie. Bardzo go kochałam.

Nie wszystko się jednak układało. Dwie pierwsze żony Michaela, Marlene i Michelle Blackmore (skądinąd pasierbice Debbie), były o siebie niesłychanie zazdrosne, a pojawienie się Debbie, trzeciej „siostrzanej żony", tylko pogorszyło sprawę. Dzielenie się Michaelem nie przychodziło im łatwo, zwłaszcza Michelle, pierwszej żonie. Kiedy zgodnie z ustaloną kolejnością spędzał noc w sypialni Debbie, Michelle kładła się piętro niżej i na zmianę płakała histerycznie albo nasłuchiwała miłosnych jęków, które dowiodłyby, że Michael woli Debbie od niej.

– Zastałam ją tak pewnej nocy. Zeszłam na dół zajrzeć do dzieci. Michael i ja właśnie skończyliśmy się kochać. Na jej widok pojęłam, że wszyscy tkwimy w jakimś koszmarze. Z jednej strony naruszono moją intymność, ale z drugiej strony na twarzy Michelle malował się tak wielki wstyd i ból… Nie byłam w stanie czynić jej wyrzutów, musiałam ugryźć się w język.

Pewnego razu Michelle dowiedziała się, że Michael uprawiał seks z Debbie, gdy ta była w ciąży. Oznaczało to poważne naruszenie przykazań chrześcijańskiej czystości.

– Była wręcz sina z gniewu i bólu, pluła jadem zazdrości. „Jesteś ladacznicą i kurwą, skusiłaś Michaela, żeby kochał się z tobą podczas ciąży! Zrobiłaś z niego cudzołożnika, odebrałaś mi szansę na wyniesienie! Powiem o wszystkim Winstonowi, zobaczysz, już on ci pokaże!"

Michelle spełniła swoją groźbę i dla Debbie faktycznie zaczęły się kłopoty.

W roku 1986 Wuj Roy umarł. Nowym prorokiem UEP został Rulon Jeffs. W Colorado City i w Bountiful zapanowało zamieszanie związane ze zmianą władzy. Michael pracował poza Bountiful, wśród innowierców, co stało się pretekstem do wykluczenia go w tajnym głosowaniu z kapłaństwa. Przeżył to niezwykle mocno i w rezultacie do głosu doszły ukryte zaburzenia jego osobowości.

Zrobił się wycofany, łatwo wpadał w gniew. Zaczął molestować seksualnie małych chłopców – synka Debbie oraz inne dziecko, spoza rodziny. 27 października 1986 roku córka Debbie, Sharon, leżała w łóżku z gorączką. Michael wszedł do jej sypialni i, jak opowiada Debbie:

– Zaczął przecierać jej twarz wilgotną szmatką. Zdjął jej koszulę nocną i umył jej trzynastoletnie nagie ciało, najpierw plecy, potem piersi. Poprosiła, żeby przestał, ale on jakby w ogóle jej nie słyszał. Długo ją obmywał, aż wreszcie z powrotem ubrał ją w koszulę, położył na dywanie między swoimi nogami i masował piersi oraz głowę.

Sharon wyjawiła matce, co się wydarzyło. Przez wiele następnych tygodni wybuchała niekontrolowanym płaczem.

– Bała się, że każą jej wyjść za mąż za Michaela, bo tak właśnie było w przypadku jej przyjaciółek z Colorado City, molestowanych przez ojczymów.

W grudniu 1987 roku Winston polecił Sharon – swojej przyrodniej siostrze – wyprowadzić się od Debbie i zamieszkać w jego domu. Na wieść o tym Debbie wpadła w furię.

– Wiele razy widziałam, jak Winston odbiera kobietom dzieci. Nie zamierzałam oddawać mu Sharon. Poszłam do niego i się postawiłam. Leżał akurat w łóżku, a ja wpadłam do jego sypialni i zaczęłam krzyczeć, że nie dostanie Sharon. – Debbie doskonale pamięta reakcję Winstona, nieprzywykłego do sprzeciwów ze strony jakiejkolwiek kobiety. – Zagroził mi otwartym tekstem. Jego spojrzenie zrobiło się zimne i powiedział: „Lepiej uważaj. […] Wystarczy jedno moje słowo, a sześciu chłopaków

przefasonuje ci gębę”.

Debbie nie spuściła z tonu. „Sharon nie będzie z tobą mieszkać, chyba że po moim trupie”.

Winston już wcześniej zabrał Michelle i Marlene z domu Michaela. Od jakiegoś czasu nękał Debbie, gdyż chciał przejąć jej dom.

– Codziennie przychodził pod moje drzwi i się wydzierał – wspomina Debbie. – Wrzeszczał: „Masz się stąd w tej chwili wynosić!”. Debbie zaciskała zęby i w milczeniu czekała, aż Winston sobie pójdzie. Nie zamierzała przystać na jego żądanie. Ten upór doprowadzał Winstona do furii. Debbie, sama z dziećmi w wielkim domu Michaela, myślała o innych kobietach, które zdobyły się na odwagę i wyjechały z Bountiful. Winston, Wuj Roy i Wuj Rulon wiele razy przestrzegali, że głupie nieszczęśnice, które odwrócą się od wiary, „zostaną wyrzucone na zewnątrz – w ciemność i przemielone w drobny pył”. Będą musiały sprzedawać swoje ciała brudnym innowiercom, potępione aż po kres czasu. Debbie nigdy nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości – wierzyła, że taki właśnie los spotyka kobiety porzucające Kościół i wspólnotę w Bountiful.

A jednak coraz częściej nie potrafiła znaleźć usprawiedliwienia dla swoich współbraci. Coraz trudniej było jej przyjąć, że Bóg przekazuje swoje prawa samozwańczym prorokom. Próbowała dociec, „gdzie kończy się boskie, a zaczyna ludzkie”. Perspektywa odrzucenia wszystkiego, w co dotąd wierzyła, całej dotychczasowej wizji świata i własnego miejsca w tym świecie, była przerażająca.

– Ale wiedziałam, że muszę przejąć odpowiedzialność za swoje życie i swoje dzieci, toteż przestałam sobie wmawiać, że Bóg ma cokolwiek wspólnego z całą tą bolesną sytuacją.

W niedzielę 7 lutego 1988 roku Debbie przez cały dzień sprzątała dom. Na koniec wstawiła indyka do pieczenia. Nagle zawładnęło nią dziwne uczucie, jak gdyby śniła. Dzień był chłodny i mglisty. Pierzyna śniegu przykrywała wszystko dokoła, Debbie nie czuła jednak zimna.

– Położyłam dzieci wcześniej niż zwykle – wspomina. – Wydaje mi się, że właśnie w tym momencie podświadomie podjęłam decyzję. Pomyślałam: „To jest ta chwila. Dom jest idealnie przygotowany”. Narąbałam wysoki stos drewienek z żywotnika, wzięłam trochę papieru, włożyłam to wszystko do szafki narożnej i podpaliłam. Potem poszłam do mojej sypialni po drugiej stronie domu i zamknęłam drzwi. Wyjęłam album ze zdjęciami. Długo leżałam w łóżku i patrzyłam na historię mojego życia. W końcu odłożyłam album na półkę. Usiadłam i czekałam. Myślałam o dzieciach. Myślałam o wyjechaniu z Bountiful i osiedleniu się w Calgary. Zastanawiałam się, czy dam sobie radę sama, ale rozbolała mnie głowa. Potworny ból, nie mogłam się już na niczym skupić. Siedziałam po prostu w pokoju przy zamkniętych drzwiach, aż usłyszałam trzask ognia. Wstałam i otworzyłam drzwi, odruchowo, jak automat. Kuchnia znajdowała się na drugim końcu długiego korytarza. Zobaczyłam żywe płomienie. Wiły się, tańczyły na suficie, wyciągały ku mnie języki. Zrozumiałam, że muszę zabrać stąd dzieci. Pobiegłam na dół, by je obudzić. Serce biło mi tak mocno, że aż czułam tętnienie w uszach.

Kiedy już wszyscy znaleźli się bezpiecznie na zewnątrz, zjawił się Winston i zawiózł ich do swojego domu, u podnóża pagórka. Przyjechał policjant z Creston i zapytał Debbie o przyczynę pożaru. „Robiłam indyka – skłamała przekonująco. – Pewnie zapomniałam wyłączyć piekarnik”. Policjant uwierzył i po paru minutach odjechał. Debbie została sama w kuchni Winstona. Wyszła i ruszyła na wzgórze, by zobaczyć, jak płonie jej dom.

– Dokoła i w środku uwijali się już strażacy. Nagle wszyscy wybiegli na zewnątrz, krzycząc, że zaraz się zawali. Dosłownie sekundę później buchnęły płomienie, a wszystkie szyby wyleciały z ram. Stałam

nie tak daleko, na polu, przy siatce z drutu kolczastego i patrzyłam na oszalały, wijący się ogień, jaśniejący na tle gór. Po jakimś czasie zobaczyłam, że strażacy odpuścili już sobie gaszenie i zaczęli się zbierać. Ja także postanowiłam wracać. Odwróciłam się i zobaczyłam, że krwawię, zaciskałam dłoń na drucie kolczastym i się pokaleczyłam. Skaleczenie było głębokie, ale nic nie poczułam.

Desperacki krok ostatecznie przyniósł Debbie wolność. Niedługo po tym, jak resztki spalonego domu dogasły, Debbie upchnęła ocalały dobytek do worków na śmieci, zabrała piątkę swoich dzieci i zapakowała je do starego, przeżartego rdzą samochodu. Ruszyli na wschód, przez pokryte śniegiem Góry Skaliste, w poszukiwaniu nowego życia z dala od Winstona, proroka i UEP.

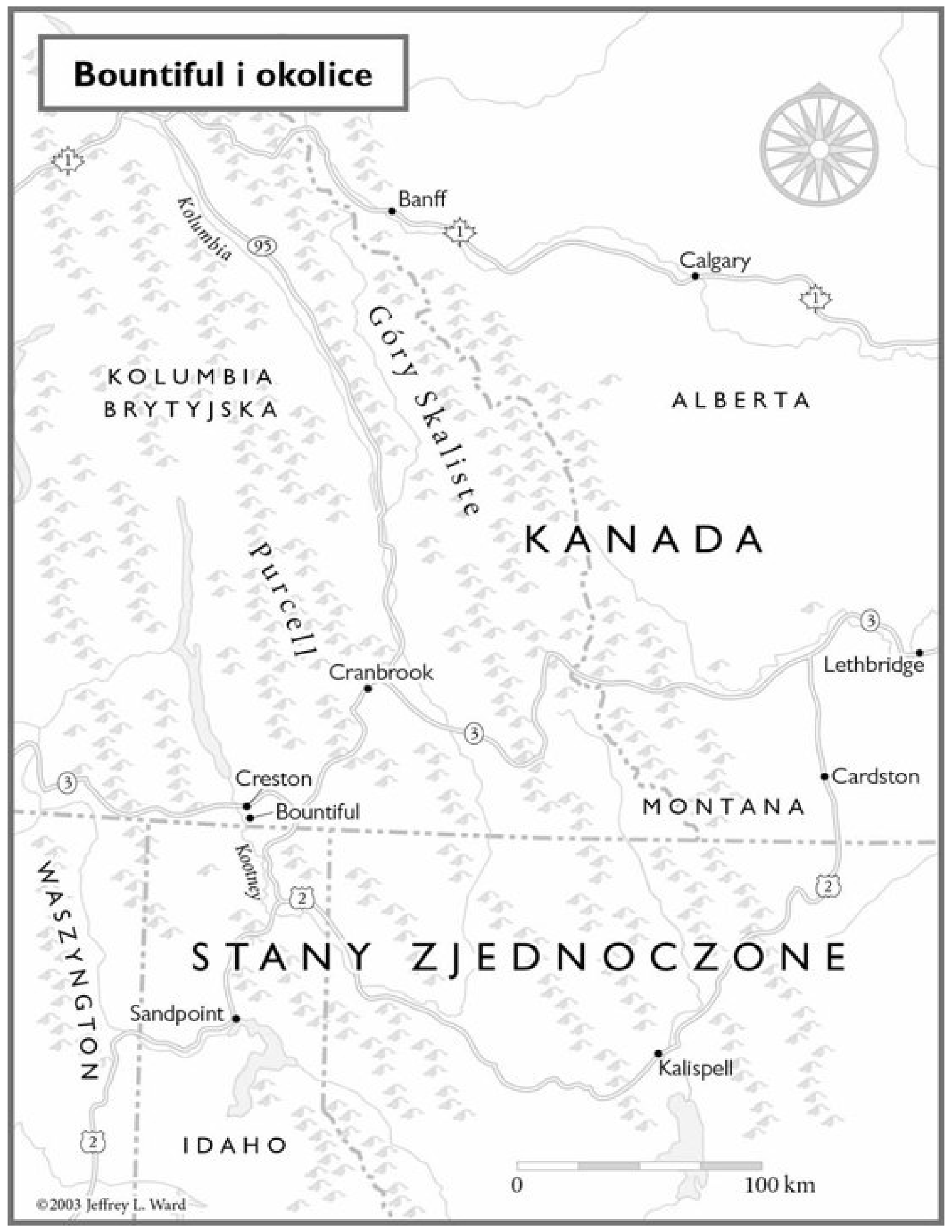
Bountiful i okolice
Banff
Calgary
Columbia
95
Góry Skaliste
KOLUMBIA BRYTYJSKA
ALBERTA
KANADA
Purcell
Cranbrook
Lethbridge
Creston
Bountiful
Cardston
MONTANA
Kootney
WASZYNGTON
STANY ZJEDNOCZONE
Sandpoint
Kalispell
IDAHO
0
100 km
©2003 Jeffrey L. Ward

4

Elizabeth i Ruby

Wtedy ja wzdycham i cytuję Pismo,
Mówię, że Bóg każe nam za zło
Odpłacać dobrem; nagość moich łajdactw
Odziewam w strzępy szat, skradzionych z Biblii:
W diabła się bawiąc, wydaję się świętym.

William Shakespeare, *Król Ryszard III*,
przeł. Stanisław Barańczak

5 czerwca 2002 roku, w środku nocy, czternastoletnia Elizabeth Smart została uprowadzona z nożem na gardle ze swojej sypialni w domu w Salt Lake City. Jej rodzice spali kilka pokoi dalej. Media natychmiast rzuciły się na tę historię: na oczach tyleż przerażonej, co zafascynowanej opinii publicznej do utraty tchu roztrząsano wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Przez całe lato toczyło się śledztwo, zakrojone na wielką skalę. Nie udało się jednak znaleźć Elizabeth ani ustalić tożsamości porywacza i wszyscy zaczęli podejrzewać najgorsze: dziewczynka została zamordowana, najpewniej po długich, nieopisanych cierpieniach.

Aż nagle, dziewięć miesięcy od uprowadzenia, ku powszechnemu niemal zaskoczeniu, Elizabeth się odnalazła.

Był to niespokojny czas: za kilka dni Stany Zjednoczone miały dokonać inwazji na Irak. Amerykanie, nękani niepewnością w związku z nadchodzącą wojną, byli spragnieni jakichkolwiek dobrych wiadomości i cieszyli się, że Elizabeth Smart wróciła do swojej rodziny. Prezydent George W. Bush, choć był akurat zajęty planowaniem ataku na Bagdad, znalazł chwilę w napiętym grafiku i zatelefonował do ojca Elizabeth, by w imieniu narodu wyrazić radość ze szczęśliwego zakończenia całej historii. Rozemocjonowany Ed Smart uznał odnalezienie córki za najprawdziwszy cud. „Bóg istnieje! Dzięki modlitwom ludzi z całego świata Elizabeth wróciła do domu”.

Dan Lafferty z przejęciem śledził tę rozdzierającą serce epopeję w swoim małym telewizorze w celi więzienia stanowego w Utah. Parę godzin po odnalezieniu Elizabeth media podały, że uprowadzenia dokonał ekskomunikowany członek Kościoła mormońskiego.

– Ten skrawek informacji pozwolił mi natychmiast odgadnąć, że facet jest fundamentalistą, a porwanie miało związek z poligamią – chwali się Lafferty.

Był to trafny domysł. Porywaczem okazał się czterdziestodziewięcioletni Brian David Mitchell, mormoński fundamentalista, niepowiązany jednak z Fundamentalistycznym Kościołem Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, czyli z sektą sprawującą władzę w Bountiful i Colorado City–Hildale ani jakąkolwiek inną grupą. Takich jak on określa się mianem niezależnych. Są ich niezliczone rzesze; praktykują wielożeństwo na zachodzie Stanów Zjednoczonych, w Kanadzie i Meksyku. Najsłynniejszym (przynajmniej do czasu, kiedy aresztowano Mitchella) z nich był Tom Green, osądzony i skazany w 2001 roku.

Mitchell nie urodził się we wspólnocie fundamentalistów. Przez większość życia pozostawał sumiennym mormonem. Pracował nawet w Świątyni Salt Lake, epicentrum Kościoła mormońskiego

głównego nurtu – uczestniczył w rytualnych przedstawieniach rekonstruujących najważniejsze momenty świętej historii mormonów. Jego żona Wanda Barzee była przez pewien czas organistką chóru Tabernakulum w Salt Lake City. Jeden z jej nauczycieli scharakteryzował ich później jako „dwie osoby, które dosłownie uosabiały cnotliwość, wypełniając posłusznie kościelne obowiązki i zadania".

Żarliwość Mitchella już wówczas budziła zdziwienie. W przedstawieniach religijnych grał rolę Szatana. Według „Salt Lake Tribune" wypadał tak przekonująco, że „dostojników kościelnych ogarniał wręcz niepokój". Jego zetknięcie się z fundamentalistami, których nie brakowało w regionie Wasatch Front, było kwestią czasu. W połowie lat dziewięćdziesiątych Mitchell nabrał przekonania, że przywódcy Kościoła fatalnie zbłądzili, godząc się przeszło sto lat wcześniej, by rząd zakazał poligamii. Wkrótce i on, i Barzee dołączyli do mormońskich fundamentalistów i zostali oficjalnie usunięci z Kościoła LDS.

Nowej sekcie poświęcili się z równą żarliwością. W Święto Dziękczynienia 2000 roku Mitchell oznajmił Barzee (i w ogóle wszystkim naokoło), że otrzymał objawienie, w którym Pan nakazał mu poślubić siedem kobiet. Przy okazji kolejnych objawień dowiedział się, że naprawdę ma na imię Emmanuel Dawid Izajasz i jego powołaniem jest głoszenie słowa Bożego w Dniach Ostatnich. Mitchell przestał się golić i strzyc, ubierał się w luźne szaty wzorowane na strojach starotestamentowych proroków. W dolinie Wielkiego Jeziora Słonego uchodził za ekscentrycznego, lecz niegroźnego ulicznego kaznodzieję. Często przedstawiał się jako: „Pan z nami", Barzee zaś jako: „Pan nas przyozdabia".

Pewnego dnia, mniej więcej rok po owym pamiętnym Święcie Dziękczynienia, Mitchell spotkał Lois Smart na parkingu przed centrum handlowym. Przedstawił się jako Emmanuel. Smart, mormonka na co dzień zajmująca się prowadzeniem domu, z natury współczuła biedakom, zwłaszcza pobożnym. Dała więc prorokowi pięć dolarów i zaoferowała, że będzie go najmować do różnych drobnych prac w swojej okazałej rezydencji w Salt Lake City. W ten oto sposób w listopadzie 2001 roku Mitchell znalazł się w wartym ponad milion dolarów domu Smartów. Przepracował tam pół dnia, pomagając Edowi, mężowi Lois, załatać dach i grabić liście w ogrodzie. Wtedy właśnie pierwszy raz ujrzał czternastoletnią Elizabeth. Jej niewinność i anielskie rysy zauroczyły go tak bardzo, że natychmiast uznał, iż Bóg przeznaczył mu ją na żonę.

Przez kolejnych kilka miesięcy Mitchell obsesyjnie śledził Elizabeth. Obserwował ją z daleka z niskich zboczy gór Wasatch, wznoszących się bezpośrednio nad Federal Heights, zamożną dzielnicą, w której mieszkali Smartowie. 5 czerwca 2002 roku, około drugiej nad ranem, Mitchell ustawił krzesło pod niewielkim oknem kuchennym domu Smartów otwartym na oścież, przeciął cienką siatkę i wszedł do środka. Na piętrze znalazł sypialnię, którą Elizabeth dzieliła ze swoją dziewięcioletnią siostrą Mary Katherine. Obudził swoją wybrankę. Nie zorientował się, że Mary Katherine także się zbudziła: młodsza dziewczynka udawała, że śpi, zdołała jednak dostrzec intruza przez przymknięte oczy i usłyszała, jak grozi Elizabeth. Mitchell kazał Elizabeth włożyć buty i z nożem w ręku wyprowadził ją na zewnątrz, minąwszy po drodze sypialnię pogrążonych w głębokim śnie rodziców.

Przeszli pieszo sześć kilometrów po wzgórzach rozciągających się na zachód od jej domu. W końcu dotarli do położonego na uboczu obozowiska w Dry Creek Canyon. Tam Mitchell i Barzee odprawili dziwaczny rytuał weselny własnego pomysłu. W ten sposób przypieczętowali „nowe i wieczne przymierze" (mormońskie określenie poligamicznego małżeństwa) między Mitchellem a Elizabeth. Następnie Barzee kazała dziewczynce zdjąć czerwoną piżamę. Elizabeth się opierała, Barzee oświadczyła więc, że jeśli będzie się sprzeciwiać, Mitchell zerwie z niej ubranie siłą. W końcu Elizabeth

się rozebrała i wtedy Mitchell skonsumował związek, gwałcąc swoją czternastoletnią wybrankę.

Mary Katherine długo leżała w łóżku, zbyt przerażona tym, co się wydarzyło, by zaalarmować rodziców. Minęły dwie godziny, nim wreszcie zebrała się na odwagę. Przerażony Ed Smart nie od razu zadzwonił na policję: zaczął od telefonu do lokalnego zboru LDS. Kościół natychmiast zorganizował poszukiwania; grupa zaufanych świętych przeszukała okolicę, lecz po Elizabeth wszelki ślad zaginął.

Przez co najmniej dwa miesiące porywacze ukrywali dziewczynkę, przenosząc się z miejsca na miejsce w labiryncie porośniętych krzakami wąwozów niedaleko jej domu. Zdarzało się, że słyszała nawoływanie poszukiwaczy. Czasem trzymano ją w podziemnej jamie przesłoniętej leżącym panelem albo przykuwano za kostkę do drzewa. Mitchell zręcznie wykorzystywał trwającą niemal od kołyski religijną indoktrynację Elizabeth. Swoją teologiczną moc przekonywania łączył z groźbami, że zabije dziewczynkę i jej rodzinę. Wkrótce udało mu się uczynić z niej całkowicie bezwolną konkubinę. Mitchell i Barzee chodzili w białych szatach (ubierali w nie także Elizabeth). Przypominały one odświętne stroje, zakładane przez Smartów na każdą wizytę w mormońskiej świątyni. Elizabeth od dzieciństwa uczono, że musi ślepo podporządkowywać się starszym rangą członkom Kościoła i że doktryna LDS pochodzi od Boga. Słowa Mitchella – znane mormońskie nakazy w nieco zmienionej, fundamentalistycznej wersji – łatwo do niej docierały. Posługując się słowami Josepha Smitha, zmusił Elizabeth, by zaspokajała jego cielesne potrzeby.

– Wychowanie, które odebrała, uczyniło ją bezbronną – wyjaśnia Debbie Palmer, która dorastała w Bountiful i jest doskonale obeznana z siłą przymusu fundamentalistycznej kultury. – Gdyby nie należała do Kościoła mormońskiego, Mitchell nie miałby na nią tak wielkiego wpływu.

Mitchell przejął kontrolę psychologiczną. Był pewien, że dziewczynka nie będzie próbowała ucieczki ani nie zaalarmuje policji. Po pewnym czasie zaczął ją więc zabierać w miejsca publiczne, aczkolwiek w przebraniu dla niepoznaki. Jej jasne włosy splecione w warkocze zawsze przykrywała chustka, na twarzy zaś miała woalkę, przywodzącą na myśl kwef. We wrześniu udali się nawet na uliczną imprezę w centrum Salt Lake City. W tłumie, liczącym przeszło sto osób (raczej mało pobożnych, o czym świadczył fakt, że wielu raczyło się piwem), nikt jej nie rozpoznał, choć znalazła się na co najmniej jednym przypadkowym zdjęciu. Jeden z wujów dziewczyny opowiadał później, że Mitchell czasami zostawiał ją samą prawie na cały dzień, „ale nie próbowała uciekać”.

24 lipca Mitchell podjął kolejną próbę porwania, równie zuchwałą co wcześniej. Ofiarą miała być piętnastoletnia kuzynka Elizabeth. Posłużył się identyczną metodą. Ustawił krzesło pod otwartym oknem, przeciął siatkę i już miał przecisnąć się do środka, kiedy przypadkiem strącił na podłogę kilka fotografii w ramkach. Hałas obudził domowników, Mitchell uciekł.

Traf chciał, że krótko wcześniej policja aresztowała Richarda Ricciego, który był głównym podejrzanym w sprawie porwania Elizabeth. Ricci także pracował niegdyś w domu Smartów, miał kiepskie alibi i grubą kartotekę, sięgającą trzydzieści lat wstecz. Śledczym nie przyszło do głowy, że krzesło i przecięta siatka na miejscu nieudanego przestępstwa to znaczące poszlaki. W dalszym ciągu winą obarczali Ricciego, nie biorąc pod uwagę, że prawdziwy porywacz nadal może przebywać na wolności i szykować się do uprowadzenia kolejnej ofiary.

Pewnego październikowego wieczora Mary Katherine, młodsza siostra Elizabeth i jedyny świadek jej porwania, powiedziała nagle do Eda Smarta: „Tato, chyba wiem, kto to zrobił”. Była pewna, że Elizabeth uprowadził mały, brodaty człowiek, który pomagał naprawić dach, samozwańczy prorok przedstawiający

się jako Emmanuel. Smart przekazał te spóźnione rewelacje policji z Salt Lake City. Ponieważ jednak Mary Katherine zidentyfikowała sprawcę dopiero po czterech miesiącach, policja nie przywiązywała do jej słów większej wagi. Przy pomocy Smartów przygotowali trzy portrety pamięciowe Emmanuela. Ostatni z nich, zdaniem Smartów, dość wiernie oddawał wygląd mężczyzny, ale policja odmówiła jego opublikowania: portret nie był dostatecznie dokładny i gdyby go rozpowszechnić, pojawiłoby się mnóstwo fałszywych tropów. Poza tym nadal uważano, że sprawcą był Ricci (który 27 sierpnia zmarł w więzieniu na skutek wylewu krwi do mózgu).

Rodzina, zirytowana brakiem postępów w śledztwie, wzięła sprawy we własne ręce. W lutym 2003 roku zorganizowali konferencję prasową i przedstawili opinii publicznej portret pamięciowy. Niedługo później odezwała się do nich pewna kobieta, która twierdziła, że mężczyzna z portretu przypomina jej brata, Briana Davida Mitchella. 15 lutego jego zdjęcie zostało pokazane w programie telewizyjnym *America's Most Wanted* (Najbardziej poszukiwani przestępcy Ameryki), razem z nagraniem Eda Smarta, proszącego widzów o pomoc w znalezieniu córki.

12 marca 2003 roku jeden z widzów programu, jadąc samochodem, zauważył mężczyznę, który przypominał Mitchella. Było to na przedmieściu Sandy; mężczyzna szedł State Street, ruchliwą, sześciopasmową arterią łączącą północ i południe hrabstwa Salt Lake. Miał na sobie znoszone białe szaty i sandały. Towarzyszyły mu kobieta w średnim wieku oraz nastoletnia dziewczynka, obie podobnie ubrane. Kierowca zatelefonował na policję.

Niedługo potem podjechał radiowóz. Policjanci Karen Jones i Troy Rasmussen zatrzymali dziwnie ubraną trójkę. Mężczyzna, noszący gęstą brodę przyprószoną siwizną i kwiaty w rozczochranych włosach, przedstawił się jako Peter Marshall. Chciał sam rozmawiać z funkcjonariuszami w imieniu swoich dwóch towarzyszek, nieudolnie przebranych dla ukrycia tożsamości (nosiły okulary przeciwsłoneczne i tanie siwe peruki). Na bezpośrednie pytanie nastolatka zaprzeczyła, jakoby nazywała się Elizabeth Smart, i podała nazwisko Augustine Marshall. Powiedziała, że ma osiemnaście lat, a brodaty mężczyzna to jej ojciec. Sprawiała wrażenie, jakby bała się cokolwiek powiedzieć lub zrobić bez jego wyraźnej zgody.

Jones zabrała dziewczynę na stronę i zaczęła przepytywać, ale z „Augustine" niewiele dawało się wyciągnąć. Rasmussen wspominał potem w wywiadzie dla NBC News, że rozgniewała się, kiedy zagabnął, dlaczego ma na głowie perukę. „Powiedziała, że to nie moja sprawa". Policjanci jednak nie odpuścili. Po czterdziestu pięciu minutach wypytywania, czy nazywa się Elizabeth Smart, dziewczyna, niemal ze łzami, odrzekła: „Ty powiadasz" (tymi słowami Jezus zwrócił się do Piłata, pytającego, czy jest królem żydowskim).

Ale nawet kiedy siedziała bezpieczna na tylnym siedzeniu radiowozu i kiedy wieziono ją do komisariatu, by wreszcie mogła wrócić do swojego prawdziwego ojca, dziewczyna niepokoiła się, co będzie z Mitchellem i Barzee. „Jej pierwsze pytanie – opowiadała Jones – brzmiało: »Co się z nimi stanie? Czy nic im nie zrobią?«. Nie chciała, żeby mieli kłopoty, żeby ktoś ich skrzywdził. […] Po chwili zaczęła płakać. Płakała przez całą drogę".

Wielu pytało, jakim cudem Brian David Mitchell zdołał tak bardzo podporządkować sobie dziewczynkę i dlaczego przez dziewięć miesięcy w niewoli Elizabeth nie próbowała uciekać. Odpowiedzi mogłaby udzielić Julie Adkison, młoda mormonka, która poznała Mitchella siedemnaście miesięcy przed uprowadzeniem Elizabeth Smart. Miała dwadzieścia lat, pracowała w sklepie z obuwiem

w galerii handlowej Fashion Place w Salt Lake City. Mitchell zjawił się tam pewnego razu, szukał sandałów. Zaczął jej opowiadać o swoich rozmowach z Bogiem. Niedługo później przekazał jej spisaną propozycję małżeństwa: Pan, jak twierdził, przeznaczył mu Julie na drugą żonę. Adkison odmówiła, ale nie przestała widywać się z Mitchellem. Pamięta, jak kiedyś przez ponad pięć godzin siedziała z nim na ławce w parku i zafascynowana słuchała jego wykładu o mormońskiej teologii. W wywiadzie dla „Newsweeka" tłumaczyła: „Opowiadał o rzeczach, na których się wychowywałam. […] Chciałam sobie pójść, ale nie mogłam, po prostu siedziałam zasłuchana". Przyznała też, że nie wiedziała, co by się stało, gdyby była równie młoda i podatna na wpływ starszych jak Elizabeth Smart.

Mimo traumatycznych przeżyć w niewoli Elizabeth zdołała szybko dojść do siebie. Jej ojciec zastrzegał, że dziewczynkę czeka „długa droga", ale dodawał, że odkąd wróciła na łono rodziny, radzi sobie zaskakująco dobrze. David Hamblin, biskup lokalnego zboru Smartów, nazwał Elizabeth „czystą w oczach Pana", bez względu na to, co zrobił jej Mitchell.

Zdaniem Dana Lafferty'ego Elizabeth „wydobrzeje za jakieś parę miesięcy". Do całej historii Dan ma jednak podobne podejście jak porywacz – nic dziwnego, obu wszak łączy podobna żarliwość religijna.

– Wiadomość o odnalezieniu Elizabeth była dla mnie radosnym zaskoczeniem – zastrzega co prawda, ale zarazem podkreśla: – Całe doświadczenie musiało otworzyć jej oczy – toteż nigdy już nie będzie „taka jak przedtem". I, co niepokojące, Lafferty uważa to za „prawdziwe błogosławieństwo".

David Brian Mitchell po aresztowaniu powtarzał uparcie, że nie zrobił nic złego. Zmuszenie czternastoletniej dziewczynki do poligamii nie było przestępstwem, gdyż „zażądał tego Bóg". Za pośrednictwem adwokata wydał oświadczenie, wedle którego Elizabeth „wciąż jest jego żoną, wciąż ją kocha i wie, że ona wciąż kocha jego".

Dan Lafferty nie był pierwszym, który odgadł, że porywaczem jest mormoński fundamentalista. Krótko po uprowadzeniu Elizabeth (dziewięć miesięcy przed domysłami Lafferty'ego), Flora Jessop z Phoenix w Arizonie wysłała e-mail do prasy i telewizji. Spekulowała, że sprawcą jest poligamista. Podpowiadał jej to „instynkt", ale i osobiste doświadczenie: Jessop dorastała w Colorado City w poligamicznej rodzinie. Miała dwadzieścioro siedmioro rodzeństwa. W wieku czternastu lat oskarżyła własnego ojca o molestowanie seksualne, sędzia uznał jednak, że kłamie, i oddalił pozew. W reakcji na całą sprawę przywódcy Kościoła FLDS umieścili Jessop na dwa lata w domu krewnych. Uparta, silna dziewczyna sprawiała im jednak tak wiele kłopotów, że w końcu władze kościelne postawiły jej ultimatum.

– Powiedzieli, że albo wyjdę za faceta, którego mi wybrali, jednego z moich braci stryjecznych, albo wsadzą mnie do stanowego szpitala psychiatrycznego.

Wybrała małżeństwo, po czym przy pierwszej sposobności uciekła z Colorado City. Dziś ma trzydzieści cztery lata i jako założycielka organizacji Pomoc Nieletnim Pannom Młodym zajmuje się zwalczaniem poligamii.

Jessop z ogromną ulgą przyjęła odnalezienie Elizabeth Smart. To cudowne, mówi, że dziewczynka może liczyć na tak wielkie wsparcie. Zarazem jednak Jessop przypomina inną sprawę, o której alarmowała władze przeszło rok przed porwaniem Elizabeth.

Ruby Jessop, siostra Flory, miała czternaście lat, kiedy przyłapano ją, jak całowała się z chłopcem. Za ten grzech, niewybaczalny w Colorado City, kazano jej poślubić jednego ze swoich starszych krewnych, którego skądinąd nienawidziła. Ceremonii przewodniczył Warren Jeffs. Ruby, podobnie jak

Elizabeth, została brutalnie zgwałcona zaraz po weselu; krwawiła obficie przez całą „noc poślubną". Próbowała uciec od męża. Myślała, że schronienie znajdzie w domu jednego ze swoich braci. W maju 2001 roku wywabili ją stamtąd jednak podstępem członkowie Kościoła FLDS i trafiła przed oblicze swojego ojczyma Freda Jessopa, członka rady proroka (właśnie w domu Freda siedemnaście lat wcześniej przetrzymywano Florę Jessop).

Flora, która od wielu lat już nie mieszkała w Colorado City (uciekła stamtąd w dniu narodzin Ruby, 3 maja 1986 roku), zawiadomiła szeryfa o uprowadzeniu siostry. Zastępca szeryfa zjawił się, by zbadać sprawę, przywódcy Kościoła przekonali go jednak, że dziewczynka jest „na wakacjach". Flora wpadła we wściekłość. Zdwoiła wysiłki, próbowała przekonać władze stanowe do podjęcia działań. Dzięki jej staraniom miesiąc później Wydział do Spraw Dzieci i Rodziny stanu Utah nakazał członkom Kościoła FLDS przywieźć Ruby do pobliskiego miasta St. George na spotkanie z pracownikami socjalnymi. Ci odbyli wywiad z dziewczynką w obecności jej porywaczy. Ruby zapewniła, że „wszystko jest w porządku", i na tym sprawa się skończyła. Flora nadal próbowała pomóc siostrze, ale po roku 2001 wszelki słuch o niej zaginął: Ruby zniknęła w szeregach fundamentalistycznej sekty.

Inna działaczka zajmująca się walką z wielożeństwem, Lorna Craig, jest wściekła i zdumiona obojętnością stanu Utah na sprawę Ruby – zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, jak wiele energii włożono w odnalezienie Elizabeth Smart i jej porywaczy. Craig zauważa, że obie dziewczynki były w tym samym wieku, kiedy zostały uwięzione i zgwałcone przez „fanatycznych poligamistów". Główna różnica polega na tym, że „Elizabeth była poddawana praniu mózgu przez dziewięć miesięcy", Ruby natomiast „od urodzenia". Mimo wszelkich podobieństw między obiema tymi historiami porywacze Elizabeth zostali aresztowani i oskarżeni o gwałt, uprowadzenie i włamanie, natomiast Ruby „musiała wrócić do porywaczy. Nie przeprowadzono porządnego śledztwa, nie postawiono nikomu zarzutów".

Zdaniem Craig wyjaśnieniem jest fakt, że Ruby przyszła na świat we wspólnocie, której od dziesiątków lat pozwala się łamać prawa stanowe i federalne. W Colorado City poligamię praktykuje burmistrz, każdy z policjantów oraz sędzia. Wszyscy są ślepo posłuszni prorokowi.

– Ofiary molestowania nie mają się do kogo zwrócić – dowodzi Craig. – Małe dziewczynki krzywdzi się, wmawiając im, że aby zostały zbawione, muszą uprawiać seks z żonatym mężczyzną. – I dodaje: – Mamy tu do czynienia ze zwyczajnym przestępstwem, a nie żadnymi praktykami religijnymi.

5

Drugie wielkie przebudzenie

> Na zachód od Appalachów rzadko trafiali się bystrzy duchowni kształceni w seminariach. Nie brakowało natomiast uzdrowicieli i objazdowych kaznodziejów, zdolnych wywołać u publiczności prawdziwą religijną gorączkę. […]
> I właśnie w takiej zielonoświątkowej atmosferze, gdy Ameryka wydała więcej proroków niż kiedykolwiek wcześniej, dorastał Joseph Smith.
>
> Fawn Brodie, *No Man Knows My History*

Krótko po odnalezieniu Elizabeth Smart i aresztowaniu Briana Davida Mitchella agentom FBI wpadła w ręce niewielka, dwudziestosiedmiostronicowa broszura, napisana przez Mitchella dwa miesiące przed porwaniem. Nosiła tytuł *Księga Emmanuela Dawida Izajasza* i zawierała rzekomą treść boskiego komunikatu przekazanego Emmanuelowi-Mitchellowi. Bóg ogłaszał powołanie nowego fundamentalistycznego Kościoła Siedmiu i Jednego Diamentów, który miał się stać „świetlistym diademem prawdy". Według broszury Emmanuel-Mitchell był „wybranym […], silnym i potężnym". Pan postawił go na czele nowego Kościoła, „prawdziwego, żywego i wywyższonego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich". *Księga Emmanuela Dawida Izajasza* wyjaśniała ponadto, że Bóg „przez kolejnych proroków przekazał […] Świętemu Kapłaństwu klucz i władzę do zbawienia ludzkości". Prorokami byli Adam, Noe, Abraham, Mojżesz, Jezus i wreszcie „Joseph Smith junior oraz Emmanuel Dawid Izajasz, po nim zaś nie będzie już następnych aż do końca świata".

Aby zrozumieć Briana Davida Mitchella – a także Dana Lafferty'ego, Toma Greena oraz poligamistów z Bountiful i Colorado City – trzeba najpierw przyjrzeć się ich wierze, nadaje ona bowiem sens i porządek każdemu aspektowi ich życia. Ojcem tej wiary jest wspomniany już Joseph Smith junior, założyciel Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Od jego śmierci minęło przeszło półtora wieku, lecz Joseph wciąż włada mormonami i mormońskimi fundamentalistami. „Podziwiam Josepha Smitha – mówi Dan Lafferty, a w jego spojrzeniu pojawia się ogień. – Nikt nigdy mu nie dorównał".

Joseph wyłania się z mgły dziejów jako jedna z najniezwyklejszych postaci w amerykańskiej historii i nie ma tu znaczenia, czy wyznanie, któremu dał początek, traktuje się jako jedynie słuszną religię, czy też jako niedorzeczną baśń. „Mimo wszystkich swoich wad Smith był autentycznym religijnym geniuszem, wyjątkowym człowiekiem w historii naszego kraju. […] Zarazem, biorąc pod uwagę, jak wielką odegrał rolę i jak skomplikowane były jego losy, wiemy o nim zbyt mało", pisał Harold Bloom w książce *The American Religion*.

Joseph przyszedł na świat 23 grudnia 1805 roku w Vermoncie. Jego ojciec, Joseph Smith senior, stracił wszystkie oszczędności na nieudanym eksporcie żeń-szenia do Chin. Bankructwo i długi zmusiły go do zajęcia się pracą na roli. Wraz z całą rodziną żył skromnie z niewielkiego, kamienistego i ledwo nadającego się na uprawę poletka, które łaskawie wydzierżawił mu teść.

Nowa Anglia była wówczas pogrążona w długotrwałej recesji i przez całe dzieciństwo Josepha juniora rodzina klepała biedę. Smithowie nieustannie próbowali jednak odmienić swój los. Zanim Joseph skończył jedenaście lat, przeprowadzili się pięć razy. W końcu osiedli w Palmyrze, mieście liczącym

cztery tysiące mieszkańców, położonym w zachodniej części stanu Nowy Jork, niedaleko budowanego wówczas kanału Erie. Budowa kanału, najambitniejsze dzieło inżynierskie tamtej epoki, wywołała potężny, choć krótkotrwały, boom w lokalnej gospodarce, a Joseph senior pragnął z niego skorzystać.

Kiedy czternaście lat później początkujący prorok zaczął zyskiwać coraz większy rozgłos, gazeta „Reflector" w numerze z 1 lutego 1831 roku opisała w kąśliwym tonie przybycie Smithów do Palmyry:

> Joseph Smith senior, ojciec osoby, o której tu piszemy, popadł – czy to za sprawą nieszczęśliwego zrządzenia losu, czy też innych okoliczności – w skrajne ubóstwo, nim osiedlił się na zachodzie stanu Nowy Jork. Rodzinę miał liczną, składającą się z dziewięciorga albo też dziesięciorga dzieci, Joseph junior był zaś trzeci lub czwarty w kolejce do dziedziczenia. Nie zdołaliśmy ustalić, czy którykolwiek z członków rodziny zasłynął czymś innym aniżeli ignorancją bądź głupotą lub – by oddać sprawiedliwość starszej gałęzi rodu – skłonnością do zabobonów i wszystkiego, co „nadnaturalne".

To ostatnie dotyczy duchowego entuzjazmu rodziców Smitha, zwłaszcza jego matki, Lucy Mack Smith. „Lucy miała żywy umysł, ale brakowało jej wykształcenia", pisze Fawn Brodie w swojej rewelacyjnej (choć budzącej kontrowersje) biografii Josepha Smitha.

> Czuła pociąg do mistycyzmu, charakterystyczny dla osób wyzwolonych nagle spod władzy i dyscypliny Kościoła. […] Wierzyła w osobowego Boga, z którym rozmawiała, jak gdyby był członkiem rodziny. Jej religijność miała charakter intymny, domowy. Bóg, stale obecny, nawiedzał ją w snach, czynił cuda i karał grzeszników, niszcząc im plony.

Mały Joseph swój zapał do teologii niewątpliwie zawdzięczał Lucy. Oboje, i matka, i syn, byli pod silnym wpływem epoki. Po wojnie o niepodległość młoda republika przeszła okres duchowego chaosu. Spora część obywateli odwróciła się od uznanych Kościołów. W pierwszych dekadach XIX stulecia przez Stany Zjednoczone przetoczyła się fala eksperymentów religijnych, określona później mianem drugiego wielkiego przebudzenia (porównać można ją do tego, co działo się w latach siedemdziesiątych XX wieku – minus LSD i paczulka). Szczególnie silny ferment powstał niedaleko granic rozrastającego się kraju i na zachodzie stanu Nowy Jork. Okolicę Palmyry nazywano wówczas „spalonym okręgiem" – ludzie czuli w powietrzu ostry zapach siarki, nadejście apokalipsy było kwestią czasu. „Nigdy w całej historii Zachodu koniec świata nie wydawał się tak bliski – pisał mormoński historyk Hyrum L. Andrus. – Nigdy wcześniej ludzie nie wyczekiwali go z taką tęsknotą i nadzieją. Spodziewano się, że najpóźniej za dwie dekady nastanie epoka wiecznego pokoju". I właśnie w tej gorącej, szalonej atmosferze Joseph Smith wydał na świat największą amerykańską religię.

Młodzieńcem był poważnym i pogodnym, łatwo się nudził. Nie zamierzał iść w ślady ojca i dzień w dzień tyrać na roli. Zdolności swe pragnął spożytkować w znacznie bardziej spektakularny sposób. Do szkoły chodził co prawda tylko przez kilka lat, ale obdarzony był bystrym umysłem i niesamowitą wyobraźnią. Jak wielu samouków, pociągały go Wielkie Pytania. Długie godziny spędzał na dumaniu o boskiej naturze, o sensie życia i śmierci, na rozważaniu wad i zalet rozmaitych konkurujących wyznań religijnych. Był towarzyski, przystojny i dobrze zbudowany, urzekał kobiety i mężczyzn, zarażał entuzjazmem. Potrafiłby sprzedać psu kaganiec.

Niekiedy trudno wyraźnie odróżnić religię od przesądu. Dotyczy to zwłaszcza epoki drugiego wielkiego przebudzenia i teologicznego zamętu, pośród którego dorastał Joseph. Duchowa ciekawość przyszłego proroka zaprowadziła go do krain po obu stronach tej niewyraźnej granicy: przez jakiś czas fascynował się na przykład nekromancją. Za pomocą czarnej magii i wpatrywania się w kryształy (czego nauczył go ojciec) szukał ukrytych skarbów. Wiele lat później wyparł się tych okultystycznych zainteresowań, niemniej jego młodzieńczy flirt z ludową magią miał duży wpływ na religię, którą wkrótce założył.

Choć „wykopywanie pieniędzy” (jak nazywano ten zwyczaj) było nielegalne, plebs Nowej Anglii i prowincji stanu Nowy Jork chętnie mu się oddawał. W lasach otaczających Palmyrę znajdowało się wiele indiańskich miejsc pochówku, a w nich stare kości i artefakty, niektóre wykonane z metali szlachetnych lub półszlachetnych. Nie powinno zatem dziwić, że Joseph, chłopiec o nadaktywnym umyśle i naturze marzyciela, snuł plany wzbogacenia się dzięki złotu wykopanemu na pobliskim polu albo wzgórzu.

Na poważnie zajął się szukaniem skarbów dwa lata po przeprowadzce rodziny do Palmyry. Krótko przed swoimi czternastymi urodzinami usłyszał o Sally Chase, dziewczynie z okolicy, wieszczce obdarzonej ogromnym talentem. Sally miała podobno magiczny „widzący kamień”, który pozwalał jej „widzieć wszystko, co przed innymi ukryte”. Joseph tak długo męczył prośbami swoich rodziców, aż w końcu pozwolili mu złożyć dziewczynie wizytę.

Jej widzący kamień okazał się niewielkim zielonkawym kamykiem. W ramach demonstracji umieściła go w kapeluszu, następnie kazała Josephowi włożyć do kapelusza twarz. Gdy to uczynił, nawiedziła go magiczna wizja. Ujrzał między innymi mały biały kamień „znajdujący się daleko stąd. Kamień lśnić zaczął, aż wzrok mi poraził. Nie minęła chwila, a jaśniał niczym słońce w południe”. Odszukał drzewko, pod którym kamień był ukryty, zaczął kopać i tak oto „nie bez trudu i znoju” wszedł w posiadanie widzącego kamienia (później odnalazł jeszcze dwa inne).

Wkrótce zaczął robić karierę jako jasnowidz. Chętnych na jego usługi nie brakowało; inkasował spore pieniądze u okolicznych właścicieli ziemskich za pomoc w znalezieniu ukrytych skarbów. W roku 1825 sława Josepha dotarła aż do Pensylwanii: pewien farmer, starzec nazwiskiem Josiah Stowell, przyjechał stamtąd, by spotkać się z Josephem. Ten musiał zrobić na nim niemałe wrażenie, Stowell zaproponował mu bowiem wyprawę do doliny Susquehanna, gdzie wedle legendy Hiszpanie znaleźli przed wiekami żyłę srebra. Smith miał ją odszukać dzięki swoim widzącym kamieniom. Wynagrodzenie otrzymał szczodre: czternaście dolarów miesięcznie (więcej niż płaca robotnika pracującego przy budowie kanału Erie), do tego wyżywienie i dach nad głową.

Znamy te wszystkie szczegóły, gdyż zachowały się w aktach sądowych procesu wytoczonego Smithowi przez stan Nowy Jork w marcu 1826 roku. Młody jasnowidz został skazany za „oszustwo i sianie niepokoju”. Co prawda pracował z zapałem i posługiwał się najlepszymi z możliwych narzędzi, ale nie zdołał odnaleźć kopalni srebra. W końcu wydało się, że przez ostatnich sześć lat ani razu nie odkopał prawdziwych skarbów, i na wieść o tym jeden z bratanków Stowella wszedł na drogę sądową, zarzucając Josephowi naciągactwo.

Proces i towarzyszące mu niepochlebne artykuły prasowe położyły kres karierze Josepha. Licznym krytykom odpowiadał, że zamierza na zawsze porzucić jasnowidztwo, ale osiemnaście miesięcy później jego los raz jeszcze się odmienił za sprawą widzących kamieni i czarnej magii. Niedaleko swego domu w Palmyrze odkrył zakopany skarb, a echa tego wydarzenia po dziś dzień odbijają się w Ameryce.

Pewnej jesiennej nocy roku 1823 siedemnastoletni Joseph leżał w sypialni, gdy nagle izbę wypełniło nieziemskie światło. Z jasności wyłonił się anioł imieniem Moroni. Boży posłaniec opowiedział Josephowi o świętym tekście wyrytym na płytkach ze złota, zakopanych czternaście wieków wcześniej pod kamieniem na pobliskim wzgórzu, i ostrzegł, że na razie nie wolno ich nikomu pokazywać, wykorzystywać dla własnego zysku ani szukać.

Następnego ranka Joseph udał się na wskazane wzgórze, szybko odnalazł charakterystyczny kamień

i zaczął kopać. Znalazł skrzynię składającą się z pięciu płaskich kamieni złączonych zaprawą, a w skrzyni złote płytki, spięte trzema pierścieniami. Podniecony zapomniał jednak o przestrodze Moroniego, że „nie nadszedł jeszcze czas ich wyjęcia". Włożył dłoń do środka, a płyty natychmiast rozwiały się jak kamfora, Josephem zaś potężna siła cisnęła o ziemię. Przyznawał później, że w tamtej chwili zawładnęła nim chciwość, toteż anioł „musiał mnie skarcić".

Moroni jednak najwyraźniej postanowił dać Josephowi drugą szansę. Kazał chłopakowi wracać w to samo miejsce (później nazwane wzgórzem Kumorah) co roku w tym samym dniu – 22 września. Joseph posłusznie stawiał się tam rok w rok i otrzymywał od Moroniego kolejne instrukcje dotyczące złotych płyt.

Samych płyt jednak, ku swemu rozczarowaniu, nie otrzymał. Dopiero podczas corocznego widzenia w 1826 roku Moroni dał mu powód do optymizmu. Anioł oświadczył, że jeśli Joseph „postępować będzie zgodnie z życzeniem Pana, płyty dostanie w dwudziestym drugim dniu września roku następnego, jeśli zaś nie, nigdy mu nie będzie dane ich posiadać". Patrząc w swój najlepszy widzący kamień, Joseph dowiedział się ponadto, że z woli Boga ma poślubić niejaką Emmę Hale i następnym razem udać się na wzgórze razem z nią.

Emma była sąsiadką Josiaha Stowella. Joseph poznał ją rok wcześniej, kiedy to bez skutku poszukiwał kopalni srebra. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Joseph kilkakrotnie udawał się do domu rodziny Hale w odwiedziny i prosił o rękę Emmy. Jej ojciec, Isaac Hale, zdecydowanie sprzeciwiał się małżeństwu, zwłaszcza z powodu niechlubnej przeszłości Josepha, parania się jasnowidztwem i całkiem świeżego wyroku sądowego.

Josepha sytuacja ta przygnębiała i niecierpliwiła. Zbliżał się kolejny wrzesień: jeśli do tego czasu on i Emma nie będą małżeństwem, Moroni raz na zawsze odbierze mu szansę odnalezienia złotych płyt. Od zaprzyjaźnionego jasnowidza Joseph pożyczył więc konia oraz sanie i raz jeszcze udał się w podróż do Pensylwanii. 18 stycznia 1827 roku nakłonił Emmę do wspólnej ucieczki i ślubu wbrew woli ojca.

Osiem miesięcy później, krótko po północy w wyznaczonym dniu Joseph i Emma udali się na wzgórze Kumorah. Joseph już czterokrotnie musiał wracać z pustymi rękami. Tym razem nie pozostawił niczego przypadkowi. Zgodnie z prastarymi regułami nekromancji para ubrała się na czarno, a liczący pięć kilometrów dystans między domem Josepha a wzgórzem pokonali czarnym powozem zaprzężonym w czarne konie. Pośród nocy, wysoko na stromym zachodnim zboczu wzgórza Joseph zaczął kopać. Emma stała obok, odwrócona do męża plecami. Po paru chwilach Joseph znów odnalazł tę samą kamienną skrzynię, której nie pozwolono mu zabrać cztery lata wcześniej. Tym razem Moroni zgodził się mu ją powierzyć.

W skrzyni znajdowała się „święta księga napisana na złotych płytach, która opisywała dawnych mieszkańców tego kontynentu oraz ich pochodzenie". Każda z płyt mierzyła, według Josepha, „sześć cali wszerz i osiem cali wzdłuż, a cieńsza była od zwyczajnej blachy. Na owych płytach wyryte były staroegipskie znaki, wszystkie zaś były razem spięte trzema kółkami niczym karty książki". „Książka" ta miała grubość około piętnastu centymetrów.

Joseph zabrał płyty do domu. Dziewiętnastu świadków potwierdziło później, że je widziało. Ośmiu zgodnie przysięgło we wstępie do Księgi Mormona, że Joseph „pokazał nam płyty, o których mowa, a które wyglądały na zrobione ze złota […]. Dotykaliśmy [ich] naszymi rękoma i widzieliśmy wyryte na nich znaki. Wszystko to miało wygląd starożytny i było osobliwej roboty".

Tekst pisany był co prawda w nieznanym, martwym języku, rzekomo „zreformowanym egipskim”, Moroni jednak sprezentował Josephowi „tłumaczy”: niezwykłe okulary, dzięki którym dziwaczne hieroglify stawały się zrozumiałe. Joseph mógł zatem rozpocząć pracę nad tłumaczeniem. Dyktowany przekład spisywał jego sąsiad Martin Harris. Po dwóch miesiącach żmudnej roboty ukończyli pierwszą wersję tłumaczenia, liczącą sto szesnaście stron, i postanowili nieco odpocząć. Moroni zabrał złote płytki oraz magiczne okulary, Harris zaś poprosił Josepha o pożyczenie rękopisu, gdyż chciał pokazać go swojej żonie, sceptycznie nastawionej do całego przedsięwzięcia. Joseph niechętnie wyraził zgodę.

I wtedy doszło do nieszczęścia: Harris zgubił rękopis. Powszechnie uważa się, że jego małżonka, rozwścieczona nonsensownym przedsięwzięciem męża, ukradła i zniszczyła przekład. Joseph w każdym razie był zdruzgotany. „Dobry Boże! – wołał. – Wszystko przepadło!” Zdawało się, że nadszedł przedwczesny i bezowocny kres jego świętej misji.

Dużo się modlił i okazywał skruchę, aż we wrześniu 1828 roku Moroni zwrócił mu płytki i Joseph znów mógł zabrać się do tłumaczenia. Tym razem skrybą została Emma (później zastępowali ją inni)[18]. Anioł nie oddał jednak okularów, Joseph musiał zatem posługiwać się swoim ulubionym widzącym kamieniem: brązowym minerałem w kształcie jajka, który odkrył w roku 1822 roku osiem metrów pod ziemią, podczas kopania studni wraz z ojcem Sally Chase.

Dzień po dniu Joseph umieszczał magiczny kamień w kapeluszu, kładł obok złotą płytkę, wsadzał do kapelusza twarz i zaczynał dyktować kolejne zdania przychodzące ku niemu z ciemności. Pracował w szalonym tempie. Tłumaczył średnio trzy tysiące pięćset słów dziennie, aż pod koniec czerwca 1829 roku ukończył przekład.

Rękopis zaniósł do wydawcy gazety „Wayne Sentinel” wychodzącej w Palmyrze i zamówił druk oraz oprawę pięciu tysięcy egzemplarzy. Jak na wydawaną własnym sumptem książkę nieznanego szerzej autora był to ogromny nakład. Joseph najwyraźniej wiązał ze swoim przekładem wielkie nadzieje. Zamierzał brać dolara i dwadzieścia pięć centów za egzemplarz – cena niewygórowana, ale i tak dwukrotnie wyższa od przeciętnej dniówki okolicznych pracowników.

Sceptyczny wydawca zażądał trzech tysięcy dolarów zaliczki. Joseph nie dysponował taką gotówką. Jak zawsze, kiedy natrafiał na przeszkodę nie do pokonania, zwrócił się o pomoc do Boga. Pan odpowiedział, że jego wolą jest, aby rachunek zapłacił Martin Harris. Za pośrednictwem Josepha przekazał Harrisowi, co następuje:

> Nakazuję ci, abyś nie pożądał tego, co twoje, lecz dobrowolnie pokrył koszta publikacji. […] Zaprawdę nieszczęście wielkie cię czeka, jeśli poleceń tych nie usłuchasz: zginiesz i przepadną wszystkie dobra twoje. […] Spłać drukarza!

Harris był wcześniej marionetką Josepha, ale praca nad tłumaczeniem sporo go kosztowała: poirytowana całym przedsięwzięciem żona zażądała rozwodu. Początkowo nie chciał słuchać Josepha, jednak sprzeciwienie się woli boskiej mogło mieć nieprzyjemne konsekwencje. Ostatecznie Harris niechętnie zgodził się sprzedać swoją farmę i sfinansować publikację.

Dziewięć miesięcy po ukończeniu przekładu licząca pięćset osiemdziesiąt osiem stron książka wyszła spod prasy drukarskiej i trafiła do sprzedaży w należącej do wydawcy księgarni w Palmyrze. Kilka dni później, 6 kwietnia 1830 roku, Joseph założył Kościół, znany dziś pod nazwą Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Jego świętą księgą był przekład tekstu zapisanego na złotych płytkach, noszący tytuł Księga Mormona.

6

Kumorah

> Swojej siły oddziaływania mormonizm nie zawdzięczał subtelnej teologii. Źródłem jego popularności było co innego: złote płytki, przetłumaczone w postaci książki pisanej biblijnopodobnym językiem. Joseph Smith (podobnie jak wielu przywódców wyznań powstających w tamtym okresie) instynktownie pojmował, że wielu Amerykanów, po części z powodu powszechnego wówczas entuzjazmu dla nauki, chętnie słuchało proroków, których świadectwo miało rzekomo empiryczne podstawy.
>
> R. Laurence Moore, *Religious Outsiders and the Making of Americans*

Jak w XIX stuleciu, tak i dziś wzgórze Kumorah to jedno z najświętszych miejsc religii mormońskiej, cel masowych pielgrzymek. Mormoni z Utah, przyzwyczajeni do trzytysięczników regionu Wasatch Front wgryzających się w niebo nad placem Świątynnym i Miastem Świętych niczym zęby Boga, są zapewne rozczarowani maleńkim pagórkiem. Owa pozostałość po epoce lodowcowej ma wysokość około trzydziestu metrów i jest w większości pokryta nudną zielenią.

W okolicy nie ma jednak wyższego wzniesienia. Widać stamtąd połyskujące w letniej mgle biurowce odległego o ponad trzydzieści kilometrów Rochester. Na szczycie wzgórza powiewa amerykańska flaga, niedaleko stoi ogromny posąg przedstawiający anioła Moroniego. Nieuładzony las, porastający niegdyś zbocze u stóp anioła, został wykarczowany, a w jego miejsce pojawiły się starannie wypielęgnowane trawniki. Gdzieś tu sto siedemdziesiąt pięć lat temu Joseph Smith odkopał słynne płyty ze złota.

Jest parny lipcowy wieczór. Ponad dziesięć tysięcy świętych tłoczy się na łące u podnóża Kumorah. Przygotowano już dla nich długie rzędy plastikowych krzeseł przed ogromną sceną, wielką jak pół boiska futbolowego, otoczoną stalowym lasem wysokich na piętnaście metrów wież z reflektorami. Wszystko to – scena, reflektory, krzesła, mormoni – pojawia się tu każdego lata. O zmroku zacznie się coroczny Festiwal Wzgórza Kumorah – Amerykańscy Świadkowie Chrystusa.

Według materiałów promocyjnych publikowanych przez Kościół LDS festiwal to „największe i najbardziej spektakularne wydarzenie teatralne na wolnym powietrzu w Ameryce, […] wspaniała produkcja dla całej rodziny”. Efekty specjalne jak z Hollywood: „wulkany, kule ognia i eksplozje oraz efekty dźwiękowe jak z filmu *Trzęsienie ziemi*. Prorok płonie na stosie. Błyskawica uderza w maszt okrętu. W scenie narodzin Jezusa za gwiazdę służy lampa łukowa o temperaturze barwowej 5000 K (uzyskano zgodę Federal Aviation Administration). Chrystus ukazuje się na nocnym niebie, zstępuje na ziemię, naucza, w finale zaś powtórnie unosi się ku niebiosom i znika”. Festiwal odbywa się tu od roku 1937, trwa tydzień i każdego wieczora przyciąga ogromne tłumy. Wstęp jest wolny.

Zapada zmierzch. Kojąca muzyka Orkiestry Symfonicznej Utah i Mormońskiego Chóru Tabernakulum sączy się z głośników i płynie ponad łąką. Dwa zastępy policjantów kierują ruchem na ogromnym pastwisku, pełniącym teraz funkcję parkingu. Z samochodów i wynajętych autokarów wylewa się rzeka świętych. Gdy przecinają szosę numer 21 w drodze ku łące u stóp wzgórza Kumorah, mijają grupki ponurych antymormońskich demonstrantów.

Demonstranci, członkowie rozmaitych Kościołów ewangelikalnych, trzymają malowane ręcznie transparenty i wykrzykują hasła w rodzaju: „Joseph Smith był brudnym alfonsem!”, „Jest tylko jedna ewangelia!”, „Księga Mormona to czysta fikcja” albo: „Mormoni nie są chrześcijanami!”.

Święci po prostu ich ignorują. Nie wdają się w żadne awantury, idą dalej.

– O, dawno się już do tego przyzwyczailiśmy – mówi brat Richard, wesoły barczysty mężczyzna ze skórą pokrytą plamami wątrobowymi i pożyczką na głowie. Chwali się, że ma dwadzieścioro ośmioro wnucząt. Razem z żoną przyjechali tu dwunastometrowym kamperem marki Fleetwood Pace Arrow z Mesa w stanie Arizona. Festiwal odwiedzają już po raz ósmy. – Jak przyjdzie dzień sądu, przekonamy się, kto pójdzie do Królestwa Niebieskiego, a kto nie – dodaje Richard. – Ale tak między nami: osobiście uważam, że ci tam z transparentami nie mają większych szans. – W tym momencie jego oczy gasną na moment, a na dobrodusznej twarzy pojawia się wyraz smutnego współczucia. – Pan daje nam wybór, czy chcemy dostrzec prawdę, czy nie. Nikogo nie da się zbawić na siłę.

Kościół LDS wydaje sporo pieniędzy na organizację Festiwalu Wzgórza Kumorah. Zaprasza się tam nie tylko mormonów: spektakularny show w zamierzeniu służy również nawracaniu niewiernych. Jednak ponad dziewięćdziesiąt pięć procent przyjezdnych to członkowie Kościoła. Festiwal daje okazję do wspólnego spotkania w miejscu, z którego wywodzi się ich religia, i radowania się świadectwami wiary.

Panuje entuzjazm jak na koncercie Phish, tyle że bez alkoholu, szalonych fryzur (nie licząc pożyczki brata Richarda) i marihuany. Pierwsi widzowie zjawili się już kilka godzin temu, żeby zająć najlepsze miejsca. Rodziny rozkładają się na kocach, z lodówek turystycznych wyciąga się smażonego kurczaka i galaretkę. Nastoletni chłopcy i dziewczynki, schludnie ostrzyżeni, pokrzykując wesoło, rzucają frisbee i balony z wodą. Rzecz jasna, panuje porządek. W mormońskiej kulturze posłuszeństwo uważa się za jedną z najważniejszych cnót.

Wreszcie przychodzi wieczór i słońce znika za horyzontem w pomarańczowym blasku, wyjaskrawionym przez warstwę ozonową. Na scenie staje młody kapłan. Ma niewiele ponad dwadzieścia lat i przewodniczy żarliwej zbiorowej modlitwie. Gdy tylko kończy, rozlegają się fanfary. Olśniewające lasery przecinają nocne niebo. W tłumie wyraźnie czuć zachwyt. Podnóże Kumorah spowija chmura sztucznej mgły. Wyłania się z niej sześćset dwadzieścioro siedmioro aktorów. Maszerują na scenę, przebrani za najrozmaitsze postacie biblijne oraz za północnoamerykańskich Indian. Niektórzy mają nakrycia głowy z ogromnymi jelenimi rogami.

Nagle z siedemdziesięciu pięciu głośników rozbrzmiewa bezcielesny głos, surowy baryton, który brzmi, jakby należał do samego Pana i Stwórcy. „Oto prawdziwa historia ludu, który Bóg przygotował na przyjście zbawiciela, Jezusa Chrystusa. Jezus odwiedził swój lud tu, w Ameryce, lecz nasza opowieść zaczyna się w Starym Świecie, w Jerozolimie”.

Przez następne dwie godziny zafascynowana publiczność oglądać będzie sceniczną adaptację Księgi Mormona.

Opowieść zapisana na złotych płytkach, przetłumaczona przez Josepha Smitha i opublikowana w Księdze Mormona, mówi o starodawnym żydowskim plemieniu, na którego czele stał cnotliwy człek imieniem Lehi. Zawsze wbijał on swej trzódce do głów, że nie ma nic ważniejszego niż miłość Boga, a zasłużą na nią wyłącznie ci, którzy wypełniają wszystkie Boże przykazania.

Lehi i jego lud opuścili Jerozolimę sześćset lat przed narodzinami Chrystusa, na krótko przed zdobyciem miasta przez Babilończyków. Statkami przeprawili się do Ameryki Północnej. Niestety w Nowym Świecie dała o sobie znać długo skrywana zazdrość. Lehi zawsze wyróżniał swojego najmłodszego i najcnotliwszego syna, Nefiego, i właśnie jemu przekazał władzę w plemieniu[19]. Laman,

niegodziwy brat Nefiego, wpadł jednak we wściekłość. W rezultacie po śmierci Lehiego plemię rozpadło się na dwa zwaśnione klany: bogobojnych jasnoskórych Nefitów oraz Lamanitów. Ci ostatni byli „próżnującym ludem, pełnym chytrości i złych zamiarów", a ich czyny tak bardzo gniewały Boga, że w końcu przeklął wszystkich i za karę uczynił ich skórę ciemną.

Według Księgi Mormona niedługo po zmartwychwstaniu Jezus odwiedził Amerykę Północną, by pogodzić Nefitów i Lamanitów, a także przekazać im swą ewangelię. Klany, posłuszne Chrystusowemu przesłaniu, pogodziły się i przez następnych kilkaset lat dobrze im się wiodło, póki Lamanici nie wrócili do „niewiary i bałwochwalstwa" i nie doszło do kolejnego krwawego konfliktu.

Około 400 roku naszej ery między klanami wybuchła wojna. Nikczemni Lamanici wymordowali wszystkich Nefitów, ogółem dwieście trzydzieści tysięcy ludzi (co tłumaczy, dlaczego Kolumb nie spotkał białych, kiedy w 1492 roku przybył do Nowego Świata). Nieliczne ocalałe nefickie dzieci musiały uciec się do kanibalizmu i żywić się szczątkami swoich rodziców, by nie pomrzeć z głodu. Zwycięski klan Lamanitów przeistoczył się z czasem w amerykańskich Indian, aczkolwiek owi „czerwoni synowie Izraela" zapomnieli zupełnie o Nefitach i swoim żydowskim pochodzeniu.

Pod koniec przegranej wojny Nefitom przewodził Mormon, bohaterski człek niezwykłej mądrości. Jego syn, imieniem Moroni, był ostatnim Nefitą. Sporządzona przezeń relacja o klęsce klanu znalazła się w ostatnim rozdziale Księgi Mormona. Czternaście wieków później Moroni powrócił jako anioł i przekazał złote płytki Josephowi Smithowi. Dzięki temu świat mógł poznać nie tylko krwawą historię jego ludu, ale i drogę do zbawienia.

Jeszcze przed publikacją Księga Mormona stała się obiektem kpin i ataków. Gdy tylko Joseph zakończył przekład, anioł zabrał z powrotem złote płytki, mogące stanowić dowód autentyczności tekstu, i ślad po nich zaginął – zdaniem sceptyków całkiem wygodna wymówka. Uczeni podkreślali, że na terenie Ameryki Północnej nie odnaleziono nigdy żadnych śladów archeologicznych, które potwierdzałyby istnienie (rzekomo bardzo rozwiniętej) cywilizacji Nefitów. Co więcej, w Księdze Mormona roi się od rażących anachronizmów i sprzeczności. Na przykład w wielu miejscach mowa jest o koniach i powozach, choć na zachodniej półkuli pojawiły się one dopiero po wyprawie Kolumba. Nie istniała jeszcze stal, a tydzień nie składał się z siedmiu dni. Analizy DNA wykazały niezbicie, że amerykańscy Indianie nie wywodzą się od plemion semickich. Mark Twain określił Księgę Mormona słynnym szyderczym epitetem „chloroform w postaci drukowanej". Zwracał też uwagę, że fraza „i stało się, że" pojawia się w niej przeszło dwa tysiące razy.

Podobne kpiny i komentarze nie mają tu jednak nic do rzeczy. Przekonania religijne zawsze są funkcją nieracjonalnej wiary. Wiara zaś z definicji odporna jest na argumenty i uczoną krytykę. Ponadto w Stanach Zjednoczonych ogromną większość społeczeństwa stanowią ludzie religijni: według sondaży dziewięćdziesiąt procent Amerykanów wierzy w Boga. Ci, którzy podważają prawdziwość Księgi Mormona, nie powinni zapominać, że jest ona równie wiarygodna jak Biblia, Koran albo jakakolwiek inna święta księga. Różnica polega na tym, że tamte teksty ujrzały światło dzienne dawno, dawno temu, przez co znacznie trudniej z nimi dyskutować.

Księga Mormona cieszy się ponadto nieprawdopodobną popularnością, co z natury rzeczy przydaje jej znaczenia – trochę jak w przypadku filmów, które zostają przebojami kasowymi mimo negatywnych recenzji w nowojorskich gazetach. Według ostatnich szacunków jej łączny nakład to sto milionów egzemplarzy. Fakt ten musi robić wrażenie nawet na największych cynikach. Świadczy o symbolicznej

sile Księgi, ale też o samej opowieści. Dla wielu czytelników Księga Mormona to fascynująca lektura. Dowodem są tłumy ściągające co roku w lipcu na Festiwal Wzgórza Kumorah.

W Ameryce początków XIX wieku nieustannie natrafiano na indiańskie groby i inne pozostałości po dawnej cywilizacji. Księga Mormona wyjaśnia ich pochodzenie, elegancko godząc Pismo Święte z popularną w tamtym okresie teorią, wedle której Indianie wywodzili się od zaginionego plemienia Izraela. Dzieło Josepha sprawdzało się jako tekst religijny, ale i (dla wielu przekonująca) literacka opowieść o Nowym Świecie.

Joseph zyskiwał wyznawców, odkąd Moroni przekazał mu płyty, na długo przed publikacją książki. Martin Harris, rodzice i rodzeństwo Josepha oraz inni, którzy zaświadczyli: „widzieliśmy je i trzymaliśmy je w naszych rękach", zarażali swoim entuzjazmem coraz to kolejnych okolicznych mieszkańców. Szeregi mormonitów (jak wówczas nazywano przyszłych świętych w Dniach Ostatnich) nieustannie rosły. Kościół założony został w kwietniu 1830 roku i liczył około pięćdziesięciorga członków. Rok później było ich już ponad tysiąc.

Na nowych wyznawcach fakt, że Bóg wybrał Josepha, robił wielkie wrażenie. Bez wahania akceptowali mormonizm jako „jedyną prawdziwą wiarę na całej ziemi", a Księgę Mormona uważali za zupełnie zasadniczy dodatek do Starego i Nowego Testamentu – „najnowszy testament", pełniejszy i dokładniejszy zapis świętej historii.

Joseph głosił, że w pierwszym stuleciu po ukrzyżowaniu Jezusa chrześcijanie wybrali niewłaściwą drogę i zeszli na manowce. Określał to mianem „Wielkiej Apostazji". W rezultacie cała późniejsza katolicka i protestancka doktryna była gigantycznym kłamstwem. Szczęśliwie Księga Mormona wszystko prostowała i pozwalała odbudować prawdziwy Chrystusowy Kościół.

Główne przesłanie Księgi jest urzekająco proste. Życie zostaje przedstawione jako walka między dobrem a złem. „Istnieją tylko dwa kościoły: jeden jest kościołem Baranka Bożego, a drugi kościołem diabła, dlatego ktokolwiek nie należy do kościoła Baranka Bożego, należy do tego wielkiego kościoła, który jest macierzą niegodziwości i nierządnicą całego świata".

Księga Mormona jest ponadto na wskroś amerykańska. Ogromna część akcji dzieje się w Ameryce Północnej. W jednym z najważniejszych momentów Jezus składa wizytę w Nowym Świecie i przekazuje Dobrą Nowinę mieszkającemu tam narodowi wybranemu. Moroni wręczył złote płytki Josephowi, prawdziwie amerykańskiemu prorokowi. W jednym z późniejszych objawień Bóg poinformował ponadto Josepha, że rajski ogród znajdował się w Ameryce i tam właśnie zjawi się Jezus, kiedy powtórnie przyjdzie na ziemię.

Największą bodaj zaletę mormonizmu stanowiła obietnica niezwykle intymnej relacji między każdym z wyznawców a Bogiem. Joseph uczył wiernych, że Pan może przekazywać im swoje komunikaty bezpośrednio. Wiara w możliwość otrzymania boskiego objawienia stała się podstawą całej religii.

Bóg, rzecz jasna, regularnie kontaktował się z Josephem i wyznawcami. Nie kończyło się na Księdze Mormona. Często dyktował Josephowi nowe przykazania i modyfikował lub zupełnie zmieniał rozmaite święte reguły. Tego rodzaju komunikacja między Bogiem a urzędującym prorokiem po dziś dzień odgrywa w mormonizmie zasadniczą rolę. Treść objawień jest spisana w cienkiej książeczce zatytułowanej Nauki i Przymierza, która pod wieloma względami stała się najważniejszym ze świętych tekstów.

Poznawszy boską wolę, Joseph zabrał się do jej głoszenia. Dostał zadanie odtworzenia jedynego

prawdziwego Kościoła i miał przygotować ludzkość na powtórne przyjście Chrystusa, które zbliżało się wielkimi krokami. Powtarzał więc swym urzeczonym wyznawcom, że zostali wybrani przez Pana, są synami i córkami Izraela, świętymi w Dniach Ostatnich, a każdy i każda z nich odegra ważną rolę, nim nastanie Millenium.

7

Spokojny cichy głos

Instytucja objawienia w religii mormońskiej od samego początku powodowała problemy. Idea bezpośredniej komunikacji z Bogiem, tu i teraz, przyjmowana przez większość odłamów mormonizmu, zagrażała porządkowi społecznemu. Dlaczego tylko jeden człowiek miałby rozmawiać z Wszechmogącym? Joseph Smith, spisując swoje objawienia, rozpętał moce, nad którymi nie dało się zapanować.

Richard L. Saunders, *„The Fruit of the Branch”*, w: Roger D. Launius, Linda Thatcher, *Differing Visions. Dissenters in Mormon History*

Tak rzecze ten spokojny cichy głos, którego szept dociera i przenika wszystko, i częstokroć sprawia, że drżą kości moje, kiedy objawia, mówiąc: I stanie się, że Ja, Pan Bóg, ześlę jednego potężnego i silnego, dzierżącego berło mocy w swej ręce […] aby uporządkować dom Boży.

Nauki i Przymierza, rozdział 85

Pośród pokrytej śniegiem, słabo zaludnionej doliny Utah stoją ceglane zabudowania farmy. Znad pobliskiej rzeki podnosi się mgła. Wysoki niebieskooki człowiek siedzi za biurkiem i skupiony czyta książkę przez okulary w drucianych oprawkach. Pochyla się nad stronicami, cierpliwie waży każde słowo. Snop zimowego światła wpada przez okno i odbija się od łysej czaszki mężczyzny, otoczonej aureolą rozwichrzonych siwych włosów. Człowiek ten to Robert Crossfield, a książka, która pochłania jego uwagę, nosi tytuł *Druga Księga Przykazań*. Napisał ją on sam i opublikował jako prorok Oniasz. Druga Księga, wzorowana na Naukach i Przymierzach (czyli spisanych objawieniach Josepha Smitha), stanowi zbiór dwustu pięciu objawień otrzymanych przez Crossfielda-Oniasza od 1961 roku.

Crossfield jest mormońskim fundamentalistą i poligamistą, utrzymuje jednak, że jego wiara jest w znacznie większym stopniu oparta na zasadzie współczucia niż mormonizm Rulona Jeffsa, Winstona Blackmore’a czy Dana Lafferty’ego. Wszystkich trzech zna zresztą osobiście. Crossfield zdecydowanie odrzuca przemoc. Co prawda przekonany jest o słuszności przykazania o wielożeństwie objawionego Josephowi Smithowi, ale uważa, że mężczyzna popełnia grzech, jeśli zmusza kobiety do ślubu. Ba, grzeszy nawet, prosząc kobietę o rękę. Aby małżeństwo mogło zostać uznane, to kobieta musi wybrać partnera.

Crossfield urodził się w Kanadzie, na północy prowincji Alberta w 1929 roku. Jego ojciec, farmer, stracił wszystkie pieniądze, próbując prowadzić zagrodę na prerii na zachód od Edmonton. W wieku dziewiętnastu lat Robert zachorował na gruźlicę i spędził dziewięć miesięcy w sanatorium. Przykuty do łóżka czytał wszystko, co przynosiły mu pielęgniarki. Tak właśnie w jego ręce wpadła Księga Mormona. Chociaż nie był człowiekiem specjalnie religijnym, z nudów zabrał się do lektury.

– Na okładce Księgi Mormona znajduje się zapewnienie, że jeśli przyjmiesz ją ze szczerym sercem, Pan objawi ci prawdę przez dar Ducha Świętego. I rzeczywiście: Duch Święty przyszedł do mnie. W ten sposób zostałem członkiem Kościoła mormońskiego.

Crossfield był bardzo aktywnym i pobożnym mormonem. Wziął ślub w świątyni LDS, pracował jako księgowy, by utrzymać powiększającą się rodzinę. Aż pewnego dnia w marcu 1961 roku, kiedy mozolił się z księgą rachunkową firmy McLeod Mercantile ze Spruce Grove w prowincji Alberta, usłyszał „spokojny cichy głos Pana”, który oznajmiał, że Robert został wybrany na świętego proroka, głosiciela

słowa Bożego na Ziemi. Pierwsze otrzymane przez Roberta przesłanie dotyczyło konieczności powrotu do poligamii, nakazanej w rozdziale 132 Nauk i Przymierzy.

Kilka miesięcy później Crossfield wyprowadził się ze Spruce Grove i został zarządcą spółdzielni rolnej w Creston w Kolumbii Brytyjskiej. Creston to małe rolnicze miasto, od południa sąsiadujące z wąskim pasem stanu Idaho. Przypadkiem złożyło się, że niedaleko osiedliła się grupka fundamentalistów z UEP, powiązanych z poligamistami z Short Creek w Arizonie. Poligamiści z Creston szli za naukami proroka LeRoya Johnsona – skromnego, kochanego Wuja Roya. Crossfielda zaciekawiły plotki o „poligonach" w sąsiedztwie. Zaczął uczęszczać na ich spotkania modlitewne i od razu odnalazł w nich bratnie dusze.

Debbie Palmer miała sześć lat, kiedy Crossfield przyjechał do Bountiful. Zapamiętała go jako srogą, widmową postać o ospowatej twarzy. Często zjawiał się w jej domu i toczył z jej ojcem długie spory teologiczne. Trzymał się raczej na uboczu społeczności.

– Prorok Oniasz (wtedy zresztą chyba jeszcze posługiwał się swoim normalnym nazwiskiem) sprawiał wrażenie nieprzyjemnego dziwaka. Bałyśmy się z przyjaciółkami, że jak tylko skończymy czternaście lat, każą nam wyjść za niego za mąż.

Zdecydowanie większym szacunkiem darzyli Crossfielda Ray Blackmore, Wuj Roy, ojciec Debbie i pozostali przywódcy fundamentalistów. Podziwiali jego szczerość i prawość, wkrótce więc zaprosili go do osiedlenia się w Bountiful.

Przez cały ten czas Crossfield otrzymywał kolejne boskie objawienia. Większość ich była zgodna z naukami Wuja Roya. Bóg potwierdzał, że przywódcy Kościoła LDS „zamknęli się na głos Pana" i wyrzekli najważniejszych zasad przekazanych przez Josepha Smitha – w tym świętej zasady wielożeństwa.

Między 1961 a 1972 rokiem Crossfield otrzymał dwadzieścia trzy istotne objawienia, które zebrał w tomie zatytułowanym *Pierwsza Księga Przykazań*. Wyłożył kilka tysięcy dolarów na druk i dystrybucję swojego dzieła w księgarniach z literaturą religijną i bibliotekach w Kanadzie oraz zachodnich Stanach Zjednoczonych. Jeden z egzemplarzy trafił w ręce członka starszyzny Kościoła LDS, apostoła Marka E. Petersena.

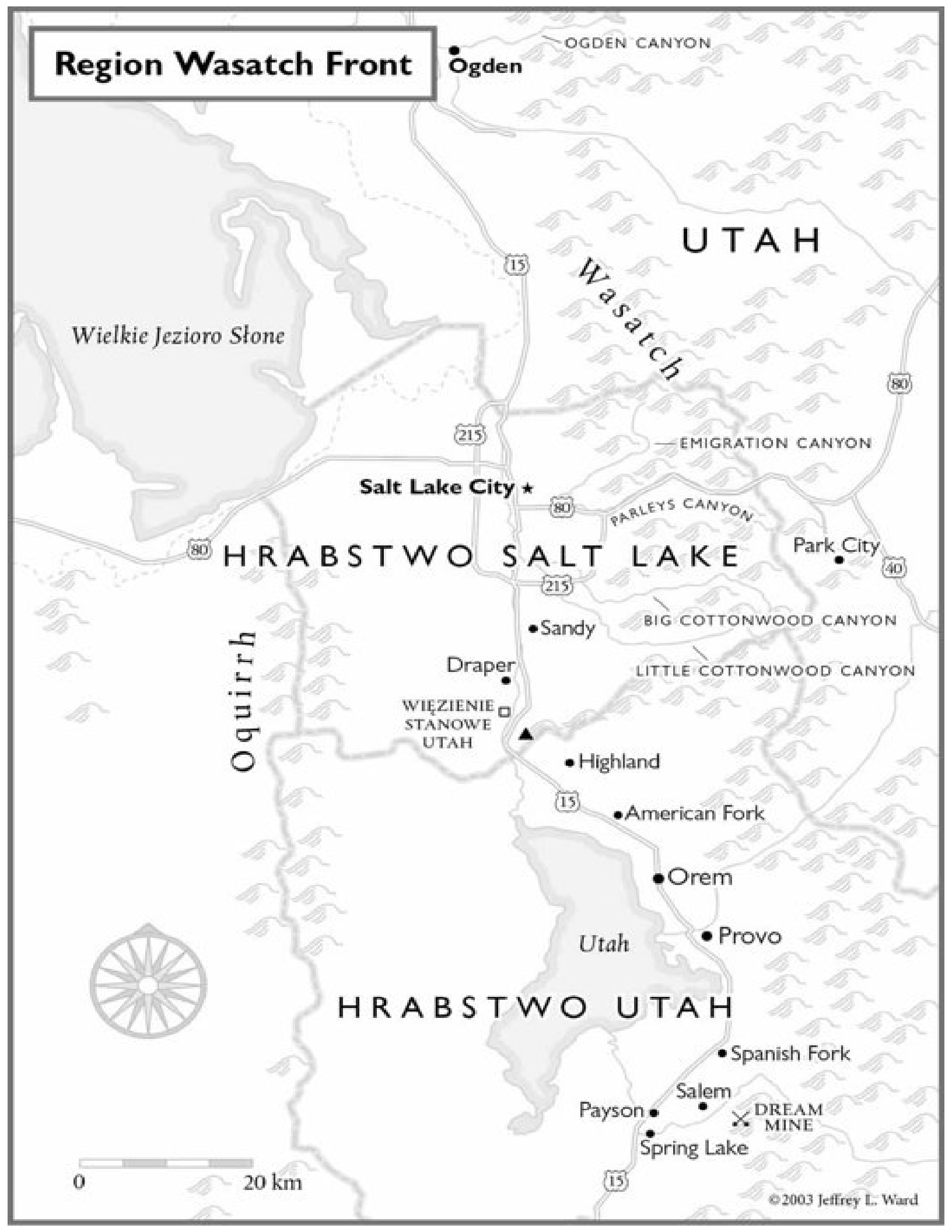
Region Wasatch Front
Ogden
OGDEN CANYON
UTAH
Wasatch
15
Wielkie Jezioro Słone
80
215
EMIGRATION CANYON
Salt Lake City ★
80
PARLEYS CANYON
80
HRABSTWO SALT LAKE
Park City
40
215
Sandy
BIG COTTONWOOD CANYON
Oquirrh
Draper
LITTLE COTTONWOOD CANYON
WIĘZIENIE STANOWE UTAH
Highland
15
American Fork
Orem
Utah
Provo
HRABSTWO UTAH
Spanish Fork
Salem
Payson
DREAM MINE
Spring Lake
15
0
20 km
©2003 Jeffrey L. Ward

– Usunięto mnie z Kościoła – tłumaczy Crossfield. – Polecenie przyszło z samej góry. Zostałem ekskomunikowany. – Z jego piersi dobywa się głęboki, ale niewesoły śmiech. – Kochałem Kościół. Nadal go kocham. Niedzielne nabożeństwa niosły mi ogromną radość. Zresztą uczęszczałem na nie długo po ekskomunice, póki w końcu mi nie zabronili.

Fundamentaliści z Creston traktowali wyrzucenie z Kościoła LDS jako prawdziwy chrzest bojowy. Podziwiali Crossfielda za odwagę, dopóki Bóg nie wyjawił mu, że Wuj Roy i inni przywódcy UEP pobłądzili i niewłaściwie interpretują zasady wiary. W 1974 roku Pan bez żadnych ogródek zdradził Crossfieldowi, że to on, a nie Wuj Roy, ma słuszną wizję jedynego prawdziwego Kościoła.

Dwanaście lat wcześniej, krótko po tym, jak Crossfield zaczął uczęszczać na spotkania modlitewne poligamistów z Creston, Bóg powiedział mu: „Wybiorę spośród was jednego potężnego i silnego, dzierżącego berło mocy w swej ręce, a on w proch zetrze tych, którzy odrzucają moje dzieło, modlitwy prawych muszą bowiem zostać wysłuchane”. Stwórca nawiązywał do swojej przepowiedni z rozdziału 85 Nauk i Przymierzy: „Ja, Pan Bóg, ześlę jednego potężnego i silnego […] aby uporządkować dom Boży”[20]. Crossfield nigdy publicznie nie twierdził, że jest tym „potężnym i silnym”, ale z opublikowanych przez niego objawień ewidentnie wynika, że w to wierzył.

W przykazaniu otrzymanym w 1975 roku Bóg nadał mu imię Oniasz, nazwał go prawdziwym prorokiem i przywódcą Kościoła LDS, zesłanym na Ziemię, by „uporządkował mój Kościół”[21]. Według objawienia Wuj Roy i jego podkomendni powinni odtąd przejść pod dowództwo Crossfielda.

Przywódcy UEP w Creston i Colorado City nie najlepiej zareagowali na owe wieści. Crossfield-Oniasz usłyszał, że nie jest już mile widziany w Creston. Prorok, niezbyt tym przejęty, przeniósł się do Idaho, potem zaś, na początku lat osiemdziesiątych, do niewielkiego miasteczka w okolicy Provo w stanie Utah.

Oficjalny tytuł przywódcy Kościoła LDS, teraz, jak i dawniej, brzmi Prezydent i Prorok. Mormoni od początku wierzyli, że źródłem prawd religijnych i kościelnej władzy są boskie objawienia.

Joseph Smith pierwotnie głosił, że objawienie może otrzymać każdy. W odróżnieniu od innych ówczesnych Kościołów, w których Słowo Boże głoszono za pośrednictwem hierarchów, mormoni mieli szukać rady i pomocy bezpośrednio w rozmowie z Panem. Smith szybko jednak odkrył wady tego rozwiązania. Skoro Bóg mówi do każdego mormona, któż rozsądzi, czy objawienia najwyższego proroka są ważniejsze i prawdziwsze od innych? Prorok mógł łatwo stracić kontrolę nad wiernymi.

Joseph nie marnował czasu. Jeszcze w 1830 roku – kilka miesięcy od powołania Kościoła – ogłosił, że Bóg przekazał mu nową, nieco spóźnioną wiadomość: „Nikt nie zostanie wyznaczony do otrzymywania przykazań i objawień w tym Kościele, poza sługą moim, Józefem Smithem juniorem”. Ale mleko już się rozlało. Bezpośrednie objawienia otrzymywane przez wiernych zdążyły stać się bardzo popularne. Ludzie lubili rozmawiać z Bogiem sam na sam – stąd głównie wynikała popularność nowego wyznania. Kiedy więc Joseph zakomunikował wiernym, że nie wolno im już słuchać głosu Pana, wielu go zignorowało i nadal porozumiewali się ze Stwórcą, czy to w sprawach wiary, czy życia codziennego. Słowo Boże z natury rzeczy liczyło się bardziej niż słowa Josepha i prorok niewiele mógł tu wskórać. Nic dziwnego, że od 1830 roku około dwustu sekt mormońskich oddzieliło się od głównego Kościoła; nowe sekty powstają zresztą po dziś dzień. Przykładem są UEP w Colorado City i Creston lub Robert Crossfield, czyli prorok Oniasz i jego wyznawcy – do których skądinąd zaliczał się Dan Lafferty.

O godzinę drogi szosą międzystanową z Salt Lake City znajduje się Provo, rozległe, przyjazne miasto, położone na równinie między jeziorem Utah a wysokim na ponad trzy tysiące metrów Provo Peak. Stutysięczna miejscowość jest siedzibą hrabstwa Utah. Znajduje się tu Centrum Szkolenia Misjonarzy Kościoła LDS, co roku wysyłające w świat trzydzieści tysięcy młodych ludzi, by głosili ewangelię, oraz Uniwersytet imienia Brighama Younga (Brigham Young University, BYU), najważniejsza mormońska uczelnia wyższa, prowadzona i kontrolowana przez Kościół.

Dla osób nawykłych do miast w rodzaju Los Angeles, Vancouver, Nowego Jorku czy choćby Denver spacer po kampusie BYU będzie zapewne zdumiewającym doświadczeniem. Żadnego graffiti, żadnych śmieci na chodnikach. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent z trzydziestu tysięcy studentów stanowią biali. Wszyscy mają ułożone włosy i nienagannie schludne stroje. Mężczyźnie nie wolno nosić brody, nosić kolczyków ani robić tatuaży. Kobieta nie może odsłaniać zbyt wiele ciała. Kolczyki – tylko w uszach i tylko po jednym. Zakazane jest palenie, przeklinanie, picie alkoholu, a nawet kawy. Zgodnie z maksymą „Puma nie chadza na skróty” studenci trzymają się chodników: nikomu nie przyszłoby do głowy zaoszczędzić sobie drogi na zajęcia i przejść po starannie wypielęgnowanym trawniku. Wszyscy są tu uśmiechnięci, przyjaźni i uprzejmi.

Wiele osób sądzi, że geograficzną stolicą mormonizmu jest Salt Lake City, połowę mieszkańców stanowią tam jednak niemormoni, a wielu świętych uważa je za grzeszne, niespokojne miejsce, zbrukane przez ludzi spoza Kościoła. Prawdziwe serce religii bije właśnie tu, w Provo i w hrabstwie Utah, na którego terenie leżą cnotliwe miasteczka w rodzaju Highland, American Fork, Orem, Payson i Salem. Mormoni stanowią tu dziewięćdziesiąt procent mieszkańców. Przestrzega się sabatu: w niedzielę prawie wszystkie sklepy są zamknięte. To samo dotyczy publicznych basenów, nawet w najgorętsze letnie dni.

Struktura ludności w tej części stanu zasługuje na uwagę z innych jeszcze powodów. Kościół LDS zabrania aborcji i niechętnie podchodzi do antykoncepcji. Mąż i żona powinni wydać na świat tyle dzieci, ile tylko zdołają utrzymać. Dlatego właśnie hrabstwo Utah może się pochwalić najwyższą stopą urodzeń w Stanach Zjednoczonych – skądinąd wyższą niż w Bangladeszu. Jest to również najbardziej republikańskie hrabstwo w najbardziej republikańskim stanie. Nic dziwnego, że stanowi przyczółek nie tylko mormonizmu, ale i mormonizmu fundamentalistycznego.

Salem, rolnicza społeczność, leży dwadzieścia kilometrów na południe od Provo. Sady i pola ziemniaczane graniczą tu z wysokimi skalistymi górami Wasatch. Właśnie w Salem urodził się i wychował Dan Lafferty. Już z daleka wzrok przyciąga legendarna Dream Mine, olbrzymia biała budowla na stromym zboczu góry. Dream Mine była dziełem życia prostego mormona nazwiskiem John Hyrum Koyle. Koyle, który umarł w roku 1949 w wieku osiemdziesięciu czterech lat, twierdził, że ma dar proroctwa. Przewidział co do dnia krach na giełdzie w 1929 roku, datę zakończenia drugiej wojny światowej, a także straszliwe powodzie, które nawiedziły północną część Utah trzydzieści cztery lata po jego śmierci. Jednak najważniejsze proroctwo dotyczyło Dream Mine. Nocą 27 sierpnia 1894 roku anioł Moroni – ten sam, który sześćdziesiąt siedem lat wcześniej obdarował Josepha Smitha złotymi płytkami – nawiedził Koyle’a we śnie. Zaprowadził go na szczyt pobliskiej góry, a tam ziemia się rozstąpiła i obaj zeszli w głąb. Anioł pokazał Koyle’owi dziewięć ogromnych jaskiń, w których wprost przelewało się od złota. Zgromadzili je Nefici (lud opisany w Księdze Mormona), którzy jednak popadli w pychę i pożądliwość, toteż Bóg odebrał im skarby i na dwa tysiące lat ukrył pod tą górą, razem ze starożytnymi pismami, dokumentującymi całą historię mormońskich przodków.

Moroni poinformował Koyle'a, że złoto pozostanie ukryte niemalże do czasu powtórnego przyjścia Chrystusa, kiedy to najpotężniejsze cywilizacje świata legną w gruzach, a ludzkość doświadczy straszliwych mąk i cierpień. Wtedy właśnie Koyle odkopie skarby Nefitów i wykorzysta je, by zatroszczyć się o lud wybrany, umożliwiając mu przetrwanie aż do Dni Ostatnich. Moroni pokazał Koyle'owi dokładne miejsce i zapewnił, że ostatecznie złoto zostanie odnalezione, ale dopiero przed powtórnym przyjściem.

Koyle natychmiast kupił prawa do wydobycia na wzgórzu na wschód od Salem i 17 września 1894 roku zaczął poszukiwania. Panował właśnie boom w górnictwie, toteż względnie łatwo było znaleźć inwestorów. Większość z nich stanowili gorliwi mormoni, którzy uważali Dream Mine nie tylko za godne, lecz także stuprocentowo pewne przedsięwzięcie. Sprzedano łącznie około siedmiuset tysięcy udziałów. Do połowy lat czterdziestych tunele sięgały już kilometr w głąb góry. Co prawda nie natrafiono na złoto, ale Koyle i jego inwestorzy niezbyt się tym przejmowali. Moroni zapewnił wszak, że bogactwa zostaną odkryte dopiero na krótko przed nadejściem Dni Ostatnich.

Władze Kościoła patrzyły jednak krzywym okiem na kopalnię. Podobnie jak w czasach Josepha Smitha, ważne objawienia miały być przekazywane tylko za pośrednictwem prezydenta-proroka i nikogo innego. Przywódcy LDS powtarzali, że Koyle to fałszywy prorok, i przestrzegali wiernych przed inwestowaniem w Dream Mine. Wielu mormonów wierzyło jednak w wizje Koyle'a. W 1948 roku nałożono na niego ekskomunikę; niedługo później umarł upokorzony i załamany. Natomiast przekonanie, że jego proroctwo prędzej czy później się sprawdzi, nie umarło po dziś dzień.

Oniasz dowiedział się o Dream Mine niedługo po przejściu na mormonizm. Kupił trzysta udziałów w kopalni, po trzy dolary za sztukę. Do zakupu dodatkowych trzystu przekonał też swoją matkę. Pod koniec lat siedemdziesiątych zaczął mieć objawienia na temat kopalni. Pan kazał mu nabyć ziemię w Salem i zbudować tam „Miasto Schronienia", gdzie prawi będą mogli przeczekać bezpiecznie Ostatnie Dni, wolni od wszelkiego zamętu. Oniasz przeprowadził się zatem do hrabstwa Utah i wpłacił tysiąc pięćset dolarów zaliczki na dwuhektarową działkę poniżej wejścia do kopalni. Wtedy też poznał Bernarda Brady'ego i Kenyona Blackmore'a, lokalnych biznesmenów związanych z Dream Mine, właścicieli drogich domów w niedalekiej zamożnej okolicy.

Brady'ego, pulchnego pięćdziesięciokilkulatka o rumianej twarzy, nie da się nie lubić. To urodzony sprzedawca, kipi radością i tylko czasami dostrzega się na tym obrazie drobną rysę. Wychował się w porządnej mormońskiej rodzinie w Malad City w stanie Idaho, niedaleko na północ od granicy Utah. W wieku dziewiętnastu lat, krótko przed wyjazdem na misję do Szwajcarii, jego życie zupełnie się odmieniło wskutek gwałtownej reakcji alergicznej na szczepionkę.

– Zrobili mi zastrzyk i od razu poczułem się trochę słabo – opowiada. – Nie mogłem ustać na nogach. Dali mi szklankę soku pomarańczowego i mi przeszło, więc wróciłem do pracy.

W pracy – Brady ładował mąkę do worków w rodzinnym młynie – zaczęło mu się kręcić w głowie. Matka odwiozła go do domu.

– Był sierpień, straszny upał, a ja czułem nieprawdopodobny ziąb, jak gdybym zaraz miał zamarznąć na śmierć. Matka położyła mnie do łóżka, nakryła kilkoma kocami i zadzwoniła po lekarza. I nagle przestałem oddychać, ot tak. Zobaczyłem, jak sufit się do mnie przybliża. Po chwili pojąłem, że to ja unoszę się do góry. Odwróciłem głowę i ujrzałem moje ciało, na dole w łóżku. Poczułem niezwykły spokój, błogość i miłość. Świat wydał mi się cudowny. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem niczego

podobnego. To było niesamowite. Już miałem przebić się przez sufit, kiedy pomyślałem: coś tu nie gra. Powinienem przecież oddychać. Zmusiłem się więc do oddychania i za chwilę znów leżałem w łóżku, we własnym ciele, a płuca wypełniały mi się tlenem. Wypuściłem powietrze, ale odruch oddychania nie wrócił. Pomyślałem: OK, no to jeszcze raz. Trzy razy musiałem się zmuszać do oddechu, zanim moje ciało w końcu zaczęło normalnie pracować. Ale nadal czułem się okropnie, byłem naprawdę chory. Ten cudowny stan sprzed kilku sekund, kiedy pławiłem się w powietrzu, zupełnie wyparował.

Brady trafił do szpitala. Co prawda następnego dnia objawy reakcji alergicznej ustąpiły, lecz zetknięcie ze śmiercią pozostawiło niezatarte piętno. Bóg przestał być jedynie abstrakcją, Brady doświadczył Jego obecności i pragnął przeżyć to ponownie dzięki swojej wierze.

Czuł jednak rosnące zniechęcenie Kościołem LDS. Irytował go brak religijnej żarliwości wśród znajomych mormonów. Jego zdaniem wielu z nich markowało wiarę, traktując Kościół głównie jako organizację społeczną, a nie duchową.

Pod koniec lat siedemdziesiątych Brady poznał Kenyona Blackmore'a i zaczęli razem robić interesy. Handlowali udziałami w rajach podatkowych oraz instrumentami finansowymi o wysokiej stopie zysku.

– Ken mnie intrygował – opowiada Brady. – O mormonizmie wiedział więcej niż ktokolwiek, ale sam nie był mormonem. Pracowaliśmy razem jakieś pół roku, kiedy w końcu postanowiłem wyjaśnić sprawę. Zapytałem: „Jakim cudem znasz się na tych rzeczach, skoro nawet nie jesteś członkiem Kościoła?". Wziął głęboki oddech i opowiedział mi wszystko o fundamentalistycznym mormonizmie.

Blackmore okazał się jednym z kanadyjskich poligamistów. Nie miał wprawdzie bezpośrednich powiązań z UEP ani innymi grupami, ale jednym z jego braci ciotecznych był Winston Blackmore, od niedawna przywódca społeczności w Bountiful w Kolumbii Brytyjskiej, niegdysiejszy przyjaciel proroka Oniasza. Dwie z córek Oniasza wyszły zresztą za braci Winstona, toteż stały się kuzynkami Kenyona Blackmore'a.

– Ken wprowadził mnie w świat mormońskiego fundamentalizmu – ciągnie Brady. – Cała idea po prostu zwaliła mnie z nóg. Wszystkie te objawienia Josepha Smitha, których Kościół się wyrzekł! Wróciłem do domu i zrelacjonowałem rozmowę z Kenem żonie. Oboje zastanawialiśmy się, czy to prawda. Przez długi czas szukaliśmy odpowiedzi, pościliśmy, modliliśmy się. W końcu oboje doszliśmy do wniosku, że fundamentaliści głoszą prawdę, a prawdy nie można zignorować. Właśnie to mnie zaprzątało, kiedy poznałem proroka Oniasza, czyli Boba Crossfielda.

Brady miał udziały w Dream Mine i doskonale znał przepowiednie Johna Koyle'a. Jedna z nich mówiła o „człowieku o jasnej karnacji i białych włosach, który przyjdzie z Północy, zbierze wokół siebie udziałowców i zaprowadzi wielkie zmiany w kopalni i całej okolicy". Słowa te wydawały się zapowiadać przybycie do Salem Oniasza. Oniasz skądinąd zakładał właśnie organizację, którą nazwał Szkołą Proroków, i zaprosił Brady'ego do sześcioosobowej rady.

Szkoła, wzorowana na instytucji o tej samej nazwie, utworzonej przez Josepha Smitha w 1832 roku, miała wpajać najważniejsze mormońskie zasady, których wyparł się Kościół LDS: poligamię, wiarę w to, że Bóg i Adam (pierwszy człowiek) byli jednością, oraz supremację białej rasy. Jednym słowem, klasyczne menu fundamentalistów. Oniasz różnił się jednak od przywódców innych sekt, uczył bowiem wyznawców, jak otrzymywać boskie objawienia. Nauka owej świętej sztuki (powszechnie praktykowanej przez mormonów w czasach Josepha, potem jednak porzuconej przez Kościół) stanowiła w zasadzie główny cel istnienia szkoły. Oniasz pragnął ponownie ofiarować wiernym dar objawienia i nauczyć

dwudziestowiecznych mormonów słuchania „spokojnego cichego głosu” Boga, który, jak pisał Joseph w rozdziale 85 Nauk i Przymierzy, „sprawia, że drżą kości moje”.

Brady zabrał się do rekrutacji uczniów godnych dostąpić zaszczytu nauki u Oniasza. Jednym z nich był niejaki Watson Lafferty junior.

– Niezwykła postać – zapewnia Brady. – Watson powiedział, że ma pięciu braci, takich samych jak on. Spotkałem się z nimi i faktycznie, okazali się zdumiewającą rodziną. Ich wiara była silna, zwłaszcza u Dana, starszego brata Watsona. Dan stanąłby na głowie, byle pomóc bliźniemu. Nie miał sobie równych, jeśli chodzi o pragnienie sprawiedliwości. Z ludźmi to jest tak: tu jakieś małe kłamstewko, tam małe kłamstewko. Natomiast w przypadku Dana byłoby to nie do pomyślenia. – Brady milknie na chwilę i nieutulony żal zasnuwa mu twarz. Wygląda, jakby miał się rozpłakać. Z wysiłkiem zbiera się w sobie i drżącym głosem mówi: – No więc poznałem Dana Lafferty’ego z Bobem Crossfieldem. Z dzisiejszej perspektywy wiem, źle się stało, że doprowadziłem do tego spotkania, ale nie zmienię już przeszłości.

8

Czyniący pokój

Ekonomiści uważają za oczywiste, że miarą dobrobytu jest konsumpcja. Tymczasem coraz więcej ludzi woli zrezygnować z pewnych swobód i wygód materialnych w zamian za porządek, stabilność oraz za religijne uniesienie.

Eugene Linden, *The Future in Plain Sight*

Dan Lafferty, jego pięciu braci i dwie siostry wychowali się na półtorahektarowej farmie położonej na zachód od Salem. Uczęszczali do szkoły w pobliskim Payson. Ojciec całej gromadki, Watson Lafferty senior, służył podczas drugiej wojny światowej na lotniskowcu jako fryzjer. Wróciwszy do cywila, dzięki ustawie o weteranach wykształcił się na kręgarza i w nieużywanym pokoju u siebie w domu otworzył zakład – połączenie salonu fryzjerskiego, salonu piękności i gabinetu kręgarskiego. Pragnął wychować swoje dzieci na wzorowych mormonów.

Watson Lafferty często rozmyślał o Bogu. Często też rozmyślał o rządzie i relacji między „boskim a cesarskim". Spore wrażenie zrobiły na nim idee Ezry Tafta Bensona, znanego mormońskiego apostoła, antykomunisty i członka John Birch Society[22], który głosił, że „sowieccy agenci i sympatycy komunizmu przeniknęli potajemnie do prawie wszystkich amerykańskich instytucji"[23]. I nawet w zdominowanym przez mormonów ultrakonserwatywnym hrabstwie Utah Watson wyróżniał się, jeśli chodzi o poglądy polityczne i pobożność.

Dan mówi o ojcu jako o „silnej osobowości", „prawdziwym indywidualiście", który „w wielu sprawach był bardzo stanowczy". Watson Lafferty utrzymywał w domu surową dyscyplinę, nie wahał się bić dzieci ani żony, Claudine. Claudine była wycofana i posłuszna, Dan nazywa ją „dobrą kobietą i wspaniałą matką". Watson zawsze wymierzał jej kary na oczach potomstwa. Dzieci widziały też, jak pewnego razu zatłukł psa, pupila rodziny, kijem baseballowym.

Watson ani trochę nie ufał medycynie konwencjonalnej. Gdy Colleen, najstarsza siostra Dana, zachorowała na ostre zapalenie wyrostka robaczkowego, ojciec uparł się, że będzie leczona w domu za pomocą modlitwy i naparów homeopatycznych. Dopiero kiedy wyrostek pękł, Watson niechętnie zgodził się zabrać bliską śmierci dziewczynę do szpitala. Sam umarł w roku 1983 na cukrzycę, której oczywiście nie chciał leczyć.

Mimo okrucieństwa i przemocy Dan kochał i podziwiał ojca. Do dziś uważa go za wspaniały wzorzec.

– Wielkim błogosławieństwem było dorastać w tak szczęśliwej i niezwykłej rodzinie. Nigdy niczego nam nie brakowało, a rodziców łączyła miłość. – Dan wspomina, że ojciec lubił zabierać matkę na tańce i często pytał: „Czy mówiłem ci ostatnio, że cię kocham?".

Pewnej niedzieli rodzina udała się do świątyni w Provo. Wszyscy mieli odświętne białe stroje, kobiety i mężczyźni – wedle zwyczaju – usiedli po przeciwnych stronach nawy środkowej. Nagle ojciec nachylił się do Dana i spytał szeptem: „Czy kiedykolwiek widziałeś kobietę równie piękną jak twoja matka?". W nieziemskim świetle świętego gmachu, wspomina Dan, matka „promieniała i urodą przypominała anioła".

Dla Claudine i Watsona „nic nie liczyło się bardziej niż rodzina i Kościół". Należeli do kongregacji w pobliskim Spring Lake, uczęszczali do „kościoła pięknego jak z pocztówki, położonego nad jeziorem

z dala od innych domów”.

– Właśnie w tym jeziorze uczyłem się pływać i łowić ryby. Zimą razem z przyjaciółmi i rodziną chodziliśmy tam na łyżwy. – Młody Dan był mormonem idealnym, posłusznym i cnotliwym. Jak sam mówi: – Pędziłem prostą drogą do nieba. Wszystko robiłem na sto dziesięć procent. Śpiewałem w chórze, płaciłem dziesięcinę, nawet z naddatkiem, byle tylko dostać się do królestwa chwały.

Ojciec Dana ściśle przestrzegał mormońskiej doktryny. Nie był fundamentalistą.

– W domu nigdy nie mówiło się o poligamii – opowiada Dan. – Po raz pierwszy usłyszałem o wielożeństwie w związku ze sprawą grupy misjonarzy we Francji, którzy zostali ekskomunikowani, bo przeanalizowali wspólnie rozdział 132 Nauk i Przymierzy i doszli do wniosku, że należy przywrócić zawarte tam przykazanie. Do dziś pamiętam, co wtedy pomyślałem: „Że też ktokolwiek wyrzeka się Kościoła dla jakiejś starej, dawno zarzuconej praktyki”.

Po szkole średniej Dan wyjechał na dwa lata na misję do Szkocji. Tam poznał Matildę Loomis, rozwódkę z dwójką dzieci. Sześć lat po powrocie przypadkiem wpadli na siebie przy okazji zjazdu misjonarzy.

– Nie młodniałem – tłumaczy Dan – ojciec i starszy brat Ron naciskali, żebym się ożenił. Znałem wiele świetnych dziewczyn, ale ilekroć modliłem się, by Pan powiedział mi, czy którąś mam poślubić, zdawałem sobie sprawę, że żadna nie jest tą jedyną. Kiedy więc spotkałem znów Matildę, pomyślałem: „No cóż, powinienem się znowu pomodlić, i to szybko, zanim ona wróci do Szkocji”. Ku swojemu zaskoczeniu dostałem pozytywną odpowiedź na modły. Powiedziałem więc Matildzie, że powinniśmy się pobrać. Sądziłem, że niełatwo będzie jej wytłumaczyć, iż Bóg przeznaczył mi ją na żonę. Bałem się, jak zareaguje. Zdziwiło mnie więc, kiedy ona powiedziała: „Tak, wiem”. Ja na to: „Co znaczy: wiem?”. Wyjaśniła, że Bóg kazał jej przyjechać do Ameryki, bo tu znajdzie męża. Dlatego właśnie spodziewała się, że się jej oświadczę.

Trzy miesiące później Dan i Matilda wzięli ślub w świątyni w Provo i przeprowadzili się do Kalifornii, gdzie Dan zapisał się na studia w college’u dla kręgarzy w Los Angeles.

W Kalifornii spędzili pięć lat. Pewnej niedzieli, pod koniec pobytu, przypadkiem trafili na wykład członka lokalnego zboru Kościoła LDS poświęcony wielożeństwu.

– W połowie gość powiedział: „OK, jeśli na sali są osoby z poligamicznych rodzin, niech podniosą rękę”. I prawie wszyscy podnieśli, z wyjątkiem może czterech osób. To mi dało do myślenia. Postanowiłem dowiedzieć się jak najwięcej na temat poligamii.

Po studiach Dan wrócił z rodziną do Utah i zajął się zgłębianiem dziejów doktryny wielożeństwa w Kościele LDS. Pewnego popołudnia w zbiorach specjalnych biblioteki Uniwersytetu imienia Brighama Younga natrafił na pięćdziesięciojednostronicową transkrypcję dziewiętnastowiecznego traktatu wychwalającego poligamię. Dokument nosił tytuł: *Wyjątek z manuskryptu „Czyniący pokój” albo Doktryna Millenium. Traktat o Religii i Prawie. Albo: Nowy System Religii i Polityki*, autorem był zaś tajemniczy Udney Hay Jacob. Według strony tytułowej traktat opublikowano w roku 1842 w Nauvoo w stanie Illinois, a wydał go nie kto inny, tylko sam Joseph Smith.

Czyniący pokój prezentuje liczne zalety poligamii (przez odwołanie do Biblii). Przedstawia ją jako lekarstwo na wszelkie bolączki zwykłych związków i ludzkości w ogóle. Przede wszystkim, zgodnie z wolą Boga, zadbać trzeba o posłuszeństwo kobiet:

> Rząd nad żoną jest tedy, wedle Boskiego prawa, w rękach męża, on to bowiem jest głową rodziny. Nie pozwolę, rzekł Pan, by kobieta nauczała lub by władzę miała nad mężczyzną. Jej rolą jest słuchać i być posłuszną. […]

Właściwe tej sprawy rozumienie i prawa właściwe stosowanie przywróci powszechny ład i porządek. Człek znów nabierze przyrodzonej godności i zapanuje nad całym ziemskim stworzeniem. Na czele ogniska domowego staną powołane do tego osoby, które Boskiemu prawu będą posłuszne i zalecane przez Boga kary stosować będą. Tak oto Szatan z umysłów ludzkich wygnany zostanie. […]

Męże, niewiasty wyśmiewają was. Niejedna prycha z pogardą, gdy słyszy, że mężczyzna jest panem wszelkiego stworzenia. […] Nie w głowach naszym żonom, że nie wolno im kpić bezczelnie z mężów i że winny się im podporządkować we wszystkich sprawach, i winny ich darzyć czcią, w sercach zaś szczerze panami i władcami ich nazywać, jako Bóg zrządził. […]

Jasno oznajmiamy: żona jest własnością męża, jako i sługa jego, i służąca, i wół, i koń […].

To oczywiste, że [porzucenie świętej zasady poligamii] zrodziło niezliczone występki, które w przeciwnym razie nigdy by nie istniały. Mężowie zaniedbują, a często i krzywdzą żony. Ojcowie wyrzekają się dzieci, młode niewiasty uwodzone są i porzucane przez niecnych kłamców. Bywa, że mąż żonę otruje lub zabije. Bywa, że żona zabije męża. Niemowlęta morduje się, by ukryć hańbę, która jest owocem złego, tyrańskiego prawa zakazującego poligamii […].

Przedstawione tu wielożeństwo oparte na prawie Boskim do żadnych przestępstw ni występków nie mogłoby doprowadzić ani też krzywdy żadnego człowieka spowodować. Tępota współczesnych chrześcijańskich narodów w tej kwestii jest doprawdy zdumiewająca […].

Nie ma co debatować, czy poligamia jest słuszna, czy nie. Nieważne też, kto napisał niniejszą książkę! Pytanie, naglące pytanie brzmi: czy przywrócicie teraz Boskie prawo i je utrzymacie? Pamiętajcie: prawo Boskie przekazywane jest za pośrednictwem Ducha Świętego. Sprzeciwiając mu się, działacie na własną zgubę.

Ponieważ na stronie tytułowej widniało nazwisko Josepha Smitha, ponieważ *Czyniący pokój* powtarzał jego nauki i ponieważ na końcu pojawiało się owo dziwne zdanie: „Nieważne też, kto napisał niniejszą książkę!”, wielu od dawna spekulowało, że tekst wyszedł właśnie spod ręki Josepha. Dan Lafferty przywiązywał do kwestii autorstwa ogromną wagę.

– Naprawdę chciałem wiedzieć, czy to dzieło Josepha Smitha. Prowadziłem badania, modliłem się, aż po pewnym czasie Bóg dał mi dostateczną wiedzę i uznałem, że *Czyniącego pokój* napisał zapewne Joseph Smith.

Skoro autorem traktatu najwyraźniej był sam prorok, treść dzieła musiała trafić Danowi do przekonania. Z żarliwością typową dla człowieka, który „robi wszystko na sto dziesięć procent”, zaczął „czynić pokój” we własnej rodzinie, składającej się z niego samego, Matildy, jej dwóch córek z poprzedniego małżeństwa i czwórki wspólnie spłodzonych dzieci.

Według nowych zasad Matilda nie mogła już prowadzić samochodu, nosić pieniędzy ani rozmawiać z osobami spoza rodziny bez obecności Dana. Wolno jej było ubierać się wyłącznie w sukienki. Dzieci zostały zabrane ze szkoły, zabroniono im zabaw z kolegami. Dan zakazał też korzystania z opieki lekarskiej. W razie konieczności sam aplikował odpowiednie kuracje: modlitwę, post i zioła. W lipcu 1983 roku, kiedy na świat przyszedł piąty wspólny syn, Dan osobiście przyjął poród i obrzezał chłopca.

Rodzina przestała kupować jedzenie. Uprawiali małe poletko, a oprócz tego ze śmietników na tyłach sklepów spożywczych wygrzebywali czerstwy chleb albo nadgniłe owoce i warzywa. Dan odciął gaz i prąd. Nie wolno było czytać niczego prócz książek i pism wydawanych przez Kościół LDS. Pozbyli się nawet zegarków, Dan uznał bowiem, że „czas należy mierzyć duchem”. Kiedy Matilda próbowała mu się sprzeciwiać, dostawała klapsy.

W każdym razie Dan mówi o „klapsach”. Według Matildy po prostu ją tłukł. Często na oczach swojej matki, swoich braci i wszystkich dzieci. Potem mówił, że jeśli Matilda nie będzie posłuszna, wyrzuci ją z domu i już nigdy nie pozwoli jej zobaczyć się z dziećmi (które, według *Czyniącego pokój*, stanowiły własność ojca).

Dan zamierzał przy pierwszej sposobności zawrzeć duchowe małżeństwo. Pierwszą wybranką została jego pasierbica, najstarsza córka Matildy.

„Doszłam do ściany – zeznawała później w sądzie Matilda. – Mogłam zostawić męża i dzieci albo zostać i godzić się na to wszystko”. Wybrała drugie rozwiązanie.

Wspomina, że wczesne lata ich małżeństwa były „niezwykle szczęśliwe i pełne nadziei. […] A potem wszystko się rozpadło. […] Życzyłam mu śmierci, bo dzięki temu odzyskałabym wolność”. Jej życie zamieniło się w „zupełne piekło”.

CZĘŚĆ II

Sumienni urzędnicy, którzy kierują obecnie Kościołem mormońskim i dbają, by rozwijał się na całym świecie […], to duchowi potomkowie tamtych zdyscyplinowanych pionierów. Kościół, dawniej i teraz, funkcjonuje dzięki ślepemu posłuszeństwu wobec hierarchii oraz wierze w objawienia pochodzące od Boga. […]

Doktryna posłuszeństwa zdaje się stać w sprzeczności z amerykańskim indywidualizmem i protestantyzmem w ogóle. Ale na pograniczu Stanów Zjednoczonych, gdzie rozwijał się mormonizm, indywidualizm zawsze miał niejednoznaczny status. Nieraz stanowił zagrożenie, przetrwanie bowiem było możliwe wyłącznie dzięki współpracy, a nawet absolutnemu posłuszeństwu. Mówiąc prosto: albo wszyscy przetrwają razem, albo wszyscy zginą. Mormoni nie zapomnieli tej nauki. Choć dziś postrzegamy ich jako konserwatywnych, prawych, typowych przedstawicieli klasy średniej o dość prostych gustach i światopoglądzie, choć mają nieco za uszami (mowa o praktykowaniu w dawnych czasach poligamii i rasizmie, od którego oficjalnie odżegnali się dopiero w latach siedemdziesiątych XX wieku), ich Kościół od zawsze nastawiony był przede wszystkim na przetrwanie.

Kenneth Anderson, *The Magic of the Great Salt Lake*, „Times Literary Supplement”, 24 marca 1995

Literatura piękna w zasadzie zawodzi w przypadku mormonów, gdyż ich instytucje i społeczności są tak osobliwe, że nieustannie domagają się wyjaśnienia.

Wallace Stegner, *Mormon Country*

9

Haun’s Mill

> Doświadczenie prześladowania stało się swego rodzaju dowodem przynależności do Kościoła, sprawdzianem wiary i wybraństwa. Mormoni przeszli wiele prób, zanim opuścili Missouri. […]
> Przeciwnik sprawia, że trud nabiera wartości, daje ci pewność siebie. […] Kościół mormoński nie osiągnąłby zapewne świetności, gdyby nie dawne krzywdy i starannie pielęgnowana pamięć o nich. W zasadzie owo młode wyznanie zdołało rozkwitnąć wyłącznie dzięki swoim prześladowcom.
>
> R. Laurence Moore, *Religious Outsiders and the Making of Americans*

Gdy mormonizm przyszedł na świat, nie witano go z otwartymi ramionami. Reakcje sporej części obywateli zachodniego terytorium stanu Nowy Jork dobrze odzwierciedla pierwsza recenzja Księgi Mormona, opublikowana 2 kwietnia 1830 roku (cztery dni przedtem, nim Joseph Smith formalnie założył swój Kościół) w gazecie „Daily Advertiser” w Rochester. „Do rąk naszych przekazano dzieło zatytułowane Księga Mormona. Cóż za impertynencja! Nie jest to książka, lecz dowód przestępstwa, oszustwa, bluźnierstwa i żerowania na cudzej łatwowierności. Wywoła ona zgrozę u każdego moralnego chrześcijanina”.

Joseph miał reputację szarlatana, o jego „złotej Biblii” krążyły złośliwe plotki. Mieszkańcy Palmyry i okolic byli mu coraz bardziej niechętni. W grudniu 1830 roku otrzymał boskie objawienie. Pan, ze względu na wrogość obywateli stanu Nowy Jork, kazał Josephowi przenieść swą trzódkę do Ohio. Święci w Dniach Ostatnich spakowali więc dobytek i osiedlili się niedaleko dzisiejszego Cleveland, w mieście o nazwie Kirtland.

Przyjęto ich tam raczej gościnnie, jednak latem 1831 roku Bóg oznajmił prorokowi, że Kirtland to tylko przystanek, a „ziemia, którą wyznaczyłem i poświęciłem na zgromadzenie świętych”, znajduje się na granicy Missouri. Missouri było, zdaniem Boga, jednym z najświętszych miejsc na całej Ziemi. Rajski ogród wcale nie znajdował się, jak wierzono, na Bliskim Wschodzie, ale w hrabstwie Jackson, nieopodal miasta Independence. Ponadto w tym właśnie miejscu, jeszcze przed końcem XIX stulecia, Chrystus miał zacząć swój triumfalny powrót. Joseph kazał zatem wiernym zebrać się w hrabstwie Jackson i zbudować tam nową Jerozolimę. Przez cały rok 1838 do Missouri napływały coraz większe fale mormonów.

Mieszkańcy Jackson nie byli zadowoleni. Większość mormońskich migrantów przybyła z Północy i opowiadała się za zniesieniem niewolnictwa. Tymczasem ludzie z Missouri wywodzili się z Południa. Wielu z nich było właścicielami niewolników, do abolicjonizmu podchodzili zaś z nieufnością. Najważniejsze przyczyny niechęci stanowiły jednak klanowa mentalność mormonów oraz ich poczucie wyższości. Mormoni uważali się za lud wybrany, któremu Bóg przeznaczył nową Ziemię Obiecaną w północno-zachodniej części Missouri.

Wszystko, co robili, przysparzało im nowych wrogów. Kupowali potężne połacie ziemi z kościelnych funduszy. Handel woleli prowadzić tylko między sobą, choć nadszarpywało to lokalny biznes. W głosowaniach zbiorowo opowiadali się po tej samej stronie, zgodnie z nakazami Josepha – że zaś ich populacja rosła, pojawiła się groźba, iż zdominują regionalną politykę. Obawy mieszkańców Missouri dobrze podsumowuje list opublikowany w 1833 roku w gazecie wychodzącej w Fayette: „Niedługo

przyjdzie dzień […], kiedy tylko mormon będzie mógł zostać szeryfem albo sędzią".

Mormoni chętnie witali „ludzi innych narodów" gotowych się nawrócić, trzymali się natomiast z daleka od tych mieszkańców stanu, którzy byli zbyt uparci lub głupi, by zrozumieć boski plan. Joseph głosił doktrynę wolności wyboru: każdy może sam zdecydować, czy stanie po stronie Pana, czy po stronie grzechu – ale biada tym, którzy wybiorą to drugie. Kto świadomie odrzuca Boga Josepha i świętych, ten nie zasługuje na łaskę ani współczucie.

Ową mentalność – „albo jesteś z nami, albo przeciw nam" – umacniało objawienie otrzymane przez Josepha w roku 1831. Bóg nakazał mormonom: „Zbierzcie się razem, aby się radować w krainie Missouri, która jest krainą waszego dziedzictwa, a która jest teraz ziemią waszych wrogów". Gdy słowa te rozniosły się wśród mieszkańców Missouri, zostały uznane za deklarację wojny. Nie pomagały także inne wypowiedzi, na przykład artykuł w jednej z mormońskich gazet zapowiadający, że członkowie Kościoła Josepha „stąpać będą po prochach grzeszników, kiedy ci zostaną już unicestwieni".

W latach trzydziestych XIX wieku północno-zachodnia część stanu Missouri była dziką krainą, zamieszkiwaną przez ludzi butnych i hardych. Kiedy mormoni zaczęli przybywać do hrabstwa Jackson, obywatele organizowali zebrania, przyjmowali antymormońskie rezolucje i słali apele do władz, domagając się jakiegoś rodzaju interwencji. Owe gesty nie powstrzymały jednak napływu migrantów i w końcu ludność miasta Independence wzięła sprawy we własne ręce.

W lipcu 1833 roku uzbrojony tłum liczący około pięciuset osób wysmarował dwóch mormonów smołą i wytarzał ich w pierzu. Zniszczono drukarnię, gdyż gazeta wydawana przez Kościół LDS opublikowała artykuł przeciwny niewolnictwu. Trzy dni później ten sam motłoch schwytał dziewięciu przywódców mormońskich i pod groźbą śmierci kazał im się zobowiązać, że w ciągu roku opuszczą hrabstwo. Jesienią zmieciono z powierzchni ziemi dziesięć mormońskich domów. Jeden członek Kościoła zginął, wielu innych obrzucono kamieniami.

Pewnej zimnej listopadowej nocy zorganizowano atak na wszystkie mormońskie gospodarstwa w okolicy. Mężczyzn pobito. Tysiąc dwieście osób wyrzucono z domów i kazano im biec w ciemnościach, na mrozie. Większość uciekła za rzekę Missouri. Nigdy już nie wrócili do hrabstwa Jackson.

Obecność mormonów w Missouri i Illinois, XIX wiek
Des Moines
Davenport
IOWA
HRABSTWO HANCOCK
Nauvoo
Carthage
Warsaw
HRABSTWO DAVIESS
Gallatin
ILLINOIS
Far West
Haun's Mill
HRABSTWO CALDWELL
Mississippi
Kansas City
Missouri
Independence
Columbia
HRABSTWO JACKSON
Missouri
St. Louis
Jefferson City
Mississippi
KANSAS
MISSOURI
Springfield
0
100 km
©2003 Jeffrey L. Ward

Joseph zdecydowanie odrzucał przemoc. Przez pięć lat zabraniał wiernym wdawać się w walkę mimo ponawianych ataków. Latem 1838 roku napięcie między niemormonami a dziesięcioma tysiącami świętych osiągnęło już jednak stan krytyczny.

Dwa lata wcześniej władze Missouri postanowiły przesiedlić mormonów nieco na ubocze, do słabo zaludnionego hrabstwa Caldwell, by zapobiec rozlewowi krwi. Do 1838 roku święci kupili około stu tysięcy hektarów ziemi w Caldwell od rządu federalnego i zbudowali miasto nazwane Far West.

Przenosiny na pewien czas rozładowały atmosferę. Latem 1838 roku kłopoty wróciły. Mormoni zaczęli osiedlać się w sąsiednim hrabstwie Daviess. 6 sierpnia odbywały się wybory do władz stanowych. Po otwarciu lokali w Gallatin, stolicy hrabstwa Daviess, kandydat Partii Wigów William Peniston stanął na beczce i zaczął wykrzykiwać do zebranego tłumu, że mormoni to „koniokrady, kłamcy, fałszerze i oszuści". Chodziło o uniemożliwienie grupce trzydziestu okolicznych świętych oddania głosu. Wśród zebranych zaraz odezwały się głosy, że mormoni w ogóle nie powinni mieć prawa wyborczego, „tak samo jak czarnuchy".

Podżeganie odniosło skutek. Samuel Brown, mormoński szewc drobnej postury, został zaatakowany przez jakiegoś pijaka. Inni święci, uzbrojeni w pałki, kamienie, bicze i noże, ruszyli z odsieczą i doszło do bijatyki. Mimo że przeciwnik miał przewagę liczebną, zdołali zatriumfować, raniąc po drodze około tuzina wrogów. Wściekli obywatele Gallatin poprzysięgli zemstę.

Przez następne dwa miesiące mormoni z hrabstwa Daviess byli nieustannie nękani i atakowani. Większość musiała opuścić swe domy. Wreszcie 14 października Joseph zebrał kilkuset wyznawców na głównym placu w Far West i nakazał im kontratak. Wzburzony przemawiał do zgromadzonych:

> Jesteśmy krzywdzeni. Motłoch przepędza nas z hrabstwa do hrabstwa, chce przejąć ziemię, którą uprawialiśmy z tak wielkim wysiłkiem i mozołem. Szukaliśmy pomocy u sędziów, u gubernatora, nawet u prezydenta Stanów Zjednoczonych, nikt jednak nie stanął po naszej stronie […]. Jeśli przestaną nas nękać, będziemy pokojowo głosili ewangelię. Ale jeśli napadną, sięgniemy po miecz, by bronić naszej wiary. Zdepczemy wrogów, a krew ich popłynie od Gór Skalistych aż do Atlantyku. Gotów jestem stać się drugim Mahometem! Mahomet, walcząc o pokój, kierował się mottem „Koran albo śmierć!". Tak i my przyjmiemy motto: „Joseph Smith albo śmierć!"[24].

Święci nie pozostali obojętni na te gorące słowa. Dali wreszcie upust złości, którą od lat tłumili. Zaczęły się najazdy na miasta niemormonów, kradzieże żywności, zwierząt i cennych dóbr. Spłonęło około pięćdziesięciu domów.

Rozwścieczeni obywatele Missouri odpowiedzieli przemocą na przemoc. W potyczce, do której doszło jedenaście dni po przemówieniu Josepha, zginęło trzech świętych i jeden innowierca. Co gorsza, całe wydarzenie zostało celowo podkoloryzowane w liście do gubernatora Missouri Lilburna Boggsa. Autorzy twierdzili, że śmierć poniosło pięćdziesięciu innowierców. Na tę wieść Boggs (który objął stanowisko w 1836 roku, po części dzięki antymormońskiej retoryce) wydał haniebny rozkaz najwyższemu dowódcy stanowej milicji: „Mormonów należy uznać za wrogów. Jeśli to konieczne dla zaprowadzenia pokoju, trzeba ich wybić lub wygnać z Missouri, albowiem dopuścili się niewyobrażalnych zbrodni".

Parę dni później trzy kompanie milicji pod dowództwem pułkownika Thomasa Jenningsa przypuściły atak z zaskoczenia na mormońską osadę o nazwie Haun's Mill. Był 30 października, późne popołudnie, „czerwone słońce wisiało nisko na cudownie pogodnym jesiennym niebie". Około dwudziestu pięciu mormońskich rodzin pracowało w polu, gdy nagle z lasów dookoła ruszyło na nie dwustu czterdziestu strzelców. Członkowie milicji wycelowali muszkiety i oddali salwę.

Przywódca społeczności z Haun's Mill wiedział, że jego ludzie, pozbawieni odpowiedniej broni, nie

mają w tym starciu żadnych szans. Natychmiast zaczął wymachiwać czapką i wołać, że się poddają, ale na próżno. Przeładowano muszkiety, padły kolejne strzały. Wśród mormonów wybuchła panika. Wielu rozpierzchło się po okolicznych zaroślach, jednakże trzech chłopców i piętnastu dorosłych mężczyzn schroniło się w kuźni. Członkowie milicji zaczęli strzelać przez szpary w ścianach. Równie łatwo przyszłoby im wystrzelanie ryb w beczce.

W końcu wydawało się, że wszyscy w środku nie żyją. Napastnicy otworzyli drzwi i pośród trupów zastali dziesięcioletniego chłopca nazwiskiem Sardius Smith, który ukrył się pod miechem. Malec błagał o życie, lecz niejaki William Reynolds bez wahania przyłożył mu lufę do głowy. Młodszy brat Sardiusa został ranny w biodro; przeżył, gdyż udawał martwego. Wspominał później, że jeden z niemormonów prosił Reynoldsa, by darować Sardiusowi życie. Reynolds odparł, że należy mordować również mormońskie dzieci, bo „z gnid wyrastają wszy", po czym beznamiętnie odstrzelił chłopcu pół czaszki.

Ogółem zginęło osiemnastu mormonów. Całe wydarzenie przeszło do historii jako masakra w Haun's Mill. Jeszcze dziś, sto sześćdziesiąt lat później, członkowie Kościoła LDS czują gniew na samo jej wspomnienie.

Joseph Smith znajdował się niecałe trzydzieści kilometrów od Haun's Mill. Dowodził obroną Far West, oblężonego przez dziesięć tysięcy żołnierzy stanu Missouri. Wieści o masakrze dotarły do niego jeszcze tego samego wieczora i prorok pogrążył się w głębokiej rozpaczy. Przez ostatnie miesiące wahał się nieustannie, czy walczyć, czy też szukać kompromisu i pokojowego zakończenia konfliktu. Teraz pojął nagle, że wojna z innowiercami oznaczać będzie jego śmierć i zagładę wyznawców.

Natychmiast wysłał do niemormonów pięciu posłów, nakazując im, by „jak psy błagali o rozejm". Dowódca milicji przyjął poselstwo i oświadczył, że istnieje tylko jedna możliwość, aby święci uniknęli krwawej łaźni: muszą bezzwłocznie wydać Josepha Smitha i sześciu innych przywódców pod sąd za zdradę, wypłacić mieszkańcom Missouri rekompensatę za zniszczoną i zagrabioną własność, oddać całą broń i opuścić stan.

Były to niezwykle surowe warunki, Joseph nie miał jednak wyboru. Przemówił do wiernych w Far West i robiąc dobrą minę do złej gry, oświadczył: „Oddam się w ofierze, by ocalić was i nasz Kościół. Nie smućcie się, bracia. Módlcie się szczerze do Pana, a przywódców waszych krzywda żadna nie spotka. W imię Chrystusa, wszystkim wam błogosławię".

Mormoni złożyli broń 1 listopada. Joseph, jego brat Hyrum i pięciu innych przywódców mormońskiej społeczności zostało wziętych w niewolę i po pospiesznym procesie sąd polowy uznał ich za winnych zdrady, przestępstwa karanego śmiercią. Generał Alexander Doniphan otrzymał więc następujący rozkaz: „Zaprowadzi pan Josepha Smitha i pozostałych więźniów na plac w Far West, gdzie jutro o dziewiątej rano przeprowadzi pan egzekucję".

Doniphan był jednak człowiekiem żelaznych zasad i odmówił wykonania rozkazu, gdyż uznał, że skazani to cywile, wojsku zaś nie wolno sądzić cywilów ani wykonywać na nich egzekucji. Przekazał więc swemu dowódcy następujący list: „Mówimy o morderstwie z zimną krwią. Nie zamierzam usłuchać poleceń. […] Jeśli zaś ludzie ci zostaną przez pana straceni, zadbam, aby pociągnięto pana do odpowiedzialności karnej, tak mi dopomóż Bóg".

Dzięki śmiałemu sprzeciwowi Doniphana odwołano egzekucję, a Joseph zachował życie, choć pozostał za kratami. Wyegzekwowano jednak pozostałe warunki rozejmu. Bezbronni wyznawcy Josepha stali się łatwym celem dla spragnionych zemsty mieszkańców Missouri. Ich domy plądrowano, podpalano

i burzono, dla rozrywki szlachtowano ich zwierzęta. Mężczyzn bito, zdarzały się przypadki gwałtów na kobietach i małych dziewczynkach. Co więcej, świętym dano zaledwie kilka miesięcy na opuszczenie stanu: mieli się wynieść najpóźniej wiosną 1839 roku.

Zima była ciężka. Święci cierpieli głód i zimno. Joseph i inni przywódcy wciąż siedzieli w więzieniu, oskarżeni o zdradę i morderstwa. Nieprzejednany prorok wystosował zza krat gniewny elaborat, w którym ostrzegał: „Zabójstwa w Haun's Mill i represje gubernatora Boggsa oraz innych władz skazują stan Missouri na wiekuiste potępienie".

Tymczasem z upływem dni opinia publiczna darzyła mormonów coraz większą przychylnością. W różnych gazetach przedstawiono bardziej szczegółowe relacje z masakry w Haun's Mill i wielu domagało się śledztwa w tej sprawie. Ukazywały się kolejne artykuły na temat mormonów utrzymane w życzliwym tonie. Przedłużający się areszt Josepha i jego współwyznawców stawał się dla gubernatora Boggsa, władz stanowych i lokalnych urzędników prawdziwym utrapieniem. Zaczęli odwlekać proces, gdyż obawiali się, że sąd puści oskarżonych wolno.

W końcu dla zachowania twarzy przekupili szeryfa odpowiedzialnego za nadzór nad aresztowanymi. W zamian za osiemset dolarów łapówki szeryf upił się w odpowiednim momencie, co umożliwiło więźniom ucieczkę. 16 kwietnia 1839 roku Joseph i jego towarzysze zniknęli pod osłoną nocy, by wkrótce dołączyć do swych współbraci, z których większość tymczasem wyjechała z Missouri i znalazła schronienie po drugiej stronie granicy, w stanie Illinois.

10

Nauvoo

Teraz zaś, jeśliby wypadło z naszej teorii dotyczącej wartości objawieniowej, że księga o tej wartości musi być ułożona automatycznie lub nie podług dowolnego upodobania pisarza albo że nie powinna zawierać naukowych czy historycznych błędów ani też dawać wyrazu osobistym czy miejscowym namiętnościom, wyrok nasz o Biblii byłby zapewne bardzo surowy. Gdyby jednak, z drugiej strony, teoria nasza dozwalała, aby jakaś księga była objawieniem pomimo błędów, namiętności i świadomego układu ludzkiego, i wymagałaby od niej tylko zgodności z wewnętrznym doświadczeniem wielkich duchów walczących z przeciwnościami losu, wówczas sąd nasz o Biblii wypadłby o wiele dla niej przychylniej.

William James, *Odmiany doświadczenia religijnego,*
przeł. Jan Hempel

Na wapiennej równinie nad mulistą rzeką Missisipi leży Nauvoo – małe, schludne miasto, z pozoru identyczne z setkami innych małych schludnych miast rozsianych w sercu Stanów Zjednoczonych. Jednak to właśnie tu, w hrabstwie Hancock w stanie Illinois, w zakolu majestatycznej rzeki, Joseph Smith miesiąc po ucieczce z więzienia w Missouri postanowił ulokować stolicę Królestwa Bożego.

Teren na wschodnim brzegu, gdzie rozciągało się bagienne siedlisko malarii, był według Josepha „tak mokry, że człowiek idący piechotą dostanie się tu z wielkim trudem, nikt zaś nie przejdzie z wołami". Okolica miała też jednak kilka zalet: po pierwsze była niezamieszkana, po drugie właściciel ziemi gotów był sprzedać ją mormonom na raty. Podpisano więc akt kupna i z typowo mormońskim zapałem zaczęto budowę. Pięć lat później w Nauvoo i jego sąsiedztwie mieszkało piętnaście tysięcy Bożych wybrańców (przeszło dziesięć razy więcej osób, niż liczy obecna populacja miasta). Stało się ono drugim co do wielkości skupiskiem ludności w stanie Illinois. Zupełnie z niczego mormoni stworzyli przeciwwagę dla Chicago.

Zresztą, w odróżnieniu od Chicago, Nauvoo nie było zwykłym miastem, lecz teokratycznym księstwem obdarzonym suwerennością niespotykaną nie tylko w Illinois, lecz w ogóle w całych Stanach Zjednoczonych. Specjalne prawa gwarantował mu wyjątkowy statut przyjęty raczej po cichu przez władze stanu Illinois w grudniu 1840 roku. Stan potrzebował wówczas osadników gotowych do ciężkiej pracy, mormoni zaś po wygnaniu z Missouri cieszyli się przychylnością opinii publicznej.

Niezamierzoną tego konsekwencją był fakt, że Illinois powierzyło prorokowi niemalże cesarską władzę w jego autonomicznym państwie-mieście. Joseph oficjalnie przyjął tytuł „Króla, Kapłana i Władcy Izraela na Ziemi". Dowodził Legionem Nauvoo, dobrze uzbrojoną i zdyscyplinowaną milicją, która liczyła sobie niemal tylu członków co pół armii Stanów Zjednoczonych. Nie słabł przy tym jego apetyt na władzę, wysłał więc petycję do Kongresu, by pozwolono mu utworzyć (i osobiście nadzorować) armię o docelowej liczebności stu tysięcy ludzi.

Co prawda Kongres dość przytomnie odrzucił ów wniosek, ale ogólnie sprawy układały się po myśli Josepha. Zapewne niespecjalnie go to dziwiło – za przewodem samego Stwórcy rządził wszak jedynym prawdziwym Kościołem. Był coraz bardziej pewny siebie i snuł coraz śmielsze plany, aż wreszcie w styczniu 1844 roku ogłosił, że zamierza się ubiegać o urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych[25].

Historycy są zgodni, że Joseph nie miał najmniejszej szansy na zwycięstwo w listopadowych wyborach. Trudno jednak stwierdzić, czy zdawał sobie z tego sprawę. Wszak odkąd czternaście lat

wcześniej założył swój dziwaczny Kościół, osiągnął znacznie więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Kampanię prezydencką traktował bardzo poważnie. Rozesłał pięciuset osiemdziesięciu sześciu najbardziej kompetentnych misjonarzy (w tym dziesięciu członków Kworum Dwunastu Apostołów) do wszystkich dwudziestu sześciu stanów oraz na terytorium Wisconsin, by przekonywali wyborców do jego kandydatury.

Niewykluczone, że zechciał zostać prezydentem, bo uznał, iż tylko tak uda się zapewnić mormonom – cierpiącym okrutne prześladowania, gdziekolwiek się osiedlali – opiekę ze strony państwa. Nieraz bezskutecznie próbował przekonywać polityków i urzędników, że rząd ma moralny i prawny obowiązek chronić mormonów przed wrogością sąsiadów – z pewnością gorliwiej by go słuchano, gdyby zasiadł w Białym Domu.

Joseph bardzo poważał amerykańską konstytucję, dokument – jego zdaniem – powstały z boskiego natchnienia. Latami uskarżał się, że przywódcy polityczni zaniedbują swoje obowiązki, odmawiając świętym ochrony konstytucyjnie gwarantowanej wolności religijnej przed prześladowaniami i przemocą ze strony większości. Zarazem jednak słowem i czynem dowodził, że sam nie przywiązuje najmniejszej wagi do wolności religijnej niemormonów, a gdyby jakimś cudem wybrano go na prezydenta, zapewne nie stałby na straży swobód wyznawców innych Kościołów.

Uczynienie z Nauvoo kwitnącego ośrodka przedsiębiorczości i pobożności nie poszło wcale gładko. Przed osuszeniem bagien osadników nękały epidemie malarii i cholery. W latach 1839–1840 zmarły setki osób, wśród nich ojciec i jeden z braci samego proroka. Ponadto konflikt z mieszkańcami Missouri ciągnął się za wyznawcami Josepha jeszcze długo po tym, jak zostali wygnani ze stanu.

Joseph uciekł co prawda z więzienia, lecz nie przekreśliło to ciążących na nim zarzutów. Ciągle groziło mu więc, że zostanie poddany ekstradycji i postawiony przed sądem. Wyznaczono nagrodę za jego ujęcie. Szeryfowie z Missouri co najmniej dwa razy zjawili się w Illinois z nakazem aresztowania Josepha. W maju 1841 roku szeryf i jego ludzie pojmali proroka niedaleko Nauvoo i byliby go wywieźli do Missouri, lecz nie mieli nakazu aresztowania i Joseph się wywinął. Nieszczęścia udało się więc uniknąć, ale mało brakowało. Prześladowania rozgniewały proroka. W przemówieniu wygłoszonym niedługo po nieudanym zatrzymaniu przepowiadał, że były już gubernator Missouri Lilburn Boggs – arcywróg świętych – „przed upływem roku zginie z ludzkiej ręki”.

6 maja 1842 roku Boggs czytał gazetę w gabinecie swego domu w mieście Independence, gdy nagle zza okna padły strzały. Dwie kule zamachowca trafiły w szyję, dwie przeszyły czaszkę i utkwiły w lewym płacie mózgowym. Prasa w całym kraju informowała o śmierci polityka. Powszechnie spekulowano, że chodziło o mormońską zemstę, a zamachowiec pragnął wypełnić proroctwo Josepha.

Broń, z której strzelano, leżała w kałuży koło domu. Śledczy szybko ustalili, że pistolet skradziono z pobliskiego sklepu. Jego właściciel powiedział szeryfowi: „Myślałem, że to robota czarnuchów, ale w sumie ten najemny u Warda, ten, co ujeżdżał jego ogiera, oglądał broń krótko przed tym, jak zniknęła”. „Najemnym u Warda” był Orrin Porter Rockwell, doświadczony jeździec z Nauvoo. W Independence zjawił się kilka miesięcy wcześniej i zniknął po cichu zaraz po zamachu na Boggsa.

Wieści o śmierci tego ostatniego okazały się tymczasem przedwczesne – gubernator przeżył mimo poważnych obrażeń mózgu. Gazety miały natomiast rację, jeśli chodzi o niedoszłego zabójcę: zamachu rzeczywiście dokonał Rockwell, nieustraszony mormon fanatycznie oddany prorokowi, słynący z tego, że nie wahał się przelewać krwi wrogów Kościoła (zgodnie z mormońską doktryną dawał im w ten sposób

szansę, by odpokutowali swoje grzechy). Świętej wojnie poświęcił się bez reszty, czym zdobył podziw współbraci. Nazywano go Aniołem Zagłady i Mormońskim Samsonem.

Czy Joseph kazał mu zabić Boggsa? Niekoniecznie. Mormoni uznawali za oczywiste, że powinni pomagać w wypełnianiu się proroctw, jeśli tylko nadarzy się odpowiednia okazja. Gdy Joseph przepowiedział śmierć gubernatora, Porter Rockwell sam wiedział, co robić. Mało kto w Missouri (i w Nauvoo) wątpił, że za zamachem stoi Anioł Zagłady, aczkolwiek ani Rockwell, ani żaden inny członek Kościoła mormońskiego nie zostali o nic oskarżeni.

Życie w Nauvoo toczyło się tymczasem wartko. Mormońskie miasto kwitło. Na brzegu sławnej amerykańskiej rzeki wyznawcy Josepha znaleźli, jak się zdawało, bezpieczny przyczółek, z którego mogli głosić swą wiarę na wszystkie strony świata. Prorok i wyznawcy przeszli niezwykłą drogę przez siedemnaście lat, odkąd Moroni powierzył Josephowi złote płyty. Do Nauvoo przybywało coraz więcej świeżo nawróconych członków Kościoła, nawet z tak odległych miejsc jak Anglia czy Skandynawia.

Czasy drugiego wielkiego przebudzenia to epoka obfitująca w wędrownych złotoustych proroków i powstające co rusz nowe wyznania. Większość z nich niosła ludziom pociechę, obiecując, że nagrodą za wiarę i gorliwość będzie żywot wieczny w komfortowych warunkach. Ostatecznie jednak mało który Kościół zdołał na dłuższą metę zachować wiernych. Niejedno ówczesne wyznanie dawno temu popadło w zapomnienie. Dlaczego zatem akurat Joseph odniósł sukces?

Bez wątpienia wiele było powodów, dla których mormonizm cieszył się popularnością, lecz chyba żaden nie odgrywał takiej roli jak niezwykła siła osobowości samego proroka. Charyzmę niełatwo zdefiniować, a jeszcze trudniej wyjaśnić. Nie ulega natomiast wątpliwości, że Joseph miał jej pod dostatkiem. Słowo wywodzi się z greki, od *kháris*, co oznacza „łaskę” lub „dar Boży”. Z kolei łacińskie *charisma* to „dar Ducha Świętego”. Znaczenia zmieniały się przez stulecia i obecnie niekoniecznie kojarzymy charyzmę ze świętością, lecz w przypadku Josepha stare definicje pasowały znakomicie. Obdarzony był rzadko spotykanym magnetyzmem, jakim cieszyli się nieliczni przywódcy religijni. Spowijała go podniecająca aura tajemnicy. Od śmierci Josepha minęło przeszło półtora stulecia, lecz żar osobowości proroka nie zgasł i po dziś dzień tli się w spojrzeniach członków jego Kościoła.

Wyznawcy każdej religii czynią z jej założyciela bóstwo. Skrywają go za ochronną, nieprzeniknioną zasłoną mitu. Mormoni nie różnią się pod tym względem od innych sekt. Zrobili, co w ich mocy, by wymazać wszelkie skazy na wizerunku swego proroka. W przeciwieństwie jednak do Mojżesza, Jezusa, Mahometa i Buddy Josephowi przyszło żyć w epoce światła i prasy drukarskiej. Wielu z tych, którzy osobiście przekonali się o urzekającej sile jego charakteru, pozostawiło spisane relacje. Wad Josepha, jakże ludzkich, nie udało się więc wymazać z historii.

Fakt, że możemy dostrzec w nim żywego, niedoskonałego człowieka, pozwala nam mu współczuć, nawet darzyć go sympatią i dowiedzieć się, co „napędza” religijnego geniusza[26]. Zdaniem Fawn Brodie, autorki jego biografii, już sam wygląd proroka zwracał uwagę:

> Był dobrze zbudowany i, jak na ówczesne standardy, wyjątkowo przystojny, jeśli pominąć zbyt wyrazisty orli nos. Miał duże niebieskie oczy i niezwykle długie brwi, przez co jego spojrzenie wydawało się zamglone i nieco tajemnicze. […] Gdy przemawiał, krew odpływała mu z twarzy, a cera stawała się przerażająco blada. […] Był niezwykłym człowiekiem.

Kiedy przemawiał do tłumu, każdy ze słuchaczy miał wrażenie, że prorok mówi bezpośrednio do niego, wyczuwa jego potrzeby duchowe, najskrytsze nadzieje, lęki i pragnienia. W kazaniu uderzał w najodpowiedniejsze tony. Juanita Leavitt Brooks, wybitna mormońska historyczka, opisuje, jak John D.

Lee, świeżo nawrócony członek Kościoła[27], pierwszy raz usłyszał proroka w Missouri w 1838 roku:

> Lee spodziewał się, że kazanie zrobi na nim wrażenie, rzeczywistość przeszła jednak najśmielsze oczekiwania. Joseph Smith był majestatyczny, władczy i nadzwyczajnie przystojny, miał sześć stóp wzrostu, lecz zdawał się jeszcze wyższy. Przyciągał wszystkie spojrzenia, potrafił grać na emocjach wiernych jak na delikatnym instrumencie, czułym na najlżejszy dotyk.

Fawn Brodie zwraca też uwagę na liczne źródła, w których mowa o „wspaniałej pewności siebie" Josepha.

> Kolejne sukcesy bez wątpienia dodały mu śmiałości i wigoru. Pałał radością życia, czym inspirował swych wyznawców. Szli za nim posłusznie niczym niewolnicy, pragnęli jedynie delektować się blaskiem jego osobowości.
>
> Budowali dlań miasta, nawracali niewiernych, godzili się na niebywałe wyrzeczenia. A wszystko to nie dlatego, że wierzyli, iż jest Bożym prorokiem, lecz ponieważ go kochali. Z równym entuzjazmem radowali się, gdy pokonał kogoś w zapasach, jak i gdy otrzymał kolejne objawienie. Powtarzali sobie historie o jego szczodrości i czułości, nie posiadali się ze zdumienia, że w Nauvoo wykarmił tak wielu ubogich, niczego im nie skąpiąc, że u swego stołu równie chętnie przyjmował przyjaciół i wrogów. Był wspaniałym gospodarzem, serdecznym i życzliwym, przyjaciół zaś darzył bezgraniczną lojalnością.

Zdaniem Brodie popularność Kościoła mormońskiego to w znacznej mierze skutek charyzmy Josepha. Księga Mormona „zawdzięcza swój długi żywot prorokowi, nie na odwrót". Może i tak, nie należy jednak pomijać aspektu teologicznego. Joseph nadzwyczaj pomysłowo zaadaptował tradycyjną chrześcijańską narrację, co również przyczyniło się do rozkwitu mormonizmu.

Wyznawcy wierzą, rzecz jasna, że doktryna została im przekazana przez Boga. Dokonało się to jednak za pośrednictwem człowieka – Josepha Smitha. Ten zaś miał niezwykłą wręcz smykałkę do teologii. Mormonizm narodził się we właściwym miejscu i we właściwym czasie, dzięki czemu zajął fantastyczną niszę, która akurat powstała w wiecznie zmieniającym się duchowym ekosystemie Ameryki. Zwapniałe religie Starego Świata zdążyły już wielu rozczarować, Joseph natomiast przyniósł zupełnie świeżą nowinę, słowa, które całe rzesze ludzi pragnęły usłyszeć. Dobrze wyczuł potrzeby opinii publicznej i instynktownie przykroił do nich swoje idee.

Potrafił dać odpowiedzi na najbardziej kłopotliwe pytania natury egzystencjalnej – odpowiedzi zarazem klarowne i niosące pociechę. Miał prostą, czarno-białą definicję zła i dobra. Co prawda wszystkie prawdy wiary były jednoznaczne i nie dawało się ich w żaden sposób nagiąć, lecz ogólnie Joseph przedstawiał łagodną alternatywę dla kalwinizmu, stanowiącego podstawę religijnego *status quo* w pierwszych dekadach istnienia amerykańskiej republiki. Kalwiniści nauczali, że człowiek jest z natury zły, a gniewny Bóg, którego oczy widzą wszystko, domaga się odpokutowania grzechu pierworodnego. Nauczali też, że piekło istnieje naprawdę, a cierpienie jest dobre dla ciała i duszy.

Tymczasem według optymistycznej kosmologii Josepha lud wybrany – mormoni – jest z natury rzeczy cnotliwy (aczkolwiek otaczają go występni grzesznicy) i nie musi zmazywać żadnych grzechów. Zarabianie pieniędzy to rzecz dobra i właściwa: Stwórca przychylnym okiem patrzy na bogatych oraz na tych, którzy starają się o majątek. Dzięki posłuszeństwu wobec władz kościelnych, przyjęciu świadectwa Jezusowego oraz przestrzeganiu paru prostych reguł człowiek wspina się po drabinie do nieba, aż wreszcie w następnym życiu sam stanie się bogiem. Fawn Brodie pisze:

> Joseph nie był prorokiem we włosiennicy. Cenił wygodne życie, czerpanie – z umiarem – przyjemności z jedzenia i picia, ze sportu i rozrywki. Umiał się dobrze zabawić, co ani trochę nie umniejszało ubóstwienia, którym darzyli go wierni. Urok osobisty pozwalał mu bez trudu rozwiewać wszelkie zarzuty o niestosowność. Jedna z pierwszych istotnych prawd wyłożonych w Księdze Mormona brzmi: „Ludzie przychodzą na świat, aby mogli osiągnąć szczęście". Joseph zawsze żył zgodnie z tą maksymą. Był towarzyski i wylewny. Nie przypadkiem pozbył się ze swej religii wszelkich pierwiastków kalwinizmu, tworząc genialną mieszankę materializmu i nadnaturalizmu, obiecującą, że w niebie człowiek będzie mógł rozkoszować się każdą z ziemskich przyjemności: pracą, bogactwem, seksem i władzą.

Rozwijająca się religia Josepha stanowiła zarazem odzwierciedlenie ideałów swojej epoki, jak i ucieczkę przed nimi. Z jednej strony prorok był orędownikiem prostych ludzi i solą w oku elity. Z drugiej – pozostawał sceptyczny wobec dezorientującej gmatwaniny idei rozprzestrzeniających się po całym kraju. Niepokoiła go kapryśność demokracji. Zbudował swój Kościół, by odgrodzić się od nadmiaru wolności i coraz powszechniej opiewanego indywidualizmu. Mormonizm, ze swoimi sztywnymi regułami, klarownymi zasadami i naciskiem na porządek, dawał schronienie przed skomplikowanym, niepewnym światem dziewiętnastowiecznej Ameryki.

Nowo nawróceni znajdowali w tej nowej odmianie chrześcijaństwa prawdziwe natchnienie. Ponadto Kościół nieustannie się zmieniał i ewoluował na oczach wiernych. Do połowy lat czterdziestych XIX wieku Joseph otrzymał sto trzydzieści trzy boskie przykazania, na tyle istotne, by zapisać je po wsze czasy w Naukach i Przymierzach. Pod wieloma względami religia praktykowana w kwitnącym Nauvoo różniła się od religii praktykowanej w Palmyrze, gdy Kościół był jeszcze w powijakach. Żadna z nowych reguł nie miała przy tym równie doniosłych konsekwencji jak przykazanie zanotowane przez Josepha 12 lipca 1843 roku, zawarte w rozdziale 132 Nauk i Przymierzy. Za jego sprawą Kościół znalazł się wkrótce na skraju upadku, a Joseph poniósł śmierć z ręki wściekłego tłumu. Echa rozdziału 132 pobrzmiewają w Ameryce po dziś dzień. Właśnie w tym objawieniu Bóg ogłosił „nowe i wieczne przymierze”, dając mężczyznom prawo posiadania wielu żon.

11

Przykazanie

Właśnie w Kirtland […] Joseph zaczął delikatnie majstrować przy jednej z najbardziej podstawowych reguł moralnych zachodniego społeczeństwa. Ponieważ patrzył na nie z oddali, z wyjątkowej perspektywy człowieka, który osiągnął pełnię władzy i pragnie kształtować świat wedle własnej woli, nie było dlań żadnych świętości – mógł wszystko zmienić, ulepszyć, poprawić.

Jego stosunek do monogamii był typowy dla wielu mężczyzn, którzy nie przestali co prawda kochać swoich żon, ale znudziła im się małżeńska wyłączność: traktował monogamię jako nieznośne ograniczenie. Zwierzył się raz przyjacielowi: „Ilekroć widzę piękną niewiastę, muszę modlić się o łaskę". Nie miał jednak natury beztroskiego libertyna. Potajemne romanse nie wchodziły w grę, zbyt silny był w nim purytański duch. Pozostało jedno rozwiązanie: Joseph przedefiniował naturę grzechu i stworzył przedziwną teologiczną konstrukcję, wspierającą jego nowe teorie dotyczące małżeństwa.

Fawn Brodie, *No Man Knows My History*

Dan Lafferty, natrafiwszy na egzemplarz *Czyniącego pokój* w bibliotece Uniwersytetu imienia Brighama Younga, doszedł szybko do przekonania, że tekst wyszedł spod ręki Josepha Smitha, a Udney Hay Jacob to tylko pseudonim. Broszurka ukazała się w Nauvoo w roku 1842 w wydawnictwie należącym do Josepha. Mimo to Lafferty najprawdopodobniej był w błędzie. Udney Hay Jacob istniał naprawdę. Zdaniem większości badaczy to właśnie on spłodził *Czyniącego pokój* – aczkolwiek traktat z pewnością nie wyszedłby spod kościelnej prasy, a prorok nie pozwoliłby umieścić swego nazwiska na stronie tytułowej, gdyby nie odpowiadała mu treść. Słowem, *Czyniącego pokój* napisał kto inny, lecz Joseph prawie na pewno był pomysłodawcą i odpowiadał za publikację.

Prorok snuł rozważania na temat poligamii i jej miejsca w kosmicznym porządku co najmniej od założenia Kościoła, wolał jednak nie zdradzać się z tym przed swoimi wyznawcami. Kiedy jednak mormoni zakorzenili się już na dobre w Nauvoo, uznał, że są gotowi na „przyjęcie nowego przykazania". *Czyniący pokój* stanowił pewnie coś w rodzaju sondy. Według Johna D. Lee, który żył wówczas w Nauvoo, „Joseph, prorok, zlecił człekowi nazwiskiem Sidney Hay Jacobs [*sic*] wybranie ze Starej Biblii fragmentów, które pogodzić dawało się z poligamią lub duchowym małżeństwem, i spisać je w formie broszury. Wybadał tym sposobem wiernych, jak zareagują na pomysł wielożeństwa"[28].

Niestety zareagowali nie po jego myśli. *Czyniący pokój* wywołał oburzenie. Joseph musiał się tłumaczyć, że broszurę opublikowano „bez mojej zgody", i dodawał obłudnie: „Gdybym został o niej powiadomiony, nigdy bym jej nie wydał". Ostatecznie wskutek całego skandalu prorok publicznie potępił poligamię. Musiało to być dla niego niezręczne, praktykował bowiem wielożeństwo co najmniej od 1833 roku, a niewykluczone, że nawet dłużej.

Jedną z pierwszych kobiet, które wedle plotek łączyła z Josephem intymna pozamałżeńska więź, była piętnastoletnia Marinda Nancy Johnson. Poznali się w roku 1831, niedługo po przenosinach mormonów z Palmyry do Kirtland w Ohio. Matka Marindy od dawna cierpiała na przewlekły reumatyzm, straciła nawet władzę w jednej ręce. Z ciekawości postanowiła zobaczyć mormońskiego proroka na własne oczy. Towarzyszył jej mąż Benjamin oraz sceptyczny kaznodzieja Kościoła metodystów, który zwrócił się do Josepha: „Oto pani Johnson, kobieta kaleka. Czy Bóg dał ci moc, byś mógł ją uzdrowić?".

Joseph ujął bezwładną rękę pani Johnson i rzekł: „Kobieto, w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa nakazuję ci, bądź uleczona!".

I, według wiarygodnych świadków, „pani Johnson natychmiast z łatwością uniosła dłoń”. Oboje z mężem byli tak poruszeni, że od razu nawrócili się na mormonizm. Zaprosili też proroka do swego domu, by poznał ich piętnaścioro dzieci – wśród nich Marindę.

Marinda, na wieść, że rodzice dali się uwieść Josephowi, poczuła początkowo „oburzenie i wstyd” – jak mogli nabrać się na tak „niedorzeczną bujdę”? Było to jednak, zanim sama spotkała proroka i przekonała się o jego uroku. Wspominała, że kiedy ujrzała go po raz pierwszy, Joseph:

> spojrzał jej prosto w oczy. Z najgłębszym wstydem, jakiego kiedykolwiek zaznała, poczuła, że jej dusza nie ma przed nim żadnych tajemnic. Uśmiechnęła się, a gniew jej zelżał niczym mróz w słoneczny dzień. Wiedziała, że jest tym, za kogo się podaje, i nigdy już weń nie wątpiła.

Latem 1831 roku Johnsonowie przyjęli Josepha i Emmę jako lokatorów. Niedługo potem prorok i młoda Marinda wylądowali w łóżku. Wieść o tym szybko się rozeszła i gang oburzonych mieszkańców Ohio – również mormonów – postanowił schwytać i wykastrować Josepha, by uniemożliwić mu podobne wyskoki w przyszłości.

Luke Johnson, starszy brat Marindy, opowiadał, że 24 marca 1832 roku „tłum w sile czterdziestu albo i pięćdziesięciu” zjawił się w domu Johnsonów i wdarł do pokoju Josepha.

> Było to w środku nocy. Carnot Mason wyciągnął Josepha za włosy z łóżka. Następnie pochwycili go i rozciągniętego na desce zanieśli jakie czterdzieści prętów od domu, miotając wciąż przekleństwa. Zdarli mu koszulę nocną, by go upokorzyć. Był tam już doktor Dennison, który miał przeprowadzić zabieg, ale kiedy doktor ujrzał proroka pojmanego i nagiego, zebrało mu się na litość i odmówił udziału.

Skoro z kastracją nie wyszło, motłoch ciężko pobił Josepha, wysmarował smołą, obtoczył pierzem z rozerwanej poduszki i w końcu zostawił w lesie.

Choć prorok ledwo uniknął nieszczęścia, nie uczył się na własnych błędach. W kolejnych latach wciąż zakochiwał się w nadobnych niewiastach ze swej trzódki. W 1830 roku poznał trzynastoletnią Fanny Alger z Kirtland, której rodzice należeli do pierwszych członków Kościoła. Zimą roku 1833 Smithowie przyjęli ją pod swój dach jako służącą. Szybko wkradła się w ich łaski. Według mormonki nazwiskiem Ann Eliza Webb Young, Fanny była „bardzo ładną, ujmującą dziewczyną”, Emma Smith zaś „darzyła ją wielką sympatią, traktowała niczym własną córkę. Wielu z uznaniem wyrażało się o tej przyjaźni, tak szczere i głębokie były bowiem uczucia obu kobiet”.

Joseph także jednak lubił Fanny i w lutym lub marcu 1833 roku pojął ją za drugą żonę. Próbował zachować ten fakt w tajemnicy, w końcu jednak Emma o wszystkim się dowiedziała, przyłapawszy proroka i Fanny *in flagrante delicto*. Jesienią 1835 roku wyrzuciła dziewczynę z domu.

Łzy Emmy i jej wściekłość nie starczały jednak, by z Josepha uczynić monogamistę. Raz po raz zakochiwał się w nowo poznanych kobietach. W końcu uznał, że skoro miłosne uniesienia dają człowiekowi tak wielką rozkosz, to muszą być zgodne z wolą Pana. Joseph nie miał szczególnie refleksyjnej natury, zawsze kierował się raczej instynktem. Teraz instynkt podpowiedział mu, że jest miłe Bogu, jeśli mężczyzna kocha więcej niż jedną kobietę. Stary Testament dostarczał tu licznych dowodów: poligamiczne zwyczaje Abrahama i Jakuba, proroków, od których mormoni wywodzili swe pochodzenie, zostały opisane w Biblii bez najmniejszego krytycznego lub piętnującego komentarza.

W Ohio i Missouri Joseph brał więc kolejne żony. Po przenosinach do Nauvoo zwiększył tempo, ale robił, co mógł, by ukryć swe poligamiczne upodobania przed wyznawcami, a tym bardziej przed ludźmi spoza Kościoła. W razie konieczności kłamał w żywe oczy. Prawdę znała tylko garstka zaufanych przyjaciół. Prorok tłumaczył im w 1832 roku, że „zadał Panu pytanie dotyczące wielożeństwa, Pan zaś

nazwał je słusznym i dobrym, lecz nie nadszedł jeszcze czas, by ustanowić je jako prawo”.

Joseph czekał więc na moment, kiedy mógłby ujawnić wiernym nowe święte przykazanie. Treścią innych objawień dzielił się nader chętnie. Pobyt w Nauvoo był dlań okresem niezwykłej wręcz doktrynalnej kreatywności. Wtedy właśnie zrodziły się niektóre z najoryginalniejszych elementów mormońskiej teologii.

Joseph ogłosił na przykład zasadę chrztu w zastępstwie dla zmarłych: odtąd członkowie Kościoła mogą chrzcić się w imieniu swych nieżyjących przodków, dzięki czemu ci zyskują szansę zbawienia w prawdziwym Kościele Chrystusa, nawet jeśli opuścili ziemski padół na długo przed powstaniem mormonizmu. Wprowadził również rozbudowany rytuał ceremonii obdarowania świątynnego i ujawnił, że nie tylko Bóg stał się niegdyś człowiekiem, lecz każdy człowiek może stać się bogiem.

Aż w końcu, 12 lipca 1843 roku, formalnie skodyfikował boskie przykazanie dotyczące świętej instytucji wielożeństwa. Pozostało ono tajne, w odróżnieniu od innych przykazań tamtego okresu. Kościół ujawnił treść objawienia dopiero w roku 1852, osiem lat po śmierci proroka.

Teologicznej kreatywności Josepha towarzyszyło ożywienie libido. Między 1840 a 1844 rokiem z woli Pana próbował poślubić około czterdziestu kobiet. Większość zareagowała oburzeniem, gdy prorok ujawnił im Boże zamiary. Niejedna nie przeszła jeszcze dojrzewania, jak na przykład czternastoletnia Helen Mar Kimball. Helen przystała na małżeństwo (dano jej dwadzieścia cztery godziny na pogodzenie się z decyzją Boga), wiele lat później wyznała jednak przyjaciółce: „Byłam młoda, oszukali mnie, że od mej uległości zależy zbawienie całej rodziny”.

Joseph poślubił Helen Mar Kimball w Nauvoo w maju 1843 roku. Nieco wcześniej, w tym samym miesiącu, pojął za żonę Lucy Walker. Jej ojciec należał do garstki szczęśliwców, którzy przeżyli rzeź w kuźni w Haun’s Mill. W styczniu 1842 roku matka Lucy zmarła na malarię, chorobę szalejącą w Nauvoo za sprawą bagnistego otoczenia. Joseph postanowił wysłać pogrążonego w żalu ojca dziewczyny na dwuletnią misję do wschodnich stanów, by tam mógł uleczyć zbolałe serce. Pod jego nieobecność prorok „adoptował” Lucy i większość jej rodzeństwa. Jak wspominała w autobiografii, „prezydent Joseph Smith wezwał mnie na rozmowę i rzekł: »Mam dla ciebie wiadomość. Bóg nakazał mi wziąć kolejną żonę i będziesz nią właśnie ty«. Zdumienie moje nie miało granic”.

Przerażona dziewczyna próbowała się wymigać, Joseph jednak straszył ją wiecznym potępieniem. „Nie oczekuj miłych słów – rzekł. – Przekazuję ci wolę Pana. Masz czas do jutra, by podjąć decyzję. Jeśli się sprzeciwisz, bramy nieba zamkną się dla ciebie na zawsze”.

Lucy wpadła w gniew i rozpacz. „Rozbudziło to cały upór, jaki w sobie miałam. Przez parę chwil stałam nieulękła i patrzyłam mu prosto w oczy. Kazano mi złożyć żywą ofiarę z mego ciała. […] To za wiele, sama myśl była nie do zniesienia”. Dzielnie oznajmiła prorokowi, że nie zgodzi się na małżeństwo, jeśli Bóg nie zażąda tego osobiście. Wtedy Joseph stanął przed nią, „a na jego obliczu malowało się cudowne, absolutne zrozumienie. Rzekł: »Niech Pan Wszechmogący cię błogosławi, otrzymasz dowód Bożej woli, świadectwo, któremu nie będziesz mogła zaprzeczyć«”.

Według wspomnień Lucy:

> Zbliżał się świt po kolejnej bezsennej nocy, gdy nagle niebiańskie światło rozjaśniło mój pokój. Porównałabym to do cudnego słońca przebijającego się przez najciemniejszą chmurę. Duszę napełnił mi słodki spokój, jakiegom wcześniej nigdy nie zaznała. Owładnęło mną szczęście i pojęłam, że świadectwo o wielożeństwie musi być prawdą. Na wzburzonym morzu życia dusza moja znalazła bezpieczny port. Pragnęłam zaraz wybiec na dwór i dać upust mej radości. Zbiegłam po schodach, a prez. Smith otworzył drzwi na dole, wziął mnie za rękę i rzekł: „Bogu niech będą dzięki, modliłem się, by dano ci ujrzeć prawdę”. Potem posadził mnie na krześle, nałożył dłonie

na głowę i obdarzył każdym błogosławieństwem, jakiego tylko me serce mogło zapragnąć.

1 maja 1843 roku, dzień po swoich siedemnastych urodzinach, Lucy Walker została żoną proroka.

Trudno sobie wyobrazić, jak Joseph zdołał utrzymywać relacje z czterdziestoma małżonkami. Przy tym jego apetyt wciąż pozostawał niezaspokojony. Sarah Pratt, żona mormońskiego apostoła Orsona Pratta, pisała:

> Prorok Joseph odwiedzał często zamtuzy. Pani White, kobieta nadzwyczaj urodziwa, wyznała mi raz, że czerpała zyski z goszczenia kapitanów parowców, które pływały po Missisipi. Zdradziła też, że poznała Josepha niedługo po jego przybyciu do Nauvoo – odwiedzał ją ponoć dziesiątki razy.

Nauvoo było małą, zamkniętą wspólnotą, gdzie roiło się od plotek. Mimo wszelkich starań Joseph nie zdołałby nigdy zachować w sekrecie całej prawdy o swych wyskokach. Raz po raz pojawiały się kolejne oskarżenia pod jego adresem. Prorok zręcznie odpierał ataki, dezawuując oskarżycieli jako sługi Szatana, pragnące doprowadzić do upadku Kościół mormoński. Umiał też zamiatać sprawy pod dywan odpowiednio wcześnie (zdolność tę dzielił, rzecz jasna, z innymi przywódcami religijnymi i politycznymi znanymi z kart historii).

Przez cały okres obsesyjnych podbojów Joseph zaprzeczał, jakoby popierał poligamię, a co dopiero sam ją praktykował. „Gdy dowiedzione zostaną fakty, zwycięży wreszcie prawda i niewinność – zapewniał obywateli Nauvoo w przemówieniu wygłoszonym w maju 1844 roku. – Jakież to dla mnie bolesne być oskarżonym o cudzołóstwo i poślubienie siedmiu żon, skoro mam zaledwie jedną. Jestem tym samym człowiekiem co czternaście lat temu, równie niewinnym. Potrafię tego dowieść i odeprzeć każde pomówienie”.

Wypieranie się winy zawsze działało, ale z czasem Joseph, zdoławszy nieraz wyjść cało z poważnych tarapatów, popadł w próżność. Ta z kolei wzmogła jego seksualną brawurę. Niedługo po wygłoszeniu owego przemówienia przyszedł czas zapłaty. Wiosną 1844 roku społecznością Nauvoo wstrząsnął skandal na miarę afery Moniki Lewinsky. Tym razem charyzma proroka miała się okazać niewystarczająca.

12

Carthage

> Kiedy Smith przywiódł wyznawców do Nauvoo, wykonał w zasadzie swe zadanie. Wskutek prześladowań z minionych lat ukształtowała się już mormońska tożsamość, a także wyjątkowe rytuały religijne i nietypowa koncepcja kapłaństwa. Powołano do życia wspólnotę. Władze patrzyły przychylnym okiem na mieszkańców Nauvoo i zapewniały im autonomię. Właśnie wtedy jednak Joseph zmienił kierunek. Zdecydował się na politycznie chybiony manewr, wskutek którego omal nie zniszczył wszystkiego, co zbudował.
>
> R. Laurence Moore, *Religious Outsiders and the Making of Americans*

W 1844 roku członkowie najbliższego kręgu proroka znali przykazanie o duchowym wielożeństwie i sami się do niego stosowali. Ale nie wszyscy dopuszczeni do tajemnicy akceptowali nową doktrynę. Szczególnie mocno sprzeciwiała jej się pierwsza żona proroka, Emma Smith. Poślubiła Josepha niemal dwadzieścia lat wcześniej, wciąż go kochała i nie zamierzała dzielić się nim z dziewczętami dwukrotnie od niej młodszymi. Joseph przysięgał wszak Emmie wierność małżeńską i Emma oczekiwała, że dotrzyma obietnicy. Nie lubiła owijać w bawełnę, toteż otwartym tekstem dała Josephowi do zrozumienia, jak wielkim wstrętem napawa ją poligamia. Zagroziła nawet, że jeśli Joseph nie porzuci wielożeństwa, to ona też zacznie brać sobie kolejnych mężów. Prorok skarżył się swemu sekretarzowi: „Emma mści się za pewne sprawy i uważa, że powinna mieć prawo do uciech, skoro mnie ich nie zbywa". Objawienie o wielożeństwie miało między innymi przekonać ją, by przestała wiercić Josephowi dziurę w brzuchu, zaakceptowała jego duchowe żony i odstąpiła od planów odpłacenia mu pięknym za nadobne. Kiedy Joseph wahał się, czy przelać na papier treść słynnego przykazania, jego brat Hyrum obiecał: „Gdy tylko skończysz, przeczytam to Emmie i odtąd będziesz miał spokój".

Joseph odrzekł z powątpiewaniem: „Nie znasz Emmy tak dobrze jak ja".

Hyrum jednak nie ustępował: „Przykazanie jest jasne, każdy rozumny mąż i niewiasta dostrzegą w nim niebiańską prawdę i czystość". Joseph dał się przekonać i rankiem 12 lipca 1843 roku spisał objawienie, zamieszczone później w rozdziale 132 Nauk i Przymierzy.

Nie jest przypadkiem, że Emma kilkakrotnie została tam wymieniona z imienia. Przykładowo w wersie 54 Bóg ostrzega:

> I nakazuję służebnicy mojej, Emmie Smith, aby wytrwała i pozostała przy słudze moim, Józefie, i przy nikim innym. Ale jeżeli nie zachowa tego przykazania, zniszczona będzie, rzecze Pan; bowiem jam jest Pan, twój Bóg, i zniszczę ją, jeżeli nie zachowa prawa mego.

Istota rzeczy – przykazanie dające mężczyznom prawo brania sobie wielu żon – zostaje wyłożona na samym końcu, kiedy Bóg mówi Josephowi:

> Jeżeli jakiś człowiek poślubia dziewicę i pragnie poślubić inną […] nie może popełnić cudzołóstwa, bo są mu dane. […] I jeżeli ma dziesięć dziewic danych mu przez to prawo, nie może popełnić cudzołóstwa, bo należą do niego, i są mu dane; przeto jest usprawiedliwiony. Ale jeżeli ta czy inna z dziesięciu dziewic, kiedy jest już zaślubiona, będzie z innym mężem, popełni cudzołóstwo i będzie zniszczona; bowiem są mu dane, aby się mnożyć i zapełniać ziemię według mojego przykazania.

Gdy Joseph skończył dyktować objawienie swemu sekretarzowi, Hyrum zaniósł dziesięciostronicowy dokument Emmie[29]. Niestety nie przyniosło to pożądanego skutku. Hyrum wspominał: „Nigdy wcześniej ani później nie dostałem tak ostrych rug. Emma pałała gniewem, czuła urazę i gorycz". Nie uwierzyła „w jedno choćby słowo" objawienia i uparcie odmawiała Josephowi zgody na kolejne małżeństwa.

Prorok oczywiście nadal ją lekceważył.

Emma szukała pociechy u swego przyjaciela Williama Law, który stał po jej stronie, choć przyjaźnił się z Josephem. Law, człowiek niezwykłej prawości, do Kościoła należał od dawna, a od ponad dwóch lat pełnił funkcję doradcy proroka. Długo próbował go ubłagać, żeby wyrzekł się ohydnego objawienia dotyczącego wielożeństwa. Richard Law, syn Williama, zapamiętał, że ojciec objął Josepha i „ze łzami w oczach powtarzał swą prośbę. Prorok również się rozpłakał, lecz odparł, że jest bezsilny, albowiem Stwórca domaga się, by głosił nowe przykazania, gdyby zaś tego poniechał, czekałoby go wieczne potępienie".

Law poróżnił się wkrótce z Josephem. Ostatecznie zerwali przyjaźń, gdy prorok „począł uwodzić" jego żonę Jane, umizgując się do niej „w wyjątkowo nieprzyzwoity i haniebny sposób". W kwietniu 1844 roku wściekły William Law wezwał Proroka Smitha, by ten publicznie wyznał grzechy i „wyrzekł się raz na zawsze obmierzłych czynów".

W odpowiedzi Joseph ekskomunikował dawnego przyjaciela. Law ogłosił Josepha „upadłym prorokiem" i 12 maja powołał do życia Reformowany Kościół Mormoński, otwarcie zakazujący poligamii. Według Fawn Brodie:

> Williamowi nie brakowało odwagi. Kierował się osobliwym, błędnym idealizmem. Wielu jego przyjaciół zawiodło się na Josephie i uznało mormonizm za jedno wielkie kłamstwo. Law jednak pragnął doprowadzić do reformacji w Kościele. Założył więc własne wyznanie i mianował się prezydentem, kopiując wiernie zasady i doktryny mormonizmu.
>
> Nieraz już się zdarzyło, że Joseph spotkał na swej drodze rywala. Konkurenci próbowali go zazwyczaj naśladować, głosząc mdłe, czerstwo brzmiące objawienia. Law jednak był człowiekiem ulepionym z innej gliny. […] Desperackie pragnienie zreformowania Kościoła uczyniło go o wiele potężniejszym przeciwnikiem, niż gdyby po prostu zapragnął obalić proroka i zadać kłam całemu jego dziełu.

Ponadto Law, człowiek majętny, mógł pozwolić sobie na zakup własnej prasy drukarskiej. 7 czerwca 1844 roku wyszło spod niej tysiąc egzemplarzy pierwszego i jedynego numeru gazety „Nauvoo Expositor". Artykuł redakcyjny głosił: „Naszym poważnym zamiarem jest obnażenie występków Josepha Smitha i jego popleczników, którzy dopuszczają się podobnych świństw i wszeteczności". Na dalszych czterech stronach ostro krytykowano politykierstwo Josepha, uprawiane pod płaszczykiem religii, jego żądzę władzy i podejrzane interesy. Przede wszystkim jednak gazeta ujawniła tajne przykazanie o poligamii. Redakcja obiecywała: w następnych numerach „opublikujemy liczne świadectwa na potwierdzenie podawanych tu faktów".

Większość mieszkańców Nauvoo wpadła w gniew – nie na Josepha, jemu bowiem wciąż pozostawali oddani, lecz na gazetę i jej właścicieli. Prorok martwił się jednak, że za sprawą „Expositora" może utracić kontrolę nad swym Kościołem, zwołał więc nadzwyczajne zebranie rady miejskiej Nauvoo. Gazeta, ostrzegał w przemówieniu, „sieje niepokój w naszym mieście" i stanowi „utrapienie". Jako burmistrz nakazał szeryfowi „zniszczyć prasę drukarską, spod której wychodzi »Nauvoo Expositor«, […] i spalić wszystkie egzemplarze oraz wszelkie oszczercze dokumenty znalezione w redakcji".

Wieczorem 10 czerwca ponad dwie setki uzbrojonych członków Legionu Nauvoo, dowodzonego przez Hyruma Smitha i apostoła Johna Taylora, wykonały rozkaz Josepha Smitha. Potężnym młotem wyłamali drzwi w redakcji „Expositora", zniszczyli prasę i porozrzucali czcionki. Na koniec wszystko, co się dało, spalili „przy akompaniamencie wstrętnych okrzyków motłochu". Wydawcy gazety poszli do sądu, oskarżając proroka i jego siepaczy o wiele przestępstw. Ale w Nauvoo władza Josepha rozciągała się też na wymiar sprawiedliwości i winowajcy, z prorokiem włącznie, zostali uniewinnieni. William Law

uciekł tymczasem z Nauvoo, lękając się o życie. Jego Reformowany Kościół Mormoński wkrótce podupadł, a potem przestał istnieć.

Z pozoru Joseph raz jeszcze zatriumfował nad swoimi przeciwnikami. Nie wziął jednak pod uwagę, jak zareagują inni mieszkańcy hrabstwa Hancock. Poza Nauvoo mało kto wiedział o przykazaniu dotyczącym poligamii, lecz od dwóch lat stosunki między świętymi i okolicznymi niemormonami coraz bardziej się psuły. Z początku Joseph i jego brać zostali życzliwie przyjęci przez mieszkańców Illinois, ale święci, przekonani, że są ludem wybranym, szybko zniechęcili do siebie sąsiadów, podobnie jak wcześniej w Missouri.

Hrabstwo nazwane zostało na cześć Johna Hancocka, pierwszego sygnatariusza Deklaracji Niepodległości, prawdziwego trybuna ludowego, który nigdy nie krył pogardy dla wszelkich nadużyć władzy. Jego duch najwyraźniej natchnął obywateli. Teokratyczne ciągoty Josepha Smitha i brak poważania dla zapisów konstytucji Stanów Zjednoczonych (oprócz zapisów gwarantujących mormonom wolność religijną) budziły w okolicy powszechny niepokój.

Joseph często podawał się za demokratę, twierdził, że szanuje konstytucję. W rzeczywistości jednak żywił przekonanie, że w jego przypadku nie stosują się ani zasady demokratyczne, ani konstytucyjne ograniczenia, został bowiem wybrany przez Boga. Stwórca zamierzał uczynić go panem całego świata i przemawiał jego ustami – po cóż więc demokracja? Joseph nie wątpił, że Amerykanie zrozumieją tę logikę, kiedy tylko usłyszą i uwierzą w jedynie słuszną prawdę – w prawdę mormonów.

Mieszkańcom hrabstwa Hancock niezbyt jednak uśmiechały się „rząd Boży” i królestwo Josepha Smitha. Ponadto mormoni głosowali jednomyślnie, zgodnie z poleceniami proroka, zdobywając nieproporcjonalnie duży wpływ na władze stanowe. W hrabstwie Hancock – i w ogóle w ówczesnej Ameryce – ogromną wagę przywiązywano do wolności prasy. Skandal wokół gazety „Nauvoo Expositor” dowiódł, że Joseph faktycznie jest megalomańskim tyranem i zagraża porządkowi publicznemu.

Mieszkańcy hrabstwa nie wahali się chwycić za broń. Niemormońska gazeta wychodząca w mieście Warsaw niedaleko Nauvoo grzmiała: „Wojna i zagłada są nieuchronne! OBYWATELE, DO BRONI!!! Czyż można stać bezczynnie i tolerować tych DIABŁÓW Z PIEKŁA RODEM? Czyż można nie pomścić tych, których prawa własności zostały BANDYCKO zszargane? Nie czas na słowa. Każdy człowiek musi się wypowiedzieć KULĄ I PROCHEM!”.

W hrabstwie zaczęło iskrzyć. 18 czerwca, spodziewając się ataku, Joseph wprowadził stan wyjątkowy i zebrał swój Legion Nauvoo, liczący pięć tysięcy żołnierzy. Gubernator stanu Illinois Thomas Ford, człowiek sprawiedliwy i zasadniczo przychylny mormonom, pragnął jednak zażegnać groźbę wojny domowej, zażądał więc, by Joseph i Hyrum Smithowie, John Taylor oraz pozostałe osoby odpowiedzialne za zniszczenie prasy z własnej woli oddały się w ręce wymiaru sprawiedliwości i stanęły przed sądem w Carthage, stolicy hrabstwa Hancock. Osobiście gwarantował Josephowi bezpieczeństwo, lecz ostrzegał: „Jeśli pan nie posłucha i zmusi mnie do użycia siły, obawiam się, że pańskie miasto obróci się w ruinę, a wielu ludzi poniesie śmierć. Zdaje pan sobie sprawę, jak wielkie obudziły się emocje. Proszę nie kusić losu”.

Joseph odpowiedział Fordowi, że jeśli on i jego ludzie oddadzą się świeckim władzom, będą „przerzucani z miejsca na miejsce, z sądu do sądu, przez rzeki i prerie, aż wreszcie jakiś spragniony krwi bandyta skorzysta z okazji i nas zastrzeli”. Nie przystał na ultimatum gubernatora. Nocą 23 czerwca on, jego brat Hyrum i Porter Rockwell przeprawili się przez Missisipi, po czym uciekli do Iowa w nadziei,

że dotrą do Gór Skalistych.

Dzień później, gdy bracia czekali na konie, które miały ich ponieść na zachód, Joseph otrzymał list od Emmy, w którym błagała, by wrócił. Posłaniec zaś doniósł mu, że wielu świętych uważa, iż porzucił ich z tchórzostwa: „Zawsze powtarzałeś, że póki Kościół będzie trwał przy tobie, póty ty będziesz trwał przy nas, a teraz pierwszy ratujesz się ucieczką".

Zawstydzony Joseph zrozumiał, że musi wrócić do Illinois i stanąć przed sądem. Obawiał się najgorszego. „Idę jako jagnię na rzeź", ostrzegał towarzyszy.

24 czerwca on i jedenastu innych oskarżonych o zniszczenie prasy oddali się w ręce sprawiedliwości. Po drodze z Nauvoo do Carthage nieustannie napotykali członków milicji Illinois i innych niemormonów, którzy buczeli i wyzywali proroka. „Niech cię diabli, Joe – krzyczeli. – Wreszcie dostaniesz za swoje!" „Chcemy zobaczyć starego Joe, proroka Bożego! Zapomnij o powrocie do Nauvoo! Wytniemy wszystkich mormonów w pień!"

Na ulicach Carthage kłębiły się tłumy członków rozmaitych lokalnych milicji. Za dużo broni, za dużo alkoholu, za mało dyscypliny. Wszyscy domagali się głowy proroka. Gubernator Ford, który wszak gwarantował Josephowi bezpieczeństwo, nakazał milicjom opuszczenie miasta. Pozostać miał tylko jeden oddział, Carthage Greys, odpowiedzialny za pilnowanie więzienia i osadzonych.

Dziesięciu z zatrzymanych mormonów wpłaciło kaucję i miało odpowiadać z wolnej stopy, lecz Josephowi i Hyrumowi dorzucono oskarżenie o zdradę, przestępstwo znacznie cięższe niż współudział w zniszczeniu mienia, więc trafili do aresztu w Carthage, piętrowego budynku z murami grubymi na metr, zbudowanego z czerwonego piaskowca z pobliskiego kamieniołomu. W środku znajdowało się zaledwie sześć pomieszczeń: dwie cele oraz cztery izby (w tym ciasne poddasze), w których mieszkali strażnik, jego żona i siedmioro dzieci.

Z początku prorok i jego brat zostali umieszczeni w celi dłużników na parterze, wygodnej i jasnej. Strażnik George Stigall nie należał do Kościoła mormońskiego, lecz był przyzwoitym człowiekiem i wkrótce zaczął się obawiać, że owa cela, z dużymi, nisko położonymi oknami, nie zapewni więźniom należytej ochrony przed rozwścieczonym tłumem. Przeniósł więc Smithów do własnej sypialni na piętrze. Zezwolił też, by mogli przyjmować odwiedzających. Dzięki temu przeszmuglowano im dwie sztuki broni: sześciostrzałowy rewolwer wiązkowy i jednostrzałowy pistolet.

W parne późne popołudnie 27 czerwca, kiedy Joseph i Hyrum gościli apostołów Johna Taylora i Willarda Richardsa, przed więzieniem zebrało się stu dwudziestu pięciu członków milicji z wrogiego mormonom miasta Warsaw. Wcześniej, niby posłuszni rozkazom gubernatora, opuścili Carthage, po czym poczernili swe twarze prochem strzelniczym i pod koniec dnia zakradli się z powrotem.

Wartę przed więzieniem pełniło tylko siedmiu członków Carthage Grey. Chwycili co prawda za muszkiety i wypalili w tłum, lecz – wedle wcześniej poczynionych umów – nie załadowali kul, a jedynie nasypali prochu, żaden z napastników nie został więc ranny. Po tej pokazowej salwie wartownicy się rozstąpili, a motłoch wtargnął do środka, wymachując bronią i strzelając gdzie popadło. Dwie kule minęły żonę strażnika o zaledwie kilkanaście centymetrów.

Członkowie milicji wdarli się na górę i naparli na drzwi. Joseph i Hyrum chwycili przeszmuglowane pistolety, a Taylor i Richards stanęli po obu stronach wejścia, zawzięcie uderzając swoimi laskami – innej broni nie mieli – w lufy muszkietów, wtykanych przez szparę między drzwiami a framugą. Naraz dwie kule przebiły drzwi. Jedna trafiła Hyruma w szyję i rozerwała rdzeń kręgowy. Ledwie padł,

a natychmiast cztery kolejne pociski przeszyły jego martwe ciało. Joseph sięgnął za ościeże drzwi i na ślepo wypalił sześć razy ze swego rewolweru, raniąc co najmniej jednego napastnika.

Wtedy jednak drzwi zostały wyważone i w sypialni zabrzęczał rój pocisków. Zdesperowany Taylor próbował wyskoczyć przez okno. Otrzymał postrzał w lewe udo i w klatkę piersiową: drugą kulę zatrzymał zegarek w kieszeni. Taylor osunął się na ziemię i, rozpaczliwie szukając ratunku, wczołgał się pod łóżko. Kolejna kula poszarpała mu przedramię, następna trafiła w miednicę, „wyrywając mu z biodra strzęp ciała wielkości pięści dorosłego mężczyzny".

Joseph też chciał skoczyć przez okno, lecz gdy stanął na parapecie, dwie kule ugodziły go w plecy, trzecia zaś, wystrzelona z muszkietu któregoś z napastników znajdujących się na ulicy, trafiła proroka w pierś. Jęknął tylko żałośnie: „O Panie, mój Boże", i runął w dół. Jeden z Carthage Greys, świadek całego wydarzenia, wspominał, że prorok wylądował z głuchym odgłosem na lewym boku i „natychmiast dostał kilka strzałów, dźgnięto go też bagnetem". Parę chwil później inny członek milicji zbliżył się ostrożnie do Josepha, szturchnął go, po czym oznajmił tłumowi, że Joe Smith nie żyje. Przywódca mormonów miał trzydzieści osiem lat.

Willard Richards ze strzelaniny wyszedł prawie bez szwanku; kula drasnęła mu tylko gardło i ucho. Napastnicy go nie zauważyli, ukrył się bowiem między otwartymi drzwiami a ścianą. Dopiero kiedy izba opustoszała, odważył się wyjść i podszedł do okna. Na dole ujrzał „setkę ludzi otaczających zwłoki Josepha i kolejnych, nadchodzących zza rogu więzienia".

Potem spostrzegł Johna Taylora. Taylor leżał na ziemi, cały we krwi, lecz wciąż żywy. Zegarek, który ocalił mu życie, zatrzymał się dwadzieścia sześć sekund po godzinie siedemnastej szesnaście. Był 27 czerwca 1844 roku. Mormoni na całym świecie znają tę datę i godzinę, oznaczające moment śmierci ich umiłowanego proroka.

Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu John Taylor wylizał się z ran. Wiele lat później, w 1877 roku, został trzecim w historii prezydentem i prorokiem Kościoła mormońskiego, następcą Brighama Younga. To właśnie Taylorowi Bóg przekazał słynne objawienie z roku 1886, potwierdzające słuszność instytucji poligamii, które przyczyniło się do narodzin współczesnego fundamentalistycznego mormonizmu i powstania wspólnoty w Short Creek. Gdyby nie ono, kto wie, jak potoczyłoby się życie Dana Lafferty'ego.

13

Bracia Lafferty

W naszym kraju roi się od mesjaszów – każdy to przyzna (o ile sam się akurat za mesjasza nie uważa). […] Zgiełk, który czynią, to żywa melodia amerykańskiego życia religijnego. Oto religia w działaniu, religia powstająca na naszych oczach. […] Kraj, co oczywiste, opiera się na wierze, na łatwowierności towarzyszącej okresom religijnego przebudzenia, która – jak się zdaje – stanowi u nas swoisty stan umysłu. Żadna językowa gimnastyka nie pozwoli nazwać naszej epoki „wiekiem wątpienia" – żyjemy w wieku niesłychanie silnej religijności.

Charles W. Ferguson, *The Confusion of Tongues*

Kiedy Dan Lafferty przeczytał *Czyniącego pokój* i powziął zamiar praktykowania poligamii, oświadczył swojej żonie Matildzie, że chce poślubić jej najstarszą córkę. W ostatniej chwili zmienił jednak plan i ożenił się z (zamężną) rumuńską imigrantką nazwiskiem Ann Randak. Ann pracowała na ranczo Roberta Redforda w Spanish Fork Canyon w górach na wschód od Dream Mine i zajmowała się końmi aktora. Dan poznał ją, gdy przyjechał tam wypożyczyć rumaka na lokalną paradę. Nie należała do Kościoła LDS, lecz jak mówi Dan:

– Była otwarta na nowe doświadczenia. To ona zaproponowała, że zostanie moją drugą żoną. – I dodaje: – Urocza dziewczyna. Nazywałem ją moją małą Cyganką.

Dan był szczęśliwy, żyjąc wedle Bożych zasad wyłożonych w *Czyniącym pokój*. Zaczął więc szukać innych tekstów o mormońskich praktykach z czasów wczesnych dni Kościoła. Wkrótce odkrył, że mormońscy przywódcy, pragnąc większej akceptacji ze strony amerykańskiego społeczeństwa, wyrzekli się nie tylko poligamii. W XIX wieku Joseph Smith i Brigham Young głosili świętą doktrynę „pokuty krwi". Krzywdy wyrządzone mormonom, tłumaczył Brigham, mogą zostać naprawione, tylko jeśli „krew grzeszników zostanie przelana". Szczególną zaś ciekawość Dana budził fakt, że Joseph przedkładał prawo boskie nad prawo państwowe. Kiedy Dan uczył się w Kalifornii na kręgarza, utrzymywał siebie i swą rodzinę, prowadząc małą gastronomię. Każdego ranka on, Matilda i najstarsze dzieci wstawali przed świtem i przygotowywali wegetariańskie kanapki, „tylko z naturalnych składników", które Dan następnie brał na uczelnię i sprzedawał innym studentom.

– Szło całkiem nieźle – wspomina z dumą – dopóki nie zjawili się goście z Wydziału do spraw Zdrowia i Higieny. Kazali mi zwinąć działalność, bo nie przestrzegałem przepisów. Powiedzieli, że nie mam pozwolenia i nie odprowadzam podatków.

Niedługo przedtem Matilda urodziła synka i rodzinie brakowało pieniędzy. Utrata głównego źródła dochodów stanowiła poważny problem.

Całe wydarzenie stało się kamieniem milowym na drodze Dana do fundamentalizmu.

– Kiedy zmusili mnie, żebym zamknął interes, nie wiedziałem, co robić. To było najzwyczajniej w świecie nie fair: dlaczego rząd karze mnie za bycie przedsiębiorczym, za utrzymywanie rodziny? Woleli wysłać mnie na zasiłek, zamiast pozwolić na prowadzenie niewielkiego biznesu. Kompletna głupota, najgorszy przykład tego, jak funkcjonuje biurokracja. W Księdze Mormona anioł Moroni mówi, że wszyscy musimy pilnować, by nasz rząd działał dobrze i sprawiedliwie. Jak to przeczytałem, postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce. Pojąłem, że muszę się bardziej angażować politycznie i że

w ostatecznym rozrachunku nie da się oddzielić kwestii religijnych od polityki. To wszystko jest powiązane.

Dan ukończył studia, wrócił do Utah i zaczął pracować jako kręgarz u swojego ojca. Państwo Lafferty dawno już sprzedali farmę i kupili dom w starej dzielnicy w centrum Provo. W piwnicy ojciec Dana prowadził swoją praktykę. Tak się akurat złożyło, że krótko po powrocie Dana Watson senior i jego żona zostali wysłani przez Kościół za granicę na dwuletnią misję. Dan i jego młodszy brat Mark (który także ukończył college dla kręgarzy w Los Angeles) przejęli więc interes.

Od zawsze świetnie się dogadywali. „W dzieciństwie byliśmy nierozłączni", mówi Dan. Jako mali chłopcy każdego ranka i każdego wieczora doili razem krowę należącą do rodziny. W wakacje:

– Bawiliśmy się w stodołach, skakaliśmy w sianie, graliśmy w futbol, przesiadywaliśmy w domku na drzewie. Gdzie jeden, tam drugi – opowiada Dan. – Nie znosiliśmy nawet na chwilę przerywać zabawy, choćby po to, żeby napić się wody albo zrobić siku. Zresztą nic nie smakowało tak dobrze jak zimna woda z kranu przy korycie i nie było nic przyjemniejszego niż odlać się, kiedy już naprawdę ci się chciało.

Młodsi bracia – Tim, Watson junior i Allen – gdy tylko podrośli, z entuzjazmem dołączyli do Dana i Marka.

– Stawaliśmy w piątkę przy płocie, od najstarszego do najmłodszego, i sikaliśmy razem. Uwielbiali naśladować mnie i Marka.

Przejąwszy gabinet ojca, Dan i Mark odnowili dawną więź. Podczas przerw w pracy rozmawiali o różnych ważnych sprawach. Coraz częściej schodziło na temat krzywd wyrządzanych obywatelom przez rząd, na które lekarstwem był powrót do słusznych zasad wiary.

– Dostrzegłem niezwykłą rzecz – opowiada Dan. Obaj z Markiem mieli dużo pracy, często więc między jedną a drugą rozmową mijało parę dni. Ale jak już udawało się usiąść i porządnie pogadać – za każdym razem zjawiali się moi młodsi bracia, zupełnie niezapowiedziani, żeby dołączyć do naszej dyskusji. – Zdarzało się to tak często – że nie chciało mi się wierzyć w przypadek.

W nieplanowanych spotkaniach brało udział pięciu braci: Dan, Mark, Watson, Tim i Allen. Brakowało tylko Rona, który jako najstarszy (miał o sześć lat więcej niż Dan) zawsze był dla nich raczej jak ojciec, nie jak brat.

Dyskusjom przewodził zazwyczaj Dan, toteż prędzej czy później schodziło na rząd, biurokrację i nadużycia władzy. Lafferty, okraszając swoje tyrady cytatami z Księgi Mormona, tłumaczył braciom, że rząd nie ma prawa wymagać od obywateli żadnych zezwoleń ani płacenia podatków. Konieczność posługiwania się numerem ubezpieczenia społecznego uważał za przejaw represji.

– Pojąłem, że jeśli akceptujemy całą tę papierkologię, to godzimy się, aby państwo przejęło kontrolę nad naszym życiem – wspomina. – A ja przecież miałem prawo normalnie żyć i rządowi nic do tego.

Co prawda Dan nie zmienił jeszcze wyznania ani nie wybrał sobie nowego proroka, lecz stał się *de facto* mormońskim fundamentalistą, i to bardzo żarliwym. Dla większości ruchów fundamentalistycznych – czy mówimy o mormonizmie, katolicyzmie, ewangelikalizmie, judaizmie czy islamie – siłą napędową jest pragnienie powrotu do mitycznego porządku i utraconej doskonałości pierwotnego Kościoła. Dan również chciał przywrócenia słusznych wartości. Im uważniej studiował mormońskie dokumenty historyczne, tym większej nabierał pewności, że około roku 1890 Kościół zszedł na manowce, gdy ówczesny prezydent i prorok Wilford Woodruff został zmuszony przez bezbożny rząd

w Waszyngtonie do wyrzeczenia się przykazania o poligamii – odtąd mormonizm stał się jednym wielkim przekrętem.

Dan powziął więc typowy dla wszelkiego rodzaju fundamentalistów zamiar wiernego przestrzegania „prawdziwych" Bożych przykazań, które poznawał dzięki ściśle dosłownej interpretacji najstarszych i najświętszych tekstów mormonizmu. Tę samą metodę stosował w odniesieniu do świętych pism Ameryki. Według Dana Księga Mormona, *Czyniący pokój*, konstytucja Stanów Zjednoczonych oraz Deklaracja Niepodległości to paciorki jednego różańca: powstałe z Bożej inspiracji świadectwa bezpośredniego przymierza z Wszechmogącym, których prawomocność jest absolutna i niezbywalna. Obowiązkiem człowieka cnotliwego jest życie zgodnie z ich literalną wykładnią. Kontekst powstania nie gra żadnej roli. Istnieje tylko jedna słuszna i niebudząca najmniejszych wątpliwości interpretacja. Żadnych niuansów ani dwuznaczności.

Literalizm jest typowy dla fundamentalistów. W książce *Serving the World* Vincent Crapanzano zauważa, że towarzyszy on:

> zamkniętemu, zazwyczaj (choć nie zawsze) konserwatywnemu postrzeganiu świata. Sprzyja pragnieniu zatrzymania postępu i myśleniu w kategoriach „my i oni". „My" poznaliśmy prawdę, cnotę i dobro. „Oni" są fałszywi, źli i zdeprawowani. Należy ponadto krzywo patrzeć na wszelkiego rodzaju metaforyczny język. Jeśli bowiem metafory i symbole dają do myślenia, język otwiera świat i wyobraźnię, co dla zwolenników ścisłej dosłowności jest pierwszym krokiem na drodze do zepsucia.

Dan krzywi się na tego rodzaju uczone egzegezy.

– Powierzono mi misję – kwituje. – Misję dotarcia do prawdy.

Najpierw modlił się o wskazówki. Gdy dostał potwierdzenie, że postępuje zgodnie z Bożą wolą, władzom stanu Utah odesłał swoje prawo jazdy, unieważnił akt ślubu i zwrócił dowód ubezpieczenia społecznego. Ograniczenia prędkości uznał za nielegalne, więc się do nich nie stosował – jeździł po prostu „rozważnie i ostrożnie" (tak przynajmniej twierdzi). Przestał płacić podatki, w tym podatek od sprzedaży, co prowadziło do ciągłych kłótni z kasjerami w okolicznych sklepach.

Latem 1982 roku, podniecony całą tą krucjatą, zgłosił swoją kandydaturę na stanowisko szeryfa hrabstwa Utah i zaczął prowadzić kuriozalną kampanię wyborczą. Wygłaszał przemówienia, słał listy do gazety z Provo, udzielał wywiadów radiowych, uczestniczył w paradach w małych miasteczkach. Obiecywał, że jeśli zostanie wybrany, będzie egzekwował prawo wedle ściśle dosłownej interpretacji amerykańskiej konstytucji.

– Zamierzałem ponownie oddać pierwszeństwo prawu zwyczajowemu i odnowić fundamenty konstytucji – tłumaczy.

4 października 1982 roku Dan jechał do domu po spotkaniu z innym kandydatem, szefem policji z American Fork, którego próbował namówić do publicznej debaty. Na drodze międzystanowej numer 15 zatrzymał go policjant stanowy: Dan przekroczył prędkość i nie miał nalepki zaświadczającej o badaniu technicznym.

– Nieraz już się sprzeczałem z gliniarzami z drogówki – przyznaje Dan. – Ten akurat wiedział, że będę wracał tędy do domu ze spotkania, i zastawił na mnie pułapkę. Chodziło o to, żeby skazać mnie za jakieś przestępstwo i uniemożliwić mi kandydowanie. No więc zgarnęli mnie na szosie. Dopiero co opublikowałem ważny artykuł w gazecie, bardzo ważny artykuł, w którym nadepnąłem wielu ludziom na odcisk. Był o tym, jak rząd nadużywa władzy, wydając nielegalne nakazy aresztowania, a zatrzymywanie kogokolwiek na szosie jest sprzeczne z konstytucją. I ten policjant powiedział, że czytał

mój artykuł. „Mam go w radiowozie”, twierdził. No więc powiedziałem mu: „Skoro go czytałeś, rozumiesz, czemu nie możesz mnie teraz aresztować. Musisz mieć nakaz podpisany przez sędziego i przyjść z nim do mojego domu. Nie będę stawiał oporu”.

Dan zamknął wszystkie szyby i zablokował drzwi, zostawił tylko dwucentymetrową szparę w oknie po stronie kierowcy, „na tyle wąską, żeby gliniarz nie dał rady włożyć ręki do środka, ale na tyle szeroką, by dało się rozmawiać”.

Policjantowi nie było do śmiechu. Kazał Danowi wysiąść z samochodu.

– Kiedy odmówiłem, zrobił coś, czego się nie spodziewałem: wetknął palce w szparę, siłą opuścił szybę i wyrwał ją z ramy. Próbował mnie chwycić. Powiedziałem: „Dobra, to ja spadam. Do zobaczenia”, po czym odjechałem.

Mundurowy szybko go dogonił. Dan został aresztowany pod pięcioma zarzutami, między innymi: próby ucieczki, napaści na policjanta i stawiania oporu władzy. W sądzie odmówił wzięcia adwokata. Próbował przedstawić linię obrony odwołującą się do zasad prawa konstytucyjnego. Sędzia jednak powtarzał mu raz po raz, że sądy w Utah nie mają uprawnień do orzekania w sprawach konstytucyjnych. Dan wpadł we wściekłość, która jeszcze przybrała na sile, kiedy sędzia oddalił wniosek o zmianę ławy przysięgłych (zasiadały w niej cztery kobiety; Dan uważał, że ma prawo być sądzonym przez co najmniej jednego przysięgłego mężczyznę).

Lafferty ignorował upomnienia sędziego i uparcie wracał do konstytucji. Został więc ukarany za obrazę sądu. W tym momencie zebrani na sali bracia i zwolennicy Dana wywołali prawdziwą burdę. Krzyczeli, że niniejszym dokonują „obywatelskiego zatrzymania” sędziego, prokuratora i protokolanta. W środku awantury Dan wstał i gromkim głosem krzyknął: „Na miłość Chrystusa, sędzio, czyń sprawiedliwość lub bądź przeklęty!”.

Koniec końców cały ten teatr niewiele pomógł. Dan został wysłany do więzienia stanowego na czterdzieści pięć dni obserwacji psychiatrycznej, następnie zaś odsiedział trzydzieści dni w więzieniu okręgowym.

Pobyt za kratkami tylko utwierdził go w przekonaniu o własnej słuszności. Ze względów doktrynalnych przestał płacić podatek od nieruchomości.

– Dom mojego ojca – tłumaczy – był przecież jego własnością. Jeśli płacisz podatki, zrzekasz się jej na rzecz rządu, bo jak zalegasz z przelewem, to mogą ci ją odebrać. Byłem gotów iść na noże, żeby rozstrzygnąć, do kogo naprawdę dom należy.

Znowu przegrał. Asesor hrabstwa Utah poinformował go, że przejmuje nieruchomość i całe wyposażenie firmy Watsona Lafferty’ego z powodu niezapłaconych podatków. Dan uprzejmie poinformował biuro asesora, że zamierza „bronić się przed jakimkolwiek naruszeniem moich praw konstytucyjnych, gwarantowanych przez Boga”.

Czterech młodszych braci Lafferty wspierało go niestrudzenie w walce przeciwko państwu. Kiedy jednak ojciec Dana (który wciąż przebywał na misji za granicą) dowiedział się o rychłym zlicytowaniu domu, wpadł w furię. Zadzwonił do Dana, wyraził oburzenie i oskarżył go o „hipnotyzowanie” braci. Patriarcha rodu zasugerował nawet, że Dan próbował „zahipnotyzować” jego oraz Claudine przez telefon.

Watson wrócił do Provo i zdołał uratować dom, ale złość mu nie minęła. Dla Dana było to smutne, lecz ani trochę nie zmieniło jego podejścia do całej krucjaty.

Na przełomie 1982 i 1983 roku coraz większą rolę odgrywała w jego życiu religia. Pięciu braci natchnął fundamentalistyczny duch. Spotykali się teraz regularnie, dyskutowali o poligamii i innych świętych przykazaniach omawianych w *Czyniącym pokój*. Gdy jednak trzej młodsi bracia spróbowali wprowadzić je w życie, ich żony stanowczo się temu sprzeciwiły. Wkrótce też zaczęły zwierzać się Diannie Lafferty, małżonce Rona, że dzieje się coś niepokojącego.

14

Brenda

> [Fundamentalizmy] są mianowicie formami religijności gotowymi do angażowania się w walkę, które uformowały się jako odpowiedź na odczuwany kryzys wartości duchowych. Fundamentaliści wchodzą w konflikt z każdym przeciwnikiem, którego polityka i przekonania wydają im się wrogie w stosunku do religii. Dla fundamentalistów ich walka nie jest konwencjonalną batalią polityczną – postrzegają ją jako wojnę pomiędzy siłami dobra i zła, mającą wymiar kosmiczny. Z lęku przed całkowitym duchowym unicestwieniem przywracają wybrane nauki i praktyki z przeszłości, by umocnić swą zagrożoną tożsamość. Chcąc uniknąć niebezpiecznych wpływów kulturowych, wyłączają się z głównego nurtu życia społecznego i tworzą kontrkultury. Fundamentaliści nie są jednak niepraktycznymi marzycielami; przyswoili sobie również racjonalizm i pragmatyzm, rządzące we współczesnym świecie. Pod kierunkiem swoich charyzmatycznych przywódców doskonalą fundamentalne idee i tworzą ideologie, które mają obowiązywać w życiu ich wyznawców. Wreszcie walczą z coraz bardziej sceptycznie ustosunkowanym do wiary światem, któremu chcą przywrócić utraconą świętość.
>
> Karen Armstrong, *W imię Boga*, przeł. Joanna Kolczyńska

Ron i Dianna Lafferty mieszkali z sześciorgiem dzieci w Highland, niewielkiej, bogatej rolniczej społeczności, wtulonej w podnóże gór Wasatch, na północ od American Fork, w połowie drogi między Provo a Salt Lake City. W roku 1982 Ron pełnił funkcję radnego, gorliwie udzielał się w lokalnym zborze LDS, został nawet pierwszym doradcą biskupa i odpowiadał za pracę z młodzieżą[30]. Był wspaniałym ojcem, jego małżeństwo z Dianną stanowiło wzór do naśladowania, wielu zresztą zazdrościło im udanego związku. Penelope Weiss, bliska przyjaciółka Dianny, opowiada:

– Przez szesnaście i pół roku tworzyli szczęśliwą parę. Pamiętam, jak po tym, co się stało, w sensie po całej tej historii z Danem i Ronem, rozmawiałam z moją córką. Pierwsze, co powiedziała: „Niemożliwe!”. I dodała jeszcze: „Ja i wszystkie koleżanki chciałyśmy takiego małżeństwa, jakie mieli Ron i Dianna”.

Ale Ron tylko z pozoru był szczęśliwy. Za kruchą fasadą ukrywał problemy mające korzenie jeszcze w czasach dzieciństwa. Całe rodzeństwo Laffertych bało się brutalnych wybuchów ojcowskiego gniewu, lecz to właśnie Ron (którego łączyła szczególnie bliska więź z wiecznie sponiewieraną matką) wyszedł z tego najbardziej pokiereszowany. Zdaniem Richarda Woottona, psychologa, który wielokrotnie badał go w więzieniu, Ron pamięta, „jak jego ojciec bił matkę. Pamięta też, że czuł wtedy wściekłość. Żałował, że nie jest na tyle duży, by skopać ojca. […] To pewnie nadal w nim siedzi. Dawne przeżycia utrwaliły też pewien wzór zachowań, które Ron przejawiał w trudnych, niepewnych sytuacjach”.

Mało kto zdawał sobie sprawę z wewnętrznych męczarni Rona. Od małego był lubiany przez rówieśników, w szkole dostawał przyzwoite stopnie, odnosił sukcesy w sporcie. Stał się prawdziwą gwiazdą licealnej drużyny futbolowej, mianowano go też kapitanem drużyny zapaśników. Sprawiał wrażenie młodego człowieka, któremu wszystko się w życiu układa. Po ukończeniu szkoły średniej i odbyciu służby wojskowej Kościół mormoński wysłał go na dwuletnią misję. Ron aż się palił, by głosić dobrą nowinę. Pragnął dać innym ludziom szansę zakosztowania niezrównanej radości, jaką czerpał z przynależności do Kościoła LDS.

Los mormońskiego misjonarza jest niełatwy. Trzeba z własnej kieszeni pokryć koszty wyjazdu, przy czym to Kościół wyznacza cel podróży. Ron przeszedł cztery tygodnie indoktrynacji w Centrum Szkolenia Misjonarzy w Provo. Kazano mu się udać do Georgii oraz na Florydę. Był posłusznym mormonem,

dawno już ślubował, że wyrzeknie się alkoholu, papierosów, narkotyków, kofeiny, masturbacji i seksu przedmałżeńskiego[31]. Teraz, gdy został misjonarzem, nie mógł ponadto czytać nic prócz tekstów Kościoła LDS i słuchać świeckiej muzyki. Filmy, telewizja, gazety i czasopisma – wszystko zostało zabronione. Listy do domu mógł pisać najwyżej raz w tygodniu, a telefonować do rodziny tylko w Boże Narodzenie i na Dzień Matki.

Ron, ogólnie rzecz biorąc, przestrzegał tych zasad, od czasu do czasu budził się w nim jednak bunt. Trudne relacje z ojcem tłumaczą, dlaczego w tak pogmatwany emocjonalnie sposób podchodził do wszelkiej władzy. Z jednej strony za wszelką cenę chciał, by jego przełożeni byli usatysfakcjonowani. Z drugiej strony skrywał w sobie gniew na każdego, kto stał wyżej w hierarchii. Od czasu do czasu musiał więc przypomnieć przełożonym, że nie jest ich własnością.

W tamtych czasach misjonarz musiał chodzić w nakryciu głowy. Doktor Wootton (sam należący do Kościoła mormońskiego) opowiada, że Ron:

– Odmówił noszenia kapelusza. Kazano im też ubierać się w płaszcze, nawet na Florydzie, gdzie przecież latem jest gorąco i parno. Ron nie wkładał płaszcza. Powiedział: „Nie przyjechałem tu na pokaz mody, mam nawracać niewiernych i wypełnić swoją misję”.

Co dzień wstawał o szóstej rano, wkładał czarne spodnie, idealnie wyprasowaną białą koszulę i brzydki przypinany krawat, po czym spędzał dwie lub trzy godziny na studiowaniu Pisma Świętego. Następnie ruszał w miasto w poszukiwaniu chętnych do nawrócenia. Jak wszyscy mormońscy misjonarze, musiał znosić wyzwiska i groźby. Opluwano go i przepędzano. Codziennie czterdzieści, pięćdziesiąt razy zatrzaskiwano mu drzwi przed nosem. Ron jednak był wprost stworzony do roli misjonarza. Nic nie wytrącało go z równowagi. Upokorzenia spływały po nim jak woda po kaczce.

Ron wiedział, że Kościół LDS to Jedyny Prawdziwy Kościół Boży. Za wszelką cenę chciał przekonać o tym jak najwięcej osób. Nieprzeciętnie oddany misjonarz potrafi nawrócić z reguły trzy, może cztery osoby rocznie – co jest naprawdę dużym osiągnięciem[32]. Ron tymczasem podczas swej dwuletniej misji ochrzcił przeszło pięćdziesięcioro nowych świętych.

Na Florydzie poznał Diannę, uroczą studentkę pielęgniarstwa. Zakochał się w niej, a gdy misja dobiegła końca, wzięli ślub. Razem zamieszkali w Utah, w pobliżu jego rodziców i braci. Ron znalazł porządną pracę jako operator maszyn ciężkich w firmie budowlanej należącej do znajomego mormona. Założył rodzinę i wychowywał dzieci na porządnych członków Kościoła.

Dla rodzeństwa i rodziców był emocjonalną ostoją. Bracia i siostry od małego zwracali się do niego po rady i wsparcie. W rodzinnych kłótniach odgrywał rolę rozjemcy. Jedna z sióstr nazwała go „typem matki kwoki”, co bardzo mu odpowiadało. Przez dwie dekady, odkąd wrócił z misji, z oddaniem pomagał matce, braciom i siostrom, ilekroć go potrzebowali.

W połowie 1982 roku Dianna uznała, że rodzeństwu Rona przyda się jego wsparcie. Cztery szwagierki skarżyły się jej, że ich mężowie próbują wcielać w życie fanatyczne zasady Dana. Namówiła więc męża, by porozmawiał z Danem oraz pozostałymi braćmi i „skierował ich na właściwą drogę”.

Odwiedził ich zatem pewnego wieczora, gdy spotkali się w domu rodziców w Provo, by rozmawiać o polityce i religii. Wcześniej ani razu nie brał w tych dyskusjach udziału. Bracia przyjęli go ciepło, nawet kiedy zaczął czytać im tekst opublikowany przez Kościół LDS, przestrzegający przed fundamentalizmem i nakazujący wszystkim mormonom posłuszeństwo wobec prezydenta i proroka Spencera W. Kimballa. Zadawał coraz ostrzejsze pytania, robił, co mógł, by przekonać braci, że bzdurne

pomysły Dana stanowią straszliwe zagrożenie dla ich nieśmiertelnych dusz.

– Ron się mnie wstydził – wspomina Dan. – Był oddanym mormonem i powiedział, że hańbię jego Kościół. Dodał też: „W naszej religii nie ma miejsca dla żadnych skrajności”.

Ale Dan nie ustąpił. „A co ze skrajnym dobrem? Ja tylko staram się czynić skrajne dobro!” Z pasją przekonywał, że Kościół LDS popełnił błąd, wyrzekając się poligamii, ale wróci na właściwą drogę, jeśli zacznie ponownie głosić święte przykazania, opisane w *Czyniącym pokój*. Ron starał się zbijać te argumenty jeden po drugim. Cytował Biblię i Księgę Mormona. Dan przywoływał na to inne cytaty ze świętych tekstów, a także z konstytucji.

– Nie upłynęło dużo czasu i Ron zmienił zdanie. Powtarzał: „Macie rację, naprawdę macie rację”. – Tak oto w ciągu kilku godzin Dan Lafferty nawrócił swego brata, pobożnego mormona, na mormonizm fundamentalistyczny. Dianna wyznała później przyjaciółce, Penelope Weiss, że gdy Ron wrócił tego wieczora do domu, „był już zupełnie innym człowiekiem”.

Tak więc Ron przyjął wywrotowy światopogląd braci i zaczął regularnie uczestniczyć w ich spotkaniach. Wyrzucił prawo jazdy, zdjął tablice rejestracyjne ze zderzaków samochodu. Następnie odszedł z pracy.

Dianna była przerażona. Już od dłuższego czasu, odkąd Ron zabrał się do interesów, ledwo dawali sobie radę finansowo. Nie dość, że wziął pożyczkę z banku i wieczorami, po fajrancie, budował czteromieszkaniowy dom, który zamierzał sprzedać, to jeszcze ruszył z budową w Highland „wymarzonego domu” dla własnej rodziny. Wkrótce zaczęło brakować gotówki. Jakby tego było mało, gospodarka całego regionu Gór Skalistych znalazła się w recesji. Ron i Dianna nie dawali rady spłacać kredytu. Nie starczało im na żywność ani na ubrania dla dzieci. Stres dawał się Ronowi we znaki.

– Recesja była naprawdę poważna – wspomina Weiss. – Wyglądało na to, że Ron wszystko straci. Bank przygotował już nawet papiery niezbędne do przejęcia jego domu. A przecież Ron tyle lat pracował, by się go dorobić. Był na granicy wytrzymałości. Dianna mówiła mi, że często wpadał w rozpacz, płakał. Powtarzała mu: „Ron, nie przejmuj się, zaczniemy wszystko od nowa. Już raz nam się przecież udało”. On jednak tylko patrzył na nią i mówił: „Zbyt wiele poświęciliśmy. Nie przeżyję, jeśli to przepadnie”. No i wtedy doszło do spotkania z Danem – ciągnie Weiss zbolałym głosem. Jeden z dogmatów brata wydał się Ronowi szczególnie pociągający: – Dan przekonał Rona, że Bóg nie chce, aby człowiek otaczał się dobrami materialnymi. Lepiej je utracić lub się ich wyrzec. Ron miał do odegrania znacznie ważniejszą rolę. Bóg zamierzał uczynić go apostołem wiary głoszonej przez Dana. I Ron naprawdę w to uwierzył. Zrezygnował więc z pracy, bo jak twierdził, zostanie następnym prorokiem Kościoła LDS. Dan miał być jego pierwszym doradcą, a pozostali czterej bracia Radą Kościoła.

Niedługo po nawróceniu Ron nakazał Diannie zastosować się do surowych reguł wyłożonych w *Czyniącym pokój*. Weiss wspomina:

– Poszłam pewnego dnia do ich domu i zastałam Diannę, która ubijała właśnie galon śmietany. Zdziwiłam się i zapytałam, co robi. Na co ona powiedziała: „Ron życzy sobie, abyśmy odtąd sami przygotowywali masło”. Na tym, oczywiście, jego żądania się nie skończyły. W zasadzie zamierzał z niej zrobić swoją niewolnicę. Zanim Dan wyprał mu mózg, Ron traktował Diannę jak królową. Był jedną z najmilszych znanych mi osób. Potem jednak stał się jedną z najwstrętniejszych. Diannie od początku się to nie podobało. Nigdy nie widziałam, by ktoś starał się ocalić małżeństwo tak bardzo jak ona.

Rozmawiała z Ronem całymi nocami, próbowała przemówić mu do rozsądku. Godziła się na jego szalone pomysły, bo liczyła, że dzięki temu Ron się opamięta. W końcu jednak doszła do ściany i powiedziała: „Dość”.

Dianna pomału traciła nadzieję, że Ron na powrót stanie się kochającym ojcem i czułym mężem. Z coraz większym entuzjazmem wypowiadał się na temat poligamii (Diannę na samą myśl ogarniały mdłości). W końcu oznajmił, że pragnie, aby ich nastoletnie córki wstąpiły w poligamiczne związki małżeńskie. Tego Dianna nie wytrzymała. W akcie desperacji poprosiła o pomoc Weiss, przyjaciół i przywódców lokalnego zboru. A także Brendę Lafferty, żonę Allena, najmłodszego z sześciu braci.

Gdy Dan nawrócił braci na fundamentalizm, każda z ich żon do pewnego stopnia podporządkowała się upokarzającym regułom zaczerpniętym z *Czyniącego pokój*. Każda prócz jednej – prócz Brendy Wright Lafferty.

Brenda była inteligentna, elokwentna i asertywna.

– Postawiła się braciom – mówi jej matka, LaRae Wright. – Była, zdaje się, najmłodszą z żon, ale zarazem najsilniejszą. Uczyła pozostałe, żeby domagały się swoich praw i myślały samodzielnie. Świeciła przykładem, nie godząc się na żądania Allena. Jednoznacznie dała mu do zrozumienia, że nie chce, aby spotykał się z braćmi. Mieli do niej o to pretensje, choć przecież próbowała tylko ocalić swą rodzinę. Nienawidzili Brendy, bo stanęła im na drodze.

Brenda była drugim z siedmiorga dzieci, których dochowali się LaRae i Jim Wrightowie. LaRae pracowała jako nauczycielka, Jim jako agronom. Kiedy Brenda skończyła rok, przenieśli się z Logan w stanie Utah do Ithaki w stanie Nowy Jork. Tam ojciec doktoryzował się na Uniwersytecie Cornella. Jim i LaRae tęsknili za bezkresnymi horyzontami zachodu, lecz Ithaca też miała swoje zalety. Jedną z nich była bliskość Palmyry, kolebki mormonizmu. Niemniej krótko po ukończeniu doktoratu Jim przeniósł rodzinę z powrotem na zachód, do Twin Falls w stanie Idaho, wsi leżącej sześćdziesiąt kilometrów od granicy Utah. Brenda wiodła szczęśliwe dzieciństwo.

– Była towarzyska, pełna życia, miała nieprzeciętną osobowość – opowiada jej starsza siostra Betty Wright McEntire. – Człowiek nigdy się z nią nie nudził. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Działała w samorządzie szkolnym i w zespole marszowo-tanecznym. Ponieważ nie brakowało jej ambicji, doskonale radziła sobie z nauką. No i była bardzo piękna. Mogłaby służyć za wzór urodziwej amerykańskiej dziewczyny z farmy. W roku 1980 została nawet pierwszą wicemiss Twin Falls.

Ukończywszy z wyróżnieniem szkołę średnią, zaczęła studia na Uniwersytecie Idaho. Wybrano ją na przewodniczącą żeńskiej korporacji studenckiej.

– Ale nie chciała takiego życia, wróciła więc do Twin Falls i dwa lata uczyła się w College of Southern Idaho, potem zaś przeniosła się na Uniwersytet imienia Brighama Younga – opowiada LaRae. Właśnie tam dołączyła do „zboru młodzieżowego”, mormońskiej kongregacji studenckiej, i poznała Allena Lafferty’ego. – Allen nie studiował, lecz z jakiegoś powodu był członkiem tej kongregacji – ciągnie LaRae. – Miał dużo charyzmy, przypadli sobie do gustu i wkrótce zaczęli się spotykać.

– Byłam wtedy na misji w Argentynie – podejmuje Betty. – Pisała do mnie co tydzień, wkrótce zdałam sobie sprawę, że z tym Allenem to jakaś poważniejsza sprawa. Wcześniej chodziła z wieloma chłopakami, nigdy jednak w żadnym się nie zakochała. Allen był inny. Odbył już misję, pochodził ze wzorowej mormońskiej rodziny. W Provo znali ich chyba wszyscy. Poza tym Allen to niezły czaruś. Zresztą każdy z braci Lafferty potrafi rzucić na ciebie urok. Mają coś takiego w oczach… No i Brenda

dała się na to złapać. Nawet na drugim końcu świata zorientowałam się, że oszalała na punkcie Allena.

22 kwietnia 1982 roku w Świątyni Salt Lake Allen i Brenda wzięli ślub, przysięgając, że nie opuszczą jedno drugiego aż do śmierci. Panna młoda miała dwadzieścia jeden lat.

Brenda ukończyła medioznawstwo. Jeszcze podczas studiów zaczęła prowadzić program informacyjny w stacji KBYU, lokalnym ośrodku PBS. Według Betty siostra:

– Chciała zostać drugą Michelle King[33]. Rodzice wychowywali nas na niezależne dziewczyny. Powtarzali, że każda ma określone talenty i musimy je rozwijać, że nie wolno nam polegać na innych. A potem Brenda wyszła za mąż, Allen nie chciał, żeby pracowała, no więc na jakiś czas odłożyła karierę medialną i zatrudniła się w Castleton, jednym z fajniejszych sklepów w centrum handlowym Orem, tylko po to, by mieć ubezpieczenie i dokładać się do rodzinnej kasy. Allen jednak nadal nie był zadowolony. Pragnął typowej, posłusznej żony. Pragnął całkowicie ją od siebie uzależnić.

Zdaniem LaRae:

– Brenda marzyła o karierze dziennikarskiej. Później, już po tym, co zaszło, dowiedzieliśmy się, że proponowano jej pracę wykładowczyni na medioznawstwie na Uniwersytecie imienia Brighama Younga. Allen się sprzeciwił. Została więc kurą domową. Z pamiętnika, który prowadziła, jasno wynika, że dwa miesiące po ślubie zrozumiała, iż popełniła błąd. Ale wtedy była już w ciąży z Ericą.

– Kiedy Allen stał się członkiem naszej rodziny – mówi Betty – od razu go polubiliśmy. Traktowaliśmy jak fantastycznego starszego brata. Nie mieliśmy pojęcia o jego krewnych. Dopiero po jakimś czasie zorientowaliśmy się, że to banda fanatyków.

Betty pamięta, jak pewnego razu odwiedziła ciężarną siostrę i szwagra.

– Brenda chciała zjeść coś na mieście, lecz Allen odmówił pójścia do jakiejkolwiek restauracji, która jest otwarta w niedzielę. Jeździliśmy więc od jednego lokalu do drugiego. Allen za każdym razem kazał nam czekać w samochodzie. Sam szedł do restauracji i pytał kelnera, czy w niedzielę jest otwarte, a kelnerzy odpowiadali, że owszem, tak. W końcu Brenda i ja miałyśmy już tego dosyć. Kazałyśmy się zawieźć do domu. Allen dobrze zarabiał jako glazurnik, lecz zawsze kazał sobie płacić w gotówce. Nie chciał, by urząd skarbowy dowiedział się, ile zarabia. Nie chciał ubezpieczenia społecznego. Przy czym cała ta obsesja zaczęła się dopiero po ślubie.

– Zorientowaliśmy się, że Allen nieustannie próbuje obchodzić przepisy – przypomina sobie Betty. – Kiedy pierwszy raz od czasu ślubu miał wypełnić zeznanie podatkowe, oznajmił Brendzie, że nie zamierza zapłacić fiskusowi nawet centa. „Ani mi się waż! – odpowiedziała. – Trzeba przestrzegać prawa”. Allen odmówił, więc poprosiła naszego ojca, by sporządził ich zeznanie. Potem przyszedł czas na przedłużenie dowodu rejestracyjnego auta. Allen zabronił Brendzie to robić. I znowu się postawiła, mówiła: „Nie zmierzam płacić mandatów”. Doszło do strasznej awantury. Po prostu inaczej nas wychowano. Brenda zawsze robiła, co należy. Płaciła podatki, dbała o zarejestrowanie samochodu i tak dalej. Nie dawała się zdominować mężowi.

Kiedy Erica zachorowała, nie zgadzał się, by zawieźć ją lekarza. Sprawy przybierały coraz bardziej ponury obrót.

Ojciec Allena, Watson Lafferty senior, od dawna cierpiał na cukrzycę, odmawiał jednak brania insuliny. Pod koniec roku 1983, kiedy wrócili z żoną z misji i zamieszkali ponownie w domu rodzinnym w Provo, znacznie mu się pogorszyło. Synowie jednak nie chcieli zabrać go do szpitala. Stosowali zioła i leki homeopatyczne, które nie przynosiły żadnego skutku. Watson umarł.

– Wtedy Brenda wiedziała już, że dzieje się z nimi coś niedobrego – twierdzi Betty. – Nabrała pewności, że to źli ludzie.

Życie Dianny Lafferty zmieniało się tymczasem w istny koszmar. Ponieważ mieszkała w Highland, zaledwie parę minut drogi od niewielkiego domku Allena i Brendy w American Fork, zdesperowana i przytłoczona całą sytuacją postanowiła zwrócić się do szwagierki o pomoc. Brenda uparcie wierzyła, że zdoła ściągnąć Allena z powrotem na ziemię, natomiast w przypadku Rona nie miała już żadnych nadziei – fanatyczne idee pochłonęły go bez reszty. Ron i Dan zostali ekskomunikowani z Kościoła LDS. Ron stracił pracę. Coraz częściej maltretował Diannę, coraz częściej snuł marzenia o poślubieniu kolejnych żon. Brenda namawiała szwagierkę, by wzięła rozwód, dla własnego dobra i dla dobra dzieci.

Odejście od męża było dla Dianny czymś nie do pomyślenia. Tłumaczyła potem prokuratorowi hrabstwa Utah, że miała sześcioro dzieci, nie ukończyła college'u, nigdy nie pracowała i brakowało jej jakichkolwiek kwalifikacji zawodowych. „Nie potrafię nawet pisać na maszynie", wyznała z płaczem. W głębi ducha wiedziała jednak, że Brenda ma rację. Musiała porzucić Rona. W końcu dzięki pomocy Brendy, przyjaciół i członków zboru LDS w Highland zebrała się na odwagę i wystąpiła o rozwód.

Jesienią 1983 roku Dianna i Ron nie byli już małżeństwem. Niedługo przed Świętem Dziękczynienia Dianna zabrała dzieci i przeprowadziła się na Florydę. Chciała być jak najdalej od braci Lafferty. Ron – co zupełnie niepojęte – nie spodziewał się, że żona może od niego odejść. Po rozwodzie zupełnie się załamał. Nie umiał znieść myśli o Bożym Narodzeniu bez rodziny. Postanowił spędzić święta z dala od Utah, gdzie na każdym kroku wszystko przypominało mu o Diannie i dzieciach. Udał się zatem do Woodburn w stanie Oregon, kolonii poligamistów, na której czele stał charyzmatyczny John W. Bryant.

Woodburn, rolnicza osada niewielki kawałek na północ od Salem, stolicy stanu, nie było pierwszą kolonią założoną przez Bryanta – wcześniej tworzył on już przyczółki wielożeństwa w Utah, Kalifornii oraz Nevadzie. Podobnie jak wielu innych zbuntowanych proroków uważał się za „jednego silnego i potężnego". Zarazem jednak różnił się od fundamentalistycznej braci. Miał temperament libertyna, opowiadał się więc za eksperymentowaniem z narkotykami i seksem grupowym (również homoseksualnym). Inni mormońscy fundamentaliści nie podzielali podobnych zamiłowań.

Dla Rona owe skandaliczne praktyki były czymś zupełnie nowym. Społeczność Bryanta zadziwiała go, ale i pociągała. Wkrótce wpadł w oko jednej z żon proroka. Miał co prawda ochotę się z nią przespać, bał się jednak jego gniewu i zazdrości. W końcu uznał, że pora wracać do Utah.

Tymczasem Bernard Brady poznał ze sobą Dana i proroka Oniasza, kanadyjskiego fundamentalistę. Dan przedstawił z kolei Oniasza Ronowi i pozostałym braciom. Wkrótce Ron, Dan, Mark, Watson oraz Tim Lafferty zostali przyjęci do założonej przez Kanadyjczyka Szkoły Proroków. Allen pragnął pójść w ich ślady, lecz Brenda postawiła na swoim.

– Stanowczo mu tego zabroniła – potwierdza LaRae Wright.

Sprzeciwiając się Allenowi, Brenda sprzeciwiła się całej jego rodzinie. Nie bała się jednak konfrontacji ani nie uciekała od sporów teologicznych z braćmi Lafferty. Doskonale znała święte pisma mormońskiego Kościoła i mogła dyskutować z Ronem i Danem jak równy z równym. Rychło znienawidzili ją za nieustępliwość oraz za to, że – jak powtarzali – „pozbawiła Allena jaj".

Gdy Watson Lafferty senior umierał na cukrzycę, Ron zebrał rodzinę, by przedyskutować kwestię pogrzebu i inne szczegóły. Allen zjawił się z Brendą, a Ron wpadł w szał. Wyzywał ją od kurew, lżył, aż w końcu odjechała z płaczem. Zaraz jednak wzięła się w garść.

– Ze wszystkich żon braci Lafferty tylko Brenda miała wykształcenie – zauważa Betty. – Właśnie dlatego się jej bali. Bo Brenda była pewna swego, umiała odróżnić dobro od zła i nie dawała sobie mącić w głowie. Uznała, że musi bronić szwagierek. Była ich jedyną nadzieją. – Betty milknie. Przez chwilę rozmyśla o ciężarze, który jej młodsza siostra wzięła na swoje barki. Wreszcie ciągnie: – Miała zaledwie dwadzieścia trzy lata. Taka młoda… Wszyscy wokół byli starsi, wydawałoby się: bardziej dojrzali. A jednak właśnie do niej szwagierki zwracały się o pomoc. – Po kolejnej pauzie Betty dodaje: – Moja siostra była niezwykłą kobietą.

Brenda zabroniła Allenowi przystąpić do Szkoły Proroków, ale nie mogła zakazać mu spotykania się z Danem i resztą braci.

– Próbowała mieć go na oku – mówi Betty. – Mniej więcej wtedy ja i nasza młodsza siostra Sharon odwiedziłyśmy Brendę i Allena. Za każdym razem, kiedy Allen gdzieś się wybierał, Brenda wysyłała mnie albo Sharon, żebyśmy mu towarzyszyły. Jak wracałyśmy do domu, wypytywała nas, gdzie był i z kim rozmawiał. Wydawało mi się to dziwne, ale teraz rozumiem, że chciała wiedzieć, ile czasu spędza ze swoimi braćmi.

15

Jeden potężny i silny

W Nauvoo, bezpiecznej przystani, kościelnym państwie-mieście, wyznawcy Josepha Smitha podjęli wiele ważnych decyzji i szukali odpowiedzi na pytanie, jak służyć Bogu. […] Smith zaś utwierdzał ich w błogim przekonaniu, że są ludem wybranym […].

Jak to często bywa w podobnych sytuacjach, zła szukano w innych. […] W Nauvoo niewinne Boże dzieci umocniły swą tożsamość. Jej podstawowy składnik stanowiła walka z szatanem, który rzekomo podporządkował sobie większość Amerykanów.

Oczywiście w przypadku takich dychotomicznych mitów problem tkwi w tym, że wina i niewinność stają się kwestią wiary, nie zaś rozumu i empirycznego wnioskowania.

John E. Hallwas, Roger D. Launius, *Cultures in Conflict*

To Bernard Brady, biznesmen z Utah, udziałowiec Dream Mine, poznał ze sobą proroka Oniasza i braci Lafferty (oprócz Allena). Stało się to pewnego rześkiego wieczora pod koniec 1983 roku. Wszyscy obecni od razu pojęli wagę wydarzenia. Między prorokiem i braćmi natychmiast zawiązała się nić porozumienia. Oniasz wspomina, jak rozmawiali w podnieceniu „aż do białego rana". Pijani poczuciem wybraństwa, uwierzyli, że jest im pisane wspólnie zmienić bieg dziejów.

– Pięciu braci z podnieceniem uświadomiło sobie, że właśnie otrzymaliśmy przykazanie od Pana, aby przekazać treść trzech rozdziałów *Księgi Oniasza* do władz wszystkich dystryktów i zborów Kościoła LDS[34]. – Miał na myśli objawienie z 26 listopada tamtego roku. Bóg zażyczył sobie, żeby Oniasz „przygotował broszury i rozesłał je prezydentom palików i biskupom Mego Kościoła" – czyli Kościoła LDS. Na treść owych broszur składały się fragmenty z rozmaitych dawniejszych objawień Oniasza, dotyczących grzechu cudzołóstwa. Wszyscy mormońscy przywódcy, od proroka w Salt Lake City aż po biskupa każdej gminy, mieli się ponadto dowiedzieć, że Bogu zdecydowanie nie podoba się sposób, w jaki poczynają sobie z prawdziwym Kościołem Chrystusa.

Stwórca był szczególnie zły, że mormońscy przywódcy bezczelnie lekceważą święte przykazanie, powierzone ongiś Josephowi Smithowi. Mało tego, wspierają rząd w walce z wielożeństwem. Niewiele gorszy, z perspektywy Oniasza, był fakt, że w roku 1978 prezydent Kościoła LDS Spencer W. Kimball dopuścił się bluźnierstwa, ogłosił bowiem, iż czarni mogą pełnić funkcje kapłańskie. Co prawda wiele osób spoza Kościoła pochwalało tę zmianę kursu, ale Bóg miał inne zdanie: powiedział Oniaszowi, że czarni to podludzie, „zwierzęta polne, ze wszystkich zwierząt najmądrzejsze, niczym człowiek chodzą bowiem na dwóch nogach i mową są obdarzone"[35].

Jeśli zresztą wierzyć prorokowi, Stwórca bynajmniej na tym nie poprzestał:

Oto powiadam ci: nigdym nie przykazał Memu Kościołowi i nigdy nie przykażę […], ażeby synowie Chama, nawet Murzyni, święte Me Kapłaństwo otrzymywali […].

I czyż nie mówiłem Memu słudze, Josephowi Smithowi, a nawet i tobie, że żaden członek owej rasy kapłaństwa otrzymać nie może, gdyż potomstwo Kaina nie może stać na równi z potomstwem Abla?

Od Szatana to bowiem czarna rasa się wywodzi. On to przyszedł do Kaina, gdy Bóg Kainowi zdolność płodzenia potomstwa odebrał, i nauczył go, jak nasienie swe zwierzęciu przekazywać i jak nasienie różnych zwierząt mieszać. Tak właśnie Szatan zgniliznę szerzył wśród istot Bożych.

Dlatego potop nawiedził ziemię, by zmieść z jej powierzchni wszelkie odrażające stworzenia, które Kain uczynił. […]

Kościół Mój przez Szatana jest przeniknięty. I zawładnąć nim Szatan próbuje.

Lecz ci, co cześć mu oddają, wkrótce za grzechy swe zapłacą, nie pozwolę bowiem, by szydzono ze Mnie, ani Kościoła Mojego, i wkrótce Kościół oczyszczony zostanie ogniem, a Ja ujawnię tych, co twierdzą, że Mnie znają, a nie znają Mnie.

Bóg powierzył Oniaszowi misję „oczyszczenia Mego domu z brudu” i sprowadzenia mormonizmu na właściwą ścieżkę.

> [Oniasza] Mym Duchem natchnę i występnych on ujawni, i nie ostaną się występni, i w gniewie zgrzytać będą zębami, aż własny gniew ich pożre.
>
> Bo ja jestem Pan Bóg Wszechmogący i nikt nie będzie kpił z Mego Słowa. […]
>
> A ileż zgiełku, ileż krzyku czynić będą, gdy upadek ich nastąpi […].
>
> A sługa Mój [Oniasz], którym teraz gardzą, Ducha Mego otrzyma i on stanie się ogniem, który ich pochłonie, i słowa, które napisze, odsłonią niejeden grzech i do upadku doprowadzą grzeszników, co skruchy nie znają.

Oniasz wysłał swoją broszurę przywódcom Kościoła LDS, bo pragnął dać im wybór: albo przyznają się do błędów i przekażą władzę wybranemu przez Pana prorokowi, „jednemu potężnemu i silnemu”, albo zaznają gniewu Bożego. Osoba z zewnątrz mogłaby uznać to za dowód zdumiewającej pychy i naiwności. Na braciach Lafferty broszura zrobiła jednak kolosalne wrażenie. Prawda została wydobyta na światło dzienne. Uznali, że w osobie Oniasza znaleźli arcyważnego sojusznika w walce o przywrócenie porządku w Kościele Josepha Smitha i przygotowanie ludzkości na powtórne przyjście Chrystusa.

Oniasz był równie zachwycony braćmi. Liczył, że z ich pomocą zdoła rozwinąć Szkołę Proroków. Bracia włożyli więc całą swą nieprzeciętną energię w żmudną pracę, polegającą na drukowaniu i składaniu przeszło piętnastu tysięcy egzemplarzy broszury, następnie zaś wkładaniu ich do kopert, adresowaniu i wysyłaniu do mormońskich przywódców w całej Ameryce.

– Istny cud – opowiada Oniasz. – Zadanie, które zajęłoby nam wiele miesięcy, gdybyśmy wykonywali je w czasie wolnym, zabrało ledwie kilkanaście dni, bo pracowali na okrągło, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Już na początku roku 1984 nowo utworzona Szkoła Proroków odbywała cotygodniowe spotkania w domu Claudine Lafferty. Dzięki entuzjazmowi pięciu braci całe przedsięwzięcie szybko nabierało tempa. Oniasz doceniał ich wkład. Miał wrażenie, że zesłały mu ich niebiosa.

Rychło zresztą zostało to oficjalnie potwierdzone. 8 stycznia prorok otrzymał nowe objawienie. Bóg wyjaśnił, że zanim jeszcze bracia Lafferty przyszli na świat, stali się „wybrańcami, w ich żyłach bowiem płynie prawdziwa krew Izraela i są oni jego prawdziwym nasieniem”. Sześć tygodni później, w kolejnym objawieniu, Bóg kazał Oniaszowi powołać Rona Lafferty’ego na biskupa oddziału Szkoły Proroków w Provo. Oniasz z radością spełnił żądanie. Ron cieszył się ogromnym posłuchem swych młodszych braci. Wszyscy przyklasnęli objęciu przez niego nowej funkcji.

Awans zdecydowanie poprawił morale Rona, czego bardzo potrzebował, gdyż ostatnie miesiące były pasmem klęsk i rozczarowań. Świadczy o tym wpis z jego dziennika:

> Wydarzenia minionego roku skłoniły mnie do zagłębienia się w świętych pismach. Wiele czasu spędziłem na kolanach, pogrążony w modlitwie. Przepadł mój majątek, żona odeszła i przeprowadziła się z dziećmi na Florydę, zostałem niesłusznie wykluczony z Kościoła, który tak kocham.

Ron nie miał pracy ani stałego źródła dochodów. W swej społeczności uchodził za pariasa. Kiedy odebrano mu dom, który z mozołem budował własnymi rękami, zamieszkał w samochodzie – chevrolecie impala kombi rocznik 1974. Nic więcej mu nie zostało. W dzienniku jednak wyrażał radość z powodu owych upokorzeń. „Dzięki tym doświadczeniom nawiązałem bezpośrednią więź z moim Ojcem w Niebiosach, On zaś wyjawił mi, przynajmniej w części, dlaczego poddaje mnie próbom”.

Ron twierdził, że raduje się z ubóstwa, lecz jego czyny świadczyły o czymś wręcz przeciwnym.

Odejście żony i dzieci nie dawało mu spokoju dniami i nocami. Z czasem zaś ból przeszedł w niekontrolowany gniew, skierowany głównie przeciwko trzem osobom, odpowiedzialnym według Rona za decyzję Dianny. Byli to: Richard Stowe, Chloe Low i Brenda Lafferty.

Stowe, aptekarz, sąsiad Rona i Dianny, był prezydentem zboru LDS w Highland. W sierpniu 1983 roku przewodniczył obradom sądu kościelnego, którego decyzją Ron został ekskomunikowany. Co więcej, za pośrednictwem Kościoła Stowe pomagał Diannie finansowo, dzięki czemu jakoś jej szło, zanim sfinalizowano rozwód. Służył jej też radą i pociechą.

Chloe Low była od kilkunastu lat niezwykle bliską przyjaciółką Dianny i Rona. Jej mąż Stewart stał na czele zboru, do którego należeli. Osobiście mianował niegdyś Rona swym doradcą. Chloe podziwiała klan Laffertych. Ilekroć miała kłopoty z kręgosłupem, udawała się do Dana. Kiedy zaczęły się małżeńskie kłopoty Rona i Dianny, ofiarowała obojgu życzliwą dłoń, póki Ron nie zamienił się w prawdziwego potwora – odtąd jednoznacznie stanęła po stronie Dianny. Nieraz w trudnych chwilach przyjmowała ją i dzieci na parę dni do swojego domu. Po rozwodzie pomogła Diannie i dzieciom pozbierać rozsypane okruchy życia i przenieść się na Florydę. Zdaniem Rona, gdyby nie Chloe Low, Dianna nigdy nie poradziłaby sobie finansowo z przeprowadzką.

Największą zaś porcję swego długo dojrzewającego gniewu Ron zachował dla Brendy Wright Lafferty, mądrej, pięknej, upartej żony Allena. Ją właśnie obwiniał za namówienie Dianny do rozwodu.

Po rozpadzie małżeństwa Ron, pogardzany przez całą wspólnotę, oddał się bez reszty Szkole Proroków. Zastępowała mu ona rodzinę, dawne życie, cały świat. Przez większość czasu zajmował się wysyłaniem broszury Oniasza do przywódców Kościoła LDS. Jednak podstawowym celem istnienia Szkoły było uczenie wiernych, jak otrzymywać i interpretować objawienia Boże. Gdy zima roku 1984 ustępowała pomału wiośnie, Ron zaczął się gorliwie wsłuchiwać w głos Pana. 24 lutego, jako pierwszy z uczniów Oniasza, dostąpił zaszczytu bezpośredniej rozmowy z Wszechmogącym. Usiadł przy komputerze pożyczonym od Bernarda Brady'ego, zamknął oczy i czekał, aż w końcu, natchniony Duchem Bożym, zaczął naciskać kolejne klawisze. Tak właśnie, litera po literze, na ekranie ukazała się wiadomość od Boga, pierwsze objawienie Rona Lafferty'ego. Drugie otrzymał już następnego dnia, 25 lutego, trzecie zaś po dwóch kolejnych dniach.

Dan był uradowany.

– Mnie samemu nie powierzono żadnych objawień, kiedy działaliśmy w Szkole Proroków – wyjaśnia. – Wszyscy inni je dostali. Ja otrzymałem objawienia dopiero później, teraz więc rozumiem, jak to jest, wtedy jednak nie miałem pojęcia. Oczywiście byłem zafascynowany. Prosiłem: „Opisz mi to uczucie". Ron twierdził, że nie da się go wyrazić słowami, ale raz powiedział: „To jak gdyby narzucono ci koc na głowę. Czujesz myśli Pana i zaczynasz je spisywać". Niekiedy notował słowo po słowie i póki nie skończył, nie wiedział nawet, czy razem złożą się w spójną całość. Ale bywało różnie: niekiedy Bóg dyktował mu objawienie zdanie po zdaniu.

Trzecie objawienie, z 27 lutego, było w zasadzie adresowane do Dianny. Pan powtarzał, że nadchodzi koniec świata, i przestrzegał eksmałżonkę Rona:

> Jesteś córą wybraną, lecz gniewam się na ciebie, byłaś bowiem nieposłuszna mężowi, nakazuję ci zatem pokutę. Czyżem nie mówił, że mężczyzna nie powinien żyć w pojedynkę? Nie pozwolę, aby Mój sługa Ron dłużej cierpiał samotność. Szykuję już kogoś, kto zajmie twoje miejsce. Jeśli rychło skruchę okażesz, pobłogosławię ciebie i dzieci twoje. Lecz jeśli nie posłuchasz, usunę cię, nie pozwolę bowiem, by dzieci twoje cierpiały z powodu twojej krnąbrności i uporu. Wysłuchałem modłów Mego syna Rona i znam jego pragnienia. Wiedz, że wyłącznie za jego wstawiennictwem dotąd cię oszczędziłem.

Słuchaj Słowa Mego, czasu bowiem mało. Jam Alfa i Omega, Pierwszy i Ostatni, Początek i Koniec. Jest Moją wolą wypełnić obietnice, którem dał słudze Memu Ronowi. Tak: Amen.

Psychiatra C. Jess Groesbeck, który badał Rona po aresztowaniu, uważa, że gdy Ron zaczął sobie zdawać sprawę, iż Dianna już do niego nie wróci, „utracił najważniejszą rzecz w swym życiu. […] Nie da się przecenić znaczenia tej straty. […] Wpadł w przygnębienie, czuł się kompletnie bezwartościowy. Jego gniew i agresja nie miały granic. […] Kompensował sobie krzywdę, tworząc nową, odrealnioną wizję świata i własnej osoby. Snuł megalomańskie fantazje, gdyż pragnął uniknąć cierpienia i wyprzeć prawdę".

Jakby na dowód tej późniejszej diagnozy 13 marca Ron ponownie usłyszał spokojny cichy głos Pana:

To, coś myślał o „jednym potężnym i silnym", jest prawdą, czyż bowiem nie obiecałem, że w dni ostatnie wszystko ludzkim dzieciom ujawnię? Czyż nie był Mojżesz potężnym i silnym, i czyż nie był Jezus potężnym i silnym, i czyż nie jest Mój sługa Oniasz potężnym i silnym, i czyż ty nim nie jesteś? I wielu jeszcze innych potężnych i silnych powołam, by porządek zaprowadzili w Mym Kościele i Królestwie Moim. Albowiem nigdy nie zamierzałem jednego tylko potężnego i silnego wskazywać. Myli się każdy, kto sądzi inaczej.

W opinii doktora Groesbecka mamy tu do czynienia z urojeniem, zrodzonym wskutek depresji i głęboko zakorzenionego narcyzmu Rona. Niewierzący z reguły traktują wszelkiego rodzaju wizje religijne jako przejaw zaburzeń psychicznych. Wyznawcy, rzecz jasna (a więc i Ron), pozwalają sobie mieć odmienne zdanie.

Ro*n wi*e, że przykazania, które otrzymał, to nie wytwór jego wyobraźni. Bó*g naprawdę* do niego przemawiał. Co niby jakiś doktorek może wiedzieć na temat głosu Wszechmogącego? Uwierzyć psychiatrze – to dopiero byłoby wariactwo.

Przed zamordowaniem Brendy i Eriki Lafferty Ron nie dopuszczał się żadnych wyjątkowo nienormalnych zachowań – przynajmniej jak na standardy hrabstwa Utah. Jego objawienia można w pewnym sensie rozpatrywać jako uświęconą obyczajem reakcję na głęboki kryzys życiowy. Niejeden fanatyk religijny przechodził podobne rzeczy. W książce *Kolosy na glinianych nogach*, poświęconej samozwańczym prorokom, brytyjski psychiatra Anthony Storr pisze:

Bardzo często nowy wgląd guru następuje po okresie cierpienia duchowego lub choroby psychicznej, podczas których bezowocnie poszukuje on rozwiązań swych problemów natury emocjonalnej. Tego rodzaju przemiana zachodzi zazwyczaj w wieku około trzydziestu–czterdziestu lat, co daje podstawy do analizowania jej w kontekście kryzysu wieku średniego. Czasem rozwiązanie w postaci objawienia przychodzi stopniowo, a niekiedy uderza jak błyskawica. Chaos psychiczny i związane z nim cierpienie, po którego ustąpieniu tworzy się ład zupełnie nowego rodzaju, to z kolei rzecz jakże charakterystyczna dla wszelkiej aktywności twórczej mającej charakter już to artystyczny, już to naukowy. Ów wzorzec (można go symbolicznie określić pojęciem eureka) jest bardzo typowy dla objawień religijnych i iluzorycznych systemów tworzonych przez ludzi, których zwykliśmy określać mianem szaleńców[36].

W lutym i marcu, kierując się wskazówkami Oniasza, Ron zapisał mniej więcej dwadzieścia objawień. Czasem wykorzystywał w tym celu komputer Brady'ego, przeważnie jednak przechowywał Boże komunikaty w myślach, nim przelał je na papier, aby lepiej je zrozumieć.

Najbardziej niepokojące objawienie przyszło pod koniec marca. Zapisał je ręcznie w notatniku z żółtymi kartkami.

I oto Ja, Pan, mówię Mym sługom, Prorokom. Jest Moją wolą i żądaniem, abyście usunęli po kolei następujące osoby, które zaporą na Mej ścieżce się stały i przeszkodą dla dzieła Mego. Po pierwsze żonę brata twego, Brendę, i jej dziecko. Następnie Chloe Low i wreszcie Richarda Stowe'a. Jest Moją wolą, ażeby usunąć ich czym prędzej, jedno po drugim. Niech będzie to nauczka dla tych, którzy występują przeciwko prawdziwym Bożym Świętym. Jest też Moją wolą, żeby wykonać przykazanie najszybciej, jak się da. Przygotuję drogę, dokładne zaś instrukcje przekażę słudze Memu Toddowi[37]. Niech starannie obowiązek swój spełni, wyróżniłem go bowiem i przygotowałem na to trudne zadanie. Czyż nie przypomina innego ze sług Moich, Portera Rockwella?[38] Błogosławiony będzie, jeśli zadanie wykona, Jam bowiem Pan, wasz Bóg, Władca wszystkich rzeczy. Bądźcie spokojni, bo Pan Zastępów jest z wami.

Tak: Amen.

Ron postanowił, że wpierw powie o objawieniu Danowi, a dopiero potem podzieli się nim z pozostałymi członkami Szkoły Proroków.

– Trochę się przestraszył – opowiada Dan. – Mówiłem mu: „No cóż, rozumiem twój niepokój, to całkiem uzasadnione. Musisz zyskać pewność, że to naprawdę wola Boża. Lepiej nie wypełniać przykazań, które nie pochodzą od Boga. Ale z drugiej strony obrazisz Pana, jeśli nie zastosujesz się do Jego poleceń”.

Przez kilka dni Ron i Dan rozmyślali o sprawie. Wtedy też Ron otrzymał jeszcze jedno objawienie, w którym nazwany został „ustami Boga”, Dan zaś „ręką Boga”. W interpretacji braci oznaczało to, że Dan ma osobiście dokonać zabójstw.

W poszukiwaniu kolejnych wskazówek studiowali fragment z samego początku Księgi Mormona. Oto Nefi, posłuszny, prawy prorok pałający „wielkim pragnieniem poznania tajemnic Boga”, dostaje od Stwórcy rozkaz odcięcia głowy Labana z Jerozolimy, żydowskiego dostojnika i kronikarza. Nefi z początku sprzeciwia się poleceniu. „Ja jednak myślałem: Nigdy w moim życiu nie przelałem krwi człowieka, dlatego wzdragałem się i pragnąłem, abym nie musiał go zabić”. Wtedy jednak Bóg ponownie się do niego zwraca: „Oto Pan zabija niegodziwych, aby dobro, które zamierza, mogło nastąpić. Lepiej, żeby jeden człowiek zginął, niż gdyby naród miał zmarnieć i zginąć w niewierze”.

Otrzymawszy takie zapewnienie, Nefi wykonuje rozkaz. „Posłuchałem więc głosu ducha i wziąwszy Labana za włosy, odciąłem mu głowę jego własnym mieczem”[39].

Dzięki objawieniu, które Ron otrzymał 28 lutego, historia o Nefim i Labanie nabrała dla Dana szczególnego znaczenia. Bóg powiedział bowiem:

> Oto mówię ja, Pan, słudze Memu Danowi. […] Tyś jest jak Nefi, albowiem od zarania dziejów nie miałem bardziej posłusznego syna. I za to błogosławię cię i pomnożę potomstwo twoje, bo czyż nie rzekłem, że jeśli uczynisz, co każę, obietnicę będę musiał wypełnić? Czyń wolę Moją, gdyż wielką odpowiedzialność ci powierzyłem i wielkie błogosławieństwo cię czeka. Nic teraz już nie dodam. Tak: Amen.

Dan był pod wielkim wrażeniem tego objawienia. Mark Lafferty uważa, że odkąd Dan został nazwany drugim Nefim, był gotów „zrobić wszystko, czego tylko Pan zażąda”.

Światopogląd fundamentalistów opiera się na przekonaniu, że przez całe stworzenie biegnie granica oddzielająca dobro od zła. Albo jesteś po jednej, albo po drugiej stronie. Po wielu modlitwach Dan i Ron uznali, że skoro Bóg kazał im usunąć czworo ludzi, muszą to być osoby występne, „dzieci zatracenia”, a więc zasługujące na swój okrutny los. Od tej pory bracia nie mieli już wątpliwości. Objawienie o usunięciu było prawdziwe, „należy więc wykonać to, co zostało w nim zalecone”.

Ilekroć członek Szkoły Proroków otrzymywał objawienie, musiał zgodnie ze standardową procedurą przedstawić je pozostałym do oceny. 22 marca, przed cotygodniowym spotkaniem Szkoły w domu Claudine Lafferty, Ron poprosił Bernarda Brady’ego na stronę i dał mu do przeczytania spisane objawienie.

– Poprosił, żebym je przejrzał, i wyszedł z pokoju – opowiada Brady. – Zacząłem czytać i poczułem, że ręce mi się trzęsą. Oblał mnie zimny pot. Po prostu nie mogłem w to uwierzyć.

Ron wrócił po paru minutach i Brady powiedział mu: „Przerażasz mnie, nie chcę mieć z tą niegodziwością nic wspólnego”. Chwilę później zaczęło się spotkanie. Ani Ron, ani Brady nie odezwali się słowem na temat objawienia.

Tamtego dnia Ron przyprowadził ze sobą Becky, którą niedawno pojął za duchową żonę (bez aktu ślubu i świeckiej ceremonii). Nie było go na następnym spotkaniu, 29 marca, gdyż wyjechał z Becky do Wichita w Kansas na miesiąc miodowy. Dan także się nie zjawił. Przyszedł jednak Watson, który przyniósł brzytwę z rękojeścią z macicy perłowej i poprosił zaskoczonych nieco członków Szkoły, by „poświęcili ją jako narzędzie zniszczenia występnych, nowy miecz Labana".

– Rzecz jasna, odmówiliśmy – opowiada Oniasz, który nie wiedział jeszcze o fatalnym objawieniu. Watson wpadł w gniew i „opuścił spotkanie z niespokojnym duchem".

Napięcie między Oniaszem i kilkoma braćmi Lafferty – zwłaszcza Watsonem, Ronem i Danem – rosło zresztą już od kilku tygodni. Niedługo po wyborze na stanowisko biskupa Szkoły Ron zaczął jawnie podważać autorytet Oniasza. Prorok dostrzegł też wyraźną zmianę w osobowości najstarszego brata.

– Człowiek niezwykłej łagodności i kultury stał się pełen gniewu i nienawiści. Jako biskup próbował mówić wszystkim, co mają robić, i wpadał we wściekłość, jeśli go nie słuchali.

Pewnego razu Oniasz przekonywał członków Szkoły Proroków, że powinni znaleźć zatrudnienie, bo potrzeba pieniędzy na budowę Miasta Schronienia pod Dream Mine, co stanowiło jeden z priorytetów Szkoły. Ron stanowczo się sprzeciwił. Po co pracować – pytał – skoro Bóg zapewni im majątek. W jednym z objawień Stwórca powiedział zresztą Ronowi, że jego brat Mark musi udać się do Nevady i postawić na konkretnego konia wyścigowego, a wygrane pieniądze przeznaczyć na Miasto Schronienia. Mając tak pewny cynk, bracia byli przekonani, że przedsięwzięcie zakończy się sukcesem. Stało się inaczej. Oniasz nie umiał się powstrzymać od kąśliwego: „A nie mówiłem?", co jeszcze bardziej zaszkodziło jego relacjom z Ronem.

Kiedy po Święcie Dziękczynienia 1983 roku Ron udał się do Oregonu, by złożyć wizytę w poligamicznej wspólnocie Johna Bryanta, pierwszy raz w życiu spróbował środków odurzających. Bryant i jego wyznawcy udzielali sakramentu pod postacią wina. Ron, wychowany w rodzinie ściśle przestrzegającej zasad abstynencji, nigdy wcześniej nie pił alkoholu. Nowe doświadczenie nadzwyczaj przypadło mu do gustu. Poczuł miłą błogość i „uduchowienie". Od tej pory nazywał wino „darem Bożym".

Odkrywszy przyjemności „silnych napitków" (tego określenia użyto w rozdziale 89 Nauk i Przymierzy), Ron zaczął nalegać, aby każde spotkanie Szkoły Proroków zaczynało się od przyjęcia sakramentu pod postacią wina, a nie wody lub soku, jak dotychczas. W ten sposób kolejny raz sprzeciwił się woli Oniasza. 9 marca doszło do awantury. Po przyjęciu sakramentu Ron upił się winem i zaczął szydzić z proroka, który odmówił alkoholu i pozostał przy wodzie.

– Ron kpił ze mnie – mówi Oniasz. – Powtarzał, że jestem stary, wyleniały i już najwyższy czas się mnie pozbyć. Chciał, żeby moje miejsce zajęli bracia Lafferty. Dan i Watson stanęli po jego stronie.

W takiej właśnie atmosferze objawienie o usunięciu czwórki osób zostało wreszcie przedłożone członkom Szkoły do oceny. Na spotkaniu 5 kwietnia Ron wręczył każdemu kopię i poprosił, by potwierdzili prawdziwość słowa Bożego. Dziewięciu obecnych tamtego wieczora długo i starannie omawiało sprawę, wreszcie postanowili przeprowadzić głosowanie.

– Ron, Dan i Watson byli za uznaniem tekstu za prawdziwe boskie objawienie – opowiada Bernard Brady. – Wszyscy inni powiedzieli: „W żadnym wypadku! Nie wolno wam tak myśleć! Zapomnijcie o całej tej historii!". Wtedy Ron, Dan i Watson rozgniewali się, wstali i wyszli. Raz na zawsze zerwali ze Szkołą Proroków.

Tak oto po raz kolejny dał o sobie znać paradoks, z którym musi mierzyć się każdy prorok zachęcający wyznawców do osobistej komunikacji z Bogiem. Prędzej czy później Stwórca nakaże któremuś z nich sprzeciwić się woli proroka. Prawdziwi wierni – zwłaszcza fanatycy pokroju Rona i Dana Laffertych – zawsze posłuchają w takiej sytuacji Boga.

Brady bał się, że Ron wypełni objawienie i zamorduje osoby w nim wskazane. 9 kwietnia spisał więc formalne oświadczenie, parafowane przez notariusza.

Do wiadomości władz stanu Utah i hrabstwa Utah

Oświadczenie

Niniejszym oświadczam wszem wobec, że ja, Bernard Brady, od urodzenia wolny obywatel Stanów Zjednoczonych, mam powód, by przypuszczać, iż zagrożone jest życie dziesięciu osób. Są to: Robert Crossfield, Bernard Brady, David Olsen, David Coronado, Tim Lafferty, Mark Lafferty, Brenda Lafferty, córeczka Brendy Lafferty, Chloe Low oraz Richard Stowe.

Ja, niżej podpisany Bernard Brady, oświadczam też, że zagrożenie to stanowi skutek myśli, wierzeń, postaw i potencjalnych działań następujących osób: Rona Lafferty'ego, Dana Lafferty'ego, Watsona Lafferty'ego oraz Todda (nazwisko nieznane).

Brady był szczerze i poważnie zaniepokojony. Ale nie zaalarmował policji ani pozostałych członków Szkoły Proroków. Poświadczył tylko dokument u notariusza i schował go w swoim biurku. Gdyby Ron kogokolwiek zamordował, Brady mógł dowieść, że sam nie miał ze zbrodnią nic wspólnego.

Pozostali członkowie Szkoły także nie uznali za stosowne uprzedzić osoby wskazane w objawieniu o grożącym niebezpieczeństwie. Za to Dan Lafferty pod koniec kwietnia skontaktował się ze swoim najmłodszym bratem Allenem (zawsze łączyła ich szczególnie bliska relacja) i wyjawił, że Bóg kazał zabić Brendę i Ericę.

Allen był w szoku. „Dlaczego? – pytał. – Dlaczego Erica? Przecież to tylko niewinne dziecko. Po co ją w to mieszać?"

W tym momencie wtrącił się Ron. „Bo w przeciwnym razie wyrośnie na wredną sukę, jak jej matka".

Dan zapytał Allena, co sądzi o objawieniu Rona. Allen odrzekł, że Bóg musiałby przemówić do niego osobiście – póki tak się nie stanie, póty nie uwierzy i będzie bronił żony i dziecka, choćby przyszło mu zapłacić życiem.

Nie zdradził jednak Brendzie, z jakim zamiarem noszą się jego bracia.

Betty McEntire, starsza siostra Brendy, nigdy nie pogodziła się z tym faktem.

– Gdyby powiedział Brendzie o objawieniu Rona, nie czekałaby nawet minuty. Po prostu wyniosłaby się z domu i żyłaby do dziś. Ale Brenda o niczym nie wiedziała. Nie pojmuję, dlaczego żaden z tych ludzi jej nie ostrzegł. Zwłaszcza Allen. Ewidentnie chciał być posłuszny braciom. Brenda kochała Allena – ciągnie Betty – a on raz za razem dowodził, że nie jest wart jej miłości. Obowiązkiem męża jest chronić żonę i dziecko. Allen się z tego nie wywiązał. O objawieniu dowiedział się jeszcze w kwietniu, ale słowem nie pisnął. Nie potrafię tego zrozumieć, nie potrafię. I nie umiem mu wybaczyć. Tyle lat minęło, a ja wciąż jestem na niego wściekła. Za to, że zdradził jej miłość. Że dostał od życia najwspanialszy dar i go odrzucił.

W maju 1984 roku Ron i Dan wyjechali z Utah zdezelowanym chevroletem impala należącym do starszego z braci i udali się na długą pielgrzymkę po zachodzie Stanów Zjednoczonych i Kanadzie. Odwiedzili kilka społeczności poligamistów. Przez cały czerwiec i większość lipca członkowie Szkoły Proroków nie mieli od nich żadnych wieści.

– Trochę się uspokoiłem, bo bracia wynieśli się z okolicy – opowiada Bernard Brady. – Myślałem, że

sobie odpuścili i niebezpieczeństwo minęło.

Ale wczesnym rankiem 25 lipca, gdy Brady zbierał się do pracy, zadzwonił telefon.

– W słuchawce usłyszałem Tima Lafferty'ego – mówi Brady i na wspomnienie tamtej chwili głos zaczyna mu się łamać. – Powiedział… Powiedział: „Bernardzie, mam złe wieści. Oni wypełnili objawienie. Ron i Dan. Wczoraj dokonali morderstwa". – Brady ukrywa twarz w dłoniach, potem ciągnie: – Nogi się pode mną ugięły, zemdlałem. Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem.

16

Usunięcie

Czysta anarchia szaleje nad światem,
Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół
Zatapiając obrzędy dawnej niewinności;
Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych
Kipi żarliwa i porywcza moc.
Tak, objawienie jakieś się przybliża;
Tak, Drugie Przyjście chyba się przybliża.
Drugie Przyjście! Zaledwie wyrzekłem te słowa,
Ogromny obraz rodem ze *Spiritus Mundi*
Wzrok mój poraża: gdzieś w piaskach pustyni
Kształt o lwim cielsku i człowieczej głowie,
Z okiem jak słońce pustym, bezlitosnym,
Dźwiga powolne łapy, a wokoło krążą
Pustynnych ptaków rozdrażnione cienie.

William Butler Yeats, *Drugie Przyjście*,
przeł. Stanisław Barańczak

Choć Brenda nie wiedziała o objawieniu Rona, i tak miała powody, by bać się braci Lafferty, nawet Allena. Mimo to dzielnie im się postawiła w imieniu Dianny i pozostałych szwagierek.

Ilekroć sprzeciwiała się mężowi, ilekroć Allen wstydził się swojej słabości przed braćmi, tylekroć wpadał w niepohamowany gniew. Bił wtedy Brendę, byle tylko wyładować wściekłość. Pewnej nocy, późną zimą 1983 roku, Betty Wright McEntire zbudził telefon. Dzwoniła jej siostra, zupełnie przerażona.

– Poprosiła, żebym zaraz przyjechała do restauracji McDonald's w połowie drogi między Salt Lake a American Fork, gdzie mieszkali z Allenem – wspomina Betty. – Zapytałam, co się stało. A ona: „Muszę z tobą porozmawiać". No więc wsiadłam w samochód i pojechałam. Na miejscu Brenda powiedziała mi: „Odchodzę od niego". Ja na to: „Co? Nie miałam pojęcia, że jest tak źle". Brenda: „Odłożyłam po cichu trochę pieniędzy, zamieszkam u babci i dziadka w Montanie. Znajdę jakąś pracę i będę sama wychowywać małą".

Ale krótko po rozmowie z siostrą Brenda zmieniła zdanie i postanowiła zostać z Allenem. Dlaczego? Sama przecież twardo przekonywała Diannę Lafferty, by opuściła Rona.

– Czemu Brenda nie odeszła od Allena? Bo go kochała – wyjaśnia Betty. – Nie była z tych, co się łatwo poddają, nigdy nie brakowało jej determinacji. Poza tym mieli dziecko. Brenda chciała, żeby jednak jakoś im się ułożyło. Naprawdę sądziła, że zdoła uchronić męża przed złym wpływem braci.

Betty z bólem wyznaje, że kiedy w ostrym świetle jarzeniówek w McDonaldzie Brenda wyjawiła, iż zamierza porzucić Allena, próbowała odwieść ją od tego zamiaru. „Nie wolno ci! Jesteście małżeństwem! Jeśli sprawy się nie układają, musicie po prostu przeczekać, aż zły okres minie". Betty podkreśla:

– Nie miałam wówczas pojęcia, że on ją bił. Nie wiedziałam nic o całej tej Szkole Proroków. To wyszło na jaw dopiero po śmierci Brendy, kiedy przeczytaliśmy jej dziennik. Co prawda zawsze mogła liczyć na rodziców, ale o wielu sprawach im nie mówiła. Gdyby nasz tato się dowiedział,

natychmiast wsiadłby w samochód i zabrał Brendę i małą do Idaho. Byłyby bezpieczne, bez dwóch zdań.

W pewien niedzielny poranek, dwa miesiące po nocnej rozmowie sióstr w McDonaldzie, ich matka, LaRae Wright, odebrała telefon od Brendy: „Między mną a Allenem się nie układa, czy mogę pomieszkać z wami?".

– Powiedzieliśmy, że oczywiście, tak. Nie zadzwoniła po raz drugi, więc tego samego wieczora ja zatelefonowałam do niej. Powiedziała, że już sobie poradzili. Ostatecznie nie przyjechała do Idaho. Nie wiem, co się wydarzyło tamtego dnia. W każdym razie moja córka nigdy już nie wróciła do domu.

Tymczasem Ron i Dan dawno opuścili Provo i hrabstwo Utah. Podróżowali impalą Rona, odbywając nieformalną pielgrzymkę do miejscowości zamieszkiwanych przez poligamistów.

– Byliśmy w Kanadzie, potem przejechaliśmy przez zachodnie Stany i cały Środkowy Zachód – wspomina Dan. – Kiedy teraz o tym myślę, dostrzegam, jak ważna była ta podróż. Właśnie wtedy ja i brat naprawdę zbliżyliśmy się do siebie. Wcześniej nie znałem Rona zbyt dobrze. Był ode mnie o sześć lat starszy. Darzyliśmy go wszyscy wielkim szacunkiem, ale nie mieliśmy okazji nawiązać bliższych więzi.

Dzień za dniem stary chevrolet toczył się po szosie. Ron i Dan zmieniali się za kierownicą. Niekiedy godzinami jechali w milczeniu, wpatrzeni w potężne chmury burzowe, kipiące na popołudniowym niebie, zmieniające rozległe równiny w ruchomą szachownicę cieni i ostrego odbitego światła słonecznego. Przeważnie jednak spędzali czas na rozmowach. Ich główny temat stanowiło objawienie o usunięciu.

Brenda i Erica Lafferty, Chloe Low oraz Richard Stowe musieli zginąć, bo, jak powiedział Bóg: „następujące osoby, które zaporą na Mej ścieżce się stały i przeszkodą dla dzieła Mego". Przez „dzieło" Ron rozumiał Miasto Schronienia. „Nim ruszy budowa, szykuje się wielka rzeź", powtarzał bratu.

W małej celi z pustaków, gdzieś w trzewiach więzienia o zaostrzonym rygorze w Point of the Mountain, Dan odchyla głowę w tył i zamglonym wzrokiem patrzy w sufit. Powoli powracają szczegóły tamtego pamiętnego lata. Podróż ciągnęła się tygodniami, miesiącami.

– Z upływem czasu mój brat stawał się coraz bardziej podniecony, wręcz żądny krwi. Rzucał teksty w rodzaju: „To już niedługo". W końcu skupił się na konkretnej dacie usunięcia i po długim namyśle oznajmił: „Sądzę, że to będzie 24 lipca". Patrzyłem, jak Ron się zmienia, coraz bardziej bałem się jego słów. Mogłem się tylko modlić. Powiedziałem więc Bogu: „Posłuchaj, wiesz przecież, że uczynię, co zechcesz. Mam zostać u boku brata czy mam go zostawić samego?". Bóg odrzekł, że nie wolno mi opuszczać Rona.

Podczas podróży bracia kilkakrotnie rozdzielili się na tydzień lub dwa. Pewnego razu Ron wskoczył do pociągu towarowego jadącego na wschód, Dan zaś pojechał impalą. Umówili się na spotkanie w Wichita w stanie Kansas. Dan dotarł tam w połowie czerwca, kilka dni przed bratem. Czekając na jego przybycie, najął się do pracy dorywczej przy rozbiórce starej siedziby pewnego banku. Wtedy właśnie poznał Ricky'ego Knappa, dwudziestoczteroletniego chłopaka, który pracował w tej samej ekipie rozbiórkowej.

– Szybko się zaprzyjaźniliśmy – opowiada Dan. – Ricky dopiero co wyszedł z więzienia. Nieźle nam się gadało. Naprawdę go lubiłem.

Knapp po odsiadce nie miał dachu nad głową, Dan zaoferował mu więc nocleg na tylnym siedzeniu impali. Gdy w Wichita zjawił się Ron, Knapp postanowił przyłączyć się do braci w dalszej podróży.

Jeden ze znajomych Ricky'ego prowadził niewielką uprawę marihuany. Przed wyjazdem wszyscy trzej zaopatrzyli się więc w towar. Udali się na małe pole poza miastem, gdzie farmer wyrzucał kiepskiej

jakości liście i łodygi. Napełnili nimi torbę zakupową, którą następnie ukryli w samochodzie. Dan wspomina, że trawka była marna, „ale po czterech czy pięciu dużych jointach można było się lekko upalić”.

Dan próbował marihuany już wiele lat wcześniej. Jak na ironię, stało się to za sprawą Słowa Mądrości, rozdziału 89 Nauk i Przymierzy, w którym Stwórca zakazał mormonom używania tytoniu i „silnych napitków”. Ciekawość Lafferty’ego pobudził wers dziesiąty, o treści: „I znowu, zaprawdę powiadam wam, że Bóg wyświęcił wszystkie zdrowe zioła dla organizmu, natury i użytku człowieka”. W roku 1969, po powrocie z misji, Dan zatrudnił się na budowie w Colorado Springs. Wśród jego kumpli „nie brakowało takich, co palili trawę, […] i chociaż sam nie spróbowałem, uważnie się im przyglądałem, zadawałem wiele pytań i doszedłem do wniosku, że jeśli chodzi o marihuanę, wszyscy jesteśmy okłamywani”. Pierwszego jointa podsunęła mu dziewczyna, w której się kochał.

– Wtedy pierwszy raz wystrzeliło mnie na orbitę w wielkim, nieznanym kosmosie w środku mojej głowy – wspomina Dan.

W tamtym okresie trawkę zapalił jeszcze kilka razy, obawiał się jednak grzechu. Kiedy wrócił z Kolorado do hrabstwa Utah, odbył pokutę.

– Znów stałem się mormonem na sto dziesięć procent[40]. – Nie próbował marihuany, póki latem 1984 roku nie spotkał Ricky’ego Knappa. – Poczułem, że moje serce i umysł otwarły się na nowe doznania, bardziej tajemnicze, niż mogłem sobie wyobrazić.

Dan szukał później najróżniejszych wzmianek o ziołach w opublikowanych objawieniach Josepha Smitha i doszedł do wniosku, że prorok „także próbował ziela otwierającego umysł”.

Ron z kolei nie miał żadnych doświadczeń z marihuaną, bez trudu jednak dał się nakłonić do zapalenia kiepskiej trawy Ricky’ego Knappa.

– Poznał, co to lekki haj, złapał gastrofazę. W sumie dobrze [że marihuana była tak słaba], bo z początku był trochę przerażony, a potem, jak trafił nam się mocniejszy towar, po wypaleniu jointa wpadał w niezłą paranoję.

Mimo to Ron rychło zgodził się z bratem, że marihuana sprzyja „duchowemu oświeceniu”.

Dan, wolny od rygoru Kościoła LDS, pierwszy raz poczuł, że może się upalić z czystym sumieniem.

– I chyba dlatego zamiast „radości serca” doświadczyłem tym razem „pobudzenia duszy”. Przychodziła do mnie cudowna duchowa mądrość. […] Byłem jak dziecko, które poznaje zupełnie nowy świat. […] Pismo oznajmia: „Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego”. Uznałem, że słowa te muszą się odnosić do odurzenia narkotykowego, tak samo jak fragment z Mojżeszem i krzewem gorejącym[41].

W kwietniu 1984 roku, już po opuszczeniu Szkoły Proroków, lecz przed wyjazdem z Utah, Ron i Dan złożyli wizytę kierownictwu Dream Mine, by omówić sprawę Miasta Schronienia, które zamierzali wznieść niedaleko kopalni. Nie było to ich pierwsze spotkanie. Dziewięć miesięcy wcześniej zaoferowali, że wszyscy bracia Lafferty zaangażują się w poszukiwanie złota, by sfinansować budowę miasta. Kierownictwo uprzejmie odmówiło. Tym razem Dan i Ron nie zamierzali bawić się w uprzejmości. Zażądali nadzoru nad kopalnią – w przeciwnym razie kierownicy „poczują rękę Boga”. Znów jednak spotkali się z odmową (nieco mniej grzeczną niż poprzednio).

Choć Ron i Dan zerwali ze Szkołą Proroków i nie zdołali przejąć Dream Mine, wciąż w podnieceniu snuli plany związane z budową miasta na ziemi należącej do Oniasza, niedaleko wejścia do kopalni.

Podczas podróży odwiedzili więc wielu liczących się poligamistów, prosząc ich o wsparcie dla całego przedsięwzięcia. Po wyjeździe z Wichita na początku lipca Ron, Dan i Ricky Knapp skierowali się na zachód. Udali się do Willamette Valley w Oregonie, do leżącej pośród wysokich jodeł osady, w której rządził John W. Bryant. Dan spędził tam nieco czasu w grudniu poprzedniego roku.

Po przybyciu na miejsce Ron wygłosił poruszające, improwizowane kazanie na temat Miasta Schronienia i roli, jaką odegra ono w Dniach Ostatnich. Laurene Grant, jedna z wyznawczyń, opowiadała: „Rona można było pokochać za tak wiele rzeczy… Dawał wszystkim natchnienie, w całej społeczności zapanował entuzjazm". Również Dan zrobił na Laurene spore wrażenie, zwłaszcza kiedy wykorzystał swe kręgarskie umiejętności, by wyleczyć kilkoro chorych. Porównywała go do Chrystusa, mówiąc: „Był tak łagodny, tak pełen miłości".

Dan pojął Laurene Grant, matkę czwórki dzieci, za swoją trzecią żonę. Wkrótce pożegnali osadę Bryanta i uroki pacyficznego północnego zachodu. Wyjechali samochodem Grant, wraz z dwójką jej młodszych pociech. Dwaj starsi synowie Laurene oraz Ron i Knapp wzięli starą impalę. Umówili się, że za dwa tygodnie spotkają się w Konfederacji Stanów Wygnanego Narodu Izraela, czyli w domu Alexa Josepha, jednego z najbardziej znanych poligamistów Ameryki[42]. Joseph mieszkał z sześcioma czy siedmioma żonami oraz licznymi dziećmi w Big Water, podupadłej pustynnej osadzie na południowo-zachodnim krańcu Jeziora Powella w Utah, drugiego co do wielkości zbiornika wodnego w kraju. Ponadto Big Water leżało niedaleko Colorado City, gdzie znajdował się przyczółek Wuja Roya i Fundamentalistycznego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, najliczniejszej sekty poligamistów w całych Stanach Zjednoczonych.

Ron, Ricky Knapp i starsi synowie Laurene Grant pojechali drogą międzystanową numer 5 do Kalifornii. Pewnego dnia zatrzymali się, by skorzystać z łazienki na parkingu niedaleko Sacramento. Tam poznali Chipa Carnesa. Carnes, dwudziestotrzyletni włóczęga i drobny złodziejaszek z Nowego Meksyku, podróżował własnym zdezelowanym samochodem, ale wysiadły mu hamulce. Ron zaoferował pomoc w holowaniu auta do warsztatu.

Przywiązał więc koło zapasowe do tylnego zderzaka impali i kazał Carnesowi jechać tuż za sobą. W ten sposób, gdy impala hamowała, samochód Carnesa również się zatrzymywał, wykorzystując oponę jako odbojnik. Dzięki temu prostemu, lecz skutecznemu rozwiązaniu dotarli do Sacramento. Tam okazało się, że Carnesa nie stać na naprawę. Sprzedał więc auto mechanikowi, otrzymaną kwotę (skądinąd niewielką) przeznaczył na zrzutkę na paliwo do impali i tak oto został jej piątym pasażerem. Ron, Knapp, synowie Grant oraz Carnes ruszyli zielonym kombi na południe Utah, by spotkać się z Danem i jego najnowszą żoną.

Dan i Laurene Grant pierwsi dotarli do Big Water. Co prawda małżeństwo zawarli zaledwie tydzień wcześniej, ale już przestało się między nimi układać. Grant wystąpiła o „spisanie papierów rozwodowych". Dan spełnił jej życzenie, po czym zostawił ją u Alexa Josepha. Nie czekając na przybycie Rona i pozostałych, ruszył autostopem do hrabstwa Utah.

Zielona impala dotarła do Big Water krótko po wyjeździe Dana. Jej pasażerowie nie spędzili tam wiele czasu, Ron jednak zdążył podzielić się z Josephem treścią swego najważniejszego objawienia. Według Chipa Carnesa, który podsłuchał ich rozmowę, „Ron zamierzał wrócić do Utah, wziąć wszystkie swoje strzelby i zamordować kilka osób". Carnes zapamiętał też, że Joseph próbował odwieść Rona od tych planów.

Dan tymczasem odwiedził swoją drugą żonę, Ann Randak, w Spanish Fork Canyon. Spędził u niej cały dzień i noc, po czym 23 lipca ucałował ją na pożegnanie i udał się do Orem, gdzie mieszkała Matilda (jego pierwsza małżonka). Przypadały akurat pierwsze urodziny najmłodszego syna. Dan widział go wtedy po raz ostatni.

Odwiedziny u Matildy nie trwały długo. Po południu Dan pożegnał ją i dzieci, po czym pojechał do swojej matki w Provo. Tam spotkał się z Ronem. Ron, Dan, Knapp i Carnes spędzili resztę dnia w domu Claudine Lafferty. Pomogli zrobić pranie, grzebali w silniku starego chevroleta, przede wszystkim zaś układali plany na dzień następny.

24 lipca przypadał Dzień Pioniera[43]. Dan, Knapp i Carnes rozmawiali wcześniej, że można by się wybrać do Salt Lake City, obejrzeć paradę i wziąć udział w uroczystościach. Lecz, jak opowiada Dan, w poniedziałek 23 lipca…

– Bóg przemówił do Rona i powiedział, że musimy udać się gdzie indziej. Powiedział, że jutro będzi*e ten dzie*ń.

W poniedziałek wieczorem Ron, Dan, Knapp i Carnes zasiedli przy stole w jadalni. Bracia rozmawiali na temat objawienia o usunięciu. Claudine Lafferty siedziała tymczasem na sofie i szydełkowała. Z uwagą przysłuchiwała się rozmowie, lecz nie odezwała się ani słowem. Carnes zeznawał później przed sądem:

> Ron omawiał jakieś biblijne sprawy. Mówił o objawieniu, które otrzymał. […] Twierdził, że kazano mu wyeliminować jakichś ludzi. Pamiętam, że wymienił imię Brendy, wspomniał też coś o jej dziecku.

Dan zastanawiał się, czy koniecznie trzeba będzie poderżnąć gardła czwórce osób wymienionych w objawieniu (Ron dostał takie właśnie polecenie). „Zapytał, dlaczego po prostu ich nie zastrzelić – mówił Carnes. – Ron odparł, że tak kazał Stwórca, żeby ich… żeby im poderżnąć gardła”.

Betty Wright McEntire usłyszała o tym pierwszy raz dwanaście lat później, na sali Sądu Okręgowego numer 4 w Provo, gdzie Carnes zeznawał w charakterze świadka. Informacja, że Claudine Lafferty siedziała bez słowa, podczas gdy Ron i Dan omawiali zamordowanie jej synowej i wnuczki, była dla Betty szokiem.

– Znała ich plan, ale nic nie zrobiła, nie ostrzegła Brendy – mówi Betty. – To się nie mieści w głowie. Nie potrafię tego pojąć.

19 lipca Brenda Lafferty obchodziła dwudzieste czwarte urodziny. Betty zaoferowała, że przyjedzie do American Fork i zajmie się małą Ericą, dzięki czemu Brenda i Allen będą mogli spędzić wspólny wieczór na mieście. Zresztą chciała je obie zobaczyć. Erica miała już prawie piętnaście miesięcy i właśnie zaczynała mówić.

Allen i Brenda „pojechali do Salt Lake City na kolację. Czekałam, aż wrócą. Planowałam wtedy ślub i wesele, strasznie chciałam pokazać Brendzie zdjęcia sukni ślubnej, którą wybrałam, i w ogóle pogadać o tym wszystkim. Ale Brenda i Allen się pokłócili. Jak tylko stanęła w drzwiach, zauważyłam, że chwilę wcześniej płakała. Byłam zawiedziona, ale oczywiście wiedziałam, że powinnam zostawić ich samych. Na urodziny dałam jej w prezencie pozytywkę. Pamiętam, że nakręciła ją, postawiła na telewizorze i przez chwilę słuchałyśmy razem melodii. Potem pocałowałam małą na pożegnanie i wyszłam. Wtedy właśnie widziałam swoją siostrę po raz ostatni”.

Rankiem 24 lipca, w Dzień Pioniera, Dan pomodlił się zaraz po przebudzeniu i uznał, że Bóg życzy sobie, aby upiłował lufę i kolbę swojej strzelby *pump action* o kalibrze wagomiarowym 12, którą przechowywał w domu matki. Poszedł więc do garażu i zabrał się do roboty. Tymczasem Ron, Ricky

Knapp i Chip Carnes zanieśli swoje rzeczy do impali. Wzięli między innymi winchestera .30–30 i karabin myśliwski. Kiedy ładowali bagaże na dach auta, Carnes postanowił zwierzyć się Ronowi z tego, co leżało mu na sercu.

„Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ktokolwiek miałby pragnąć śmierci małego dziecka", stwierdził.

Ron odrzekł, że Erica to „dziecko zatracenia" i trzeba ją usunąć. W każdym razie Bóg wyraźnie wymienił ją w objawieniu, a poza tym, skoro i tak ma stracić matkę, śmierć będzie dla niej błogosławieństwem.

Kombi załadowano, cała czwórka wsiadła i ruszyli na farmę Marka Lafferty'ego. Dan chciał wziąć stamtąd strzelbę, którą pożyczył bratu parę lat wcześniej. Mark oddał ją Ronowi i zapytał sceptycznie:

„Po co ci ona?".

„Wybieram się na polowanie", odparł Ron.

Nie był to akurat sezon myśliwski, o czym Mark doskonale wiedział. „I co niby zamierzasz ustrzelić?", spytał.

„Co tylko się, kurwa, nawinie", powiedział Ron.

Ron, Dan, Knapp i Carnes pojechali następnie do pobliskiej żwirowni, żeby postrzelać do puszek i przy okazji ustawić celowniki. Dopiero na miejscu zorientowali się, że nie wzięli ze sobą odpowiedniej amunicji do karabinu myśliwskiego. Mieli tylko pociski kalibru .243. Postanowili wrócić do Marka i zapytać, czy wie, u kogo z rodziny jest obecnie strzelba o tym kalibrze, należąca do Rona.

Carnes relacjonował: „Zajechaliśmy przed dom, Ron zawołał do brata przez okno i zapytał, czy ma jego dwieścieczterdziestkętrójkę. Mark odpowiedział: »Nie, wydaje mi się, że znajdziesz ją u Allena«".

Około trzynastej trzydzieści Dan zatrzymał impalę na podjeździe ceglanego bliźniaka przy spokojnej uliczce w American Fork, gdzie mieszkali Allen i Brenda. Ron wysiadł i podszedł do drzwi. W prawym rękawie miał schowany trzydziestocentymetrowy kawałek lufy, którą Dan przepiłował tego ranka. Zamierzał użyć go jako pałki. W lewym bucie ukrył dwudziestopięciocentymetrowy nóż do mięsa, cienki i ostry jak skalpel.

Otworzył drzwi z siatką przeciwko owadom i…

– Długo, głośno dobijał się, by wejść – mówi Dan. – Wiedziałem, że zamierza odebrać życie Erice i Brendzie. Ja siedziałem w samochodzie i się modliłem. „Mam nadzieję, Boże, że taka Twoja wola. Jeśli nie, proszę, ustrzeż nas od błędu". Cisza. Nikt nie otworzył drzwi. Po paru chwilach Ron odwrócił się i podszedł do samochodu, mocno zdziwiony. Wzruszył ramionami. Mnie natomiast ogarnęła radość. Sądziłem, że to wszystko był jakby sprawdzian wiary, jak wtedy, kiedy Bóg wystawił Abrahama na próbę, i że Ron przeszedł ten sprawdzian. „Dzięki Ci, Panie", pomyślałem. Włączyłem silnik i odjechaliśmy.

– Ron siedział z przodu na miejscu pasażera – ciągnie Dan. – Kompletnie go zamroczyło. Zazwyczaj to on decydował, dokąd pojedziemy i co zrobimy. Minąłem prawie dwie przecznice i nagle ogarnęło mnie przedziwne uczucie. Widziałem raz w wiadomościach telewizyjnych reportaż o gościu, który już miał wsiąść do samolotu, ale jak doszedł do bramki, rozmyślił się, zawrócił i odszedł. A potem samolot się rozbił. Robili z gościem wywiad, pytali, dlaczego nie wszedł na pokład. „Nie umiem tego wytłumaczyć – powiedział. – Po prostu poczułem, że nie powinienem". No i ja poczułem się dokładnie tak samo, kiedy odjeżdżaliśmy spod domu Allena. Coś mi podpowiadało, że powinienem zawrócić, więc

zawróciłem. Nie wiedziałem czemu – przecież dom był pusty. Pozostali trzej zapytali mnie: „Ej, co robisz?”. Ja na to: „Wracamy do Allena, chociaż nie rozumiem dlaczego”. Sporo myśli przebiegało mi przez głowę. Miałem za sobą już wiele doświadczeń duchowych, widziałem niejeden cud i wierzyłem, że skoro coś każe mi wracać, jest w tym jakiś sens. Powiedziałem sobie: „Może to nie Ron ma wykonać polecenie Boga, tylko ja?”. Nie byłem pewien, ale czułem, że postępuję słusznie, jak gdyby ktoś prowadził mnie za rękę, łagodnie, prosto do celu. Ron powiedział, że nie chce, bym robił cokolwiek, na co on sam nie był gotów. Wyjaśniłem jednak, że wszystko jest w porządku.

Dan znów zajechał przed dom Allena, podszedł do drzwi i zapukał. Tym razem Brenda otworzyła od razu. Dan zapytał, czy Allen jest u siebie. Odpowiedziała, że pojechał do pracy. Spytał więc o karabin myśliwski. Brenda nie była pewna, czy broń znajduje się w domu. Wtedy Dan poprosił, żeby dała mu skorzystać z telefonu. Straciła cierpliwość. „Nie ma mowy, nie wpuszczę cię do środka”. Dan powtarzał, że chodzi tylko o szybki telefon. Brenda jednak robiła się coraz bardziej podejrzliwa i nie zamierzała ustąpić.

Dan wspomina:

– Przez cały czas jakby rozmawiałem w myślach z Bogiem, zapytałem go więc: „Co mam teraz uczynić?”. Poczułem, że powinienem po prostu ją odepchnąć i wejść do środka, no więc tak właśnie zrobiłem.

Chip Carnes relacjonował, że kiedy tylko Dan wdarł się do domu Brendy i zatrzasnął za sobą drzwi, usłyszał „łoskot, jakby ktoś upadł na podłogę. […] Chwilę później rozległ się brzęk tłuczonego szkła”.

Dan mówi:

– Wydaje mi się, że Brenda się rozgniewała. Powiedziała bardzo interesującą rzecz, w sumie proroczą. „Wiedziałam, że zamierzasz uczynić coś, czego nikt nie mógłby powstrzymać”. Potem zaczęła przepraszać za najróżniejsze rzeczy – za to, że przekabaciła żonę Rona, i tak dalej. Pomyślałem sobie: „Ależ z niej suka”. I poczułem, że muszę ją powalić na ziemię. Przewróciłem ją na brzuch i usiadłem na niej okrakiem, krzyżując jej nadgarstki za plecami.

Carnes, Knapp i Ron nadal czekali w samochodzie. Carnes spojrzał na Knappa i powiedział: „Coś głośno tam w środku”.

„Masz rację – stwierdził Knapp i zwrócił się do Rona: – Może powinieneś pójść tam i pomóc”. Ron poszedł.

Dan przygniótł Brendę do podłogi tuż przy drzwiach, Ron więc musiał „na siłę wepchnąć się do środka – jak później opowiadał Carnes. – Kiedy tylko jakoś się przecisnął, usłyszałem głos Brendy: »Wiedziałam, że tak się stanie«. A potem usłyszałem Rona, który nazywał ją kłamliwą dziwką, i odgłosy jakiejś porządnej bijatyki. Brenda zaczęła krzyczeć: »Nie róbcie krzywdy mojemu dziecku! Błagam, nie róbcie krzywdy dziecku«. Ron ciągle wyzywał ją od kłamliwych dziwek. Przysięgała, że już nie będzie więcej kłamać, ale on nadal ją bił. Słyszałem każde uderzenie”.

„A potem rozległ się krzyk dziecka: »Mama! Mama! Mama!«. I wtedy zapadła jakaś taka cisza”.

Oto co według Dana wydarzyło się po tym, jak Ron dostał się do środka:

– Zamknął za sobą drzwi i zapytał: „Co ty robisz?”. Odpowiedziałem, że najwyraźniej to ja mam wypełnić nakaz Boży. Próbowałem mówić szeptem, nie chciałem, żeby Brenda usłyszała i się zaniepokoiła. Na co Ron: „Jak zamierzasz to przeprowadzić?”. Poprosiłem go, by dał mi chwilę na modlitwę. I szepnąłem w duchu: „Panie, co mam czynić?”. I zaraz poczułem, że powinienem użyć

noża. Że muszę poderżnąć im gardła. Ron zapytał: „Którego noża użyjesz?”. Miałem za pasem nóż rzeźnicki, Ron też miał nóż. Powiedziałem: „Daj mi ten, który kupiłeś”. Natychmiast go wyjął i położył na podłodze koło mnie. Potem próbował pięścią pobić Brendę do nieprzytomności. Walił ją w twarz, aż krew zaczęła tryskać na ścianę, ale w końcu rozbolała go ręka i musiał przestać. Od krwi zrobiło się ślisko, nie mogłem utrzymać Brendy. Wyrwała mi się i wstała, Ron natychmiast zastawił jej drogę, żeby nie wybiegła za drzwi. Miała solidnie pokiereszowaną twarz. Musiała być przerażona. Popatrzyła na mnie i powiedziała: „Czy możesz mnie przytulić? Bardzo cię o to proszę”. Ale ja wiedziałem, że ona chce w ten sposób wzbudzić we mnie współczucie. Ron odparł: „Taaa, sam chciałbym, żeby ktoś mnie przytulił, pierdolona suko, tyle że przez ciebie nie mam już żony!”. Wtedy się na chwilę zamknęła. W końcu powiedziała: „Zrobię, co tylko zechcecie”. Ron na to: „Dobra, siadaj w kącie”. Podeszła do kąta, oparła się plecami o ścianę i zaczęła się powoli zsuwać. Wtedy Ron odwrócił się do mnie i powiedział: „Zabierajmy się stąd”. Był przerażony. „Jeśli musisz, idź – odrzekłem. – Ja wypełnię do końca zadanie, dla którego zostałem tu przywiedziony”. Brenda najwyraźniej zdała sobie sprawę, o czym mowa. Rzuciła się do ucieczki, minęła Rona. Nawet się nie ruszył. Skoczyłem i chwyciłem ją od tyłu. Udało się jej dobiec do kuchni, próbowała dopaść przesuwanych drzwi prowadzących na tył domu. Złapała firankę, ja chwyciłem ją za włosy i odciągnąłem do tyłu. Zerwała kilka haczyków z karnisza. Po chwili zemdlała, więc po prostu ułożyłem ją na linoleum. W przeciwieństwie do mojego starszego brata nie żywiłem żadnych wrogich uczuć wobec Brendy i Eriki. Po prostu wypełniałem rozkazy Pana. Popatrzyłem na Brendę, leżącą na podłodze w kuchni, i znów się pomodliłem o następne wskazówki. Powiedziałem Ronowi: „Znajdź mi coś, czym da się jej obwiązać szyję, żeby nie odzyskała przytomności”. Bo poczułem, że najpierw muszę odebrać życie dziecku. Ron przeciął kabel od odkurzacza. Już miał okręcić go wokół szyi Brendy, gdy nagle wydarzyła się kolejna niezwykła rzecz: jakaś siła pchnęła go do tyłu. Popatrzył na mnie i zapytał: „Widziałeś to?”. „Tak, widziałem. Najwyraźniej ja muszę to zrobić. Podaj mi kabel”. Dwukrotnie owinąłem go wokół jej szyi i związałem ciasno w podwójny węzeł.

Od chwili gdy Brenda po ostatniej desperackiej próbie ucieczki straciła przytomność, Ricky Knapp i Chip Carnes, którzy wciąż czekali w samochodzie, nie słyszeli już żadnych więcej odgłosów z wnętrza domu. Cisza przestraszyła Carnesa. Kazał Knappowi wsiadać za kierownicę i uciekać.

Knapp włączył silnik, wycofał samochód z podjazdu, ale puściły mu nerwy. „Nie możemy zostawić tamtych”, powiedział Carnesowi. Zaparkował impalę na ulicy, przed wejściem do domu. Carnes skulił się na tylnym siedzeniu, by nikt go nie zauważył.

Okręciwszy kabel wokół szyi Brendy, Dan udał się do przedpokoju.

– Wziąłem nóż i ruszyłem korytarzem. Duch mnie prowadził. Nie znałem tego domu, nie wiedziałem, gdzie jest pokój dziecka, ale znalazłem go za pierwszą próbą. Dziecko stało w kącie kojca. Wszedłem. Zamknąłem drzwi za sobą, żeby mieć spokój. Mała chyba wzięła mnie za swojego ojca, bo i ja, i Allen nosiliśmy wtedy brody, a poza tym mieliśmy identyczne głosy. Przemawiałem do niej przez chwilę. Powiedziałem: „Nie jestem do końca pewien, o co chodzi, ale najwyraźniej Bóg pragnie, żebyś opuściła ten świat. Może jeszcze kiedyś o tym porozmawiamy”. Następnie położyłem dłoń na jej główce, przytknąłem nóż do szyi, o tak, i po prostu…

Lafferty przerywa opowieść i dłońmi zakutymi w kajdanki pokazuje beznamiętnie, jak przeciągnął ostry niczym brzytwa nóż po gardle Eriki z tak wielką siłą, że prawie obciął jej głowę.

– Zamknąłem oczy, więc nie widziałem, co robię – ciągnie Lafferty. – Niczego też nie słyszałem. – Zamordowanie Eriki relacjonuje nieprawdopodobnie spokojnym głosem, jak gdyby chodziło o wizytę w sklepie z narzędziami. – Potem poszedłem do łazienki i zmyłem krew z noża. Nic nie czułem. Nie byłem nawet pewien, czy faktycznie zabiłem Ericę. Dopiero później, kiedy pokazali mi zdjęcia z miejsca przestępstwa… Jestem pewien, że odeszła spokojnie. Może tak sobie tylko wmawiam, żeby się lepiej poczuć… Nie wiem. W każdym razie mam nadzieję, że nóż był dostatecznie ostry i nie zdążyło jej nawet zaboleć. No więc zmyłem krew, wróciłem do kuchni i stanąłem nad Brendą. Następnie usiadłem na niej okrakiem, rozwiązałem kabel. Chwyciłem ją za włosy, przyłożyłem nóż do szyi, trochę z boku i poderżnąłem jej gardło. Tym razem także zamknąłem oczy. Ale poczułem, jak ostrze przecina tchawicę, jak zatrzymuje się na kości kręgu szyjnego. Po wszystkim znów poszedłem do łazienki, umyłem nóż po raz drugi i powiedziałem Ronowi: „OK, możemy się zbierać”.

Ron i Dan wyszli tylnymi drzwiami i wrócili do auta. Knapp i Carnes, na widok ich zakrwawionych ubrań „jakby się wystraszyli”, zwłaszcza Carnes, który nie wytrzymał zapachu krwi, chwycił Dana za koszulę i zaczął krzyczeć histerycznie: „Musisz się pozbyć tego cuchnącego świństwa!”.

– A ja pomyślałem sobie: „Hej, przecież to jeszcze nie koniec. Po co zmieniać ubranie?”. Musieliśmy odwiedzić jeszcze dwa inne domy.

W końcu jednak Dan spełnił prośbę Carnesa i podczas jazdy przebrał się w pożyczoną od niego czystą koszulę.

Ron także był cały w nerwach. Tylko Dan zachował zupełny spokój.

– Miałem błogą pewność, że wszystko przebiegło zgodnie z zamiarem Boga. Ron się trząsł, zabrakło mu sił. Powtarzał, że czuje zapach krwi na swoich dłoniach. Położyłem mu rękę na ramieniu i próbowałem go uspokoić.

Ron rychło odzyskał panowanie nad sobą. Prowadził impalę w lipcowym skwarze, uważając, by nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Dokładnie wiedział, dokąd jechać: na północ, do Highland, gdzie niegdyś dzielił dom z Dianną i dziećmi i gdzie nadal mieszkała Chloe Low.

Cztery miesiące wcześniej Bóg poinstruował Rona:

> Jest Moją wolą i żądaniem, abyście usunęli po kolei następujące osoby, które zaporą na Mej ścieżce się stały i przeszkodą dla dzieła Mego. Po pierwsze żonę brata twego, Brendę, i jej dziecko. Następnie Chloe Low i wreszcie Richarda Stowe’a. Jest Moją wolą, ażeby usunąć ich czym prędzej, jedno po drugim.

Polecenie zostało już w połowie wypełnione. Podczas krótkiej drogi do domu Low Ron i Dan planowali dalsze działania. Zgodnie z treścią objawienia zamierzali najpierw usunąć Low, następnie zaś Stowe’a, mordując ich „czym prędzej, jedno po drugim”, jeszcze przed końcem dnia. Zgodzili się, że z Low powinno pójść łatwo („bo była drobną kobietą”). Jednak po chwili Ron wyznał bratu: „Boję się, że nie starczy mi siły”.

„Nie przejmuj się – pocieszył go Dan. – Wszystkim się zajmę. A poza tym przecież spełniamy wolę Pana”.

CZĘŚĆ III

Najwyborniejsze owoce doświadczenia religijnego to w ogóle najlepsze rzeczy, jakie historia ma do pokazania. […] Najwyższe wzloty miłosierdzia, pobożności, zaufania, cierpliwości i męstwa, do których był zdolny człowiek, następowały gwoli ideałów religijnych.

William James, *Odmiany doświadczenia religijnego*, przeł. Jan Hempel

Często powiada się, że źle postępuje ten, kto atakuje religię, religia bowiem czyni ludzi cnotliwymi. Tak słyszałem, choć osobiście tego nie zauważyłem. […]
Rozglądając się dokoła, dostrzeżecie, że każdy najmniejszy postęp w dziedzinie ludzkich uczuć, każda pozytywna zmiana w zakresie prawa karnego, każdy krok ku zapobieżeniu kolejnym wojnom, lepszemu traktowaniu innych ras, walce z niewolnictwem, każdy moralny postęp, jaki się dokonał, spotykał się z ustawicznym sprzeciwem Kościołów […].

Osobiście co do religii bliski jest mi pogląd Lukrecjusza. Religię uważam za chorobę zrodzoną ze strachu, źródło niewypowiedzianych nieszczęść gatunku ludzkiego. Nie przeczę, wniosła ona pewien wkład do cywilizacji. W dawnych czasach pomogła w ustalaniu kalendarza. Dała asumpt egipskim kapłanom, by odnotowywali zaćmienia Słońca tak starannie, że z czasem nauczyli się je przewidywać. Te dwie korzyści gotów jestem uznać. O innych nic mi nie wiadomo.

Bertrand Russell, *Why I Am Not a Christian, and Other Essays on Religion and Related Subjects*

17

Exodus

Odeszli z goryczą, ale i nadzieją. Prześladowania, pogromy, męczeńska śmierć proroka, przelana krew i porzucone groby uczyniły z nich zwartą wspólnotę. W głowach krążyły im starotestamentowe skojarzenia. Każda karawana krytych wozów wyruszająca na zachód przywodziła na myśl ucieczkę z Egiptu. Wielu zapewne marzyło o pościgu faraona i rozstępującym się morzu. Uchodzili stadem, jak bizony – i właśnie ta stadność oraz spryt przywódców dawały im siłę. Brigham Young nie był prorokiem, lecz pragmatycznym liderem, sprawnym organizatorem i genialnym kolonistą.

Wallace Stegner, *Mormon Country*

Świt dopiero co zajaśniał od wschodu na niebie. Porter Rockwell, Anioł Zagłady, wierny ochroniarz Josepha Smitha i jego człowiek od brudnej roboty, pędził konno ku Nauvoo, kipiąc gniewem. Był 28 czerwca 1844 roku. Dwanaście godzin wcześniej mormoński prorok został zastrzelony w więzieniu w Carthage przez milicję stanu Illinois, mimo osobistych gwarancji bezpieczeństwa udzielonych przez gubernatora Thomasa Forda. Rockwell dotarł wreszcie do Nauvoo i galopował ulicami budzącego się miasta, wykrzykując ponurą wieść: „Joseph zabity! Zamordowali go, przeklęci, zamordowali!”.

Mormoni wpadli w rozpacz. Lejąc łzy, przysięgali zemstę. W pierwszej kolejności musieli jednak zająć się ważniejszą kwestią, a mianowicie przetrwaniem własnego Kościoła. Przez dom Josepha przetoczyło się dziesięć tysięcy żałobników, którzy przyszli, by ostatni raz zobaczyć ciało proroka i złożyć kondolencje rodzinie. Wielu z nich żywiło wątłą raczej nadzieję, że uda się znaleźć kogoś, kto zdołałby poprowadzić wiernych w nadchodzących, krytycznych miesiącach. Wybitny historyk D. Michael Quinn pisał w książce *The Mormon Hierarchy. Origins of Power*: „Mormonizm stanął po śmierci Smitha w czerwcu 1844 roku przed zasadniczym pytaniem. Czy Kościół zdoła przetrwać bez swego proroka i założyciela, czy też cała struktura się zawali, niczym łuk po usunięciu szczytowego klińca?”.

Joseph bowiem nie dał wiernym jasnych wskazówek, jeśli chodzi o wybór swego następcy. Przez wiele lat rzucał raczej luźne i sprzeczne uwagi dotyczące przekazania władzy. Po jego przedwczesnym zgonie wytworzyła się więc próżnia, którą starało się zapełnić wielu chętnych na stanowisko proroka. Do najważniejszych kandydatów zaliczali się:

- Najstarszy syn Josepha, Joseph Smith III. W chwili śmierci ojca miał zaledwie jedenaście lat, ale – jak się uważa – prorok zamierzał uczynić go swym następcą, gdy osiągnie dorosłość.
- Młodszy brat Josepha Samuel H. Smith.
- Sidney Rigdon, szanowany teolog. Kiedy Joseph w 1844 roku ogłosił, że zamierza ubiegać się o najwyższy urząd w Stanach Zjednoczonych, kandydatem na wiceprezydenta uczynił właśnie Rigdona, choć cierpiał on wskutek „nerwowych spazmów i omdleń”, był nieprzewidywalny w swych zachowaniach i niestabilny emocjonalnie.
- Brigham Young, krzepki, pełen ambicji prezydent Kworum Dwunastu Apostołów.

Między kandydatami rysował się wyraźny podział. Jedni stanowczo odrzucali poligamię, a śmierć Josepha traktowali jako świetną szansę, by wyrzec się małżeństw celestialnych raz na zawsze, nim staną się zbyt powszechne. Drudzy natomiast oddawali się wielożeństwu i uważali je za boski nakaz. Joseph zapisał treść tajemnego objawienia zaledwie rok przed męczeńskim zgonem i przekazał ją wyłącznie grupce swych najbardziej zaufanych towarzyszy. W ponurych, niespokojnych dniach po zabójstwie

proroka dziewięćdziesiąt pięć procent mormonów nie miało pojęcia o jego celestialnych małżeństwach ani o tym, że poligamię nazwał jednym z warunków wstępu do Królestwa Niebieskiego.

Emma Smith, Samuel Smith, Sidney Rigdon, William Law i inni przeciwnicy poligamii, przekonani, że pogrąży ona Kościół mormoński, za wszelką cenę pragnęli wyboru następcy, który póki czas odwołałby objawienie Josepha. Emma powtarzała, że przywódcą mormonów musi zostać ktoś, kogo „sama zaakceptuje; w przeciwnym razie uczyni, co w jej mocy, by zaszkodzić Kościołowi". Apostołowie John Taylor, Willard Richards, Brigham Young oraz ich towarzysze z obozu zwolenników poligamii pragnęli natomiast czegoś wręcz przeciwnego, gdyby bowiem Emma postawiła na swoim, celestialne żony, które w tajemnicy poślubili, zostałyby uznane za nierządnice.

Kryzys związany z sukcesją pogłębiał się jeszcze z innego powodu. Otóż dziesięciu członków Kworum Dwunastu Apostołów (między innymi Brigham Young) wiosną 1844 roku znajdowało się daleko od Nauvoo. Joseph przed śmiercią rozesłał ich po całym kraju i kazał im prowadzić swoją kampanię prezydencką. Young przebywał w Massachusetts, o zamordowaniu proroka dowiedział się dopiero dziewiętnaście dni po fakcie. Zdruzgotany tą wieścią lamentował, że bez Josepha Kościół mormoński się nie ostanie. „Czułem, jak gdyby serce miało mi pęknąć", wspominał. Natychmiast więc wyruszył do Nauvoo – tak samo zresztą postąpili pozostali apostołowie, rozsiani po najdalszych zakątkach Stanów Zjednoczonych.

Obóz przeciwników poligamii robił, co mógł, aby nowego proroka wybrano przed powrotem wszystkich członków Kworum Dwunastu Apostołów. Mały Joseph Smith III miał teoretycznie najbardziej uzasadniony tytuł do objęcia władzy, lecz nie osiągnął jeszcze nawet wieku dojrzewania, toteż wielką nadzieją antypoligamistów stał się brat zabitego proroka Samuel H. Smith. Jego wybór zdawał się już przesądzony, gdy nagle 30 lipca Samuel umarł. Liczne poszlaki wskazują, że otruł go Hosea Stout, szef policji Nauvoo, lojalny sojusznik Brighama Younga i innych zwolenników wielożeństwa.

W tej sytuacji desperacką próbę przejęcia władzy w Kościele przed powrotem apostołów podjął Sidney Rigdon. Dzięki sprytnym manewrom i wsparciu antypoligamistów zapewnił sobie stanowisko „strażnika" Kościoła, choć mógł je oficjalnie objąć dopiero po głosowaniu na forum specjalnego zgromadzenia wiernych, wyznaczonego na 8 sierpnia. Nic nie stało na przeszkodzie. Jednak nocą 6 sierpnia Brigham Young i pozostali apostołowie nieoczekiwanie zjawili się w Nauvoo, krzyżując szyki przeciwnikom wielożeństwa.

Rankiem 8 sierpnia 1844 roku wierni zebrali się, by wysłuchać Rigdona i Younga. Rigdon przez półtorej godziny przekonywał, że to właśnie on najbardziej nadaje się na przywódcę mormonów. Mówił z pasją, lecz nie zachwycił współbraci. Nadeszła kolej Brighama – i oto, jak zapamiętano, stała się rzecz niezwykła.

„Brigham Young wstał i ryknął niczym młody lew, głosem i zachowaniem naśladując Josepha – pisał John D. Lee. – Wielu braci twierdziło, że na własne oczy widziało, jak wstąpił weń duch zabitego proroka. Ja sam także ujrzałem w Brighamie silne podobieństwo do Josepha. Od razu poczułem, że on właśnie powinien nam przewodzić". Mormoni oglądający na własne oczy wystąpienie Brighama (i mormoni, których tam nie było) przysięgali, jakoby przeszedł on w owej chwili nieprawdopodobną przemianę, przyjmując na pewien czas głos, rysy twarzy, a nawet posturę Josepha, od którego skądinąd był znacznie niższy. Po takim występie mało kto wątpił, że Brigham powinien zostać następnym prorokiem i prezydentem mormońskiego Kościoła.

Warto się zastanowić, jak potoczyłyby się losy mormonów, gdyby Young zjawił się w Nauvoo choćby trzydzieści sześć godzin później, a władzę objął Rigdon. Mormońska kultura (i ogólnie kultura amerykańskiego Zachodu) wyglądałaby zapewne zupełnie inaczej. Mormoni nie osiedliliby się w Wielkiej Kotlinie, praktyka poligamii w Kościele LDS nie zdążyłaby się na dobre zakorzenić. Nawet syn Rigdona John przyznawał: „Trafnie postąpiono, wybierając Brighama Younga na przywódcę. […] Gdyby stanowisko proroka powierzono Sidneyowi Rigdonowi, Kościół szybko zacząłby się chwiać w posadach, aż w końcu przestałby istnieć".

Brigham Young, podobnie jak Joseph Smith, przyszedł na świat w ubogiej rodzinie na prowincji w Nowej Anglii. Pełne zamętu czasy drugiego wielkiego przebudzenia odcisnęły na nim silne piętno. Mormonem został w roku 1832, w wieku trzydziestu jeden lat, i rychło stał się lojalnym powiernikiem proroka.

Był mu bez reszty oddany. W najbardziej szalone doktryny teologiczne Josepha wierzył całym sercem (niewykluczone, że gorliwiej nawet niż sam prorok). Zasadniczo jednak stanowili całkowicie odmienną parę. Joseph był wysoki, dobrze zbudowany i przystojny, Brigham natomiast niski i gruby (jego waga dochodziła do stu dwudziestu kilogramów). Josephowi nie brakowało charyzmy. Zawsze snuł wielkie marzenia i plany, był niepoprawnym kobieciarzem, naturę zaś miał nadzwyczaj emocjonalną. Brigham tymczasem był spokojny, spolegliwy i aż do przesady pragmatyczny. Odznaczał się też wielkim talentem organizacyjnym. Zawsze miał wszystko starannie przemyślane, przywiązywał ogromną wagę do szczegółów. Nie domagał się od mormonów, by go kochali – chciał tylko ich szacunku i bezwarunkowego posłuszeństwa. Joseph przez całe życie rozmawiał z Bogiem i otrzymał od niego sto trzydzieści pięć objawień spisanych w Naukach i Przymierzach (oraz dziesiątki innych, których nigdy nie opublikowano). Brigham natomiast pozostawił po sobie tylko jedno objawienie, spisane w rozdziale 136 Nauk i Przymierzy. Nie dotyczyło ono żadnych tajemnic wiary, lecz sposobu, w jaki należy zorganizować karawany wozów podczas migracji do Utah.

Rzecz jasna, Brighama nie sposób nazwać geniuszem religijnym, jednak po męczeńskiej śmierci Josepha mormonów czekała niemal pewna zagłada i akurat geniusz religijny na nic by się im nie zdał. Potrzebowali dyscypliny i twardego przywództwa – Brigham im je zapewnił. George Bernard Shaw określił go później mianem „amerykańskiego Mojżesza". Był właściwym człowiekiem we właściwym miejscu i we właściwym czasie.

W maju 1845 roku dziewięciu mężczyzn postawiono w stan oskarżenia za zamordowanie Josepha i Hyruma Smithów. Siedmiu sądzono w Carthage. Znaleźli się wśród nich notable zachodniego Illinois – jeden pułkownik, jeden major i dwóch kapitanów milicji Carthage Greys, senator stanowy oraz redaktor naczelny gazety wychodzącej w Warsaw. Ze względu na wrogość mieszkańców hrabstwa Hancock wobec mormonów nie było co liczyć na sprawiedliwy wyrok. Ponadto John Taylor i Willard Richards, mormońscy apostołowie i świadkowie zbrodni, odmówili zeznawania w sądzie, gdyż obawiali się (nie bez podstaw), że wizytę w Carthage przypłaciliby życiem. Proces się jednak odbył. 30 maja wszystkich dziewięciu oskarżonych uniewinniono. Mormoni spodziewali się podobnego werdyktu, ale i tak nie posiadali się z oburzenia. W artykule redakcyjnym gazety wychodzącej w Nauvoo pisano: „Mordercy mogą być pewni, że ich zbrodnia, nieukarana przez ziemskie sądy, zostanie rozpatrzona przez Najwyższego Sędziego wszechświata, który powiedział: »Do Mnie należy pomsta. Ja wymierzę zapłatę«".

W pierwszą miesięcznicę śmierci Josepha Brigham z goryczą wspominał wyrok i oświadczył: „Jest sprawą Boga i jego ludu pomścić krew [Jego] sług". Zalecił więc władzom kościelnym spisanie „Przysięgi Zemsty", która przez wiele lat stanowiła część ceremonii obdarowania świątynnego, jednego z najważniejszych rytuałów Kościoła.

W przysiędze tej mormoni ślubowali: „Nie ustanę w modłach i będę błagał Niebiosa, by naród ten zapłacił za przelanie krwi Proroków, i będę uczył tego moje dzieci i ich dzieci aż do trzeciego i czwartego pokolenia". Każdy mormon powtarzał owe słowa, póki nie zostały one wykreślone z obrządku w roku 1927, kiedy wyciekły do prasy i wzburzyły opinię publiczną.

Po zabójstwie Josepha większość obywateli Nauvoo pałała żądzą zemsty, tymczasem mieszkańcy hrabstwa Hancock sięgali po coraz brutalniejsze środki, by przegnać mormonów. Po uniewinnieniu morderców poczuli się jeszcze pewniej. Latem roku 1845 wzięli prawo we własne ręce. Bandy pod przywództwem Leviego Williamsa (głównego oskarżonego w procesie o zabójstwo proroka) grasowały po całym hrabstwie, podpalając mormońskie domy i farmy. Przed nadejściem jesieni doszczętnie spłonęły czterdzieści cztery gospodarstwa.

16 września Porter Rockwell jechał do pewnej mormońskiej rodziny, by pomóc ocalić mienie uratowane z pożaru, gdy po drodze wpadł na porucznika Franka Worrella z Carthage Greys. (W dniu śmierci Josepha Worrell odpowiadał za pilnowanie więzienia. To właśnie on dowodził oddziałem milicji, który celowo oddał w stronę atakującego tłumu salwę bez nabojów, po czym usunął się z drogi). Owego wrześniowego popołudnia Worrell ścigał konno lokalnego szeryfa, który ośmielił się okazać mormonom współczucie. Rockwell bez wahania wpakował porucznikowi kulę prosto w brzuch. Jeden ze świadków opisywał, że Worrella „rzuciło na cztery stopy w górę" z siodła, po czym „padł martwy".

Zabójstwo tylko pogorszyło sytuację w hrabstwie. Parę dni później banda mormonów schwytała młodzieńca nazwiskiem McBracking, którego podejrzewali o udział w podpaleniach. McBracking błagał o życie, lecz święci nie byli skorzy okazać mu łaski. Wykastrowali go, poderżnęli mu gardło, obcięli ucho, na koniec wpakowali mu dwie lub trzy kule. Wszystko zgodnie z naukami Josepha, który trzy lata wcześniej mówił swym wyznawcom, że za niektóre grzechy pokutą musi być „krew sprawcy wsiąkająca w ziemię i dym z płonącego stosu, wzbijający się ku Niebiosom".

Osiągnięto punkt krytyczny. Kolejne domy szły z dymem, po całym hrabstwie grasowały groźne hordy mormonów i ich przeciwników. Spłonęło przeszło dwieście gospodarstw. Na horyzoncie majaczyło widmo prawdziwej wojny domowej, toteż gubernator Thomas Ford postanowił wysłać do Nauvoo czterystu żołnierzy oraz poselstwo (w jego skład wchodzili powszechnie szanowani dygnitarze, w tym znany polityk Stephen A. Douglas), aby wynegocjować trwałe zawieszenie broni.

Dla Brighama stało się jasne, że mormoni nie mają już w hrabstwie Hancock przyszłości. 24 września wysłał list do członków poselstwa, proponując, co następuje: w zamian za zawieszenie broni mormoni opuszczą nie tylko stan Illinois, ale w ogóle Stany Zjednoczone. Odjadą następnej wiosny, gdy tylko trawa na preriach będzie na tyle wysoka, by mogli po drodze wykarmić konie i zwierzęta. 1 października propozycja została przyjęta. Tak oto mormoni zapewnili sobie kilka miesięcy względnego spokoju i zaczęli budować wozy oraz gromadzić zapasy, szykując się do wielkiej migracji.

Brigham Young chciał osiedlić swój lud z dala od cywilizacji, w krainie nieprzyjaznej dla wszelkich osadników, a więc wolnej od prześladowców. Rozważano Oregon, Kalifornię i wyspę Vancouver w Kanadzie. Ostatecznie on i jego doradcy zdecydowali, że ostatnią przystanią mormonów staną się

słabo zaludnione pustynie Wielkiej Kotliny, należącej w owym czasie do Meksyku.

Mormoni planowali opuścić Miasto Josepha przy łaskawej pogodzie, lecz kiedy gruchnęła wieść, że za Brighamem wysłano list gończy pod zarzutem udzielania pomocy fałszerzom[44], odkładanie wyjazdu przestało wchodzić w grę. 4 lutego 1846 roku pierwsze tratwy z mormońskimi emigrantami wypłynęły z portu Nauvoo na zachód, przez ciemne, lodowate wody rzeki Missisipi. Dotarłszy do Iowa, gdzie wciąż panowała sroga zima, mormoni zeszli niepewnie na brzeg. Zaczął się wielki exodus.

Zabójstwo Josepha oraz niepokojące plotki o rozpustnych praktykach mormońskich przywódców sprawiły, że w poprzednich miesiącach zastępy wiernych nieco się przerzedziły[45]. Zdecydowana większość świętych zachowała jednak wiarę. Załadowali najcenniejszy dobytek do wozów, resztę pozostawili na pastwę wrogów i ruszyli za Brighamem w dzikie krainy. Nim przyszedł maj, ponad sześć tysięcy mormonów posuwało się pomału na zachód, przez wiosenne błoto sięgające aż po piasty kół, w nadziei na Ziemię Obiecaną.

Przebyli dwa tysiące kilometrów, znosząc po drodze najgorsze męczarnie. Nękały ich odmrożenia, błonica i szkorbut. Cierpieli głód. Kobiety wydawały na świat martwe noworodki. Na szlaku spotykali się z wrogością i agresją. Wybuchła też epidemia krztuśca, która zabiła dziesiątki dzieci. Tamtej ponurej zimy życie straciło przeszło sześciuset mormonów. Brigham okazał się jednak wyjątkowym przywódcą o żelaznej woli. 21 lipca 1847 roku straż przednia dotarła na grzbiet góry i ujrzała „dolinę, w której lśniły w słońcu wody Wielkiego Jeziora Słonego”. Następnego ranka zwiadowcy pod wodzą Portera Rockwella zeszli po zachodnich zboczach gór Wasatch do miejsca zwanego dziś Kanionem Emigrantów. Za jego wylotem, nieopodal południowego brzegu ogromnego bezodpływowego jeziora o wodzie bardziej słonej niż Ocean Spokojny, rozciągał się nowy Syjon.

Choć ziemia była tu pustynna i jałowa, od wschodu spływały całoroczne strumienie krystalicznie czystej słodkiej wody z topniejących lodowców gór Wasatch. Góry stanowiły ponadto naturalną barierę dla napastliwych bezbożników. Zwiadowcy uznali dolinę Wielkiego Jeziora Słonego za idealną lokalizację dla stolicy Królestwa Bożego na Ziemi. W dwie godziny objechali okolicę, po czym wrócili do Kanionu Emigrantów, żeby przekazać radosną nowinę Brighamowi i współbraciom.

Brigham, osłabiony i obolały po chorobie, dotarł do doliny 24 lipca 1847 roku. Na pamiątkę tego wydarzenia mormoni obchodzą odtąd Dzień Pioniera (w to właśnie święto sto trzydzieści siedem lat później Ron Lafferty postanowił wypełnić objawienie o usunięciu). Nim zaszło słońce, osadnicy zasadzili pierwsze ziemniaki i zaczęli zawracać wodę City Creek, by nawodnić pola. O rzut kamieniem od strumienia, w miejscu, które miało później stać się centrum Salt Lake City, położyli fundamenty świątyni. Długa, siedemnastoletnia wędrówka, mająca swój początek jeszcze w Palmyrze, dobiegła wreszcie kresu. Mormoni znaleźli swój dom.

Wielu nie doczekało tej chwili, ale ci, którzy znieśli znoje, byli jak nigdy oddani Kościołowi. Krytykanci, malkontenci, zrzędy, wątpiący – słowem, ludzie małej wiary – nie wytrwali w obliczu niezliczonych trudów. Zostali tylko najgorliwsi wyznawcy. Emigracja z Nauvoo i przemoc, której doświadczyli mormoni w Missouri i Illinois, stały się podstawą niezwykle silnej więzi. Przeciwności losu uczyniły z wyznawców Brighama zwarte plemię, bez reszty oddane swemu przywódcy, gotowe uczynić wszystko, czego tylko zażyczy sobie prorok.

Gdy pierwsze karawany wozów opuszczały Nauvoo w owych mroźnych lutowych dniach 1846 roku, zaledwie garstka migrantów wiedziała o istnieniu doktryny wielożeństwa i o praktykowaniu poligamii

przez przywódców. Kilkanaście kilometrów od zachodniego brzegu Missisipi, w bezpiecznej odległości od morderczych band grasujących po stronie Illinois, mormoni zatrzymali się w Sugar Creek w stanie Iowa na przegrupowanie. Tam właśnie, w obozie pośród śniegów, święta tajemnica poligamii została po raz pierwszy wyjawiona szeregowym członkom Kościoła.

Przed resztą świata Brigham Young i jego doradcy stanowczo wypierali się wielożeństwa. Miało tak być jeszcze przez wiele lat, już po osiedleniu się mormonów w dolinie Wielkiego Jeziora Słonego. Historyk D. Michael Quinn nazywa to bezczelne udawanie „etyką teokratyczną". Sami mormoni mówili zaś o „kłamaniu w Imię Boże"[46].

Decyzja o zamieceniu poligamii pod dywan była konieczna. Amerykańskie imperium szybko przesuwało swe granice. Po dwudziestu latach trudnych relacji ze Stanami Zjednoczonymi, niejednokrotnie znaczonych aktami przemocy, Brigham wyprowadził świętych na terytoria nienależące do tego kraju. Jednak zaledwie rok później Ameryka objęła ich nowy Syjon w posiadanie: mormońska ojczyzna została zaanektowana przez Stany Zjednoczone po zakończeniu wojny z Meksykiem na mocy podpisanego w roku 1848 traktatu pokojowego z Guadalupe Hidalgo.

Fakt ten pokrzyżował Brighamowi plany utworzenia teokratycznego królestwa, w którym nie obowiązywałyby prawa i przepisy narzucane przez innowierców. Mormońska autonomia w Wielkiej Kotlinie natrafiła także na inną przeszkodę: otóż w Kalifornii odkryto złoto i przez Salt Lake City zaczęła się przelewać wielka rzeka poszukiwaczy wędrujących na zachód. Ale gorączka złota miała i dobre strony. Mormoni jako monopoliści mogli dyktować niebotyczne wręcz ceny za wszelkie towary niezbędne poszukiwaczom w podróży. Dzięki temu zdobyli kapitał, którego koniecznie potrzebowali.

Po przejęciu Utah przez Stany Zjednoczone Brigham, pragmatyk z krwi i kości, zadeklarował posłuszeństwo amerykańskiej republice, po czym natychmiast złożył w Waszyngtonie petycję o utworzenie nowego stanu. W ten sposób mormoni mogli zachować częściową przynajmniej suwerenność. Jednak po wydarzeniach w Nauvoo waszyngtońscy decydenci nieufnie podchodzili do pomysłu powierzenia Brighamowi autonomii. Utah zyskało więc status terytorium zależnego, dzięki czemu rząd federalny – przynajmniej w teorii – mógł trzymać mormonów na względnie krótkiej smyczy. Postanowienie to weszło w życie 9 września 1850 roku, a Brigham został powołany na stanowisko gubernatora[47].

Nowy gubernator poczuł się wreszcie na tyle pewnie, by 4 lutego 1851 roku pierwszy raz ogłosić publicznie, ile ma żon. „Poślubiłem wiele kobiet – chwalił się w przemówieniu na forum parlamentu terytorialnego – i nie wstydzę się tego ujawnić"[48]. Rok później uznał, że przyszedł czas wyjawić „osobliwą doktrynę" jeszcze liczniejszej publiczności. 29 sierpnia 1852 roku na zebraniu wiernych w Salt Lake City opowiedział o objawieniu Josepha Smitha dotyczącym „małżeństw celestialnych" i wieszczył, że pewnego dnia będzie ono „wyznawane w oświeconych krainach jako jedna z najsłuszniejszych doktryn kiedykolwiek przekazanych ludzkości".

Mleko się rozlało, a sprawa mocno zaszkodziła wizerunkowi Kościoła LDS. Nowina zszokowała i oburzyła świeżo nawróconych mormonów z Francji i Anglii. Strumień konwertytów, napływający z Europy do Utah, nagle wysechł. Jeden z misjonarzy notował, że w ciągu sześciu miesięcy od wystąpienia Brighama brytyjski Kościół opuściło 1776 wiernych.

W Utah natomiast większość mormonów patrzyła na instytucję wielożeństwa przychylnym okiem. Co prawda poligamię praktykowała zaledwie garstka wyznawców, lecz w latach pięćdziesiątych XIX

wieku trudno było znaleźć mieszkańca Deseret, który nie uważałby jej za słuszny wzorzec dla wszystkich cnotliwych ludzi. W roku 1855 nikt nie krył się już z poligamią. Zachęcano do niej, opornych zaś straszono karą Bożą. Sam Brigham groził: „Kto z was uparcie odmawia brania wielu żon, potępiony będzie".

Kampania na rzecz poligamii stanowiła skutek narastania fanatyzmu religijnego w okresie znanym dziś jako mormońska reformacja. Szczytowy moment przypadł na lata 1856–1857. Will Bagley w swojej prowokacyjnej, lecz nadzwyczaj rzetelnej książce *Blood of Prophets* zauważa:

> Najbardziej niepokojącym zapewne aspektem reformacji była obsesja mormońskich przywódców na punkcie krwi. […] Joseph Smith nauczał, że są grzechy, których „nie zmaże Chrystusowa pokuta ani Jego krew". Jedyną nadzieją dla tych, którzy owych grzechów się dopuszczają, jest „odpłacenie własną krwią". […] Ze wszystkich wierzeń, które dały początek kulturze przemocy w Utah, to jedno okazało się mieć najbardziej ponure skutki.

Reformację zainicjował Jedidiah Grant, pijany Bogiem doradca Brighama cieszący się wielką popularnością i obdarzony przez mormonów pieszczotliwym przydomkiem „Jeddy, młot Brighama". Grant tłumaczył wybrańcom Bożym, że mają prawo „zabić grzesznika, by go ocalić, jeśli dopuszcza się czynów, za które tylko krwią da się odpokutować". We wrześniu 1856 roku nauczał w jednym z kazań, że i wśród mormonów są tacy grzesznicy, „trzeba tedy przelać ich krew, albowiem nie wystarczy woda – zbyt poważnych dopuścili się przewin".

Z równą żarliwością Grant głosił obowiązek wielożeństwa, aż wreszcie jego kampania odniosła pożądany skutek. Mormońscy mężczyźni w nadzwyczajnym tempie zaczęli brać kolejne śluby. Apostoł Wilford Woodruff stwierdził w roku 1856: „Wszyscy próbują zdobyć żony; próżno dziś szukać w Utah czternastoletniej dziewczynki, która nie jest jeszcze mężatką lub która rychło się mężatką nie stanie".

Mormoni bez wahania uwierzyli prorokowi, jakoby Bóg nakazał im praktykować wielożeństwo. Brigham jednak nie przewidział reakcji reszty kraju. Gdy o świętym przykazaniu dowiedziano się poza granicami Utah, wybuchła niemalże histeria. Zaczęto miotać na mormonów gromy. Amerykanie uważali poligamię za zjawisko odrażające moralnie, nawet jeśli w skrytości ducha byli nią zafascynowani. Typowe nastawienie wobec mormońskiej doktryny ilustrują słowa kongresmena Johna Alexandra McLernanda z Illinois, przemawiającego w Izbie Reprezentantów: „Co do poligamii uważam ją za zło i nikczemność. Osłabia ona konstytucję fizyczną tych, którzy ją praktykują: karleją tacy i sił im ubywa. Zarazem psuje poligamia obyczaje społeczne i demoralizuje ofiary. […] Jest szkarłatną nierządnicą, skazą dla cywilizacji chrześcijańskiej, przeto trza ją za wszelką cenę usunąć"[49].

Brigham odpierał niekiedy ową krytykę, argumentując, że poligamia stanowi paradoksalnie antidotum na niemoralność, gdyż mężczyzna mający wiele żon nie czuje pokusy cudzołóstwa i nie odwiedza prostytutek. Czasem z kolei twierdził, że poligamia nie ma nic wspólnego z zaspokojeniem seksualnym. „Bóg nie wprowadził porządku patriarchalnego, aby ulżyć cielesnym pragnieniom mężczyzn – powiadał. – Uczynił to, by w Imię Swoje pomnożyć szczególny lud, królewskich Kapłanów". Wreszcie, jak utrzymywał prorok, małżeńskie obyczaje mormonów mieściły się w ramach swobód religijnych, gwarantowanych przez pierwszą poprawkę do amerykańskiej konstytucji. Państwo nie miało prawa żądać od mieszkańców Deseret zarzucenia jednej z ich najświętszych doktryn. „Nikomu nie wolno zakazywać nam wielożeństwa", mówił.

Brigham lekce sobie ważył fakt, że poligamia stanowiła w Stanach przestępstwo, prawo Boże (ustanawiane przez Kościół mormoński) przedkładał bowiem nad prawa człowiecze – a zwłaszcza nad

te, których nie ustanowił Kościół mormoński. Stąd właśnie w Deseret wprowadzono osobliwą teokrację. Utah nie było stanem, lecz terytorium, władzę sądowniczą sprawowały więc sądy federalne. Parlament Terytorialny Utah, zdominowany przez mormonów, poradził sobie z tą zniewagą, znacząco poszerzając uprawnienia sądów lokalnych, kontrolowanych przez Brighama. (W Utah z reguły urząd sędziego łączono z urzędem biskupa w Kościele LDS. Ponadto w skład ławy przysięgłych wchodzili zazwyczaj wyłącznie cnotliwi mormoni, kierujący się w swych decyzjach poleceniami kościelnych przywódców).

Federalni nadzorcy oddelegowani do Utah nie posiadali się ze zdumienia. Niektórzy słali przełożonym w Waszyngtonie raporty, uskarżając się na Brighama i ustanowioną przezeń teokratyczną dyktaturę, inni godzili się na łapówki (wielu przyjechało do Utah głównie w nadziei zarobienia łatwych pieniędzy). W końcu tak bardzo uprzykrzono urzędnikom życie, że wszyscy z wyjątkiem dwóch uciekli w obawie przed niezapowiedzianą wizytą Portera Rockwella. (Skądinąd zdarzały się przypadki zabójstw, aczkolwiek nie są znane dokładne liczby).

Niemormoni coraz częściej nazywali Brighama niebezpiecznym tyranem i władcą absolutnym. Pewien pastor, który odwiedził Utah, stwierdził: „Na całej Ziemi nie znajdzie się innego ludu tak ściśle kontrolowanego przez jednego tylko człowieka”.

Brigham nic sobie z tego nie robił. Już w 1851 roku oznajmił butnie: „Każdy prezydent Stanów Zjednoczonych, który odważy się podnieść rękę przeciw naszemu ludowi, niech będzie pewny, że umrze przedwczesną śmiercią i pójdzie prosto do piekła!”. Pięć lat później nie spuszczał z tonu. Zamierzał uczynić z Utah „suwerenny stan lub niezależne państwo. Niech tylko spróbują nas stąd przegnać, i tak im się nie uda”.

Podobna retoryka i coraz liczniejsze przykłady agresji ze strony mormonów budziły trwogę. Im usilniej Waszyngton próbował pohamować zapędy Brighama, tym bezczelniejsza zdawała się jego niesubordynacja. W marcu 1857 roku, krótko po inauguracji prezydenta Jamesa Buchanana, parlament terytorium Utah wysłał do stolicy buńczuczną deklarację, że mormoni będą ignorować wszelkie przepisy federalne, które uznają za niesprawiedliwe, i że wydalą urzędników federalnych, jeśli nie spełnią oni rygorystycznych standardów moralnych Kościoła LDS.

Zabrakło tu jednak wyczucia chwili. Nowy prezydent uważał sytuację na terytorium Utah za problem irytujący, ale mało istotny w porównaniu z innymi, zatem prosty do rozwiązania. Poza tym zajęcie się mormonami miało odwrócić uwagę Amerykanów od spraw trudniejszych i poważniejszych, jak chociażby narastający konflikt na tle niewolnictwa.

Buchanan był „dwulicowcem” – politykiem z Północy sympatyzującym z Południem. Opowiadał się za tym, by stany, w których istniało niewolnictwo, „zostawić w spokoju i pozwolić im zajmować się własnymi sprawami”. Ochoczo poparł Ustawę o zbiegłych niewolnikach z roku 1857, nakładającą na obywateli obowiązek pomocy w łapaniu uciekinierów, również na Północy, gdzie niewolnictwo było zakazane. Rozgniewało to wyborców opowiadających się za abolicjonizmem. Buchanan potrzebował więc kozła ofiarnego – a Brigham Young świetnie się do tej roli nadawał. Awersja do mormonów panowała po obu stronach linii Masona–Dixona, toteż prezydent uznał, że przykręcenie śruby mieszkańcom Utah (gdzie opowiadano się za niewolnictwem)[50] spodoba się abolicjonistom z Północy, a wyborcy z Południa nie będą szczególnie protestować. Poszedł więc za radą Roberta Tylera (prawnika, syna byłego prezydenta Johna Tylera i wpływowego polityka Partii Demokratycznej), który przekonywał go: „Hałas wokół sprawy murzyńskiej przycichnie, jeśli wzniecimy krucjatę przeciwko mormonom”.

Dziewiętnastowieczni politycy (podobnie zresztą jak ich dzisiejsi odpowiednicy) ochoczo rozpętywali przyjemne małe wojenki, by odwrócić uwagę opinii publicznej od poważnych problemów. Cytowany już historyk Will Bagley stwierdzał: „W porównaniu z innymi wyzwaniami stojącymi przed nową administracją kwestia mormońska dawała najwięcej potencjalnych korzyści politycznych. Jakże nęcąca była perspektywa akcji zbrojnej, która mogłaby zjednoczyć podzielony naród w powszechnej krucjacie przeciwko mormońskiemu złu".

Wyliczywszy akty zdrady, których dopuścili się mormoni, w maju 1857 roku Buchanan wysłał do Utah ekipę urzędników federalnych (między innymi nowego gubernatora), by przywrócili rządy prawa. Eskortowało ich dwa i pół tysiąca ciężko uzbrojonych żołnierzy. Rząd Stanów Zjednoczonych, praktycznie rzecz biorąc, wypowiedział mormonom wojnę.

Niejeden historyk porównał wojnę w Utah (jak ją później nazwano) do operetki. Leonard Arrington i Davis Bitton w książce *The Mormon Experience. A History of the Latter-day Saints* pisali: „Amerykański prezydent wysłał największe w historii siły pokojowe, by nadzorowały objęcie stanowisk przez sześciu urzędników na mało istotnym terytorium". Słowem – wiele hałasu o nic, rozejm zawarto zresztą, nim między mormonami i armią doszło do najmniejszej choćby potyczki.

Wydarzenia te przyszły jednak za późno dla członków pewnej karawany wozów, zmierzającej do Kalifornii przez malowniczą dolinę w odległym, południowo-zachodnim krańcu Utah, na obrzeżach Wielkiej Kotliny. Ta sielska okolica, zwana Mountain Meadows, kojarzy się dziś nierozłącznie z jednym z najbardziej przerażających epizodów w dziejach amerykańskiego Zachodu. Ilustruje on, jak fanatyczna i brutalna była kultura pierwszych mormonów, do której wzdychał sto lat później Dan Lafferty i inni mormońscy fundamentaliści.

18

Albowiem nie wystarczy woda

Mormoni byli odmieńcami, bo się za nich uważali. Nierzadko też dopuszczali się odrażających czynów. Długo i świadomie kreowali swój wizerunek. Dlatego skłócili się z resztą Amerykanów, choć pod wieloma względami byli do nich podobni. Tak oto narodził się stereotyp mormonów spiskujących przeciwko republice Stanów Zjednoczonych.

R. Laurence Moore, *Religious Outsiders and the Making of Americans*

Gdy karawana wozów, która przeszła do historii jako wyprawa Fanchera[51], dotarła na wyżyny południowego Utah, pięćset kilometrów od Salt Lake City, liczyła około stu trzydziestu wędrowców, pochodzących głównie z Arkansas, oraz tysiąc sztuk bydła i dwieście koni. Teraz zaczęli do niej dołączać mormońscy apostaci, pragnący wyrwać się na zachód po nieprzyjemnym rozstaniu z Kościołem.

Trasa rozciągniętej na wiele mil karawany wiodła południowym szlakiem do Kalifornii (Old Spanish Trail). Wieczorem 6 września 1857 roku podróżni dotarli do Mountain Meadows[52] i zatrzymali się na noc nieopodal źródła artezyjskiego. Obóz rozbili pośrodku płytkiej doliny położonej tysiąc siedemset metrów nad poziomem morza, porośniętej bujną turzycą i kępkami zmarniałej trawy. Niedaleko, za krawędzią Wielkiej Kotliny, szlak schodził ostro w dół, aż do skwarnych piasków pustyni Mojave. Mając przed sobą setki kilometrów w upale przez wyjątkowo nieprzyjazne tereny, wędrowcy z radością skorzystali z możliwości postoju i wypasu bydła w tej zielonej krainie.

Po zachodzie słońca temperatura spadła do pięciu stopni Celsjusza. O świcie wędrowcy zwlekli się z posłań i skupili wokół ognisk, by ogrzać dłonie i przygotować pierwszy posiłek. Rześkie poranne powietrze pachniało bylicą i dymem z płonących gałęzi jałowca. Nikt nie spodziewał się ataku, na noc nie ustawiono nawet wozów w okrąg, choć wędrowcy zawsze robili to na szlaku.

„Na śniadanie tego dnia były przepiórki i mięso królika. Właśnie siadaliśmy do jedzenia, kiedy w pobliskim wąwozie rozległ się strzał – wspominała osiemdziesiąt dwa lata później Sarah Frances Baker Mitchell. – Jedno z dzieci upadło, trafione kulą”. Tak oto zaczął się zaciekły atak z zaskoczenia. Tamtego dnia zginęło siedmiu wędrowców z Arkansas. Mitchell miała zaledwie trzy lata, lecz ów koszmarny poranek – i jeszcze straszniejsze następne pięć dni – na zawsze zapisały się w jej pamięci.

Wędrowcy szybko ustawili wozy w okrąg, okopali się, na ile mogli, i odpowiedzieli ogniem, odpierając pierwszą falę atakujących. Sądzili, że w zasadzkę wzięli ich Indianie, w oddali mignęły im bowiem ciemne twarze, pokryte barwami wojennymi. Faktycznie, tamtego poranka większość napastników stanowili Indianie z plemienia Pajutów, lecz towarzyszyli im mormoni z pobliskich osad, którzy po prostu się wymalowali dla zmylenia wroga. Całym atakiem zaś dowodził dobrze znany członek Kościoła LDS, czterdziestoczteroletni John D. Lee, zaprawiony w bojach weteran walk w Missouri i Illinois, oddany Kościołowi i jego przywódcom jak mało kto.

Lee był porywczym, lizusowatym służbistą. Prócz Brighama Younga niewielu darzyło go sympatią. Jeszcze w Nauvoo, krótko po przejęciu władzy, Brigham symbolicznie usynowił Johna D. Lee wedle rzadko praktykowanego mormońskiego rytuału. W roku 1856 powierzył mu stanowisko „Pasterza Indian”, czyli osobistego ambasadora proroka w plemieniu Pajutów.

By zrozumieć, dlaczego Lee, amerykański obywatel, przypuścił atak na amerykańską karawanę krytych

wozów, trzeba się cofnąć do wydarzeń z początków tamtego lata, kiedy w Deseret wybuchła wściekłość i panika na wieść o nadciągającej ze wschodu wrażej armii.

Porter Rockwell wiózł pocztę z Utah do Missouri, gdy dowiedział się o planowanej akcji zbrojnej przeciwko mormonom. Niedaleko dzisiejszej wschodniej granicy Wyoming spotkał swojego przyjaciela Abrahama Smoota, burmistrza Great Salt Lake City (tak wówczas nazywano stolicę Utah), pędzącego na zachód stado bydła. Smoot powiedział Rockwellowi, że zerwano umowę między świętymi a pocztą Stanów Zjednoczonych, a w forcie Leavenworth w Kansas oddziały federalne szykują się do napaści na Królestwo Boże.

Rockwell natychmiast zawrócił i w towarzystwie Smoota oraz dwóch innych mormonów udał się do Utah, by zaalarmować Brighama. Zatrzymawszy się w forcie Laramie, Anioł Zagłady zaprzągł dwa najszybsze konie z tamtejszej mormońskiej zagrody do nieresorowanego amerykana i popędził je aż do Great Salt Lake City. Pokonał blisko osiemset kilometrów w zaledwie pięć dób. 24 lipca, w Dzień Pioniera, gdy właśnie miały się zacząć uroczyste obchody dziesiątej rocznicy przybycia do nowego Syjonu, Rockwell i Smoot zjawili się u Brighama i poinformowali o nadciągającej armii. Po zachodzie słońca prorok przekazał straszliwą wieść swym wiernym. W tłumie zawrzało. Jedni nie wiedzieli, co robić, inni byli przerażeni, jeszcze inni poczuli wściekłość.

Brigham nie stracił zimnej krwi. Zaapelował do wiernych, by się nie lękali. „Zbyt długo już uciskają nas i krzywdzą – grzmiał. – Musimy powiedzieć: »Dość«! […] W imię Boga Izraela, nie będziemy ich błagać o łaskę". Wspólnota świętych w Dniach Ostatnich „tworzy odtąd nowy, niepodległy stan, który nie będzie już zwany Utah, lecz Deseret".

W rzeczywistości Brigham od miesiąca wiedział o nadciągających wojskach, czekał jednak z ujawnieniem tej informacji aż do Dnia Pioniera, by osiągnąć szczególnie dramatyczny efekt. Przez większą część roku gromadził broń i ćwiczył milicję, Legion Nauvoo. Po Dniu Pioniera przyspieszył po prostu przygotowania do obrony Deseret. Głównym zaś elementem przyjętej strategii, jak pisze Will Bagley, było „przeciągnięcie Indian z Utah na stronę świętych".

Inspiracji dostarczyła Brighamowi Księga Mormona. Według niej północnoamerykańscy Indianie wywodzili się od Lamanitów, a więc od tego samego starożytnego plemienia Izraela, do którego należeli Nefi, Mormon i Moroni. Lamanici odrzucili nauki Jezusa i wymordowali Nefitów. Odtąd za karę ich skóra stała się ciemna, Pismo powiadało jednak, że Lamanici-Indianie pewnego dnia znów będą „czystym i miłym Bogu ludem", w Dniach Ostatnich bowiem, przed powtórnym przyjściem Chrystusa, zostaną nawróceni na mormonizm i pomogą wybić inne narody, sprowadzając w ten sposób „wielki i straszny dzień Pański".

Według Brighama doniosły sojusz mormonów i Lamanitów, zapowiadający Drugie Przyjście, miał teraz stać się faktem. Prorok doszedł do tej konkluzji krótko po przybyciu do doliny Wielkiego Jeziora Słonego – nowa ojczyzna znajdowała się wszak w krainie Indian. Plan Boży ewidentnie rozwijał się zgodnie z przepowiednią z Księgi Mormona.

Brigham nie wziął jednak pod uwagę, że Lamanici nie zechcą odegrać roli przydzielonej im przez Stwórcę. Indianie zgadzali się od czasu do czasu na bycie najemnikami i atakowanie „Merykatów" w imieniu „mormonich"[53] w zamian za udział w podziale łupów, lecz nigdy nie traktowali członków Kościoła LDS jak sojuszników. „Wielkiego Kapitana" i jego wyznawców uważali w najlepszym razie za mniejsze zło.

Choć Indianie nie wykazywali entuzjazmu dla wypełnienia swego dziejowego posłannictwa, Brigham robił, co w jego mocy, aby zawrzeć z nimi sojusz przeciwko Amerykanom. W końcu skusił ich szczodrymi obietnicami. Niejeden Amerykanin podróżujący w owych latach przez Utah opowiadał, że jego krowy i konie przegnane przez indiańskich jeźdźców „odnajdywały się" w mormońskich zagrodach. Nawet jeśli Indianie nie spełnili millenijnych oczekiwań i nie stali się „wojennym toporem Pana", i tak służyli za całkiem użyteczną broń.

W oczekiwaniu na przybycie amerykańskiej armii Brigham i inni przywódcy Kościoła nie ustawali w wysiłkach, by rozpalić gniew ludu przeciwko innowiercom. Mormonom raz po raz przypominano o męczennikach z Missouri i Illinois, o tym, jak umiłowany prorok Joseph Smith zginął z rąk bezbożnego motłochu w hrabstwie Hancock. Rozpuszczano plotki, jakoby zbliżające się wojska dostały rozkaz powieszenia Brighama i wymordowania wszystkich świętych. W swej odważnej, przełomowej książce *The Mountain Meadows Massacre*[54] Juanita Brooks pisała, że gdy burzliwe lato roku 1857 przechodziło pomału w jesień,

> w przemówieniach coraz wyraźniej pobrzmiewał ton fanatycznego patriotyzmu, zagrzewający serca do wojny. W każdym zakątku Utah powtarzano stare historie o zaznanych niegdyś cierpieniach, przeżywano na nowo wygnanie z Nauvoo oraz dawne napaści i podpalenia. Tym razem nikt nie zamierzał opuścić swej ziemi bez walki.

W sierpniu nienawiść do innowierców osiągnęła punkt wrzenia. W każdym z setek miast i wsi na terytorium Utah organizowano i ćwiczono milicje. Mężczyźni z odległych mormońskich przyczółków w Nevadzie i Kalifornii zostali wezwani do Deseret na pomoc. Zakazano dostarczania przejeżdżającym przez Utah wędrowcom jakichkolwiek zapasów. Do wszystkich mormońskich biskupów rozesłano list z napomnieniem, by „wrogom naszym nie sprzedawać" jednego choćby ziarna. A gdyby niegodziwa armia innowierców zdołała wkroczyć do Deseret? Brigham zapytał swych wyznawców, czy w takiej sytuacji gotowi są podpalić własne miasta i plony, „cały kraj obrócić w perzynę". W odpowiedzi usłyszał jednoznaczne, jednogłośne „Tak".

3 sierpnia 1857 roku Fancher i jego towarzysze wyprawy przekroczyli góry Wasatch i przez Kanion Emigrantów wjechali do doliny Wielkiego Jeziora Słonego. Z uwagi na wrogość mormonów spędzili w stolicy tylko dwa dni, po czym ruszyli na południowy zachód do Kalifornii.

Los emigrantów z Arkansas był, jak się zdaje, przypieczętowany, odkąd znaleźli się w Utah. Jeden z nich twierdził później, że podczas krótkiego pobytu w Great Salt Lake City mormoni „szukali najmniejszego choćby pretekstu, by wymordować całą karawanę". Powodem, dla którego padło akurat na Fanchera i jego ludzi, było zapewne ich bogactwo. Mówiono, że to „najzasobniejsza i najlepiej wyposażona karawana wozów, jaka kiedykolwiek wyruszyła na zachód". Wędrowcy pędzili tysiąc krów, między innymi słynne teksańskie longhorny. Prowadzili też pięknego konia czystej krwi angielskiej, wartego trzy tysiące dolarów (co równa się dzisiejszym kilkuset tysiącom). Plotkowano, że wiozą skrzynię złotych monet. Niedawne plagi świerszczy i długotrwała susza sprawiły, że wielu mieszkańcom Utah głód zaczął zaglądać w oczy. Skarby Fanchera i jego ludzi musiały podziałać na wyobraźnię mormonów, którzy wszak uważali okradanie bezbożników za czyn chwalebny i słuszny.

Największe jednak zagrożenie dla karawany z Arkansas stanowiła mormońska martyrologia, podsycana tamtego lata we wszystkich kościołach i na wiecach. Mormoni bardziej niż kiedykolwiek pragnęli pomścić śmierć Josepha i Hyruma Smithów. Było też inne, nieco świeższe przestępstwo domagające się sprawiedliwości, a mianowicie bestialskie zabójstwo mormońskiego apostoła Parleya

Pratta w tej samej części stanu Arkansas, z której zaledwie dwa tygodnie później wyruszyli Fancher i jego ludzie[55]. Pratta zgubił dobry uczynek. Zaczęło się, gdy udzielił pomocy kobiecie znajdującej się w tarapatach, mormońskiej konwertytce Eleanor McLean z Nowego Orleanu. Miała ona za męża odpychającego pijaka i innowiercę, Hectora McLeana, który regularnie próbował pięściami wyperswadować jej nawrócenie. Pratt okazywał jej sporo serca. Eleanor zakochała się w nim, odeszła od męża, zostawiła trójkę dzieci u swojej matki, po czym dołączyła jako kucharka do wyprawy mormońskich emigrantów, zmierzającej w stronę Salt Lake City. Choć formalnie pozostała małżonką Hectora, w Deseret, przed obliczem Brighama, zawarła z Prattem (który skądinąd miał już jedenaście żon) małżeństwo celestialne.

W 1856 roku, kiedy Pratt prowadził działalność misjonarską w St. Louis, Eleanor wróciła do Nowego Orleanu po dzieci. Tego już było dla Hectora za wiele. McLean wpadł w morderczy szał i postanowił zemścić się na Pratcie. Wyruszył na poszukiwania apostoła i wkrótce wpadł mu w ręce napisany przezeń list do Eleanor, w którym Pratt prosił o spotkanie nad rzeką Arkansas. Dzięki tej informacji McLean wespół z wrogo nastawionym do mormonów szeryfem federalnym doprowadził do aresztowania Pratta i osadzenia go w więzieniu w Van Buren.

Sędzia, któremu przydzielono sprawę, szybko się zorientował, że stawiane apostołowi zarzuty są zupełnie bezpodstawne. Wiedział też, że jeśli Pratt pozostanie w areszcie, zostanie najpewniej zlinczowany. Podjął więc odważną decyzję i postanowił po cichu wypuścić mormona. McLean jednak dowiedział się o wszystkim od więziennych informatorów. Wraz z dwoma wspólnikami wytropił więc Pratta dwadzieścia kilometrów za Van Buren. Dźgnęli go nożem, na dobitkę postrzelili i zostawili na skraju drogi, by powoli wykrwawił się na śmierć. McLean nazywał później zamordowanie Parleya Pratta „najlepszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłem”. W całym zachodnim Arkansas uchodził za bohatera. Nigdy nie został aresztowany, nigdy nie postawiono mu zarzutów.

Po śmierci męża Eleanor Pratt, przybita i pozbawiona środków do życia, zdołała wrócić do Utah. Na szlaku, niedaleko fortu Laramie, spotkała Portera Rockwella, który pędził właśnie do Great Salt Lake City z informacją dla Brighama o zbliżającej się zbrojnej napaści. Anioł Zagłady zabrał kobietę ze sobą. Gdy więc wyprawa Fanchera przekraczała granice terytorium Utah, przywódcy Kościoła od dawna znali już prawdę o zamordowaniu Parleya. Winą za tragedię obarczyli stan Arkansas. Niewinnie przelana krew apostoła domagała się pomsty.

3 sierpnia 1857 roku karawana wozów Fanchera znalazła się w dolinie Wielkiego Jeziora Słonego, tymczasem George A. Smith (brat stryjeczny Josepha), generał Legionu Nauvoo, udał się powozem z Great Salt Lake City na południe Utah, gdzie sześć lat wcześniej zarządzał osadnictwem[56] i gdzie mieszkali obecnie mormoni słynący z wyjątkowej żarliwości. Po drodze w każdym mieście wygłaszał przemówienie, podsycając fanatyzm słuchaczy i przygotowując ich na świętą wojnę.

W ostatnich dniach sierpnia Smith kończył już objazd najdalszych zakątków południa. Wtedy właśnie odwiedził Jacoba Hamblina, „Skórzaną Pończochę”, mormońskiego misjonarza u „Lamanitów”, mieszkającego wówczas w swej letniej chacie zaledwie kilka kilometrów na północ od Mountain Meadows. Hamblin, słynący z umiejętności dogadywania się z Indianami, był szczególnie poważany przez okolicznych Pajutów, którzy traktowali go niemal jak ojca. Podczas spotkania Smith przekazał mu list od Brighama Younga, datowany 4 sierpnia. Prorok polecił przekazać Indianom, że „muszą nam pomóc, gdyż w przeciwnym razie i nas, i ich wymordują Amerykanie”.

Generał Smith wziął ponadto udział w naradzie plemiennej z kilkoma setkami Pajutów nad rzeką Santa Clara, trzydzieści kilka kilometrów od Mountain Meadows. Rolę tłumacza przyjął John D. Lee. Smith miał powiedzieć Indianom, że „Amerykanie mają wielką armię niedaleko za górami i zamierzają wybić wszystkich mormonów i wszystkich Indian na terytorium Utah, Indianie muszą więc się przygotować do wojny przeciwko Amerykanom i […] wykonywać polecenia mormonów – taka jest wola Wielkiego Ducha".

Po naradzie Smith powiedział Johnowi D. Lee: „Wyglądają na krewkich zabijaków. Przejeżdżający tędy emigranci mogą mieć nie lada kłopoty". Następnie zapytał, czy w wypadku zjawienia się w okolicy jakiejś karawany wozów mormoni z Południa przyłączą się do Indian i „spuszczą obcym cięgi".

Lee starannie rozważył odpowiedź, po czym rzekł: „Jestem najzupełniej przekonany, że każda karawana wozów zostanie zaatakowana, a wędrowcy zgładzeni". Odpowiedź ta, jak relacjonował Lee, „wielce uradowała generała Smitha. Stwierdził: »Cieszy mnie, że nasz lud staje na wysokości zadania. Bóg im pobłogosławi, gdyż nie ustają w budowaniu Jego Królestwa w Dniach Ostatnich«".

„Od tamtej pory jestem przekonany, że generał George A. Smith odwiedził południe Utah, aby zagrzać ludzi do wymordowania emigrantów z wyprawy kapitana Fanchera. Wierzę też, że misję tę zlecił mu bezpośrednio Brigham Young", pisał dwadzieścia lat później Lee.

Smith w towarzystwie Hamblina i kilkunastu pajuckich wodzów wrócił czym prędzej do Great Salt Lake City na spotkanie z Brighamem. Wieczorem 25 sierpnia spotkali na swej drodze zmierzającą na wschód wyprawę Fanchera. Trzech jej uczestników rozmawiało nawet z mormonami. Pytali, gdzie mogą odpocząć i urządzić popas przed wyruszeniem na pustynię Mojave. Hamblin zasugerował niedużą, cudną dolinę opodal swej chaty, zwaną Mountain Meadows.

Pamiętne spotkanie Brighama Younga i pajuckich wodzów odbyło się w Great Salt Lake City wieczorem 1 września. Trwało mniej więcej godzinę. Funkcję tłumacza pełnił Dimick B. Huntington, zięć Brighama. Według jego notatek prorok otwartym tekstem „przyznał" Indianom całe bydło pędzone przez wędrowców południowym szlakiem do Kalifornii. Przekaz był jasny: Indianie mają zaatakować karawanę wozów. Nazajutrz o pierwszym brzasku Pajuci opuścili mormońskie miasto i popędzili na południe.

Podróżni z Arkansas przejechali przez Cedar City, sześćdziesiąt kilometrów na północ od Mountain Meadows, 4 września. Chcieli kupić od mormonów żywność, ale spotkali się z odmową. W Cedar City (jak wspominał później jeden z mieszkańców) panowała „gorączkowa atmosfera", a o karawanie Fanchera krążyły szalone plotki. Mówiono na przykład, że niektórzy podróżni uczestniczyli osiemnaście lat wcześniej w masakrze mormonów w Haun's Mill w Missouri, że słyszano, jak jeden z nich przechwalał się, iż to on zabił Josepha Smitha. Dla mormonów z południowego Utah członkowie wyprawy byli ucieleśnieniem zła.

Kiedy karawana wozów znalazła się w Cedar City, John D. Lee otrzymał od podpułkownika Isaaca Haighta (burmistrza Cedar City, biskupa zboru LDS i dowódcy lokalnego oddziału Legionu Nauvoo) rozkaz zaatakowania podróżnych. Miał zebrać indiańskich wodzów, którzy trzy dni wcześniej spotkali się z Brighamem, i urządzić zasadzkę na ludzi Fanchera w górach na południe od miasta. Według późniejszej relacji Johna D. Lee burmistrz Haight podkreślał, że dyrektywa „odzwierciedla wolę wszystkich tutejszych władz".

5 września Lee wyruszył do Mountain Meadows na czele dużej grupy mormonów i Pajutów. Dzień

później dotarli na wzgórza okalające dolinę. Ukryli się wśród skarłowaciałych drzew i obserwowali, jak wędrowcy rozbijają w dole obóz. Mormoni pomalowali twarze, by upodobnić się do Indian. Przed świtem, gdy karawana jeszcze spała, napastnicy podkradli się bliżej, chowając się za krzakami i kamieniami.

Nad wystrzępionym grzbietem trzytysięczników Pine Valley Mountains wstawało słońce. Niczego niepodejrzewający wędrowcy zaczęli przygotowywać śniadanie. Lee i pozostali strzelcy wycelowali muszkiety, by pierwsza salwa zebrała jak największe żniwo, po czym otworzyli ogień.

Lee nie spodziewał się oporu. Według jego wspomnień mormoni liczyli na szybkie zwycięstwo, obiecali nawet Pajutom, że „wybiją wrogów bez najmniejszego ryzyka". Ludziom Fanchera nie brakowało jednak odwagi, dyscypliny i broni, a ponadto mieli w swych szeregach wielu strzelców wyborowych. Po pierwszej salwie przeciwników szybko ustawili wozy w okrąg, okopali się i zaczęli kontratak, czym zupełnie zaskoczyli mormonów.

Tamtego ranka zginął co najmniej jeden pajucki wojownik, a dwóch wodzów odniosło śmiertelne rany. Indianie i święci nie wiedzieli, co począć. Przegrupowali się w bezpiecznej odległości, po czym Indianie wyrazili stanowcze niezadowolenie i zagrozili, że wrócą do domu, pozostawiając mormonów na pastwę losu. „Zdaliśmy sobie sprawę, że Indianie nam nie pomogą – musiał przyznać Lee po pierwszym niepowodzeniu – i że znajdujemy się w niezgorszych tarapatach". W końcu nakazał swym ludziom oblegać wędrowców, sam zaś udał się po posiłki i radę przełożonych.

W poniedziałkowe popołudnie Isaac Haight z Cedar City dowiedział się już, że w Mountain Meadows sprawy nie potoczyły się pomyślnie. Co prawda aż się palił, by posłać w góry mormońską milicję i wykończyć ludzi Fanchera, lecz lokalni prominenci przekonali go, że należy się wstrzymać, póki nie przyjdzie jednoznaczne polecenie od Brighama Younga. Wieczorem Haight wysłał więc do Salt Lake City posłańca na szybkim koniu z listem do proroka i prośbą o dalsze instrukcje.

Tymczasem mormoni i pajuccy najemnicy ostrzeliwali członków karawany i zagradzali im dostęp do wody z pobliskiego źródła. Głodni i spragnieni emigranci wiedzieli już, że wśród napastników znajdują się mormoni. Sytuacja malowała się w coraz ciemniejszych barwach. Kończyła im się amunicja. Nie mogli pogrzebać zabitych ani udzielić należytej pomocy ciężko rannym. Napastnicy przepędzili większość koni i bydła, w wymianie ognia zginęło ponadto około sześćdziesięciu zwierząt, których truchła rozkładały się teraz w letnim słońcu, cuchnąc przeraźliwie.

W nocy 10 września dwaj śmiałkowie postanowili przedrzeć się przez linię atakujących i sprowadzić pomoc. Jeden z nich, dziewiętnastoletni artysta z Tennessee nazwiskiem William Aden (który do wyprawy Fanchera przyłączył się zaledwie kilka tygodni wcześniej w Provo), zdołał wydostać się z doliny i niedaleko Cedar City natknął się na grupę mężczyzn obozujących nad strumieniem. Wziął ich za takich samych jak on emigrantów, którzy zmierzali do Kalifornii. Wpadł do obozu i zaczął błagać o pomoc. Okazało się jednak, że to nie emigranci, lecz mormoni – na słowa młodzieńca natychmiast chwycili za broń i zastrzelili go na miejscu.

Wczesnym rankiem tego samego dnia posłaniec Isaaca Haighta dotarł do Salt Lake City, po czym niemal natychmiast wyruszył z powrotem, wioząc odpowiedź Brighama. Prorok nakazywał mormonom, by „nie zadzierali" z wyprawą Fanchera. „Indianie zrobią, co zechcą, waszym zadaniem jest utrzymać dobre z nimi relacje", pisał. Wielu badaczy analizowało później ów list, lecz historycy do dziś spierają się, co naprawdę Brigham miał na myśli[57]. Zresztą odpowiedź dotarła do Haighta dopiero 13 września,

dwa dni po zakończeniu masakry w Mountain Meadows.

Czekając na list Brighama, Isaac Haight postanowił poszukać rady u swojego bezpośredniego przełożonego, pułkownika Williama Dame'a. Trzydziestoośmioletni Dame dowodził wszystkimi milicjami południowego Utah. Haight pojechał na północ, do osady Parowan. Obudził Dame'a w środku nocy i zaczął wypytywać, co dalej z oblężoną karawaną Fanchera. Pułkownik Dame żachnął się tylko zniecierpliwiony. Instrukcje z Salt Lake City nie są potrzebne, powiedział, i dodał: „Dostałem rozkaz, żeby *za wszelką cenę* rozprawić się z migrantami".

John D. Lee dowiedział się o tym od majora Johna Higbee z Legionu Nauvoo, młodego, niezwykle żarliwego oficera, gdy ten przybył do Mountain Meadows na czele pięćdziesięcioosobowego oddziału specjalnie dobranych członków milicji z Cedar City.

10 września w Mountain Meadows pozostało zaledwie około czterdziestu Pajutów. Reszta odjechała – mieli już dosyć nieudanej akcji. Mormonom zaczęło brakować ludzi. Nie mogli wziąć karawany siłą, postanowili zatem uciec się do podstępu. Rankiem 11 września Lee wysłał Williama Batemana, konwertytę z Anglii, z białą chorągiewką, w charakterze posła. Bateman przekazał oblężonym, że mormoni przybyli im z pomocą i gotowi są eskortować karawanę poza terytorium wrogich Pajutów, pod warunkiem że emigranci oddadzą broń. Gdy poseł wrócił z wiadomością, że oblężeni chcą negocjować, Lee udał się do nich osobiście, aby „ustalić warunki kapitulacji".

„Gdy minąłem ich prowizoryczne fortyfikacje – opowiadał – otoczyli mnie mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy w najwyższym stopniu skonfundowani. Jedni sądzili, że nadeszło wybawienie. Inni, choć niepewni i cali we łzach, patrzyli na mnie podejrzliwie i ze strachem". Lee potrzebował dwóch godzin, by zdobyć zaufanie emigrantów. Ci, nie widząc alternatywy, przystali wreszcie na jego warunki i oddali broń.

Najmniejsze dzieci i część rannych umieszczono na wozach. Za wozami szły pieszo kobiety i starsze dzieci. Następnie w odległości kilkuset metrów szli rzędem mężczyźni. Każdemu towarzyszył mormoński strażnik. Mniej więcej po półgodzinie major Higbee, który zamykał kolumnę, wystrzelił w powietrze. „Stać! – zakrzyknął, zgodnie z ustalonym wcześniej planem. – Czyńcie swoją powinność!"

Na ten haniebny rozkaz każdy z członków eskorty strzelił najbliżej stojącemu emigrantowi w głowę. Większość ofiar poniosła śmierć na miejscu. Jeden z napastników zapamiętał jednak mormońskiego apostatę, który ranny leżał na ziemi i błagał Higbeego o życie. Major odpowiedział ponoć: „Ty obszedłbyś się ze mną tak samo, jeśli nie gorzej", po czym poderżnął mu gardło. Inny ze sprawców opowiadał, że w tym samym czasie kobiety i dzieci zostały zaatakowane „przez Indian, a także świętych w przebraniu". Pajuci i mormoni z wymalowanymi twarzami rzucili się na emigrantów z bronią i nożami. Jedni pałkami tłukli ofiary na śmierć, inni podrzynali gardła. Czteroletnia Nancy Huff zapamiętała: „Mojej mamie ktoś strzelił w czoło. Krzyki kobiet i dzieci świdrowały nam uszy, wszyscy tulili się do siebie. Jakieś dziewczyny błagały, by darowano nam życie, napastnicy nie mieli jednak litości i okładali je kolbami karabinów, aż wokół zaczęły rozbryzgiwać się fragmenty mózgu". Nephi Johnson, mormon, który wiele lat później wyznał swoje winy historyczce Juanicie Brooks, powiedział: „Zabijaliśmy przede wszystkim my, nie Indianie".

Rzeź trwała ledwie kilka minut, śmierć poniosło około stu dwudziestu wędrowców: pół setki mężczyzn, dwadzieścia kobiet, pół setki dzieci, młodych dziewcząt i chłopców. Oszczędzono tylko siedemnaścioro maluchów poniżej piątego roku życia – mormoni uznali, że tak małe dzieci nie

zapamiętają zbrodni i nie będą mogły w przyszłości dać świadectwa[58].

Gdy na skrwawionej ziemi wszystko ucichło, mormoni zagrabili najcenniejsze przedmioty znalezione przy trupach. Mniej wartościowe rzeczy zostawili Indianom. Martwym zabrano wszystko, nawet ubrania. Historyk Will Bagley twierdzi, że „Pajuci dostali tylko około dwudziestu koni i mułów, lepsze zwierzęta natomiast zagarnęli mormońscy oficerowie, co świadczy, jak bardzo mieli swych sojuszników w pogardzie. […] W południowym Utah panowała skrajna bieda, toteż łupy zamordowanych stały się źródłem zazdrości i konfliktów. Wielu twierdziło, że Lee przywłaszczył sobie należną im część zdobyczy".

Pułkownik William Dame i podpułkownik Isaac Haight przybyli do Mountain Meadows następnego ranka. John D. Lee obchodził akurat czterdzieste piąte urodziny. Zaprowadził swoich przełożonych na miejsce zbrodni, gdzie ujrzeli porozrzucane nagie, sztywniejące już ciała zmasakrowanych bestialsko mężczyzn, kobiet i dzieci. „Pułkownik Dame milczał przez pewien czas – opowiadał Lee. – Omiatał wzrokiem pole, pobladł na twarzy, strach zaglądał mu w oczy. Pomyślałem, że chyba dopiero teraz uświadomił sobie skutki wydania rozkazu zabicia wszystkich wędrowców".

Zupełnie wstrząśnięty oficer próbował uchylać się od odpowiedzialności za rzeź. Haight wpadł w gniew. „Tyś wydał rozkaz! – prychnął. – Wykonaliśmy twoje polecenie, za późno już na zmianę zdania!" Wtedy pułkownikowi puściły nerwy. Wyglądało, jakby zaraz się miał rozpłakać. Powtarzał: „Gdybym wiedział, że jest ich tak wielu, nigdy bym się nie wdał w tę diabelną sprawę!".

Haight stracił cierpliwość. Zwrócił się do Johna D. Lee i rzekł: „Pułkownik Dame nakazał mi przeprowadzenie tej akcji, a teraz miga się od odpowiedzialności. Przysięgam na Boga, że mu na to nie pozwolę! […] Prędzej go wyślę do piekła. Musi wziąć na siebie ciężar tego, co uczynił, jak prawdziwy mężczyzna. Wydał rozkaz i dobrze o tym wie. Niech no tylko spróbuje się go wypierać!".

Dame odszedł w milczeniu, by nadzorować pochówek zabitych. Według Johna D. Lee mormoni „zrzucili trupy na sterty w płytkich wąwozach, po czym zasypali je cienką warstwą ziemi. Ciała nie zostały zbyt dobrze przykryte, bo ziemia była twarda, a bracia nie zabrali ze sobą narzędzi do kopania". W ciągu kilku następnych dni wilki i inni padlinożercy rozkopały prowizoryczne groby i powyciągały trupy, rozrzucając ich szczątki po całej dolinie.

Jak opowiadał Lee, gdy pospieszny pochówek dobiegł końca, mormoni stanęli w kole, żeby „dzięki złożyć Panu za oddanie wrogów w nasze ręce". Potem dowódcy przykazali wszystkim „zawsze odtąd powtarzać, że Indianie działali sami, a mormoni nie mieli z tym nic wspólnego. […] Przegłosowano jednogłośnie, że kto wyjawi tajemnicę, zdradzi nazwiska sprawców lub uczyni cokolwiek, by pomóc w odkryciu prawdy, zostanie zgładzony".

19

Kozły ofiarne

Po śmierci Josepha Brigham Young ocalił Kościół, przeprowadził świętych do Salt Lake City, zapewnił im bezpieczeństwo i dostatek. Stan Utah jest pomnikiem Brighama. […] Był wybitną postacią, umiał sprostać każdemu wyzwaniu. Rozumiał więcej niż inni, miał silniejszą wolę, dostrzegał rozwiązania, których inni nie dostrzegali. Rewelacyjnie radził sobie ze sprawowaniem władzy, z przeciwnikami i nienawistnymi wrogami. Był wielkim przywódcą, dyplomatą i administratorem. A w razie potrzeby również wielkim kłamcą i oszustem.

Bernard DeVoto, *The Year of Decision*

– Hej, popatrzcie! – woła sześcioletni Randy Bateman, mały wulkan energii z przylizanymi blond włosami. Klęka, podnosi kamień i macha. – Chodźcie zobaczyć! – woła znowu, jeszcze bardziej ponaglająco. – Kryjówka skorpiona! – Po chwili zręcznie wyciąga groźnego pajęczaka, umieszcza go w pustej butelce po gatorade i wzbijając tumany kurzu, biegnie do ojca, by pokazać mu znalezisko.

Ojcem Randy'ego jest DeLoy Bateman, nauczyciel z Colorado City, wykluczony z Fundamentalistycznego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Colorado City leży niecałe osiemdziesiąt kilometrów w linii prostej od Mountain Meadows. William Bateman, mormon, który udał się jako fałszywy poseł do członków wyprawy Fanchera, namówił ich do oddania broni i zwabił w śmiertelną pułapkę Johna D. Lee, był stryjecznym prapradziadkiem DeLoya[59].

DeLoy nie jest co prawda dumny ze swego przodka, ale uważa, że masakry nie wolno zamiatać pod dywan. Przeciwnie, pragnie wiedzieć wszystko na jej temat.

– Zawsze byłem bardzo ciekawski – mówi. – Nawet kiedy jeszcze należałem do Kościoła. Wuj Rulon dyktował ludziom w Colorado City, co mają myśleć, jakie książki czytać, i sam decydował, do jakiej wiedzy wolno im mieć dostęp. A to się przecież kłóci z nauczaniem Josepha Smitha. W Naukach i Przymierzach, chyba w rozdziale dziewięćdziesiątym, jest taki nakaz: „Studiuj i ucz się – i zapoznaj się ze wszystkimi dobrymi księgami, i z językami, mowami i ludźmi". W każdym razie ja zawsze lubiłem się uczyć, ile tylko się da, na każdy możliwy temat. Dzieciom próbuję wpoić to samo.

Klan Batemanów wybrał się na weekendową wycieczkę, której głównym punktem jest wspinaczka na Mount Dellenbaugh, wygasły wulkan na południowym krańcu Arizona Strip. Tam szukać będą napisu, który ponoć wyryto sto trzydzieści dwa lata temu na krawędzi krateru. Napis może pomóc w wyjaśnieniu zagadkowych zdarzeń, które nastąpiły bezpośrednio po masakrze w Mountain Meadows i w które mogli być zaangażowani przodkowie DeLoya. We wspinaczce uczestniczy on sam, jedna z jego dwóch żon, Randy, i dziewięcioro z jego siedemnaściorga dzieci, a kolejna czwórka, wnuk i zięć zostali w obozie na dole.

Randy oraz jego brat Kevin mają sześć lat, natomiast Maria i Sarah, córki DeLoya, liczą sobie lat osiem, tempo marszu nie jest więc szczególnie żwawe. Dzieci dobrze radzą sobie na szlaku, choć teren jest niełatwy. Co chwila przystają, by zaglądać pod kamienie w poszukiwaniu węży lub innych interesujących stworzeń, albo też podziwiają rośliny i okazy geologiczne.

– Staram się je do tego zachęcać – mówi DeLoy. – Najlepiej, żeby każda wycieczka była zarazem lekcją biologii.

Problem w tym, że gdy wreszcie udaje im się dotrzeć na szczyt, słońce szykuje się już, by za parę minut

zniknąć za rozległym horyzontem, co utrudni poszukiwanie napisu.

Mount Dellenbaugh przypomina kolczastą koronę z bazaltu, chłostaną gorącym, suchym wiatrem. Z krateru sterczą setki ogromnych głazów. Znalezienie kamienia z napisem, nim ciemność pochłonie górę, wydaje się raczej mało prawdopodobne, ale widok, który się stąd rozciąga, wynagradza trudy wspinaczki. Na południe ziemię pokrywa falujące morze sosen i jałowców, sięgające aż do bladego piaskowca tworzącego klify Wielkiego Kanionu, który przypomina ogromną, cienistą szramę.

Już mają zniknąć ostatnie promienie światła słonecznego, kiedy rozlega się okrzyk: „Tutaj!”. I oto na burym, płaskim bazaltowym kamieniu wielkości pralki uczestnicy wycieczki odcyfrowują wytarte, lecz wciąż widoczne, wyryte koślawymi, wysokimi na cztery centymetry literami inicjał i nazwisko, których szukał DeLoy: „W. Dunn”. Poniżej widnieje data 1869 i strzałka wskazująca na północ, w stronę Utah.

– A niech mnie! – woła DeLoy. Opuszkami palców przeciąga po literach. Potem staje prosto i patrzy przed siebie, chłonąc ten sam widok, który oglądać musiał autor napisu, blisko półtora stulecia wcześniej.

William Dunn był niespełna trzydziestoletnim góralem o wiecznie potarganych włosach, zawsze ubranym w jelenie skóry, rzucające się w oczy za sprawą swego „ciemnego, oleistego połysku”. Opis ten pozostawił major John Wesley Powell, słynny odkrywca, pierwszy człowiek, który przebył Wielki Kanion Kolorado. Dunn, członek tamtej niezwykłej wyprawy, zniknął pod sam jej koniec wraz z dwoma towarzyszami, parą braci: Oramelem Gassem i Senecą Howlandami. Podpis wyryty na szczycie Mount Dellenbaugh to ostatni pozostawiony przez nich ślad.

DeLoy robi kilka zdjęć i póki starcza słońca, ogląda pejzaż rozciągający się dokoła. Później, pod bezkresnym niebem nakrapianym gwiazdami, cała grupa wraca do obozu na dole. Następnego ranka, w drodze powrotnej do Colorado City, Batemanowie natrafiają nieoczekiwanie na pomnik poświęcony zaginionym członkom wyprawy Powella. DeLoy zjeżdża na pobocze, by dokładniej mu się przyjrzeć. Na prostej drewnianej tablicy widnieje napis:

WILLIAM DUNN, O. G. HOWLAND I SENECA HOWLAND, ODŁĄCZYWSZY SIĘ OD WYPRAWY MAJORA POWELLA, WSPIĘLI SIĘ PO ŚCIANACH SEPARATION CANYON I PRZEKROCZYLI MOUNT DELLENBAUGH. ZOSTALI ZABICI PRZEZ INDIAN NA WSCHÓD OD TEGO ZNAKU POD KONIEC SIERPNIA 1869 ROKU.

Powszechnie uważa się, że taki właśnie los spotkał Dunna i braci Howlandów. DeLoy jednak od pewnego czasu ma inne zdanie: trzej odkrywcy nie zostali zamordowani przez rdzennych Amerykanów, lecz przez mormonów z południowego Utah w wyniku fatalnego nieporozumienia związanego z masakrą w Mountain Meadows.

Rok po masakrze, w 1858, Brigham Young niechętnie zgodził się wpuścić wojsko federalne na teren Utah i ustąpił z urzędu gubernatora. Widmo wojny między mormonami a Stanami Zjednoczonymi nie majaczyło już na horyzoncie. Wciąż jednak uparcie powracały zagrażające kruchemu rozejmowi plotki, jakoby mormoni dopuścili się niewyobrażalnej zbrodni na członkach wyprawy Fanchera.

W końcu amerykański sekretarz wojny powierzył majorowi Jamesowi H. Carletonowi misję przeprowadzenia śledztwa w tej sprawie. Carleton przybył do Mountain Meadows wiosną 1859 roku i ze zgrozą odkrył, że blisko dwa lata po masakrze w dolinie, prażonej ostrym słońcem, poniewierają się ludzkie czaszki, kości, kępki kobiecych włosów i skrawki dziecięcych ubrań. Chirurg wojskowy notował,

że wiele czaszek „nosiło znamiona przemocy. Były podziurawione kulami, strzaskane wskutek silnych ciosów lub rozpłatane ostrym narzędziem". Ponadto ślady po kulach świadczyły, że „strzały oddawano z bardzo małej odległości".

„Popełniono tu ogromną i straszliwą zbrodnię", stwierdził Carleton. Jego żołnierze pozbierali kości, złożyli je we wspólnym grobie, po czym z mozołem przytargali kamienie z okolicznych wzgórz i zbudowali z nich prosty, lecz potężny pomnik, wysoki na cztery metry i o obwodzie ponad szesnastu metrów. Na szczycie umieścili drewniany krzyż z napisem: „Do mnie należy pomsta. Ja wymierzę zapłatę – mówi Pan".

W maju 1861 roku, podczas objazdu południowych terytoriów, Brigham Young natknął się na ów pomnik. Według wspomnień apostoła Wilforda Woodruffa, który towarzyszył mu w podróży, Brigham, przeczytawszy napis, zadumał się na chwilę, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł: „Nie, pomsta jes*t moj*a. I jużem część jej wypełnił". Jeden z członków jego świty zarzucił zaraz linę na drewniany krzyż i go ściągnął. Pozostali zaczęli rozrzucać kamienie. Tak oto przestał istnieć pomnik upamiętniający ofiary masakry w Mountain Meadows.

Prorok miał powody do radości, sprawy biegły bowiem pomyślnie dla Królestwa Bożego. Gubernator powołany przez prezydenta Buchanana, biurokrata z Atlanty nazwiskiem Alfred Cummings, okazał się naiwniakiem i święci bez trudu owinęli go sobie wokół palca. Sam Buchanan z kolei stracił urząd, a w Białym Domu zastąpił go Abraham Lincoln. Swoje stanowisko wobec mormonów Lincoln wyraził w rozmowie z ich wysłannikiem, krótko po objęciu prezydentury: „Powiedz Brighamowi, że jeśli da mi spokój, to i ja nie będę go nękać". Young poczuł, że teraz może sobie pozwolić na więcej.

Mormońska stolica stała się celem podróży dzielnych i sławnych poszukiwaczy przygód. Odwiedzili ją między innymi francuski botanik Jules Rémy, Horace Greeley oraz angielski podróżnik sir Richard Francis Burton. Greeley, najbardziej znany dziennikarz tamtych czasów, przeprowadził w 1859 roku wywiad z Brighamem i opublikował zasadniczo przychylny reportaż o nim w „New York Timesie". Prorok, pisał, „nie próbował niczego ukrywać", nie sprawia wrażenia „świętoszka ani fanatyka". Sir Richard Burton gościł u mormonów w roku 1860. Poznał Brighama, Portera Rockwella i wielu innych prominentów. Relacjonował później:

> Prorok to niezwykły człowiek […], wolny od próżności i wad charakteryzujących z reguły ludzi wielkiego formatu. […] Bezpretensjonalny w obyciu, tak bardzo przywykł do władzy, że nie musi chełpić się swą pozycją. Sprawuje rządy, godząc najprzeróżniejsze przeciwstawne żywioły dzięki niezłomnej woli, tajemniczości i nieprzeciętnej przenikliwości.

Podobne pochlebstwa z pewnością mile łechtały dumę Brighama, lecz prawdziwym powodem do zadowolenia okazał się wybuch wojny secesyjnej w 1861 roku. Z terytorium Utah pospiesznie wycofano oddziały federalne, by rzucić je do walki przeciwko Konfederacji. Brigham nie posiadał się z radości i czuł, że znów może poczynać sobie śmielej ze Stanami Zjednoczonymi.

Wieści ze wschodu zdawały się potwierdzać, że innowiercy dążą do samozniszczenia, zgodnie z przepowiednią poczynioną przez Josepha Smitha jeszcze w 1832 roku[60]. Mormoni radowali się co prawda z każdego zwycięstwa Konfederacji, niemniej Brigham nie wątpił, że ostatecznie Północ i Południe wymordują się nawzajem, a on i jego wyznawcy zatriumfują i wolni od wszelkich wrogów będą czekać, aż przyjdzie „wielki i straszny dzień Pański".

Stany Zjednoczone, uważał Brigham, przestaną się odtąd interesować świętymi. Niedługo jednak trwał w tym przekonaniu. Zaledwie szesnaście miesięcy po wycofaniu się wojsk prezydent Abraham Lincoln

wysłał do Utah pułk z Kalifornii. Historyk Michael D. Quinn pisze, że do końca wojny secesyjnej „w dom Brighama Younga wycelowane były działa i gdyby mormoni wsparli Konfederację, siedziba proroka zostałaby od razu zniszczona".

Na dobitkę w 1862 roku Lincoln podpisał ustawę Morrilla przeciwko bigamii, mającą na celu „karanie i uniemożliwianie wielożeństwa w terytoriach Stanów Zjednoczonych oraz unieważnienie niektórych przepisów ustanowionych przez parlament terytorialny Utah". Prezydent okazał się więc dla mormonów równie twardym przeciwnikiem jak jego poprzednicy: Fillmore, Pierce i Buchanan. Brigham pomstował na „przeklętych drani pokroju Abe'a Lincolna i jego popleczników" (co zresztą zakrawa na ironię, gdyż drugiego mormońskiego proroka łączyło z szesnastym amerykańskim prezydentem wiele podobieństw. Gdyby życie Brighama potoczyło się inaczej – a konkretnie, gdyby aspiracje swe zaspokajał w sferze świeckiej – mógłby zasiąść w Białym Domu, miał bowiem wiele cech, które uczyniłyby zeń wybitnego amerykańskiego przywódcę, postać formatu Lyndona Johnsona, Franklina Roosevelta czy nawet samego Lincolna).

W kwietniu 1865 roku marzenia Brighama o wzajemnym zniszczeniu Unii i Konfederacji ostatecznie się rozwiały. Generał Robert E. Lee skapitulował w Appomattox. Unia wyszła z wojny silniejsza niż przedtem i Brigham musiał pogodzić się z tym, że Stany Zjednoczone będą coraz uparciej wtrącać się w sprawy Deseret.

Potwierdziła to w roku 1869 ceremonia wbicia złotego gwoździa z okazji ukończenia transkontynentalnej linii kolejowej na Promontory Summit, nieopodal północnego brzegu Wielkiego Jeziora Słonego. Bezbożnicy mogli odtąd wygodnie podróżować do Utah pociągiem. Ponadto w tym samym roku wyprawa dowodzona przez majora Johna Wesleya Powella, bohatera wojny secesyjnej, który stracił prawą rękę w bitwie pod Shiloh, pierwszy raz przepłynęła rzeki Green i Kolorado, co również symbolizowało zmierzch okresu izolacji Utah.

Powell i jego ludzie wyruszyli w skromnych drewnianych łodziach z Green River Station w Wyoming 24 maja 1869 roku. Zamierzali dotrzeć do miejsca, gdzie Green łączy się z rzeką Kolorado[61], a następnie popłynąć dalej przez zdradzieckie, nieprzebyte dotąd przełomy Wielkiego Kanionu, co oznaczało przeprawienie się przez wielką połać niezbadanych dziczy na terytorium kontynentalnych Stanów Zjednoczonych i wypełnienie ostatniej białej plamy na mapie kraju. Znojnej wyprawie towarzyszyły liczne niebezpieczeństwa. Między Powellem a częścią uczestników dochodziło też do kłótni i sporów.

27 sierpnia niedaleko niższego krańca Wielkiego Kanionu podróżnicy wylądowali na brzegu przed ostatnim czekającym ich odcinkiem groźnych bystrzy. Tam właśnie Seneca Howland, jego brat Oramel oraz William Dunn oświadczyli, że mają dosyć, i postanowili odłączyć się od wyprawy. Powell na próżno próbował nakłonić ich do zmiany zdania. Zamierzali wspiąć się na liczącą przeszło tysiąc dwieście metrów pionową północną ścianę kanionu, a następnie przebyć sto osiemdziesiąt kilometrów po pustyni i dotrzeć do mormońskich osad w południowym Utah.

Podróżnicy pokonali już prawie dwa tysiące kilometrów po zdradliwych rzekach. Całą wymęczoną dziewiątkę nękał głód, zapasów mieli zaś już tylko na pięć dni (składały się one zresztą głównie z kawy i suszonych jabłek). Największym jednak problemem był konflikt między majorem Powellem oraz jego niezrównoważonym psychicznie bratem, kapitanem Walterem Powellem, a piątką traperów obdarzonych wolnym duchem: Dunnem, braćmi Howlandami, Jackiem Sumnerem i Billiem Hawkinsem[62]. Wallace

Stegner wyjaśniał w znakomitej biografii Powella *Beyond the Hundredth Meridian*, że major i jego brat „uosabiali klasę oficerską i wojskowy dryl", pozostali zaś „pionierską niezależność i niechęć do wszelkiej dyscypliny".

28 sierpnia Dunn i bracia Howlandowie odprowadzili wzrokiem byłych towarzyszy, którzy wpłynęli na Separation Rapids, po czym zaczęli mozolną wspinaczkę. Mieli dwa karabiny i strzelbę, kopie dokumentów z wyprawy oraz srebrny zegarek, który Jack Sumner kazał przekazać swej siostrze na wypadek jego śmierci. Dunn i Howlandowie weszli po stromej ścianie wąwozu (nazwanego później Separation Canyon) i dotarli do północnej krawędzi. Stamtąd ruszyli przez równinę Shivwits. Po pięćdziesięciu kilometrach morderczego marszu wspięli się na łagodne zbocza wygasłego wulkanu, noszącego dziś nazwę Mount Dellenbaugh, by określić swoje położenie i zaplanować dalszą trasę przez okrutne krainy. Na szczycie Dellenbaugh, wznoszącym się dwa tysiące sto metrów nad poziomem morza, Dunn wyrył swe nazwisko na jednym z głazów. Potem cała trójka ruszyła na północ, w stronę mormońskich osad, i wszelki ślad po nich zaginął[63].

Gdy Powell i reszta przeprawili się bezpiecznie przez Separation Rapids, wylądowali na brzegu. Jack Sumner wspominał: „Czekaliśmy ze dwie godziny, oddaliśmy parę strzałów w powietrze i nawoływaliśmy Howlandów oraz Dunna, by wrócili. Gdy ujrzeliśmy ich po raz ostatni, stali na szczycie i machali na znak, że mamy płynąć dalej – co w końcu uczyniliśmy".

Dwa dni po rozłące grupa Powella dotarła do miejsca, gdzie rzeka Kolorado łączy się z Virgin River. Spotkali tam grupę mormonów łowiących ryby w sieci. Mormoni ugościli zmordowanych odkrywców, po czym przeprowadzili Powella przez góry Beaver Dam do St. George, największego miasta południowego Utah. 8 września, kiedy major podróżował powozem z St. George do Great Salt Lake City, w mormońskiej gazecie „Deseret News" ukazał się artykuł zatytułowany: „Trzech członków wyprawy Powella zabitych przez Indian".

> Za pośrednictwem linii telegraficznej Deseret otrzymaliśmy z St. George wiadomość o zamordowaniu trzech mężczyzn uczestniczących w wyprawie Powella. Z relacji Indian wynika, że pięć dni temu mężczyźni, wycieńczeni i wygłodniali, spotkali pokojowo nastawioną grupę członków plemienia Shebett [Shivwit]. Indianie nakarmili ich i zawiedli na szlak prowadzący do Washington w południowym Utah. Podczas wędrówki mężczyźni ujrzeli *squaw* zbierającą nasiona i zastrzelili ją. Trzej Shebettowie wytropili ich i zamordowali. Wysłano już przyjaznych Indian, by zabezpieczyli należące do podróżników papiery. W depeszy nie podano nazwisk zabitych.

Powell nie chciał uwierzyć, że Dunn i Howlandowie zginęli z rąk Shivwitów, niewielkiej liczebnie grupy osiadłych Indian, należącej do południowego plemienia Pajutów, ani że zamordowali (a wcześniej ponoć zgwałcili) bezbronną kobietę. „Znałem O. G. Howlanda osobiście od lat – tłumaczył Powell – i bez wahania uznaję tę historię za oszczerstwo. Podobny czyn zwyczajnie nie mieścił się w naturze tego łagodnego, pobożnego człowieka".

Pierwszym źródłem informacji o śmierci Dunna i braci Howlandów z rąk Indian była owa tajemnicza depesza, na którą powoływano się w artykule z „Deseret News". Wysłano ją anonimowo do mormońskiego apostoła Erastusa Snowa z St. George wieczorem 7 września 1869 roku, krótko po tym, jak Powell wyjechał z miasta, prosząc wcześniej, by mieszkańcy wypatrywali trzech byłych członków jego wyprawy. Treść depeszy brzmiała następująco:

> Trzej ludzie Powella zabici przez trzech Szywitów pięć dni temu, jeden dzień drogi indiańskim tempem od Washington. Indianie mówią, że znaleźli wycieńczonych wędrowców. Szywici ich nakarmili i skierowali na szlak do Washington. Następnie spotkali *squaw* zbierającą nasiona i zastrzelili ją, po czym Szywici dogonili i zabili całą trójkę. Dwaj z Szywitów, którzy dokonali zabójstwa, znajdują się obecnie w obozie indiańskim w Washington, mają dwie sztuki broni należące do ofiar. Indianin George wyruszył już, żeby zabezpieczyć wszelkie

papiery i rzeczy zmarłych.

Jack Sumner, jeden z członków wyprawy, przyjaciel Williama Dunna i Howlandów, w większości spraw nie zgadzał się z majorem Powellem, lecz podzielał jego sceptycyzm co do oficjalnej wersji. Wieczorem po odłączeniu się całej trójki grupa, która pozostała na rzece, zastanawiała się przy ognisku, „jaki los czeka byłych towarzyszy". Zdaniem Sumnera „wszyscy się spodziewali, że dopadną ich czerwonoskórzy. Ja jednak miałem odmienne zdanie. Dwa lata uczyłem Dunna, jak nie dać się wziąć z zaskoczenia, a wszak czerwone diabły nie zaatakowałyby uzbrojonych wędrowców, chyba że w zasadzce. Trapiły mnie natomiast inne obawy. Rzekłem, że większe zagrożenie stanowią dwulicowi biali szatani, których pełno w tej części kraju. Pogłoski, jakie potem do mnie dotarły, przekonały mnie, żem się wówczas nie mylił".

Sumner miał, rzecz jasna, na myśli świętych z południowego Utah. Wiedział o masakrze w Mountain Meadows i o tym, że zamieszani byli w nią mormoni. Sceptycznie odniósł się więc do oficjalnej historii na temat śmierci przyjaciół. Wiele lat później, podczas pijackiej kłótni z jakimiś białymi, ujrzał „srebrny zegarek, który dałem Howlandowi". Jeden z białych „opowiedział, jak zegarek trafił w jego ręce. […] Nie da się na tej podstawie niczego przesądzić, lecz nabrałem pewności, że to nie Indianie odpowiadali za morderstwo, o ile w ogóle mieli z nim cokolwiek wspólnego".

Rok po przebyciu Wielkiego Kanionu major Powell – sławny teraz na cały świat – znów udał się nad Kolorado. Przed wyjazdem, gdy odzyskiwał siły w swym rodzinnym Chicago, skontaktowali się z nim krewni braci Howlandów i poprosili, by spróbował się dowiedzieć, co naprawdę spotkało Oramela i Senecę. Powell zwrócił się o pomoc do Brighama Younga, ten zaś dał mu za przewodnika swojego najważniejszego przedstawiciela w południowym Utah, wysłannika do Indian, Jacoba Hamblina.

5 września Powell przebywał w Parowan w towarzystwie Brighama i około czterdziestu lokalnych mormonów – w tym gronie Williama Dame'a i Johna D. Lee, sprawców masakry w Mountain Meadows. Cała grupa odprowadziła podróżnika do Pipe Spring, skąd Powell i Hamblin wyruszyli na południe przez Arizona Strip, eskortowani przez Pajutów z grupy Kaibab. Wieczorem 19 września, niedaleko na północny wschód od Mount Dellenbaugh, Hamblin zorganizował spotkanie Powella z Shivwitami, którzy rzekomo zamordowali jego przyjaciół.

Wedle relacji Powella wódz Shivwitów (za pośrednictwem Hamblina, odpowiedzialnego za tłumaczenie) chętnie wyznał, że „zabiliśmy trzech białych". Inny członek plemienia (czego Powell nie usłyszał osobiście) opowiadał, jak Dunn i bracia Howland natknęli się na wioskę Indian.

> Byli wycieńczeni, na skraju śmierci głodowej. Dostali jedzenie. Wskazano im drogę do osady białych. Krótko po tym, jak odeszli, zjawił się Indianin ze wschodniego brzegu rzeki Kolorado i opowiedział o grupie górników, którzy po pijanemu zabili *squaw*. Bez wątpienia, twierdził, byli to ci sami trzej mężczyźni. […] Mieszkańcy wioski zapałali gniewem. Wyruszyli śladem białych, otoczyli ich i podziurawili strzałami.

Zbrodnia okazała się więc skutkiem nieporozumienia. Powell wybaczył Shivwitom i nie dążył do ich ukarania.

Nie wszyscy podzielali tę wersję wydarzeń. Kwestionował ją zwłaszcza przyjaciel Dunna Jack Sumner oraz stary przewodnik po rzece Kolorado Otis „Dock" Marston, który twierdził, że pewien dobrze poinformowany mormon wyznał mu, iż „to jego współwyznawcy zamordowali trzech wędrowców". Jednak większość historyków (między innymi sławny Wallace Stegner) odmawiała sceptykom racji – aż do roku 1980, kiedy były dziekan wydziału nauk przyrodniczych Uniwersytetu Południowego Utah,

mormon nazwiskiem Wesley P. Larsen, natknął się na list, który przeleżał dziewięćdziesiąt siedem lat w starej skrzyni w wiosce o nazwie Toquerville. List, datowany 17 lutego 1883 roku, sugerował, że Dunn i bracia Howland zginęli właśnie w Toquerville, w zborze LDS, z ręki mormona.

Adresatem był John Steele, cieszący się ogromnym poważaniem lekarz i szewc, który zarazem pełnił w Toquerville funkcję sędziego i biskupa, autorem zaś jego wieloletni przyjaciel William Leany. Leany, wzorowy członek Kościoła (i niegdysiejszy zaufany ochroniarz Brighama Younga), miał na sumieniu pewien niewybaczalny grzech: latem 1857 roku, pośród rozszalałej nienawiści, niedługo przed masakrą w Mountain Meadows, podzielił się żywnością z Williamem Adenem, uczestnikiem wyprawy Fanchera, dziewiętnastoletnim artystą z Tennessee, który zginął tydzień później, próbując sprowadzić pomoc. (Tak się złożyło, że ojciec Adena wiele lat wcześniej ocalił Leany'ego przed wrogim tłumem w miasteczku Paris w Tennessee, gdzie Leany przebywał jako misjonarz. Gdy więc młody artysta zatrzymał się z ludźmi Fanchera w Parowan, Leany rozpoznał go, zaprosił do swojego domu, podjął kolacją i dał jeszcze na drogę trochę cebuli z własnego ogrodu). Niewiele zabrakło, a ów zdradziecki czyn przypłaciłby życiem. William Dame, dowiedziawszy się o sprawie, posłał jednego ze swoich ludzi, by ukarał Leany'ego. Leany dostał w głowę sztachetą z własnego płotu i mało nie umarł na skutek pęknięcia czaszki.

Długi i pokrętny list znaleziony później przez profesora Larsena wyszedł spod ręki Leany'ego, gdy ten liczył sobie sześćdziesiąt osiem lat. Sędzia Steele zasugerował mu, że nim przeniesie się do lepszego świata, powinien odpokutować pewne grzechy, o które oskarża go brać z Toquerville. Leany odpowiedział gniewnie: „Bóg mi świadkiem, żem niewinnie przez nich pomawiany, oni zaś mają na sumieniu te występki i inne jeszcze, znacznie gorsze".

W liście zarzucał swym współwyznawcom „złodziejstwo, kurewstwo, morderstwa, samobójstwa i tym podobne obrzydliwości". Przypominał Steele'owi: „Sam sporo wiesz o tych krwawych uczynkach, o dniu, kiedy sztachetą z mego płotu próbowano roztrzaskać mi głowę, o zamordowaniu tych trzech w naszym zborze, o zabiciu mordercy, by powstrzymać dalszy rozlew krwi". Pięć akapitów dalej poczynił kolejną wzmiankę na temat „zgładzenia trzech w jednej z sal tutejszego zboru".

Wesley Larsen, zaintrygowany tymi sensacjami, wywnioskował na podstawie źródeł historycznych, że morderstwa, o których pisał Leany, popełnione zostały w roku 1869. Musiało więc chodzić o Williama Dunna oraz braci Howland. Dlaczego jednak dobrzy święci z Toquerville odebrali życie zbłąkanym wędrowcom?

Wioska Toquerville została założona w roku 1858, zaraz po masakrze w Mountain Meadows, a pierwszymi osadnikami byli sprawcy krwawej rzezi. Z upływem czasu grunt coraz bardziej palił się im pod nogami. W roku 1868 prezydentem Stanów Zjednoczonych został Ulysses S. Grant, a jego administracja nadała priorytetową rangę wykryciu i ukaraniu sprawców masakry. Już wcześniej zresztą za głowy Isaaca Haighta, Johna Higbeego oraz Johna D. Lee wyznaczono nagrodę w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Wielu obywateli Toquerville żyło w strachu przed aresztowaniem.

W roku 1869 w całym regionie panowała szczególnie silna paranoja. Odpowiadał za to Brigham Young, który wybrał się w podróż do południowego Utah i podsycał nienawiść przeciwko innowiercom. Ostrzegał, że wojsko Stanów Zjednoczonych szykuje się do nowej inwazji na Deseret, i nakazywał strażnikom pełnić wartę w strategicznych przyczółkach, rozsianych po całym południowym krańcu terytorium. Dunn i Howlandowie nie mogli trafić na gorszy moment.

Larsen domniemywa, że zapewne gdzieś na równinie Shivwits trzej wędrowcy spotkali „weteranów” z Mountain Meadows, którzy wzięli ich za agentów federalnych lub łowców nagród. Wędrowcy opowiedzieli niedorzeczną i dla mormońskich uszu nad wyraz podejrzaną historyjkę, jakoby właśnie przepłynęli Wielki Kanion (wyczyn niemożliwy do dokonania, o czym wiedział każdy w Utah). Mormoni pojmali więc Dunna i Howlandów, zabrali ich do Toquerville, a tam zorganizowali sąd kapturowy i przeprowadzili egzekucję.

Kilka dni po owym domniemanym linczu major Powell zjawił się w St. George i poprosił dobrych ludzi z południa, by rozejrzeli się za zaginionymi. Wtedy mormoni z Toquerville pojęli swój błąd. Co gorsza, w przeciwieństwie do większości urzędników rządu w Waszyngtonie Powell był przyjaźnie nastawiony do mormonów i zawsze dobrze się na ich temat wypowiadał. Spanikowani mieszkańcy Toquerville wysłali więc fałszywy telegram do apostoła Erastusa Snowa, wskazując tych samych podejrzanych co zawsze – Indian. Pięć miesięcy później zabili tego, który wykonał egzekucję – kata poświęcono, żeby „powstrzymać dalszy rozlew krwi”, jak opisał to Leany w swym liście.

Według hipotezy Larsena katem mógł być mormon nazwiskiem Eli N. Pace. „Według moich ustaleń Pace miał trzy żony, z których jedna była córką Johna D. Lee. Możliwe, że Pace zabił ludzi Powella, bo wziął ich za łowców nagród, tropiących jego teścia (nagroda za schwytanie lub zabicie Johna D. Lee wynosiła wówczas pięć tysięcy dolarów)”. Eli Pace umarł 29 stycznia 1870 roku „w nadzwyczaj tajemniczych okolicznościach”. Dochodzenie wykazało, że popełnił samobójstwo, rodzina jednak zdecydowanie odrzuciła te ustalenia i wymusiła drugie, staranniejsze śledztwo. Przeprowadził je Erastus Snow we własnej osobie, przy pomocy trzyosobowej ekipy, w skład której wchodził między innymi Isaac Haight. Raz jeszcze za przyczynę śmierci uznano samobójstwo, co nie zdziwiło nikogo prócz najbliższych krewnych Pace’a. W każdym razie sprawa została zamknięta przez lokalny zbór LDS i lokalnych funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości – co oznaczało jedno i to samo.

Większość historyków odrzuca tezę Larsena, jakoby Dunna i braci Howland zabili mormoni, a nie Shivwici. Ze świadectw Jacoba Hamblina i majora Johna Wesleya Powella jasno wszak wynika, że Shivwici dobrowolnie przyznali się do zamordowania wędrowców. Nie należy jednak przyjmować tego bez zastrzeżeń.

Wśród mormonów z południowego Utah Hamblin cieszył się reputacją człowieka nieprzejednanie prawego. Nosił przydomek „Uczciwy Jake”. Źródła historyczne jasno jednak pokazują, że Hamblin nie wahał się, gdy przychodziło mu „kłamać w Imię Boże” dla sprawy Królestwa Niebieskiego. Co więcej, potrafił rozminąć się z prawdą, jeśli w grę wchodziły pieniądze. John D. Lee obdarzył go innymi nieco przydomkami: „Jake o brudnych palcach” i „diabeł z piekła rodem”.

We wrześniu 1857 roku, tuż po masakrze w Mountain Meadows, Hamblin zorganizował napad rabunkowy na emigrantów z karawany wozów Williama Dukesa. Dukes zapłacił mormońskim przewodnikom 1815 dolarów w zamian za eskortę, ale jego ludzie zostali zaatakowani przez Pajutów, którzy co prawda darowali im życie, lecz ograbili ich z całego dobytku, w tym z przeszło trzystu sztuk bydła. Emigranci zapamiętali, że niejeden „Indianin” miał niebieską tęczówkę, kręcone włosy, a za uszami lub w kącikach oczu widać było fragmenty jasnej skóry – nic dziwnego, gdyż mormoni, na polecenie Jacoba Hamblina, pomalowali sobie twarze, by upodobnić się do Pajutów, powtarzając podstępną taktykę, zastosowaną nie tylko podczas masakry w Mountain Meadows, ale i przy wielu innych okazjach.

Pajuci w nagrodę za odegranie w napadzie drugoplanowej roli otrzymali trochę krów, większość stada jednak Hamblin zachował dla siebie. Zamierzał go „przypilnować” do czasu, gdy emigranci z wyprawy Dukesa będą mogli po nie wrócić. Dukes przejrzał jednak blef i wysłał odważnego posła, by ten od razu odzyskał bydło. Hamblin ukrył więc na trzy tygodnie niemal wszystkie krowy w górach, aż wreszcie sfrustrowany poseł musiał dać za wygraną i odjechał z pustymi rękami.

Choć Hamblina nie było w Mountain Meadows, gdy zaatakowano karawanę Fanchera, i nie uczestniczył w masakrze, w późniejszym czasie wielokrotnie kłamał na jej temat i zatajał prawdę, by chronić Kościół LDS. Jego świadectwo, jakoby Shivwici przyznali się w 1869 roku do zamordowania ludzi Powella, jest zatem mało wiarygodne. John Wesley Powell co prawda również był obecny przy rozmowie z Indianami i potwierdził te zeznania. Ale czy Powell rozumiał mowę Shivwitów, czy też powtórzył jedynie ich słowa w tłumaczeniu Hamblina?

W znakomitej biografii Powella *A River Running West* Donald Worster, wybitny uczony z Uniwersytetu w Kansas, utrzymuje, że Powell posługiwał się dialektami południowych plemion Pajutów na tyle dobrze, by móc ocenić kompetencje Hamblina w roli tłumacza. Żeby sfabrykować wyznanie Indian i nie wzbudzić podejrzeń u Powella, trzeba by „zawiązać potężny spisek, kierowany przez ludzi wysoko postawionych. […] Taka hipoteza nie wydaje się prawdopodobna”.

Wesley Larsen oczywiście nie zgadza się z Worsterem i innymi. Choć jest pobożnym mormonem, wierzy w „potężny spisek, kierowany przez ludzi wysoko postawionych”. Historia Utah zna wszak podobne przypadki. Ponadto zdaniem Larsena „Powell na pewno nie posługiwał się biegle językiem Pajutów. Dialekt Shivwitów był na tyle specyficzny, że oni sami miewali trudności w porozumiewaniu się z innymi okolicznymi plemionami. […] Powell usłyszał tylko to, co przetłumaczył mu Hamblin. Wszystko zostało z góry ukartowane”.

Również barwna relacja Powella ze spotkania z Shivwitami budzi pewne wątpliwości. Bestsellerowe wspomnienia Powella *The Exploration of Colorado River and Its Canyons* zawierają w powszechnej opinii znawców tematu wiele ubarwień. Powell dla lepszego efektu dramatycznego mieszał czasem anegdoty z trzech różnych podróży na terytorium Utah: z pierwszej wyprawy w roku 1869, wyprawy późniejszej o rok, kiedy to spotkał się z Shivwitami, oraz z ekspedycji na równinę Kolorado, zorganizowanej w latach 1871–1873, i na przykład wydarzenia z roku 1872 bez mrugnięcia okiem umiejscawia w roku 1870[64].

Przede wszystkim jednak powszechnie uznawana wersja wydarzeń kłóci się ze zdrowym rozsądkiem. I mormoni, i Amerykanie z reguły brali szybki odwet na Indianach, jeśli ci dopuścili się jakiegoś przestępstwa. Shivwitów tymczasem nikt nie chciał ukarać za rzekome zabójstwo Dunna i Howlandów. Nie próbowano odzyskać ekwipunku zamordowanych odkrywców – cennej broni, instrumentów naukowych ani dokumentacji – choć przecież anonimowa depesza z 7 września 1869 roku, pierwsze źródło zawierające informację o zbrodni, głosiła, że „dwaj z Szywitów, którzy dokonali zabójstwa, znajdują się obecnie w obozie indiańskim w Washington i mają dwie sztuki broni należące do ofiar”. Obóz w Washington znajdował się piętnaście kilometrów od St. George, lecz nikt z mormonów się tam nie udał, nie aresztowano sprawców ani nawet ich nie spytano, co się stało z ciałami ludzi Powella.

Co ciekawe, depesza nie zawierała nazwiska nadawcy ani miejsca nadania. Zdaniem Larsena równie dobrze mogła więc zostać nadana z Toquerville, gdzie skądinąd stacja telegraficzna mieściła się w siedzibie zboru – w przypuszczalnym miejscu zbrodni. „To dziwne – dodaje Larsen – że po otrzymaniu

depeszy przez apostoła Snowa nikt nie próbował wymierzyć Indianom sprawiedliwości. W całej historii Utah nie spotkałem się z podobnym przypadkiem”[65].

Nie chce się też wierzyć, że trzech Shivwitów zdołało zaskoczyć i zabić doświadczonych, dobrze uzbrojonych wędrowców. Shivwici nie dysponowali bronią palną. Uchodzili za grupę niegroźną, skrajnie biedną, „żywili się nasionami i owadami”. Dunn i Howlandowie mieli dwa karabiny i strzelbę. Zawsze czujnie wypatrywali zasadzki. William Dunn czterokrotnie został wcześniej raniony przez Komanczów, toteż wiedział, że należy strzec się ataku.

Nie ma jednoznacznych dowodów, że trzej wędrowcy zginęli z rąk mieszkańców Toquerville, ale też jeszcze bardziej brakuje przekonujących świadectw, jakoby – zgodnie z wersją Hamblina – zabiły ich indiańskie strzały. Trudno zatem odeprzeć argumenty armii uczonych, których zdaniem Williama Dunna, Oramela Howlanda i Senecę Howlanda zgładzili Shivwici – zwłaszcza że mormoni (co zostało dobrze udokumentowane) wiele razy zdołali zrzucić na Indian winę za własne zbrodnie.

Co do Shivwitów, dwie dekady po spotkaniu z Powellem i Hamblinem zostali wypędzeni przez mormonów z ziemi swych przodków w Arizona Strip. Mormoni zamierzali wypasać tam bydło, zmusili więc Indian do osiedlenia się w maleńkim rezerwacie na przedmieściach St. George, zajmującym powierzchnię zaledwie dziewięćdziesięciu kilometrów kwadratowych.

Z upływem lat większość sprawców masakry w Mountain Meadows zaszyła się w odległych osadach, by umknąć przed sprawiedliwością. John D. Lee tymczasem został jednym z najbogatszych ludzi w południowym Utah i ani myślał porzucać żadnego ze swoich wygodnych domów ani osiemnastu żon. Jednak w roku 1869 prezydent Ulysses S. Grant nakazał służbom federalnym wytropienie sprawców masakry i Brigham Young zaczął się obawiać aresztowania Lee. Doradził mu więc, by sprzedał wszystko, co ma, i zniknął.

Lee zignorował te sugestie. Uznał, że w razie wizyty agentów federalnych lub łowców nagród wystarczy się schronić na okolicznych wzgórzach. We wrześniu 1870 roku, podczas podróży w towarzystwie Johna Wesleya Powella, Brigham spotkał się z Lee i oficjalnie rozkazał mu osiedlić się z dala od hrabstw Washington i Iron, gdzieś daleko w dziczy. Prorok obawiał się, że jeśli Lee zostanie schwytany, wsypie innych i doprowadzi cały Kościół do upadku. Według biografii Lee napisanej przez Juanitę Brooks prorok miał powiedzieć: „Zabierz ze sobą swe żony i dzieci, znajdźcie jakąś żyzną dolinę i tam osiądźcie”.

Lee, wyraźnie niechętny, odparł bez przekonania: „Cóż, jeśli takie jest twe życzenie i rada…”. „Owszem, oto moje życzenie i rada”, rzekł zniecierpliwiony Brigham. Miesiąc później ekskomunikował Lee i wreszcie doprowadził do jego wyprowadzki nad Wielki Kanion. Tam Lee żył z obsługiwania promu na rzece Kolorado, a swoją ponurą nową okolicę ochrzcił jako Lonely Dell. Dziś jest ona znana pod nazwą Lee’s Ferry. Wskutek odmiany losu jedenaście żon się z nim rozwiodło. Z pozostałych tylko dwie udały się na wygnanie do odległego zakątka mormońskiej krainy, który dziś nosi jego imię[66].

Fakt, że Lee i inni główni sprawcy masakry zapadli się pod ziemię, nie odwiódł władz w Waszyngtonie od zamiaru wymierzenia im kary. Przeciwnie, agenci federalni zdwoili starania, dając mormonom wyraźnie do zrozumienia, że nie spoczną, póki sprawiedliwości nie stanie się zadość.

W listopadzie 1874 roku szeryf federalny William Stokes złapał Johna D. Lee, gdy ten odwiedzał jedną ze swoich ostatnich żon w osadzie Panguitch (aresztował go w kurniku, gdzie mormon ukrywał się w stercie słomy). Osiem miesięcy później Lee stanął przed sądem w Beaver w stanie Utah, ława

przysięgłych nie zdołała jednak podjąć jednogłośnej decyzji. Był to dziewiętnastowieczny odpowiednik słynnej sprawy O. J. Simpsona z 1995 roku. Gazety w całym kraju wyrażały oburzenie. Znów zapanowała antymormońska histeria, co nie mogło ujść uwagi Brighama i jego doradców z Great Salt Lake City.

Prorok musiał się pogodzić z nieuniknionym, przyjął więc nową, pragmatyczną strategię, tyleż genialną, co bezduszną: przestał obarczać Indian winą za masakrę, całą odpowiedzialność zrzucił zaś na Johna D. Lee. Swojego adoptowanego syna uczynił kozłem ofiarnym.

W 1876 roku Lee ponownie stanął przed sądem. Tym razem Rada Prezydenta Kościoła starannie dobrała ławników (wyłącznie mormonów), by mieć gwarancję, że Lee – i tylko on – zostanie skazany. Jacob Hamblin, który podczas masakry przebywał z dala od Mountain Meadows, odegrał rolę najważniejszego świadka oskarżenia. Jego przekonujące (choć kłamliwe) zeznania przypieczętowały los Johna D. Lee. „Tak zmyślnie dobierano pytania – pisała Juanita Brooks – tak cierpliwie i subtelnie prawnicy obchodzili się ze świadkami, że grzechy pięćdziesięciu mężczyzn zrzucono na barki jednego". 20 września, po rozpatrzeniu świadectw i dowodów wyselekcjonowanych przez Brighama, ława przysięgłych uznała Johna D. Lee za winnego morderstwa z premedytacją.

Sąd wydał wyrok śmierci i tym samym Amerykanie dostali swoją sprawiedliwość – a przynajmniej jej pozory. „Kogoś trzeba było poświęcić", przyznał jeden z ławników, czyniąc aluzję do fragmentu z Księgi Mormona, w którym Nefi zabija Labana (te same słowa pchnęły później do zbrodni Dana Lafferty'ego): „Lepiej, żeby jeden człowiek zginął, niż gdyby naród miał zmarnieć i zginąć w niewierze".

Oczekując w więzieniu na egzekucję, Lee spisał historię swego życia, opublikowaną pośmiertnie pod tytułem *Mormonism Unveiled*. Książka stała się ogólnokrajowym bestsellerem. W zakończeniu Lee stwierdzał:

> We wszystkich moich przestępstwach kierowałem się rozkazami przywódców Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Odkąd przystąpiłem do Kościoła w Far West w Missouri, nigdy nie sprzeciwiłem się jego nakazom, aż do czasu, gdy Brigham Young i jego niewolnicy pozostawili mnie na pastwę losu.

Rankiem 23 marca 1877 roku, pod czujnym okiem strażników, Lee stanął na piaszczystej ziemi na Mountain Meadows. Pierwszy raz od dwudziestu lat wrócił na miejsce masakry. Skazaniec dokończył tam spisywanie testamentu i usiadł na trumnie, w której niedługo miał spocząć, a szeryf odczytał wyrok śmierci. Potem Lee wstał i spokojnym tonem zwrócił się do tłumu osiemdziesięciu gapiów, którzy przybyli tu specjalnie na egzekucję. „Potrzebna jest ofiara i ja nią jestem – rzekł oskarżycielsko, ale i z rezygnacją. – Poświęcono mnie w tchórzliwy, podły sposób".

Gdy skończył, szeryf przewiązał mu oczy opaską. Lee znowu usiadł na krawędzi otwartej trumny i zwrócił się do plutonu egzekucyjnego: „Niech celują w serce! Nie pozwólcie, aby pokaleczyli me ciało". Chwilę później ogłuszający huk zakłócił ciszę poranka. Cztery kule ugodziły skazanego w pierś. John D. Lee osunął się do drewnianej skrzyni, choć jego stopy wciąż dotykały ziemi. Echo strzałów niosło się wśród okolicznych wzgórz.

20

Pod sztandarem nieba

Orędownicy wolności obywatelskich podkreślali niestrudzenie, że świętym obowiązkiem Ameryki jest dbałość o tolerancję religijną. Entuzjazm ten gasł jednak w zderzeniu z rzeczywistością – mnożące się sekty oraz fanatyczni wyznawcy dziwacznych doktryn stanowili nie lada wyzwanie.

R. Laurence Moore, *Religious Outsiders and the Making of Americans*

John D. Lee zasłynął za życia nie tylko jako sprawca masakry w Mountain Meadows, lecz także jako uzdolniony uzdrawiacz i prorok. Nakładaniem rąk wyleczył ponoć wielu mormonów; niejednego zdumiewała też trafność jego przepowiedni – zwłaszcza tej ostatniej. Ponoć krótko przed egzekucją oświadczył: „Jeśli jestem winny przestępstwu, za które mnie skazano, zostanę zapomniany. Jeśli jednak nie jestem winien, Brigham Young umrze w ciągu następnego roku! Ba, w ciągu następnego półrocza!”.

23 sierpnia 1877 roku, równo pięć miesięcy po egzekucji Johna D. Lee, Brigham dostał gorączki, skurczów jelit, rozwolnienia i nudności. Sześć dni później Stary Szef (jak nazywał go Lee) umarł, najprawdopodobniej na skutek pęknięcia wyrostka robaczkowego.

Brigham liczył, że jeśli poświęci Johna D. Lee, udobrucha władze w Waszyngtonie i zapewni mormonom nieco wytchnienia i spokoju od federalnych prześladowców. Srodze się jednak mylił. Odkąd w 1877 roku do Gabinetu Owalnego wprowadził się Rutherford B. Hayes, aż do końca kadencji Grovera Clevelanda w roku 1897 każdy kolejny amerykański prezydent wywierał coraz większe naciski na Kościół mormoński w kwestii wyrzeczenia się poligamii i podporządkowania ogólnokrajowym prawom.

John Taylor, następca Brighama na stanowisku prezydenta i proroka, nie zamierzał ustępować Waszyngtonowi ani na jotę. Był jeszcze mniej uległy niż Stary Szef. Odkąd pierwszy raz spotkał Josepha Smitha, całym sercem wierzył w niego i jego doktryny – ponoć gdy założyciel Kościoła podał mu rękę, Taylor poczuł „porażenie prądem” w całym ramieniu. Na własne oczy widział śmierć Josepha w więzieniu w Carthage i sam odniósł poważne rany z rąk tłumu napastników. Był najwierniejszym z wiernych. Nie dopuszczał myśli, że miałby złagodzić stanowisko w kwestii najświętszego przykazania tylko po to, by przypodobać się innowierczym prześladowcom.

„Pięść Boża wymierzy karę synom tego narodu – grzmiał w 1879 roku. – Przyjdzie czas rozlewu krwi i zniszczenia, jakich nigdy dotąd nie zaznali. […] Nie życzymy sobie, aby narzucali nam monogamię”.

Z czasem krnąbrność i gniew proroka tylko przybrały na sile. „Nie pogodzimy się z tyrańskimi prawami, zakazującymi nam swobodnego praktykowania naszej religii”, gardłował 4 stycznia 1880 roku podczas niedzielnego zgromadzenia w Great Salt Lake City:

Bóg jest potężniejszy niż Stany Zjednoczone. Gdy więc Rząd wchodzi w konflikt z niebem, my zbieramy się pod sztandarem nieba przeciwko Rządowi. […] Bóg przykazał nam, abyśmy praktykowali poligamię, i Stany Zjednoczone nie mogą tego zakazać. Żaden kraj, ani nawet wszystkie kraje pospołu, nie zabroni nam wielożeństwa. […] Sprzeciwiam się Stanom Zjednoczonym, posłuszny będę tylko Bogu.

Na te słowa każdy ze słuchaczy zgromadzonych w ogromnej sali uniósł prawą rękę ku niebu. Taylor słynął z dochowywania wierności swym przekonaniom, Kościołowi poświęcił całe życie, jego głos miał

więc dla mormonów wielką wagę.

Prezydent Hayes niewiele sobie jednak robił z retoryki proroka. W 1880 roku złożył prywatną wizytę w Great Salt Lake City, a po powrocie wezwał Kongres do przyjęcia ustawy gwarantującej, że „prawo wyborcze, urzędy i zasiadanie w ławach przysięgłych na Terytorium Utah przysługiwać będą tylko osobom, które nie praktykują ani nie popierają poligamii". Kongres spełnił owo życzenie, zresztą w ciągu piętnastu kolejnych lat poszedł jeszcze dalej. Po przyjęciu ustawy Edmundsa z roku 1882 mormoni mogli być ścigani nie tylko za poligamię, którą trudno było udowodnić, lecz i za łatwiejsze do wytropienia „konkubinaty".

Od tej pory mormońskich poligamistów określano pogardliwym mianem „konkubów", a w każdym właściwie mieście na terytorium Utah zaroiło się od agentów federalnych. Pod koniec lat osiemdziesiątych XIX wieku około tysiąca mormonów przewinęło się przez więzienia. Nie stali się przez to bardziej ulegli. Przeciwnie – wyrok za poligamię był powodem przechwałek.

Mormońscy przywódcy czuli jednak, że pętla się zaciska, choć trzymali to w tajemnicy przed resztą wyznawców. John Taylor rozesłał po świecie misjonarzy, nie tylko na odległe pustynne tereny amerykańskiego Zachodu (na przykład do Lee's Ferry), ale również do Meksyku i Kanady, żeby zakładali nowe osady, w których mężczyzna mógłby brać sobie liczne żony i nie obawiać się prześladowań czy aresztu. Kolonie konkubów zaczęły rozkwitać między innymi w Cardston w Kanadzie (w prowincji Alberta, zaraz na północ od granicy z Montaną) oraz u stóp Sierra Madre Zachodniej w Meksyku.

W 1885 roku wydano nakaz aresztowania Taylora i prorok zaczął się ukrywać. Dwanaście miesięcy później zagrał jednak federalnym na nosie, poślubiając szesnastą żonę, dwudziestosześcioletnią Josephine Roueche (sam miał wówczas lat siedemdziesiąt osiem).

Im bardziej mormoni opierali się federalnej kontroli, tym bardziej Waszyngton próbował wziąć ich w karby. W marcu 1887 Kongres przyjął ostrzejszą od dotychczasowych ustawę Edmundsa–Tuckera. Cztery miesiące później John Taylor zmarł. Dzień po jego pogrzebie prawnicy rządowi zainicjowali kampanię mającą na celu doprowadzenie Kościoła LDS do bankructwa. 19 maja 1890 roku odnieśli sukces – na skutek decyzji Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych rząd zyskał prawo przejęcia spółek należących do Kościoła.

Przyszłość mormonizmu wisiała na włosku. Po śmierci Taylora w roku 1887 czwartym prorokiem został osiemdziesięciodwuletni apostoł nazwiskiem Wilford Woodruff. Jemu właśnie z wielkim bólem przyszło uznać, że Królestwo Boże nie ma wyboru i musi się podporządkować wymogom Waszyngtonu. Położywszy się do łóżka wieczorem 23 września 1890 roku, Woodruff, jak sam potem opowiadał, spędził „całą noc na trudnej rozmowie z Panem o tym, co począć w obecnej sytuacji". Rankiem zwołał pięciu zaufanych mormońskich przywódców i „z ciężkim sercem" powiadomił ich, że Bóg przekazał mu, iż konieczne będzie wyrzeczenie się „onej zasady wiary, za którą bracia gotowi byli oddać życie". Ku przerażeniu zebranych prezydent Woodruff wyjaśnił, że „jest wolą Pana", aby Kościół przestał akceptować wielożeństwo.

6 października 1890 roku doniosłe objawienie proroka zostało spisane w krótkim dokumencie, znanym odtąd jako Manifest Woodruffa lub po prostu Manifest. Jego fragment brzmiał:

> Jako że Kongres przyjął przepisy zakazujące wielożeństwa, które to przepisy zostały uznane przez najwyższą instancję sądowniczą za zgodne z konstytucją, oznajmiam niniejszym mą wolę podporządkowania się owym przepisom i wpływania na członków Kościoła, któremu przewodzę, aby czynili podobnie […].
>
> Radzę Świętym w Dniach Ostatnich powstrzymać się od zawierania małżeństw zabronionych przez prawa krajowe.

Wilford Woodruff, prezydent Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich

Manifest wywołał wielki wstrząs wśród mormonów, nie położył jednak kresu poligamii – zepchnął ją jedynie do podziemia. Przez następne dwie dekady członkowie Rady Prezydenta Kościoła zalecali po cichu wiernym praktykowanie wielożeństwa, byle dyskretnie. Najwyżsi rangą urzędnicy kościelni w sekrecie odprawiali ceremonie ślubne. Gdy fakt ten wyszedł na jaw, w całym kraju zareagowano oburzeniem. W październiku 1910 roku „Salt Lake Tribune", gazeta będąca radykalnie antymormońską odpowiedzią na należący do Kościoła dziennik „Deseret News", opublikowała nazwiska dwustu mormonów (w tym sześciu członków Kworum Dwunastu Apostołów), którzy już po wydaniu Manifestu zawarli małżeństwa celestialne.

Wieści te rozgniewały również wielu prominentnych mormonów i oto wewnątrz Kościoła pojawił się potężny ruch na rzecz całkowitego wykorzenienia poligamii. W latach dwudziestych większość wiernych oraz ich przywódców zwróciła się przeciwko wielożeństwu i opowiedziała za surowym karaniem konkubów.

Nie brakowało też jednak osób przekonanych, że Wilford Woodruff popełnił straszliwy błąd, podważając jedną z najświętszych zasad mormonizmu. Zdaniem twardogłowych poligamistów Manifest nie unieważniał wcale rozdziału 132 Nauk i Przymierzy, czyli objawienia otrzymanego przez Josepha Smitha w roku 1843 – po prostu nakazywał zawieszenie praktyki w niesprzyjających (i zapewne przejściowych) okolicznościach. Wskazywano ponadto, że rozdział 132 nie przestał należeć do kanonu świętych tekstów mormonizmu (tak zresztą jest i dzisiaj).

Mormońscy fundamentaliści, jak sami się z dumą określali, czerpali ponadto inspirację z objawienia przekazanego przez Pana Johnowi Taylorowi 26 września 1886 roku, kiedy to prorok ukrywał się przed łowcami konkubów[67]. Jest to zapewne najbardziej kontrowersyjne objawienie w dziejach mormońskiego Kościoła. Taylor zapytał Boga, czy przykazanie o poligamii należy odrzucić. Pan oznajmił jasno i bez ogródek:

> Tak mówi Pan: Wszystkie Moje przykazania wierni muszą wypełniać, o ile nie postanowię inaczej. […] Nie zmieniłem owego prawa i nigdy tego nie uczynię, jest ono bowiem wieczne, a ci, którzy idą w Mojej chwale, niechaj go przestrzegają. Tak: Amen.

Taylor otrzymał to objawienie, gdy ukrywał się w domu Johna W. Woolleya. W nocy syn gospodarza, chłopak imieniem Lorin, ujrzał przedziwne światło „pod drzwiami pokoju prezydenta Taylora i ze zdumieniem posłyszał głosy rozmawiających w środku mężczyzn. Były to trzy, wyraźnie różne głosy". Lorin wspominał także, że kiedy Taylor wyszedł rankiem z pokoju, „ledwo mogliśmy na niego spojrzeć, tak wielki blask bił od jego postaci". Młody Woolley zapytał proroka, z kim rozmawiał w środku nocy. „Odbyłem miłą pogawędkę z Bratem Josephem", odrzekł wesoło Taylor, dodając, że trzeci głos, który usłyszał Lorin, należał do samego Jezusa Chrystusa.

Taylor natychmiast zwołał zebranie zaufanych braci, by przedyskutować swoje objawienie. Oprócz niego, Johna W. i Lorina Woolleyów w naradzie wzięło udział jeszcze dziesięciu mężczyzn, wśród nich Samuel Bateman i jego syn Daniel R. Bateman[68]. Prorok zawarł z obecnymi przymierze, nakazując im „bronić doktryny małżeństw celestialnych lub wielożeństwa, poświęcić tej sprawie życie, wolność i własność oraz osobiście przestrzegać przykazania".

Prorok ostrzegł ponadto dwunastkę zdumionych mormonów: „Niektórzy z was zostaną wyklęci z Kościoła przez waszych braci, dochowacie bowiem wierności świętemu przykazaniu, inni być może oddadzą życie. Lecz biada im, którzy będą odpowiedzialni za wasze cierpienia". Następnie Taylor

powierzył Samuelowi Batemanowi, Woolleyom i jeszcze dwóm uczestnikom spotkania władzę udzielania ślubów celestialnych i nadawania takiej władzy innym. „Niech co roku w rodzinach praktykujących wielożeństwo przychodzą na świat kolejne dzieci”, rzekł.

Owo historyczne spotkanie (które zdaniem wszystkich późniejszych prezydentów Kościoła LDS nigdy się nie odbyło) trwało osiem godzin. Na sam koniec Taylor wygłosił przepowiednię: „Za siódmego prezydenta Kościół pójdzie w niewolę, faktyczną i duchową, i wtedy właśnie pojawi się »jeden potężny i silny«, o którym mowa w rozdziale 85 Nauk i Przymierzy”.

Tak oto zasiano pierwsze ziarna mormońskiego fundamentalizmu. Cztery lata później, kiedy Kościół LDS przyjął Manifest Woodruffa, tym samym kładąc kres poligamii, społeczność wykonała pierwsze nieśmiałe kroki w kierunku amerykańskiego mainstreamu. Początkowo mormoni czynili to pomału i niepewnie, z czasem jednak nabrali zdecydowania. Fundamentaliści natomiast odmówili jakiegokolwiek w tym udziału. Pozostali wierni doktrynom Josepha Smitha, a zwłaszcza zasadzie wielożeństwa. Z żarliwym zapamiętaniem przysięgali podtrzymać przymierze Johna Taylora, na przekór reszcie świętych i całemu światu. Dziś taką samą przysięgę z takim samym zapałem powtarzają ich duchowi spadkobiercy.

Dla mormońskich fundamentalistów – ludzi pokroju Dana Lafferty’ego, mieszkańców Colorado City czy Briana Davida Mitchella (porywacza Elizabeth Smart) – 27 września 1886 roku to święta data. Od tamtego dnia wierni poligamiści z podnieceniem wypatrują przyjścia „jednego potężnego i silnego”, który wedle proroctwa Josepha „uporządkuje dom Boży”.

CZĘŚĆ IV

Zarówno objawienie, jak i tworzenie iluzji stanowią próby rozwiązania określonych problemów. Artyści i naukowcy zdają sobie sprawę, iż żadne rozwiązanie nie może mieć charakteru ostatecznego, natomiast każdy twórczy krok stawia przed nimi nowe twórcze czy artystyczne wyzwanie. Z ich postawą kontrastuje podejście twórców systemów religijnych i iluzorycznych, którzy pragną postrzegać te systemy jako nienaruszalne i niezmienne […].

To, co proponuje religia, to rozwiązanie holistyczne, wszechobejmujące. […] Większa część ludzkości pragnie lub potrzebuje wszechogarniającego systemu wierzeń, który pomógłby im rozwiązać wszystkie zagadki życia. Tego rodzaju osoby niekoniecznie wprowadza w konsternację odkrycie, że system, który uznają za jedyną prawdę, jest w ogóle nie do pogodzenia z przekonaniami innych ludzi. Wiara jednego człowieka przez innego postrzegana jest jako złudzenie […].

To, czy dany pogląd uznamy za iluzoryczny, częściowo zależy od intensywności, z jaką broni go jego wyznawca, a częściowo od liczby ludzi, którzy ten pogląd podzielają.

Anthony Storr, *Kolosy na glinianych nogach*, przeł. Jerzy Prokopiuk, Przemysław Jan Sieradzan

21

Evangeline

Moja matka urodziła się w mormońskim Utah na początku XX wieku – w miejscu, które pod wieloma względami drastycznie różniło się od reszty Ameryki. Mormoni odznaczali się silnym i wyrazistym poczuciem odrębności i jedności: postrzegali się nie tylko jako współczesny lud wybrany, ale także jako lud, który w imię swej wiary i tożsamości doświadczył długiej i krwawej historii, a także ostatecznego wygnania. Byli narodem na uboczu – ludźmi żyjącymi w kręgu własnych mitów i celów, w tradycji zdumiewającej przemocy.

Mikal Gilmore, *Strzał w serce*, przeł. Jacek Łaszcz

Przez przeszło półtorej dekady, odkąd Rulon Jeffs objął przywództwo w Fundamentalistycznym Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, mieszkańcy Colorado City uważali go za „jednego potężnego i silnego", boskiego posłańca na ziemi, nieśmiertelnego proroka. W rzeczywistości Wuj Rulon od dawna chorował, aż wreszcie 8 września 2002 roku jego serce przestało bić, a lekarz stwierdził zgon. Było to cztery dni temu. Teraz do mieszkańców miasta dociera już, co się stało, rozpaczliwie próbują więc pogodzić wcześniejsze przekonanie o nieśmiertelności swojego proroka z faktem, że odszedł. Jest czwartkowe popołudnie, ładna pogoda, bezchmurne niebo. Przeszło pięć tysięcy ludzi zebrało się w Colorado City na pogrzebie Wuja Rulona. Niektórzy przyjechali aż z Kanady i Meksyku. Oprócz fundamentalistów w tłumie jest też trochę członków Kościoła LDS, a nawet osób zupełnie niezwiązanych z mormonizmem.

Ceremonia w Domu Spotkań imienia LeRoya Johnsona dobiega końca; chłopcy i mężczyźni o poważnych obliczach wychodzą na zewnątrz. Wszyscy są odświętnie ubrani. Kobiety i dziewczęta mają na sobie sukienki kroju, który był modny w XIX wieku, sięgające za kostkę, w pastelowych odcieniach różu, lawendy i błękitu. Każda zaplotła włosy w schludny warkocz, nad czołem zaś starannie zaczesała je do góry, co przywodzi na myśl ogromną falę morską, która za chwilę się załamie. W oddali, wysoko ponad żałobnym tłumem, urwiska góry Canaan lśnią w słońcu, wyraźnie odcinając się od niebieskiego jesiennego nieba.

Wuj Rulon zmarł trzy miesiące przed swoimi dziewięćdziesiątymi trzecimi urodzinami. Wedle szacunków pozostawił około siedemdziesięciu pięciu żon i osierocił co najmniej sześćdziesięcioro pięcioro dzieci. Nie wiadomo, kogo uznać za najbliższego krewnego ani co teraz począć. Nad całą wspólnotą krąży widmo niepewności.

Tak samo było w Colorado City w roku 1986, kiedy zmarł poprzednik Wuja Rulona, dziewięćdziesięcioośmioletni LeRoy Johnson, czyli uwielbiany Wuj Roy. On też miał żyć wiecznie. Po jego śmierci Wuj Rulon objął władzę w sekcie, lecz spotkało się to z gorącym protestem sojuszników prominentnego biskupa nazwiskiem Marion Hammon. W końcu zwolennicy Hammona opuścili wspólnotę (a stanowili blisko jedną trzecią jej członków), przenieśli się na inny skrawek pustyni, zaraz po drugiej stronie szosy, i założyli własny fundamentalistyczny Kościół, zwany później Drugim Zborem (Pierwszy Zbór to Kościół z Colorado City). Od tego czasu obie kongregacje oskarżają się nawzajem o bezbożnictwo i jedna drugiej w mocnych słowach przepowiada wieczne potępienie.

Teraz, w związku z odejściem Wuja Rulona, Pierwszy Zbór stoi w obliczu kolejnych podziałów, choć

czterdziestoszścioletni Warren Jeffs – drugi syn czwartej żony Rulona – sprawnie poradził sobie z przejęciem władzy. Jego ojciec poważnie chorował już od wielu lat, toteż Warren w zasadzie i tak sprawował rządy, lecz nigdy nie cieszył się choćby cząstką uwielbienia, jakim mieszkańcy Colorado City i Bountiful darzyli Wuja Rulona i Wuja Roya. Warren Jeffs jest wysoki i tyczkowaty, ma wystające jabłko Adama i piskliwy głos. Żyje w przerażającym przekonaniu, że Bóg uważa go za chodzącą doskonałość. Mało kto nazywa go Wujem Warrenem.

– Mój ojciec i Wuj Roy byli przyjaznymi prorokami, pełnymi miłości. Poligamię głosili z właściwych pobudek – opowiada jeden ze starszych braci nowego przywódcy. – Warren nie kocha swoich wiernych. Chce rządzić za pomocą strachu. Naucza, że trzeba być doskonale posłusznym, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Inaczej pójdziesz do piekła. To fanatyk. Jego świat jest zupełnie czarno-biały.

Wielu członków Pierwszego Zboru miało nadzieję, że następcą Wuja Rulona zostanie powszechnie kochany dziewięćdziesięciopięcioletni patriarcha Fred Jessop, znany jako Wuj Fred. Gdy funkcję proroka objął Warren, spekulowano, czy zwolennicy Jessopa nie dokonają kolejnego rozłamu. Jednak, jak sądzi brat Warrena, na razie zapewne się z tym wstrzymają, gdyż ich zdaniem Warren długo nie przetrwa na stanowisku.

– Postanowili, że przeczekają, aż Bóg uwolni ich od tego złego człowieka, a rządy w Pierwszym Zborze przejmie ktoś z nich. W pełni się zgadzam. Warren dostanie za swoje. Nie wiem kiedy, ale na pewno umrze przedwczesną śmiercią. Czuję to w kościach.

Na razie jednak Warren jest wśród żywych i zdążył poczynić liczne kroki, by umocnić swoją władzę[69]. W Bountiful obalił Winstona Blackmore'a (od dawna go nie znosił i nie miał do niego zaufania), a nowym biskupem mianował swojego zaufanego człowieka, Jimmy'ego Olera (skądinąd przyrodniego brata Debbie Palmer, kobiety, która podpaliła swój dom, żeby uciec z Bountiful). Jednak przynajmniej połowa członków wspólnoty pozostała lojalna wobec Blackmore'a. Gdyby ten zdecydował się założyć własną sektę, poszłoby za nim zapewne wielu kanadyjskich fundamentalistów.

Podobne schizmy nie są nowym zjawiskiem. Zwaśnione ze sobą sekty mormońskich fundamentalistów powstawały, odkąd przeszło sto lat temu pierwsza grupa zwolenników poligamii odłączyła się od Kościoła LDS.

Historia Colorado City, zwanego dawniej Short Creek, sięga czasów Johna D. Lee i jego wygnania na żałosne odludzie po masakrze w Mountain Meadows. Lee's Ferry znajduje się w zakolu rzeki Kolorado, tuż za najniżej położonymi bystrzami Glen Canyon, kawałek w górę od miejsca, gdzie burzliwa rzeka wpada do Wielkiego Kanionu. W XIX wieku był to jedyny punkt w promieniu wielu kilometrów, w którym dało się przekroczyć rzekę, miał więc ogromne strategiczne znaczenie dla Królestwa Deseret. Mormoni podróżujący z Utah do kolonii w Arizonie i Meksyku oraz zapuszczający się tam z rzadka osadnicy nienależący do Kościoła LDS potrzebowali pomocy Lee, by na jego małym drewnianym promie przeprawić się na drugi brzeg.

Kiedy w 1874 roku Lee został aresztowany, władze Kościoła LDS kazały Warrenowi M. Johnsonowi i jego rodzinie (składającej się z dwóch żon i licznych dzieci) osiedlić się na północnym brzegu rzeki Kolorado. Miał pomagać Emmie, małżonce Lee, obsługiwać przeprawę. 12 czerwca 1888 roku jedna z żon Johnsona urodziła w Lee's Ferry dziecko. Chłopcu dano na chrzcie LeRoy Sunderland Johnson, lecz gdy po wielu latach został prorokiem fundamentalistycznej sekty, wierni zaczęli mówić o nim „Wuj Roy".

Po publikacji Manifestu poligamiści uznali leżące z dala od świata Lee's Ferry za całkiem atrakcyjny zakątek. Powstało tam prawdziwe schronienie dla „konkubów", podobnie jak w Arizona Strip, gdzie w roku 1911 założono Short Creek. W pierwszych dekadach XX wieku między poligamistami z Short Creek i Lee's Ferry (w tym Warrenem Johnsonem oraz jego potomkami) zrodziła się silna więź. Lee's Ferry stawało się jednak coraz popularniejszym punktem przeprawy, toteż w roku 1928 część członków klanu Johnsonów (w tym LeRoy) przeniosła się do odległego Short Creek, tam bowiem łowcom poligamistów wciąż niełatwo było się dostać.

W połowie lat trzydziestych na czele ruchu fundamentalistów stał John Y. Barlow. Mieszkał co prawda w północnym Utah, lecz odkąd dowiedział się, że Short Creek przyciąga rodziny oddane Dziełu, nawiązał bliższe relacje z tamtejszą społecznością (a zwłaszcza z LeRoyem Johnsonem). W roku 1940 Barlow przesiedlił część własnych wiernych do Short Creek, wydał też jedną z córek za Johnsona. DeLoy Bateman jest wnukiem Barlowa. Inny z jego potomków, Dan Barlow, piastuje obecnie stanowisko burmistrza Colorado City.

Wielu tamtejszych mieszkańców wiesza w swoich domach portrety ośmiu przywódców duchowych w ozdobnych ramach. Ujrzymy więc najjaśniejsze gwiazdy na firmamencie fundamentalistycznego mormonizmu: Josepha Smitha, Brighama Younga, Johna Taylora, Johna W. Woolleya, Lorina C. Woolleya, Johna Y. Barlowa, LeRoya Johnsona i Rulona Jeffsa. Fundamentaliści z Colorado City uważają, że każdy z tych mężczyzn otrzymał tak zwane klucze władzy kapłańskiej: pochodzącą od Boga władzę przewodzenia ludowi wybranemu. Natomiast w innych społecznościach poligamistów czci się zupełnie odmienny panteon proroków.

Po śmierci Johna Y. Barlowa w 1949 roku władzę objął jego powszechnie poważany współpracownik, Joseph Musser. Krótko później Musser przebył jednak kilka udarów mózgu, a w ruchu doszło do pierwszej poważnej schizmy. Leczeniem proroka zajął się kordialny naturopata Rulon Allred. Wkrótce Musser stał się całkowicie zależny od swojego lekarza. W 1951 roku powierzył mu funkcję „drugiego starszego"[70] – czyli *de facto* uczynił go swoim następcą – ignorując protesty tych, którzy uważali, że kolejnym prorokiem powinien zostać LeRoy Johnson (zgodnie z ostatnimi instrukcjami Johna Y. Barlowa).

Wzajemna nienawiść zwolenników Wuja Roya i zwolenników Allreda szybko wymknęła się spod kontroli i ruch fundamentalistyczny rozpadł się na dwie zwaśnione sekty. Po śmierci Mussera w 1954 roku Wuj Roy objął przywództwo w Fundamentalistycznym Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Allred został prorokiem drugiej sekty, Zjednoczonej Braci Apostolskiej, która osiedliła się pięćset kilometrów na północ w dolinie Wielkiego Jeziora Słonego[71].

Po podziale mieszkańcy Short Creek praktycznie zerwali stosunki z grupą Allreda. Wuj Roy i jego wyznawcy woleli nie rzucać się w oczy innowiercom, więc zasadniczo żyli spokojnie na uboczu. Zjednoczona Brać Apostolska miała mniej szczęścia. Po południu 10 maja 1977 roku Rulon Allred przyjmował pacjentów w swoim gabinecie w Murray na przedmieściach Salt Lake City, kiedy w drzwiach stanęły dwie młode dziewczyny, które wyciągnęły broń, zastrzeliły proroka, po czym spokojnie się oddaliły.

Okazało się, że należały do innej rozłamowej sekty, zwanej klanem LeBarona. Założył ją Dayer LeBaron, pochodzący z jednej z mormońskich kolonii w Meksyku, niegdyś luźno związanej z wyznawcami Allreda. Kiedy Rulon Allred został w 1947 roku skazany w Utah za poligamię i uciekł

z przepustki, ukrywał się właśnie u LeBarona.

Dayer LeBaron miał siedmiu synów. Szczególnie odznaczyło się trzech: każdy ogłosił się „jednym potężnym i silnym”; każdy uważał się za proroka, nowego Mojżesza, który sprowadzi Kościół mormoński na właściwą ścieżkę, unieważniając Manifest z 1890 roku.

Benjamin, najstarszy z nich, nierzadko stawał na ulicy i krzyczał ile sił w płucach, by pokazać, że jest „Lwem Izraela”. Pewnego razu (było to we wczesnych latach pięćdziesiątych) położył się twarzą do ziemi na środku ruchliwego skrzyżowania w Salt Lake City, zatrzymał ruch uliczny i zrobił dwieście pompek. Gdy policjanci wreszcie nakłonili go, by zszedł na chodnik, oświadczył z dumą: „Nikt nie potrafi zrobić tak wiele. Oto dowód, żem jednym potężnym i silnym”. Krótko później Ben został umieszczony w Stanowym Szpitalu Psychiatrycznym.

W latach sześćdziesiątych (kiedy Ben nadal przebywał w ośrodku zamkniętym) dwaj inni bracia LeBaronowie wzięli na siebie przywództwo w klanie. Joel był sympatyczny i miał dar przemawiania. Ervil natomiast stanowił jego przeciwieństwo. Ważył sto dwadzieścia kilo, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i nigdy nie zapominał żadnej wyrządzonej mu zniewagi. Wiele rozsądnych skądinąd kobiet uważało go za nadzwyczaj atrakcyjnego. Jego siostra, Alma, wspominała, że Ervil „marzył o dwudziestu pięciu albo nawet trzydziestu żonach, zdolnych wydać liczne potomstwo, które zaludni całą ziemię. […] Pragnął być wielkim człowiekiem, jak Brigham”.

Ervil uważał się też za doskonałego pisarza. Rena Chynoweth[72] (kobieta, która w 1975 została jego trzynastą żoną, a dwa lata później zastrzeliła Rulona Allreda) wspominała, że pisanie świętych ksiąg stanowiło jego obsesję. Potrafił ślęczeć przy biurku przez tydzień bez przerwy. „Całymi dniami się nie golił, nie kąpał i pracował przez dwanaście godzin na dobę”, opowiadała. Funkcjonował „tylko dzięki kawie. Nawet jego pot pachniał kawą”.

Ervil i Joel mieli ogromną charyzmę, lecz każdy z nich uważał się za „jednego potężnego i silnego”. Konflikt był nieunikniony.

Zaczęło się w listopadzie roku 1969. Joel, starszy brat i główny prorok, wykluczył Ervila z sekty za niesubordynację. Niedługo później Ervil otrzymał objawienie. Bóg oznajmił mu, że Joel – człowiek niezwykłej dobroci, uważany przez swoich wyznawców za prawdziwego świętego – stał się przeszkodą na Bożej ścieżce i należy go usunąć. 20 sierpnia 1972 roku Joel został śmiertelnie postrzelony w gardło i głowę w osadzie Los Molinos, którą założył osiem lat wcześniej na Półwyspie Kalifornijskim. Zabójcą był jeden z jego wyznawców, wierny Ervilowi[73].

Ervil odpowiadał nie tylko za śmierć brata, ale też za całą serię morderstw dokonanych z Bożej inspiracji w roku 1975. Zginęło wtedy co najmniej pięć osób, raniono przeszło piętnaście. W marcu 1976 Ervila aresztowano i zamknięto w meksykańskim więzieniu, lecz jego zwolennicy pozostawali na wolności i kontynuowali dzieło przywódcy. Z południowej Kalifornii rozsyłali na cały kraj broszury krytykujące innych poligamistów, a także podatki, zasiłki socjalne i kontrolowanie dostępu do broni. Jimmy’emu Carterowi, kandydującemu wówczas na prezydenta, grozili śmiercią z powodu liberalnych poglądów.

Niespełna rok po aresztowaniu Ervil wyszedł na wolność. Oficjalną przyczyną był „brak dowodów”, wszyscy jednak podejrzewali, że w rzeczywistości zadziałała łapówka. Parę miesięcy później Ervil doprowadził do zabójstwa swojej nieposłusznej córki i zaaranżował morderstwo Rulona Allreda, chciał bowiem przeciągnąć jego wyznawców do własnej sekty, Kościoła Baranka Bożego.

Na wolności pozostawał do roku 1979. W końcu aresztowano go w Meksyku, ekstradowano do Stanów Zjednoczonych i skazano na dożywocie w więzieniu stanowym w Point of the Mountain w Utah (zakładzie o zaostrzonym rygorze, gdzie karę odsiaduje Dan Lafferty). Stopniowo pojął, że już do końca życia pozostanie za kratami. Z jego psychiką było coraz gorzej. Według Reny Chynoweth „miał absolutną pewność, że Bóg go uwolni. Wyobrażał sobie, jak gniew Pana niczym trąby jerychońskie obraca w gruz więzienne mury za karę, że bezbożnicy ośmielili się zamknąć Proroka".

W sierpniu 1981 roku Ervila LeBarona znaleziono martwego w celi. Miał pięćdziesiąt sześć lat, zabił go zawał serca. Przed śmiercią zdążył jednak sporządzić niezborny i pełny jadu elaborat liczący czterysta stron, zatytułowany *Księga Nowych Przymierzy*. Była to przede wszystkim lista osób „do zlikwidowania", które zasłużyły na śmierć, gdyż rzekomo sprzeniewierzyły się Ervilowi, swoisty katalog wrogów opatrzony napastliwymi, ledwo zrozumiałymi komentarzami dotyczącymi każdej ze zdrad. Opublikowano około dwudziestu egzemplarzy, większość trafiła do najżarliwszych wyznawców Ervila. Owi fanatyczni wyznawcy nazywali się Barankami Bożymi. Były to głównie dzieci Ervila (łącznie spłodził ich pięćdziesięcioro czworo). Na czele grupy stał jego syn Aaron LeBaron, który w chwili śmierci ojca miał zaledwie trzynaście lat. Chłopcy, dziewczynki, nastolatkowie, porzucone ofiary fizycznej i seksualnej przemocy ze strony starszych członków sekty, pragnęli pomścić śmierć Ervila, przelewając krew osób wymienionych w *Księdze Nowych Przymierzy*. Prokurator prowadzący sprawę określił później owo pokolenie klanu LeBarona mianem „generacji władcy much".

W roku 1987 zamordowano dwie osoby z listy. 27 czerwca 1988, w sto czterdziestą czwartą rocznicę męczeńskiej śmierci Josepha Smitha (i to niemal co do minuty), w Teksasie zginęły od kul trzy kolejne osoby (oraz ośmioletnia córka jednej z nich). Wszystko zostało dokładnie zaplanowane: morderstwa popełniono w różnych miejscach, oddalonych od siebie o przeszło pięćset kilometrów. Baranki Boże przyznały się w sumie do siedemnastu zabójstw. Każda z ofiar zapłaciła pokutę krwi, więc – zdaniem Baranków – Pan uważał ich śmierć za sprawiedliwą.

W roku 1993 dwóch synów i jedną córkę Ervila skazano na dożywotnie więzienie za współudział w owych zbrodniach. Dwa lata później Aaron LeBaron, przywódca gangu, został złapany w Meksyku i przekazany Utah. W roku 1997 usłyszał wyrok czterdziestu pięciu lat pozbawienia wolności. Miejsce pobytu innych potomków Ervila, którzy odgrywali pomniejsze role w egzekucjach, pozostaje nieznane.

Historia mormońskich wspólnot na terenie Meksyku zaczyna się w roku 1886. Wtedy to grupa poligamistów kupiła dwadzieścia tysięcy hektarów ziemi wzdłuż Río Piedras Verdes, około dwustu pięćdziesięciu kilometrów na południowy zachód od El Paso w Teksasie, i schroniła się tam przed łowcami konkubów. Pierwsi członkowie klanu LeBaronów osiedlili się tam w roku 1902. W owym czasie w okolicy, u stóp Sierra Madre Zachodniej, w Colonia Juárez, żyło już około trzech tysięcy pięciuset mormonów.

W roku 1944 Dayer LeBaron, ojciec Joela i Ervila, otrzymał od Boga polecenie nabycia porośniętej jadłoszynami działki o pustynnej glebie, leżącej około osiemdziesięciu kilometrów od Colonia Juárez. Wykarczował drzewa, posiał fasolę i nadał miejscu nazwę Colonia LeBaron. Wkrótce stało się ono bazą jego rosnącej sekty.

Lavina Stubbs przeniosła się tam jako nastolatka w roku 1958. Pierwsze piętnaście lat życia spędziła w Short Creek. Stubbsowie stanowili (i do dziś stanowią) jeden z najznamienitszych rodów w Short Creek/Colorado City, lecz ojciec Laviny pokłócił się z Wujem Royem, przeszedł do grupy LeBarona

i z całym potomstwem przeprowadził się do Meksyku. Rok później szesnastoletnia Lavina wpadła w oko prorokowi Joelowi LeBaronowi i została jedną z jego żon.

– Przeżyliśmy razem czternaście radosnych lat – opowiada. – Był dobrym, cnotliwym człowiekiem, jednym z najlepszych, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi.

Przed wyprowadzką z Short Creek matka Laviny planowała wydać ją za ojca DeLoya Batemana, lecz prorok przeznaczył ją na żonę innego członka wspólnoty.

– Niewiele brakowało, a zmuszono by mnie do poślubienia mężczyzny, którego nienawidziłam. To cud, że ojciec zabrał nas stamtąd właśnie wtedy i że Bóg pozwolił mi wyjść za Joela.

W roku 1972 Joel został zastrzelony na polecenie Ervila i odtąd życie Laviny przestało się układać. Winą za swoje największe zgryzoty obarcza Kenyona Blackmore'a (kuzyna Winstona), niegdysiejszego przywódcę poligamistów z Bountiful w Kolumbii Brytyjskiej. W 1983 roku Kenyon Blackmore ożenił się z dwudziestodwuletnią córką Joela i Laviny, Gwendolyn. Związek ten zatruł życie nie tylko im obojgu, lecz również wielu innym osobom: na przykład Annie Vandeveer Blackmore z Kanady, pierwszej żonie Kenyona. Byli razem od dwudziestu czterech lat. Kenyon długo nie raczył jej wyznać, że popełnił bigamię.

– Widzisz to zdjęcie na ścianie? – pyta Annie z gorzkim uśmiechem, wskazując oprawioną w ramkę okładkę kanadyjskiego „Weekend Magazine" z 29 sierpnia 1956 roku. Na okładce widać dwie piękne siedemnastoletnie kowbojki, dosiadające wspaniałych koni. – Tak właśnie poznałam Kena.

Kowbojki to Annie i jej siostra bliźniaczka. Zdjęcie zrobiono na ich rodzinnym rancho, niedaleko Winnipeg w Manitobie. Dwudziestoletni wówczas Kenyon Blackmore, zapalony jeździec i członek klanu poligamistów z zachodniej Kanady, zobaczył je na okładce czasopisma i natychmiast postanowił ożenić się z jedną ze ślicznych dziewczyn.

– Natknął się na tamten artykuł, napisał do nas i wkrótce zostaliśmy korespondencyjnymi przyjaciółmi. Musiał pojechać na misję do RPA, ale nie przestał przysyłać mi listów. Po powrocie odwiedził nas w Winnipeg. Pobraliśmy się pół roku później, w grudniu pięćdziesiątego dziewiątego.

Równo dziewięć miesięcy po ślubie Annie urodziła Lenę, pierwsze z siedmiorga dzieci, i we trójkę przenieśli się do Provo, gdzie Kenyon zaczął studia na Uniwersytecie imienia Brighama Younga.

W 1966 roku Kenyon dostał w Bountiful posadę nauczyciela. Wtedy, jak mówi Annie:

– Zaczął się domagać kolejnych żon. Przed ślubem wyznał mi, że wśród jego krewnych są poligamiści, ale nie miałam pojęcia, o co chodzi. Na mormonizm przeszłam już po tym, jak poznałam Kena. Nie wiedziałam nic na temat poligamii. Byłam zwykłą córką farmera, prowincjonalną dziewczyną z Manitoby. – Annie z początku starała się być wyrozumiała. – Wychowano mnie na pojednawczą osobę. Całe życie próbowałam spełniać zachcianki męża, robiłam, czego tylko sobie zażyczył. Ale na wielożeństwo po prostu nie mogłam się zgodzić.

Kenyon nic sobie z jej odmowy nie robił. Zupełnie jawnie (i napastliwie) zaczął się zalecać do wyjątkowo urodziwej dziewczyny, za którą oglądało się wielu mężczyzn z Bountiful. Miała na imię Alaire, była adoptowaną córką biskupa Raya Blackmore'a, wuja Kenyona. Jego umizgi (czynione bez zgody biskupa Bountiful i proroka z Colorado City) rozgniewały Raya, aż w końcu polecił swoim synom wygnać bratanka z miasta (a ostatecznie to właśnie Ray poślubił Alaire)[74].

Następne piętnaście lat Kenyon i jego powiększająca się rodzina spędzili na tułaczce po zachodnich stanach Ameryki Północnej. Kenyon najmował się do pracy na ranczach, był garbarzem i cieślą. Nigdzie

nie zagrzał miejsca na dłużej niż rok lub dwa. Annie coraz lepiej rozumiała, że:

– Ja i dzieci byliśmy dla niego niczym. Ken robił, co chciał, z kim chciał, kiedy chciał. Czasem znikał na całe tygodnie i nie dawał znaku życia, nie informował, gdzie jest.

Ich najstarsza córka Lena, dziś czterdziestodwuletnia, przyznaje, że Kenyon fatalnie się wywiązywał z roli ojca.

– Tato jest wrednym sukinsynem – stwierdza dosadnie – choć zrozumiałam to dopiero po trzydziestce. Jest wstrętnym, wstrętnym człowiekiem, inni go w ogóle nie obchodzą. – Kenyon znęcał się fizycznie nad wszystkimi swoimi dziećmi, szczególnie jednak nad Leną. Kiedy miała jedenaście lat, pobił ją brutalnie pasem klinowym od traktora. – Zupełnie bez powodu. Mieszkaliśmy wtedy w Las Cruces [w Nowym Meksyku]. Do dziś mam na nogach blizny.

Na początku lat osiemdziesiątych Kenyonowi zaczęło się lepiej powodzić. Przeniósł się z rodziną do Salem w hrabstwie Utah i prowadził interesy z poczciwym mormonem nazwiskiem Bernard Brady. Kenyon nawrócił Brady'ego na fundamentalizm i obaj zajęli się sprzedażą udziałów w nieopodatkowanych funduszach. Zainwestowali także w legendarną Dream Mine, znajdującą się na zboczu góry ponad Salem. Wkrótce mieli na koncie miliony dolarów. Obaj kupili sobie ogromne domy u podnóża kopalni. Sprawy przybrały dobry obrót.

Kenyon często podróżował w interesach, szukając inwestorów w najróżniejszych zakątkach na zachodzie kontynentu. W roku 1983, podczas jednej z wypraw, w tajemnicy poślubił w Meksyku Gwendolyn Stubbs LeBaron, uroczą córkę Laviny Stubbs i nieżyjącego Joela LeBarona.

To właśnie Kenyon poznał ze sobą Bernarda Brady'ego i swojego starego przyjaciela z Kanady proroka Oniasza, którego spotkał pierwszy raz siedemnaście lat wcześniej w Bountiful. Oniasz przeniósł się do hrabstwa Utah, by zbudować Miasto Schronienia u stóp Dream Mine. Zakładał Szkołę Proroków i zaprosił Brady'ego do współpracy. Brady, mile połechtany tym zaszczytem, odwzajemnił się, przyprowadzając do szkoły pięciu braci ze „wspaniałej" rodziny z hrabstwa Utah: Tima, Watsona, Marka, Dana i Rona Laffertych. Niedługo później krótki flirt Kenyona z bogactwem gwałtownie się zakończył.

Brenda i Erica Lafferty zostały zamordowane w American Fork 24 lipca 1984 roku. Policja od początku uważała Kenyona Blackmore'a i Bernarda Brady'ego (oraz wszystkie osoby mające jakiekolwiek powiązania ze Szkołą Proroków) za głównych podejrzanych. Zresztą obaj biznesmeni byli dobrze znani organom ścigania. W 1983 roku postawiono im (oraz ich dziewiętnastu wspólnikom) zarzuty licznych oszustw i wyłudzenia przeszło trzydziestu dwóch milionów dolarów od trzech tysięcy ośmiuset inwestorów. Prokurator prowadzący sprawę nazwał ich działania „klasyczną piramidą finansową"[75].

Wśród pokrzywdzonych znalazła się druga teściowa Blackmore'a, Lavina Stubbs LeBaron, matka Gwendolyn.

– Dobry Boże, straciłam przez Kenyona masę pieniędzy. Sprzedałam dom i wszystko, co miałam, dałam mu cały utarg. Nie odzyskałam nawet jednego centa. – Co jednak zdumiewające, Lavina nie ma do Blackmore'a pretensji. Jej zdaniem zięć: – Chciał dobrze. Robił, co mógł, po prostu interesy nie wyszły czy coś takiego. Nie byłam na niego zła. Gniew przyszedł dopiero później, kiedy Ken zabrał moją córkę i wnuki do Ameryki Środkowej i wyrządził im te wszystkie potworne krzywdy – mówi.

Bernard Brady, partner Kenyona, został aresztowany, osądzony i w końcu trafił na sześć lat do więzienia. Blackmore wybrał ucieczkę. Zwiał do Meksyku, gdzie Gwendolyn i Lavina dały mu schronienie w Colonia LeBaron.

Jego pierwsza żona, Annie Blackmore, wciąż nie miała pojęcia o istnieniu Gwendolyn.

– Bóg zabronił Kenowi mówić mi o niej – opowiada Annie z goryczą. – Poznałam prawdę tylko dlatego, że pojechałam do Meksyku, by namówić go do powrotu do Utah.

Trudno sobie wyobrazić, jak wielkie musiało to być dla niej upokorzenie. Okazało się, że Kenyon ma nową żonę (w tym samym wieku co ich najstarsza córka), która, co więcej, urodziła mu właśnie dziecko. Córka Gwendolyn przyszła na świat w Colonia LeBaron równo trzy dni przed tym, jak Dan Lafferty poderżnął gardła Brendzie i Erice Lafferty. Dziewczynce dano na imię Evangeline.

Annie musiała wrócić do Utah sama, zupełnie wstrząśnięta. Nie zamierzała jednak poddawać się bez walki.

– Chciałam uratować małżeństwo – mówi.

W styczniu 1985 roku znów wybrała się do Meksyku. Tym razem Kenyon zgodził się pojechać z nią do Utah. Kiedy jednak w El Paso przekroczyli granicę Stanów Zjednoczonych, agenci FBI zatrzymali Kenyona i zakuli w kajdanki. (Dostali cynk od szwagra Blackmore'a, który był jednym z oszukanych inwestorów). Ostatecznie Kenyon zawarł ugodę z oskarżycielami i trafił do więzienia w Tallahassee na Florydzie.

Wyszedł na wolność pod koniec 1991 roku i wrócił do miasta, w którym przyszedł na świat, czyli Cardston w Albercie. Annie dawno już położyła na nim krzyżyk i wystąpiła o rozwód, Kenyon jednak próbował pojednać się ze swoją najstarszą córką. Lena przybyła do Cardston (stolicy kanadyjskiego mormonizmu) i co prawda starała się brać słowa ojca za dobrą monetę, lecz źle się czuła w towarzystwie jego nowej rodziny.

– Lęk mnie ogarniał, kiedy patrzyłam, jak wychowują swoje dzieci – mówi Lena. – Stosowali jakąś dziwaczną naturalną dietę. Ken nie pozwalał im używać mydła ani szczotkować zębów. Dzieci były niedożywione i cuchnęły. Tak samo mój ojciec i jego żona. Po prostu śmierdzieli. Nie dawało się tego wytrzymać.

Czara goryczy się przelała, kiedy Ken ukradł Lenie samochód.

– Jeździłam wtedy fajnym nowym pick-upem, ale trochę brakowało mi gotówki. Tata powiedział, że będzie za mnie spłacał raty i pokryje koszty ubezpieczenia, jeśli ja w zamian pozwolę mu korzystać z auta. – Kenyon nie wywiązał się jednak ze swojej części umowy, o czym Lena dowiedziała się dopiero, kiedy bank zagroził, że przejmie pick-upa. Wpadła w furię i powiadomiła Kanadyjską Królewską Policję Konną. Policja z kolei poinformowała o sprawie kuratora sądowego sprawującego nadzór nad Kenyonem i wkrótce wystosowano nakaz aresztowania. – Ken zdał sobie sprawę, że tym razem zadarł z niewłaściwą osobą – mówi Lena. Wraz z Gwendolyn i dziećmi Kenyon uciekł na południe, do starej kryjówki w Colonia LeBaron.

W Meksyku Blackmore ożenił się po raz trzeci – z przyrodnią siostrą Gwendolyn. Krótko potem wszyscy wyjechali do Ameryki Środkowej. W następnych latach obie żony urodziły mu jeszcze czwórkę dzieci. Kenyon jak zwykle utrzymywał rodzinę, znajdując sobie prace dorywcze. Sprzedawał żywność ekologiczną, był masażystą i drobnym oszustem.

– Zdobywał pieniądze na wszelkie możliwe sposoby – opowiada Evangeline Blackmore, najstarsza córka Kena i Gwendolyn. Dziś Evangeline jest wysoką osiemnastoletnią blondynką o egzotycznej urodzie. W jej głosie słychać lekki meksykański akcent. Opowiada, że Kenyon od czasu do czasu handlował złotem. W Meksyku zajmował się też wyrobem siodeł i innych akcesoriów skórzanych dla

kowbojów. Głównie jednak wyłudzał od ludzi pieniądze. – Mój ojciec jest znakomitym oszustem – mówi Evangeline.

Kenyon Blackmore od zawsze wyznawał dziwne zasady religijne, lecz po wyjściu z więzienia i ucieczce do Ameryki Środkowej stał się prawdziwym ekstremistą.

– Rodzina LeBaronów najwyraźniej podsycała jego dziwną wiarę – mówi Lena. – Uważali go niemal za Boga. Wzajemnie dostarczali sobie pożywki dla swoich fantazji.

W owym okresie, kiedy ciągał młode żony i stadko na wpół zdziczałych dzieci po Ameryce Środkowej, Kenyon otrzymał od Boga liczne objawienia, z których dowiedział się, że jest „ostatnim prorokiem przed powtórnym przyjściem Jezusa Chrystusa". Bóg powiedział nawet, że Jezus przyjdzie na świat jako dziecię z nasienia Kenyona i z dziewiczego łona jego córki. Posłuszny woli Pana, w czerwcu 1996 roku Blackmore ożenił się z Evangeline w jej dwunaste urodziny i odtąd gwałcił ją regularnie. Evangeline opowiada, że ojciec wybrał jej dwunaste urodziny na moment inicjacji seksualnej, gdyż „w tym właśnie wieku Maryja, pierwsza matka Jezusa, zaszła w ciążę". Był też przekonany, że „tylko jej krew będzie odpowiednia" dla spłodzenia Syna Człowieczego.

Gdy Kenyon gwałcił Evangeline:

– Straszył mnie piekłem, jeśli nie będę posłuszna. – Ponieważ jednak wciąż stawiała opór – rzucał mnie na ziemię, bił pięściami i zakrywał mi usta, kiedy próbowałam krzyczeć – aż w końcu nie mogła już znieść kolejnych ciosów, i zaczęła biernie ulegać kazirodczemu molestowaniu ze strony swojego sześćdziesięcioletniego ojca. – Miałam zaledwie dwanaście lat – mówi Evangeline ze zdumiewającym opanowaniem. – Nie rozumiałam do końca, co się dzieje, wiedziałam tylko, że mi się to nie podoba. Czułam się wstrętnie. Ojciec nie pozwalał mi mieć przyjaciół i w ogóle z nikim rozmawiać.

Blackmore często pościł i zmuszał rodzinę, by pościła razem z nim.

– Stosował dietę składającą się wyłącznie z soku pomarańczowego albo wody z cytryną – mówi Evangeline. Zaczął wierzyć, że jeśli oczyści swoje ciało, będzie mógł przenosić góry i przechodzić przez ściany.

Wszystkich ludzi – prócz siebie – uważał za złych i zepsutych. Marzył, że „znajdzie jakieś niewinne indiańskie plemię i nawróci je na swoją wiarę", po czym zacznie poprawiać je rasowo, zapładniając kobiety „swoim czystym nasieniem".

Gwałcona regularnie przez ojca Evangeline zaszła po kilku miesiącach w ciążę, ale poroniła. W kwietniu 1997 roku, po kolejnej niedonoszonej ciąży, Kenyon wypędził ją z domu i zostawił samą w Gwatemali. Dziewczynka nie miała nawet trzynastu lat. „Przez cztery miesiące żyłam w pojedynkę – wspomina. – Wreszcie skończyło mi się jedzenie i zamieszkałam u przyjaciół w stolicy". Po pół roku przyjaciele ci zdołali wreszcie skontaktować się z babcią Evangeline, Laviną, która przyjechała do Gwatemali i zabrała dziewczynkę do siebie.

Dziś Evangeline mieszka na Środkowym Zachodzie. Ma męża i synka. Biorąc pod uwagę, co przeszła, życie układa jej się dobrze. Lęka się jednak o swoje młodsze rodzeństwo, zwłaszcza sześć sióstr, które wciąż podróżują z Kenyonem Blackmore'em, tułając się zapewne po Ameryce Środkowej i Południowej. Ojciec, mówi Evangeline, zamierza „poślubić" każdą z córek, kiedy ta skończy dwanaście lat.

– Niepokoi mnie ich los. Boję się, że je zgwałci. Ja sama nie mogę o tym zapomnieć. Tego rodzaju przeżycia… Tego rodzaju przeżycia nigdy nie dają spokoju, zawsze masz je z tyłu głowy.

Najstarsza z sióstr Evangeline skończyła dwanaście lat w maju 2001 roku, kolejna w lutym 2003,

następna będzie miała dwanaście lat w lipcu 2004.

22

Reno

Joseph Smith przekazał swoim wyznawcom kłopotliwą spuściznę. Po pierwsze, każdy czyn służący Dziełu Bożemu uważał za usprawiedliwiony. Po drugie, głosił hasło „Królestwo albo nic”. Niektórzy próbowali umniejszać znaczenie masakry w Mountain Meadows i przedstawiać ją jako odosobniony przypadek, anomalię we wspaniałych dziejach Utah i mormonizmu. W istocie jednak masakra stanowiła wcielenie w czyn radykalnych doktryn Smitha. Niestrudzona praca Brighama Younga na rzecz budowy Królestwa Bożego zrodziła kulturę przemocy, opartą na teologii Josepha Smitha i będącą utrapieniem dla kolejnych proroków. Osobliwa obsesja wczesnego mormonizmu na punkcie krwi i zemsty zaowocowała powstaniem wspólnoty, w której pogromy były nie tylko możliwe, ale wręcz nieuchronne. Nawet rodzina Younga doświadczyła okrutnych skutków owej obsesji. W 1902 roku w Nowym Jorku William Hooper Young, wnuk proroka, rozpłatał brzuch prostytutce, po czym zapisał w notatniku słowa „Pokuta Krwi”.

Will Bagley, *Blood of the Prophets*

Dan Lafferty poderżnął gardło Brendzie Lafferty i patrzył, jak życie wypływa z niej na kuchenną podłogę wraz z lepką karmazynową krwią. Była mniej więcej druga po południu, 24 lipca 1984 roku. Pierwsza połowa objawienia o usunięciu została wypełniona. Ron Lafferty zawiózł następnie Dana, Chipa Carnesa i Ricky’ego Knappa do domu Chloe Low, znajdującego się przy nieasfaltowanej ulicy w Highland. Zamierzali „usunąć” Low zgodnie z Bożym nakazem, a następnie udać się do domu Richarda Stowe’a, prezydenta zboru LDS w Highland, i dokończyć dzieło. Dopiero wtedy mogliby zabrać się do budowy Miasta Schronienia obok Dream Mine i przygotowywać się na Dni Ostatnie.

Gdy zajechali do domu Low, Ron zaparkował impalę w bocznej uliczce, następnie zaś wraz z Danem podkradli się do okna, by sprawdzić, kto jest w środku. Dom okazał się pusty. Rodzina Low pojechała do swojej letniej chaty nad Bear Lake, niedaleko granicy Utah i Idaho, by spędzić tam Dzień Pioniera. Ron wrócił do auta i powiedział do Carnesa i Knappa: „Skoro nikogo nie ma, poszukamy, czy zostawili jakąś broń, pieniądze albo cokolwiek, co może nam się przydać”. Wjechali więc pod wiatę na podjeździe przed domem. Ron wziął strzelbę i kazał Carnesowi stać na czatach.

Dom znał doskonale; przez wiele lat bywał tu w odwiedziny. Bez trudu zdjął okno i z pomocą Dana i Knappa wyłączył alarm przeciwwłamaniowy. Wdarłszy się do środka, wszystko splądrowali. W międzyczasie przed dom zajechali dwaj chłopcy z okolicy w hałaśliwej terenówce. Carnes, który musiał sprawiać bardzo podejrzane wrażenie – nie dość, że trzymał winchestera, to jeszcze mimo lipcowego upału miał na głowie kominiarkę narciarską – natychmiast ukrył się w krzakach. Chłopcy podeszli do drzwi wejściowych i długo w nie walili. Dan i Ron postanowili to zignorować i nawet na chwilę nie przerwali poszukiwań. Po paru minutach chłopcy wrócili do swojego samochodu i odjechali, pozostawiając za sobą tylko chmurę sinego dymu.

Ron, Dan i Knapp ukradli sto dolarów, zegarek, kluczyki od samochodu i trochę biżuterii. Na koniec Ron porozbijał figurki z drezdeńskiej porcelany, które kolekcjonowała Chloe. Wyszli przez okno na tyłach domu, zgarnęli Carnesa, który wciąż jeszcze siedział w krzakach, i odjechali.

Przyszła kolej na Richarda Stowe’a. Knapp prowadził samochód, a Ron mówił mu, którędy jechać. W pewnym momencie Knapp przegapił skręt.

– Ron zawołał: „Cholera, powinniśmy tu skręcić!” – opowiada Dan. – Ale nie mieliśmy już ochoty na wypełnianie objawienia.

Przez chwilę we czterech rozważali, czy zawrócić i pojechać do domu Stowe'a. Carnes, którego ogarniał coraz większy strach, błagał Rona, aby dał spokój objawieniu. „Gdyby Pan chciał, żebyś dzisiaj jeszcze kogoś zabił, już byśmy byli na miejscu", przekonywał. Ku jego zaskoczeniu i ogromnej uldze Ron przytaknął i kazał Knappowi jechać dalej, aż do szosy międzystanowej numer 15.

Prezydent Stowe był akurat w domu. Postanowił wykorzystać dzień wolny na porządki i z pomocą syna rozebrał betonowe schody przed wejściem. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby Ricky Knapp nie przegapił skrętu. Biorąc jednak pod uwagę, ile broni mieli bracia Lafferty, nietrudno wyobrazić sobie prawdziwą jatkę.

W Salt Lake City Knapp zjechał z międzystanowej numer 15 na międzystanową numer 80. Dan przez cały czas trzymał na kolanach strzelbę z upiłowaną lufą, na wypadek gdyby zatrzymała ich policja. Kierowali się do Reno w stanie Nevada.

W końcu Knapp zebrał się na odwagę i zapytał, co dokładnie wydarzyło się w domu Allena i Brendy Laffertych. Dan szczegółowo opowiedział Knappowi, jak zabił Brendę i jej dziecko. Powtórzył to później niemal słowo w słowo w zeznaniach złożonych przed sądem w roku 1996. Jasno dał Knappowi i Carnesowi do zrozumienia, że osobiście poderżnął gardła Brendzie i Erice.

Ale Chip Carnes zapamiętał wszystko inaczej. Zeznając podczas tego samego procesu, utrzymywał, że podczas długiej drogi w upale z Salt Lake City do Nevady to Ron zdał Knappowi relację o morderstwach. Przy czym wersja Rona miała się różnić od wersji Dana jednym, niezwykle istotnym szczegółem. Według Carnesa:

> gdy tylko Ron wszedł do środka, uderzył [Brendę] z całej siły, a ona upadła znów na podłogę. Ron mówił, że wyzywał ją od dziwek i, no wiadomo, powiedział jej, co o niej myśli.
>
> Mówił, że ona go błagała, prosiła, żeby przestał. Ale on bił ją dalej. Mówił, że ona ciągle próbowała się podnieść.
>
> Dan więc ją przytrzymał, a Ron przeciął kabel od odkurzacza i okręcił go wokół jej szyi, i odczekał, aż Dan dał mu znać, że straciła przytomność.
>
> Mówi, że następnie pozbył się kabla i razem z Danem przenieśli ją do kuchni, położyli na podłodze, a potem Ron poderżnął jej gardło. Mówił, że poderżnął jej gardło od ucha do ucha, pokazał nawet, jak to zrobił […].
>
> Trochę później Ron wyciągnął nóż… Wyciągnął nóż, który miał schowany w bucie. Stukał się nim w kolano i powtarzał: „Zabiłem ją. Zabiłem ją. Zabiłem tę sukę. Nie mogę uwierzyć, że ją zabiłem". Chwalił się, że spuchły mu knykcie, że może nawet złamał sobie rękę, kiedy ją bił.

Według zeznań Carnesa Ron nie tylko miał się chwalić, że poderżnął Brendzie gardło, lecz także opisał z okrutnymi detalami, jak zaraz po tym odgiął jej głowę do tyłu i:

> otworzył ranę, żeby krew szybciej wypłynęła i w ogóle. Mówił, że potem oddał nóż Danowi. Odwrócił się i rzucił na mnie okiem, a potem powiedział do Dana: „Dzięki, bracie, że zająłeś się dzieckiem, nie wiedziałem, czy dam radę". A Dan na to: „Żaden problem".

Dan potwierdza tylko dwa ostatnie zdania. Reszta zeznań Carnesa jest, jak twierdzi, fikcją. Dan utrzymuje, że to on, a nie jego brat, zabił Brendę, i podkreśla, że w przeciwieństwie do Carnesa nie miał powodu, by kłamać. Prokurator chciał oskarżyć Carnesa o zabójstwo i wnioskować o wyrok śmierci, ale „zgodził się na ugodę" w zamian za pomoc w skazaniu braci Lafferty za morderstwo z premedytacją.

Dan Lafferty był „trochę zaskoczony", że Chip Carnes przypisał winę Ronowi…

– Ale najwyraźniej namówił go do tego prokurator. Albo po prostu coś mu się pokręciło. W każdym razie nie winię Chipa. To była naprawdę mocna historia i kiedy opowiedziałem ją w samochodzie, pewnie miał problem, żeby się we wszystkim połapać.

Być może nie ma znaczenia, kto faktycznie trzymał nóż. Wszak obaj bracia mieli krew na rękach –

w przenośni i dosłownie. Morderstw dokonali wspólnie. Zginęła kobieta o dobrym sercu oraz jej maleńka córeczka. Gdy Ron, Dan, Carnes i Knapp jechali na zachód wśród oślepiająco białych piasków Bonneville Salt Flats, nic już nie mogło tego zmienić.

Uciekinierzy dotarli do Nevady około osiemnastej. Gdy tylko znaleźli się za granicą Utah, zjechali z autostrady i wynajęli apartament w motelu w miasteczku Wendover. Mieli za sobą długi dzień. Byli wykończeni. Dan uprał w wannie zakrwawione ubrania, po czym cała czwórka udała się do podrzędnego sklepu połączonego z kasynem, gdzie kupili piwo i hot dogi na wynos.

Koło dwudziestej trzeciej siedzieli w pokoju, „gdy nagle Ron stwierdził, że trzeba się stąd zbierać", opowiadał Carnes. W pośpiechu zapakowali rzeczy do impali i ruszyli. Kierowcą znów był Knapp. Po chwili w lusterku wstecznym ujrzał migające światła radiowozu.

Zjechał na pobocze i wysiadł z auta, by porozmawiać z policjantem. Pozostali siedzieli w środku z bronią w ręku, gotowi strzelać, gdyby patrolowy zorientował się, że ma do czynienia ze ściganymi. Tak się jednak nie stało. Policjant powiedział Knappowi, że w samochodzie nie palą się tylne światła, a z baku wycieka paliwo. Knapp obiecał posłusznie, że wszystko naprawi. Policjant kazał mu wrócić do Utah, bo nie życzy sobie, żeby impala wyleciała w powietrze w Nevadzie, w jego rewirze, po czym odjechał w ciemną noc.

Czterej uciekinierzy odetchnęli z ulgą, po czym wymienili bezpiecznik w tylnych reflektorach, ale kiedy tylko włączyli światła, bezpiecznik natychmiast znowu się przepalił. Wrócili więc do motelu, żeby zaczekać do poranka. Ron i Dan zostawili wszystkie rzeczy w samochodzie i położyli się spać. Knapp i Carnes byli jednak zbyt przerażeni spotkaniem z policjantem i postanowili pójść po papierosy.

– Chodziliśmy w kółko – mówił Carnes. Ogarnęły go złe przeczucia. – Powiedziałem Ricky'emu, co sądzę o tym wszystkim. On mi na to, że uważa dokładnie tak samo. – Carnes wyznał więc Knappowi, że zamierza uciec. „Zabieram się stąd. Jak tylko tamci dwaj zasną, daję nogę".

Carnes i Knapp wrócili do pokoju. Zachowywali zimną krew, żeby Ron i Dan nie połapali się, że coś jest nie w porządku. Jak zeznał później Carnes:

– Kiedy tylko zasnęli, zabrałem kluczyki i powiedziałem Ricky'emu: „No to na razie". Ricky szepnął: „Poczekaj, idę z tobą".

Carnes i Knapp wypchnęli impalę na szosę, by śpiący bracia nie usłyszeli uruchamianego silnika, po czym odjechali. Knapp prowadził, cały czas trzymając lewą nogę na hamulcu – dzięki temu paliły się światła hamulcowe i nie było ryzyka, że znów zatrzyma ich policja.

Pojechali na zachód szosą międzystanową numer 80, a następnie autostradą numer 93 na północ, w kierunku Twin Falls w Idaho. Postanowili dotrzeć okrężnymi drogami do Cheyenne w Wyoming, gdzie mieszkał brat Carnesa, Gary. Podczas podróży znaleźli w samochodzie wiele dowodów zbrodni: nóż do filetowania mięsa, którym zabito Brendę i Ericę, worek na śmieci z zakrwawionymi ubraniami, zieloną walizkę zawierającą dwie brzytwy. Wszystko wyrzucili przez okno.

Do domu Gary'ego Carnesa dotarli w czwartek rano. Cztery dni później policjanci zauważyli impalę na podjeździe i aresztowali obu mężczyzn. Ponieważ Carnes i Knapp byli powiązani z braćmi Lafferty i uczestniczyli w ich morderczej krucjacie, groziła im kara śmierci. Obaj natychmiast poszli więc na współpracę w zamian za łagodniejszy wymiar kary. Dzięki temu śledczy znaleźli narzędzie zbrodni oraz inne dowody rzeczowe, których dwaj spanikowani uciekinierzy próbowali się pozbyć podczas podróży przez Nevadę, Idaho i Wyoming. Knapp i Carnes dostarczyli też policjantom wskazówek co do

miejsca pobytu braci Lafferty. Zeznali, że Ron i Dan planowali wybrać się do Reno.

Bernard Brady, inwestor w Dream Mine i partner biznesowy Kenyona Blackmore'a, który przedstawił braci Lafferty prorokowi Oniaszowi, wrócił z pracy w środowe popołudnie 25 lipca.

– Przed domem, na całej ulicy, stały radiowozy. Wszedłem do środka zobaczyć, co się dzieje. W domu roiło się od policjantów. Żona i dzieci siedzieli na kanapie, zupełnie przerażeni. Zagrożono im, że jeśli zrobią choćby najmniejszy ruch, policja zacznie strzelać.

Śledczy niemal rozbierali dom na kawałki w poszukiwaniu dowodów. Gdy tylko Brady przekroczył próg, ponury detektyw kazał mu „usiąść i zamknąć gębę".

Brady, zagniewany, że traktuje się go jak podejrzanego, zażądał nakazu rewizji.

– Gdy mi go pokazali, zauważyłem, że wpisano zły adres. Nakaz pozwalał im przeszukać inny dom, znajdujący się trochę dalej, po drugiej stronie ulicy. Powiedziałem jednemu z policjantów, że ich działania są nielegalne. Tamten przekazał informację szeryfowi, a szeryf stwierdził, że nakaz jest w porządku.

Poszukiwania przyniosły skutek. Śledczy znaleźli oświadczenie Brady'ego z 9 kwietnia, w którym ten wyznał, że wiedział o objawieniu Rona Lafferty'ego, ale nie chciał mieć ze sprawą nic wspólnego. W ręce policji wpadły też dokumenty Szkoły Proroków oraz komputer, na którym Ron spisał większość swoich objawień (aczkolwiek objawienia o usunięciu nie było na dysku). Wkrótce policja zdobyła kolejny nakaz rewizji, tym razem w pustostanie, gdzie Ron pomieszkiwał, zanim wyruszył w podróż w towarzystwie Dana. Tam, w jednej z szaf, znaleziono flanelową koszulę, a w jej kieszeni notatkę sporządzoną starannym pismem Rona. Był to oryginał fatalnego objawienia.

W nocy 24 lipca w pokoju motelowym w Wendover bracia Lafferty natychmiast po położeniu się do łóżek zapadli w głęboki sen. Obudzili się następnego ranka i odkryli, że Knapp i Carnes zniknęli, zabierając impalę i cały ich dobytek. Dan twierdzi, że ani on, ani jego brat nie wpadli w gniew.

– Pomyślałem, że to nawet lepiej. Nie miałem pretensji do tamtych. Sądziłem, że było nam to pisane, skoro spaliśmy tak mocno.

Bracia przegadali wszystkie możliwości i postanowili się rozdzielić, przebyć Nevadę autostopem i spotkać się ponownie w kasynie John Ascuaga's Nugget w Reno-Sparks, które odwiedzili już wcześniej tego lata, podczas poprzedniej podróży.

Dan postanowił łapać stopa na poboczu szosy międzystanowej numer 80. Od razu zgarnął go kierowca osiemnastokołowej ciężarówki, jadący aż do Reno. Tam Dan przenocował w zabytkowej lokomotywie w miejskim parku, następnego dnia zaś poszedł do kasyna Nugget i kręcił się po nim, póki nie zjawił się Ron.

Bracia spotkali się przed wejściem. Wtedy właśnie, jak opowiada Dan, „jeden duży facet, Bud, wytoczył się na zewnątrz i zaraz obrzygał chodnik. Z kieszeni wypadł mu portfel. […] W życiu nie widziałem tak grubego portfela". Dan podniósł go i oddał właścicielowi. Bud odwdzięczył się, pozwalając braciom przenocować u siebie na podłodze. Zaprosił ich też na narty wodne następnego ranka. Kolejny dzień upłynął im więc na przyjemnym odpoczynku nad krystalicznym jeziorem Tahoe. Pili piwo i jedli kanapki, Bud fundował. Postawił im też solidną kolację w Truckee, a na koniec odwiózł ich do centrum Reno.

Przez następne dwa tygodnie Ron i Dan kręcili się po Sparks i Reno, podróżując darmowym piętrowym autobusem. Żyli dzięki promocyjnym gratisom z okolicznych kasyn. Zaprzyjaźnili się też

z kierowcą autobusu, który pozwolił im spać w pojeździe, „co było prawdziwym błogosławieństwem”. Po ostatnim nocnym kursie bracia chowali się pod siedzeniami, a kierowca odstawiał pojazd na strzeżony parking. Według Dana „na szerokich, miękkich siedzeniach z tyłu spało się całkiem nieźle”.

Większość czasu spędzali w ogromnych klimatyzowanych salach Peppermill Casino. Dan zapamiętał, że był tam „ogromny ekran, na którym leciała transmisja z igrzysk olimpijskich [w Los Angeles]. Za okazaniem dowodu tożsamości dostawało się też darmowy kupon na parę żetonów do gry i gratisowe nachosy. Ron miał dowód – ja nie – więc graliśmy za otrzymane żetony, póki nie uskładaliśmy na coś do jedzenia. Czasami się to udawało, ale raczej rzadko”.

Pewnego dnia braci Lafferty zaczepił nieznajomy człowiek.

– Miał brodę i różowe okulary, które zasłaniały mu oczy. – Dał im skręta z „naprawdę dobrym ziołem”, zadał „kilka dziwnych pytań”, a na koniec pożyczył Danowi swój dowód tożsamości, dzięki czemu Dan również mógł zbierać kupony na darmowe żetony i nachosy. Od tej pory – mogliśmy liczyć na co najmniej dwie porcje nachosów dziennie – choć zazwyczaj nie udawało się im zdobyć nic więcej do jedzenia. – Ciągle chodziliśmy głodni – przyznaje Dan – ale ilekroć potrzebowaliśmy jedzenia, ktoś je nam oferował. Jakaś para zaprosiła nas na sobotniego grilla. Dzieciak, który łowił ryby w małej rzeczce płynącej przez Reno, postawił nam zupę i sałatkę, a akurat kiszki naprawdę nam marsza grały. – Obcy facet w psychodelicznych okularach… – spotykał nas co parę dni i pytał, jak się miewamy. – Dan do dziś uważa, że był to anioł stróż zesłany przez Boga.

Podczas poprzedniej wizyty w Reno Ron i Dan poznali kobietę imieniem Debbie, która pracowała w Circus Circus jako krupierka przy stole do blackjacka. Zaprzyjaźnili się z nią, nocowali u niej w mieszkaniu, a kiedy wychodziła do pracy, zajmowali się jej dzieckiem. Dan twierdzi, że:

– Pewnego dnia zdarzyło się coś niezwykłego, wręcz cudownego. – Debbie kupiła swojemu synkowi szczeniaczka, pies jednak zachorował: miał psiego parwowirusa, co z reguły kończy się śmiercią zwierzęcia. Dan położył dłonie na głowie psa i pobłogosławił go. – Zwierzak natychmiast ozdrowiał. Debbie nie mogła wyjść ze zdumienia. Ja również, ale udawałem, że to nic wielkiego[76].

Podczas drugiego pobytu w Reno Ron chciał wstąpić do Circus Circus i odszukać Debbie. Dan jednak wspominał o niej w swoim dzienniku (który na pewno wpadł już w ręce policji) i mieszkanie zapewne było pod obserwacją. „Jeśli do niej pójdziemy, na sto procent zostaniemy aresztowani”, ostrzegał brata.

Dan mówi:

– O ile sobie przypominam, Ron nic nie odpowiedział, po prostu ruszył naprzód [w stronę kasyna, gdzie pracowała Debbie i gdzie zapewne czekali już policjanci]. Więc pomyślałem: „No cóż, skoro nasza godzina wybiła, to w porządku”.

Bracia Lafferty odwiedzili kasyno Circus Circus wczesnym popołudniem 7 sierpnia, ale nie zastali tam Debbie. Dan poradził się Rona: „Mam o nią zapytać?”, chociaż wiedział, że będzie to oznaczało wejście w pułapkę. Ron odpowiedział twierdząco. Kiedy Dan podszedł do menedżera sali i powiedział, że chce porozmawiać z Debbie, „facet zrobił wielkie oczy i zaraz zniknął”.

Ron i Dan poszli do jednej z restauracji w kasynie i ustawili się w kolejce do bufetu. Po chwili Dan zauważył ludzi wyglądających na agentów FBI.

– Rozglądali się na wszystkie strony i w ogóle – wspomina. Niemal w tym samym momencie za naszymi plecami pojawiła się cała armia gliniarzy. Przystawili nam broń do głów i krzyczeli: „Nie ruszać się albo rozwalimy wam łby!”. A ja się tylko uśmiechnąłem. To było w sumie zabawne.

Bracia Lafferty nie stawiali oporu. Zabrano ich do więzienia w Reno i przydzielono im najsurowszy dozór.

23

Sąd w Provo

> Analiza krytyczna biografii i przekonań guru wskazuje, że stosowane przez nas etykietki psychiatryczne i nasze przekonania na temat tego, co jest, a co nie jest chorobą psychiczną, są żałośnie nieadekwatne. Jak można, na przykład, odróżnić nieortodoksyjną czy dziwaczną wiarę od ułudy? […]
> Guru to osoby wyalienowane, zależne od swoich uczniów, niepodlegające krytyce ze strony współczesnych czy choćby władz któregokolwiek z Kościołów. Stoją ponad prawem. Guru uzurpuje sobie rolę Boga. To, czy dany guru cierpiał na psychozę maniakalno-depresyjną, schizofrenię, czy też jakąkolwiek inną rozpoznawalną, możliwą do zdiagnozowania formę choroby, jest interesujące, ale ostatecznie nie ma znaczenia. Tym, co odróżnia guru od ortodoksyjnych nauczycieli duchowych, nie są maniakalno-depresyjne wahania nastrojów, nie zaburzenia myśli, nie iluzoryczne przekonania, nie halucynacyjne wizje, nie mistyczne stany ekstazy: jest to ich narcyzm.
>
> Anthony Storr, *Kolosy na glinianych nogach*, przeł. Jerzy Prokopiuk, Przemysław Jan Sieradzan

Jest poniedziałkowy poranek 5 sierpnia 2002 roku. Mimo wczesnej godziny nad chodnikami widać już rozedrgane z gorąca powietrze. Biznesmeni i kupcy zmierzają do pracy ulicą przed budynkiem Czwartego Sądu Okręgowego w Utah. Zegar wiszący na sali sądowej pokazuje 9.21, gdy nagle woźny woła swym donośnym głosem:

– Proszę wstać! Przewodniczy sędzia Steven Hansen! – Cichnie szmer rozmów na galerii. Chwilę potem otwierają się boczne drzwi i wyłania się z nich sześćdziesięciojednoletni Ron Lafferty pod eskortą czterech uzbrojonych zastępców szeryfa. Ma na sobie pomarańczowy kombinezon z napisem WIĘZIEŃ na plecach.

Jego rudobrązowe, starannie przystrzyżone włosy (rzednące nieco na czubku głowy) przetykane są tu i ówdzie pasemkami siwizny. Według więziennych plotek przez ostatnie kilka miesięcy obsesyjnie podnosił ciężary, co potwierdzają jego grube ramiona. Ron, z dłońmi niewygodnie skutymi za plecami, siada obok swojego obrońcy i wbija w sędziego wyzywające spojrzenie.

Zastępcy szeryfa sprawiają wrażenie czujnych i niespokojnych. Poważnie podchodzą do swoich obowiązków. Człowiek, którego eskortują, został skazany na śmierć za zamordowanie młodej kobiety i jej małej córeczki i teraz nie ma już nic do stracenia.

– Dzień dobry, panie Lafferty – mówi sędzia Hansen oficjalnym, ale przyjaznym tonem.

– Jak leci, Stevie, głupku? – odpowiada Ron z bezczelnym uśmieszkiem. Sędzia zaczyna tłumaczyć, czemu więzień został dziś doprowadzony przed sąd z celi śmierci, lecz po chwili Ron mu przerywa. – Przecież wiem, o co tu chodzi, pierdolony niedorozwoju!

Sędzia niewzruszony obelgą informuje Rona, że stan wydał nakaz egzekucji i skazany ma trzydzieści dni na powiadomienie sądu, czy zamierza się po raz ostatni odwoływać od wyroku. Jeśli się na to nie zdecyduje, wyznaczona zostanie data wykonania kary. Sędzia mówi też, że stan przydzieli Ronowi nowego obrońcę na czas apelacji. Ron odpowiada, że chce Rona Yengicha. (Yengich to prawnik, który wynegocjował kontrowersyjną ugodę w sprawie Marka Hofmanna, fałszerza i mordercy). Następnie dodaje:

– Wykorzystam wszelkie dostępne ścieżki odwoławcze. – Zamierza walczyć z władzami stanowymi do samego końca.

Minęło ponad siedemnaście lat, odkąd na tej samej sali sądowej Ron został skazany na śmierć przez

rozstrzelanie za zabójstwo Brendy i Eriki Lafferty. Na razie wyroku nie wykonano. Kolejne rozgrywki prawne Rona sprawiają, że gehenna rodziny Brendy co rusz rozpoczyna się na nowo.

– Sprawy sądowe ciągnęły się długo, było to niełatwe – przyznaje LaRae Wright, matka zamordowanej. – Moje dzieci bardzo to przeżywają, mąż także. Ale tak bywa. Teraz jakoś sobie radzimy. Cieszymy się, że Brenda jest w lepszym świecie, gdzie nie spotka jej już żadna krzywda.

– Brenda miałaby dziś czterdzieści dwa lata – mówi jej starsza siostra Betty Wright McEntire. – Wszyscy strasznie za nią tęsknimy. Podczas pierwszego procesu prokuratorzy nie chcieli, żebyśmy przychodzili na rozprawy. Martwili się o tatę, że tego nie wytrzyma.

Zaraz po morderstwach policja zatrzymała jako dowody większość rzeczy należących do Brendy.

– To, co nie było im potrzebne w śledztwie, trafiło do magazynu – opowiada Betty. – Allen nie chciał płacić za wynajem schowka, więc właściciele magazynu zadzwonili do nas i mama pojechała do American Fork po rzeczy Brendy. Kiedy tato zaczął je przeglądać, kartkować dzienniki i wycinki, zupełnie się załamał. Płakał i płakał, bez opamiętania. Czytał jej zapiski i powtarzał sobie: „Dlaczego jej nie uratowałem? Dlaczego jej stamtąd nie zabrałem?”. Uważał, że zawiódł jako ojciec, bo nie zdołał ochronić Brendy. Czuł się odpowiedzialny za śmierć córki i pierwszej wnuczki. Długo nie potrafił się z tym uporać.

Kiedy w grę wchodzi kara śmierci, postępowanie sądowe musi być, rzecz jasna, prowadzone nadzwyczaj starannie, by uniknąć skazania niewinnej osoby. Jednak na skutek przeciągających się procedur amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości rany ojca, matki i rodzeństwa Brendy są wciąż na nowo rozjątrzane.

Podczas pierwszego procesu w 1985 roku obrońca z urzędu przydzielony Ronowi próbował dowieść jego niepoczytalności i w ten sposób zmienić kwalifikację czynu z morderstwa z premedytacją na nieumyślne spowodowanie śmierci. Ron jednak zdecydowanie sprzeciwił się tej taktyce, choć dzięki niej z dużym prawdopodobieństwem uniknąłby plutonu egzekucyjnego. Nie zgodził się, aby obrona powoływała biegłych psychiatrów. Sędzia J. Robert Bullock obawiał się, że Ron nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji, powiedział więc:

– Panie Lafferty, pozostawia pan przysięgłym dwie drogi: mogą uznać pana za winnego lub niewinnego morderstwa pierwszego stopnia.

– Wiem, wysoki sądzie – odrzekł Ron.

– I rozumie pan, że jeśli uznają pana za winnego, orzeczona zostanie kara, i że przysięgli mogą zadecydować o karze śmierci?

– Rozumiem – rzekł Ron. – Mimo to nie zamierzam iść na żadne ustępstwa. Byłoby to przyznanie się do winy.

Ron upierał się, że jest poczytalny, i nie pozwolił adwokatowi wykorzystać tej linii obrony w celu zmiany kwalifikacji czynu. Zrezygnowano więc z powołania biegłych i świadków, którzy zeznaliby, że oskarżony jest religijnym szaleńcem. Jedynym świadkiem obrony była matka Rona, Claudine Lafferty. Podczas składania zeznań zupełnie się załamała. Zaczęła płakać, następnie zaś skłamała, że nie miała pojęcia, iż Ron i Dan planowali zamordowanie jej synowej i wnuczki. Kiedy po zaledwie dwóch godzinach i czterdziestu pięciu minutach obradowania przysięgli uznali Rona za winnego wszystkich stawianych mu zarzutów, nikt nie był tym zaskoczony – z wyjątkiem samego oskarżonego.

Po wyroku Ronowi przydzielono nowych obrońców. Ci złożyli apelacje do sądu okręgowego i sądu

najwyższego Utah. Obie zostały odrzucone, prawnicy jednak nie dali za wygraną. W roku 1991 sprawa trafiła do Dziesiątego Okręgowego Sądu Apelacyjnego w Denver w Colorado, który podjął szokującą decyzję i unieważnił wyrok z roku 1985. Według uzasadnienia w niższej instancji nie dotrzymano standardów ochrony prawnej, gdyż uznano Rona za osobę poczytalną.

Sąd przyznał, że Ron rozumiał stawiane mu zarzuty i ich konsekwencje, lecz „wskutek swojej psychozy i paranoi nie potrafił dokonać właściwej interpretacji". Świadczyło o tym przekonanie Rona, że nie musi być posłuszny przepisom prawa, gdyż działał zgodnie z wolą Bożą. Sędziowie uznali to za dowód, że skazany ma nie po kolei w głowie. Stan Utah powinien więc osądzić go ponownie, ustaliwszy najpierw, czy według kryteriów wykorzystywanych w postępowaniu sądowym Ron jest osobą zdrową psychicznie.

Decyzja miała poważne konsekwencje dla Rona Lafferty'ego oraz rodziny ofiar, lecz nie tak poważne jak dla późniejszego orzecznictwa amerykańskich sądów w sprawach brutalnych przestępstw z pobudek religijnych. Prokurator generalny Utah Jan Graham mówiła: „Decyzja ta może mieć bardzo dalekosiężne skutki", i przestrzegała przed precedensem, który dałby fanatykom religijnym „ochronę" przed wymiarem sprawiedliwości.

Również teologowie poświęcili orzeczeniu sporo uwagi. Peggy Fletcher Stack, popularna publicystka, autorka tekstów poświęconych problematyce religii, pisała w „Salt Lake Tribune": „Stwierdzenie, że każdy, kto rozmawia z Bogiem, ma nie po kolei w głowie, wiąże się z ogromnymi konsekwencjami dla całego świata wiary i z narzucaniem świeckich kryteriów zdrowia psychicznego. Z tego punktu widzenia religijność jako taka zostaje zrównana z szaleństwem". Szczególnie ważne było to dla mormonów – w zasadzie cała ich doktryna opiera się na bezpośredniej komunikacji z Wszechmogącym.

Konieczność rozpoczęcia od nowa procesu Rona Lafferty'ego raczej nie wzbudziła entuzjazmu prokuratury Utah, lecz zastosowano się do decyzji Dziesiątego Sądu Apelacyjnego. Na początek trzeba było ustalić, czy Ron jest osobą poczytalną. Pod koniec roku 1992 trzej biegli psychiatrzy zbadali Rona, po czym oświadczyli w Czwartym Sądzie Okręgowym w Provo, że oskarżony nie może stanąć przed sądem.

Ron został przeniesiony z celi śmierci w Point of the Mountain do szpitala stanowego Utah. Prokuratura nadal jednak domagała się egzekucji i nie zamierzała składać broni. W lutym 1994 roku, po szesnastu miesiącach psychoterapii (oraz podawania antydepresantów i leków przeciwpsychotycznych), przeprowadzono kolejne badania. Prokuratura wyznaczyła swoich biegłych, obrona swoich. Ci pierwsi okazali się bardziej przekonujący. Sędzia Steven Hansen orzekł, że Ron jest na tyle poczytalny, by mógł być ponownie sądzony za zamordowanie Brendy i Eriki Lafferty.

Ron i Dan po aresztowaniu stanowczo odmawiali wszelkiej współpracy ze śledczymi. Wykręcali się od odpowiedzi na pytania albo odpowiadali półsłówkami. Przez lata żaden z nich do niczego się nie przyznawał. Jednak w połowie lat dziewięćdziesiątych Dan zmienił podejście. Pogodził się z faktem, że resztę życia spędzi za kratami. Ba, uznał, że jego skazanie i osadzenie to zasadnicze punkty Bożego planu. W konsekwencji nabrał chęci, by szczerze i otwarcie opowiadać o wydarzeniach z 24 lipca 1984 roku. Według jego wersji – uważanej powszechnie za dosyć wiarygodną – to on poderżnął gardła Erice i Brendzie Lafferty, a Ron nikogo nie zabił. Wtargnął jednak do domu Brendy i – o czym Dan opowiada w koszmarnych detalach – katował ją, bił mimo błagań o litość, aż jej twarz zamieniła się w krwawą miazgę. Gdyby więc podczas ponownego procesu przysięgli usłyszeli zeznania Dana, Ron nie mógłby już utrzymywać (jak w 1985 roku), że nic nie wie na temat zbrodni.

Adwokatom Rona znów pozostało tylko jedno – udowodnienie niepoczytalności oskarżonego. Ron upierał się co prawda, że jest absolutnie zdrowy na umyśle, ale tym razem nie zabronił prawnikom wykorzystania tej linii obrony. O jego życiu i śmierci zadecydować miało zatem, czy przysięgli uznają jego przekonania religijne – w tym przekonanie, że Bóg kazał mu usunąć Brendę i Ericę – za szczere, a przy tym na tyle fanatyczne, że świadczące o chorobie psychicznej.

Owa linia obrony wywołałaby te same kontrowersje epistemologiczne co wyrok Dziesiątego Sądu Apelacyjnego. Gdyby Ron Lafferty został uznany za szaleńca, bo słuchał głosu swojego Boga, czy nie należałoby szaleńcem nazwać każdego, kto wierzy i szuka rady w modlitwie? Według jakich kryteriów demokratyczne państwo respektujące swobody religijne ma określać, czyje pozaracjonalne przekonania są akceptowalne i godne szacunku, a czyje są obłąkańcze? Jak społeczeństwo może równocześnie promować wiarę i karać jednostkę za nazbyt żarliwe stosowanie się do jej zasad?

Mówimy wszak o kraju, w którym nawet prezydent (konkretnie George W. Bush) był chrześcijaninem narodzonym na nowo, uważającym się za narzędzie Boga i opisującym politykę międzynarodową w kategoriach biblijnego starcia między siłami dobra i zła. John Ashcroft, prokurator generalny z czasów Busha, należał do fundamentalistycznej chrześcijańskiej sekty o nazwie Zielonoświątkowe Zgromadzenie Boże, każdy dzień w Departamencie Sprawiedliwości zaczynał od wspólnej modlitwy z podwładnymi, namaszczał się świętymi olejkami i czekał nadejścia apokalipsy, co budzi skojarzenie z millenaryzmem braci Lafferty i mieszkańców Colorado City. Prezydent, członkowie jego administracji oraz inni politycy często powtarzali Amerykanom, że trzeba wierzyć w siłę modlitwy i zaufać woli Pana. A przecież właśnie w jej imię Dan i Ron Lafferty przelali krew tamtego fatalnego dnia, 24 lipca 1984 roku, w miasteczku American Fork.

Podczas wstępnych przesłuchań zachowanie Rona na sali sądowej dowodziło, że obrona nie myli się co do jego choroby psychicznej. Do siedzenia swojego więziennego kombinezonu przyczepił kawałek tkaniny z napisem „WYJŚCIE”, żeby odpędzić anioła Moroniego, złego homoseksualnego ducha, który próbuje wejść w niego przez odbyt. (Moroni miał opętać w ten sposób również sędziego Hansena, dlatego też Ron regularnie wyzywał go i obrażał, zwracając się do niego per „Punky Brewster”[77] albo „pieprzony gnojku”).

Obrona powołała biegłych, trzech psychiatrów i jednego psychologa, którzy zeznali, że badali oskarżonego i mają absolutną pewność, iż jest on człowiekiem chorym psychicznie. Prokurator natomiast powołał trzech psychologów i jednego psychiatrę, którzy – z równie mocnym przekonaniem – oświadczyli, że Ron jest zdrowy na umyśle i był zupełnie poczytalny podczas zamordowania Brendy i Eriki Lafferty.

Jako pierwszy zeznania składał doktor C. Jess Groesbeck, psychiatra wezwany przez obronę. W jego opinii Ron stracił rozum, kiedy jego żona Dianna odeszła, zabierając ze sobą dzieci. „Ewidentnie nie potrafił sobie z tym poradzić”, mówił Groesbeck, dodając, że od tej pory Ron cierpi na „zaburzenie urojeniowe” lub „zaburzenie schizoafektywne”.

Dowodem trafności tej diagnozy miał być fakt, że dziwaczne wierzenia Rona są „zupełnie odporne na racjonalne argumenty”, a także „na tyle niestworzone i wykraczające poza kulturowo podzielane zasady zdrowego rozsądku, że należy uznać je za objaw psychozy”. Po odejściu żony, spekulował doktor Groesbeck, Ron „utracił dotychczasowy obraz własnego ja i doświadczył dramatycznego spadku samooceny”, musiał więc dokonać kompensacji i stworzyć „nową, odrealnioną wizję świata i własnej

osoby”.

Mike Esplin, adwokat Rona, zapytał Groesbecka: „Czy pańskim zdaniem zaburzenia te wpływają na zdolność oskarżonego do rozumienia stawianych mu zarzutów?”.

„Tak – odrzekł Groesbeck. – Po pierwsze, oskarżony nie umie nawet określić, w jakim stopniu proces jest rzeczywisty. Po drugie, nawet jeśli przedstawiane są mu fakty, jego system urojeń jest zbyt silny. […] Przykładowo, oskarżony wierzy, że każdy dowód wykorzystany przeciwko niemu został sfabrykowany przez policję. Moim zdaniem jest to skutek urojeń. Dlatego właśnie […] w mojej opinii nie spełnia on kryteriów poczytalności, które pozwalałyby na przeprowadzenie uczciwego procesu”.

Kolejny świadek obrony, psycholog kliniczny i kryminalistyczny Robert Howell, zgodził się z opinią, jakoby Ron cierpiał na skutek zaburzeń urojeniowych, co oznacza, że nie można stawiać go przed sądem.

Esplin zapytał doktora Howella, czy „dopatrzył się u pana Lafferty’ego urojeń”.

„O tak, było to oczywiste już w roku 1985 i jest oczywiste również teraz”. Howell zauważył, że wiele urojeń Rona dotyczy „instytucji państwowych oraz rodziny”. Ron nie rozumie, dlaczego sądzi go państwo, a nie jego krewni. Kwestię winy lub niewinności uważa za „sprawę rodzinną”, którą powinno się załatwić „na pięści z Allenem, mężem zamordowanej kobiety”.

Doktor Howell opisywał też inne urojenia: fakt, że Ron sądzi, iż Moroni próbuje wejść w niego przez odbyt, że czasem słyszy głos Chrystusa albo brzęczenie oznaczające obecność duchów, że widział, jak iskry strzelają mu z palców.

Potem jednak przyszła kolej na biegłych powołanych przez prokuraturę. Kolejni eksperci zaczęli kwestionować tezę, jakoby podobne zachowania czyniły Rona niezdolnym do udziału w procesie.

Doktor Noel Gardner, psychiatra z Akademii Medycznej Uniwersytetu w Utah, przyznał, że wiara Rona w „tułaczy”, złe duchy, „osłony odbijające” i tym podobne wynikała z „bardzo dziwnych, bardzo osobliwych przekonań. Gdy po raz pierwszy zapoznałem się z memorandum obrony, w którym zostały one opisane, […] pomyślałem, że być może oskarżony cierpi na skutek psychozy. Ciekawa jest jednak pogłębiona analiza ich źródeł i treści. Na jej podstawie muszę stwierdzić, że z pewnością nie można ich uznać za przekonania psychotyczne. […] Są one niezwykle spójne z tym, czego oskarżonego uczono w dzieciństwie”.

Gardner wyjaśniał, że Ron opisywał tułaczy jako istoty duchowe, zdolne „zamieszkiwać różne ciała”. A to przecież nie różni się od wiary w reinkarnację. Ron, zdaniem Gardnera, znalazł po prostu „dość nietypowe nazwy” dla „powszechnych wierzeń. Są wszak miliony, może nawet miliardy ludzi, którzy przyjmują istnienie świata duchów”.

Ron „mówi o czymś, co nazywa osłonami odbijającymi, dającymi ochronę przed siłami zła. W pierwszej chwili można wziąć go za psychotyka, paranoika”. Ale, ciągnął Gardner, jeśli się zastanowić, „Ron opisuje to takim samym językiem, jakim posługują się zwyczajni ludzie religijni. Zapytałem go na przykład, czym osłona odbijająca różni się od anioła stróża, gdyż sam dorastałem w rodzinie, w której wierzono w aniołów stróżów”.

Według odpowiedzi Rona nie było istotnych różnic, co doktor Gardner uznał za „zdecydowanie niepsychotyczne”. W zasadzie miało się tu więc do czynienia z wariantem typowej chrześcijańskiej idei ochrony „przeciwko szatańskim wpływom i pokusom. Podobne wątki znajdziemy w Nowym Testamencie. […] Jest też ewidentne, że wiele przekonań oskarżonego wywodzi się z religii mormońskiej, w której był wychowywany”.

Zastępca prokuratora generalnego Utah Creighton Horton pociągnął ten wątek, pytając biegłego: „Czy osoby wierzące w boskie przewodnictwo lub w aniołów stróżów należy uznać za chore psychicznie?”.

„Absolutnie nie – odrzekł Gardner. – Większość obywateli naszego kraju wierzy w Boga. Większość się do niego modli. To najzupełniej zwyczajne, powszechne doświadczenie. Co prawda pan Lafferty posługuje się dość niecodziennymi określeniami, lecz jego formy myślowe jako takie są typowe […] dla nas wszystkich”.

Horton: „Czy z tego, co powiedział panu oskarżony, wynika, że uważa on, iż tułacze mogą wejść w człowieka?”

Gardner: „Owszem, tak właśnie uważa”.

Horton: „Czy przekonanie takie ma swój odpowiednik w doktrynie judeochrześcijańskiej?”

Gardner: „Bardzo wielu chrześcijan modli się, aby Duch Święty ich natchnął, wręcz opętał. […] Równie powszechna, nie tylko w chrześcijaństwie, jest wiara, że szatan to istota mogąca na nas wpływać, kontrolować nasze umysły i czyny”. Gardner przypomniał ponadto, że w wielu religiach wciąż praktykuje się egzorcyzmy i wypędzanie złych duchów.

„Skoro egzorcyści wierzą w złe duchy, czy są ludźmi chorymi psychicznie?”, spytał Horton.

„W żadnym razie”, odpowiedział Gardner.

Gardner wskazał też różnice między wyznawaniem niedorzecznych poglądów religijnych a klinicznymi urojeniami. „Fałszywe przekonania nie są z konieczności podstawą choroby psychicznej – mówił. Większość ludzi przyjmuje mało racjonalne idee. […] Wielu z nas wierzy chociażby w tak zwaną transsubstancjację, czyli w to, że kiedy kapłan odprawia mszę, chleb i wino zamieniają się w ciało i krew Chrystusa. Z naukowego punktu widzenia jest to absurd. Przyjmujemy go jednak na wiarę. Oswoiliśmy tę ideę i nie dostrzegamy jej irracjonalnego charakteru. Inny przykład: z medycznego punktu widzenia koncepcja poczęcia z dziewicy nie ma sensu, lecz stanowi jedną z prawd wiary”.

Tym, co według Gardnera czyni religię Rona Lafferty’ego tak niezwykłą, nie jest wcale „jej dziwaczność czy irracjonalność – wszak wszyscy ludzie religijni […] wyznają irracjonalne idee – ale raczej fakt, że Lafferty stworzył ją zupełnie sam”. Ale chociaż Ron zbudował własną, idiosynkratyczną teologię, uczynił to „w sposób zupełnie nietypowy dla psychotyka. […] Przede wszystkim dąży do przyjemności. Mówi: »Kiedy odkrywam prawdę, ogarnia mnie spokój«. Schizofreniczny, ułomny mózg nie potrafi działać w ten sposób”.

Adwokat Mike Esplin, przesłuchując doktora Gardnera, próbował zmusić go do przyznania, że skoro teologia Rona jest tak dziwaczna i „oderwana od rzeczywistości”, musi być rezultatem psychozy. Psychiatra jednak pozostał przy swoim zdaniu.

„W społecznościach ludzi zdrowych na umyśle znajdujemy wiele irracjonalnych idei – stwierdzał. – Wszyscy wyznajemy jakieś idee bez oparcia w faktach”. Następnie pozwolił sobie na dygresję i opowiedział o własnym dzieciństwie i dorastaniu w konserwatywnej protestanckiej rodzinie, która kierowała się naukami arcybiskupa Jamesa Ushera, siedemnastowiecznego irlandzkiego teologa. Wytłumaczył sądowi, że jego niemormońscy rodzice też wyznawali „fundamentalistyczne” przekonania. Ojciec, skądinąd inteligentny i oczytany lekarz, „człowiek nauki powszechnie szanowany w swojej społeczności”, uczył dzieci, że „świat został stworzony w tydzień, sześć tysięcy lat temu”. Gardner opowiedział ponadto, jak pewnego razu ojciec zabrał go do Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku i skrytykował ekspozycję, powtarzając, że Ziemia nie jest wcale tak stara, jak wynika z opisów,

a archeologiczne i geologiczne dowody, wedle których liczy sobie miliony lat, to jedynie „oszustwa Szatana", by omamić naiwnych.

Uparte przekonanie, że świat powstał sześć tysięcy lat temu, było „mocno irracjonalne" – mówił Gardner. – Ale ojciec po prostu został tego nauczony, tak jak uczymy się wielu innych rzeczy" w rodzinie i kulturze, w których dorastamy. Tych samych rzeczy uczył później swojego syna. „Kiedy byłem dzieckiem, dowiedziałem się, że Ziemia ma sześć tysięcy lat; jak dwa plus dwa równa się cztery".

Teologia Rona Lafferty'ego, przekonywał Gardner, jest osobliwa, lecz nie wzięła się ze schizofrenii ani jakiejś innej choroby mózgu. Jej źródłem jest wizja świata nabyta przez Rona w dzieciństwie, w jego rodzinie i wspólnocie. I choć w rezultacie powstał „szczególny zlepek idei", charakteryzuje go „spójność, przywodząca na myśl spójność innych nieweryfikowalnych systemów religijnych".

Kolejnym biegłym powołanym przez oskarżenie był psycholog z hrabstwa Utah Richard Wootton, mormon, absolwent Uniwersytetu imienia Brighama Younga. Obrońca Mike Esplin, pragnąc dowieść, że szalone idee Rona świadczą o chorobie psychicznej, zapytał Woottona o zdanie na temat poglądów Lafferty'ego dotyczących anioła Moroniego. (Zdaniem Rona Moroni był homoseksualnym „tułaczem" wchodzącym przez odbyt, a fakt, że pomnik anioła zdobi większość współczesnych świątyń Kościoła LDS, to skutek umowy, którą Brigham Young zawarł z nim w 1844 roku, po śmierci Josepha Smitha. Ron utrzymywał, że Moroni uczynił Brighama przywódcą mormonów w zamian za obietnicę, że jego podobizna odlana w złocie stanie na najwyższej iglicy świątyni w Salt Lake City).

Doktor Wootton przyznał, że to faktycznie kuriozalne stanowisko, ale nie bardziej kuriozalne niż wiele innych prawd wiary (również wiary mormońskiej). W każdej kulturze wyznaje się jakieś doktryny, które obserwatorowi z zewnątrz muszą się wydawać szalone lub drastyczne. Poproszony o przykład, wskazał Josepha Smitha. „Część osób spoza religii mormońskiej dopatrzyłaby się u niego objawów zaburzenia urojeniowego", stwierdził.

Gdyby porównać objawienia Rona i jego wiarę w duchy z „doktryną Kościoła LDS", ciągnął Wootton, okazałoby się, że „wcale nie mamy do czynienia z tak ekstremalnymi przekonaniami, jak się niektórym wydaje". Wootton tłumaczył sądowi, że zwykli mormoni często poruszają w codziennych rozmowach temat duchów. „Rozmawiamy o istotach »po tamtej stronie«. Dywagujemy na temat tego, co kryje się »za zasłoną« lub w świecie istot bezcielesnych".

Wootton przyznawał, że Ron „często doprowadza przekonania religijne do prawdziwej skrajności. Znam jednak wiele osób, które postępują podobnie, a nigdy nie popełniły żadnego przestępstwa. Ekstremizm religijny lub świecki nie jest bynajmniej zjawiskiem rzadko spotykanym".

Ostatnim ekspertem powołanym przez oskarżenie był Stephen Golding, psycholog, współautor opublikowanej w roku 1980 cenionej książki na temat powszechnie wykorzystywanych procedur określania, czy dana osoba może stawać przed sądem, i orzekania o sprawności umysłowej. Mike Esplin zauważył, że według czwartego wydania podręcznika *Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders* (powszechnie znanego pod nazwą DSM-IV)[78] „fałszywe przekonania" są z definicji urojeniami. Skoro wszyscy są zgodni, że przekonania Rona Lafferty'ego nie mają umocowania w faktach, czemu Golding nie dopatrzył się w jego przypadku zaburzenia urojeniowego?

„Nie można tak po prostu przytaczać bez kontekstu terminów z podręcznika diagnostycznego – odpowiedział Golding. – Prawie każdy znany mi system przekonań religijnych składa się w dziewięćdziesięciu procentach z prawd wiary, których nie da się sprowadzić do faktów. Według

pańskiej definicji wszystkie religie byłyby fałszywe, a więc i urojeniowe". To, czy przekonania Rona są fałszywe, czy nie, jest nieistotne dla określenia jego poczytalności. Trzeba też wziąć pod uwagę inne kryteria.

„Podejście do świata pana Lafferty'ego nie wyróżnia go na tle politycznych lub religijnych fanatyków w Stanach Zjednoczonych, w Iranie, w Montanie bądź w innych miejscach", mówił doktor Golding.

Esplin cisnął dalej. Fanatyzm Rona, stwierdzał, jest tak skrajny, że trzeba uznać go za objaw zaburzenia umysłowego. Golding odparł: „Moim zdaniem fanatycy nie są z konieczności osobami chorymi psychicznie". Zdarzają się „fanatycy wszelkiego rodzaju" – polityczni, religijni. „Fanatyk to po prostu człowiek o skrajnych, żarliwie wyznawanych poglądach. […] Weźmy choćby palestyńską organizację terrorystyczną Hamas. Hamas znaczy dosłownie »zapał«. Powtórzę raz jeszcze, podtrzymywanie systemu skrajnych przekonań religijnych, osobistych lub politycznych, nie świadczy samo w sobie o zaburzeniu umysłowym".

W pewnym momencie zastępca prokuratora generalnego Michael Wims poprosił doktora Noela Gardnera o porównanie Rona ze schizofrenikami, których badał. Gardner oświadczył stanowczo, że nie można mówić tu o podobieństwach. „Kiedy prowadzi się wywiad z panem Laffertym, intensywność, żywiołowość jego afektu rzuca się w oczy. To człowiek, który umie docenić dobry dowcip. – Gardner przypominał, że Ron dużo się śmieje – a śmiech zawsze stanowi podzielane doświadczenie. […] Pracowałem z setkami schizofreników i mogę stwierdzić, że w ich przypadku tak nie jest. Z reguły są całkowicie pozbawieni poczucia humoru. Od czasu do czasu rozbawi ich własny, idiosynkratyczny dowcip, zupełnie niezrozumiały dla otoczenia. To, czy ktoś w dostatecznym stopniu podziela rzeczywistość z innymi, by nie tylko potrafił rozumieć fakty, ale i ironię, a więc subtelne znaczenia kształtowane społecznie, stanowi doskonały wskaźnik psychozy".

Doktor Gardner podkreślił, że Ron Lafferty „jest człowiekiem, który umie cieszyć się z towarzystwa ludzi, czerpie z tego radość. Schizofrenicy nie budują relacji. Są wyizolowani, samotni, zamknięci w sobie".

Gardner ciągnął: „Pan Lafferty ma w celi książki. Pokażcie mi schizofrenika w Stanowym Szpitalu Psychiatrycznym, który gromadzi i czyta książki. Schizofrenik nie potrafi dostatecznie długo utrzymać uwagi. Rozpraszają go własne myśli. Pan Lafferty natomiast nie tylko czyta, ale też rozmawia o książkach, nieraz bardzo szczegółowo. I jak każdy normalny człowiek, potrafi uzasadnić, kiedy i dlaczego przyjął bądź odrzucił daną ideę".

„Jasne, jeśli przeczytamy w gazecie, że pan Lafferty otrzymywał objawienia od Boga, z miejsca uznamy go za wariata", przyznawał doktor Gardner. Sam jednak wyraźnie się z tym nie zgadzał, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że kontekstem dla objawień Rona była Szkoła Proroków, czyli towarzystwo osób głęboko wierzących, spotykających się regularnie w celu omawiania boskich komunikatów. „Mamy do czynienia z zupełnie inną sytuacją niż w przypadku schizofrenika, cierpiącego na zaburzenia urojeniowe i przekonanego, że rozmawia z Bogiem – ciągnął Gardner. – Mówimy o grupie sześciu ludzi, którzy wspólnie się modlili, rozmawiali, czytali i zastanawiali się, czy objawienia faktycznie pochodzą od Boga".

Zdaniem Gardnera w tradycji chrześcijańskiej często się zdarzało, że wierni musieli rozstrzygać, czy spotkali „istotę zesłaną przez Boga. Mówimy tu o doświadczeniu wspólnotowym, świecie najzupełniej realnym dla sześciu lub siedmiu ludzi, wyznających podobną wiarę. Schizofrenicy natomiast nie tworzą

grup, nie rozmawiają o swoich podzielanych doświadczeniach”.

Skoro Ron nie był szalony – a w każdym razie nie bardziej niż inni wyznawcy wszelkiego rodzaju religii – jak potraktować jego przypadek? Dlaczego religia braci Lafferty pchnęła ich do zbrodni? Doktor Gardner powiedział sądowi, że chociaż Rona nie można zakwalifikować jako psychotyka, przejawiał on pewne symptomy narcystycznego zaburzenia osobowości. Według DSM-IV narcyzm charakteryzuje się:

> przecenianiem własnego znaczenia (przejawiającym się w fantazjach lub w konkretnych zachowaniach), potrzebą podziwu i brakiem empatii […]. Spełnione musi zostać co najmniej pięć z poniższych warunków:
>
> 1. wyolbrzymianie własnego znaczenia […];
> 2. intensywne fantazjowanie na temat sukcesu, władzy, podziwu innych, piękna lub doskonałej miłości;
> 3. wiara, że jest się osobą „wyjątkową”, którą zdołają zrozumieć i z którą przestawać mogą wyłącznie inne osoby o wysokim statusie […];
> 4. przesadna potrzeba podziwu;
> 5. przekonanie o swoim słusznym uprzywilejowaniu […];
> 6. egoistyczne wykorzystywanie innych ludzi do własnych celów;
> 7. brak empatii;
> 8. zazdrość osoby o innych i przekonanie, że inni są zazdrośni o nią;
> 9. arogancja, wyniosłość, protekcjonalizm i pogardliwość.

Co prawda narcystyczne zaburzenie osobowości znalazło się w *Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders* dopiero w 1980 roku, lecz ocenia się, że cierpi na nie około jednego procenta Amerykanów. Jest to zatem niepokojąco częste zjawisko. Ludzie z osobowością narcystyczną w niemałym stopniu napędzają kulturę, gospodarkę i sferę religijną zachodnich społeczeństw, co zresztą doktor Gardner podkreślał w swojej opinii biegłego. „Wśród osób odnoszących sukcesy nierzadko mamy do czynienia z narcyzmem”, zauważał. Biznesmeni, prawnicy, lekarze i naukowcy bywają przekonani o swojej wyjątkowości, uważają się za „lepszych i mądrzejszych od reszty. Potrafią ciężko harować, byle tylko potwierdzić ów przesadzony obraz samych siebie”.

Gardner podawał za przykład własnych kolegów z Akademii Medycznej Uniwersytetu w Utah. „Niejeden kierownik wydziału czy katedry cechuje się osobowością narcystyczną. […] Pracują trzy, cztery razy ciężej od innych. […] Narcyzm sprzyja więc niekiedy adaptacji i pozwala osiągać ambitne cele. Z drugiej strony poważnie utrudnia budowanie bliskich, intymnych relacji, gdyż wiąże się z brakiem empatii i zdolności doceniania doświadczeń życiowych innych ludzi. Narcyz będzie ciężko pracował, ignorując własną żonę i dzieci. Wcieli w życie wiele rozdmuchanych planów […] ale kosztem swoich relacji społecznych oraz interpersonalnych”.

Gardner przyznał, że nadmierne przekonanie o własnym znaczeniu i brak empatii są charakterystyczne dla narcystycznego zaburzenia osobowości, i dodał, że Ron Lafferty bez wątpienia obie te cechy przejawia. Ron mówił wprost, że śmierć Brendy nie wywołała u niego żadnych emocji. Bez ustanku powtarzał również, że został wybrany przez Boga, że jest „jednym potężnym i silnym”.

Przesadne pragnienie czynienia sprawiedliwości nie znalazło się na liście typowych symptomów narcystycznego zaburzenia osobowości w DSM-IV, choć chyba powinno. Narcyz potrafi wpaść w święty gniew, jeśli dojdzie do wniosku, że ktoś łamie reguły, postępuje nie fair lub otrzymuje niezasłużone nagrody, zarazem jednak niejedną regułę gotów jest złamać, gdyż uważa się za wyjątkowego lub sądzi, że jego zasady nie obowiązują. Ron nierzadko pomstuje na ludzi samolubnych i grzesznych. W przypadku Brendy i Eriki nie zawahał się przyjąć roli sędziego i kata w jednej osobie. Gdy jednak inni zarzucają

mu naruszanie zasad moralnych, etycznych czy prawnych, protestuje i uważa się za niesłusznie prześladowanego.

Narcyz z reguły kiepsko reaguje na krytykę. Zdarza mu się wpaść w depresję lub w furię. Gardner wyjaśniał sądowi, że jeśli człowiek z osobowością narcystyczną jest poniżany lub lekceważony, „czuje się koszmarnie […]. Albo uważa się za chodzącą doskonałość, albo za bezwartościowego śmiecia. Gdy zakwestionować przekonanie o doskonałości, czytamy w podręczniku diagnostycznym, »reakcją jest upokorzenie lub gniew«. Każda krytyka budzi skrajny odzew. Bez najmniejszych wątpliwości mamy z tym do czynienia w przypadku pana Lafferty'ego".

Gardner opisał ponadto Rona jako „człowieka, dla którego wybujałej osobowości ciężką próbą okazały się rozwód oraz ekskomunika, czyli odrzucenie przez wspólnotę. Potrzebował ulgi, wytchnienia, stworzył więc odpowiednie idee. Są one logiczne. Nie mają może umocowania w faktach, lecz służą konkretnemu celowi".

Mike Esplin spytał sceptycznie: „Dla niego to niby logiczne?".

„Owszem – odparł Gardner. – Każdy psychiatra dopatrzy się w tym mechanizmu obronnego. Pan Lafferty wykorzystuje go, by osłabić ból związany ze stratą. Zbudował światopogląd, który daje mu ukojenie. Często uważa się, że religia pełni podobne funkcje. Żyjemy wszak w świecie niepewnym, nawet tragicznym".

Niejeden powiedziałby też, że każdy twórca nowej doktryny religijnej – Jezus, Mahomet, Joseph Smith, nawet Ron Lafferty – pasuje do opisu człowieka z narcystycznym zaburzeniem osobowości. Zdaniem psychiatrów i psychologów ten, kto uważa się za proroka lub guru, kto rozmawia z Bogiem, jest w zasadzie z definicji niestabilny emocjonalnie, przynajmniej do pewnego stopnia[79]. William James pisał w *Odmianach doświadczenia religijnego*:

> Nie ulega wątpliwości, że oddawanie się wyłącznie życiu religijnemu czyni z człowieka dziwaka lub istotę wyjątkową. Nie mówię w tej chwili o zwykłych wiernych przestrzegających obrządków w określonych krajach bez względu na to, czy są to obrządki buddyjskie, chrześcijańskie, czy muzułmańskie. Nie oni wytworzyli swoje religie: otrzymali je od tradycji gotowe, zamknięte w ścisłych formach, utrwalone przez zwyczaj i naśladownictwo. Badanie takiej religii, pochodzącej już z drugiej ręki, mało przyniosłoby nam pożytku. Musimy raczej poszukać tych oryginalnych doświadczeń, które były wzorami i rodzicielami dla całej tej masy zasugerowanych uczuć i naśladowanych postępków. Takie doświadczenia znaleźć możemy tylko u tych osób, dla których religia nie jest zwyczajem obojętnym, lecz przejawia się raczej w formie ostrej, powiedzmy, zapalnej. Takie jednostki to „geniusze" religijni. Geniusze religijni, jak ludzie genialni w innych dziedzinach, nieraz ujawniali oznaki niezrównoważenia nerwowego. Być może ludzie wybitni w dziedzinie religijnej podlegali nawiedzeniom psychopatycznym nawet częściej niż inne rodzaje geniuszy. Zawsze były to jednostki o przeczulonej pobudliwości wzruszeniowej. Ich życie wewnętrzne często było burzliwe i w pewnym swym okresie podległe melancholii. Ludzie ci nie znali miary, ulegali przywidzeniom i natrętnym wyobrażeniom, często wpadali w trans, słyszeli głosy, miewali widzenia i wykazywali różnego rodzaju osobliwości zwykle uznawane za chorobowe. Nieraz nawet te chorobliwe znamiona pomagały im w zdobyciu autorytetu[80].

Wszyscy samozwańczy prorocy są więc narcyzami, ale nie każdy narcyz uważa się za boskiego posłańca, a co dopiero odbiera życie drugiej osobie. Podobne niuanse musieli roztrząsać przysięgli przekonywani przez prokuraturę, że Ron Lafferty to nie szaleniec, ale człowiek głębokiej wiary o narcystycznej osobowości, którego można skazać na śmierć za współudział w zamordowaniu Brendy i Eriki.

10 kwietnia 1996 roku, po pięciu godzinach obrad (i czterech tygodniach zeznań biegłych) ława przysięgłych przyznała oskarżeniu rację. Ron, tak samo jak przed jedenastu laty, został skazany za morderstwo z premedytacją.

Sędzia Steven Hansen na 31 maja zwołał posiedzenie sądu, na którym miał zostać ustalony wymiar

kary. Wcześniej zapytał Rona, czy ten ma cokolwiek do dodania. Ron odrzekł: „No dalej, rób, co ci każą, ty mały polityczny gnojku. Gnojek z ciebie, pieprzony Stevie Wonder". Bluzgał tak jeszcze przez kilka minut, nazywając sędziego między innymi „pierdolonym kretynem", który „przychodzi do roboty w sukience".

Sędzia Hansen spokojnym tonem spytał Rona, czy chce dodać coś jeszcze. „Tylko jedno: pocałuj mnie w dupę, koleś. […] To tyle. Nic, co jeszcze mógłbym powiedzieć, nie będzie miało znaczenia. Zresztą, cholera, i tak mówię chyba już tylko do siebie…"

Skończył i sędzia zabrał głos. „Niniejszym oświadcza się, że oskarżony zostaje skazany na śmierć". Następnie zapytał Rona, czy ten woli „rozstrzelanie, czy też zastrzyk z trucizny".

„Ani jedno, ani drugie – stwierdził Ron. – Wolę żyć".

„Jeśli nie dokona pan wyboru, ja rozstrzygnę za pana, wybierając zastrzyk", poinformował sędzia Hansen.

„Dostałem już raz zastrzyk z trucizną. Z trucizną mormonizmu – odszczeknął Ron. – W sumie tym razem mam ochotę na jakąś odmianę. Wezmę rozstrzelanie. Może być? Wyraziłem się dostatecznie jasno?"

„Owszem", powiedział sędzia i zabrał się za kontynuowanie odczytywania wyroku kary śmierci – dając świadectwo, że w Stanach Zjednoczonych nie tylko mormońscy fundamentaliści wyznają zasadę pokuty krwi.

Adwokat Mike Esplin wnosił w imieniu Rona kolejne apelacje, aż w końcu sprawa trafiła do Sądu Najwyższego. W listopadzie 2001 roku ostateczna instancja amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości odmówiła jej rozpatrywania i stało się pewne, że Ron zostanie stracony. We wrześniu 2002 roku Esplina zastąpił Ron Yengich, sprytny i przebojowy prawnik. Egzekucja będzie odkładana, póki Yengich nie wyczerpie wszelkich możliwości odwoławczych, odbyć może się jednak już na początku 2004 roku. Nikt – nawet Dan Lafferty – nie wierzy, że Ron zdoła uniknąć egzekucji.

„Mój brat z pewnością zostanie rozstrzelany – przyznał Dan w listopadzie 2002 roku. Egzekucję uważa za centralny punkt boskiego planu. Niewykluczone wręcz, że będzie ona zapowiedzią Armagedonu. Lub, jak ujmuje to Dan, „znakiem, że zbliża się Wielka Balanga".

24

Wielki i straszny Dzień Pański

Creighton Horton, zastępca prokuratora generalnego Utah: Mówi pan więc, że Ron otrzymał objawienie, zawierające nazwiska czterech osób, które Bóg nakazał zabić, a pan pomógł mu w dokonaniu zabójstw?
Dan Lafferty: Zgadza się.
Creighton Horton: Dał pan ponadto śledczym do zrozumienia, że nie odżegnuje się od nazywania go fanatykiem religijnym.
Dan Lafferty: Owszem, nie mam z tym najmniejszego problemu.

Fragment przesłuchania Dana Lafferty'ego w sądzie w Provo z 2 kwietnia 1996 roku podczas ponownego procesu Rona

W sierpniu 1995 roku na jedno z niekończących się przesłuchań poprzedzających ponowny proces Rona doprowadzony został Dan Lafferty. Tak oto obaj bracia znaleźli się na tej samej sali. Ich oczy się spotkały, a Ron pozdrowił Dana po przyjacielsku: „Cześć, jak leci?".

„Dobrze cię widzieć", odrzekł Dan z uśmiechem. Widzieli się pierwszy raz od jedenastu lat, odkąd zamknięto ich w więzieniu w hrabstwie Utah. Choć wymienili serdeczne słowa, Dan uważał już wówczas brata za „dziecko diabła" i posłannika Szatana. Był przekonany, że Ron dostał za zadanie zamordować go i uniemożliwić mu w ten sposób wypełnienie niezmiernie ważnej boskiej misji.

Miał zresztą podstawy, by tak twierdzić. Ron faktycznie próbował zabić Dana i prawie mu się udało. W grudniu 1984 roku obaj dzielili celę w więzieniu w hrabstwie Utah, oczekując na proces. Dan leżał na pryczy i, jak wspomina:

– Nagle ogarnęło mnie jakieś dziwne przeczucie, otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Ron się do mnie skrada. – Ron natychmiast się zatrzymał i wrócił na swoją pryczę. – Po chwili jednak – ciągnie Dan – zapytał mnie, czy uważam, że zdołałby zabić kogoś tak dobrze zbudowanego jak ja. Powiedziałem: „No, wydaje mi się, że dałbyś radę". – Od tego momentu postanowił mieć się na baczności.

Reszta nocy upłynęła spokojnie. Ron zaatakował brata dopiero następnego dnia.

– Nagle dostałem sierpowy w lewą skroń. Zamroczyło mnie, ale nie straciłem przytomności. – Dan odwrócił się do Rona, ten zaś wyprowadził serię ciosów. Zmiażdżył Danowi nos, złamał żebro i niemal wybił kilka zębów. Dan trzymał ręce opuszczone, nie stawiał oporu, aż w końcu: – Rona tak rozbolały pięści, że nie mógł już dłużej mnie okładać. Krew była wszędzie, na ścianach, na podłodze. – Dan uznał wówczas, że atak wywołały „złe duchy", z którymi zmagał się Ron.

Braci rozdzielono i umieszczono w sąsiednich celach. Wkrótce Ron przekazał Danowi przez kraty kawałek papieru. Spisał na nim nowo otrzymane objawienie – Bóg zażądał, żeby Dan pozwolił się zabić. Po długich modlitwach:

– Uznałem, że należy się temu podporządkować. Rozmawialiśmy z Ronem na temat sposobu. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli stanę plecami do kraty, a on obwiąże mi szyję ręcznikiem i mnie udusi.

Kiedy Dan przystał na bycie ofiarą, poczuł „nagłą potrzebę wypróżnienia się", co również wziął za znak, że objawienie było prawdziwe. Skorzystanie z ubikacji, myślał, stanowiło część boskiego planu:

– W ten sposób nie narobię pod siebie, jak już umrę i mięśnie mi się rozluźnią. Chociaż w zasadzie, jeśli się dusisz, jelita się zaciskają, a rozluźnia się jedynie pęcherz. – Skończył, spuścił wodę. –

Pożegnałem się z Ronem, ciesząc się na rychłe spotkanie z Bogiem, stanąłem przy kracie, Ron zaś owinął mi ręcznik wokół szyi.

Ron, zapierając się jedną nogą o kratę, z całej siły pociągnął ręcznik do siebie, odcinając bratu dopływ tlenu. W oczach Dana popękały tysiące maleńkich naczynek krwionośnych. Na moment przed utratą świadomości Dan poczuł „nieprawdopodobną desperację".

– Potem nic nie pamiętam, aż do chwili, kiedy się obudziłem, leżąc na podłodze celi, a Ron próbował wyjaśnić, czemu nie doprowadził sprawy do końca.

Dan stracił już przytomność, gdy nagle Bóg powiedział Ronowi, że jeśli brat weźmie jeszcze jeden wdech, ma zostać ocalony. I oto zaraz Ron ujrzał, jak pierś Dana się unosi. Natychmiast puścił ręcznik. Dan upadł na podłogę. Oczy miał krwistoczerwone, krata zdarła mu skórę z karku. Wciąż jednak oddychał.

Następnego dnia, wspomina Dan:

– Ron wydawał się jeszcze bardziej udręczony niż wcześniej. Chodził wte i wewte po celi, mamrotał coś pod nosem. Chciał dostać jeszcze jedną szansę, powtarzał, że tym razem mu się uda. Parę dni później znów wręczył mi objawienie, z którego wynikało, że mam pozwolić się zabić. Pomodliłem się jednak i tym razem poczułem, że nie powinienem wyrazić zgody. – Dan dał bratu do zrozumienia, że nie zamierza się podporządkować. – Odtąd Ron coraz gorzej radził sobie ze swoimi demonami i swoją udręką.

29 grudnia Ron powiesił się na ręczniku. Dana nie było wówczas w celi – został zabrany na przesłuchanie. Gdyby wrócił zaledwie parę minut później, Ron już by nie żył. Kiedy zjawili się ratownicy, nie oddychał, nie dawało się wyczuć pulsu.

– Odzyskał przytomność w szpitalu. To wyglądało na cud – mówi Dan. – Ludzie gadali. Ja też dużo o tym myślałem. Teraz, wiele lat później, rozumiem już chyba, przynajmniej do pewnego stopnia, dlaczego sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły.

Podczas ponownego procesu Rona w 1996 roku oskarżenie zdołało przekonać dwunastoosobową ławę przysięgłych, że Ron nie jest chory psychicznie i może stanąć przed sądem, a ponadto był poczytalny w chwili zamordowania Brendy i Eriki Lafferty. „Czy Ron jest szalony? – pyta sześć lat później zastępca prokuratora generalnego Utah Michael Wims. – Ta, jasne, szalony. Raczej chytry jak lis".

Zdaniem wielu mieszkańców Utah gwałtowne okrzyki Rona przed sądem i jego dziwaczne wypowiedzi to tylko gra, struganie wariata, by uniknąć kary śmierci. Niektórzy sądzą, że Ron tak naprawdę nigdy nie wierzył w żadne objawienia i cały czas cynicznie kłamał. Mało kto natomiast wątpi w szczerość jego brata. Owszem, teologia Dana Lafferty'ego uchodzi za niedorzeczną i przerażającą, lecz w powszechnym mniemaniu Dan szczerze w nią wierzy.

Ale obecnie przekonania Dana odbiegają nieco od tych, którymi się kierował, zabijając Brendę i Ericę.

– Odkąd znalazłem się w klasztorze, czyli w więzieniu, moja wiara ewoluowała. – Dan nie uważa się już za mormońskiego fundamentalistę. – Zmieniłem Bogów – tłumaczy. – Najpierw porzuciłem Kościół LDS dla fundamentalizmu, potem porzuciłem fundamentalizm.

Dziś jego system teologiczny to mieszanka Starego i Nowego Testamentu, Księgi Mormona, fundamentalistycznych świętych pism i wytworów jego własnej, hiperaktywnej wyobraźni.

– Jeśli wkładasz całe serce w poszukiwanie prawdy, dostrzeżesz w końcu sprzeczności w tym, czego byłeś uczony. Zdajesz sobie sprawę, że coś jest nie tak. Dociera to do ciebie. […] Dawniej określałem

się mianem fanatyka religijnego. Dziś jednak rozumiem, że wyrzucili mnie z Kościoła LDS, gdyż byłem fanatykiem prawdy. Musiałem rozwikłać sprzeczności i dlatego zostałem ekskomunikowany.

Dan uważa, że wszystkie Kościoły kłamią, nie tylko Kościół mormoński.

– Zorganizowana religia to nienawiść udająca miłość. Człowiek wraca więc do pierwotnej, niezdegenerowanej religijności. Zostaje fundamentalistą. Orientuje się, że Kościół postradał prawdziwe odpowiedzi. Ja jednak zorientowałem się, że i fundamentalizm odpowiedzi mi nie przyniesie. Natrafiłem na te same sprzeczności. Było to mniej więcej wtedy, kiedy trafiłem do klasztoru. Zacząłem więc wszystko analizować i składać na nowo.

Dan uważa się obecnie za Eliasza, biblijnego proroka samotnika, bezgranicznie oddanego Bogu. Jego zadaniem będzie ogłoszenie Drugiego Przyjścia Chrystusa w Dniach Ostatnich.

– Jako Eliasz, jestem niczym Jan Chrzciciel – mówi Dan. – „Eliasz" znaczy „zwiastujący", ten, który przygotowuje drogę. Jan Chrzciciel przygotował Pierwsze Przyjście Chrystusa. Moim zadaniem jest szykować świat na powrót Syna Człowieczego. – Dan wciąż wierzy w jedną podstawową prawdę: ludzie dzielą się na z gruntu cnotliwych i z gruntu złych. – Jedni zostali wybrani na dzieci Boże – tłumaczy – inni to dzieci diabła. Jesteś więc albo moim bratem, czyli dzieckiem Bożym, albo skurwielem, czyli dzieckiem diabła. I nic na to nie poradzisz. Dwóch jest ojców: Bóg i diabeł. Każde z dzieci Bożych ma coś, czego nie ma żadne z dzieci diabła, a mianowicie dar miłości. Diabeł nie potrafił zaprogramować swoim dzieciom miłości, bo jej nie zna ani nie rozumie. Miłość wykracza poza jego wiedzę. Dzieci diabła mają więc tylko chciwość, nienawiść, zawiść i zazdrość.

Według Dana Chrystus zebrał pewnego razu wszystkie swoje dzieci i oznajmił:

– „Urządzę balangę, która będzie trwała tysiąc lat. Macie ochotę? Chcecie bawić się ze mną przez tysiąc lat na ziemi?". A myśmy odpowiedzieli: „Kurna, no jasne, że tak!". Chrystus rzekł: „OK, to była dobra wiadomość. Zła wiadomość jest taka: nie ma nic za darmo. […] Przez sześć tysięcy lat na Ziemi istnieć będzie piekło, nim zamienię ją w niebo. Piekło to z definicji miejsce, gdzie rządzi diabeł i jego dzieci. Zrobię więc tak: pozwolę diabłu i jego małym skurwielom zaludnić Ziemię, ale będę tam regularnie przerzucał was, moje dzieci, po kilku na raz. Każda godzina, którą tam spędzicie, to będzie taki mały kupon na Wielką Balangę. Po jakichś sześciu tysiącach lat zgromadzicie już wszystkie potrzebne kupony. Wtedy przyjdę ja i razem zaorzemy ziemię, czyli po prostu usuniemy skurwieli, i oczyścimy parkiet na naszą tysiącletnią imprezę". Chrystus powiedział swoim dzieciom: „Wiem, że życie jest zasadniczo pojebane, ale wierzcie mi, kryje się w tym sens. Pracujemy na rzecz Królestwa Bożego. Musimy po prostu poświęcić trochę czasu. A każda godzina to kupony na Wielką Balangę. Oto moja obietnica, oto przymierze. Przez jakiś czas będzie panował kompletny bajzel, ale na końcu, przez Eliasza, przyjdę Ja".

– Skoro żyjemy tu, w piekle na ziemi – uważa Dan – gdzie diabeł i jego dzieci wszystkim rządzą, nic dziwnego, że zmusza się nas, abyśmy oddawali cześć fałszywemu bogu. Zanim jednak zjawi się Bóg miłości, trzeba pomóc Jego dzieciom: dzieciom miłości, ujrzeć prawdę i przyjąć tego zajebistego ziomka, który przyjdzie w przyjaźni w „wielki i straszny dzień Pański", jak mówi Biblia. Wielki dla Jego dzieci, straszny dla skurwieli. W przypowieści o pszenicy i chwastach nazywa się to „żniwami"[81]. Powiedziane zostało, że w „wielki i straszny dzień Pański" Bóg ześle swych aniołów, aby jako żeńcy zabili tych, którzy nie są Jego dziećmi. Zapowiedziałem to, odbierając życie Brendzie i Erice. Pewnie brzmi to trochę drastycznie, ale uważam, że moja interpretacja jest słuszna. Kiedy mówię o aniołach, nie

mam na myśli skrzydlatych istot, które przylecą z nieba, ale raczej aniołów pomsty. Przepowiadali ich już Joseph i Brigham. Aniołowie pomsty to ludzie żyjący tu, na Ziemi. Kiedy dowiedzą się, kto jest ich Ojcem, i poznają Jego wolę, wezmą się do działania.

Dan jest przekonany, że Bóg wyznaczył go, aby w odpowiednim momencie ujawnił cnotliwym, „kim jest Ojciec", i w ten sposób dał początek tysiącletniemu Królestwu Bożemu:

– To ja rozpoznam Chrystusa, gdy przyjdzie ponownie na Ziemię.

W trzecim roku odsiadki Dan miał „doznanie":

– Początkowo nie rozumiałem jego sensu. Przechadzałem się po celi. Był środek dnia. Naraz usłyszałem głos, zupełnie inny niż w objawieniach, które otrzymywaliśmy w Szkole Proroków. Ten głos powiedział: „Zapisz moje słowa: Księżyc będzie świecił od południa do dziewiątej". […] I tyle. Przez lata zastanawiałem się, o co, do cholery, chodziło? Aż wreszcie, jakoś tak w zeszłym roku, wszystko pojąłem. Znakiem Chrystusa będzie księżyc, widoczny na niebie od południa do dwudziestej pierwszej. Nie wiem, jak ma się to stać, ale jak już się stanie, na pewno nie da się tego pomylić z niczym innym.

Posługując się swoją specyficzną logiką, Dan odgadł ponadto, czemu Ron próbował udusić go ręcznikiem w 1984 roku: otóż diabeł wyjawił mu, że Dan jest Eliaszem, który powiadomi świat o powtórnym przyjściu Jezusa, i trzeba go powstrzymać (w ten sposób Ron dowiedział się o misji brata na długo, nim Bóg oficjalnie mu ją powierzył).

– Ron dowiedział się, że trzeba mnie zabić. Jego ojciec, czyli diabeł, próbował zapobiec temu, czemu zapobiec się nie da. – Diabeł dostał świat we władanie na sześć tysiącleci, lecz jego czas dobiega już końca. – Nic dziwnego, że próbuje zachować władzę. – Ron miał zabić Dana-Eliasza i uniemożliwić mu przygotowanie ziemi na powrót Chrystusa. – Jestem pewien, że właśnie dlatego Ron próbował odebrać mi życie. Albowiem, jak oznajmia Pismo, jeśli Eliasz nie wypełni swego powołania, Chrystus nie przyjdzie.

Dan uważa, że powinien był się domyślić, iż jego brat stał się narzędziem Szatana, już wtedy, gdy wiosną i latem 1984 roku podróżowali po Zachodzie starą impalą. W przeciwieństwie do biegłych zeznających na procesie w roku 1996 dopatrzył się u Rona „oznak schizofrenii":

– Podczas tamtej podróży często się zdarzało, że Ron nagle tracił kontakt, odpływał gdzieś w myślach. Podejrzewam, że słuchał głosów. – Głosy te, zdaniem Dana, przekazywały polecenia diabła.

Dan jest też przekonany, że Ron nadal zamierza go zabić i cierpliwie czeka na swoją szansę. Przywiązuje więc dużą wagę do wszelkich plotek krążących po więzieniu. Z oddziału dla skazanych na śmierć dobiegają informacje, że „Ron jest w świetnej formie, ćwiczy jak bokser szykujący się do walki o tytuł". Dan ma pewność, że jego brat chce „być gotowy", jeśli kiedykolwiek nadarzy się okazja.

Ale Dan niespecjalnie obawia się śmierci z rąk Rona. Bóg do tego nie dopuści. W gruncie rzeczy fakt, że Ron tak intensywnie trenuje, świadczy o zbliżającym się Końcu Czasów. Książę Ciemności na pewno zdaje sobie sprawę, że „idą żniwa", toteż w ostatnim akcie desperacji próbuje sprawić, by Ron powstrzymał nadejście „wielkiego i strasznego dnia pańskiego". Szatan wie, że jeśli Dan pozostanie przy życiu, nic nie stanie na przeszkodzie powracającemu Chrystusowi, a wówczas „diabeł oraz wszyscy jego bracia i siostry zostaną zgładzeni i będzie »płacz i zgrzytanie zębów«".

Nim jednak księżyc ukaże się na niebie „od południa do dziewiątej", Danowi pozostaje czekanie w ponurej celi więzienia o zaostrzonym rygorze, gdzie spędził już połowę dorosłego życia. A co, jeśli

księżyc nie zaświeci? Co, jeśli zabójstwo Brendy i Eriki Lafferty nie było częścią boskiego planu, lecz jedynie okrutną, niewybaczalną zbrodnią? Co, jeśli Dan się omylił? Czy zdaje sobie sprawę, jak wiele ma wspólnego z innym fanatykiem, przekonanym o swojej racji, Osamą bin Ladenem?

– Wiele razy zadawałem sobie to pytanie – przyznaje Dan. – Czy mógłbym być na jego miejscu? Czy jestem taki jak on? Odpowiedź brzmi: nie. Bo Osama bin Laden to skurwiel, dziecko diabła. Wcale nie pragnie prawdy i sprawiedliwości, choć nie wykluczam, że dawniej leżały mu one na sercu. Teraz napędza go tylko chciwość i żądza władzy.

Co z żołnierzami Osamy, świętymi wojownikami, którzy oddali życie Allahowi w ataku na World Trade Center? Ich wiara musiała być przecież równie silna jak wiara Dana. Czy ich to usprawiedliwia? A jeśli nie, skąd pewność Dana, że on sam nie zbłądził, jak zbłądzili terroryści z 11 września?

Dan milknie i przez moment na jego obliczu maluje się cień wątpliwości. Ale po krótkiej chwili znika.

– Przyznaję, terroryści szli za swoim prorokiem – mówi Dan. – Zasadniczo zgodzili się uczynić to samo, co ja uczyniłem. Widzę tu paralelę. Różnica między mną a nimi polega na tym, że ich prorok jest fałszywy, a mój nie. Uważam się za dobrego człowieka – podkreśla Dan. – Nigdy umyślnie nie zrobiłem nic złego. Czasami zastanawiam się, czy popełniłem błąd. Sięgam pamięcią wstecz i pytam sam siebie: „Co powinienem był zrobić inaczej? Czy czułem, że 24 lipca 1984 roku prowadziła mnie Ręka Boga?”. I za każdym razem powraca jednoznaczne wspomnienie: „Tak, prowadziła mnie Ręka Boga”. Czyli postąpiłem właściwie. Chrystus mówi: „Jeżeli chcecie wiedzieć, co jest prawdą, musicie uwierzyć. A ja pomogę wam poznać prawdę”. Tak właśnie było w moim przypadku. Bóg na pewno wie, że Go kocham. Wierzę, że wszystko będzie dobrze i całe to dziwne doświadczenie skończy się szczęśliwie. Wiele razy przejrzałem cienką tkaninę rzeczywistości i mam co do tego pewność. Czasem nawet próbowałem nie wierzyć, ale nie dałem rady.

Dan Lafferty, pogodny, przekonany, że wiódł cnotliwe życie, spodziewa się niedługo opuścić więzienie. To już tylko „kwestia dni”, nim usłyszy dźwięk trąb ogłaszających Dni Ostatnie i nie będzie już rewizji osobistych, więziennego żarcia ani drutów kolczastych – nadejdzie Królestwo Boże, w którym Dan zajmie należne mu miejsce.

25

Amerykańska religia

Narracje na temat mormonów i mormońskiego Kościoła […] dzielą się na dwie kategorie. Z jednej strony, odkąd Joseph Smith założył Kościół w latach dwudziestych XIX wieku, mamy do czynienia z narracjami sensacyjnymi, krwawymi, podniecającymi i skandalizującymi. Cóż, nie bez powodu. Dzieje, kultura i doktryna mormonów obfitują wszak w sensacyjne, krwawe, podniecające i skandalizujące wydarzenia. […]

Z drugiej strony inne narracje, traktujące o mormonach jako o ludziach, a nie o ich dziwnej wierze, podkreślają raczej radosną cnotę, prawość, a zarazem pewien luz oraz pragmatyczną dobroć mormonów, ich udane życie rodzinne, talenty wychowawcze i kojący urok wspólnoty, jakże atrakcyjny w dzisiejszym szalonym świecie. Dyskretnie pomijają natomiast co bardziej wstydliwe zasady wiary. Przeciwnicy pytają zatem: „Czy możemy sprawić, żeby mormoni przestali być mormonami?”, zwolennicy natomiast zastanawiają się *implicite*: „Czy nie dałoby się mieć mormonów – ale bez mormonizmu?”.

Kenneth Anderson, *A Peculiar People. The Mystical and Pragmatic Appeal of Mormonism*, „Los Angeles Times”, 28 listopada 1999

Prawdziwe, bezpośrednie doświadczenie religijne tego rodzaju wydaje się patrzącym na nie tylko heterodoksją, a sam prorok jest w ich oczach po prostu obłąkanym lubującym się w samotności. Jeśli zaś jego doktryna okaże się na tyle zaraźliwa, aby objąć i innych, staje się herezją, wyraźnie określoną i ostemplowaną. Gdy zaraźliwość jej będzie tak wielka, że pokona prześladowania, herezja stanie się prawowiernością, a gdy tylko jakaś religia stanie się prawowiernością, kończy się jej życie wewnętrzne: wiosna przemija i wierni żyją już tylko życiem religijnym z drugiej ręki, z kolei kamienując proroków. Nowy Kościół – bez względu na całą dobroć ludzką, którą może w sobie żywić – bywa odtąd uważany za niezawodnego sojusznika we wszelkich próbach dławienia samorzutnego ducha religijnego i zatrzymywania dalszych wytrysków ze źródła, z którego w dniach młodości sam czerpał natchnienie.

William James, *Odmiany doświadczenia religijnego*, przeł. Jan Hempel

Większość mormońskich fundamentalistów uważa, że Armagedon jest blisko. Nowy prorok Colorado City ma co do tego absolutną pewność. Wprawdzie nie spełniły się przepowiednie jego ojca, Wuja Rulona (rok 2000 minął, a świat nie spłonął w huraganie ognia), lecz wydarzenia z 11 września 2001 roku napawają Warrena Jeffsa optymizmem.

W wypowiedziach publicznych potępiał krwawe dzieło islamskich terrorystów, ale wiernych w Bountiful i Colorado City nauczał podekscytowany, że atak na Nowy Jork i Waszyngton budzi nadzieję, stanowi bowiem nieomylny znak nadchodzącego Końca Czasów. Lud wybrany już wkrótce zakosztuje Wiekuistej Chwały. Na ścianach szkoły w Bountiful wiszą dziesiątki wyciętych z czasopism zdjęć, przedstawiających samoloty wbijające się w World Trade Center. Niech uczniowie nie mają wątpliwości: Dni Ostatnie są blisko.

Z kolei Kościół LDS zawsze utrzymywał, że „wkrótce wybije godzina”, kiedy plagi i spustoszenie poprzedzą Drugie Przyjście Chrystusa. Władze kościelne w Salt Lake City od dawna radzą, by mormoni gromadzili na tę okoliczność roczne zapasy żywności i sprzętu niezbędnego do przeżycia. Zasadniczo jednak mormońscy przywódcy unikają wskazywania dokładnej daty apokalipsy. Cytują co najwyżej Pismo i przepowiadają, że świat skończy się siedem tysięcy lat od swojego powstania.

Na razie po całym globie krąży sześćdziesiąt tysięcy misjonarzy, a nowych wiernych przybywa w zdumiewającym tempie. Znany socjolog Rodney Stark wygłosił w 1984 roku kontrowersyjną przepowiednię, że w ciągu niecałych stu lat Kościół będzie liczył sobie dwieście sześćdziesiąt pięć milionów członków. Później skorygował jednak nieco wyliczenia i obecnie utrzymuje, że w ostatnich

dekadach XXI wieku liczba wyznawców mormonizmu sięgnie raczej trzystu milionów.

Jeśli utrzyma się obecna dynamika rozwoju Kościoła, za sześćdziesiąt lat rządzenie Stanami Zjednoczonymi będzie „niemożliwe bez jego udziału", twierdzi wybitny uczony Harold Bloom z Uniwersytetu Yale, skądinąd człowiek, który mormonów i Josepha Smitha darzy wielkim podziwem. W głośnej książce *The American Religion* z 1992 roku pisał:

> Dwa aspekty mormonizmu wydają mi się zasadnicze. Żaden inny ruch religijny w Ameryce nie ma takich ambicji. Żaden ruch nie ma też równie wielkiej duchowej odwagi, by wypełniać swe tytaniczne dzieło. Mormoni zamierzają nawrócić swoich rodaków i cały świat. Nie wystarczy im dziesięć milionów wyznawców – chcą sześciu miliardów.

W tej samej książce Bloom przepowiadał też, jak przywództwo Kościoła LDS wykorzysta swoje polityczne wpływy:

> Czy naprawdę ktokolwiek sądzi, że mormoni wyrzekliby się praktyki małżeństw celestialnych, gdyby nie nacisk rządu federalnego? […] Gotów jestem się założyć, że pewnego dnia mormoni zdobędą dość władzy politycznej i finansowej, by na nowo usankcjonować poligamię. Bez niej bowiem wizja Josepha Smitha nie może zostać w pełni wypełniona.

Przepowiednie Blooma budzą może lęk, ale też należy uznać je za raczej przesadzone. Dzisiejszy Kościół LDS znacznie różni się od Kościoła dziewiętnastowiecznego. Historyk Dale Morgan pisał w 1945 roku w liście do Juanity Brooks: „To osobisty magnetyzm Josepha pociągał jego wyznawców", gdy jednak udało się już rozkręcić nową religię, „zyskała ona pełną niemal niezależność. Szacowności przydają jej nowi konwertyci. Mormonizm to siła społeczna, pchająca do działania niezliczonych ludzi, których spotyka na swojej drodze".

Mormoni tak wiele zyskali dzięki wyrzeczeniu się poligamii, że trudno wręcz sobie wyobrazić, żeby władze Kościoła kiedykolwiek chciały do niej wracać. Dziś zresztą szlak przyszłości mormonizmu w mniejszym stopniu wytyczają teologowie i szaleni prorocy, w większym zaś biznesmeni i politycy. Roczne dochody Kościoła ocenia się na sześć miliardów dolarów. Jest on obecnie największym pracodawcą w Utah. Od ponad stu lat pomału, ale jednostajnie zmierzał ku nudnemu amerykańskiemu mainstreamowi.

Kryje się w tym pewna ironia. Im skrzętniej mormonizm wyrzeka się niewygodnych aspektów teologii Josepha Smitha, im mniej jest osobliwy, tym więcej wyznawców przeciągają na swoją stronę mormońscy fundamentaliści. Wspólnoty w rodzaju Colorado City i Bountiful będą nadal zdobywać nowych członków, zawsze bowiem znajdą się mormoni pragnący, by wrócił gorący, żarliwy duch pierwszego proroka. Do takich mormonów należy chociażby Pamela Coronado.

Coronado, kobieta po czterdziestce, ubrana w wyblakłe ogrodniczki, zrywa właśnie tapetę w salonie zrujnowanej starej farmy, którą kupił niedawno Robert Crossfield, czyli prorok Oniasz. Jest wysoka, pełna wdzięku. W spojrzeniu jej przenikliwie niebieskich oczu spod chmury blond loków widać ogromną pewność siebie. Wraz z mężem Davidem Coronado zostali wyznawcami Oniasza na początku 1984 roku, krótko po założeniu w hrabstwie Utah Szkoły Proroków.

– Poznaliśmy Boba Crossfielda na jednym ze spotkań Szkoły – wspomina Pamela. – Przyszliśmy, bo jakiś czas wcześniej w antykwariacie wpadła nam w ręce *Księga Oniasza*. Kiedy przeczytaliśmy jego objawienia, od razu pomyśleliśmy sobie: „To jak objawienia Josepha Smitha z Nauk i Przymierzy!". Zrobiło to na nas naprawdę wielkie wrażenie.

David Coronado napisał do wydawnictwa Philosophical Library, w którym Oniasz własnym sumptem opublikował książkę, z pytaniem, jak skontaktować się z prorokiem.

– Okazało się, że Bob właśnie przeniósł się w okolice Provo, gdzie i my mieszkaliśmy – mówi

Pamela. – Poszliśmy więc na spotkanie. Odbywało się w domu rodziny Laffertych. Tam poznaliśmy ich, no i Boba. Od tej pory uczestniczymy w wypełnianiu Dzieła.

Pamela wychowała się w Provo, w tradycyjnej mormońskiej rodzinie.

– Mój tato jako jeden z pierwszych zainwestował w Dream Mine – mówi z dumą. Rodzice nie byli jednak fundamentalistami. W 1978 roku dwudziestodwuletnia Pamela została wysłana na misję do Francji. Jej doświadczenia sprawiły, że zaczęła kwestionować kierunek, w którym rozwijał się Kościół. Codziennie głosiłam świadectwo prawdy Księgi Mormona i Josepha Smitha, z czym oczywiście nie miałam problemu. Kiedy jednak musiałam głosić świadectwo o aktualnym prezydencie, nazywać go „jedynym prawdziwym prorokiem Pana", słowa z trudem wychodziły mi z gardła – mówi. – W owym czasie Kościołem rządził Spencer W. Kimball, który dopiero co wywołał sejsmiczny wstrząs w mormonizmie, zezwalając na kapłaństwo czarnych.

Po zakończeniu misji Pamela wróciła do Provo i zaczęła uczyć w Centrum Szkolenia Misjonarzy. Poznała Davida Coronado, osiem miesięcy później wzięli ślub. David, jak się okazało, przyszedł na świat w Colonia LeBaron w Meksyku i był potomkiem niesławnego klanu LeBaronów. Gdy jeden z szalonych wyznawców Ervila próbował zabić jego matkę, kobieta uciekła z Davidem i ósemką jego rodzeństwa do Stanów.

David bał się co prawda krwawej powtórki z przeszłości, lecz jako dorosły doszedł do przekonania, że fundamentalizm jest jedyną ścieżką wiodącą ku zbawieniu. Pamela wsparła go całym sercem. Sama również miała coraz większe wątpliwości pod adresem oficjalnego Kościoła. Zanim więc w 1984 roku poznali Oniasza, byli gotowi na przystąpienie do Dzieła.

Ale sześć miesięcy później Dan Lafferty zamordował Brendę i Ericę. Świat Davida i Pameli stanął na głowie.

– Wszyscy byli przerażeni – opowiada Pamela. – Taka szokująca zbrodnia… A ponieważ mnie i Davida kojarzono z rodziną Laffertych, ludzie uznali, że musimy być źli. Zostaliśmy ekskomunikowani. Przez pewien czas krewni bali się nawet o nasze życie.

Niemniej ani przerażające morderstwo, ani prześladowania nie odebrały im wiary w Oniasza i Dzieło. Zdaniem Davida i Pameli dopuszczenie czarnych do kapłaństwa w Kościele LDS stanowiło okropną herezję. Oboje też wierzą w słuszność wielożeństwa, choć na razie go nie praktykują.

– Rozważaliśmy to nie raz, nie dwa – mówi Pamela. – Spotkaliśmy wiele, bardzo wiele kobiet, które mogły stać się częścią naszej rodziny. Pociągało nas to i je chyba też. Ale ostatecznie jakoś nigdy nic się nie zdarzyło. To jednak było dla nas zbyt trudne.

Pamela przerywa zrywanie tapety, odkłada narzędzia i idzie do kuchni ugotować obiad dla swojej córki Emmylou i proroka Oniasza.

– Teraz, kiedy jestem starsza, o wiele łatwiej byłoby mi żyć zgodnie z Przykazaniem – stwierdza pogodnie. – Bardzo dojrzałam. Pojęłam też, że moje dzieci wiele by skorzystały dzięki talentom wychowawczym drugiej kobiety. Na pewno nie obyłoby się bez trudności. Ale dziś umiem już sobie wyobrazić, jak mogłoby wyglądać takie życie.

W tym momencie Pamela lekko się krzywi. Dzieło, tłumaczy, nie sprowadza się wyłącznie do wielożeństwa, sprzeciwu wobec kapłaństwa czarnych czy innych kwestii doktrynalnych. Dla niej to tylko „sprawy powierzchowne". Wiara Pameli ma przede wszystkim charakter „duchowy. Chodzi o ducha, który żyje w twoim sercu".

Na te słowa włącza się prorok Oniasz.

– Kościół LDS utracił ducha – mówi. – Słuchasz niedzielnego nabożeństwa albo przemówień na Konferencji generalnej i dociera do ciebie, że nie stoją za tym żadne emocje.

Duch Pameli płonie zaś białym ogniem. Można niemal wyczuć bijący od niej żar.

– Kiedy jest w tobie duch, prawdziwy duch, nie da się tego z niczym porównać. – I Pamela z promienną twarzą kładzie dłoń na sercu.

Ogień ogarnia również następne pokolenie fundamentalistów. Emmylou, córka Pameli, wchodząca właśnie w wiek dojrzewania, rozkłada na stole w jadalni plan domu, który zaprojektowała.

– Zrobiłam to przez internet, wszystko zgodnie z Przykazaniem – zaczyna nieśmiało, po czym wymienia jego specjalne cechy. – Ściany zewnętrzne będą z ziemi ubijanej albo gliny suszonej na słońcu. Osiemdziesiąt pięć na siedemdziesiąt siedem stóp, parterowy. W środku będzie niezadaszona przestrzeń, takie podwórko. Po tej stronie pokoje dziecięce, jeden dla chłopców, jeden dla dziewczynek. I osobny pokój dla maluchów. Główna sypialnia, dla ojca, jest tu. A tu pokoje dla obu żon. Zostaje nawet miejsce, żeby w razie czego dobudować sypialnię dla trzeciej.

Jej entuzjazm przybiera na sile, a w oczach pojawia się blask. Oto wymarzony dom Emmylou, doskonałe miejsce do życia, które pragnie prowadzić, kiedy dorośnie.

26

Góra Canaan

Na Równinie spojrzenie samo biegnie ku wielkim obiektom. Gdziekolwiek stanąć, widok rozciąga się w promieniu osiemdziesięciu, czasem nawet stu dwudziestu kilometrów. Nie ujrzysz śladu człowieka: osady ukryte są w kanionie i pod klifami. Pozostaje tylko pobrużdżone, smagane wiatrem piękno jałowej ziemi. Owym pięknem jest śmierć. Tam, gdzie nie ma trawy, drzew ani krzewów, gdzie wszystko jest nagie, widzisz świat, który obraca się wniwecz i odradza na nowo. Widzisz śmierć i narodziny nowych epok. Widzisz drobne, uporczywe pozostałości dawnych czasów. Jeśli zaś jesteś mormonem i wyczekujesz Dni Ostatnich, budując Królestwo, będziesz wierzył, że Dni Ostatnie nadejść mogą w każdej chwili. Na twoich oczach świat bowiem rozpada się i umiera.

Wallace Stegner, *Mormon Country*

Stroma ściana góry Canaan wyrasta z płaskiej ziemi w cichym parku w Colorado City-Hildale. Potężna skarpa z piaskowca w kolorze cegły, nakrapiana lakierem pustynnym, wznosi się pionowo na sześćset metrów ponad przyczółkiem fundamentalistów. Płaska równina na szczycie przywodzi na myśl zaginioną krainę, wyspę pośród nieba, poza wszelką cywilizacją. Dokoła rosną mącznice i trójedniki, dzikie róże i juki, castilleja i tęgie sosny żółte.

– Razem z Davidem, moim bratem, zakradaliśmy się tu przy każdej możliwej okazji – mówi DeLoy Bateman. – Tutaj byliśmy wolni, Kościół nie mógł nas kontrolować.

DeLoy staje na krawędzi, spogląda w dół na miasto, w którym się urodził i wychował. Jest koniec lipca, temperatura wynosi czterdzieści stopni Celsjusza, ale gorąco najwyraźniej nie daje się DeLoyowi we znaki, choć włożył spodnie z poliestru, koszulę z długim rękawem, no i oczywiście obowiązkowy podkoszulek i półkalesony, jak nakazuje Kościół. DeLoy to apostata, nie należy już do Fundamentalistycznego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, nie ma za grosz szacunku dla nowego proroka Warrena Jeffsa, ale mimo to nadal mieszka tu, w tej ksenofobicznej społeczności, w samym centrum miasta. I nie planuje przeprowadzki.

Porzucił wielożeństwo. Miał dwie żony, ale druga się wyprowadziła i mieszka teraz w St. George. Dzieci zostały z DeLoyem w Colorado City, matka odwiedza je co tydzień.

– Ponieważ przestałem wierzyć w nauki Kościoła, nie znajduję już usprawiedliwienia dla poligamii – mówi DeLoy. Zresztą w ogóle religia już mu się przejadła. Większość byłych fundamentalistów wybiera mormonizm bądź którąś z odmian chrześcijaństwa albo jakąś newage'ową sektę. DeLoy natomiast został ateistą.

Nie była to łatwa przemiana.

– Całe życie czułem potrzebę wiary – mówi. – Jak każdy człowiek pragnąłem odpowiedzi na pytanie o sens życia. Zawdzięczam religii wiele dobra. Z niej właściwie pochodzi wszystko, czego się nauczyłem. Ona uczyniła mnie tym, kim jestem, dała mi dumę. Mam religię we krwi. Kurczę, wystarczy mi się przyjrzeć. – DeLoy wyciąga ręce na boki i patrzy na swoje ubranie. Prycha z autoironią. – Co prawda straciłem wiarę, ale wciąż noszę mormońską bieliznę. Próbuję z tym walczyć, ale mi nie wychodzi, nawet kiedy jest taki upał jak dziś. Bez niej czuję się nagi. – Znowu się śmieje, po czym dodaje: – To chyba świadczy o sile tej wiary. – DeLoy odwraca wzrok ku miastu, ku domom na planie kraty i polom u stóp góry. – Osobie z zewnątrz trudno przyjąć, że to miejsce ma tyle dobrych cech. Ludzie, którzy mieszkają tam, na dole, potrafią *nieprawdopodobnie* ciężko pracować. Są silni. Czuję

naprawdę potężną więź z Colorado City. Uważam je za świetne miejsce dla rodziny.

DeLoy mówi szczerze, choć wiele razy słuchał opowieści tutejszych kobiet o molestowaniu seksualnym w dzieciństwie, choć wie, że pedofilia jest na porządku dziennym.

– Te historie są prawdziwe – przyznaje. – Wiem na sto procent, że niektórzy kapłani uprawiali seks z własnymi córkami. To potworne. Ale podobne rzeczy dzieją się wszędzie. Uważam nawet, że tu, u nas, zdarzają się rzadziej niż gdzie indziej.

W każdym razie DeLoy dokonał apostazji nie z powodu obyczajów seksualnych ani zakazów i surowych reguł życia codziennego.

– Po prostu religia stała się dla mnie kłamstwem i nie mogłem już tego dłużej ignorować. Nie twierdzę, że prorocy świadomie łżą ludziom w oczy. O ile wiem, Rulon, Warren i Winston sami wierzą w to kłamstwo. Tak mi się przynajmniej wydaje. Przy czym nie tylko tę religię uważam za nieprawdziwą. Wszystkie religie to kłamstwo. Czy istnieje jakaś siłą wyższa? Czy za Wielkim Wybuchem, powstaniem Wszechświata, ewolucją gatunków kryje się jakiś plan? Nie wiem. Możliwe, że tak. Chciałbym przynajmniej dopuszczać taką możliwość. Zdrowy rozsądek podpowiada mi jednak, że wszystkim rządzi przypadek.

W młodości DeLoy był, jak twierdzi, „niezwykle religijny”, ale miał też dociekliwy umysł.

– Już wtedy rozmyślałem o sprzecznościach między tym, co głosi Kościół, a prawdą naukową. Wuj Roy powiedział nam jednak, że trzeba po prostu unikać pewnych pytań. Nauczyłem się zatem ignorować sprzeczności. Wkrótce zrobiłem się w tym naprawdę dobry.

DeLoy był inteligentny, a miejscowe szkoły potrzebowały nauczycieli. Kiedy skończył osiemnaście lat, prorok wysłał go na studia do College’u Stanowego Południowego Utah w Cedar City, godzinę jazdy z Colorado City.

– Ja dostałam polecenie, żeby mu towarzyszyć – opowiada Eunice Bateman, którą prorok krótko wcześniej przeznaczył na pierwszą żonę DeLoya. – Żadne z nas nie mieszkało nigdy poza Colorado City. Nasze drugie dziecko urodziło się rok po tym, jak DeLoy zaczął studia. Czułam się tam absolutnym odmieńcem, wyrzutkiem. Tęskniłam za domem. Ale miałam dużo pracy przy wychowywaniu dzieci, przepisywaniu za niego prac na maszynie i pomaganiu mu w pracach domowych. – DeLoy ukończył studia, wrócił do Colorado City i podjął pracę w szkole.

Na uczelni czuł się cudzoziemcem w obcej ziemi, lecz mówi:

– Kochałem college. Teraz wydaje mi się, że to był początek końca. Owszem, pozostałem członkiem Kościoła przez następne dwadzieścia lat, ale tam, w Cedar City, otworzyły mi się oczy. Tam po raz pierwszy poszedłem na zajęcia z geologii. Po powrocie udałem się do Wuja Roya i zapytałem: „Jeden profesor twierdzi, że Ziemia ma cztery i pół miliarda lat, choć według naszej wiary ma tylko sześć tysięcy lat. Jak to możliwe?”. Co dowodzi, że edukacja jest problemem z punktu widzenia Dzieła. Bierzesz młodego, posłusznego wyznawcę, wysyłasz go na uniwersytet i proszę, chłopak zostaje apostatą. Typowa historia. Za każdym razem przywódcy dochodzą potem do wniosku, że trzeba ograniczyć ludziom dostęp do prawdziwej wiedzy.

Kiedy DeLoy stracił wiarę i opuścił UEP, trójka jego najstarszych dzieci miała już własne rodziny. Pozostałą czternastkę uczył jednak, że trzeba myśleć samodzielnie i nie przyjmować na wiarę tego, co głosi Kościół.

– Czasami martwię się, co z nimi będzie, jeśli mnie i żonie coś się stanie – wzdycha DeLoy. – Starsze

dzieci na pewno zaopiekują się młodszymi, no ale oczywiście będzie to oznaczało powrót do religii. Dzieci pewnie się nie zmartwią. Tyle że nigdy już nie uwolnią myśli ani wyobraźni.

Aby je przed tym ustrzec i zaszczepić zdrowy sceptycyzm wobec wszelkich dogmatów religijnych, 31 grudnia 1999 roku DeLoy i Eunice zapakowali całe potomstwo do dwóch vanów (rodzina Batemanów zawsze potrzebuje przynajmniej dwóch dużych aut do wspólnych podróży) i pojechali do Las Vegas przywitać nowe tysiąclecie.

– Zabraliśmy dzieciaki do Las Vegas, bo to ponoć miasto grzechu, pierwsze miejsce, które Bóg miał rzekomo zniszczyć z wybiciem północy. Poszliśmy do kasyna New York–New York, stanęliśmy przed wejściem w wielotysięcznym tłumie i odliczaliśmy ostatnie sekundy do roku dwutysięcznego. I proszę: świat się nie skończył. Dzieciakom dało to do myślenia. – DeLoy ze śmiechem kręci głową.

Teraz, kiedy nie jest już członkiem Fundamentalistycznego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, zadziwia go, jak dziwaczne przekonania Kościół potrafi zaszczepiać wiernym.

– Zdumiewające, że sam wierzyłem w takie bzdury. Na przykład od dzieciństwa uczono nas, że czarni to nie ludzie. Żadnych innych źródeł informacji nie było. W Colorado City nie mieszkał ani jeden czarny. W ogóle ich nie znaliśmy. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem czarnego już jako dorosły, na wycieczce w St. George. Gapiłem się na niego. Nigdy wcześniej nie widziałem podobnego stworzenia. Jakbym ujrzał zupełnie przedziwne i niespotykane zwierzę. To oczywiście paskudny sposób myślenia. Teraz się go wstydzę. Ale po prostu tak zostałem wychowany, a to niełatwe do przezwyciężenia. Na przykład parę dni temu przed zaśnięciem włączyłem sobie na chwilę telewizor. Akurat leciał program Oprah Winfrey. I od razu zmieniłem kanał, tylko dlatego, że Oprah jest czarna. Zdawałem sobie sprawę, że źle postępuję, lecz religia wpoiła mi taki odruch i trudno się go pozbyć. Najsmutniejsze, że dzieci cały czas uczone są dokładnie tego samego. – Faktycznie. Kościół FLDS głosi, że mieszane małżeństwo stanowi grzech tak wielki, że „zgodnie z prawem Bożym karą jest natychmiastowa śmierć”[82].

– Zdumiewające, jak naiwni bywają ludzie – ciągnie DeLoy. – No ale nie wolno zapominać, że religia naprawdę daje pocieszenie, daje ci wszystkie odpowiedzi i czyni twoje życie prostszym. Nie ma nic przyjemniejszego niż wypełnianie poleceń proroka. W razie kłopotów, jeśli na przykład jesteś komuś winien pieniądze, a nie masz z czego oddać, idziesz do proroka. A prorok mówi ci: „Nie musisz zwracać długu, tak rzecze Pan”. Czyli prorok bierze na siebie całą odpowiedzialność za twoje postępowanie. Możesz odmówić oddania pieniędzy, możesz nawet kogoś zabić i nie mieć żadnych wyrzutów sumienia. Między innymi dlatego ta religia tak dobrze się trzyma. Ludzie nie muszą podejmować trudnych decyzji, nie muszą za nie odpowiadać.

Teraz DeLoy patrzy w stronę pustyni i mruży oczy. W oddali, po drugiej stronie Arizona Strip, majaczą sylwetki Mount Dellenbaugh i Mount Trumbull. Obie góry zdają się unosić w powietrzu, ponad mirażem drżącym na horyzoncie.

– Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że tutejsi wyznawcy, mieszkańcy Colorado City, to bardzo szczęśliwi ludzie. – DeLoy spogląda w dół, na czerwony piasek. Krzywi się i trąca kamyk czubkiem buta. – Ale są w życiu rzeczy ważniejsze niż szczęście. Na przykład wolność do samodzielnego myślenia.

POSŁOWIE

> Nie było żadnych dawnych bohaterskich czasów, nie było wspaniałych pokoleń. Jesteśmy tylko my, zwyczajni i tchórzliwi. Od zawsze. Ludzie pracowici i silni, mądrzy, obojętni, ważni, płochliwi, samokrytyczni. Tworzymy plany, pniemy się w górę, kłamiemy, dokonujemy podbojów. Modlimy się za bliskich, próbujemy się uwolnić od nieszczęść, oszukać śmierć. Słabnie i blaknie przekonanie, jakoby prości ludzie przestawali niegdyś z Bogiem, lub choćby odznaczali się odwagą i ofiarnością, które nam nigdy nie będą już dane. Absolut dostępny jest bowiem każdemu i w każdym czasie. Nie było epoki ani bardziej, ani mniej świętej aniżeli nasza.
>
> Annie Dillard, *For the Time Being*

Napisałem tę książkę, gdyż pragnąłem zrozumieć naturę wiary. Ponieważ większość życia spędziłem na Zachodzie Stanów Zjednoczonych, a mormoni stanowili pogodny element mojego świata, zdecydowałem się zawęzić nieco temat i przyjrzeć się religijności przez pryzmat mormonizmu. Dorastałem w Corvallis w stanie Oregon, gdzie istniała (i nadal istnieje) niezwykle prężna społeczność mormońska. Wśród moich rówieśników i przyjaciół, nauczycieli i trenerów było wielu mormonów. Pamiętam, że zawsze zazdrościłem im niezmąconej pewności i radości, którą dawała im wiara. Zarazem jednak niezmiernie mnie to dziwiło. Od tamtej pory próbuję pojąć zdumiewającą moc religii.

Zdecydowałem się pisać o mormonach, gdyż wiedziałem sporo na temat ich teologii i podziwiałem wiele aspektów ich kultury. Elementem decydującym były jednak okoliczności narodzin samego wyznania. Kościół mormoński powstał niespełna dwieście lat temu, w społeczeństwie, w którym rozpowszechniona była już umiejętność czytania i pisania, w epoce prasy drukarskiej. Całe dzieje tej religii (w przeciwieństwie do innych globalnych wyznań) są zatem znakomicie udokumentowane. Dysponujemy niezliczonymi relacjami z pierwszej ręki. Dzięki mormonom zyskaliśmy wspaniałą szansę prześledzenia, jak rodzi się nowe wyznanie.

Muszę jednak wyznać, że książka, którą czytacie, nie jest książką, którą zamierzałem napisać. Pierwotnie chciałem się skupić na niełatwych zmaganiach Kościoła LDS z własną przeszłością. Miałem nawet tytuł: *Historia i wiara*. Planowałem opisać wewnętrzne zmagania duchowe myślicieli, którzy „kroczą w cieniu wiary” (by użyć określenia Pierre’a Teilharda de Chardina). W jaki sposób krytyczny umysł może pogodzić prawdę naukową i historyczną z doktryną religijną? Jak ludzie podtrzymują wiarę, kiedy fakty zdają się jej przeczyć? Fascynowały mnie paradoksy na przecięciu wiary i wątpliwości. Mam przy tym wielki szacunek dla urodzonych sceptyków pokroju de Chardina, którzy mimo wszystko potrafią wiarę zachować.

W swoich badaniach wciąż jednak zbaczałem w inną stronę. Długo stawiałem opór, lecz w końcu odpuściłem i postanowiłem się przekonać, dokąd prowadzi ta nieznana ścieżka. Tak oto, zamiast *Historii i wiary*, powstała książka *Pod sztandarem nieba*. Kto wie, może pewnego dnia wrócę do pierwotnego pomysłu.

Pisanie zajęło mi rok. Zbieranie materiałów – trzy lata. Przebyłem tysiące kilometrów, by odwiedzić święte miejsca mormonizmu i przeprowadzić dziesiątki wywiadów z mormonami, mormońskimi fundamentalistami oraz apostatami (odbyłem również wiele wywiadów telefonicznych). Niektórzy prosili mnie o zachowanie ich nazwisk w tajemnicy – dlatego też w części przypadków posługuję się pseudonimami.

Dana Lafferty’ego odwiedziłem w listopadzie 2001 roku w Point of the Mountain, więzieniu stanowym

o zaostrzonym rygorze. Wywiad zajął prawie całe popołudnie. Później Dan odpowiedział listownie na mnóstwo pytań dodatkowych. Listy pisał długie i szczegółowe, niepokojąco szczere. Otrzymałem też tysiące stron akt i transkrypcji z trzech procesów sądowych oraz licznych przesłuchań w sprawie Dana i jego brata Rona.

W eseju *The Empire of Clean* Timothy Egan, reporter „New York Timesa", zauważał:

> W Utah, stanie, którego symbolem jest ul, niemal każde miasto, każdy zbór i każda ważniejsza rodzina dokumentuje szczegółowo swoje życie codzienne. Tak powstaje zapis *Mormon Dream*. Z reguły zapisy w księgach należą do dwóch porządków. Jedne opowiadają historię nowego Syjonu na amerykańskim Zachodzie. Drugie są mniej uduchowione, lecz równie szczegółowe: dzięki nim w miasteczku Orderville wiedzą dokładnie, kto chodził głodny w roku 1912, kto popełnił cudzołóstwo w 1956, ale też czyj piętnastowieczny przodek dostał paszport do życia wiecznego. Każda dramatyczna relacja o każdej karawanie wozów, każde krwawe zdarzenie, każda wygrana w koszykówkę z indiańskimi dzieciakami w hrabstwie Carbon jest gdzieś spisana. Żaden inny stan nie ma tylu kronikarzy ani lepszych archiwów, skrywanych w klimatyzowanych skarbcach. […] Mormoni utrzymują przeszłość przy życiu. Mawiają, że znajdzie się relacja na każdy temat.

Korzystałem z tej bogatej historii, wydając wszystkie oszczędności w najrozmaitszych księgarniach. Odwiedziłem także archiwa Towarzystwa Historycznego Utah w Salt Lake City oraz Bibliotekę Harolda B. Lee na Uniwersytecie imienia Brighama Younga w Provo. Największe wrażenie zrobiła na mnie trójka historyków: Fawn Brodie, autorka *No Man Knows My History*, Juanita Brooks, autorka *The Mountain Meadows Massacre*, oraz D. Michael Quinn, autor książek *The Early Mormonism and the Magic World View*, *The Mormon Hierarchy. Origins of Power* i *The Mormon Hierarchy. Extensions of Power*.

Wszyscy troje urodzili się w mormońskich rodzinach, a wiara (lub, w przypadku Brodie, utrata wiary) wzbogaciła ich badania naukowe, wyróżniające się odważną, nieprzejednaną szczerością. Brodie zmarła w roku 1981, Brooks w 1989, a Quinn (obecnie pięćdziesięcioośmioletni) jest u szczytu kariery akademickiej. Jego książkom brakuje elokwencji Brodie i barwnej narracji Brooks, nie trafiają raczej do szerszego grona czytelników, odegrały jednak ogromną rolę w mormońskiej historiografii. Ponadto od czasu Fawn Brodie żaden autor nie ściągnął na siebie tak wielkiego gniewu władz Kościoła LDS jak Quinn.

Studiował na Uniwersytecie imienia Brighama Younga, doktorat zrobił jednak w Yale. Potem został profesorem historii w Provo. Pierwszy raz rozgniewał dostojników kościelnych w roku 1981 swoim legendarnym wykładem dla Koła Studentów Historii BYU, zatytułowanym *O byciu mormońskim historykiem*. Była to odpowiedź na niedawne ataki przeciwko uczonym, którzy ośmielili się publikować prace krytyczne wobec oficjalnej (i mocno wygładzonej) historii mormonizmu. „Niestety – mówił – zdarzało się, że kościelni przywódcy, nauczyciele i autorzy ukrywali trudne fakty z mormońskiej przeszłości, a zamiast tego karmili wiernych mieszanką banałów, półprawd i przemilczeń".

„Tak zwana ewangelizacyjna historia Kościoła, która pomija kwestie oraz zdarzenia kontrowersyjne i trudne, na dłuższą metę zagraża mormonizmowi. Wierni i tak poznają prawdę z innych źródeł. Jednym z najbardziej przykrych tego dowodów jest rozprzestrzenianie się w ostatnich siedemdziesięciu pięciu latach mormońskiego wielożeństwa, pomimo starań władz Kościoła". Quinn zwrócił uwagę, że chociaż w 1890 roku poligamia została oficjalnie odrzucona, przywódcy wspierali ją po cichu jeszcze przez wiele lat. Te machinacje pchnęły niejednego mormona w objęcia fundamentalizmu.

„Główne argumenty wykorzystywane przez przeciwników Kościoła LDS są natury historycznej, jeśli więc chcemy budować Królestwo Boże, ignorując ciemne karty naszej przeszłości, sami wystawiamy się na atak. Jako człowiek, który otrzymywał listy z pogróżkami od wrogów mormonizmu, czuję przykrość, kiedy moi prorocy zarzucają mi działalność wywrotową".

Tekst wykładu (który odbił się szerokim echem wśród mormońskich intelektualistów) zamieszczono na pierwszej stronie podziemnej studenckiej gazetki, co wywołało furię władz w Salt Lake City i awanturę, opisywaną później na łamach „Newsweeka". Tak oto Quinn wypadł z łask swojego ukochanego Kościoła. W 1988 roku zmuszono go do odejścia z Uniwersytetu imienia Brighama Younga. W roku 1993, w głośnym „postępowaniu dyscyplinarnym", Quinna i pięciu innych znanych mormonów poddano ekskomunice. „Kościół chciał wysłać wszystkim dysydentom jasny komunikat – mówi historyk. – Chodziło o zastraszenie niepokornych".

Był to potężny cios. „Miałem co prawda wiele zastrzeżeń do polityki kościelnej, ale dla praktykującego mormona ekskomunika jest jak wyrok śmierci. Odbiera ci poczucie przynależności do wspólnoty, której bardzo mi brakuje".

Sytuacji Quinna zaszkodził dodatkowo fakt, że w połowie lat osiemdziesiątych dokonał coming-outu i ujawnił, że jest gejem. Mormońskie Władze Generalne nadal dbają, by ich Kościół nie był organizacją zbyt przyjazną dla homoseksualistów. Na przekór głęboko zakorzenionej mormońskiej homofobii i swemu nieprzejednanemu krytycyzmowi Quinn pozostaje żarliwym wyznawcą religii Josepha Smitha. „Jestem radykałem, ale i wiernym", mówi. Należy do nielicznych myślicieli religijnych, którzy – jak to ujmowała Annie Dillard – „rozkwitają dzięki paradoksom".

„W młodości – przyznaje Quinn – przyjąłem tak zwane trudne świadectwo. Zamiast czarno-białego mormońskiego światopoglądu wybrałem wiarę starotestamentową. Prorocy w Starym Testamencie są bardzo ludzcy, błądzą, grzeszą, lecz mimo to Bóg powierza im misję. Tak właśnie postrzegam mormonizm. Kościół nie jest idealny. Widzę wiele wad, zarówno w samej instytucji, jak i u osób stojących na jej czele. Potrafię to zaakceptować i uznać za część mojej wiary".

„Na pierwszej stronie Księgi Mormona Joseph Smith napisał: »I jeśli znajdą się tutaj błędy, są one błędami ludzi«. Zawsze wierzyłem, że mormonizm to jedynie słuszna religia. Nie wierzę natomiast w jego nieomylność. Zwłaszcza dlatego, że ma monopol na prawdę".

Jednym z wydarzeń, które doprowadziły do ekskomuniki Quinna, była publikacja jego książki *Early Mormonism and the Magic World View* w roku 1987. Jest to fascynujące, drobiazgowe studium na temat mistycznych i okultystycznych praktyk Josepha Smitha. W przedmowie do wydania z 1998 roku Quinn stwierdza, że w świecie akademickim „uczeni przyznający się, choćby mimochodem, do wiary w rzeczywistość metafizyczną wywołują powszechny wstyd i zażenowanie". Jego zdaniem jednak każdy autor ma intelektualny i etyczny obowiązek „przedstawić własny punkt widzenia, kiedy pisze o metafizyce" – dlatego też sam nie wypiera się mormonizmu, dodając: „Nie zamierzam się z tego tłumaczyć ani usprawiedliwiać przed świeckimi humanistami i wyznawcami innych religii".

Argumenty Quinna trafiły mi do przekonania. Faktycznie, osoba pisząca na temat religii winna jest czytelnikom sprawozdanie z własnych poglądów ideologicznych i teologicznych. A więc:

Nie wiem, czym jest Bóg ani co miał na myśli, tworząc Wszechświat. Nie wiem nawet, czy Bóg istnieje, choć czasem się modlę – w chwilach wielkiego lęku i rozpaczy lub w obliczu nieoczekiwanego piękna.

Na świecie istnieje pewnie z dziesięć tysięcy sekt. Każda ma własną kosmologię, własne odpowiedzi na pytanie o sens życia i śmierci. Prawie wszystkie utrzymują, że pozostałe 9999 nie tylko się myli, ale też stanowi narzędzie zła. Jak dotąd żadna nie przekonała mnie, bym przyjął wiarę. Pogodziłem się z tym, że niepewność to niezbywalny element ludzkiego życia. Tajemnice istniały, istnieją i istnieć będą – i nie

jest to dla mnie powód do płaczu. Zresztą znacznie lepiej zaakceptować fundamentalną niepoznawalność bytu niż skapitulować przed tyranią sztywnej wiary.

I choć nie znam odpowiedzi na wielkie pytania, parę drobnych spraw rozumiem. Większość z nas boi się śmierci. Większość chce wiedzieć, skąd i po co się tu wzięliśmy. Większość pragnie doświadczyć miłości naszego Stwórcy. A owo pragnienie nie opuści nas – a w każdym razie większości z nas – póki żyjemy.

Jon Krakauer

styczeń 2003

DODATEK DO DRUGIEGO WYDANIA

Pierwsze wydanie *Pod sztandarem nieba* ukazało się w lipcu 2003 roku. Dwa tygodnie przed publikacją Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich wystosował wyprzedzającą „odpowiedź", podpisaną przez wysokiej rangi dostojnika kościelnego Richarda Turleya. Rozesłano ją do gazet, stacji telewizyjnych i radiowych w całych Stanach Zjednoczonych. W jadowitym pięciostronicowym tekście Turley łajał moją książkę, twierdząc, że prezentuje ona „wyjątkowo jednostronny i nieprzychylny obraz mormońskiej historii".

Do krytyki starszego Turleya dołączono krótkie, lecz płomienne oświadczenie Mike'a Ottersona, rzecznika prasowego Kościoła LDS, który nazwał książkę „nikczemną próbą podważenia wiarygodności współczesnego Kościoła" na podstawie „starych stereotypów". Według starszego Ottersona moi czytelnicy „gotowi pomyśleć, że każdy mormon, nawet ich dobry znajomy, jest w istocie bestią. Tak oto Krakauer bezwiednie ustawił się w jednym szeregu z tymi, których zdaniem każdy Niemiec jest nazistą, każdy Japończyk fanatykiem, a każdy Arab popiera terroryzm".

Nie mam pojęcia, czemu moja książka tak bardzo uraziła starszego Turleya i starszego Ottersona. Trzeba jednak pamiętać, że w historii Kościoła LDS ogromną rolę odegrały prześladowania religijne. Mormoni wycierpieli więcej krzywd ze strony rodaków niż jakakolwiek inna amerykańska sekta. Być może tłumaczy to po części, czemu przywódcy Kościoła zarzucili mi bigoterię, w książce zaś dopatrzyli się ataku na swą wiarę. Rany spowodowane dawną nienawiścią jeszcze się nie zagoiły, toteż każdy, kto przedstawia Josepha Smitha w cokolwiek niepochlebnych barwach, powinien spodziewać się łatki mormonożercy. Podobna nadwrażliwość na krytykę spotykana jest również wśród Żydów, katolików i innych mniejszości religijnych, które doświadczyły okrutnych prześladowań.

Nie wolno jednak stawiać znaku równości między bigoterią a ujawnianiem przykrych faktów historycznych. Postanowiłem więc odpowiedzieć na konkretne zarzuty starszego Turleya, którego stanowisko przytaczam tu w całości. Zapoznawszy się z nim oraz z moimi wyjaśnieniami, czytelnicy sami rozstrzygną, czy książka rzeczywiście prezentuje wypaczony obraz mormońskiej przeszłości i czy można uznać ją za oszczerczą.

Recenzja napisana przez Richarda E. Turleya juniora, kierownika Wydziału Historii Rodziny i Kościoła w Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich

W często cytowanej książce *Historians' Fallacies. Toward a Logic of Historical Thought* David Hackett Fischer krytykuje tych, którzy wyciągają daleko idące wnioski na podstawie skromnych danych:

Istnieje anegdota, zapewne apokryficzna, o uczonym, który zaprezentował nieprawdopodobnie śmiałą teorię dotyczącą zachowań szczurów. Pewnego dnia do jego laboratorium przyszedł sceptyczny kolega po fachu i poprosił o udostępnienie surowych danych, stanowiących podstawę całego wnioskowania. „Proszę bardzo" – powiedział uczony, wyciągając notatnik spod pliku papierów na biurku. Po czym, wskazując klatkę w kącie pokoju, dodał: „A tu jest szczur".

Jon Krakauer, autor książki *Pod sztandarem nieba. Opowieść o okrutnej wierze*, pragnąc za wszelką cenę potwierdzić swoje hipotezy, odwołał się do nietypowego przypadku zbrodni dokonanej przez braci Lafferty w roku 1984, by „zaprezentować czytelnikom krwawe dzieje mormonizmu" i zbadać „podbrzusze najpotężniejszej amerykańskiej religii" (cytaty z tylnej strony okładki egzemplarza recenzenckiego). Choć dzieło Krakauera przypaść może do gustu ludziom łatwowiernym, którzy dają się nabrać na tego typu reklamę, jak pstrąg daje się nabrać na przynętę, wyrobieni czytelnicy, zainteresowani prawdziwą historią Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, nie powinni marnować czasu na tę lekturę.

Książka, traktująca rzekomo o morderstwie popełnionym przez dwóch braci wykluczonych z Kościoła, jest w istocie rzeczy potępieniem religii i religijności we wszelkich przejawach. Autor, agnostyk, pisze: „Nie wiem, czym jest Bóg ani co miał na myśli,

tworząc wszechświat. Nie wiem nawet, czy Bóg istnieje, choć czasem się modlę – w chwilach wielkiego lęku i rozpaczy lub w obliczu nieoczekiwanego piękna". Jego zdaniem Boga nie możemy jednak poznać. „Pogodziłem się z tym, że niepewność to niezbywalny element ludzkiego życia", pisze. Przyznaje, że dzieli z innymi ludźmi lęk przed śmiercią, pragnienie zrozumienia, „skąd i po co się tu wzięliśmy", oraz doświadczenia „miłości naszego Stwórcy". Zarazem jednak uważa, że „owo pragnienie nie opuści nas – a w każdym razie większości z nas – póki żyjemy". Niewiara Krakauera przenika całą książkę: „Znacznie lepiej zaakceptować fundamentalną niepoznawalność bytu niż skapitulować przed tyranią sztywnej wiary" (s. 287)[83].

„Często ignoruje się lub neguje ciemne aspekty wiary – pisze Krakauer we wstępie. – Nie istnieje chyba jednak potężniejsza od religii siła, która motywowałaby do zachowań okrutnych i nieludzkich (czy też, posługując się określeniem z wokabularza wierzących, do czynienia zła)". Nawiązując do „islamskiego fundamentalizmu", odpowiedzialnego za zbrodnię z 11 września 2001 roku, autor stwierdza, że: „najokrutniejszych zbrodni w imię Boże dopuszczali się ludzie wszystkich wyznań, odkąd tylko pojawił się koncept boskości. Mahomet nie jest jedynym prorokiem, którego słowa wykorzystywano do usprawiedliwiania barbarzyństwa: historia zna pełno chrześcijan, żydów, hinduistów, sikhów, buddystów, a nawet rodowitych Amerykanów, którzy w świętych księgach znaleźli wezwanie do mordowania niewinnych. Przemocy na tle religijnym nie wymyślił Osama bin Laden i nie zniknie ona z jego śmiercią " (s. xxii).

Owszem, „fanatyzm znajduje różne wcielenia. Niezależnie od tego, o jakim rodzaju ludzkiej działalności mówimy, zawsze znajdzie się drobny ułamek osób skłonnych poświęcić się tej działalności z bezwzględnym oddaniem i obsesyjną pasją, aż do zatracenia, skłonnych poświęcić życie na doskonalenie talentu fortepianowego lub wspinaczkę na Mount Everest". Bez posługiwania się jakimikolwiek wskaźnikami, pozwalającymi na rzetelny, naukowy pomiar postaw ekstremistycznych, Krakauer dodaje jednak: „Jednostki podatne na upajającą moc ekstremizmu zdarzają się we wszystkich grupach społecznych, na szczególne ryzyko narażeni są jednak ci, którzy zostali wychowani w wierze religijnej lub mają ku wierze skłonności".

Z tego założenia Krakauer wywodzi główną tezę swojej książki: „Wiara stanowi przeciwieństwo rozumu; wyrzeczenie się racjonalności to istota każdego doświadczenia duchowego. Kiedy zaś fanatyzm religijny zajmuje miejsce racjonalnego wnioskowania, przestają obowiązywać jakiekolwiek reguły. Wszystko może się wydarzyć. Naprawdę wszystko. Zdrowy rozsądek nie ma szans w starciu ze słowem Bożym – czego doskonałym przykładem są czyny Dana Lafferty'ego" (s. xxiii). Przypadek braci Lafferty, rzekomy temat książki Krakauera, staje się zatem zaledwie ilustracją teorii.

Aby dowieść, że „korzenie zbrodni [dokonanej przez braci Lafferty] wrastają głęboko w historię amerykańskiej wiary, praktykowanej przez miliony" (cytat z okładki egzemplarza recenzenckiego), Krakauer odmalowuje wyjątkowo jednostronny i nieprzychylny obraz mormońskiej historii.

Odwołując się na przykład do dobrze znanej historii o procesie Josepha Smitha z roku 1826, Krakauer powiada: „Niezadowolony klient pozwał Josepha o oszustwo" (s. 39). Wychodzi tu na jaw nie tylko ignorancja Krakauera w kwestii podstawowych faktów dotyczących tej sprawy, lecz także jego stronniczość i nieprzychylność. W rzeczywistości pozew nie wyszedł od „niezadowolonego klienta" – to podwładni Josiaha Stowella oskarżyli Josepha o rzekomą defraudację. Prawnik, który starannie badał sprawę, pisze, że sam Stowell „stanowczo zaprzeczył, jakoby padł ofiarą oszustwa" (Gordon A. Madsen, *Joseph Smith's 1826 Trial. The Legal Setting*, „Brigham Young University Studies" 1990, t. 30, s. 105). W rezultacie Josepha uznano za niewinnego i uwolniono.

Krakauer nagina też prawdę, opisując wydarzenia współczesne. Uczestniczył w Festiwalu Wzgórza Kumorah w Palmyrze, gdzie jego zdaniem „Panuje entuzjazm jak na koncercie Phish, tyle że bez alkoholu, szalonych fryzur […] i marihuany" (s. 47). Bez powoływania się na źródła stwierdza: „prędzej czy później większość mormonów odbywa tam pielgrzymkę" (s. 44). Jakkolwiek festiwal cieszy się wielką popularnością, większość mormonów nigdy nie brała i nie weźmie w nim udziału.

Autorowi można oddać, że rozumie pewne kwestie z zakresu doktryny Kościoła i jego struktury administracyjnej, popełnia jednak liczne błędy, świadczące o słabej znajomości tematu. Przykładowo, Marka E. Petersena, członka Kworum Dwunastu Apostołów, mylnie tytułuje „prezydentem Kościoła" (s. 53). Daje też dowód ignorancji, gdy chodzi o Księgę Mormona oraz Biblię. Labana nazywa „bogatym krętaczem, którego postać pojawia się w Księdze Mormona i w Starym Testamencie" (s. 132). Otóż starotestamentowy Laban, wuj i teść Jakuba, brak Rebeki, żył wiele stuleci wcześniej niż Laban z Księgi Mormona.

Dając wiarę niepotwierdzonym źródłom, Krakauer pisze, że Nauvoo, siedziba Kościoła w latach 1839–1846, było miastem „obdarzonym suwerennością niespotykaną nie tylko w Illinois, lecz w ogóle w całym kraju" na mocy „wyjątkowego statutu" (s. 80). Najnowsze badania nie pozwalają postawić takiej tezy. Glen M. Leonard w książce *Nauvoo. A Place of Peace, a People of Promise* (Deseret Book – Brigham Young University Press, Salt Lake City – Provo 2002) słusznie zauważa: „W ciągu poprzednich dwóch lat legislatura stanu Illinois przyznała statut miejski Galenie, miastu utrzymującemu się z zysków z kopalni ołowiu, a także nowej stolicy stanowej w Springfield i miastu Quincy, sąsiadującemu z Nauvoo w hrabstwie Adams. Wcześniej tylko Chicago i Alton uzyskały podobne statuty, oba w roku 1837. Każdy statut odwoływał się do poprzednich. W przypadku Quincy precedens stanowiły statuty Chicago, Alton i St. Louis w stanie Missouri. Projekt statutu Nauvoo zawierał w sobie zapisy wprowadzone w Galenie, Quincy i Springfield. Długi fragment dotyczący rady miejskiej Nauvoo skopiowano w całości ze statutu Springfield, co stanowiło wówczas powszechną praktykę legislacyjną" (s. 101).

Krakauer przyznaje, że choć „Joseph bardzo poważał amerykańską konstytucję", zarazem „słowem i czynem dowodził, że sam nie przywiązuje najmniejszej wagi do wolności religijnej niemormonów, a gdyby jakimś cudem wybrano go na prezydenta, zapewne nie

stałby na straży swobód wyznawców innych Kościołów" (s. 81). Rzetelni badacze, specjaliści z zakresu biografii Josepha Smitha, twierdzą jednak, że prawa innych grup mocno leżały mu na sercu. W kazaniu wygłoszonym 9 lipca 1843 roku przed nieukończoną jeszcze świątynią w Nauvoo mówił: „Dowiodłem, żem gotów umrzeć za mormonów, teraz zaś przysięgam na niebiosa, żem gotów też umrzeć za prezbiterian, baptystów i wyznawców wszelkich wiar. Mą duszą kieruje umiłowanie wolności – wolności obywatelskich i religijnych" (Andrew F. Ehat, Lyndon W. Cook (red.), *The Words of Joseph Smith*, Religious Studies Center, Brigham Young University, Provo 1980, s. 229).

Krakauer przyjmuje pogląd, jakoby Orrin Porter Rockwell próbował zabić byłego gubernatora Missouri Lilburna W. Boggsa, by wypełnić rzekome proroctwo Josepha Smitha. Następnie pisze: „Rockwell z łatwością uniknął aresztu. Ani Rockwell, ani żaden inny członek Kościoła mormońskiego nie zostali o nic oskarżeni" (s. 82). Jednak Harold Schindler w cenionej biografii Rockwella pisze, że to, czy faktycznie postrzelił on Boggsa, „pozostaje kwestią domysłów. […] Jeśli rzeczywiście Rockwell pociągnął za spust, wydaje się, że decyzję tę podjął sam, z własnej woli" (*Orrin Porter Rockwell. Man of God, Son of Thunder*, University of Utah Press, Salt Lake City 1983, s. 72, 73). Rockwell został ostatecznie aresztowany na podstawie „mało wiarygodnych zeznań". Przez kilka miesięcy przebywał w więzieniu, skuty kajdanami, karmiony „pomyjami dla świń" (tamże, s. 75–90). Strażnicy znęcali się nad nim, nadto o włos tylko uniknął linczu. „Nie minęło parę tygodni, a z krzepkiego mormona została skóra i kości. Włosy miał długie i skudłacone, zalęgły się w nich robaki, z którymi dzielił wilgotną celę, ciasną jak grób. Brodę zlepił pot i brud, oczy się zapadły". Kiedy wreszcie stanął przed sądem, dowiedział się, że „nie zostaną mu postawione zarzuty" w związku ze sprawą Boggsa, lecz będzie musiał odpowiedzieć za próbę ucieczki. „Rockwellowi pozostało tylko tkwić w celi i rozmyślać o swym absurdalnym położeniu: czekał go proces, bo chciał uciec z więzienia, w którym jako człowiek niewinny w świetle prawa w ogóle nie powinien był się znaleźć". Ostatecznie ława przysięgłych skazała go na pięć minut więzienia i tak oto, odbywszy tę karę, Rockwell „po dziewięciu miesiącach stał się wolnym człowiekiem" (zob. tamże s. 90–99).

Krakauer przyjmuje na wiarę nader sensacyjną opowieść, przytaczaną w biografii Josepha Smitha pióra Fawn Brodie (stanowiącej dla Krakauera główne źródło): „Latem 1831 roku Johnsonowie przyjęli Josepha i Emmę jako lokatorów. Niedługo potem prorok i młoda Marinda wylądowali w łóżku. Wieść o tym szybko się rozeszła i gang oburzonych mieszkańców Ohio – również mormonów – postanowił schwytać i wykastrować Josepha, by uniemożliwić mu podobne wyskoki w przyszłości" (s. 90). Choć Marinda najprawdopodobniej została później jedną z żon Josepha Smitha, Brodie i Krakauer przedstawiają zaledwie część prawdy – tę, która najbardziej przemawia do wyobraźni osób spragnionych sensacji.

Porównajmy ją z bardziej wyważoną analizą Todda Comptona, prezentowaną w książce *In Sacred Loneliness. The Plural Wives of Joseph Smith* (Signature Books, Salt Lake City 2001):

Powody napaści stanowią kwestię sporną. Clark Braden, który znał sprawę z drugiej ręki (i był nieprzychylnie nastawiony do mormonów), twierdził publicznie, że brat Marindy, Eli, zebrał ludzi przeciwko Smithowi, gdyż prorok nawiązał zbyt bliskie relacje z jego siostrą. Na tej podstawie twierdzi się czasem, że Smith poślubił Marindę. Są pewne poszlaki, by tak sądzić. Zamiar wykastrowania Josepha (znany z relacji Luke'a Johnsona, a więc raczej niepodlegający wątpliwościom) można traktować jako dowód, że w opinii napastników Joseph dopuścił się aktu lubieżnego. Ponadto zaplanowali wszystko zawczasu i wzięli ze sobą lekarza. Smith otrzymał pierwsze objawienia dotyczące wielożeństwa w roku 1831, jak datował historyk Danel Bachman. Faktycznie też brał za żony kobiety, które mieszkały w jego domu lub u których on się zatrzymywał.

Hipotezie tej przeczy jednak wiele faktów. Po pierwsze, Marinda nie miała brata imieniem Eli, co podważa wiarygodność Bradena. Po drugie, w relacjach Haydena oraz S. F. Whitneya podawane są odmienne powody napaści. (Kto inny też miał nią dowodzić, mianowicie Simonds Ryder, były mormon, choć bracia Johnson rzeczywiście znajdowali się wśród uczestników planowanego linczu). Poszło o pieniądze: Johnsonowie usłyszeli o „intrydze, aby odebrać im ziemię i przyznać ją Smithowi". Wedle tej wersji tłum zamierzał jedynie zagrozić prorokowi kastracją, by go nastraszyć i skłonić do opuszczenia Hiram.

Marinda, opisawszy całe zdarzenie, nadmieniła: „W tym miejscu dać pragnę świadectwo, że przez rok, kiedy Joseph mieszkał w domu mego ojca, nigdy nie byłam świadkiem słów jego ani czynów, które zasiałyby we mnie zwątpienie co do jego boskiej misji". Niepodobna co prawda wykluczyć, że w 1831 roku Marinda została pierwszą duchową żoną Smitha, ale przemawiają za tym głównie późniejsze, mało wiarygodne zeznania Bradena. Dopóki na światło dzienne nie wypłyną nieznane dotąd fakty, dopóty powinniśmy przyjmować, że Joseph nie poślubił Marindy i nie łączyła ich żadna intymna relacja (s. 231–232).

Odnośnie do agentów rządu federalnego, przysłanych do Deseret we wczesnych latach mormońskiego osadnictwa, Krakauer przyznaje: „wielu przyjechało do Utah głównie w nadziei zarobienia łatwych pieniędzy". Ta ocena, choć surowa, ma pewne pokrycie w faktach. Krakauer dodaje jednak, że agenci „uciekli w obawie przed niezapowiedzianą wizytą Portera Rockwella (skądinąd zdarzały się przypadki zabójstw, aczkolwiek nie są znane dokładne liczby)" (s. 168). Pomija jednak milczeniem, skąd czerpie te informacje, toteż wiarygodności jego słów nie da się zweryfikować.

Ponieważ masakra w Mountain Meadows znakomicie pasuje do jego wywodu, Krakauer poświęca jej sporo miejsca, choć nie dokonuje samodzielnej analizy faktów. Powtarza modną tezę, jakoby podczas spotkania Brighama Younga z przywódcami plemion indiańskich 1 września 1857 roku wydano wyrok śmierci na karawanę Fanchera, gdyż „prorok otwartym tekstem »przyznał« Indianom

całe bydło pędzone przez wędrowców południowym szlakiem do Kalifornii. Przekaz był jasny: Indianie mają zaatakować karawanę wozów. Następnego ranka Pajuci opuścili mormońskie miasto o pierwszym brzasku i popędzili na południe" (s. 179).

Krakauer, podobnie jak inni autorzy, którzy chcą wierzyć w tę teorię, pomija najważniejszą informację. Relacja Dimicka Huntingtona ze spotkania z Indianami mówi, że ktoś – być może Brigham Young, być może sam Huntington – przyznał Indianom bydło na południowym szlaku. Nigdzie jednak nie jest powiedziane, że mowa o bydle Fanchera. Według innych relacji Indianie z Północy dostali bydło ze szlaku północnego. Innymi słowy, zamiast „rozstrzygającego dowodu", o którym trąbią współczesne publikacje, mamy jedynie do czynienia z potwierdzeniem znanego faktu, że mormoni zawiązywali sojusze z Indianami w zamian za bydło. Daleko temu do rozkazu wymordowania mężczyzn, kobiet i dzieci. Ponadto istnieje wiele ważkich przesłanek, by sądzić, że Indianie, którzy brali udział w osławionym spotkaniu,*nie* uczestniczyli w masakrze.

Kiedy do Brighama Younga doszły wieści o ataku na karawanę, wysłał do mieszkańców południowego Utah apel, by zostawili migrantów w spokoju. Apel jest jednoznaczny, choć autorzy pragnący za wszelką cenę obciążyć Brighama odpowiedzialnością twierdzą, że „nie" znaczy „tak" i wszystko należy czytać na odwrót. Krakauer podważa ponadto treść listu: „Są pewne wątpliwości co do faktycznych słów Brighama. Oryginał listu zniknął (jak zresztą znakomita większość oficjalnych mormońskich dokumentów dotyczących masakry w Mountain Meadows). Wyjątek cytowany powyżej pochodzi z kopii, która wypłynęła na światło dzienne w roku 1884: pewien dostojnik Kościoła LDS znalazł ją między stronami kościelnej *Księgi Korespondencji*" (s. 182).

Co prawda list rzeczywiście cytowano w roku 1884, ale jest bzdurą, jakoby wtedy właśnie ujrzał światło dzienne, jego treść znano bowiem wcześniej. Nikt też nie ma „wątpliwości" co do „faktycznych słów" proroka. Większość korespondencji Brighama Younga kopiowano bezpośrednio przed wysłaniem, odciskając listy (póki atrament jeszcze nie wysechł) między związanymi kartkami cienkiego, półprzezroczystego papieru i tworząc w ten sposób lustrzane odbicie oryginału. Nie inaczej postąpiono w przypadku słynnego listu, którego kopia znajduje się tam, gdzie powinna, w *Księdze Korespondencji* z 1857 roku, i została wykorzystana przez oskarżenie w procesie Johna D. Lee w latach siedemdziesiątych.

Przechodząc do spraw bardziej współczesnych, Krakauer wspomina o słynnej sprawie Marka Hofmanna i jego fałszerstw: „Kościół […] kupił od Hofmanna ponad czterysta dokumentów po to, by ukryć je przed opinią publiczną" (s. xxi). To gruba przesada. W większości przypadków chodziło o mało znaczące dokumenty prawnicze lub rządowe. Nie „ukryto ich przed opinią publiczną" – po prostu ze względu na znikomą wartość nie zostały oficjalnie zarchiwizowane (zob. Richard E. Turley Jr., *Victims. The LDS Church and the Mark Hofmann Case*, University of Illinois Press, Urbana and Chicago 1992).

Przykłady można mnożyć, lecz jak sądzę, dowiodłem już, że Krakauer w swej „opowieści o okrutnej wierze" sam dopuszcza się okrutnego gwałtu na mormońskiej historii. Większość mormonów to ludzie miłujący pokój, stroniący od przemocy, którzy – zgodnie z zasadami wiary spisanymi przez Josepha Smitha – domagają się „przywileju czczenia Wszechmogącego Boga według tego, co nam dyktuje nasze sumienie", i przyznają „ten sam przywilej wszystkim ludziom: „Niech czczą na swój sposób, gdziekolwiek i cokolwiek czcić pragną"[84].

Choć zdecydowanie nie zgadzam się z większością tez Richarda Turleya, wykrył on pięć pomniejszych błędów w mojej książce, do których chętnie się przyznam:

- Odnosząc się do obserwacji na temat Festiwalu Wzgórza Kumorah, którą poczyniłem w rozdziale szóstym, Turley pisze ze wzgardą: „Bez powoływania się na źródła, [Krakauer] stwierdza: »prędzej czy później większość mormonów odbywa tam pielgrzymkę« (s. 44). Jakkolwiek festiwal cieszy się wielką popularnością, większość mormonów nigdy w nim nie uczestniczyła i uczestniczyć nie będzie".

  Turley niemal świadomie przekręca moje słowa. Nie miałem na myśli, że większość mormonów wybiera się n*a festiwal* (trwający zaledwie przez siedem nocy każdego lata). Pisałem: „Jak w XIX stuleciu, tak i dziś wzgórze Kumorah to jedno z najświętszych miejsc religii mormońskiej, a większość jej wyznawców odbywa tam pielgrzymki". Ewidentnie więc odnosiłem się d*o wzgórz*a. Niemniej, by uniknąć hiperboli, w kolejnym wydaniu fragment ten został poprawiony i obecnie brzmi: „Jak w XIX stuleciu, tak i dziś wzgórze Kumorah to jedno z najświętszych miejsc religii mormońskiej, cel masowych pielgrzymek".
- Turley, przytaczając fragment z rozdziału siódmego, pisze: „[Krakauer] Marka E. Petersena, członka Kworum Dwunastu Apostołów, mylnie tytułuje »prezydentem Kościoła«".

  Starszy Turley ma rację. Błąd umknął mojej uwadze oraz uwadze redaktorów i korektorów. Pozwoliłem sobie na pewne uproszczenie i zacytowałem słowa Roberta Crossfielda, mówiącego o „prezydencie Marku E. Petersenie w Salt Lake City". Crossfield (podobnie jak ja) bez wątpienia wie, że Petersen nigdy nie piastował urzędu prezydenta Kościoła. „Prezydent" to jednak również tytuł honorowy, często wykorzystywany na określenie apostołów Kościoła LDS. Crossfield posłużył się nim właśnie w takim kontekście, na znak szacunku dla Petersena. Ja natomiast niepotrzebne skomplikowałem sprawę, usuwając cudzysłów z jego wypowiedzi.

- Odnosząc się do fragmentu w rozdziale piętnastym, Turley pisze: „[Krakauer] daje też dowód ignorancji, gdy chodzi o Księgę Mormona oraz Biblię. Labana nazywa „bogatym krętaczem, którego postać pojawia się w Księdze Mormona i w *Starym Testamencie*”.

  Faktycznie, pomyliłem obu Labanów.

- Odnosząc się do fragmentu w rozdziale dziesiątym, Turley stwierdza: „Krakauer przyjmuje pogląd, jakoby Orrin Porter Rockwell próbował zabić byłego gubernatora Missouri Lilburna W. Boggsa, by wypełnić rzekome proroctwo Josepha Smitha. Następnie pisze: »Rockwell z łatwością uniknął aresztu. Ani Rockwell, ani żaden inny członek Kościoła mormońskiego nie został o nic oskarżony«”.

  Rzeczywiście, popełniłem tu pomyłkę. 8 sierpnia 1842 roku Rockwell został aresztowany i uwięziony na dziewięć miesięcy. Ostatecznie nie oskarżono go o zamach na Boggsa i wypuszczono na wolność. Wprowadziłem odpowiednie poprawki do tekstu, jednocześnie jednak nadal utrzymuję, że najprawdopodobniej to właśnie Rockwell postrzelił byłego gubernatora. Wyczerpującą historię tego słynnego incydentu znaleźć można w doskonałej biografii pióra Howarda Schindlera *Orrin Porter Rockwell. Man of God, Son of Thunder* (na którą zresztą powołuje się Turley). Jak pisał Schindler:

  Jedną z cnót Rockwella była absolutna prawdomówność. Rockwell nigdy nie kłamał. Zwraca więc uwagę fakt, że nie dysponujemy żadnymi informacjami, jakoby kiedykolwiek wyparł się zamachu na Boggsa. Zaprzeczał co najwyżej, że polecenie zabicia gubernatora wyszło od Josepha. Za to dwie osoby twierdziły, że Rockwell przyznał się im do próby zabójstwa. Przykładowo, miał pod koniec życia powiedzieć generałowi Patrickowi E. Connorowi z Utah: „Strzeliłem przez okno i sądziłem, żem go zabił, alem go jedynie ranił. Nie mogłem odżałować, że psi syn uszedł z życiem!”.

- Cytując fragment wstępu, Turley skarży się: „Krakauer wspomina o słynnej sprawie Marka Hofmanna i jego fałszerstw: »Kościół […] kupił od Hofmanna ponad czterysta dokumentów po to, by ukryć je przed opinią publiczną« (s. xxi). To gruba przesada”.

  Może przesadą jest mówienie *o ukrywaniu* dokumentów, lecz dziennikarze i badacze nie mają do nich dostępu. Kościół LDS od dawna zresztą chowa przed światem co bardziej kłopotliwe papiery. W swojej książce dotyczącej sprawy Hofmanna (*Victims. The LDS Church and the Mark Hofmann Case*) Turley sam przyznaje, że Kościół zakupił co najmniej czterysta czterdzieści pięć sfałszowanych dokumentów (w przekonaniu o ich autentyczności). Część z nich kupiono w sekrecie, a transakcję nadzorowała Rada Prezydenta Kościoła, inne nabyli kolekcjonerzy współpracujący z władzami Kościoła, któremu następnie je przekazali. Większość znajduje się obecnie w niedostępnych archiwach, a o ich istnieniu wie tylko garstka dostojników.

  Ponadto jeden z najważniejszych pakietów dokumentów w sprawie Hofmanna – tak zwana kolekcja McLellina, zbiór dziewiętnastowiecznych papierów i zapisków z dzienników, rzekomo negatywnie rzutujących na wizerunek Kościoła – trafiła do sejfu Rady Prezydenta Kościoła. Ukryto ją tak starannie, że niewiele brakowało, a nikt nie dowiedziałby się o jej istnieniu. W roku 1985, podczas tajnego spotkania z jednym z członków Rady, Mark Hofmann zdradził, że odkrył zaginione osobiste archiwum apostoła Williama McLellina, który był bliskim współpracownikiem Josepha Smitha, póki w roku 1838 nie został ekskomunikowany wskutek ostrej kłótni z prorokiem. Hofmann zaproponował sprzedaż (podrobionych) dokumentów. Najwyżsi urzędnicy Kościoła po cichu zapłacili za nie sto osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Hofmann przyjął pieniądze, długo jednak zwlekał z przekazaniem kolekcji, gdyż – jak się później okazało – nie zabrał się jeszcze do jej fałszowania. W końcu kazano mu zwrócić pieniądze; wtedy wpadł w panikę i zabił dwóch niewinnych mormonów za pomocą rurobomby, by odwrócić uwagę od sprawy. Aresztowano go krótko później. Przyznał się do popełnienia morderstwa drugiego stopnia, dzięki czemu uniknął kary śmierci, Kościołowi LDS oszczędzono zaś publicznego procesu, który z pewnością położyłby się cieniem na jego reputacji. Tak oto Mark Hofmann trafił do jednej celi z Danem Laffertym; obaj do dziś odsiadują razem wyroki w więzieniu stanowym Utah.

  O ironio, sześć miesięcy po aresztowaniu Hofmanna Kościół LDS dokonał (jak pisze Turley w swojej książce) „zdumiewającego odkrycia” – w archiwum Rady Prezydenta znalazła się prawdziwa kolekcja McLellina. Okazało się, że Kościół wszedł w jej posiadanie w roku 1908 i ukrył ją najgłębiej, jak się dało. Hofmann zabił dwie osoby, gdyż nie umiał wywiązać się z zadania przekazania Kościołowi dokumentów, które Kościół i tak miał. Turley ze wstydem przyznaje: „Przez cały czas archiwum McLellina znajdowało się w rękach Rady Prezydenta”.

  W sejfie Rady kryje się zapewne mnóstwo innych ważnych dokumentów, Turley nie ujawnił jednak na ich temat żadnej informacji. Nie zdradził nawet, czy istnieją.

Jestem winien wdzięczność starszemu Turleyowi za wytknięcie mi powyższych pięciu błędów. Zostały

one poprawione we wszystkich wydaniach *Pod sztandarem nieba* opublikowanych po 7 lipca 2003 roku.

Nie mogę jednak zgodzić się z innymi jego uwagami krytycznymi. Część zarzucanych mi „pomyłek" uważam za zwykłe rozbieżności opinii. W niektórych przypadkach Turley zdaje się celowo manipulować faktami, by podważyć moją wiarygodność.

- Na temat słynnego procesu Josepha Smitha z 1826 roku Turley pisze:

  Krakauer powiada: „Niezadowolony klient pozwał Josepha o oszustwo" (s. 39). Wychodzi tu na jaw nie tylko ignorancja Krakauera w kwestii podstawowych faktów dotyczących tej sprawy, lecz także jego stronniczość i nieprzychylność. W rzeczywistości pozew nie wyszedł od „niezadowolonego klienta" – to podwładni Josiaha Stowella oskarżyli Josepha o rzekomą defraudację. Prawnik, który starannie badał sprawę, pisze, że sam Stowell „stanowczo zaprzeczył, jakoby padł ofiarą oszustwa" (Gordon A. Madsen, Joseph Smith's 1826 Trial. The Legal Setting*, „Brigham Young University Studies" 1990, t. 30, s. 105). W rezultacie Josepha uznano za niewinnego i uwolniono.*

  Jeśli ktoś tu mataczy, to właśnie Turley. Z akt sądowych wynika, że oskarżenie wniósł Peter G. Bridgman, siostrzeniec Stowella, który zarzucił Josephowi Smithowi „oszustwo i sianie niepokoju". Smith, wbrew zapewnieniom Turleya, został uznany za winnego.

  Najbardziej wiarygodną analizę procesu przedstawia Dan Vogel, badacz związany z Kościołem LDS, w swoim artykule *Rethinking the 1826 Judicial Decision* (tekst dostępny online pod adresem mormonscripturestudies.com/ch/dv/1826.asp). Vogel zdecydowanie odrzuca cytowaną przez Turleya tezę Gordona A. Madsena, jakoby „Josepha uznano za niewinnego i uwolniono". Turley ma jednak rację, że Josiah Stowell „stanowczo zaprzeczył, jakoby padł ofiarą oszustwa". Próżno przeczyć, że Stowell uwierzył w magiczne moce Josepha. Podczas procesu zeznał nawet pod przysięgą, że „jest głęboko przekonany co do zdolności więźnia [tj. Smitha]".

  Nie tylko więc sąd prawie na pewno uznał Josepha za winnego, lecz dzięki słowom Stowella wiemy, że Joseph praktykował czarną magię. Warto przywołać w tym kontekście trafne spostrzeżenie historyka Dale'a Morgana: „Z punktu widzenia dziejów mormonizmu nie ma znaczenia, co sąd orzekł w kwestii »oszustwa i siania niepokoju«. Liczy się materiał dowodowy przedstawiony podczas procesu i znane nam na tej podstawie fakty z życia Josepha Smitha, nim ogłosił się on prorokiem Bożym".

- Jeśli chodzi o moje słowa z rozdziału 10, wedle których Nauvoo było „obdarzone suwerennością niespotykaną nie tylko w Illinois, lecz w ogóle w całym kraju" na mocy „wyjątkowego statutu", starszy Turley błędnie twierdzi, że „najnowsze badania nie pozwalają na taką tezę". Pisząc ten rozdział, opierałem się na dwóch tekstach naukowych, opublikowanych w zbiorze *Kingdom on the Mississippi Revisited. Nauvoo in Mormon History*. W pierwszym tekście, zatytułowanym *The Kingdom of God in Illinois. Politics in Utopia* historyk Robert Bruce Flanders powiada, że choć statut miejski Nauvoo „nie wyróżniał się na tle podobnych ówczesnych dokumentów", został „wdrożony tak, by w praktyce powstać mogła częściowo suwerenna lokalna wspólnota, pod wieloma względami niezależna od stanu". W tekście *The Nauvoo Charter. A Reinterpretation* James L. Kimball junior, starszy kierownik głównej biblioteki Kościoła LDS w Salt Lake City, pisze, że autonomia Nauvoo stanowiła:

  rezultat przywilejów nadanych przez zgromadzenie ogólne stanu Illinois w dniu 16 grudnia 1840 roku w postaci statutu miejskiego.

  Rada miasta Nauvoo uzyskała między innymi możliwość ustanawiania dowolnych praw, o ile nie będą się one kłóciły z konstytucją Stanów Zjednoczonych ani z konstytucją Illinois. Mormoni nie musieli więc podporządkowywać się prawom stanowym, a ich stolica stała się swoistym państwem w państwie. […] Większość mormońskich badaczy, którzy poświęcali temu zagadnieniu uwagę, jest zgodna, że statut był „najbardziej liberalnym statutem miejskim w dziejach Ameryki". […]

  Statut Nauvoo zawierał pewien zapis istotnie różny od zapisów z pozostałych sześciu statutów przyjętych w tamtym okresie. Chodzi mianowicie o zgodę, by rada miasta nie tylko powoływała miejskich urzędników (przywilej ten był powszechny), ale również by „wedle własnego uznania odwoływała ich ze stanowisk". Mamy tu do czynienia z mormońskim dążeniem do bronienia się przed wszelkimi okolicznościami, które mogłyby umniejszyć ich wpływy w mieście. […] Joseph Smith mówił: „Statut miejski Nauvoo powstał zgodnie z moimi planami i zamierzeniami. Przygotowałem go, by ocalić Kościół". Mimo to statut nie zawierał (by użyć określenia, którym posługuje się część historyków) „niespotykanych" zapisów. […] Jego doniosłość kryła się nie tyle w treści,

ile w sposobie interpretacji przepisów przez radę miejską.

- Odnośnie do fragmentu w rozdziale 11 starszy Turley stwierdza krytycznie:

  Krakauer przyjmuje na wiarę nader sensacyjną opowieść, przytaczaną w biografii Josepha Smitha pióra Fawn Brodie (stanowiącej dla Krakauera główne źródło): „Latem 1831 roku Johnsonowie przyjęli Josepha i Emmę jako lokatorów. Niedługo potem prorok i młoda Marinda wylądowali w łóżku. Wieść o tym szybko się rozeszła i gang oburzonych mieszkańców Ohio – również mormonów – postanowił schwytać i wykastrować Josepha, by uniemożliwić mu podobne wyskoki w przyszłości" (s. 90). Choć Marinda najprawdopodobniej została później jedną z żon Josepha Smitha, Brodie i Krakauer przedstawiają zaledwie część prawdy – tę, która najbardziej przemawia do wyobraźni osób spragnionych sensacji.

  Pozwolę sobie tu zwrócić uwagę starszemu Turleyowi, że moim głównym źródłem nie była znakomita książka Fawn Brodie (stanowiąca skądinąd przedmiot zaciekłych ataków Kościoła LDS, odkąd tylko wyszła spod prasy drukarskiej), lecz relacja z pierwszej ręki spisana przez Luke'a Johnsona, starszego brata Marindy, opublikowana w „Deseret News" 19 maja 1858 roku. Całe zdarzenie opisał też sam Joseph Smith w autobiograficznej *Historii Kościoła*. Dziwi mnie zatem, że Turley zarzuca mi pogoń za sensacją, skoro przedstawiam fakty przytaczane w publikacjach oficjalnie usankcjonowanych przez Kościół LDS. Czyżby Turley uważał, że wydawana przez Kościół gazeta „Deseret News" oraz Joseph Smith odwoływali się „do wyobraźni osób spragnionych sensacji"?

  Turley zarzuca mi wtórowanie opiniom, jakoby atak spowodowany był tym, że „Joseph dopuścił się aktu lubieżnego" z Marindą. Zarazem jednak, cytując Todda Comptona, sam przyznaje, że wedle powszechnego mniemania prorok „brał za żony kobiety, które mieszkały w jego domu lub u których on się zatrzymywał". O zawartym później celestialnym małżeństwie z Marindą wiemy z dzienników Smitha.

  Turley opowiada się jednak za inną hipotezą podsuwaną przez Comptona, która nie ma nic wspólnego z seksem. Powodem ataku miały być obawy braci Marindy, że Joseph zamierzał przejąć po kryjomu ich dom i ziemię. Fakt, w 1838 roku Joseph uciekł z Ohio pod osłoną nocy, gdyż wystosowano za nim list gończy z powodu oskarżenia o defraudację bankową. Było to jednak sześć lat po próbie kastracji. W ostatecznym rozrachunku poszlaki sugerujące, że napastnikom chodziło o obronę własności Johnsonów, są słabsze niż poszlaki, wedle których chciano ukarać Smitha za romans z Marindą.

- Odnosząc się do rozdziału 18, starszy Turley utyskuje: „Ponieważ masakra w Mountain Meadows znakomicie pasuje do jego wywodu, Krakauer poświęca jej sporo miejsca, choć nie dokonuje samodzielnej analizy faktów". Nieprawda – przeanalizowałem mnóstwo faktów w tej sprawie i doszedłem do wniosku, że wersje przedstawione przez Johna D. Lee, Juanitę Brooks i Willa Bagleya są bardziej wiarygodne aniżeli wersja Turleya i innych przedstawicieli Kościoła LDS.

  Mormońscy przywódcy po dziś dzień twierdzą, że Kościół nie ponosi odpowiedzialności za masakrę w Mountain Meadows. 11 września 1999 roku, w sto czterdziestą drugą rocznicę krwawego wydarzenia, w Mountain Meadows zorganizowano specjalną uroczystość, by odsłonić nowy pomnik poświęcony pamięci ofiar. Na zakończenie prezydent Kościoła Gordon B. Hinckley podkreślił w przemówieniu, że choć Kościół sfinansował budowę pomnika, „nie wolno brać tego za przyznanie się do jakiejkolwiek współwiny za zbrodnię".

W ocenie Richarda Turleya kierują mną uprzedzenia, a *Pod sztandarem nieba* napisałem jako „potępienie religii i religijności". Smuci mnie, że starszy Turley, wypowiadając się w imieniu Kościoła LDS, przyjął tak upraszczającą interpretację. Nie da się, moim zdaniem, zrozumieć działań braci Lafferty ani innych mormońskich fundamentalistów bez uprzedniego zgłębienia ich wierzeń religijnych, co z kolei wymaga pobieżnej choćby znajomości dziejów mormonizmu – w tym jej ciemnych stron – oraz znajomości nauk Josepha Smitha. Jego żywot oraz historię jego Kościoła analizować można, rzecz jasna, z niezliczonych perspektyw. I tu właśnie kryje się przyczyna niechęci, jaką mormońscy przywódcy żywią w stosunku do mojej książki.

Dla władz Kościoła LDS dzieje ich religii są święte. Rządzący od dawna próbowali kontrolować powszechnie dostępną wiedzę na ich temat. Otwarcie przyznawali, że powinno się prowadzić mormońską politykę historyczną w pierwszej kolejności służącą ewangelizacji. Oznacza to unikanie podejść

krytycznych, co zaś się tyczy faktów kompromitujących lub wstydliwych, umniejsza się ich wagę, przemilcza się je bądź otwarcie się im zaprzecza. Apostoł Boyd Packer (obecnie pierwszy w kolejce do objęcia stanowiska prezydenta Kościoła LDS) w niesławnym przemówieniu z 1981 roku stwierdzał: „Istnieje pokusa […], by wszystko ujawnić bez względu na to, czy wiedza służyć będzie ewangelizacji, czy nie. A przecież fakty bywają mało użyteczne. […] Badacz lub nauczyciel, pragnąc kierować się obiektywizmem i naukową bezstronnością, może nieświadomie wspierać przeciwnika. […] Kościół nie jest neutralny. Zdecydowanie opowiadamy się po jedynie słusznej stronie. Toczy się obecnie wojna i bierzemy w niej udział". Stawką wojny są umysły i dusze wszystkich ludzi. Mormoni wykorzystują w walce wszelkie dostępne im zasoby.

Nie toleruje się odstępstw od oficjalnych nauk. Wierni, żarliwi mormoni, którzy ośmielają się zadawać kłopotliwe pytania o doktrynę lub dzieje Kościoła, ryzykują ekskomunikę i ostracyzm. Rada Prezydenta powołała nawet wewnętrzną komisję śledczą o stosownie orwellowskiej nazwie Komisja Umacniania Członków Kościoła, gromadzącą dane na temat osób krytycznie nastawionych wobec mormonizmu. Kieruje nią dwóch członków Kworum Dwunastu Apostołów. Komisja bada między innymi działalność polityczną członków Kościoła, listy, które piszą oni do gazet, ich wypowiedzi dla prasy i tak dalej. Studentów Uniwersytetu imienia Brighama Younga zachęca się, by donosili na nieprawomyślnych wykładowców. „Członkowie innych wyznań istniejących na terytorium Stanów Zjednoczonych nie podlegają tak ścisłemu nadzorowi", piszą Richard i Joan Ostlingowie w nadzwyczaj wyważonej książce *Mormon America. The Power and the Promise*. „Teczki to zaledwie jeden element rozbudowanego systemu wewnętrznej dyscypliny, dzięki któremu współczesny mormonizm działa raczej jak sekta, nie jak Kościół liczący ogromne rzesze wiernych".

Obsesja mormońskich przywódców prowadzi do cenzurowania oficjalnej linii historycznej Kościoła LDS. Przykładowo w roku 1997 ukazał się podręcznik *Nauki prezydentów Kościoła. Brigham Young*, opublikowany w dwudziestu dwóch językach i stanowiący *de facto* lekturę obowiązkową dla wszystkich dorosłych wyznawców. Nie ma w nim słowa na temat poligamii, którą praktykował Brigham – a przecież badacze (również mormońscy) zgodni są, że poślubił on co najmniej dwadzieścia, a być może nawet ponad pięćdziesiąt kobiet. Wystarczy pobieżnie przejrzeć kościelne publikacje, by znaleźć więcej przykładów podobnego wybielania historii. Dziennikarze i historycy wykraczający poza tę oficjalną linię są zazwyczaj ostro atakowani przez Kościół, często *ad hominem* – co spotkało i mnie z powodu niniejszej książki.

W każdej minucie ponad sześćdziesiąt tysięcy mormońskich misjonarzy na całym świecie (ściśle nadzorowanych przez władze Kościoła w Utah) próbuje nawracać niewiernych. Wierzą, że Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich to „jedyny prawdziwy Kościół", a wszystkie inne religie uważają za fałszywe. Jeśli Kościół chce przekonać ludzi, że wiara mormońska jest słuszna, a doktryna ogłoszona przez Josepha Smitha faktycznie pochodzi od Boga, powinien moim zdaniem udostępnić swoje archiwa wszystkim zainteresowanym, zachęcając do zapoznawania się z prawdziwą, nieocenzurowaną, bogatą i fascynującą historią mormonizmu.

Ludzie władający Kościołem i dwunastoma milionami jego członków podzielają jednak odmienne przekonanie, toteż robią, co w ich mocy, by najważniejsze aspekty tej historii utrzymać w tajemnicy. Trudno dopatrzyć się w tych działaniach jakiegokolwiek pożytku czy to dla samych mormonów, czy to dla osób spoza Kościoła LDS.

Jon Krakauer
grudzień 2003

PODZIĘKOWANIA

Książka ta zyskała wielce dzięki opiece, jaką otoczyli ją znakomici fachowcy z wydawnictw Doubleday Broadway, Anchor-Vintage i Villard. Na moją szczególną wdzięczność zasługują Charlie Conrad, Bill Thomas, Steve Rubin, Alison Presley, Kathy Trager, John Fontana, Caroline Cunningham, Bette Alexander, Suzanne Herz, Michael Palgon, David Drake, Alison Rich, Rachel Pace, Jackie Everly, John Pitts, Claire Roberts, Louise Quayle, Carol Lazare, Laura Welch, Brian McLendon, Marty Asher, LuAnn Walther, Deb Foley i Jennifer Marshall.

Dziękuję Johnowi Ware'owi za to, że jest rewelacyjnym agentem, Bonnie Thompson za staranną redakcję, Jeffowi Wardowi za mapy oraz Lindzie Moore za wspaniałą mapę Arizona Strip.

Bill Briggs, Pat Joseph, Carol Krakauer, David Roberts i Sharon Roberts czytali książkę w rękopisie i podsunęli mi wiele cennych uwag, gdy najbardziej tego potrzebowałem.

Jestem wdzięczny Ruth Fecych, Davidowi Rosenthalowi, Ann Godoff, Markowi Bryantowi oraz Scottowi Moyersowi za lekturę bardzo wczesnej, niedokończonej wersji rękopisu i za ich komentarze.

Niedaleko zaszedłbym w pracy nad książką, gdyby nie DeLoy Bateman, Eunice Bateman, Virginia Bateman, David Bateman, Jim Bateman, Holly Bateman, Ellen Bateman, Fern Bateman, Diana Bateman, Roger Bateman, Sarah Bateman, Maria Bateman, Kevin Bateman, Randy Bateman, Jason Bateman, Craig Chatwin, D. Michael Quinn, Debbie Palmer, Jolene Palmer, Jay Beswick, Flora Jessop, Linda Walker, Terri Trick, Sue S. Wilson, Lorna Craig, Wesley Larsen, Wynn Isom, Mareena Blackmore, Bernice DeVisser, Gayla Stubbs, Lenora Spencer, Mary Taylor, Robert Crossfield, Barry Crowther, Betty McEntire, LaRae Wright, Debbie Babbitt, Thomas Brunker, Kris C. Leonard, Michael Wims, Creed H. Barker, Nora S. Worthen, Tasha Taylor i Stan Larsen.

Bardzo pomogły mi teksty kolegów i koleżanek po piórze, dziennikarzy i reporterów. Byli wśród nich: Peggy Fletcher Stack, Carolyn Campbell, Michael Vigh, Greg Burton, Tom Zoellner, Fabian Dawson, Dean E. Murphy, Daniel Woods, Angie Parkinson, Will Bagley, Pauline Arrillaga, Chris Smith, Mike Gorrell, Ann Shields, Kevin Cantera, Holly Mullen, Paul Angerhofer, Geoffrey Fattah, Rebecca Boone, Brandon Griggs, Phil Miller, Brian Maffly, Susan Greene, Suzan Mazur, Julie Cart, Dave Cunningham, Dave Wagner, Jennifer Gallagher, Susan Snyder, Dawn House, Hilary Groutage Smith, Robert Matas, Robert Gehrke, Maureen Zent, Tom Gorman, Bob Mims, Tom Wharton, John Llewellyn, John Dougherty, Marianne Funk, Joan Thompson, Lee Davidson, Susan Hightower, Ellen Fagg, Mike Carter, Jennifer Dobner, Pat Reavy, Jerry D. Spangler, Elaine Jarvik, James Thalman, Derek Jensen, Lucinda Dillon, Lee Benson, Ted C. Fishman, Chris Jorgensen, Alf Pratte, Dave Jonsson, Elizabeth Neff, Brooke Adams, Matt Canham, Stephen Hunt, Taylor Syphus, David Kelly, Jeffrey P. Haney, Dennis Wagner, Patty Henetz, Mark Havnes, Bob Bernick, Adam Liptak, Norman Wagner, Tim Fitzpatrick, Maureen Palmer i Helen Slinger.

Mam nadzieję, że moje słowa podzięki za inspirację, przyjaźń i mądre rady przyjmą także: Becky Hall, Neal Beidleman, Chhongba Sherpa, Tom Hornbein, Pete Schoening, Klev Schoening, Harry Kent, Owen Kent, Steve Komito, Jim Detterline, Conrad Anker, Dan Stone, Roger Schimmel, Beth Bennett, Greg Child, Renée Globis, Roger Briggs, Colin Grissom, Kitty Calhoun, Jay Smith, Bart Miller, Roman Dial, Peggy Dial, Steve Rottler, David Trione, Robert Gully, Chris Archer, Rob Raker, Larry Gustafson, Steve Swenson, Jenni Lowe, Gordon Wiltsie, Doug Chabot, Steve Levin, Chris Reveley, Andrew McLean, Liesl

Clark, John Armstrong, Dave Hahn, Rob Meyer, Ed Ward, Matt Hale, Chris Gulick, Chris Wejchert, Mark Fagan, Sheila Cooley, Kate Fagan, Dylan Fagan, Charlotte Fagan, Karin Krakauer, Wendy Krakauer, Sarah Krakauer, Andrew Krakauer, Tim Stewart, Bill Costello, Mel Kohn, Robin Krakauer, Rosalie Stewart, Alison Stewart, Shannon Costello, Maureen Costello, Ari Kohn, Miriam Kohn, Kelsi Krakauer, A. J. Krakauer, Mary Moore, Ralph Moore, David Quammen, Laura Brown, Pamela Brown, Helen Apthorp, Bill Resor, Story Clark, Rick Accomazzo, Gerry Accomazzo, Alex Lowe, Steve McLaughlin, Marty Shapiro, Caroline Carminati, Brian Nuttall, Drew Simon, Walter Kingsbery, Eric Love, Josie Heath, Margaret Katz, Lindsey Delaplaine, Rosemary Haire, Nancy McElwain, Andy Pruitt i Jeff Stieb.

Szczególne podziękowania dla Johna Winsora, Bridget Winsor, Harry'ego Winsora, Charliego Winsora, Paula Fullera, Mary Gorman, Amy Beidleman, Niny Beidleman, Reeda Beidlemana, Kevina Cooneya, Annie Maest, Emmy Cooney, Mike'a Pillinga, Kerry Kirkpatrick, Charleya LaVenture, Sally LaVenture i Willow LaVenture za ogromnie cenne rady i pomoc w Meksyku.

PRZYPISY KOŃCOWE

W przypisach podano najważniejsze źródła do każdego z rozdziałów, lecz bynajmniej nie wyczerpuje to źródeł wszystkich przytoczonych cytatów i faktów. Cytaty bez odnośników pochodzą z wywiadów przeprowadzonych przez autora.

Wstęp

Wypowiedzi Allena Lafferty'ego pochodzą z protokołów sądowych, sporządzonych podczas procesu Rona Lafferty'ego w 1996 roku. Fakty dotyczące zabójstwa Brendy i Eriki Lafferty oraz aresztowania i skazania Rona i Dana Lafferty przytoczone są głównie na podstawie wywiadów i korespondencji z Danem, a także z protokołów sądowych i, w ograniczonym zakresie, z artykułów publikowanych w „Salt Lake Tribune", „Deseret News" oraz „Provo Daily Herald". Głównym źródłem przypisu o Shoko Asaharze był artykuł Kyle'a B. Olsona *Aum Shinrikyo. Once and Future Threat?*.

Miasto świętych

Wiele przytoczonych tu faktów na temat współczesnego Kościoła LDS pochodzi z książki Richarda N. Ostlinga i Joan K. Ostling *Mormon America. The Power and the Promise* oraz z książki *The Mormon Hierarchy. Extensions of Power* D. Michaela Quinna. Słowa Josepha Smitha na temat wielożeństwa, będącego „najświętszym i najważniejszym przykazaniem danym człowiekowi", oraz jego nauczanie, że mężczyzna musi poślubić przynajmniej trzy kobiety, by osiągnąć pełnię wyniesienia, znajdują się na stronie 558 książki *An Intimate Chronicle. The Journals of William Clayton* pod redakcją George'a D. Smitha. Cytat następujący bezpośrednio po nich („Wszyscy ci, którym ujawniono to prawo, muszą go przestrzegać") pochodzi z rozdziału 132 Nauk i Przymierzy.

Short Creek

Wiedzę na temat Colorado City-Hildale oraz UEP zgromadziłem dzięki licznym wizytom w tej społeczności i dzięki wywiadom z członkami i byłymi członkami Fundamentalistycznego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Korzystałem też z książki Bena Bistline'a *The Poligamists. A History of Colorado City* (opublikowanej własnym sumptem przez autora), z książki *Kidnapped from That Land. The Government Raids on Short Creek Polygamists* Marthy Sonntag Bradley oraz z artykułów w „Salt Lake Tribune", „Deseret News", „Kingman Daily Miner", „St. George Spectrum" i „Salt Lake City Weekly". Cytat z apostoła Boyda K. Packera pochodzi z *The Mormon Hierarchy. Extensions of Power*. Cytat z Lindy Walker pochodzi z mojej z nią korespondencji.

Bountiful

Tłem rozdziału są przede wszystkim wywiady, które przeprowadziłem z Debbie Palmer, oraz moja wizyta w Bountiful. Cytat z wypowiedzi Eldona Tannera dla pisma „Ensign" zaczerpnąłem z książki *The Mormon Hierarchy. Extensions of Power*.

Elizabeth i Ruby

Fakty dotyczące porwania Elizabeth Smart pochodzą z *Księgi Emmanuela Davida Izajasza* napisanej przez Briana Davida Mitchella, artykułów publikowanych w „New York Timesie", „Salt Lake Tribune", „Deseret News", „Time" i „Newsweeku" oraz z reportaży Associated Press, ABC News i NBC News. Źródłami informacji na temat Ruby Jessop byli Jay Beswick, Flora Jessop i Lorna Craig.

Drugie wielkie przebudzenie

Główne źródła to *No Man Knows My History* Fawn Brodie, *Early Mormonism and the Magic World View* D. Michaela Quinna, *By the Hand of Mormon* Terryl L. Givens, *Joseph Smith and the Beginnings of Mormonism* Richarda L. Bushmana, *History of the Church* Josepha Smitha juniora, *Rethinking the 1826 Judicial Decision*Dana Vogela (artykuł dostępny online) i *Joseph Smith's 1826 Trial. The Legal Setting*, artykuł Gordona A. Madsena opublikowany w „BYU Studies".

Kumorah

Główne źródła to Księga Mormona i *By the Hand of Mormon*.

Spokojny cichy głos

Opieram się na moich rozmowach z Robertem Crossfieldem, Bernardem Bradym i Debbie Palmer, na publikacjach Crossfielda *The First Book of Commandments* i *The Second Book of Commandments* oraz na Naukach i Przymierzach. Fakty dotyczące Dream Mine pochodzą przede wszystkim z pracy Ogdena Krauta *John H. Koyle's Relief Mine* i artykułów w „Salt Lake Tribune".

Czyniący pokój

Główne źródła to Dan Lafferty oraz *Czyniący pokój* Udneya Haya Jacoba. Cytaty z Matildy Lafferty pochodzą z protokołów sądowych z procesu Rona Lafferty'ego w 1996 roku.

Haun's Mill

Główne źródła to *The 1838 Mormon War in Missouri* Stephena C. LeSueura, *Mormonism Unveiled; or the Life and Confessions of the Late Mormon Bishop, John D. Lee* pod redakcją Williama Bishopa i *No Man Knows My History*. Recenzja Księgi Mormona z 1830 roku z „Daily Advertiser" (Rochester) została zacytowana w *No Man Knows My History*, podobnie jak przemówienie Josepha Smitha z 1838 roku, w którym porównywał się on do Mahometa. W przypisie poświęconym paralelom między mormonizmem a islamem powołuję się na artykuł Arnolda H. Greena i Lawrence'a P. Goldupa *Joseph Smith, an American Muhammad? An Essay on the Perils of Historical Analogy* z 1971 roku, opublikowany w „Dialogue. A Journal of Mormon Thought". (Z tego artykułu pochodzą też cytaty z Eduarda Meyera i George'a Arbaugh).

Nauvoo

Główne źródła to *Kingdom on the Mississippi Revisited. Nauvoo in Mormon History* pod redakcją Rogera D. Launiusa i Johna E. Hallwasa, *Cultures in Conflict. A Documentary History of the Mormon War in Illinois* Johna E. Hallwasa i Rogera D. Launiusa, *Orrin Porter Rockwell. Man of God, Son of Thunder* Harolda Schindlera i *No Man Knows My History*.

Przykazanie

Główne źródła to: *No Man Knows My History*, książka Todda Comptona *In Sacred Loneliness. The Plural Wives of Joseph Smith*, *Mormon Polygamy. A History* Richarda S. Van Wagonera, *Mormonism Unveiled; or the Life and Confessions of the Late Mormon Bishop, John D. Lee* oraz *An Intimate Chronicle. The Journals of William Clayton* pod redakcją George'a D. Smitha. Wypowiedzi Marindy Johnson pochodzą z *In Sacred Loneliness*. Wypowiedzi na temat zamiaru wykastrowania Josepha Smitha przypisywane Luke'owi Johnsonowi pochodzą z artykułu *History of Luke Johnson* opublikowanego w „Deseret News" 19 maja 1858 roku. Fragment pamiętników Lucy Walker przytaczam za *No Man Knows My History*.

Carthage

Główne źródła to: *An Intimate Chronicle. The Journals of William Clayton*, *No Man Knows My History*, *Mormon Polygamy. A History*, *Kingdom on the Mississippi Revisited. Nauvoo in Mormon History*, *Cultures in Conflict. A Documentary History of Mormon War in Illinois*, Nauki i Przymierza, *Among the Mormons. Historic Accounts by Contemporary Observers* Williama Muldera i A. Russella Mortensena. List Williama Claytona cytowany był w *An Intimate Chronicle*.

Bracia Lafferty

Głównym źródłem informacji był Dan Lafferty.

Brenda

Opieram się na wywiadach z Betty Wright McEntire, LaRae Wright, Penelope Weiss i Danem Laffertym oraz, w mniejszym stopniu, na protokołach sądowych z procesu Rona Lafferty'ego w 1996 roku.

Jeden potężny i silny

Główne źródła to Robert Crossfield, Bernard Brady, Dan Lafferty, Betty Wright McEntire i Pamela Coronado. Wykorzystywałem też *The First Book of Commandments*, *The Second Book of Commandments*, Księgę Mormona i fotokopie objawień Rona Lafferty'ego.

Usunięcie

Główne źródła to Dan Lafferty, Betty Wright McEntire i LaRae Wright. Wykorzystałem także protokoły procesu Rona Lafferty'ego w 1996 roku. Fakty przytaczane w przypisie na temat używania marihuany przez mormonów na początku XX wieku zaczerpnąłem z pracy *Prophet of Blood. The Untold Story of Ervil LeBaron and the Lambs of God* Bena Bradlee juniora i Dale'a Van Atty, z artykułu D. Michaela Quinna *LDS Church Authority and New Plural Marriages, 1890–1904* opublikowanego w piśmie „Dialogue. A Journal of Mormon Thought" w 1985 roku oraz z artykułów w „Salt Lake Tribune".

Exodus

Główne źródła to *The Mormon Hierarchy. Origins of Power* D. Michaela Quinna, *Among the Mormons. Historic Accounts by Contemporary Observers*, *Orrin Porter Rockwell. Man of God, Son of Thunder*, *Cultures in Conflict. A Documentary History of the Mormon War in Illinois*, *Blood of the Prophets. Brigham Young and the Massacre at Mountain Meadows* Willa Bagleya, *The Year of Decision. 1846* Bernarda DeVoto, *Mormonism Unveiled; or the Life and Confessions of the Late Mormon Bishop, John D. Lee*. Cytat z Johna Alexandra McLernanda przytoczony został w *Mormon Polygamy. A History*, cytat z doktora Robertsa Bartholowa cytowany był w artykule Lestera E. Busha juniora *A Peculiar People. The Physiological Aspects of Mormonism 1850–1975*, opublikowanym w roku 1979 w „Dialogue. A Journal of Mormon Thought".

Albowiem nie wystarczy woda

Główne źródła to: *Blood of the Prophets. Brigham Young and the Massacre at Mountain Meadows*, *The Mountain Meadows Massacre*

Juanity Brooks, *Mormonism Unveiled; or the Life and Confessions of the Late Mormon Bishop, John D. Lee, A Mormon Chronicle. The Diaries of John D. Lee, 1848–1876* pod redakcją Roberta Glassa Clelanda i Juanity Brooks, *Orrin Porter Rockwell. Man of God, Son of Thunder, Forgotten Kingdom. The Mormon Theocracy in the American West, 1847–1896* Davida L. Biglera, *Desert Between the Mountains. Mormons, Miners, Padres, Mountain Men, and the Opening of the Great Basin, 1772–1869* Michaela S. Durhama. Relacje Sary Frances Baker Mitchell i Nancy Huff z ataku na karawanę Fanchera zostały przytoczone w książce *Blood of the Prophets. Brigham Young and the Massacre at Mountain Meadows.*

Kozły ofiarne

Lista źródeł obejmuje te same pozycje co w przypadku poprzedniego rozdziału oraz artykuł Wesleya P. Larsena *The 'Letter' or Were the Powell Men Really Killed By Indians*, opublikowany w roku 1993 w piśmie „Canyon Legacy", pracę *Colorado River Controversies* Roberta Brewstera Stantona, *Beyond the Hundreth Meridian. John Wesley Powell and the Second Opening of the West*Wallace'a Stegnera, *The Exploration of the Colorado River and Its Canyons* Johna Wesleya Powella, *Indian Depredations* Petera Gottfredsona, *The "Tribune" Reports of the Trials of John D. Lee for the Massacre at Mountain Meadows, November 1874 – April 1877* pod redakcją Roberta Kenta Fieldinga. Opierałem się też na swoich wywiadach z Wesleyem P. Larsenem i Wynnem Isomem. Cytat z D. Michaela Quinna o ostrzeliwaniu domu Brighama Younga pochodzi z wywiadu, którego Quinn udzielił Kenowi Verdoi.

Pod sztandarem nieba

Moje główne źródła to: *The Four Hidden Revelations*, kompilacja objawień otrzymanych przez Johna Taylora i Wilforda Woodruffa, opublikowana przez Fundamentalistyczny Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, *Mormon Polygamy. A History*, *LDS Church Authority and New Plural Marriages, 1890–1904*. Proroctwo Johna D. Lee dotyczące śmierci Brighama Younga cytowane było w *Blood of the Prophets. Brigham Young and the Massacre at Mountain Meadows*. Cytat z Johna Taylora (z którego zaczerpnąłem tytuł książki) pochodzi z anonimowego artykułu *A Den of Treason. That's What John Taylor Made the Assembly Hall Last Sunday* opublikowanego w „Salt Lake Daily Tribune" 6 stycznia 1880 roku.

Evangeline

Główne źródła to: DeLoy Bateman, Craig Chatwin, Debbie Palmer, Lavina Stubbs, Lenora Spencer, Annie Vandeveer Blackmore, Lena Blackmore i Evangeline Blackmore. Wykorzystałem też pracę *The Blood Covenant* Reny Chynoweth i *Prophet of Blood. The Untold Story of Ervil LeBaron and the Lambs of God*.

Reno

Główne źródła to: Dan Lafferty, Bernard Brady i protokoły procesu Rona Lafferty'ego w 1996 roku.

Sąd w Provo

Główne źródło to: protokoły procesu Rona Lafferty'ego w 1996 roku. Opierałem się też na wywiadach z Betty Wright McEntire, LaRae Wright, Danem Laffertym, Thomasem Brunkerem, Krisem C. Leonardem i Michaelem Wimsem, a także na artykułach z „Salt Lake Tribune", „Deseret News" i „Provo Daily Herald".

Wielki i straszny Dzień Pański

Główne źródło to Dan Lafferty.

Amerykańska religia

Opierałem się na swoich wizytach w Colorado City i Bountiful oraz na wywiadach z Pamelą Coronado, Emmylou Coronado, Robertem Crossfieldem, DeLoyem Batemanem, Craigiem Chatwinem i Debbie Palmer. Przepowiednie Rodneya Starka co do rozwoju Kościoła LDS zostały przytoczone w *Mormon America. The Power and the Promise*. Fragment listu Dale'a Morgana do Juanity Brooks pochodzi z książki *Juanita Brooks. Mormon Woman Historian* Leviego S. Petersona.

Góra Canaan

Głównym źródłem był DeLoy Bateman.

Posłowie

Esej Timothy'ego Egana *The Empire of Clean* został zamieszczony w książce *Lasso the Wind. Away to the New West.* Cytaty z D. Michaela Quinna pochodzą z wywiadów, które z nim przeprowadziłem, oraz z jego wykładu *On Being a Mormon Historian*, wygłoszonego w 1981 roku. Cytat z Annie Dillard pochodzi z jej książki *For the Time Being*.

BIBLIOGRAFIA

Altman Irwin, Joseph Ginat, *Polygamous Families in Contemporary Society*, Cambridge: Cambridge University Press 1996

American Psychiatric Association, *Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders*, wydanie czwarte (DSM-IV), Washington: American Psychiatric Association 1994

Anderson Kenneth, *The Magic of the Great Salt Lake*, „Times Literary Supplement", 24 marca 1995

—, *A Peculiar People. The Mystical and Pragmatic Appeal of Mormonism*, „Los Angeles Times", 28 listopada 1999

Arbaugh George Bartholomew, *Revelations in Mormonism. Its Character and Changing Forms*, Chicago: University of Chicago Press 1932

Armstrong Karen, *Buddha*, New York: Viking Penguin 2001

—, *Historia Boga. 4000 lat dziejów Boga w judaizmie, chrześcijaństwie i islamie*, przeł. Barbara Cendrowska, Warszawa: Prima 1995

—, *W imię Boga. Fundamentalizm w judaizmie, chrześcijaństwie i islamie*, przeł. Joanna Kolczyńska, Warszawa: W.A.B. 2005

Arrington Leonard J., *Adventures of a Church Historian*, Urbana: University of Illinois Press 1998

—, *Brigham Young. American Moses*, New York: Alfred A. Knopf 1984

—, Davis Bitton, *The Mormon Experience. A History of the Latter-day Saints*, New York: Alfred A. Knopf 1979

Bagley Will, *Blood of the Prophets. Brigham Young and the Massacre at Mountain Meadows*, Norman: University of Oklahoma Press 2002

Bancroft Hubert Howe, *History of Utah, 1540–1886*, San Francisco: History Company 1889

Bayle Pierre, *Historical and Critical Dictionary. Selections*, Indianapolis: Bobbs-Merrill Company 1965

Belshaw Michael, *The Dunn-Howland Killings. A Reconstruction*, „Journal of Arizona History" 1979, t. 20

Bigler David L., *Forgotten Kingdom. The Mormon Theocracy in the American West, 1847–1896*, Logan: Utah State University Press 1998

Bishop William (red.), *Mormonism Unveiled; or the Life and Confessions of the Late Mormon Bishop, John D. Lee*, Albuquerque: Fierra Blanca Publications 2001

Bistline Benjamin, *The Polygamists. A History of Colorado City*, Colorado City: Benjamin Bistline 1998

Bloom Harold, *The American Religion. The Emergence of the Post-Christian Nation*, New York: Simon & Schuster 1992

Bradlee Ben Jr., Dale Van Atta, *Prophet of Blood. The Untold Story of Ervil LeBaron and the Lambs of God*, New York: G. P. Putnam's Sons 1981

Bradley Martha Sonntag, *Kidnapped from That Land. The Government Raids on the Short Creek Polygamists*, Salt Lake City: University of Utah Press 1996

Bringhurst Newell G., *Brigham Young and the Expanding American Frontier*, Boston: Little, Brown and Co. 1986

—, *Fawn McKay Brodie. A Biographer's Life*, Norman: University of Oklahoma Press 1999

—, *Saints, Slaves, and Blacks. The Changing Place of Black People Within Mormonism*, Westport: Greenwood Press 1981

Bringhurst Newell G. (red.), *Reconsidering* No Man Knows My History: *Fawn M. Brodie and Joseph Smith in Retrospect*, Logan: Utah State University Press 1996

Brodie Fawn M., *The Devil Drives. A Life of Sir Richard Burton*, New York: W. W. Norton 1967

—, *No Man Knows My History. The Life of Joseph Smith, the Mormon Prophet*, New York: Alfred A. Knopf 1995

Brooke John L., *The Refiner's Fire. The Making of Mormon Cosmology, 1644–1844*, Cambridge: Cambridge University Press 1994

Brooks Juanita, *Emma Lee*, Logan: Utah State University Press 1984

—, *John Doyle Lee. Zealot, Pioneer Builder, Scapegoat*, Logan: Utah State University Press 1992

—, *The Mountain Meadows Massacre*, Norman: University of Oklahoma Press 1991

Burton Richard F., *The City of the Saints and Across the Rocky Mountains to California*, New York: Alfred A. Knopf 1963

Bush Lester E. Jr., *A Peculiar People. The Physiological Aspects of Mormonism 1850–1975*, „Dialogue. A Journal of Mormon Thought" 1979, t. 12, nr 3

Bushman Claudia L. (red.), *Mormon Sisters. Women in Early Utah*, Logan: Utah State University Press 1997

Bushman Richard L., *Joseph Smith and the Beginnings of Mormonism*, Urbana: University of Illinois Press 1984

Campbell Carolyn, *Fugitive Witness. Tom Green's Ex-wife Defends Her Decision to Let Her Daughter Marry Her Husband*, „Salt Lake City Weekly", 22 lutego 2001

Card Brigham Y., Herbert C. Northcott, John E. Foster, Howard Palmer, George K. Jarvis (red.), *The Mormon Presence in Canada*, Edmonton: University of Alberta Press 1990

Chynoweth Rena, Dean M. Shapiro, *The Blood Covenant*, Austin: Diamond Books 1990

Cleland Robert Glass, Juanita Brooks (red.), *A Mormon Chronicle. The Diaries of John D. Lee, 1848–1876*, San Marino: Huntington Library 1955

Compton Todd, *In Sacred Loneliness. The Plural Wives of Joseph Smith*, Salt Lake City: Signature Books 1997

Corbett Pearson Harris, *Jacob Hamblin. The Peacemaker*, Salt Lake City: Deseret Book Co. 1952

Crapanzano Vincent, *Serving the Word. Literalism in America from the Pulpit to the Bench*, New York: New Press 2000

Crossfield Robert (Onias), *The First Book of Commandments*, Salem, Utah: United Order Publications 1998

—, *The Second Book of Commandments*, Salem, Utah: United Order Publications 1999

Dellenbaugh Frederick S., *A Canyon Voyage. The Narrative of the Second Powell Expedition down the Green-Colorado River from Wyoming, and the Explorations on Land, in the Years 1871 and 1872*, Tucson: University of Arizona Press 1996

A Den of Treason. That's What John Taylor Made the Assembly Hall Last Sunday, „Salt Lake Daily Tribune", 6 stycznia 1880

DeVoto Bernard, *The Year of Decision. 1846*, Boston: Little, Brown and Co. 1943

Dewey Richard Lloyd (red.), *Jacob Hamblin. His Life in His Own Words*, New York: Paramount Books 1995

Dillard Annie, *For the Time Being*, New York: Alfred A. Knopf 1999

—, *Holy the Firm*, New York: Harper & Row 1977

Dobyns Henry F., Robert C. Euler, *The Dunn-Howland Killings. Additional Insights*, „Journal of Arizona History" 1980, t. 21

Dolnick Edward, *Down the Great Unknown. John Wesley Powell's 1869 Journey of Discovery and Tragedy Through the Grand Canyon*, New York: HarperCollins 2001

Dougherty John, *Polygamy in Arizona. The Wages of Sin*, „Phoenix New Times", 10 kwietnia 2003

Durham Michael S., *Desert Between the Mountains. Mormons, Miners, Padres, Mountain Men, and the Opening of the Great Basin, 1772–1869*, Norman: University of Oklahoma Press 1999

Egan Timothy, *Lasso the Wind. Away to the New West*, New York: Vintage 1999

Embry Jessie L., *Black Saints in a White Church. Contemporary African American Mormons*, Salt Lake City: Signature Books 1994

Ferguson Charles W., *The Confusion of Tongues. A Review of Modern Isms*, Garden City, New York: Doubleday, Doran & Co. 1928

Fielding Robert Kent, *The Unsolicited Chronicler. An Account of the Gunnison Massacre, Its Causes and Consequences, Utah Territory, 1847–1859 – A Narrative History*, Brookline, Mass.: Paradigm Publications 1993

Fielding Robert Kent (red.), *The "Tribune" Reports of the Trials of John D. Lee for the Massacre at Mountain Meadows, November 1874–April 1877*, Higganum, Conn.: Kent's Books 2000

Fishman Ted C., *Unholy Voices?*, „Playboy" 1992, t. 39, nr 11

Fundamentalist Church of Jesus Christ of Latter Day Saints, *The Four Hidden Revelations*, Salt Lake City: Fundamentalist Church of Jesus Christ of Latter Day Saints b.d

Gilmore Mikal, *Strzał w serce*, przeł. Jacek Łaszcz, Warszawa: Libros 2002

Givens Terryl L., *By the Hand of Mormon. The American Scripture That Launched a New World Religion*, New York: Oxford University Press 2002

Gottfredson Peter, *Indian Depredations*, Salt Lake City: 1919

Green Arnold H., Lawrence P. Goldrup, *Joseph Smith, an American Muhammad? An Essay on the Perils of Historical Analogy*, „Dialogue. A Journal of Mormon Thought" 1971, t. 6, nr 1

Green Tom, *Why We Talk to the Media*, www.polygamy.com/Mormon/Why-We-Talk-To-The-Media.html

Greene Graham, *Koniec romansu*, przeł. Jan Józef Szczepański, Warszawa: Pax 1957

Gunnison Lieutenant J. W., *The Mormons, or Latter-Day Saints, in the Valley of the Great Salt Lake. A History of Their Rise and Progress, Peculiar Doctrines, Present Condition, and Prospects, Derived from Personal Observation, During a Residence Among Them*, Philadelphia: Lippincott 1860. Reprint, Brookline, Mass.: Paradigm Publications 1993

Hallwas John E., Roger D. Launius (red.), *Cultures in Conflict. A Documentary History of the Mormon War in Illinois*, Logan: Utah State University Press 1995

Hardy B. Carmon, *Solemn Covenant. The Mormon Polygamous Passage*, Urbana: University of Illinois Press 1992

Holzapfel Richard Neitzel, T. Jeffery Cottle, *Old Mormon Palmyra and New England. Historic Photographs and Guide*, Santa Ana, Calif.: Fieldbrook Productions 1991

Jacob Norton, *Autobiography of Norton Jacob* (*1804–1879*), www.boap.org/LDS/Early-Saints/JNorton.html

Jacob Udney Hay, *An Extract, from a Manuscript Entitled "The Peace Maker," or the Doctrines of the Millennium. Being a Treatise on Religion and Jurisprudence. Or a New System of Religion and Politicks*, Nauvoo, Ill.: J. Smith 1842

James William, *Odmiany doświadczenia religijnego*, przeł. Jan Hempel, Bogdan Baran, Warszawa: Aletheia 2011

Jeffs Rulon, *History of Priesthood Succession in the Dispensation of the Fullness of Times, and Some Challenges to the One Man Rule. Also Includes Personal History of President Rulon Jeffs*, Hildale, Utah: Twin City Courier Press 1997

—, *Purity in the New and Everlasting Covenant of Marriage*, Sandy, Utah: President Rulon Jeffs 1997

—, *Sermons of President Rulon Jeffs*, Hildale, Utah: Twin City Courier Press 1996

Jeffs Rulon (red.), *Sermons of President LeRoy S. Johnson*, Hildale, Utah: Twin City Courier Press 1997

Jenkins Philip, *Mystics and Messiahs. Cults and New Religions in American History*, New York: Oxford University Press 2000

Johnson Luke, *History of Luke Johnson*, „Deseret News", 19 maja 1858

Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, *Księga Mormona*, Niemcy 1981

Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, *Nauki i Przymierza Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich*; *Perła Wielkiej Wartości* 1991

Kraut Ogden, *John H. Koyle's Relief Mine*, Salt Lake City: Pioneer Press 1978

—, *Polygamy in the Bible*, Salt Lake City: Pioneer Press 1983

Larsen Wesley P., *The 'Letter,' or Were the Powell Men Really Killed by Indians*? „Canyon Legacy" 1993, nr 17

Larson Stan, *Quest for the Gold Plates. Thomas Stuart Ferguson's Archaeological Search for the Book of Mormon*, New York: Oxford University Press 1991

Launius Roger D., John E. Hallwas (red.), *Kingdom on the Mississippi Revisited. Nauvoo in Mormon History*, Urbana: University of Illinois Press 1996

—, Linda Thatcher (red.), *Differing Visions. Dissenters in Mormon History*, Urbana: University of Illinois Press 1994

LeBaron Garn Jr., *Mormon Fundamentalism and Violence. A Historical Analysis*, http://www.exmormon.org/violence.htm

LeSueur Stephen C., *The 1838 Mormon War in Missouri*, Columbia: University of Missouri Press 1990

Limerick Patricia Nelson, *The Legacy of Conquest. The Unbroken Past of the American West*, New York: W. W. Norton 1988

Linden Eugene, *The Future in Plain Sight. The Rise of the "True Believers" and Other Clues to the Coming Instability*, New York: Plume 2002

Lindsey Robert, *A Gathering of Saints. A True Story of Money, Murder and Deceit*, New York: Simon & Schuster 1988

Madsen Gordon A., *Joseph Smith's 1826 Trial. The Legal Setting*, „BYU Studies" 1990, t. 30, nr 2

Mailer Norman, *Pieśń kata*, przeł. Barbara Jankowiak, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1992

Marston Otis "Dock", *Separation Marks. Notes on the 'Worst Rapid' in the Grand Canyon*, „Journal of Arizona History" 1976, t. 17

Menand Louis, *The Metaphysical Club. A Story of Ideas in America*, New York: Farrar, Straus and Giroux 2001

Mitchell Brian David, *The Book of Immanuel David Isaiah*, www.sltrib.com/2003/Mar/03142003/Manifesto/book.pdf

Mitchell Sallie [Sarah Frances] Baker, *The Mountain Meadows Massacre – an Episode on the Road to Zion*, „American Weekly", 1 września 1940

Moore R. Laurence, *Religious Outsiders and the Making of Americans*, New York: Oxford University Press 1987

Morgan Dale (red.), *Utah Historical Quarterly* 1947, t. 15

Mulder William, A. Russell Mortensen (red.), *Among the Mormons. Historic Accounts by Contemporary Observers*, Salt Lake City: Western Epics 1994

New Mormon Studies CD-ROM. A Comprehensive Resources Library, Salt Lake City: Smith Research Associates 1998

Nibley Preston (red.), *Pioneer Stories*, Salt Lake City: Bookcraft 1976

O'Dea Thomas F., *The Mormons*, Chicago: University of Chicago Press 1957

Olson Kyle B., *Aum Shinrikyo. Once and Future Threat?*, „*Emerging Infectious Diseases*" 1999, t. 5, nr 4

Ostling Richard N., Joan K. Ostling, *Mormon America. The Power and the Promise*, San Francisco: HarperSanFrancisco 1999

Pagels Elaine, *The Gnostic Gospels*, New York: Vintage Books 1989

Peterson Levi S., *A Christian by Yearning. The Personal Spiritual Journey of a 'Backslider'*, Sunstone 1988, t. 12, nr 67

—, *Juanita Brooks. Mormon Woman Historian*, Salt Lake City: University of Utah Press 1996

Powell John Wesley, *The Exploration of the Colorado River and Its Canyons*, New York: Penguin 1997

Quinn D. Michael, *Early Mormonism and the Magic World View*, Salt Lake City: Signature Books 1998

—, *Jerald and Sandra Tanner's Distorted View of Mormonism. A Response to 'Mormonism—Shadow or Reality?'*, www.lds-mormon.com/mo2.shtml

—, *LDS Church Authority and New Plural Marriages, 1890–1904*, „Dialogue. A Journal of Mormon Thought" 1985, t. 18, nr 1

—, *The Mormon Hierarchy. Extensions of Power*, Salt Lake City: Signature Books 1997

—, *The Mormon Hierarchy. Origins of Power*, Salt Lake City: Signature Books 1994

—, *On Being a Mormon Historian. A Lecture Before the BYU Student History Association, Fall 1981*, Salt Lake City: Utah Lighthouse Ministry 1982

Quinn D. Michael (red.), *The New Mormon History. Revisionist Essays on the Past*, Salt Lake City: Signature Books 1992

Reilly P. T., *Lee's Ferry. From Mormon Crossing to National Park*, Logan: Utah State University Press 1999

Remini Robert V., *Joseph Smith*, New York: Viking Penguin 2002

Rusho W. L., *Lee's Ferry. Desert River Crossing*, Salt Lake City: Tower Productions 1998

Russell Bertrand, *Dlaczego nie jestem chrześcijaninem*, przeł. Amelia Kurlandzka, Warszawa: Książka i Wiedza 1957

Schindler Harold, *Orrin Porter Rockwell. Man of God, Son of Thunder*, Salt Lake City: University of Utah Press 1993
Shipps Jan, *Mormonism. The Story of a New Religious Tradition*, Urbana: University of Illinois Press 1985
Shipps Jan, John W. Welch (red.), *The Journals of William E. McLellin. 1831–1836*, Provo: BYU Studies 1994
Sillitoe Linda, Allen Roberts, *Salamander. The Story of the Mormon Forgery Murders*, Salt Lake City: Signature Books 1989
Smith George D. (red.), *Faithful History. Essays on Writing Mormon History*, Salt Lake City: Signature Books 1992
—, *An Intimate Chronicle. The Journals of William Clayton*, Salt Lake City: Signature Books 1995
Smith Joseph Jr, *History of the Church*, Salt Lake City: Desert News Press 1932
Sobel Dava, *Galileo's Daughter. A Historical Memoir of Science, Faith, and Love*, New York: Penguin Books 2000
Stanton Robert Brewster, *Colorado River Controversies*, New York: Dodd, Mead & Co. 1932
Stegner Wallace, *Beyond the Hundredth Meridian. John Wesley Powell and the Second Opening of the West*, New York: Penguin 1992
—, *Mormon Country*, Lincoln: University of Nebraska Press 1981
Stegner Wallace (red.), *The Letters of Bernard DeVoto*, Garden City, New York: Doubleday 1975
Storr Anthony, *Kolosy na glinianych nogach. Studium guru*, przeł. Jerzy Prokopiuk, Przemysław Jan Sieradzan, Warszawa: W.A.B. 2009
Tanner Jerald, Sandra Tanner (red.), *3,913 Changes in the Book of Mormon. A Photo Reprint of the Original 1830 Edition of The Book of Mormon With the Changes Marked*, Salt Lake City: Utah Lighthouse Ministry 1996
—, *Joseph Smith and Polygamy*, Salt Lake City: Utah Lighthouse Ministry b.d
Tate Lucile C., *Boyd K. Packer. A Watchman on the Tower*, Salt Lake City: Bookcraft 1995
Taylor John, *Items on Priesthood, Presented to the Latter-Day Saints*, Salt Lake City: Geo. Q. Cannon & Sons 1899
Teilhard de Chardin Pierre, *Letters from a Traveller*, New York: Harper & Row 1962
Thomas John L., *A Country in the Mind. Wallace Stegner, Bernard DeVoto, History, and the American Land*, New York: Routledge 2000
Turley Richard E.,*Victims. The LDS Church and the Mark Hofmann Case*, Urbana: University of Illinois Press 1992
Twain Mark, *Roughing It*, New York: Penguin 1985
Updike John, *Wersja Rogera*, przeł. Barbara Odymała, Warszawa: Wydawnictwo Wojciech Pogonowski 1994
Ure James W., *Leaving the Fold. Candid Conversations with Inactive Mormons*, Salt Lake City: Signature Books 1999
Van Wagoner Richard S., *Mormon Polygamy. A History*, Salt Lake City: Signature Books 1989
Verdoia, Ken, *Interview with D. Michael Quinn*, www.kued.org/productions/promontory/interviews/quinn.html
Vogel Dan, *Rethinking the 1826 Judicial Decision*, mormonscripturestudies.com/ch/dv/1826.asp
Waterman Bryan, Brian Kagel, *The Lord's University. Freedom and Authority at BYU*, Salt Lake City: Signature Books 1988
Waterman Bryan (red.), *The Prophet Puzzle. Interpretive Essays on Joseph Smith*, Salt Lake City: Signature Books 1999
Westergren Bruce N. (red.), *From Historian to Dissident. The Book of John Whitmer*, Salt Lake City: Signature Books 1995
Williams Brooke, *Halflives. Reconciling Work and Wildness*, Washington, D.C.: Island Press 1999
Williams Terry Tempest, *Leap*, New York: Pantheon 2000
Wood James, *The Broken Estate. Essays on Literature and Belief*, New York: Random House 1999
Worster Donald, *A River Running West. The Life of John Wesley Powell*, New York: Oxford University Press 2001
Wright Lawrence, *Lives of the Saints*, „New Yorker", 21 stycznia 2002

PRZYPISY

[1] Po angielsku Kościół mormoński nosi nazwę The Church of Jesus Christ of Latter-day Saints, czyli Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich; stąd używany czasem skrót LDS (przyp. tłum.; przypisy pochodzą od autora, chyba że zaznaczono inaczej).

[2] Gary Gilmore to postać symboliczna, pierwszy człowiek stracony w Stanach Zjednoczonych po przeszło dziesięcioletniej przerwie w stosowaniu kary śmierci. Opowiadają o nim: pamiętna książka jego brata Mikala Gilmore'a *Strzał w serce* oraz *Pieśń kata* Normana Mailera, nagrodzona Pulitzerem. Sędzia J. Robert Bullock nie był jedyną postacią, która przewinęła się zarówno przez proces Gilmore'a, jak i przez proces Lafferty'ego: Mike Esplin, adwokat przydzielony Gilmore'owi, reprezentował później braci Lafferty. Prokuratorem w obu procesach był Noall T. Wootton, prokurator okręgowy hrabstwa Utah.

[3] Działalność przestępcza Marka Hofmanna została opisana przez Roberta Lindseya w znakomitej książce *A Gathering of Saints* oraz przez Lindę Sillitoe i Allena Robertsa w *Salamander*.

[4] Asahara to charyzmatyczny przywódca i „papież" japońskiej sekty Aum Shinrikyō (Najwyższa Prawda), odpowiedzialnej za przeprowadzenie w roku 1995 zbrodniczego ataku w tokijskim metrze przy użyciu sarinu. Zasady religijne Aum Shinrikyō to mieszanka buddyzmu, hinduizmu i chrześcijaństwa. W momencie ataku na metro liczbę członków sekty na całym świecie szacowano na czterdzieści tysięcy – teraz zostało ich około tysiąca. Ekspert do spraw terroryzmu Kyle B. Olson twierdzi, że zwolennicy Asahary nadal „spotykają się w domach osób związanych z Aum i za pomocą dziwacznych elektronicznych kasków próbują zsynchronizować swoje fale mózgowe z falami mózgowymi przywódcy", przebywającego obecnie w więzieniu.

[5] Na szczycie hierarchii stoi prezydent Kościoła, prorok, który przekazuje wiernym komunikaty pochodzące od Boga. Prezydent powołuje dwóch zaufanych apostołów na stanowiska doradców. We trzech tworzą oni Radę Prezydenta Kościoła. Szczebel niżej mamy Kworum Dwunastu Apostołów. Kościołem rządzi więc w sumie piętnaście osób (a ściślej piętnastu mężczyzn; kobiety nie mogą piastować ważnych stanowisk), dysponujących władzą absolutną. Ich kadencje są dożywotnie. Kiedy prezydent umiera, jego następcą zostaje członek Kworum Dwunastu Apostołów o najdłuższym stażu – dlatego prorocy są z reguły ludźmi w bardzo podeszłym wieku.

[6] Mormoni stworzyli trzy własne pisma święte: Księgę Mormona, Nauki i Przymierza oraz *Perłę Wielkiej Wartości*.

[7] W tamtej epoce więcej Amerykanów sprzeciwiało się zapewne poligamii niż niewolnictwu. Niewolnictwo miało wszak rzesze zwolenników na Południu, poligamia natomiast nie była akceptowana nigdzie poza terytorium Utah.

[8] Część miasta znajdująca się na terenie Arizony nosi oficjalną nazwę Colorado City. Część leżąca na terenie Utah to z kolei Hildale. Natomiast starzy mieszkańcy posługują się nazwą Short Creek, która obowiązywała, póki w 1962 roku Short Creek nie uzyskało praw miejskich. United Effort Plan to nazwa funduszu, w którego posiadaniu znajduje się majątek Kościoła, między innymi prawie cała ziemia w mieście.

[9] W specyficznym nazewnictwie, którym posługują się mormoni oraz mormońscy fundamentaliści, tych, którzy nie przyjęli nauk Josepha Smitha, określa się jako „ludzi innych narodów", czyli *Gentiles*. W potocznej angielszczyźnie słowo to oznacza gojów, ale dla mormonów do *Gentiles* zaliczają się również Żydzi. Tych, którzy zerwali z wiarą, określa się mianem apostatów, niepraktykujący mormon zaś to *Jack Mormon*.

[10] Gubernator Pyle mówił później o całej akcji: „Wszystkie kroki, które poczyniliśmy, konsultowano z Radą Dwunastu [czyli z Kworum Dwunastu Apostołów, zarządzającym LDS]. Rada przez cały czas z nami współpracowała i w stu procentach popierała nasze działania".

[11] W roku 1993 apostoł Kościoła LDS Boyd K. Packer (w czasie powstawania niniejszej książki druga osoba w kolejce do stanowiska proroka) ogłosił, że Kościół musi stawić czoła trzem zagrożeniom: „ruchowi gejów i lesbijek, ruchowi feministycznemu oraz nieprzemijającemu niebezpieczeństwu ze strony tak zwanych uczonych i intelektualistów". Przez lata mormońscy przywódcy wielokrotnie powtarzali, jak strasznym złem jest feminizm. Mormonki otwarcie domagające się swoich praw narażały się na ekskomunikę. Do najpoważniejszego konfliktu między Kościołem a środowiskami feministycznymi doszło pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy Kościół zaczął (skutecznie) mobilizować mieszkańców Utah do głosowania przeciwko ratyfikacji poprawki do amerykańskiej konstytucji o zrównaniu praw kobiet i mężczyzn (mimo że w roku 1974 gazeta „Deseret News" wydawana przez Kościół opublikowała sondaż, z którego wynikało, że sześćdziesiąt trzy procent mieszkańców stanu opowiada się za wprowadzeniem poprawki). Zdaniem większości politologów, gdyby nie zdecydowane stanowisko Kościoła, poprawka zostałaby wprowadzona w trzydziestu ośmiu stanach – tyle wynosiło wymagane minimum – i stanowiłaby obecnie część konstytucji.

[12] 14 sierpnia 2003 roku, po obradach trwających niecałe dwie godziny, ława przysięgłych w St. George w stanie Utah uznała Rodneya Holma za winnego obu zarzutów dopuszczenia się czynności seksualnych z osobą nieletnią oraz jednego zarzutu bigamii. W prawie karnym Utah przestępstwa te mają status zbrodni. Holm został skazany na rok pobytu w więzieniu okręgowym hrabstwa Washington w Purgatory z możliwością otrzymywania przepustek w celu wykonywania pracy (innymi słowy, za kratkami będzie co najwyżej nocował). Tydzień po rozpoczęciu odbywania kary Holm dostał trzydniową przepustkę na weekend w związku z narodzinami swojego dwudziestego trzeciego dziecka.

[13] Nazwisko zmienione.

[14] Nawiasem mówiąc, to właśnie Winston wprowadził nazwę Bountiful – wcześniej wspólnota nazywała się Lister.

[15] Nazwisko zmienione.

[16] Nazwisko zmienione.

[17] Nazwisko zmienione.

[18] Nigdy nie odnaleziono pierwotnego stuszesnastostronicowego rękopisu. Wedle pewnych poszlak Mark Hofmann (wspomniany w prologu fałszerz dzielący obecnie celę z Danem Laffertym w Point of the Mountain) krótko przed aresztowaniem zamierzał „odkryć" zaginiony tekst. Pojawienie się tego rodzaju dokumentu byłoby nie po myśli Kościoła LDS: Hofmann dostałby za niego zapewne niemałe pieniądze, a „rękopis" wylądowałby w tajnym sejfie prezydenta Kościoła, obok innych potencjalnie niewygodnych źródeł, które jak dotąd mormoni zdołali ukryć przed wścibskim spojrzeniem historyków i badaczy.

[19] Nawet w skróconej wersji fabuła Księgi Mormona jest nieprawdopodobnie skomplikowana, a jej przetrawienie kosztuje wiele wysiłku. Niełatwo na przykład spamiętać imiona postaci. Nefi i Moroni są jednak warci szczególnej uwagi, wrócimy do nich bowiem jeszcze w niniejszej książce przy okazji sprawy Dana Lafferty'ego.

[20] Ponad dwudziestu fundamentalistów – wśród nich Ron Lafferty, Rulon Jeffs i Brian David Mitchell (porywacz Elizabeth Smart) – uważało się za „potężnego i silnego" Bożego posłańca, który ma przywrócić przykazanie wielożeństwa i „uporządkować" współczesny Kościół LDS.

[21] Oniasz to jedna z postaci Starego Testamentu, żydowski arcykapłan żyjący dwa stulecia przed Chrystusem. Sławę przyniósł mu spór z tyranem Antiochem Epifanesem. Król pozbawił Oniasza urzędu kapłańskiego, a na jego miejsce powołał Menelaosa. Po śmierci Oniasza jego brat Jazon zebrał armię liczącą tysiąc mężów, „odbił" świątynię w Jerozolimie i pozwolił Żydom ponownie modlić się w jej świętych murach. Tak się składa, że Robert Crossfield miał dziadka nazwiskiem Samuel Onias Crossfield, urodzonego w Quebecu w 1879 roku.

[22] Prawicowa organizacja o silnie konserwatywnym i leseferystycznym profilu (przyp. tłum.).

[23] Benson, sekretarz do spraw rolnictwa w administracji Eisenhowera, został ostatecznie prezydentem i prorokiem Kościoła mormońskiego. Sprawował ten urząd od roku 1985 do śmierci w 1994 roku.

[24] Nie tylko Joseph porównywał się do Mahometa. Na owe paralele wskazywali często niemormońscy krytycy, uwłaczający świętym i ich wierze, ale i osoby przychylniej nastawione wobec Kościoła LDS. Do tych ostatnich należał chociażby sir Richard F. Burton, legendarny dziewiętnastowieczny libertyn i poszukiwacz przygód, który o islamie wiedział sporo, i to z pierwszej ręki. Burton odwiedził Salt Lake City niedługo po osiedleniu się tam mormonów. Ich wiara przypominała mu „El Islam"; twierdził, że „wrócili do nieskalanej, czystej religijności". W roku 1904 poważany niemiecki uczony Eduard Meyer spędził rok w Utah, prowadząc tam badania. Uznał, że „jak Arabia stała się dziedzictwem muzułmanów, tak Ameryka stanie się dziedzictwem mormonów". W roku 1932 George Arbaugh opublikował książkę *Revelation in Mormonism*. Pisał co prawda, że „tropienie elementów islamu w mormonizmie to przesada i nadinterpretacja", ale przyznawał: „Mormonizm to jedna z najśmielszych innowacji w dziejach religii. Radykalnie teokratyczne wierzenia, polityczne aspiracje i gotowość użycia siły czynią go podobnym do islamu".

[25] Jego oponentami byli kandydat Partii Wigów Henry Clay, demokrata James K. Polk oraz James G. Birney z Partii Wolności. Zwyciężył Polk, który otrzymał 48,1 procent głosów, pokonując Claya zaledwie o 38 367 głosów.

[26] „Religijny geniusz" to nad wyraz trafne określenie wprowadzone przez Williama Jamesa w pierwszych wykładach zebranych w *Odmianach doświadczenia religijnego*. Dziewięćdziesiąt lat później Harold Bloom wykorzystał je w książce *The American Religion* w odniesieniu do Josepha Smitha.

[27] Lee popadł w niesławę w roku 1857 po przenosinach mormonów do Utah, za sprawą roli, którą odegrał w masakrze w Mountain Meadows.

[28] Joseph Smith, mówiąc o poligamii, posługiwał się eufemizmami „małżeństwo duchowe", „małżeństwo celestialne" i „wielożeństwo".

[29] Dwadzieścia osiem lat później William Clayton, wierny sekretarz Josepha, przyznawał w jednym z listów: „Spisałem objawienie o duchowym małżeństwie przekazane ustami proroka Josepha Smitha dnia 12 lipca 1843 roku. Nikogo przy tym nie było prócz proroka, jego brata Hyruma i mnie samego. Spisałem je w małym gabinecie na piętrze ceglanego budynku, nieopodal brzegu rzeki Missisipi. Zajęło to trzy godziny. Joseph dyktował zdanie po zdaniu, a ja notowałem każde słowo. Po wszystkim Joseph nakazał, bym odczytał treść powoli i starannie. Gdym skończył, orzekł, że zapis się zgadza".

[30] Na czele każdej z gmin Kościoła LDS (nazywa się je także zborami) stoi biskup – osoba świecka, zawsze mężczyzna – którego kandydatura została zaakceptowana bezpośrednio przez prezydenta oraz Kworum Dwunastu Apostołów, czyli dygnitarzy z Salt Lake City. Biskup z kolei mianuje dwóch zastępców. Wspólnie tworzą oni trzyosobową radę sprawującą ścisły nadzór nad wszystkimi sprawami zboru.

[31] Wszyscy mormoni muszą poddać się tym wymogom, wywodzącym się z drakońskiej (i późnej, bo dwudziestowiecznej) interpretacji niejasnego dość objawienia, otrzymanego przez Josepha Smitha w 1833 roku. Objawienie, powszechnie znane jako „Słowo Mądrości", zostało zapisane w rozdziale 89 Nauk i Przymierzy. Tu właśnie Stwórca nakazał swym poddanym, by wyrzekli się „silnych napitków" oraz innych używek i przyjemności.

[32] W ostatnich latach średnia nieco spadła, obecnie ledwo przekracza dwie nawrócone osoby na jednego misjonarza rocznie.

[33] Michelle King ukończyła ten sam wydział na Uniwersytecie imienia Brighama Younga zaledwie dwa lata przed Brendą i prowadziła wieczorne wiadomości. Dziś współprowadzi wiadomości w KUTV, lokalnym oddziale CBS w Salt Lake City.

[34] *Księga Oniasza* to inny tytuł *Drugiej Księgi Przykazań*. Kościół LDS składa się z dystryktów czy też okręgów, z których każdy liczy

sobie około trzech tysięcy członków. Jest to odpowiednik diecezji w Kościele katolickim. Dystrykt dzieli się na zbory (gminy); z reguły w skład jednego dystryktu wchodzi od pięciu do dwunastu zborów.

[35] W mormonizmie wszyscy godni tego zaszczytu mężczyźni otrzymują kapłaństwo w wieku dwunastu lat. Wiąże się to ze ściśle określonymi obowiązkami i przywilejami. Kapłaństwo uchodzi, rzecz jasna, za wielki honor. Przed rokiem 1978 czarnym odmawiano prawa do kapłaństwa, co tłumaczy, dlaczego tak trudno spotkać czarnego mormona. Kobiety (wszelkich ras) po dziś dzień nie mogą pełnić w Kościele funkcji kapłańskich.

[36] Przeł. Jerzy Prokopiuk, Przemysław Jan Sieradzan (przyp. tłum.).

[37] Chodzi o Michaela Todda Jeffory'ego Judda. Był to barczysty jasnowłosy autostopowicz, którego podwiózł pewnego razu Watson Lafferty. Dowiedziawszy się, że Todd jest głodny, Watson zaprosił go do domu matki na kolację. Tam właśnie Todd poznał pozostałych braci Lafferty i dowiedział się o Szkole Proroków. Mieszkał u Claudine dwa tygodnie. Mniej więcej wtedy, kiedy Ron otrzymał fatalne objawienie, Todd i Watson wyjechali na trzy tygodnie do Arizony pracować na budowie. Wkrótce ich stosunki się popsuły. W końcu Todd ukradł cały bagaż Watsona i zniknął, raz na zawsze zrywając z klanem Laffertych i Szkołą Proroków. Bracia Lafferty nigdy nie zażądali, by pomógł „usunąć" osoby wymienione w objawieniu.

[38] Wspomniany już w rozdziale 10 Orrin Porter Rockwell, zwany Aniołem Zagłady, w 1842 roku przeprowadził nieudany zamach na gubernatora Missouri Lilburna Boggsa, prześladowcę Josepha Smitha. Potem służył jako osobisty ochroniarz Smitha i Brighama Younga. Zapisał się w mormońskich legendach, gdyż z jego ręki, uzbrojonej w colta kaliber .44, zginęło wielu rzekomych wrogów Kościoła LDS. To właśnie Porterowi swą nazwę zawdzięcza popularna restauracja Porter's Place, działająca od dawna w hrabstwie Utah.

[39] Według kilku relacji, kiedy Joseph Smith odkopał Księgę Mormona na wzgórzu Kumorah w 1827 roku, w starodawnej kamiennej skrzyni oprócz złotych płytek znalazł też miecz Labana.

[40] Co ciekawe, pierwszym stanem, który zdelegalizował marihuanę, był właśnie Utah, w roku 1915. Nowe prawo przeforsował Kościół LDS, zaniepokojony rosnącą konsumpcją narkotyku wśród wiernych. Święci w Dniach Ostatnich odkryli trawkę bardzo wcześnie dzięki poligamistom z Meksyku (właśnie tam w początkach XX wieku uciekło około sześciu tysięcy mormonów pragnących praktykować wielożeństwo bez ryzyka kary. Latem 1912 roku meksykańska rewolucja zmusiła większość z nich do powrotu do Utah i właśnie wtedy, ku przerażeniu władz Kościoła, zwykli święci dowiedzieli się, co to marihuana).

[41] Po aresztowaniu Dan wydał oświadczenie (później szeroko dyskutowane w prasie), w którym wychwalał „duchowe zioła". „Z tego powodu wiele osób zastanawiało się, czy podczas zabójstw byłem pod wpływem marihuany lub alkoholu. Nic z tych rzeczy. Jakiś tydzień wcześniej paliłem niezłe zielsko z moją trzecią żoną, a 22 lipca, kiedy opuszczaliśmy dom Alexa Josepha w Big Water, wypiłem z nim piwo – to tyle". Dan twierdzi, że w okresie poprzedzającym morderstwa nie stosował żadnych innych środków odurzających.

[42] Joseph, były policjant z Modesto w Kalifornii, wychował się w greckokatolickiej rodzinie. Na mormonizm przeszedł w roku 1965, lecz cztery lata później ekskomunikowano go za poligamię (poślubił w sumie dwadzieścia jeden kobiet). Wtedy założył sektę o nazwie Kościół Jezusa Chrystusa w Uroczystym Zgromadzeniu. Nie brakowało mu autoironii, głosił dziwaczne doktryny teologiczne i za wszelką cenę pragnął rozgłosu – nic dziwnego, że media go uwielbiały. W roku 1983, krótko przed wizytą braci Lafferty, został wybrany na burmistrza Big Water z ramienia libertarian. Obiecywał zniesienie wszelkich podatków w mieście i – jak sam twierdził – był jedynym poligamistą kiedykolwiek wybranym na urząd publiczny w Stanach Zjednoczonych (piastował także funkcję dowódcy straży przybrzeżnej Jeziora Powella). Pod koniec życia Joseph utrzymywał ponadto, że Rzymianie ukrzyżowali Jezusa, ponieważ odkrył on zasady nawigacji w żegludze wielkiej. Zmarł na raka okrężnicy w roku 1998, miał sześćdziesiąt dwa lata.

[43] Dzień ten upamiętnia przybycie mormonów do Salt Lake Valley 24 lipca 1847 roku. Jest to bodaj najważniejsze mormońskie święto. W całym Utah odbywają się wtedy parady, wiece oraz pokazy sztucznych ogni o wiele bardziej spektakularne niż 4 lipca.

[44] Nauvoo od dawna słynęło jako bezpieczna przystań dla fałszerzy pieniędzy. Było tak za sprawą statutu miejskiego, dającego rządzącym ogromne prerogatywy. Ludzie ścigani za przestępstwa popełnione poza granicami Nauvoo mogli tam liczyć na azyl. Joseph i Brigham zdecydowanie nadużywali swej władzy w tym zakresie, gdyż – podobnie jak dzisiejsi mieszkańcy Colorado City, którzy defraudują fundusze socjalne, bo dzięki temu „bestia się wykrwawi" – nie sądzili, aby Bóg uważał fałszerzy za przestępców. Zdaniem obu proroków za każdym razem, kiedy fałszerz wciskał niemormonom lipne pieniądze, przyspieszał nadejście Królestwa Bożego, a zatem zasługiwał na ochronę przed aresztowaniem.

[45] Kiedy Brigham Young pokonał Sidneya Rigdona w rywalizacji o władzę, Rigdon wraz z kilkoma setkami swych zwolenników założyli w Pittsburghu własny Kościół. Nie przetrwał on zbyt długo. Apostoł Lyman Wright i garstka niezadowolonych mormonów osiedlili się w Teksasie. Ich Kościół także szybko przeszedł do historii. Z kolei charyzmatyczny szarlatan, były baptysta nazwiskiem James Jesse Strang wyprowadził z Kościoła Brighama siedemset osób (w tym gronie matkę Josepha, jego brata, dwie siostry i Martina Harrisa, człowieka, który zastawił swoją farmę, by pokryć koszty publikacji Księgi Mormona). Strang głosił, że anioł ukazał mu się w chwili śmierci Josepha Smitha i uczynił go następcą proroka. Piętnaście miesięcy później, jak sam utrzymywał, odkrył na wzgórzu w okolicy Voree w stanie Wisconsin starożytny tekst, zatytułowany *Księga Prawa Bożego*, wyryty na mosiężnych płytach, które nazwał Płytami Labana. Według Stranga dokument ów stanowił pierwotnie część zestawu złotych płyt, odkopanych przez Josepha w roku 1827. Strangici poszli za swym nowym prorokiem. Założyli kolonię na Beaver Island, leżącej niedaleko północno-zachodniego wybrzeża niższego półwyspu stanu Michigan. Strang koronował się na „Króla Jakuba I Królestwa Bożego na Ziemi", przyznał sobie władzę absolutną i zaczął praktykować wielożeństwo. Nie trwało to długo. W roku 1856 zginął w zasadzce zastawionej przez grupę gniewnych poddanych. Zresztą już wcześniej wielu prominentnych strangitów, sprzeciwiających się królewskiej poligamii, odłączyło się od Kościoła i założyło własny Zreorganizowany Kościół Jezusa Chrystusa

w Dniach Ostatnich. Przystąpiła do nich później wdowa po Josephie Emma Smith, a jej syn Joseph Smith III otrzymał tytuł prezydenta i proroka. Dziś Kościół ten nosi nazwę Wspólnota Chrystusa, ma siedzibę w Independence w Missouri (główny ośrodek to niezwykła świątynia, zaprojektowana przez Gyo Obatę) i liczy ćwierć miliona członków, jest więc największą z sekt powstałych na bazie mormonizmu.

[46] Brigham przechwalał się: „Są wśród nas najlepsi i najzręczniejsi kłamcy na świecie".

[47] Mormoni chcieli nadać nowemu terytorium nazwę Deseret. Jest to neologizm z Księgi Mormona oznaczający pszczołę – zdaniem Brighama Younga doskonały symbol mormońskiej przedsiębiorczości oraz wiary, że dobro wspólnoty należy przedkładać ponad wolność jednostki. Kongres nie wyraził na to zgody i terytorium zyskało nazwę Utah, od plemion indiańskich Ute, zamieszkujących region. Między sobą jednak mormoni mówili o Królestwie Deseret (tak samo oznaczali terytorium na swoich mapach). Po dziś dzień flaga stanowa Utah oraz znaki na szosach stanowych zawierają wizerunek ula. Ponadto druga co do wielkości gazeta wychodząca w Utah (i należąca do Kościoła LDS) nosi tytuł „Deseret News".

[48] Brigham Young pojął co najmniej dwadzieścia, a być może aż pięćdziesiąt siedem żon. Spłodził około siedemdziesięciorga pięciorga dzieci, a liczba jego żyjących obecnie bezpośrednich potomków idzie w tysiące. Najsłynniejszym z nich jest Steve Young, prapraprawnuk Brighama, rozgrywający w drużynie futbolowej Uniwersytetu imienia Brighama Younga i w San Francisco 49ers.

[49] McLernand niemal na pewno inspirował się pseudonaukowym opracowaniem (w oczywisty sposób niedorzecznym, a mimo to powszechnie cytowanym, również przez lekarzy) opublikowanym przez Senat Stanów Zjednoczonych, a następnie przedrukowanym w licznych periodykach i pismach medycznych. Jego autor, chirurg nazwiskiem Roberts Bartholow, utrzymywał, jakoby seksualna rozpusta mormonów stanowiła przyczynę niejednej fizycznej ułomności. Według doktora Bartholowa na mormońskich obliczach widniał wyraz „pożądliwości, sprytu, podejrzliwości oraz kpiącego samozadowolenia. Cerę mają pożółkłą i trupią, policzki zapadnięte, oczy zielonkawe, wargi grube i wydatne, czoła niskie. Włosy ich są cienkie i jasne. Do tego cechują się chudą, kościstą posturą, jakże charakterystyczną dla tej nowej rasy będącej wytworem poligamii, rozpoznać da się ich przeto na pierwszy rzut oka".

[50] Joseph Smith sprzeciwiał się niewolnictwu z pobudek moralnych. W roku 1836 wyświęcił nawet czarnoskórego Elijaha Abla na kapłana. Jednak Brigham Young wyznawał nieprzejednanie rasistowskie poglądy (rzecz nierzadka w dziewiętnastowiecznej Ameryce), a jego interpretacja pisma przyczyniła się do instytucjonalizacji rasizmu w Kościele LDS. Pod przywództwem Brighama Utah stało się terytorium akceptującym niewolnictwo. Mormoni stanęli też po stronie Konfederacji podczas wojny secesyjnej. Przez ponad sto lat po śmierci Younga czarni czuli się niechciani w Kościele LDS, nie mogli sprawować urzędów kapłańskich, a małżeństwa mieszane uchodziły wśród mormonów za grzech. W końcu w roku 1978 prezydent Spencer W. Kimball otrzymał objawienie, w którym Pan nakazał dopuszczenie do kapłaństwa mężczyzn wszelkich ras. Od tego momentu zaczął się powolny, ale znaczący proces zmian, jeśli chodzi o podejście mormonów do kwestii rasowych. W lutym 2002 roku studenci Uniwersytetu imienia Brighama Younga wybrali czarnoskórego Roba Fostera na szefa samorządu (przy czym czarni stanowili zaledwie 0,7 procent wszystkich studiujących). Biorąc pod uwagę poglądy patrona uczelni, zwycięstwo Fostera stanowiło niezwykle istotny symbol.

[51] Właściwie tworzyły ją cztery osobne grupy. Czterdziestopięcioletni Alexander Fancher stał na czele jednej z najważniejszych rodzin jadących w karawanie. Przywódcą innej z grup był kapitan John T. Baker – czasem więc mówi się o wyprawie Bakera–Fanchera.

[52] Pierwotnie dolina nosiła nazwę Mountain Meadow, na większości map oznaczona jest jednak obecnie jako Mountain Meadows. Ponadto rzeź, która się tam dokonała, powszechnie określana jest mianem masakry w Mountain Meadows.

[53] Wśród Indian istniało ścisłe rozróżnienie mormonów i innych Amerykanów, nazywanych w fonetycznym zapisie mowy Pajutów „Merykatami".

[54] Książka ta, opublikowana w roku 1950, to niezwykła praca historyczna, rewelacyjny obraz mormonizmu pod rządami Brighama Younga. Z kolei *Blood of Prophets* Willa Bagleya, nowe podejście do tego samego tematu, uchodzi obecnie za najbardziej wyczerpującą z dostępnych publikacji, lecz sam Bagley przyznaje, że jego długu wobec Juanity Brooks nie da się oszacować, i nazywa ją „jedną z najdzielniejszych i najlepszych historyczek amerykańskiego Zachodu". W zasadzie każda książka opowiadająca o doświadczeniach mormonów w dziewiętnastowiecznym Utah wydana po roku 1950 stanowi komentarz do książki Brooks (z kolei dla wszystkich biografii Josepha Smitha punktem odniesienia jest *No Man Knows My History* Fawn Brodie, wydana w roku 1946).

[55] Na cześć tego apostoła męczennika, jednej z najbardziej znanych postaci mormonizmu i w ogóle niezwykłego człowieka, nazwano Parley's Canyon, którym biegnie obecnie szosa międzystanowa numer 80 między Salt Lake City i Park City (w tamtejszym kurorcie narciarskim odbywa się słynny Sundance Film Festival).

[56] St. George, największe miasto południowego Utah, zostało nazwane na jego cześć.

[57] Oryginał listu przepadł (jak zresztą znakomita większość oficjalnych mormońskich dokumentów dotyczących masakry w Mountain Meadows). Wyjątek cytowany powyżej pochodzi z kopii, która wypłynęła na światło dzienne w roku 1884: pewien dostojnik Kościoła LDS znalazł ją między stronami *Księgi korespondencji*.

[58] Dzieci te umieszczono w mormońskich rodzinach (również w domach mężczyzn, którzy mordowali ich rodziców, braci i siostry) i wychowywano w mormońskiej religii. W roku 1859 agent rządu federalnego zdołał odnaleźć całą siedemnastkę i zabrać je z powrotem do krewnych w Arkansas. Nim jednak mormoni zgodzili się wydać dzieci, mieli czelność zażądać wielu tysięcy dolarów rekompensaty za to, że zapewniali im wikt, opierunek i naukę.

[59] Wśród sprawców masakry z 1857 roku byli przodkowie dzisiejszych prominentów. Obecny gubernator Utah Mike Leavitt wywodzi się w prostej linii od uczestnika rzezi, Dudleya Leavitta, tak samo Juanita Brooks, autorka książki *The Mountain Meadows Massacre*.

Członkowie dynastii politycznej Udallów to z kolei potomkowie Johna D. Lee. Są wśród nich Stewart Udall, wybrany na trzy kadencje senator z Arizony i sekretarz zasobów wewnętrznych w administracji prezydentów Kennedy'ego i Johnsona, młodszy brat Stewarta Morris Udall, który spędził piętnaście kadencji w Izbie Reprezentantów, oraz jego syn Mark Udall, obecnie kongresmen z drugiego okręgu Kolorado.

[60] 25 grudnia 1832 roku Joseph otrzymał objawienie, spisane później w rozdziale 87 Nauk i Przymierzy, w którym Bóg zapowiadał wojnę domową: „Zaprawdę, tak rzecze Pan na temat wojen, które wkrótce zaistnieją, poczynając od buntu Karoliny Południowej, co się ostatecznie zakończy śmiercią i niedolą wielu dusz. […] Oto bowiem południowe stany podzielą się przeciwko stanom północnym […]. I stanie się, po wielu dniach, że niewolnicy powstaną przeciwko swym panom, którzy będą uformowani i wyćwiczeni do wojny. […] I tak, mieczem i przez rozlew krwi, w żałobie pogrążą się mieszkańcy ziemi; i przez głód i plagę, i trzęsienie ziemi, i grom z nieba, i także straszliwe i jaskrawe błyskawice będzie dane odczuć mieszkańcom ziemi gniew i oburzenie i karcąca ręka [*sic*] wszechmocnego Boga, aż postanowione zniszczenie położy kres wszystkim narodom".

[61] W tamtych czasach nie nosiła ona jeszcze nazwy Kolorado, lecz Grand River.

[62] W wyprawie uczestniczył także melancholijny weteran wojny secesyjnej George Bradley oraz dwudziestolatek Andy Hall. Mimo rozłamu w grupie obaj zachowali dobre relacje z pozostałymi. Pierwotnie był też dziesiąty członek ekspedycji, Anglik nazwiskiem Frank Goodman, lecz gdy jego łódź wywróciła się do góry dnem na Disaster Falls (co o mały włos przypłaciłby życiem), Goodman oświadczył, że „starczy mu już niebezpieczeństw", i na długo przed dotarciem do Wielkiego Kanionu odłączył się od towarzyszy.

[63] W roku 1995 odnaleziono dowód potwierdzający, że to faktycznie Dunn wyrył napis na szczycie Mount Dellenbaugh. Wynn Isom, młody chłopak z Cedar City, szukał grotów strzał na wschodnim zboczu góry, daleko od szlaku, gdy nagle kątem oka dostrzegł na ziemi jakiś „błyszczący przedmiot". Okazało się, że jest to niewielka mosiężna płytka pokryta patyną, długa na pięć centymetrów i szeroka na trzy, z wygrawerowanym kursywą nazwiskiem Williama Dunna, najprawdopodobniej umieszczona na kolbie jego strzelby w celu zidentyfikowania właściciela.

[64] W arcyciekawej książce *Colorado River Controversies* Robert Brewster Stanton (1844–1922), geodeta, inżynier i historyk amator pisał:

Gdy po raz pierwszy zapoznałem się ze sporządzonym przez majora Powella raportem z pierwszej wyprawy, wydał mi się on najbardziej fascynującą historią, jaką kiedykolwiek czytałem. Później co prawda przeprowadziłem prace geodezyjne przy budowie kolei i wiele opisów majora dotyczących warunków w kanionie i na rzece znalazłem, mówiąc łagodnie, nieco mylącymi, lecz sama opowieść o przygodach odkrywców wciąż robiła niezwykłe wrażenie. […] Dlatego ogromną przykrość sprawiło mi, gdym się po wielu latach dowiedział […], że znaczące fragmenty dotyczące wyprawy z roku 1869 zostały w rzeczywistości sporządzone na podstawie doświadczeń i zapisków z wyprawy w latach 1871–1872.

W roku 1889 Jack Sumner w wywiadzie ze Stantonem powiedział „z nutą goryczy w głosie: »Nie tylko prawdę znaleźć można w tej książce«, po czym odwrócił wzrok".

[65] Na przykład w roku 1866 Pajuci zabili dwóch osadników nieopodal Pipe Spring. Zaledwie osiem dni później zjawiła się grupa mormonów z St. George i w odwecie zamordowała siedmiu przypadkowych Indian.

[66] Obecnie Lee's Ferry to punkt, z którego startuje większość spływów Wielkim Kanionem. Tysiące turystów trafiają tam co roku, ale mało kto z nich wie cokolwiek na temat człowieka, któremu miejsce to zawdzięcza nazwę.

[67] Dan Lafferty należy do fundamentalistów, dla których trzeci mormoński prorok pozostaje wielkim autorytetem. „Poważam Johna Taylora za jego wierność zasadom – mówi Dan – a pamięć o nim dodawała mi sił w trudnych momentach".

[68] DeLoy Bateman jest praprawnukiem Samuela i prawnukiem Daniela.

[69] Wiosną i latem 2003 roku Warren Jeffs stał się obiektem szczególnego zainteresowania władz stanowych, gdy na światło dzienne wypłynęły informacje, według których prorok FLDS dopuścił się przestępstwa, płodząc dzieci z co najmniej dwiema nieletnimi dziewczętami. Prokurator generalny Utah generał Mark Shurtleff ogłosił publicznie: „Zamierzam dobrać się Warrenowi Jeffsowi do skóry". Shurtleff (członek Kościoła mormońskiego) dodał ponadto: „Mamy niezbite dowody na łamanie prawa, wykorzystywanie seksualne dzieci i wyłudzanie pieniędzy podatników".

Kilka dni później Jeffs odpowiedział mu podczas niedzielnego kazania. „Jesteśmy atakowani – ostrzegł wiernych. – Potrzebujemy pomocy Pana". Następnie rzekł, że Bóg kazał mu zawiesić odprawianie sakramentów kościelnych oraz zaślubin, by w ten sposób ukarać kongregację za „występność". Nic podobnego się nie zdarzyło, odkąd pięćdziesiąt lat wcześniej policja przeprowadziła nalot na Short Creek. Tego samego lata Jeffs odwołał też święto 4 lipca w Hildale-Colorado City, nakazał usunięcie wszystkich koszy do koszykówki z podwórek i zabronił ubierać się na czerwono. Nowy prorok sprawiał wrażenie coraz bardziej paranoicznego fanatyka.

We wrześniu w obawie przed rychłym aresztowaniem Jeffs uciekł do Bountiful w Kolumbii Brytyjskiej. Od tego czasu pozostaje w ukryciu, choć widziano go w Colorado City w listopadzie, na pogrzebie pewnego kapłana. Wracał też parę razy, by żenić się z kolejnymi kobietami.

– Choć Warren zakazał małżeństw, nie powstrzymało go to przed znalezieniem sobie paru pięknych, młodych dziewic – opowiada DeLoy Bateman. – Niektóre miały zaledwie szesnaście lat. Praktycznie co tydzień brał sobie nową, a ich ojcowie byli dumni, że mogą wydać córki za proroka.

Podczas długich nieobecności Warrena Jeffsa w Colorado City robotnicy pracowali dniem i nocą, budując wysoki forteczny mur wokół jego posiadłości, położonej gdzieś daleko, w nieznanym miejscu – prawdopodobnie niedaleko granicy stanu Nevada na Pustyni Zachodniej.

– Rząd bardzo chce doprowadzić Jeffsa przed oblicze sprawiedliwości, lecz władze obawiają się, że próba aresztowania może przerodzić się w krwawą jatkę – tłumaczy Bateman. – Nie bez racji. Gdybym miał obstawiać, powiedziałbym, że jest mniej więcej pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że Warren doprowadzi do powtórki z Waco albo Jonestown, jeśli przyjdzie po niego policja.

Naprawdę tak uważam. Przerażające, nie? W końcu Warren to fanatyk, a jego wyznawcy są mu ślepo posłuszni.

Przed ucieczką do Kanady we wrześniu 2003 roku Jeffs ogłosił, że otrzymał objawienie, w którym Bóg upominał mieszkańców Colorado City: „Strzeżcie się, gdyż pokarzę was za to, co czynicie w sekrecie. Musicie szukać Mojej ochrony, żałując za grzechy i budując Moje królestwo, Moje spichlerze, Moje kapłaństwo na Ziemi. Jeśli nie posłuchacie, sprowadzę plagi na Mój lud i oczyszczę go z bezbożnych. Cnotliwi zaś będą cierpieć na równi z występnymi. […] Oto przemówił Pan wasz, niechaj się wola Moja stanie. […] Dość już wśród was wahania i apatii”.

[70] Starszy (ang. *elder*) to w Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich najniższy urząd kapłański (przyp. tłum.).

[71] Ojciec Rulona Allreda, poligamista Byron C. Allred, był mormońską eminencją. Pełnił funkcję przewodniczącego Izby Reprezentantów stanu Idaho, ale ostatecznie musiał uciekać przed poszukiwaczami „konkubów” do Meksyku. Alex Joseph i John Bryant – przywódcy niezależnych społeczności poligamistów, odwiedzonych przez Dana i Rona Laffertych latem 1984 roku, krótko przed śmiercią Brendy i Eriki – zostali przyjęci do grona fundamentalistów właśnie przez Rulona Allreda, jednak obaj z nim zerwali i podążyli własnymi ścieżkami.

[72] W roku 1978 Chynoweth została co prawda oskarżona o współudział w zamordowaniu Allreda, ale podczas procesu nakłamała pod przysięgą i uniknęła kary. Dwanaście lat później napisała skandalizującą książkę o LeBaronach, zatytułowaną *Przymierze krwi* (z niej właśnie pochodzą przywołane powyżej cytaty). Po jej publikacji potomkowie Allreda pozwali Chynoweth z powództwa cywilnego – w procesie zasądzono na ich rzecz pięćdziesiąt dwa miliony dolarów zadośćuczynienia za wcześniejszy błędny wyrok, spowodowany kłamstwami oskarżonej.

[73] Właśnie w Los Molinos w 1986 roku trzynastoletnia Linda Kunz poślubiła blisko trzykrotnie starszego Toma Greena, poligamistę z Utah, skazanego na więzienie w roku 2001 po występie w programie telewizyjnym *Dateline NBC*.

[74] Cztery lata po ślubie z adoptowaną córką ożenił się z Debbie Palmer (która później podpaliła swój dom, żeby uciec z Bountiful).

[75] „Wall Street Journal” określił stan Utah mianem „światowej stolicy przekrętów finansowych”, najwięcej zaś przestępstw gospodarczych popełnia się w hrabstwie Utah. Agent FBI Jim Malpede twierdzi, że nie zdarza się, by FBI nie prowadziło tam jakiegoś śledztwa w sprawie oszustw na kwoty od pięćdziesięciu do stu milionów dolarów. Wynika to z faktu, że ogromny procent mieszkańców hrabstwa stanowią mormoni. Mormoni są z reguły nadmiernie ufni, gdy przychodzi inwestować w ryzykowne przedsięwzięcia współwyznawców. Michael Hines, kierownik wydziału nadzoru finansowego Utah Securities Division, mówił w wywiadzie dla gazety „Deseret News”, że w hrabstwie Utah oszuści często mamią swoje ofiary, zachęcając je do oceniania jakości inwestycji na drodze modlitwy. I ostrzegał: „Ludzie muszą zrozumieć, że Bóg nie jest szczególnie dobrym doradcą finansowym”.

[76] Choć może się to wydawać jeszcze jednym przykładem fundamentalistycznej aberracji Dana, nakładanie rąk jest akurat rytuałem powszechnie praktykowanym przez mormonów. Mężczyzna często kładzie dłonie na głowie kogoś ze swojej rodziny lub innego członka Kościoła i w ten sposób daje swoje błogosławieństwo, mające rzekomo moc uzdrawiającą bądź niosące pociechę w trudnych chwilach. Wielu mormonów twierdzi, że zostali w ten sposób wyleczeni z ciężkich chorób. Jak pisał Kenneth Anderson w artykule z „Los Angeles Timesa” w 1999 roku:

Ten osobliwy zlepek mistycznej doktryny i pragmatycznej racjonalności jest stale obecny w codziennym życiu mormonów. Możemy spotkać wielu wykształconych członków Kościoła LDS, znakomitych naukowców i inżynierów, którzy w swojej pracy kierują się ścisłymi zasadami rozumowymi, lecz zarazem wyznają głęboko mistyczne przekonania pozbawione wszelkich naukowych podstaw. Mój ojciec był profesorem chemii, pełnił funkcję dziekana, a w swojej pracy akademickiej zawsze przywiązywał ogromną wagę do standardów naukowych. Zarazem jednak jako członek Kościoła mormońskiego […] przez wiele lat dawał ludziom błogosławieństwa, nakładał dłonie i przekazywał innym wyznawcom słowa pochodzące od Boga, które ci nagrywali i przepisywali, by kierować się nimi w codziennym życiu. Ktoś z zewnątrz dopatrzyłby się w tym szalonego mistycyzmu. Mój ojciec jednak zdecydowanie nie jest mistykiem. Nie rozgranicza ponadto swojego życia naukowego i życia mistycznego – jedno i drugie się łączy. Błogosławienie to w jego mniemaniu najzupełniej „rozsądne” działanie. Owa postawa jest charakterystyczna dla mormońskich wierzeń, wedle których mistyczne praktyki stanowią po prostu środek do osiągania pewnych celów.

[77] Imię tytułowej bohaterki amerykańskiego sitcomu, popularnego w latach osiemdziesiątych (przyp. tłum.).

[78] DSM, podręcznik wydawany przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne, to biblia specjalistów z zakresu zdrowia psychicznego.

[79] Zresztą wielu twierdziło, że i sama psychiatria to rodzaj świeckiej wiary czy też religia dla niereligijnych.

[80] Przeł. Jan Hempel (przyp. tłum.).

[81] Przypowieść ta pojawia się w Ewangelii według świętego Mateusza (13:24). Pewnej nocy, gdy wszyscy śpią, przychodzi Szatan i na polu pszenicy sadzi chwasty. Pan nakazuje swoim wyznawcom, aby pozwolili chwastom rosnąć „aż do żniwa; a w czasie żniwa powiem żeńcom: Zbierzcie najpierw chwast i powiążcie go w snopki na spalenie; pszenicę zaś zwieźcie do mego spichlerza”. Dan Lafferty nie jest jedynym fanatykiem, który upodobał sobie tę przypowieść. Brian David Mitchell, mormoński fundamentalista i porywacz czternastoletniej Elizabeth Smart, cytował ten sam fragment Biblii w swoim traktacie *Księga Emmanuela Dawida Izajasza*: „Wśród kapłanów zapanowało zepsucie i zgnilizna. Szatan bowiem zakradł się niepostrzeżenie i nasiał chwastu między pszenicę”.

[82] Mormońscy fundamentaliści nie różnią się tu zresztą aż tak bardzo od zwykłych mormonów. Choć prorok Spencer W. Kimball otrzymał w 1978 roku objawienie o dopuszczeniu czarnych do kapłaństwa, Kościół LDS nadal silnie piętnuje małżeństwa mieszane wśród wyznawców. Mormonizm włącza się co prawda do głównego nurtu w amerykańskim społeczeństwie, lecz zdecydowanie trzyma się prawego brzegu.

[83] Wszystkie numery stron w nawiasach odnoszą się do egzemplarza recenzenckiego (sprzed ostatecznej korekty), na podstawie którego Turley najwyraźniej napisał swoją replikę.

[84] Polski przekład *Zasad wiary* znaleźć można na stronie internetowej: https://www.lds.org/bc/content/shared/content/polish/pdf/language-materials/64370_pol.pdf?lang=pol (przyp. tłum.).

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl,
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl,
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl,
magda.jobko@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2016
Wydanie I